

KARIN  
SLAUGHTER

PIĘTNO

MOT  
KREĆ





KARIN  
SLAUGHTER

PIĘTNO

NOT  
ME



**Karin Slaughter**

**Piętno**

Przełożyła  
Aleksandra Górską



**Tej samej autorki polecamy:**

**Niewierny  
Przywilej skóry  
Tryptyk  
Pęknięcie  
Geneza**

*Dla Victorii*

## PROLOG

Allison Spooner chciała wyjechać z miasta na święta, ale nie bardzo miała dokąd. Nie miała także powodu, żeby zostać na miejscu, tyle że tak przynajmniej wychodziło taniej i od biedy dało się przeżyć. No i tu miała od biedy dach nad głową, gówniany, ale z ogrzewaniem, i od biedy szansę na jakiś ciepły posiłek w pracy. Od biedy. Od biedy. Od biedy. Dlaczego zawsze musiała się zadowalać czymś tylko od biedy. Kiedy wreszcie przyjdzie czas, gdy będzie miała wszystkiego od metra?

Wiatr się wzmógł i zacisnęła pięści w kieszeniach cienkiej kurtki. Siąpiła mżawka, spowijając wszystko zimną wilgocią, tak że człowiek miał wrażenie, że spaceruje wewnątrz psiego nosa. Lodowaty chłód ciągnący od jeziora Grant jeszcze pogarszał sprawę. Przy każdym powiewie bryzy czuła, jakby tysiące małych, tępych żyłek wrzynało jej się w skórę. To miała być południowa Georgia, nie jakiś cholerny południowy biegun.

Kiedy szła porośniętym drzewami brzegiem, starając się nie potknąć, wydawało jej się, że z każdym pluśnięciem fali o błotnisty brzeg temperatura spada o jeden stopień. Zastanawiała się, czy w cienkich butach, jakie ma na sobie, nie odmrozi stóp. Widziała kiedyś w telewizji mężczyznę, który na skutek takich obrażeń stracił wszystkie palce u rąk i nóg. Opowiadał potem, jaki to jest niby wdzięczny, że żyje, ale ludzie mają takie parcie na szkło, że powiedzą wszystko, byleby tylko trafić na wizję. Ona sama, biorąc pod uwagę, jak wyglądało teraz jej życie, mogłaby co najwyżej załapać się do wieczornych wiadomości. Pojawiłoby się jakieś zdjęcie – prawdopodobnie to okropne z licealnego albumu – a obok

słowa: „tragiczna śmierć”.

Uświadomiła sobie nagle, że martwa wzbudziłaby większe zainteresowanie niż żywa. Teraz nikogo nie obchodziła – ani ona, ani jej nędzne życie, ani tym bardziej fakt, że ledwo wiązała koniec z końcem i musiała stawać na rzesach, żeby pogodzić studia z nawałem innych obowiązków. Nikt się tym nie przejmował i nie przejmie, dopóki nie znajdą jej zamarznętej na brzegu jeziora.

Wichura znowu przybrała na sile. Odwróciła się plecami do wiatru, czując, jak lodowatymi palcami dźga ją po żebrach, ścisną płuca. Jej ciało przeszył dreszcz, z ust dobył się obłoczek pary. Zamknęła oczy. Szczękając zębami, zaczęła recytować pod nosem, jak mantrę, litanie swoich największych problemów.

– Jason. Szkoła. Pieniądze. Samochód. Jason. Szkoła. Pieniądze. Samochód.

Kiedy porywisty podmuch osłabł, podniosła powieki. Słońce zachodziło szybciej, niż myślała. Stała twarzą do budynku uczelni. Powinna wracać? A może iść dalej?

Zdecydowała się na tę drugą ewentualność i opuściła głowę w ochronie przed zawodzącym wiatrem.

Jason. Szkoła. Pieniądze. Samochód.

Jason: jej chłopak zmienił się w dupka, i to niemal z dnia na dzień.

Szkoła: wyleci ze studiów, jeśli nie znajdzie więcej czasu na wkuwanie.

Pieniądze: nie da rady przeżyć, nie mówiąc już o pozostaniu na uczelni, jeśli będzie mniej pracować.

Samochód: auto zaczęło dymić dziś rano, kiedy je odpaliła, co samo w sobie nie było niczym nowym, bo trwało już od tygodni, ale tym razem kłęby dymu wciskały się do środka przez kratki nawiewu. O mały włos nie udusiła się w drodze do szkoły.

Wlokąc się przed siebie, okrążyła zakole jeziora i dodała „odmrożenia” do swojej listy. Przy każdym mrugnięciu miała wrażenie, że przecina powiekami cienkie tafle lodu.

Jason. Szkoła. Pieniądze. Samochód. Odmrożenia.

Najbardziej paląca wydawała się groźba utraty palców, choć

Allison z niechęcią przyznawała, że im bardziej się tego bała, tym cieplej jej się robiło. Może po prostu serce było jej szybciej albo przyspieszyła kroku, kiedy zaczęło zmierzchać, i uświadomiła sobie, że całe to labiedzenie o śmierci na mrozie może się niespodziewanie ziścić, jeśli się, do cholery, nie pośpieszy.

Wyciągnęła rękę i oparła się o pień drzewa, żeby przejść między plataniną sięgających wody korzeni. Kora była mokra i gąbczasta w dotyku. Jakiś klient odesłał dziś w porze lunchu hamburgera, bo twierdził, że bułka jest właśnie zbyt gąbczasta. Wcześniej flirtował z Allison, ona też była miła, a kiedy wychodził, zostawił pięćdziesiąt centów napiwku do dziesięciodolarowego rachunku. I jeszcze mrugnął do niej przy drzwiach, jakby robił jej łaskę.

Nie była pewna, jak długo jeszcze to wszystko wytrzyma. Może jej babka miała rację. Dziewczęta takie jak Allison nie idą na studia, tylko do pracy w fabryce opon. Poznają tam jakiegoś faceta, zachodzą w ciążę, biorą ślub, rodzą jeszcze kilkoro dzieci, potem biorą rozwód – czasami w tej kolejności, czasami nie. Przy odrobinie szczęścia mąż nie bije ich za mocno.

Czy taka wizja odpowiadała Allison? Miała ją we krwi. Jej matka tak żyła. Jej babka tak żyła. Jej ciotka Sheila też tak żyła, dopóki nie wyciągnęła śrutówki i niemal nie odstrzeliła głowy wujkowi Boydowi. Wszystkie trzy kobiety w rodzinie Spoonerów w pewnym momencie zaprzepaszczały wszystko dla nic niewartego mężczyzny.

Allison widziała, jak matka robiła to tak często, że kiedy wreszcie Judy Spooner wylądowała po raz ostatni w szpitalu, z trzewiami całkowicie przezartymi przez raka, mogła myśleć tylko o jej zmarnowanym życiu. Matka nawet wyglądała na zmarnowaną. W wieku trzydziestu ośmiu lat miała już mocno przerzedzone i prawie całkiem siwe włosy. Przywiedłą skórę. Szponiaste dłonie z palcami poskręcany od wieloletniej harówki na linii produkcyjnej – podnoszenia opony z taśmy, sprawdzania ciśnienia, odkładania jej na pas, podnoszenia następnej i kolejnej, i znowu, i tak ponad dwieście razy każdego dnia, skutkiem czego kiedy wreszcie wpełzała do łóżka, nocą bolał ją każdy staw. W wieku trzydziestu ośmiu lat z ulgą powitała raka. Powitała wybawienie.



Prawie na sam koniec powiedziała Allison, że cieszy się, że umiera, cieszy się, że nie musi być już dalej sama. Judy Spooner wierzyła w niebo i zbawienie. Była pewna, że pewnego dnia zamieni zwirowy podjazd i norę w przyczepie samochodowej na pałace i ulice ze złota. Allison była pewna tylko tego, że nigdy nie wystarczała matce. Dla Judy szklanka wiecznie pozostawała na wpół pusta, cała miłość, jaką córka na nią przelewała, nie była w stanie ugasić jej pragnienia.

Judy zbyt mocno ugrzęzła w pustce. W pustce pracy pozbawionej perspektyw. Pustce jednego bezwartościowego mężczyzny po drugim. Ograniczającego ją dziecka.

Studia miały być dla Allison wybawieniem. Była dobra w przedmiotach ścisłych. To aż niewiarygodne, biorąc pod uwagę jej geny, ale jakoś tak się złożyło, że rozumiała działanie związków chemicznych. Pojmowała podstawy syntezy makrocząsteczek. Ogarniała budowę syntetycznych polimerów. Co więcej, umiała się uczyć. Wiedziała, że gdzieś na świecie jest książka, która zawiera poszukiwaną odpowiedź, i najlepszym sposobem na poznanie tej odpowiedzi jest czytanie wszystkiego, co wpada w ręce.

Udało jej się do klasy maturalnej utrzymać z daleka od chłopców, alkoholu i metamfetaminy, które zmarnowały życie niemal wszystkich jej rówieśniczek z rodzinnego miasteczka Elba w Alabamie. Nie zamierzała skończyć jak jedna z tych wypranych z duszy, zmęczonych dziewcząt, które pracują na nocną zmianę i palą mentolowe fajki, bo im się roi, że są wytworne. Nie zamierzała wylądować przed trzydziestką w ciasnym domu z trójką bachorów od trzech różnych ojców. Nie zamierzała obudzić się pewnego ranka i nie móc otworzyć oczu, bo pięść jakiegoś faceta zamknęła je na dobranoc dzień wcześniej. Nie zamierzała skończyć martwa i sama w szpitalnym łóżku jak jej matka.

Przynajmniej tak uważała, kiedy wyjeżdżała z Elby trzy lata temu. Pan Mayweather, jej nauczyciel chemii, poruszył niebo i ziemię, żeby załatwić Allison przyjęcie do dobrej uczelni. Chciał, żeby jak najszybciej opuściła miasteczko. Chciał, żeby miała szansę na jakąś przyszłość.

Politechnika w Heartsdale była bardziej odległa emocjonalnie niż geograficznie. I ogromna w porównaniu z liceum, gdzie klasa maturalna Allison liczyła dwadzieścia dziewięć osób. Pierwszy tydzień w kampusie spędziła, zastanawiając się, jak można się zakochać w miejscu. Na zajęciach spotykała rówieśników, którzy dorastali w atmosferze dobrobytu i nieograniczonych szans i którym nigdy nie powstało w głowie, żeby nie pójść na studia prosto po liceum. Nie chichotali, kiedy podnosiła rękę, zgłaszając się do odpowiedzi. Nie uważali człowieka za zdrajcę i lizusa, jeśli naprawdę słuchał tego, co mówi wykładowca, i usiłował nauczyć się czegoś więcej niż robienia tipsów czy przedłużania włosów.

I w dodatku tereny wokół uczelni zapierały dech w piersiach. Elba była zaniedbana, nawet jak na południową Alabamę, bieda wyglądała tam z każdego kąta. Heartsdale, gdzie mieściła się polibuda, wyglądało przy niej jak miasteczko z telewizji: zadbane ogródki przed domami, kwiaty na głównej ulicy wiosną. Całkiem obcy ludzie pozdrawiali człowieka z uśmiechem na ustach. Miejscowi przychodzący na obiad do knajpy, gdzie pracowała, nie mieli wprawdzie szczególnie szczodrej ręki do napiwków, ale traktowali ją sympatycznie. Miasteczko nie było na tyle duże, by mogła się w nim zgubić. Niestety, nie było też na tyle duże, by nie natknęła się na Jasona.

Jason.

Poznała go na drugim roku. Był o dwa lata starszy, bardziej doświadczony i wyrobiony.

Romantyczna randka w jego wydaniu nie polegała na wślizgnięciu się do kina i zrobieniu tego na chybcika w rzędzie na tyłach, zanim zjawi się ochrona. Zabierał ją do prawdziwych restauracji z lnianymi serwetkami na stołach. Trzymał za rękę. Słuchał. Kiedy uprawiali seks, zrozumiała wreszcie, dlaczego ludzie nazywają to kochaniem się. Nie chciał wszystkiego, co najlepsze, tylko dla siebie. Chciał wszystkiego, co najlepsze, dla Allison. Myślała, że to poważna sprawa – ostatnie dwa lata życia spędzili, budując coś razem. I nagle, ni z gruszki, ni z pietruszki, zmienił się nie do poznania. Raptem wszystko, co przedtem było w

ich związku takie wspaniałe, stało się powodem, dla którego zaczął się rozpadać.

I tak jak wcześniej jej matka, Jason zdołał jeszcze zrzucić całą winę na Allison. Że niby jest zimna. Obojętna. Zbyt wymagająca. Nigdy nie ma dla niego czasu. Jakby sam był kochającym świętym, który całymi dniami zastanawia się tylko, jak by tu uszczęśliwić Allison. To nie ona chodziła na całonocne balety z kumplami, nie ona zadawała się z dziwnymi ludźmi w budzie. I, pewnie jak cholera, to nie ona wplątała ich w tę całą aferę. Jak może być winna, jeśli w ogóle nie przyłożyła do tego ręki?

Jeszcze raz przeszedł ją dreszcz. Z każdym krokiem, kiedy okrążała to cholerne jezioro, miała wrażenie, że brzeg z czystej złośliwości wyciska z siebie kolejne sto metrów. Popatrzyła na mokrą ziemię pod stopami. Lało od tygodni. Gwałtowne powodzie zrywały drogi, obalały drzewa. Allison zawsze kiepsko znosiła słotę. Szaruga ją rozstrajała, dołowała. Sprawiała, że robiła się humorzasta, płaczliwa i marzyła tylko, żeby spać i spać bez końca, dopóki się nie wypogodzi.

– Cholera! – syknęła, kiedy się poślizgnęła i o mały włos nie wpadła do wody. Nogawki miała uwalane błotem, buty przemoczone niemal na amen. Popatrzyła na wzburzone jezioro. Krople deszczu oblepiały jej rzęsy. Zaczesała włosy do tyłu palcami i wbiła wzrok w czarną toń. A może powinna się poślizgnąć. Wpaść do wody. Jak by to było? Pozwolić, żeby prąd zniósł ją dalej na środek jeziora, gdzie jej stopy nie mogłyby już sięgnąć gruntu, a płuca złapać powietrza?

Nie po raz pierwszy myślała o czymś takim. Pewnie przez ten nieustający deszcz i pochmurne niebo. Kiedy lało, wszystko wydawało się bardziej przygnębiające. A niektóre historie kładły się człowiekowi na sercu kamieniem. W zeszły wtorek w gazecie pojawił się artykuł o matce i córeczce, które utonęły w volkswagenie trzy kilometry za miasteczkiem. Znajdowały się rzut beretem od siedziby zboru Trzeciego Kościoła Baptystycznego, kiedy gwałtowna powódź przelała się przez jezdnię i je zmyła. Coś w konstrukcji starych garbusów sprawiało, że potrafiły unosić się

na wodzie, i ten nowszy model także pływał. Przynajmniej z początku.

Członkowie zboru, którzy właśnie wyszli ze swojej tradycyjnej składkowej imprezy, nie byli w stanie nic zrobić. Patrzyli ze zgrozą, jak auto zakreśliło młynka na wodzie i się przechyliło. Fala wdarła się do środka, matkę i dziecko porwał prąd. Kobieta, która później rozmawiała z dziennikarzami, powiedziała, że już do końca życia będzie zasypiała nocą i budziła się co rano ze wspomnieniem rączki trzyletniej dziewczynki wyciągającej się z wody, dopóki małeńka nie poszła w końcu na dno.

Allison także nie mogła przestać myśleć o dziecku. Mimo że sama siedziała w bibliotece, gdy doszło do tragedii. Mimo że nigdy nie widziała na oczy ani tej biedaczki, ani jej córeczki, ani nawet kobiety, która rozmawiała z prasą, za każdym razem, gdy zamknęła oczy, widziała tę wyciągającą się po pomoc rączkę. Czasem dłoń robiła się większa. Czasem to jej matka wzywała ratunku. A czasem ręka ciągnęła ją na dno i Allison budziła się z krzykiem.

Ale, Bogiem a prawdą, takie czarne myśli zaczęły ją nawiedzać na długo przed tą historią z gazety. Nie mogła winić tylko pogody, choć na pewno ulewy i ciągłe zachmurzenie zmąciły jej myśli, przyprawiając o poczucie beznadziei. O ileż łatwiej byłoby dać sobie z tym wszystkim spokój. Po co ma wracać do Elby i zmienić się w jakąś bezzębną, wynędzniałą staruchę z osiemnastką małych gąb do wykarmienia, kiedy mogła po prostu wejść do jeziora i choć raz w pełni przejąć kontrolę nad własnym losem.

Upodabniała się do matki tak szybko, że niemal czuła, jak siwieją jej włosy. Była kropka w kropkę taka jak Judy – roiała sobie wielką miłość, podczas gdy facet ewidentnie był zainteresowany tylko tym, co Allison ma między nogami. Ciotka Sheila dokładnie to jej powiedziała, kiedy rozmawiały przez telefon w zeszłym tygodniu, a ona żaliła się na Jasona, zachodząc w głowę, dlaczego nie odbiera od niej telefonów.

Długi sztach z papierosa, potem, wśród kłębow uchoźącego z płuc dymu: „Jakbym słyżwała twoją matkę”.

Allison wolałaby już nóż wbity w pierś: załatwiłby sprawę szybciej i czystiej. A najgorszy w tym wszystkim był fakt, że ciotka miała rację. Allison kochała Jasona. Kochała go o wiele za bardzo. Kochała go na tyle, by dzwonić do niego dziesięć razy dziennie, mimo że nie odbierał. Na tyle, by co dwie minuty włączać głupi komputer, sprawdzając, czy może odpowiedział na choćby jeden z dziewięciu milionów wysłanych przez nią maili.

Kochała go na tyle, by przywlec się tu w środku nocy i odwalić brudną robotę, której sam załatwić nie miał odwagi.

Zrobiła jeszcze jeden krok w stronę brzegu. Czuła, jak stopy zaczynają jej się ześlizgiwać, jednak zanim upadła, instynkt samozachowawczy wziął górę. Ale woda ochlapała jej buty. Miała mokre skarpetki, palce u stóp skostniałe na amen i wrażenie, że ostry ból przeszywa jej kości. Czy to właśnie tak wygląda – narastające odrętwienie z wolna przechodzące w bezbolesną śmierć?

Potwornie bała się uduszenia. Tu leżał pies pogrzebany. Uwielbiała morze przez jakieś dziesięć minut jako dziecko, ale kiedy miała trzynaście lat, to się zmieniło. Jej durny kuzyn Dillard przytrzymał jej kiedyś głowę pod wodą na miejskim basenie i teraz nie znosiła nawet zwykłej kąpieli w wannie, bo bała się, że spanikuje, kiedy woda wleje się jej do nosa.

Gdyby Dillard tu był, prawdopodobnie sam wepchnąłby ją do jeziora, nawet nie musiałaby go prosić. Wtedy na basenie, gdy omal nie utonęła, nie miał sobie nic do zarzucenia. Allison zwymiotowała lunch. Dostała spazmów. Płuca ją paliły, a on tylko rzucił „hi-hi” jak staruszek, który szczypie cię w tył ramienia, żeby usłyszeć, jak wyjiesz z bólu.

Dillard był synem ciotki Sheili, jej jedynym dzieckiem i jeszcze większym rozczarowaniem niż jego ojciec, jeśli to tylko możliwe. Wąchał tyle farby, że za każdym razem jego nos miał inny kolor. Palił metę. Okradał matkę. Według ostatnich doniesień siedział w więzieniu za próbę napadu na sklep monopolowy z pistoletem na wodę. Ekspedient rozbił mu głowę kijem bejsbolowym, zanim jeszcze przyjechała policja. W rezultacie Dillard zrobił się jeszcze



bardziej tępy niż wcześniej, ale nie na tyle, by przepuścić dobrą okazję. Pchnąłby Allison obiema rękoma, wrzucając ją bez zastanowienia do wody i chichrając się w kułak, podczas gdy ona młóciłaby czarną toń rękoma, idąc na dno.

Ile czasu upłynęłoby, zanim straciłaby przytomność? Jak długo musiałaby jeszcze męczyć się w przerażeniu, zanimby umarła? Znowu zamknęła oczy, usiłując wyobrazić sobie, jak otacza ją woda, pochłaniają fale – tak zimne, że na początku wydawałyby się gorące. Nie można żyć długo bez powietrza, człowiek szybko traci przytomność. Może ogarnęłaby ją panika, wywołując coś na kształt histerycznej nieświadomości. A może przeciwnie, byłaby pobudzona, napompowana adrenaliną i gorączkowo walczyłaby o życie niczym wiewiórka uwięziona w papierowej torbie.

Za plecami usłyszała trzask pękającej gałązki. Odwróciła się zaskoczona.

– Chryste! – znowu się poślizgnęła, tym razem naprawdę.

Ramiona poleciały jej w bok, kolana się ugięły. Zaparło jej dech w piersiach z bólu. Wyrznęła twarzą w błoto. Czyjaś ręka chwyciła ją za kark i przycisnęła do ziemi. Zarejestrowała chłodny dotyk podłoża, smak mokrego, oślizgłego błota w ustach.

Odruchowo zaczęła się bronić, walczyć z wodą i paniką zaćmiewającą myśli. Czyjeś kolano wbiło jej się w podstawę kręgosłupa, przygwaźdzając nieruchomo do ziemi. Poczowała palący ból w szyi, a zaraz potem smak krwi. Nie chciała tego. Pragnęła żyć. Musiała żyć. Otworzyła usta, by wykrzyknąć to ile tchu w płucach.

Ale tchu nie było.

**PONIEDZIAŁEK**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Na szczęście niska temperatura oznaczała, że ciało na dnie jeziora będzie dobrze zachowane, choć chłód panujący nad brzegiem przypominał o szczekaniu zębów i desperacką chęć przywołania wspomnień sierpnia. Dotyku słońca na twarzy. Potu spływającego po plecach. Mgiełki unoszącej się z samochodowej klimatyzacji, która nie była w stanie dotrzymać kroku upałom. Ale choć Lena Adams bardzo się wysilała, żeby to sobie przypomnieć, wszystkie myśli o cieple brały w łeb w ten deszczowy listopadowy ranek.

– Znaleźliśmy ją! – krzyknął szef ekipy nurków.

Kierował swoimi ludźmi, stojąc na brzegu, ale jego głos dochodził stłumiony przez szum zacinającego deszczu. Lena podniosła rękę, żeby pomachać, i woda spłynęła jej po rękawie wielkiej parki, którą narzuciła, kiedy otrzymała wezwanie o trzeciej nad ranem. Deszcz nie był nawalny, ale nieprzerwany, uporczywie stukał o jej plecy, kapał na oparty na ramieniu parasol. Widoczność nie przekraczała dziesięciu metrów. Wszystko, co znajdowało się dalej, spowijał mglisty opar. Lena zamknęła oczy, wracając myślami do ciepłego łóżka i jeszcze cieplejszego ciała, w które się wtulała.

Ostry dźwięk dzwonka o trzeciej nad ranem nigdy nie zapowiada niczego dobrego, zwłaszcza dla gliny. Z walącym sercem Lena wybudziła się z głębokiego snu, odruchowo sięgnęła po słuchawkę i przycisnęła ją do ucha. Jako starszy detektyw pod telefonem musiała zerwać z łóżek mnóstwo innych ludzi w południowej Georgii: zawiadomić swojego szefa, koronera, służby ratownicze. Poinformować Biuro Śledcze Georgii o znalezieniu ciała na terenach stanowiących własność władz stanowych. Zadzwoić do

stanowego Biura Zarządzania Kryzysowego, które prowadzi rejestr cywilnych ochotników gotowych szukać zwłok na wezwanie.

Teraz wszyscy zebrali się nad jeziorem, ale co bardziej łebscy czekali w samochodach z ogrzewaniem odkręconym na cały regulator, podczas gdy lodowaty wiatr kołysał drzewami jak dzieckiem w kołysce. Dan Brock, właściciel miejscowego domu pogrzebowego, który pełnił też obowiązki miejskiego koronera, spał w najlepsze w swojej furgonetce z głową na oparciu siedzenia i otwartymi ustami. Nawet ratownicy z pogotowia siedzieli bezpiecznie schowani w karetce. Lena widziała ich twarze wyglądające przez szybę tylnych drzwi. Od czasu do czasu wyciągała się jakaś ręka z papierosem jarzącym się w słabym świetle poranka.

Trzymała w ręku torbę na dowody z listem pożegnalnym znalezionym nad brzegiem. Został napisany na oderwanej od większego kawałka liniowanej kartce o wymiarach dwadzieścia jeden centymetrów na piętnaście. Drukowanymi literami. Długopisem. W jednej linii. Bez podpisu. Nie było to tradycyjne pełne żalu czy gniewu pożegnanie, ale jasny zwięzły komunikat: *Chcę z tym skończyć*. Pod wieloma względami śledztwa w sprawie samobójstw bywają trudniejsze niż te dotyczące zabójstw. W przypadku morderstwa zawsze można znaleźć winnego. Są tropy czy poszlaki prowadzące do sprawcy, ustalony wzorzec postępowania i wyraźny układ przyczyn, który można przedstawić, żeby wyjaśnić rodzinie ofiary, dlaczego ich bliski zginął. A jeśli nawet nie dlaczego, to przynajmniej kim jest drań, który zniszczył im życie.

W przypadku czynów samobójczych natomiast to ofiara jest sprawcą. Osoba, na której spoczywa wina, jest jednocześnie tą opłakiwaną. Nie żyje, zatem nie można skierować przeciwko niej oskarżeń, naturalnego gniewu, który wywołuje każda śmierć. Samobójca zostawia pustkę, której żaden ból czy smutek w świecie nie są w stanie wypełnić. Rodzice, rodzeństwo, przyjaciele, krewni i inni bliscy – żadne z nich nie ma kogo ukarać za swoje cierpienie.

A ludzie zawsze chcą kogoś ukarać, kiedy ktoś niespodziewanie

odchodzi.

Dlatego właśnie zadaniem śledczego jest zagwarantowanie, by każdy centymetr miejsca zdarzenia został szczegółowo zbadany i opisany. Każdy niedopałek papierosa, każdy walający się papierek czy śmieć musi zostać zabezpieczony, skatalogowany, zdaktyloskopowany i odesłany do laboratorium w celu analizy. W protokole oględzin miejsca zdarzenia odnotowuje się pogodę. Personalalia wszystkich osób obecnych w trakcie zabezpieczania miejsca zdarzenia – policjantów i personelu służb ratunkowych – wciągane są w rejestr. Jeśli pojawiają się gapie, robi się zdjęcia tłumy. Sprawdza się numery rejestracyjne stojących samochodów. W końcu prześwietla się życie samobójcy równie dokładnie jak ofiary zabójstwa: Kim byli jego przyjaciele? Kochankowie? Czy ofiara pozostawała w związku małżeńskim? Miała chłopaka? Dziewczyne? Zawistnych współpracowników albo źle życzących sąsiadów?

Lena na razie dysponowała tylko tym, co jak dotąd znaleźli: parą damskich tenisówek, rozmiar trzydzieści dziewięć i pół. W lewym bucie znajdował się tandetny pierścionek z dwunastokaratowego złota z pozbawionym połysku rubinem. W prawym bucie spoczywał biały zegarek marki Swiss Army z cyferkami ze sztucznych brylantów, a pod nim list.

*Chcę z tym skończyć.*

Słaba pociecha dla bliskich.

Rozległ się plusk wody, kiedy jeden z nurków wynurzył się na powierzchnię. Zaraz za nim pojawił się drugi. Obaj z trudem brnęli przez szlam zalegający na dnie, wyciągając ciało z zimnej wody na zimny deszcz. Denatka była drobnej budowy i widoczny wysiłek, jaki obaj wkładali w jej niesienie, wydawał się przesadny, ale wkrótce Lena zrozumiała przyczynę trudności. Talię dziewczyny opasywał gruby, z wyglądu przemysłowy łańcuch z jaskrawożółtą kłódką zwisającą nisko niczym sprzączka od paska. Do łańcucha przyłączone były dwa pustaki.

Czasami w tej robocie zdarzają się małe cuda. Samobójczyni najwyraźniej chciała mieć pewność, że nie będzie mogła się



wycofać. Gdyby nie obciążenie z cegieł, prąd prawdopodobnie zniósłby zwłoki na środek jeziora, gdzie mogliby szukać ich do sądnego dnia.

Jezioro Grant, sztuczny akwen o powierzchni około tysiąca trzystu hektarów, miejscami miało głębokość ponad dziewięćdziesięciu metrów. Pod jego powierzchnią znajdowały się porzucone domy, domki i chałupy, w których kiedyś, zanim terenów nie zamieniono w zbiornik retencyjny, mieszkali ludzie. Były tam sklepy, kościoły i przędzalnia bawełny, która przetrwała wojnę secesyjną, by paść w czasie Wielkiego Kryzysu. Wszystko to zostało zmiecione z powierzchni ziemi, zalane przez wody rzeki Ochawahee, żeby okręg Grant miał pewne źródło energii.

Lasy Państwowe posiadały najlepszą część okolicznych terenów: ponad czterysta hektarów, które otulały wody niczym golf szyję. Jedna część przylegała do elitarnego osiedla mieszkaniowego dla bardziej zamożnych, a druga graniczyła z zabudowaniami miejscowej politechniki, niewielkiej, ale świetnie prosperującej uczelni stanowej z liczbą studentów sięgającą prawie pięciu tysięcy.

Sześćdziesiąt procent studwudziestoośmiokilometrowej linii brzegowej należało do Nadleśnictwa Stanowego. Zdecydowanie najpopularniejszą jej częścią było miejsce zwane przez miejscowych Cyplem Kochanków. Chętni mogli tam biwakować. Młodzież lubiła urządzać imprezy, często zostawiając po sobie puste butelki i zużyte prezerwatywy. Od czasu do czasu pojawiała się zgłoszenie o ognisku, które wymknęło się spod kontroli, a raz nawet wszczęto alarm z powodu wściekłego niedźwiedzia, który koniec końców okazał się sędziwym labradorem czekoladowym, który oddalił się od obozowiska swoich właścicieli.

Bywało, że znajdowano tu i zwłoki. Kiedyś na Cyplu została żywcem pogrzebana dziewczyna. Kilku nastolatków utopiło się w czasie wygłupów. Zeszłego lata dziecko skręciło kark, nurkując w płytkich wodach zatoczki.

Dwaj nurkowie przystanęli, czekając, aż z ciała ścieknie woda, i w końcu wyciągnęli je na brzeg. Cegły zostawiły głębokie bruzdy na piaszczystym podłożu. Była szósta trzydzieści rano i wydawało się,

że księżyc mruga do słońca, zaczynając powolną wędrówkę za horyzont. Otworzyły się drzwi karetki. Ratownicy, przeklinając zimno, wyciągnęli nosze. Jeden z nich dźwigał na ramieniu nożyce do metalu. Walnął dłonią w maskę furgonetki koronera i Dan Brock zerwał się przestraszony, komicznie wymachując w powietrzu rękoma. Spiorunował ratownika wzrokiem, ale nie ruszył się z miejsca. Lena nie dziwiła się, że nie wrywa się na deszcz. Zwłoki i tak miały jechać prosto do kostnicy. Nie było pośpiechu.

Podeszła do ciała, ostrożnie chowając torebkę z listem do kieszeni kurtki. Wyjęła długopis i notatnik w spiralnej oprawie. Przytrzymując parasol między szyją a ramieniem, zapisała czas, datę, pogodę, liczbę ratowników, nurków, samochodów i policjantów, dane topograficzne terenu, odnotowała też brak gapiów – wszystkie szczegóły, które musiały znaleźć się w protokole.

Denatka była mniej więcej wzrostu Leny, miała jakiś metr sześćdziesiąt trzy, ale znacznie drobniejszą budowę i delikatne nadgarstki szczuplutkie jak u ptaszka. Paznokcie były nierówne, obgryzione do żywej skóry. Wyglądała na dwadzieścia lat. Otwarte oczy były mętne, nieprzejrzyste jak bawełna. Na przymkniętych wargach widniały wyraźne ranki, jakby dziewczyna nawykowo je przygryzała. A może po prostu jakaś ryba zrobiła się głodna.

Nurkowie dźwignęli ciało na nosze. Od stóp do głowy pokrywał je jeziorny szlam. Woda ściekała z ubrania – niebieskich džinsów, czarnego polaru, białych skarpet, rozpiętej ciemnogramatowej ocieplanej kurtki z logo Nike na przedzie. Nosze ruszyły i głowa dziewczyny drgnęła.

Lena przestała pisać.

– Moment – zawołała, wiedząc, że coś jest nie tak.

Schowała notatnik do kieszeni i zbliżyła się do ciała. Przed chwilą coś błysnęło srebrzyście na karku ofiary – może łańcuszek. Wodorosty spowijały szyję i ramiona niczym całun. Lena czubkiem długopisu odsunęła śliskie zielone wąsy. Coś wybrzuszało skórę, marszcząc jej powierzchnię, tak jak wiatr marszczy toń jeziora.

Nurkowie też zauważyli falowanie. Wszyscy pochylili głowy, żeby się przyjrzeć. Skóra ruszała się jak na scenie z jakiegoś horroru.

Jeden z nich spytał:

– Co, u dia...

– Chryste!

Lena gwałtownie odskoczyła, kiedy mała ukleja wyślizgnęła się ze szczeliny na karku dziewczyny.

Nurkowie zarechotali, tak jak rechoczą mężczyźni, kiedy nie chcą przyznać, że właśnie powalali sobie gacie. Lena przyłożyła rękę do piersi, licząc, że nikt nie zauważy, że jej serce praktycznie eksplodowało. Wzięła głęboki wdech. Ryba dziko rzucała się w błocie. Jeden z mężczyzn podniósł ją i cisnął z powrotem do jeziora. Szef ekipy nurków uraczył ich nieuchronnym komentarzem:

– A mówią, że albo rybka, albo pipka.

Lena spiorunowała go wzrokiem, zanim pochyliła się nad ciałem. Rana, z której wydostała się ryba, znajdowała się na karku, na prawo od kręgosłupa. Miała góra dwa i pół centymetra. Brzegi, teraz pomarszczone od wody, początkowo były równe i precyzyjne – takie jakie powstają na skutek dźgnięcia bardzo ostrym nożem.

– Niech ktoś obudzi Brocka – powiedziała.

To już nie było śledztwo w sprawie samobójstwa.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Frank Wallace wprawdzie nigdy nie palił w swoim służbowym lincolnie, ale obite materiałem siedzenia wchłonęły smród nikotyny, który ulatniał się z każdego pora jego ciała. Przypominał Lenie Pig Pena z Fistaszków. Bez względu na to, jak często się mył czy zmieniał ubrania, papierosowy odór ciągnął się za nim zawsze i wszędzie niczym tuman kurzu.

– Co się dzieje? – zapytał, nie dając jej nawet czasu na zamknięcie drzwi.

Lena rzuciła mokrą parkę na podłogę samochodu. Pod nią miała marynarkę i jeszcze dwie koszule dla ochrony przed chłodem. Mimo to, choć ogrzewanie pracowało na cały regulator, zaczęła dzwonić zębami. Zupełnie jakby jej ciało magazynowało zimno, gdy stała na zewnątrz, żeby uwolnić je teraz, gdy znalazła się w ciepłym schronieniu.

Przyłożyła dłonie do kratki nawiewu.

– Boże, ależ ziąb.

– Co się dzieje? – powtórzył Frank. Zaczął ostentacyjnie ściągać czarną skórzaną rękawiczkę, żeby zerknąć na zegarek.

Lena mimowolnie zadrżała. Nie potrafiła ukryć podniecenia w głosie. Żaden gliniarz nie powiedziałby tego nigdy niegliniarzowi, ale zabójstwa stanowiły sól tej roboty. Lena była tak napompowana adrenaliną, że aż się dziwiła, że w ogóle zimno daje jej się we znaki. Szczękając zębami, wyjaśniła:

– To nie jest samobójstwo.

Frank wydawał się jeszcze bardziej podirytowany.

– Brock się z tobą zgadza?

Czekając na przecięcie łańcuchów, koroner znowu uciął sobie komarka w furgonetce, o czym oboje wiedzieli, ponieważ nawet stąd widać było jego tylne trzonowce.

– Brock tyle wie, co zje – odpaliła. Potarła ramiona, żeby choć trochę się rozgrzać.

Frank wyjął piersiówkę i jej podał. Wzięła szybki łyk i poczuła, jak whisky pali jej gardło i spływa do żołądka. Frank też potężnie sobie chlapnął, zanim schował butelkę do kieszeni płaszcza.

– Na karku ma ranę od noża – powiedziała.

– Brock?

Posłała mu miażdżące spojrzenie.

– Denatka. – Pochyliła się i odszukała w parce portfel, który znalazła w kurtce ofiary.

– Może własnoręcznie zadaną.

– Niewykonalne. – Dotknęła dłonią karku. – Ostrze przeszło gdzieś tutaj. Zabójca stał z tyłu. Prawdopodobnie działał z zaskoczenia.

– Wyczytałaś to w którymś ze swoich podręczników? – sarknął Frank.

Lena ugryzła się w język, do robienia czego raczej nie nawykła. Frank od czterech lat był p.o. komendanta okręgowego. Wszystko, co się wydarzyło na terenie trzech miasteczek wchodzących w skład okręgu Grant, należało do jego kompetencji. Madison i Avondale borykały się tradycyjnie z narkotykami i przemocą domową, ale Heartsdale było jakoby bezpiecznym miejscem. Mieściła się tu uczelnia, a zamożni mieszkańcy, żywo reagujący na każdy przejaw przestępczości, podnosili rwetes z błahszych powodów niż morderstwo.

Tak czy siak, wszystkie większe problemy sprawiały, że Frank zamieniał się w dupka. Po prawdzie życie jako takie też to sprawiało. Wystygnięta kawa. Silnik niezapalający przy pierwszej próbie. Wyschnięty atrament w długopisie. Nie zawsze tak było. Wprawdzie odkąd Lena go знаła, zawsze dosyć łatwo się denerwował, ale ostatnio chodził ciągle podminowany, jakby non stop się w środku gotował. Byle co mogło go sprowokować. A wtedy



w mgnieniu oka zmieniał się z umiarkowanie nieprzyjemnego w z gruntu wrednego.

W tej konkretnej sprawie jednak jego frustrację łatwo było zrozumieć. Po trzydziestu pięciu latach spędzonych w policji śledztwo w sprawie zabójstwa było mu potrzebne jak dziura w moście. Lena wiedziała, że Frank ma już powyżej uszu tej roboty, powyżej uszu ludzi, na kontakty z którymi go narażała. W ciągu sześciu ostatnich lat stracił dwóch najbliższych przyjaciół. Wolałby teraz siedzieć nad jeziorem na słonecznej Florydzie, a nie w tej tonącej w deszczu dziurze. Chciał trzymać w rękach wędkę i butelkę piwa, a nie portfel martwego dzieciaka.

– Wygląda na podróbkę – stwierdził, otwierając go.

Lena się zgodziła. Skóra za bardzo się świeciła. Logo Prady było z plastiku.

– Allison Judith Spooner – powiedziała Lena, widząc, jak usiłuje oddzielić części koszulki na zdjęcie. – Dwadzieścia jeden lat. Prawo jazdy wydane w Elbie, stan Alabama. Z tyłu jest legitymacja studencka.

– Z uczelni – wyszeptał Frank z czymś na kształt rozpacz.

Już sam fakt, że ofiarę znaleziono na terenach będących własnością władz stanowych albo w ich pobliżu, wystarczająco komplikował sprawę. To, że pochodziła z innego stanu i uczęszczała do miejscowej polibudy, dziesięciokrotnie zwielokrotniało polityczne implikacje.

– Gdzie znalazłaś ten portfel? – spytał.

– W kieszeni kurtki. Chyba nie miała torebki. A może sprawca chciał, żebyśmy znali jej tożsamość.

Gapił się na zdjęcie z prawa jazdy.

– O co chodzi?

– Wygląda jak ta kelnereczka z bistro.

Bistro Grant znajdowało się po drugiej stronie Main Street naprzeciwko komendy. Większość policjantów jadła w nim lunch. Lena tam nie zaglądała. Zwykle przynosiła sobie posiłek w papierowej torbie, a najczęściej w ogóle nie jadła.

– Znałeś ją? – spytała.

Pokręcił głową i wzruszył ramionami jednocześnie.

– Ładniutka.

Miał rację. Niewiele osób może się pochwalić korzystnym zdjęciem na prawie jazdy, ale Allison Spooner należała do szczęśliwych wyjątków. Szeroki uśmiech ukazywał białe zęby. Włosy, ściągnięte do tyłu, odsłaniały wysokie kości policzkowe. W oczach malowała się wesołość, jakby ktoś właśnie opowiedział jej dowcip. Wszystko to pozostawało w ostrym kontraście z ciałem, które wyciągnęli z jeziora. Śmierć odarła je ze wszystkich śladów witalności.

– Nie wiedziałem, że była studentką – powiedział Frank.

– Oni zwykle nie pracują w miasteczku – przyznała Lena.

Słuchacze politechniki dorabiali sobie w kampusie albo nie pracowali w ogóle. Nie zadawali się z miejscowymi, a miejscowi robili wszystko, by nie zadawać się z nimi.

– Na uczelni nie ma zajęć w tym tygodniu w związku ze Świętem Dziękczynienia – zauważył Frank. – Dlaczego nie pojechała do domu, do rodziny?

Lena nie miała pojęcia.

– W portfelu jest czterdzieści dolców, więc to nie był napad rabunkowy.

Frank i tak zajrzał do przegródki na pieniądze, grubymi paluchami w rękawiczce przerzucił banknoty: dwudziestkę i dwie dziesiątki zlepione wodą z jeziora.

– Może czuła się samotna. Postanowiła wziąć nóż i skończyć ze sobą.

– Musiałyby być z gumy – upierała się Lena. – Przekonasz się, kiedy Brock położy ją na stół. Została pchnięta od tyłu.

Westchnął znużony.

– A co z tym łańcuchem i pustakami?

– Możemy sprawdzić sklep z artykułami żelaznymi Manna. Może sprawca tam się zaopatrzył.

– Jesteś pewna co do tej rany kłutej? – spróbował jeszcze raz Frank.

Skinęła głową.

Dalej wpatrywał się w zdjęcie z prawa jazdy.

– Miała samochód?

– Nawet jeśli, to nie stoi nigdzie w pobliżu. Zatem jeśli nie przytargała – upierała się przy swoim Lena – łańcucha i dwóch dziewięciokilogramowych pustaków przez las...

Frank wreszcie zamknął portfel i oddał go jej.

– Czemu z każdym poniedziałkiem robi się tu coraz większy syf z gilem?

Lena nie potrafiła mu odpowiedzieć. Zeszły tydzień zresztą wcale nie był lepszy. Powódź porwała młodą matkę z córeczką. Miasteczko jeszcze nie pozbierało się po tej tragedii. Nie sposób było przewidzieć, jak zareaguje na wieść o zabójstwie ładnej, młodej studentki.

– Brad usiłuje namierzyć kogoś z uczelni, żeby dostał się do dziekanatu i podał nam tutejszy adres zameldowania Spooner.

Brad Stephens w końcu awansował z krawężnika i dochrapał się stopnia detektywa, ale jego praca na nowym stanowisku niewiele odbiegała od poprzedniej. Nadal biegał na posyłki. Zaproponowała:

– Kiedy już się uporamy z miejscem zdarzenia, zajmę się powiadomieniem bliskich.

– Alabama ma czas środkowy. – Frank popatrzył na zegarek. – Chyba lepiej będzie zadzwonić bezpośrednio do rodziców, niż zrywać na nogi policję z Elby tak wcześnie rano.

Lena też sprawdziła godzinę. Dochodziła siódma rano, co oznaczało, że w Alabamie nie ma jeszcze szóstej. Jeśli Elba choć trochę przypominała okrąg Grant, detektywi byli pod telefonem w nocy, ale na posterunku pojawiali się najwcześniej o ósmej. Normalnie o tej porze sama dopiero by wstawała i walczyła z ekspresem do kawy.

– Wykonam grzecznościowy telefon, kiedy wrócimy do komendy.

W samochodzie zaległa cisza zakłócana tylko szumem deszczu podzwaniającego o metal. Niebo rozświetliła błyskawica, cienka i złowieszcza. Lena wzdrygnęła się odruchowo, ale Frank nawet nie mrugnął ze wzrokiem wbitym przed siebie w jezioro. Na nurkach wyładowanie też nie zrobiło wrażenia. Zmieniali się kolejno przy

nożycach do prętów, usiłując uwolnić ciało z dwóch pustaków.

Rozległ się dzwonek komórki Franka: wysoki, świergotliwy dźwięk, który nasuwał na myśl trzask ptaka w lesie deszczowym. Odebrał szorstkim: „Co tam?” Słuchał przez kilka sekund, potem spytał:

– A co z rodzicami? – Wymamrotał pod nosem kilka przekleństw.  
– No to wracaj do środka i się dowiedz. – Zamknął komórkę. –  
Matoł.

Lena się domyśliła, że Brad zapomniał ustalić namiary na rodziców.

– Gdzie mieszkała Spooner?

– Na Taylor Drive. Numer szesnaście i pół. Brad się z nami tam spotka, jeśli tylko uda mu się jakoś ogarnąć downa. – Wrzucił bieg i położył ramię na oparciu siedzenia Leny, gdy cofał auto.

Las był gęsty i mokry. Lena oparła dłoń na desce rozdzielczej, kiedy wolno jechali w kierunku szosy.

– Szesnaście i pół musi oznaczać lokum garażowe – zauważyła.

Mnóstwo miejscowych poprzeraśniało garaże albo puste szopy narzędziowe na coś na kształt mieszkań, by wynajmować je studentom za astronomiczne kwoty. Wielu młodych ludzi za wszelką cenę chciało mieszkać poza kampusem i nie zadawało za dużo pytań.

– Właścicielem jest Gordon Braham – powiedział Frank.

– Brad to ustalił?

Samochód podskoczył na wertepie i Frank zacisnął zęby.

– Matka mu powiedziała.

– No. – Lena szukała w myślach jakiegoś pozytywnego komentarza. – Wykazał się inicjatywą, ustalając, do kogo należy dom i garaż.

– Inicjatywą – szydził Frank. – Dzieciak dorobi się kiedyś kulki w łeb.

Lena знаła Brada od ponad dziesięciu lat. Frank znał go nawet dłużej. W oczach obojga nadal pozostał nierozgarniętym młodzieńcem, nastolatkiem, który wyglądał nie na miejscu z kaburą na broń zawieszoną wysoko na pasie. Odbębnił wprawdzie

wymagany staż w mundurze i zdał stosowne egzaminy, żeby dostać swoją złotą odznakę detektywa, ale Lena za długo siedziała w tej robocie, by nie wiedzieć, że istnieje różnica między awansem na papierze a tym rzeczywistym. Miała tylko nadzieję, że w tak małym mieście jak Heartsdale brak ulicznego sprytu nie będzie mieć znaczenia. Brad świetnie radził sobie z pisaniem raportów i protokołów oględzin oraz rozmawianiem ze świadkami, ale nawet po dziesięciu latach spędzonych za kółkiem radiowozu nadal widział w ludziach raczej dobro niż zło.

Lena już po tygodniu służby zrozumiała, że dobrzy ludzie nie istnieją.

Wliczając w to i ją samą.

Nie chciała jednak marnować teraz czasu na zamartwianie się Bradem. Kiedy jechali przez las, przerzuciła fotografie w portfelu zmarłej. Było tam zdjęcie pomarańczowego pręgowanego kota wygrzewającego się w promieniach słońca i niepozowana fotka Allison w towarzystwie jakiejś starszej kobiety, zapewne matki. Na trzeciej fotografii dziewczyna siedziała na parkowej ławce. Po jej prawej stronie przycupnął chłopak, z wyglądu kilka lat od niej młodszy. Miał nisko naciągniętą na czoło bejsbolówkę i ręce schowane w kieszeniach workowatych spodni. Miejsce po lewej stronie zajmowała starsza kobieta z blond włosami jak strąki i grubą tapetą na twarzy. Miała obcisłe dzinsy i twarde spojrzenie. Mogła mieć trzydzieści lat, mogła mieć trzysta. Cała trójka siedziała blisko siebie, chłopak obejmował Allison ramieniem.

Lena pokazała zdjęcie Frankowi.

– Rodzina? – spytał.

Studiowała bacznie fotkę, koncentrując się na tle.

– Zdaje się, że zostało zrobione na terenie kampusu. Widzisz ten biały budynek w tyle? To chyba klub studencki.

– Ta cizia nie wygląda mi na studentkę.

Miał na myśli starszą blondynkę.

– Wygląda na miejscową. – W twarzy nieznajomej było coś z taniej, tlenionej blachary z miasta, co aż biło po oczach. Pomijając portfel ze skaju, Allison Spooner sprawiała wrażenie osoby stojącej

kilka szczebli wyżej na drabinie społecznej. Wydawało się nieprawdopodobne, by się przyjaźniły. – Może Spooner miała problem z narkotykami? – zgadywała Lena. Nic nie przekracza podziałów klasowych tak skutecznie jak amfetamina.

Dotarli w końcu do głównej drogi. Tylne koła po raz ostatni zakreśliły się w błocie, kiedy Frank wjechał na asfalt.

– Kto to zgłosił?

Lena pokręciła głową.

– Zadzwoniono na 911 z komórki z wyłączoną identyfikacją numeru. Kobieta, sądząc po głosie, ale nie zostawiła danych.

– Co powiedziała?

Lena przekartkowała ostrożnie notatnik, żeby nie podrzeć zawilgoconych kartek. Znalazła transkrypcję zgłoszenia i odczytała:

– Głos kobiety: Moja przyjaciółka zaginęła dziś po południu. Myślę, że się zabiła. Dyspozytor: Skąd te podejrzenia? Głos kobiety: Wczoraj wieczorem pokłóciła się z chłopakiem. Powiedziała, że utopi się przy Cyplu Kochanków. Dyspozytor usiłował zatrzymać ją jeszcze na linii, ale się rozłączyła.

Frank milczał. Widziała, jak pracuje mu grdyka. Ramiona miał pochylone tak nisko, że wyglądał jak jakiś młodociany gangsta za kierownicą. Odkąd Lena wsiadła do samochodu, nie chciał dopuścić do siebie myśli, że mają do czynienia z zabójstwem.

– No i co myślisz? – spytała.

– Przy Cyplu Kochanków – powtórzył. – Tylko miejscowy znałby tę nazwę.

Lena przyłożyła notatnik do kratek nawiewu, próbując wysuszyć kartki.

– Chłopak to pewnie ten dzieciak ze zdjęcia.

Frank nie podjął wątku.

– Czyli po tym zgłoszeniu na 911 Brad pojechał nad jezioro i co znalazł?

– List był w jednym z butów. Oprócz tego znaleźliśmy jeszcze pierścionek i zegarek Allison. – Ponownie schyliła się po plastikową torbę na dowody zagrzebaną głęboko w kieszeniach parki.

Przerzuciła rzeczy osobiste ofiary, znalazła list i pokazała go



Frankowi. – Chcę z tym skończyć.

Wpatrywał się w świstek papieru tak długo, że zaczęła się niepokoić, bo nie patrzył na drogę.

– Frank?

Jedno z kół otarło się o krawędź jezdni. Odbił ostro kierownicą. Lena przytrzymała się deski rozdzielczej. Miała dość oleju w głowie, by nie komentować stylu jego jazdy. Nie należał do mężczyzn, którzy lubią być pouczani. Zwłaszcza przez kobiety. Zwłaszcza przez Lenę.

– Dziwny list jak na samobójstwo. Nawet pozorowane.

– Krótki i do rzeczy. – Trzymał kierownicę jedną dłonią, drugą grzebiąc w kieszeni płaszcza. Wsunął okulary na nos i jeszcze raz popatrzył na rozmazany atrament. – Nie podpisała go.

Lena zerknęła na drogę. Znowu jechał po białej linii.

– Nie.

Przeniósł wzrok na jezdnię i skierował samochód z powrotem na środek pasa.

– Wygląda ci to na kobiece pismo?

Lena nie zastanawiała się nad tym wcześniej. Przez chwilę przyglądała się zdaniu skreślonemu szerokim, okrągłym duktem.

– Wygląda schludnie, ale nie potrafiłabym orzec, czy wyszło spod ręki mężczyzny czy kobiety. Możemy oddać list do grafologa. Allison była studentką, więc gdzieś muszą być jej notatki z wykładów, prace pisemne, kolokwia. Na pewno znajdziemy jakiś materiał porównawczy.

Frank nie odniósł się do żadnej z tych sugestii. Powiedział tylko:

– Pamiętam, jak moja córka była w jej wieku. – Odchrząknął kilka razy. – Zamiast kropek nad „i” rysowała kółka. Ciekaw jestem, czy dalej tak robi.

Lena milczała. Pracowała z Frankiem przez cały okres swojej służby w policji, jednak niewiele wiedziała o jego życiu osobistym ponad to, co wiedzieli wszyscy. Miał dwójkę dzieci z pierwszego małżeństwa, ale przyszły na świat dobrych kilka żon temu i dawno wyprowadziły się z miasteczka. Wyglądało na to, że nie utrzymuje z nimi kontaktu. Nigdy nie poruszał tematu rodziny, a teraz akurat



Lena była zbyt zziębnięta i podminowana, by mieć ochotę na wysłuchiwanie zwierzeń.

Sprowadziła rozmowę z powrotem na śledztwo.

– Czyli ktoś dźgnął Allison nożem, opasał obciążonym pustakami łańcuchem, wrzucił do jeziora, a potem postanowił upozorować samobójstwo. – Pokręciła z niedowierzaniem głową nad głupotą sprawcy. – Kolejny geniusz zbrodni.

Frank prychnął na znak zgody. Widziała, że myśli o czymś innym. Zdjął okulary i zapatrzył się w drogę przed sobą.

Spytała trochę wbrew sobie:

– Co się dzieje?

– Nic.

– Jak długo razem służymy, Frank?

Znowu burknął pod nosem, ale łatwo się poddał.

– Burmistrz się do mnie dobija.

Lena poczuła, jak w gardle rośnie jej gula. Clem Waters, burmistrz Heartsdale, już od jakiegoś czasu zabiegał o zamianę funkcji Franka z p.o. komendanta na coś bardziej stałego.

– Nie bardzo mam ochotę podejmować się tej roboty, ale jakoś chętni nie pchają się w kolejce.

– Nie – zgodziła się. Nikt nie bił się o to stanowisko, zwłaszcza że nie było kandydata, który mógłby równać się z człowiekiem zajmującym je wcześniej.

– Dodatki są niezłe – ciągnął Frank. – Przyzwoita odprawa. Lepsze ubezpieczenie zdrowotne, emerytura.

Udało jej się przełknąć ślinę.

– To dobrze, Frank. Jeffrey chciałby, żebyś się zgodził.

– Chciałby, żebym przeszedł na emeryturę, zanim dostanę zawału, ścigając jakiegoś ćpuna po kampusie. – Wyciągnął piersiówkę i zaproponował Lenie. Pokręciła głową, ale patrzyła, jak sam przechyla głowę i bierze długi łyk, jednym okiem obserwując drogę. Skupiła wzrok na jego dłoni. Trzęsła się. Ostatnio ręce często mu się trzęsły, zwłaszcza z rana.

Nagle, zupełnie bez ostrzeżenia, miarowy plusk deszczu przeszedł w gwałtowny stukot, który rozchodził się echem po

wnętrzu. Przytknęła język do podniebienia. Powinna teraz powiedzieć Frankowi, że chce zrezygnować, że w Macon czeka na nią praca, jeśli tylko zdobędzie się na ten krok. Przeprowadziła się do okręgu Grant, żeby być blisko siostry, ale ta umarła niemal dziesięć lat temu. Wujek, jedyny żyjący jeszcze krewny, grzał emeryckie kości na północno-zachodniej Florydzie. Najlepsza przyjaciółka dostała pracę w bibliotece i przeniósł się na północ. Chłopak mieszkał dwie godziny drogi stąd. Nic już tu Leny nie trzymało oprócz siły bezwładu i poczucia lojalności wobec człowieka, który nie żył od czterech lat i prawdopodobnie nigdy nie uważał jej za dobrą policjantkę.

Przytrzymując kierownicę kolanami, zakręcił butelkę z whisky.

– Nie przyjmę tej propozycji, jeśli uważasz, że to nie w porządku.

Odwróciła głowę zaskoczona.

– Frank...

– Mówię serio – przerwał jej. – Jeśli masz coś przeciwko, powiem burmistrzowi, żeby wsadził ją sobie w tyłek. – Zachichotał cierpko, aż zarzęziła mu flegma w płucach. – Mogę nawet zabrać cię ze sobą, żebyś zobaczyła minę tego kutasiny.

Zmusiła się, żeby go zapewnić:

– Powinieneś wziąć tę posadę.

– Nie wiem, Lee. Tak się cholernie postarzałem. Dzieci dorosły. Żony poszły swoją drogą. Przez większość dni zachodzę w głowę, jaki jest sens w ogóle zwlekać się jeszcze z wyrka. – Ponownie zaśmiał się ochryple. – Możesz znaleźć mnie któregoś dnia w jeziorze z zegarkiem w bucie. Tyle że bez pozorowania.

Nie chciała słyszeć nuty zmęczenia w jego głosie. Ciągnął ten wózek o dwadzieścia lat dłużej niż Lena, ale jego ton podszyty był takim samym znużeniem jak jej. To dlatego każdą wolną chwilę poświęcała zajęciom na uczelni, starając się zdobyć licencjat z kryminalistyki, żeby móc pracować jako technik w laboratorium, a nie detektyw w organach ścigania.

Wczesnoporanne wyrywające ze snu telefony nie były problemem. Radziła też sobie jakoś z trupami, jatkami i przygnębieniem, którym obecność śmierci zaprawiała każdą chwilę

życia. Nie była natomiast w stanie dłużej służyć na pierwszej linii. Za duża odpowiedzialność. Za duże ryzyko. Jeden błąd Leny mógł kosztować życie – nie jej, ale drugiej osoby. Tak łatwo było przyczynić się do śmierci czyjegoś syna. Męża. Przyjaciela. Człowiek bardzo szybko się orientował, że groźba, iż ktoś zginie pod jego pieczęcią, jest znacznie gorsza niż widmo własnej śmierci.

– Słuchaj – zaczął Frank – muszę ci coś powiedzieć.

Lena zerknęła na niego, zdziwiona tą nagłą otwartością. Jeszcze bardziej pochylił ramiona, zacisnął dłonie na kierownicy.

Pospiesznie przejrzała w myślach katalog swoich ewentualnych grzechów, ale to, co powiedział, zaparło jej dech w piersiach.

– Sara Linton jest w mieście.

Do gardła napłynęła jej żółć zmieszana z whisky i przez jedną pełną paniki chwilę myślała, że wymiotuje. Nie była w stanie spojrzeć Sarze w oczy. Zmierzyć się z jej oskarżeniami. Swoim poczuciem winy. Paraliżowała ją nawet myśl o przejechaniu ulicą, przy której lekarka kiedyś mieszkała. Zawsze nadkładała drogi, jadąc do pracy, żeby ominąć dom Sary, ominąć cierpienie, które odzywało się na nowo, gdy tylko myślała o tym miejscu.

Frank ciągnął cicho:

– Słyszałem plotki na mieście, więc zadzwoniłem do jej ojca.

Powiedział, że przyjeżdża dzisiaj na święta. – Odchrząknął. – Nie mówiłbym ci, ale zwiększyłem liczbę patroli przed jej domem. Zobaczyłabyś w harmonogramie i dziwiłabyś się, a tak już wiesz.

Lena próbowała przełknąć kwaśny smak w ustach. Miała wrażenie, że połyka szkło.

– W porządku – wydusiła. – Dzięki.

Skreślił ostro w Taylor Drive, przejeżdżając na stopie. Chwyliła się drzwiami, żeby się przytrzymać, ale reakcja była czysto odruchowa. Myśli zaprzętała jej kwestia, jak by tu poprosić Franka o wolne w samym środku śledztwa. Wzięłaby tydzień zwolnienia i pojechała do Macon, może obejrzała kilka mieszkań, dopóki święta się nie skończą i Sara nie wróci do Atlanty, gdzie jest jej miejsce.

– Popatrz tylko na tego kretyna – wymamrotał Frank, zwalniając.

Brad Stephens stał przed zaparkowanym wozem patrolowym. Miał na sobie jasnobrązowy garnitur odprasowany co do centymetra. Koszula była po oczach bielą odcinającą się od niebieskiego krawata w paski, który mama prawdopodobnie naszykowała mu, razem z resztą garderoby, do włożenia dziś rano. Franka ewidentnie najbardziej poruszyła parasolka, którą Brad trzymał w dłoni: jaskraworóżowa z wyszywanym żółtym logo Mary Kay.

– Opuść mu – spróbowała Lena, ale Frank już wysiadał z auta. Stoczył krótką walkę z własnym parasolem – dużym i czarnym, który dostał od Brocka w zakładzie pogrzebowym – i wściekły podszedł do Brada. Lena czekała w samochodzie, obserwując, jak gromi młodego detektywa. Wiedziała, jak się czuje adresat tyrad Franka. Wallace był jej instruktorem, kiedy zaczynała patrole, i partnerem, gdy została detektywem. Gdyby nie on, rzuciłaby w cholerę tę robotę już po pierwszym tygodniu. Uważał, że policja to nie jest miejsce dla kobiet, co natchnęło ją dziką determinacją, żeby udowodnić mu, że się myli.

A Jeffrey ją chronił. Lena uświadomiła sobie już jakiś czas temu, że ludzie często zachowują się jak lustro w stosunku do bliskich osób. Kiedy Tolliver był szefem, robili wszystko jak należy – a przynajmniej na tyle, na ile było to możliwe. Jeffrey był porządnym gliną i cieszył się zaufaniem mieszkańców, ponieważ nie dawał sobie dmuchać w kaszę i zawsze postępował przyzwoicie. Właśnie dlatego burmistrz go zatrudnił. Clem chciał zerwać ze starymi nawykami i sposobem myślenia, wprowadzić okręg w dwudziesty pierwszy wiek. Ben Carver, odchodzący komendant, był zepsuty jak jego zęby i sprzedajny jak jarmarczna dziewczka. Frank, jego prawa ręka, niewiele się od niego różnił. Pod rządami Jeffreya zmienił zwyczaje. Wszyscy zmienili. Przynajmniej dopóki Jeffrey żył.

Już w pierwszym tygodniu po przejęciu kierownictwa przez Franka sprawy zaczęły się psuć. Z początku powoli i niezauważalnie. A to w tajemniczy sposób zaginął wynik badania alkometem, co oczyściło jednego z kumpli Franka od zarzutu jazdy

pod wpływem alkoholu. A to jakiś niezwykle ostrożny diler trawki z uczelni został nagle złapany z dużym zapasem towaru w bagażniku. Wyparowały mandaty. Z sejfu na dowody znikła gotówka. Pojawiły się dęte przetargi i zamówienia. Umowę na serwis techniczny radiowozów podpisano z warsztatem, którego Frank był współwłaścicielem.

Jak w przypadku pękającej tamy, te małe szczeliny szybko doprowadziły do większych wyłomów, aż w końcu ostatecznie hamulce puściły i wszyscy policjanci robili coś, czego nie powinni. Co było jednym z najważniejszych powodów, dla których Lena chciała się stąd wymiksować. W Macon nie szło się na łatwiznę. Było większe niż trzy miasta okręgu Grant razem. Liczyło około stu tysięcy mieszkańców, którzy chodzili do sądu, jeśli policja dopuściła się nieprawidłowości, i wygrywali. Statystyki zabójstw należały tam do jednych z najwyższych w stanie. Włamania, przestępstwa na tle seksualnym, zbrodnie – detektyw miał tam mnóstwo możliwości wykazania się, ale jeszcze większe pole do popisu otwierało się przed techniką kryminalistyki. Lenę dzieliły tylko dwa zaliczenia od uzyskania dyplomu. Przy zabezpieczaniu dowodów nie było dróg na skróty. Opylało się powierzchnie argenteratem w celu ujawnienia śladów daktyloskopijnych. Odkurzało dywan, żeby zebrać włókna. Wykonywało zdjęcia krwi i innych płynów. Katalogowało się dowody. A potem przekazywało się je komuś innemu. Za badanie odpowiadali technicy laboratoryjni. Za łapanie sprawców detektywi. A Lena zostanie tylko taką trochę lepszą sprzątaczką z policyjną odznaką i stanowym wiktem. Będzie mogła już do końca życia zajmować się zabezpieczaniem dowodów i jeszcze przejść na emeryturę wystarczająco wcześnie, by dorobić sobie w jakiejś agencji detektywistycznej.

Skończy jako jeden z tych głupkowatych niuchaczy, którzy zawsze wściubiają nos tam, gdzie nie trzeba.

– Adams!

Frank walnął ręką w maskę samochodu. Woda rozprysła się dokoła jak z otrząsającego się psa. Skończył objeżdżać Brada i szukał kogoś innego, na kim mógłby się wyżyć.

Podniosła mokrą parkę z podłogi, włożyła ją i zawiązała mocno kaptur, żeby włosy jej nie zmokły. We wstecznym lusterku mignęło jej własne odbicie. Włosy już pozwijały jej się w loczki. Deszcz uwypuklił irlandzko-katolickie korzenie po ojcu i wytłumił meksykański rodowód po babce.

– Adams! – wrzasnął znowu Frank.

Kiedy w końcu wygramoliła się z wozu, używał sobie znowu na Bradzie, rugając go za to, że za nisko nosi kaburę.

Lena uśmiechnęła się cierpko, usiłując milcząco wesprzeć młodszego kolegę. Wiele lat temu sama robiła za tępego policjanta. Może Jeffrey także miał ją za bezwartościowy narybek. Fakt, że próbował zrobić z niej kogoś do rzeczy, świadczył tylko o jego determinacji. Jednym z nielicznych powodów, żeby nie brać posady w Macon, który przychodził Lenie do głowy, była myśl, że mogłaby pomóc Bradowi zostać lepszym gliną. Mogłaby utrzymać go z dala od korupcji, nauczyć postępować jak należy.

Rób, jak mówię, nie jak robię.

– Jesteś pewien, że to ten? – zapytał Frank. Miał na myśli dom. Brad przełknął ślinę.

– Tak jest. Taki adres figurował w aktach na uczelni. Taylor Drive szesnaście i pół.

– Pukałeś do drzwi?

Wydawało się, że Brad nie bardzo wie, jaka odpowiedź będzie właściwa.

– Nie, sir. Kazał pan poczekać na siebie.

– Ustaliłeś numer telefonu do właściciela?

– Nie, sir. Nazywa się Braham, ale...

– Chryste – wymruczał Frank, ruszając sztywnym krokiem przez podjazd.

Lenie zrobiło się żal Brada. Chciała wyciągnąć rękę i poklepać go po ramieniu, ale przechylił swoją jaskraworóżową parasolkę nie w tę stronę i posłał jej na głowę strugę deszczu.

– Och – wyszeptał. – Kurczę, przepraszam, Lena.

Stłumiła kilka cisnących jej się na usta niecenzuralnych słów i ruszyła przodem, by dołączyć do Franka.

Przy Taylor Drive szesnaście i pół mieścił się jednopoziomowy garaż, niewiele dłuższy od minivana i dwa razy od niego szerszy. Określenie „zaadaptowany” było ciut na wyrost, bo przynajmniej z zewnątrz nie widać było śladów żadnej radykalnej ingerencji: metalowa rolowana brama pozostała na miejscu, okna zasłaniał czarny karton. Dzień był pochmurny i przez szczeliny w aluminiowym sidingu przebijało światło ze środka. Gdzieniedzie sterczały kłaczki różowej izolacji z włókna szklanego zbite przez deszcz. Całość wieńczył rdzawoczerwony blaszany dach, w tylnym rogu przykryty niebieskim brezentem.

Lena patrzyła na budynek, zastanawiając się, z jakiego powodu kobieta przy zdrowych zmysłach mogłaby się zgodzić tu mieszkać.

– Skuter – zauważył Frank. Przy garażu stała zaparkowana fioletowa vespa. Tylne koło było przymocowane łańcuchem do śruby oczkowej wystającej z betonowego podjazdu.

– Taki sam łańcuch jak na dziewczynie? – spytał.

Pod kołem błysnęło coś jaskrawożółtego.

– Kłódka wygląda na taką samą.

Przeniosła wzrok na dom, dwupoziomowy prosty budynek ze spadzistym dwuspadowym dachem. Okna były ciemne. Na ulicy ani przed domem nie było samochodu. Będą musieli skontaktować się z właścicielem, żeby uzyskać zgodę na wejście do garażu. Wyjęła komórkę. Marla Simms, sekretarka z komendy, miała już wprawdzie swoje lata, ale do spółki ze swoją najlepszą przyjaciółką Myrną stanowiła żywe dossier wszystkich mieszkańców miasteczka.

Brad przycisnął twarz do jednego z okienek w drzwiach garażu. Zmrużył oczy, próbując dostrzec coś przez rozdarcie w kartonie.

– Jezu – wyszeptał i odskoczył tak szybko, że o mały włos nie potknął się o własne nogi. Wyciągnął broń i przykucnął.

Głock Leny znalazł się w jej ręku, zanim w ogóle pomyślała. Żołądek podszedł jej do gardła, adrenalina wyostrzyła zmysły. Zerknęła szybko przez ramię, upewniając się, że Frank też wyciągnął broń. Stali tak z pistoletami wycelowanymi w zamknięte drzwi garażu.



Lena pokazała Bradowi, żeby się cofnął. Nisko pochylona podeszła do okienka. Rozdarcie w kartonie wydawało się teraz większe, bardziej jak cel, naprzeciwko którego miała stanąć. Zajrzała szybko do środka. Przy składanym stole stał mężczyzna. Na twarzy miał czarną kominiarkę. Wydawało się, że usłyszał hałas, i Lena przykucnęła z dziko bijącym sercem. Znieruchomiała, wstrzymując oddech, odliczając w myślach sekundy i nadstawiając uszy w oczekiwaniu na odgłos kroków czy ładowania broni. Nic takiego jednak nie nastąpiło, więc wolno wypuściła powietrze.

Podniosła palec, pokazując Frankowi: jeden człowiek. Wymówiła bezgłośnie słowo „kominiarka” i zobaczyła, że zrobił okrągłe oczy. Pokazał na swój pistolet i wzruszyła ramionami, kręcąc głową. Nie zdążyła zobaczyć, czy mężczyzna jest uzbrojony.

Nie czekając na rozkaz, Brad ruszył na bok budynku i obszedł tył, w poszukiwaniu innych wyjść. Lena znowu odliczała sekundy i doszła do dwudziestu sześciu, kiedy wreszcie wychynął zza przeciwnego winkla. Pokręcił głową: żadnych tylnych drzwi, żadnych okien. Pokazała mu, żeby wycofał się na podjazd i ich ubezpieczał, pozwalając jej i Frankowi to załatwić. Zaczął protestować, ale osadziła go w miejscu jednym spojrzeniem. W końcu zwiesił głowę z rezygnacją. Odczekała, aż znalazł się co najmniej pięć metrów dalej, i kiwnęła głową, sygnalizując Frankowi, że jest gotowa.

Frank podszedł do garażu, pochylił się i objął dłonią stalową rączkę u dołu bramy. Zerknął na Lenę i z całej siły szybko szarpnął wrota do góry.

Mężczyzna w środku osłupiał, dziko strzelając na boki spanikowanymi oczyma zza kominiarki. Na rękach miał czarne rękawiczki, w dłoni trzymał nóż, uniesiony jakby do ataku. Ostrze było długie i cienkie, co najmniej dwudziestocentymetrowe. Okolice rączki pokrywała skorupa, sądząc z wyglądu, zaschniętej krwi. Na betonowej posadzce pod jego stopami widniała brązowa plama.

– Rzuć to! – powiedział Frank.

Mężczyzna nie posłuchał. Lena zrobiła kilka kroków na prawo, zamykając mu możliwość ucieczki. Stał za dużym stołem

zawalonym porozrzucanymi papierami. Szerokie podwójne łóżko, odsunięte pod kątem od ściany, dzieliło razem ze stołem całe pomieszczenie na pół.

– Odłóż nóż – poleciła Lena.

Musiała się obrócić bokiem, żeby przejść obok łóżka. Na betonie pod nim widniała kolejna ciemna plama. Obok stało wiadro z brązową wodą i brudną gąbką. Trzymając broń wycelowaną w pierś intruza, ostrożnie obchodziła pudła i porozrzucane kartki.

Mężczyzna popatrywał nerwowo to na nią, to na Franka, z nożem nadal uniesionym w dłoni.

– Rzuć to – powtórzył komendant.

Mężczyzna zaczął opuszczać ręce. Lena odetchnęła z ulgą i pomyślała, że jednak pójdzie łatwo. Myliła się. Bez ostrzeżenia intruz gwałtownie pchnął stół na bok, prosto w jej nogi. Poleciała tyłem na łóżko i upadając na ziemię, walnęła głową w ramę. Rozległ się strzał. Nie podejrzewała, że z jej pistoletu, ale w lewej dłoni poczuła ciepło, niemal ogień. Ktoś krzyknął. Potem jej uszu doszedł stłumiony jęk. Z trudem zerwała się na nogi. W oczach jej się dwoiło.

Frank leżał na boku na środku garażu, pistolet na posadzce przy nim. Trzymał się dłonią za ramię. Pomyślała z początku, że ma zawał. Krew ściekająca między jego palcami wskazywała jednak, że został zraniony.

– Goń go! – wrzasnął. – Już!

– Szlag – syknęła Lena, odsuwając stół.

Było jej niedobrze, nadal widziała jak przez mgłę, ale zaraz spojrzenie jej się wyostrzyło na czarno odzianej sylwetce pędzącego podjazdem napastnika. Brad stał osłupiały z otwartymi ze zdziwienia ustami. Mężczyzna przebiegł tuż przed jego nosem.

– Łap go – wrzasnęła. – Zranił Franka!

Obrócił się i rzucił w pogoń. Lena biegła za nim, plaskając gumowymi podeszwami tenisówek o mokre podłoże: woda pryskała jej aż na twarz. Skręciła na końcu podjazdu i popędziła ulicą. Zobaczyła, że Brad dogania napastnika: był wyższy, bardziej wysportowany i z każdym krokiem zmniejszał odległość dzielącą go

od uciekającego. Wrzasnął:

– Policja. Stój!

Czas jakby zwolnił, wydawało jej się, że deszcz zatrzymał się w powietrzu, maleńkie kropelki znieruchomiały.

Napastnik stanął. Odwracając się, ciął powietrze nożem. Lena sięgnęła po broń, ale kabura była pusta. Rozległ się świst metalu wrzynającego się w skórę, a zaraz potem głośny jęk. Brad runął na ziemię.

– Nie – wydyszała Lena.

Podbiegła do niego i padła na kolana. Nóż tkwił w brzuchu. Krew przesączyła się przez koszulę, zamieniając nieskalaną biel w karmazyn.

– Brad...

– Boli – powiedział. – Bardzo boli.

Wystukała numer na komórce, modląc się, żeby karetka była jeszcze nad jeziorem, a nie na pogotowiu pół godziny drogi stąd. Usłyszała za plecami głośne kroki, walenie butów o chodnik. Frank przebiegł obok niej ze zdumiewającą szybkością, wrzeszcząc w furii. Napastnik odwrócił się, żeby zobaczyć, jakie piekło się teraz rozpęta, kiedy Frank rzucił się na niego. Polecieli na asfalt. Frank dziko młócił pięściami, zasypując napastnika gradem ciosów.

Lena przycisnęła telefon do ucha. Słuchała długiego sygnału i czekała, aż ktoś odbierze.

– Lena... – wyszeptał Brad. – Nie mów mojej mamie, że dałem ciała.

– Nie dałeś ciała. – Osłoniła dłonią jego twarz od deszczu.

Powieki mu opadły i zadrgały.

– Nie – błagała. – Proszę, nie rób mi tego.

– Przepraszam, Lena.

– Nie! – krzyknęła.

Nie znowu.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Sara Linton nie myślała już o okręgu Grant jak o swoim domu. Znajdował się jakby w zupełnie innej czasoprzestrzeni, równie dla niej namacalnej jak Manderley Rebeki czy wrzosowiska Heathcliffa. Jadąc przez przedmieścia, nie mogła nie zauważyć, że wszystko wygląda tak samo, a mimo to jest jakby zupełnie odrealnione. Zamknięta baza wojskowa, która powoli ustępowała siłom przyrody. Obozowisko przyczep dla gorszych tego świata. Opuszczony dyskont zamieniony swego czasu na magazyn.

Minęło trzy i pół roku, odkąd była tu po raz ostatni, i bardzo chciała wierzyć, że zdołała się pozbierać, zbliżyć do jakiejś nowej normalności. Gdyby została w Atlancie po ukończeniu medycyny, zamiast wracać w rodzinne strony, jej życie na dobrą sprawę niewiele różniłoby się od tego, które teraz tam wiodła. Miała specjalizację z pediatrii i była starszym adiunktem na oddziale pomocy doraźnej szpitala Grady'ego, gdzie studenci chodzili za nią krok w krok jak pisklęta, a ochroniarze nosili przy pasie ładownice na zapasowe magazynki do broni, na wypadek gdyby młodzi gangsta chcieli dokończyć robotę, którą zaczęli na ulicy. Pewien epidemiolog z Centrum Kontroli Chorób przy Uniwersytecie Emory'ego zaczął się z nią umawiać. Chodziła na prośzone kolacje i wyskakiwała na kawę z przyjaciółmi. Od czasu do czasu w weekendy jeździła z psami do parku Stone Mountain, żeby charty mogły się wybiegać. Sporo czytała. Oglądała za dużo telewizji. Wiodła absolutnie normalne, doskonale nudne życie.

Mimo to, gdy tylko zobaczyła tablicę informującą, że właśnie przekroczyła granicę okręgu Grant, cała ta pieczołowicie

wzniesiona fasada normalności zaczęła pękać. Zjechała na pobocze, czując ucisk w piersiach. Psy zaczęły się niespokojnie wiercić na tylnym siedzeniu. Ostatkiem sił wzięła się w garść. Jest silna. Potrafi to znieść. Wcześniej ciężko walczyła, żeby wyjść z depresji, w którą wpadła po śmierci męża, i nie zaprzepaści tego teraz przez jakiś głupi znak drogowy.

– Wodór – powiedziała. – Hel, lit, beryl. – Stara sztuczka z czasów dzieciństwa, kiedy to recytowanie pierwiastków układu okresowego miało odsunąć jej myśli od potworów, które mogły czaić się pod łóżkiem. – Neon, sód, magnez... – wyliczała z pamięci, dopóki jej serce się nie uspokoiło, a oddech nie wrócił do normy.

W końcu chwila słabości minęła i Sara ku swojemu zdumieniu roześmiała się na myśl o minie, jaką zrobiłby Jeffrey, gdyby się dowiedział, że deklamowała układ okresowy pierwiastków na poboczu drogi. W liceum był zapalonym sportowcem – przystojnym, czarującym i naturalnie wyluzowanym. Kujonkie skłonności Sary nieodmiennie go bawiły.

Wyciągnęła rękę do tyłu i pogłaskała psy, żeby się uspokoiły i położyły z powrotem. Zamiast jednak zapalić silnik, siedziała przez chwilę ze wzrokiem wbitym w pustą drogę prowadzącą do miasta. Dotknęła palcami kołnierza koszuli i przesunęła je niżej, do pierścionka, który nosiła na łańcuszku. Pamiątkowy sygnet Jeffrey'a z Auburn College. Należał do uczelnianej drużyny futbolowej, dopóki nie znudziło mu się grzać ławki. Pierścień był masywny, zbyt duży na jej palec, ale jego dotyk stanowił jedyną namiastkę dotyku Jeffrey'a, jaka jej pozostała. Był jak talizman. Czasami łapała się na tym, że trzyma go bezwiednie w palcach, zupełnie nie pamiętając, by podnosiła dłoń.

Jedyną pociechą był fakt, że nie zostały między nimi żadne niedomówienia. Jeffrey wiedział, że Sara go kocha. Wiedział, że nie istnieje taka jej część, która nie należałaby całkowicie i wyłącznie do niego, tak jak ona wiedziała, że on czuje podobnie. Kiedy umierał, ostatnie jego słowa skierowane były do niej. Ostatnie myśli, wspomnienia, wszystkie dotyczyły Sary. Wiedziała, że umierając, też będzie myślami przy nim.

Ucałowała sygnet i wsunęła go z powrotem pod koszulę. Ostrożnie zjechała z pobocza na drogę. Ale kiedy wjechała do miasteczka, znowu poczuła się przytłoczona. Znacznie łatwiej było nie myśleć o tym wszystkim, co straciła, kiedy nie miała tego tuż przed oczyma. Licealne boisko, na którym poznała Jeffreya. Park, gdzie razem spacerowali z psami. Restauracje, w których jadal. Kościół, do którego zaglądali, gdy matka Sary suszyła im głowę.

Musiało istnieć choćby jedno miejsce, jedno wspomnienie nienapiętnowane pamięcią Jeffreya. Sara przecież mieszkała tu na długo, zanim on w ogóle się dowiedział, że jest coś takiego jak okręg Grant. Dorastała w Heartsdale, chodziła do miejscowego liceum, udzielała się w kółku naukowym, pomagała w schronisku dla kobiet, gdzie jej matka pracowała społecznie, od czasu do czasu towarzyszyła ojcu przy jakichś zleceniach. Mieszkała w domu, w którym stopa Jeffreya nigdy nie powstała. Jeździła samochodem, którego nigdy nie widział na oczy. Całowała się pierwszy raz z miejscowym chłopcem, którego ojciec był właścicielem sklepu żelaznego. Chodziła na parafialne potańcówki, imprezy składkowe i mecze futbolowe.

Wszystko bez Jeffreya.

Trzy lata przed jego poznaniem wzięła pół etatu jako okręgowy medyk sądowy, żeby sobie dorobić i wykupić udziały partnera w przychodni dla dzieci. Spłaciła współnika, ale posadę zatrzymała. Ze zdumieniem odkryła, że pomaganie zmarłym daje czasem większą satysfakcję niż ratowanie żywych. Każda sprawa stanowiła zagadkę, każde ciało kryło w sobie wskazówki do tajemnicy, którą tylko ona mogła rozwiązać. Praca koronera angażowała zupełnie nową część jej umysłu, o której istnieniu nawet nie miała pojęcia. Z równą pasją podchodziła do obu specjalizacji. Zbadała nieskończenie wiele przypadków, zeznawała w sądzie jako biegły, referując okoliczności śmierci nieskończenie wielu osób i obciążając nieskończenie wielu podejrzanych.

Teraz nie potrafiła sobie przypomnieć choćby jednego szczegółu którejkolwiek ze spraw.

Pamiętała za to doskonale, jakby to było wczoraj, dzień, w

którym Jeffrey Tolliver pojawił się w miasteczku. Burmistrz ściągnął go z policji w Birmingham, żeby objął stanowisko odchodzącego na emeryturę komendanta. Kobiety chichotały rozradowane na sam dźwięk jego imienia. Miał poczucie humoru i urok osobisty. Był wysoki, śniady i przystojny. Kiedyś grał w uczelnianej drużynie futbolowej i było to widać. Jeździł wiśniowym mustangiem, chodził z gracją pantery.

Fakt, że upatrzył sobie akurat Sarę, zdumiał całe miasteczko, jej samej nie wyłączając. Nie była typem dziewczyny, której dostają się przystojniacy. Była typem dziewczyny, która patrzy, jak przystojniacy dostają się jej siostrze i przyjaciółkom. Mimo to przygodne randki zamieniły się w coś poważniejszego i po kilku latach nikogo już nie zdziwiło, gdy Jeffrey się jej oświadczył. Nie był to związek usłany różami i Bóg jeden wie, że miał swoje lepsze i gorsze chwile, ale koniec końców Sara wiedziała każdą cząstką swojej istoty, że należy do Jeffrey'a i, co ważniejsze, że on należy do niej.

Otarła łzy wierzchem dłoni i jechała dalej. Najtrudniejsza do zniesienia była tęsknota, fizyczny ból, jaki się pojawiał na wspomnienie o Jeffreyu. Nie istniała taka część miasta, gdzie świadomość tego, co straciła, nie waliłaby ją obuchem w głowę. Bezpieczeństwa tych dróg pilnował. Ci ludzie nazywali go przyjacielem. I tutaj zginął. Miejsce, które tak ukochał, stało się miejscem zbrodni. W tym kościele opłakiwali jego śmierć. Na tej ulicy długi sznur pojazdów zjechał na bok i zatrzymał się, kiedy jego trumnę wywożono z miasta.

Przyjechała tylko na cztery dni. Przez ten czas może robić wszystko.

Prawie wszystko.

Pojechała okrężną trasą do domu rodziców, omijając główną ulicę i przychodnię dla dzieci. Burze i ulewy, które towarzyszyły jej przez całą drogę z Atlanty, wreszcie się uspokoiły, ale patrząc na ciemne chmury na niebie, wiedziała, że chwila wytchnienia nie potrwa długo. Pogoda ostatnio idealnie odzwierciedlała nastroje jej duszy: nagłe, gwałtowne burze przeplatane krótkotrwałymi



przejaśnieniami.

Z uwagi na zbliżające się Święto Dziękczynienia popołudniowy ruch na ulicach prawie zamarł. Nie było długiego sznura samochodów ciągnących w stronę uczelni, klientów spieszących do sklepów w centrum w środku dnia. Mimo to skręciła w lewo zamiast w prawo przy Lakeshore Drive, nadkładając trzy kilometry z hakiem, żeby tylko nie przejeżdżać obok swojego dawnego domu. Dawnego życia.

Przynajmniej dom rodzinny Lintonów był miły w swojej swojskości. Z biegiem lat został rozbudowany i poddany niezliczonym przeróbkom – pojawiły się nowe pokoje, stare wyremontowano. Kiedy Sara wyjechała na studia, ojciec wzniósł nad garażem małą dobudówkę, żeby miała gdzie się podziać w czasie wakacji. Tessa, młodsza siostra Sary, mieszkała tu ponad dziesięć lat już jako dorosła osoba, czekając, aż jej życie się zacznie. Eddie Linton był z zawodu hydraulikiem. Obie córki wyuczył fachu, ale tylko Tessa została w domu wystarczająco długo, by wykorzystać umiejętności w praktyce. Fakt, że Sara wolała medycynę od włączania się po kanałach i węzłach sanitarnych razem z ojcem i siostrą, był rozczarowaniem, które z całych sił nadal starał się ukryć. Należał do tych ojców, którzy czują się najszcześliwsi, gdy mają córki pod skrzydłami.

Sara nie miała pojęcia, jak przyjął fakt, że Tessa w końcu porzuciła rodzinny interes. Mniej więcej wtedy, kiedy zginął Jeffrey, wyszła za męża i przeprowadziła się tysiąc trzysta kilometrów dalej, żeby pracować z dziećmi w Afryce Południowej. Była równie impulsywna, jak Sara opanowana, choć gdy były nastolatkami, nikt by nie przewidział przyszłości żadnej z nich. Nawet Sarze wizja Tessy jako misjonarki nadal niezupełnie mieściła się w głowie.

– Siostrzyczko! – Tessa wypadła z domu i zbiegła bokiem po schodach, kołysząc ciężowym brzuchem. – Czemu tak późno? Umieram z głodu!

Sara jeszcze dobrze nie wysiadła z samochodu, gdy siostra zarzuciła jej ręce na szyję. Uścisk zamienił się ze zwykłego

powitania w coś głębszego i Sara znowu poczuła nadciągającą ciemność. Nie bardzo wierzyła w tej chwili, że wytrzyma tu cztery minuty, a co dopiero cztery dni.

– O, siostrzyczko, wszystko się zmieniło – wymamrotała Tessa.

Sara przełknęła łzy.

– Wiem.

Tessa ją puściła.

– Mają basen.

Sara roześmiała się, zaskoczona.

– Że co?

– Mama i tata zainstalowali basen. Podgrzewany.

Sara otarła oczy, nadal się śmiejąc i czując do siostry większą miłość, niż potrafiła wyrazić słowami.

– Żartujesz? – Obie przez większą część dzieciństwa bezowocnie wierciły rodzicom dziurę w brzuchu o tę inwestycję.

– I mama zdjęła plastik z kanapy.

Sara popatrzyła na siostrę, jakby czekała na puentę dowcipu.

– Wyremontowali pokój, wymienili oświetlenie, przerobili kuchnię, zamalowali kreski na drzwiach... Zupełnie jakbyśmy tu nigdy nie mieszkali.

Sara nie mogła powiedzieć, że rozpacza z powodu zniknięcia kresek, które rejestrowały zmiany ich wzrostu aż do ósmej klasy, kiedy to oficjalnie stała się najwyższą osobą w rodzinie. Wzięła smycze psów z siedzenia pasażera.

– A co z pokojem?

– Usunęli boazerię. Fundnęli sobie nawet ozdobne listwy sufitowe. – Tessa położyła dłonie na rozłożystych biodrach. – Tudzież nowe meble ogrodowe. Z porządnej wikliny, nie takiej, co to kłuje cię w tyłek za każdym razem, gdy go sadzasz. – W oddali rozległ się trzask pioruna. Tessa czekała, aż przebrzmi. – Całość wygląda jak żywcem wyjęta z rozkładówki „Southern Living”.

Sara zablokowała tylne drzwi terenówki, szarpiąc się jednocześnie z chartami. Próbowwała złapać smycze i osadzić psy w miejscu, zanim wypadną na ulicę.

– Pytałaś mamę, dlaczego wszystko zmieniła?

Tessa cmoknęła językiem i wzięła smycze od Sary. Billy i Bob podbiegły do jej nogi.

– Powiedziała, że teraz, gdy nas już nie ma, może wreszcie pozwolić sobie na ładne rzeczy.

Sara zasznurowała usta.

– Nie będę udawać, że to nie boli. – Obeszła samochód i otworzyła bagażnik. – Kiedy przyjeżdża Lemuel?

– Usiłuje zorganizować sobie lot, ale ci piloci z buszu nie startują, dopóki wszystkie kury i kozy z wioski nie zabukują biletu.

Tessa przyleciała do domu kilka tygodni temu, żeby urodzić w Stanach. Jej ostatnia ciąża zakończyła się źle, straciła dziecko. Co zrozumiałe, Lemuel nie chciał, żeby przy drugiej ryzykowała, ale Sara się dziwiła, że jeszcze nie dołączył do żony. Do spodziewanego terminu porodu pozostał niecały miesiąc.

– Mam nadzieję, że go zobaczę, zanim wyjadę – powiedziała.

– O, siostra, to miłe. Dzięki, że kłamiesz.

Sara miała właśnie rzucić w odpowiedzi jakieś zręczniejsze łągarstwo, kiedy zauważyła policyjny radiowóz sunący ulicą w żółwym tempie. Funkcjonariusz za kółkiem uchylił czapki na jej widok. Ich spojrzenia się skrzyżowały, a ona znowu poczuła, że serce jej pęka.

Tessa pogłaskała psy.

– Kursują tak od samego rana.

– Skąd się dowiedzieli, że przyjeżdżam?

– Mogłam coś chlapnąć w delikatesach.

– Tess – jęknęła Sara. – Wiesz, że Jill June pewnie zawisła na telefonie, gdy tylko wyszłaś. Chciałam utrzymać to w tajemnicy. Teraz zwali nam się na głowę całe miasteczko i pies z kulawą nogą na dodatek.

Tessa ucałowała Boba z głośnym cmoknięciem.

– No to zobaczysz się z przyjaciółmi, prawda, maleńki? – Cmoknęła też Billa. – Już były do ciebie dwa telefony.

Sara wyciągnęła walizkę i zamknęła tylną klapę.

– Niech zgadnę. Od Marli z komendy i Myrny z sąsiedztwa łąsych na co smakowitsze plotecki.

– Nie. – Tessa ruszyła za Sarą w stronę domu. – Od dziewczyny, młodej, sądząc po głosie. Julie jakiejś tam.

Pacjenci Sary często dzwoniли do niej do domu, ale nie przypominała sobie żadnej Julie.

– Zostawiła swój numer?

– Mama go zanotowała.

Sara wtaszczyła walizkę po stopniach ganku, zastanawiając się, gdzie podziewa się ojciec. Prawdopodobnie tarzał się na uwolnionej z plastiku kanapie.

– Kto jeszcze dzwonił?

– Tylko ta dziewczyna. Dwa razy. Mówiła, że potrzebuje twojej pomocy.

– Julie – powtórzyła Sara, nadal nie kojarząc imienia.

Tessa zatrzymała ją na ganku.

– Muszę ci coś powiedzieć.

Sara poczuła dreszcz strachu, wiedząc instynktownie, że nadciągają złe wieści. Tessa już miała się odezwać, kiedy otworzyły się frontowe drzwi.

– Boże, sama skóra i kości – zaczęła połajankę Cathy. – Wiedziałam, że się tam głodzisz.

– Też się cieszę, że cię widzę, mamó.

Sara ucałowała ją w policzek. Za matką pojawił się ojciec i jego też ucałowała. Rodzice pogłaskali psy, przemawiając do nich czule, i Sara starała się zignorować fakt, że charty spotkało cieplejsze powitanie.

Eddie chwycił walizkę córki.

– Wezmę to. – Zanim zdążyła zaprotestować, ruszył po schodach.

Zdjęła buty, patrząc na oddalającego się ojca.

– Czy coś się...

Cathy pokręciła głową w odpowiedzi.

Tessa zrzuciła kopnięciem sandały. Świeżo odmalowana ściana była porysowana w miejscu, gdzie ewidentnie robiła to już wiele razy wcześniej.

– Mamó, musisz jej powiedzieć – oświadczyła.

Wymieniły z Cathy spojrzenia, od których Sarze stanęły dęba

włoski na karku.

– Powiedzieć mi o czym?

Matka zaczęła od zapewnienia.

– Nic się nikomu nie stało.

– Oprócz?

– Brad Stephens został ranny dziś rano.

Brad był najpierw jednym z jej pacjentów, potem jednym z podwładnych Jeffreya.

– Co się stało?

– Został pchnięty nożem na służbie. Leży w szpitalu w Macon.

Sara oparła się o ścianę.

– Gdzie pchnięty? W jakim jest stanie?

– Nie znam szczegółów. Jego matka jest przy nim. Myślę, że ktoś do nas zadzwoni wieczorem. – Potarła ramię Sary. – No, nie martwmy się na zapas. Wszystko teraz w rękach Pana.

Sara była wstrząśnięta.

– Ale czemu ktoś chciałby skrzywdzić Brada?

– Ludzie gadają, że to ma chyba coś wspólnego z tą dziewczyną, którą wyciągnęli dzisiaj rano z jeziora – powiedziała Tessa.

– Jaką dziewczyną?

Cathy ucięła dalsze spekulacje.

– Ludzie guzik wiedzą, a my nie będziemy rozsiewać plotek.

Sara naciskała:

– Mamo...

– Dosyć. – Cathy ścisnęła ją za ramię. – Pamiętajmy o tym, za co winniśmy być wdzięczni, na przykład za to, że obie moje córki są ze mną w domu.

Cathy i Tessa ruszyły korytarzem do kuchni, psy podreptały za nimi. Sara została w holu. Wiadomość o Bradzie spadła na nią tak nagle, że nie miała czasu jej przetrwać. Był jednym z pierwszych pacjentów w jej przychodni. Patrzyła, jak się rozwija i wyrasta z niezdarnego nastolatka na schludnego młodego mężczyznę. Jeffrey trzymał go krótko, a chłopak robił w komendzie bardziej za maskotkę niż policjanta. Oczywiście Sara wiedziała jak mało kto, że praca funkcjonariusza, nawet w małym miasteczku, nie należy

do bezpiecznych.

Szybko przegnała myśl, żeby zadzwonić do szpitala w Macon i zapytać o stan chłopca. Salę rannego gliniarza zawsze okupowały tłumy. Oddawano krew. Czuwano przy łóżku. Przynajmniej dwóch kolegów z jednostki towarzyszyło rodzinie.

Ale Sara nie należała już do tej społeczności. Nie była już żoną komendanta. Cztery lata temu zrezygnowała z funkcji miejscowego koronera. Stan Brada nie powinien jej interesować. Poza tym ponoć była teraz na urlopie. Brała kilka dyżurów z rzędu, żeby uciąć tych kilka dni wolnego na Święto Dziękczynienia. Ten tydzień i tak nie zapowiadał się dla niej łatwo, nawet bez wściubiania nosa w nie swoje sprawy. Miała dosyć własnych problemów.

Popatrzyła na oprawione w ramki fotografie wiszące na ścianach korytarza, swojskie sceny z czasów dzieciństwa. Cathy odmalowała cały dom, ale gdyby nie to, w pobliżu drzwi widniałby duży prostokąt jaśniejszy niż reszta ściany: miejsce po ślubnym portrecie Sary i Jeffreya. Sara nadal miała go przed oczyma – nie portret, lecz sam dzień: wiatr rozwiewający jej włosy, które jakimś cudem nie skrzyły się w wilgotnym powietrzu. Swoją jasnoniebieską sukienkę i sandały w tym samym kolorze. Jeffreya w ciemnych spodniach i białej koszuli, odprasowanej tak dokładnie, że nie zawracał sobie głowy zapinaniem mankietów. Stali w ogrodzie na tyłach domu rodziców, skąd roztaczał się przepiękny widok na słońce zachodzące nad jeziorem. Jeffrey miał włosy jeszcze wilgotne po niedawnym prysznicu, a kiedy położyła mu głowę na ramieniu, poczuła znajomy zapach jego skóry.

– Witaj, dziubasku.

Eddie stanął na najniższym stopniu schodów za jej plecami. Odwróciła się i uśmiechnęła, bo odzwyczaiła się już od podnoszenia głowy, żeby na niego spojrzeć.

– Miałaś złą pogodę w czasie podróży? – spytał.

– Nie najgorszą.

– Domyślam się, że nadłożyłaś trochę drogi.

– Mhm.

Patrzył na nią ze smutnym uśmiechem na ustach. Kochał

Jeffreya jak syna. Za każdym razem, gdy z nim rozmawiała, odczuwała stratę męża w dwójnasób.

– Wiesz – zagał. – Stajesz się równie piękna jak twoja matka. Spiekła raka w odpowiedzi na komplement.

– Tęskniłam za tobą, tato.

Wziął jej rękę w swoją, ucałował dłoń, potem przycisnął do serca.

– A słyszałaś to, jak siedzą dwa śledzie na brzegu?

Roześmiała się.

– Nie. I co?

– Jeden zasłony, a drugi firany.

Sara pokręciła głową zde gustowana.

– Tatusiu, to okropne.

Rozległ się dźwięk staroświeckiego dzwonka telefonu. W domu Lintonów znajdowały się dwa aparaty: jeden w kuchni, drugi na górze w sypialni rodziców. Dziewczętom wolno było korzystać tylko z tego w kuchni, na skutek czego jego sznur tak się wydłużył od przeciągania do spiżarni, na zewnątrz czy w jakiegokolwiek inne miejsce, które oferowało choć minimum prywatności, że stracił zupełnie skręt.

– Sara! – zawołała Cathy. – Dzwoni Julie.

Eddie poklepał ją po ramieniu.

– Idź.

Ruszyła korytarzem do kuchni, odmienionej nie do poznania i tak pięknej, że Sara wrosła w ziemię na jej widok.

– Jasny gwint!

– Poczekaj, aż zobaczysz basen – powiedziała Tessa.

Sara przesunęła dłonią po nowej wyspie.

– Marmur. – Wcześniej wnętrzarskie preferencje Lintonów wyraźnie faworyzowały pomarańczowe kafle i sękate sosnowe meble rodem z *Grunt to rodzinka*. Odwróciła się i zobaczyła nową lodówkę. – Czy to Sub-Zero?

– Saro. – Cathy podała jej telefon, jedyną starą rzecz w pomieszczeniu.

Sara wymieniła zbulwersowane spojrzenie z Tessą, przykładając słuchawkę do ucha.



– Słucham?

– Doktor Linton?

– Przy telefonie. – Otworzyła drzwiczki wiśniowej szafki ściennej, podziwiając tafle antykizowanego szkła. – Halo? Doktor Linton, słucham.

– Psze pani? Przepraszam. Mówi Julie Smith. Słyszysz mnie pani?

Połączenie było złe, ewidentnie z komórki. Na domiar złego dziewczyna mówiła prawie szeptem. Nazwisko nic Sarze nie mówiło, ale domyśliła się z nosowego akcentu rozmówczynie, że wychowała się w jednej z biedniejszych dzielnic miasta.

– Czym mogę służyć?

– Przepraszam. Dzwonię z pracy i muszę mówić cicho.

Sara zmarszczyła czoło.

– Słyszysz panią dobrze. O co chodzi?

– Wiem, że mnie pani nie zna, i przepraszam, że tak do pani wydzwaniam, ale miała pani pacjenta Tommy'ego Brahama. Zna pani Tommy'ego, prawda?

Sara szybko przebiegła w myślach listę wszystkich znanych jej Tommych i w końcu skojarzyła. Nie tyle twarz, ile usposobienie. Ot, jeden z wielu chłopców, którzy pojawiali się w gabinecie z zupełnie normalnych w tym wieku powodów: koralik wepchnięty do nosa, pestka arbuza w uchu, nieokreślone bóle brzucha w ciężkie dni w szkole. Wyróżniał się głównie tym, że to ojciec, nie matka, przyprawiał go do przychodni, rzecz dość rzadka w praktyce Sary.

– Pamiętam Tommy'ego – powiedziała. – Co u niego słyhać?

– Właśnie o to się rozchodzi. – Urwała i do uszu Sary dobiegł dźwięk wody płynącej w tle. Czkała cierpliwie, aż dziewczyna podjęła rozmowę. – Przepraszam. Jak mówiłam, ma kłopoty. Nie dzwoniłabym, ale mnie prosił. Przysłał mi SMS-a z więzienia.

– Z więzienia? – Sara spochmurniała. Nie lubiła się dowiadywać, że któryś z jej podopiecznych źle skończył, nawet jeśli nie bardzo przypominała go sobie z twarzy. – Co zrobił?

– Nic, psze pani. Właśnie o to się rozchodzi.

– Dobrze. – Sara inaczej ujęła pytanie. – Za co został skazany?

– O ile wiem, to jeszcze za nic. Nawet nie wie, czy jest zatrzymany, i w ogóle.

Sara domyśliła się, że dziewczynie myli się więzienie z aresztem.

– Jest na komendzie?

Tessa rzuciła jej pytające spojrzenie i Sara wzruszyła ramionami, nie mogąc wyjaśnić.

– Tak, psze pani – powiedziała Julie. – Zawieźli go do centrum.

– Rozumiem. I myślą, że co zrobił?

– Chyba myślą, że zabił Allison, ale to zupełnie niemoż...

– Zabójstwo. – Sara nie dała jej dokończyć zdania. – Nie bardzo rozumiem, czego pani ode mnie oczekuje. – Czuła się w obowiązku dodać: – W takiej sytuacji potrzebuje raczej adwokata, a nie lekarza.

– Tak, psze pani. Wiem, czym się różni doktor od adwokata. – Nie sprawiała wrażenia obrażonej uwagą Sary. – Tyle że on mówi, że potrzebuje porozmawiać z kimś, kto go wysłucha, bo oni mu nie wierzą, że przez całą noc był z Pippy, i mówi, że pani jedyna go słuchała naprawdę i że jedna policjantka tam naprawdę daje mu popalić. Ciężko patrzy się na niego jakby...

Sara przyłożyła dłoń do gardła.

– Jaka policjantka?

– Nie wiem dokładnie. Jakaś pani.

To wystarczająco zawężyło wybór. Sara starała się ukryć chłód w głosie.

– Naprawdę nie mogę się w to mieszać, Julie. Jeśli Tommy został aresztowany, to zgodnie z prawem powinien dostać adwokata. Powiedz mu, żeby domagał się Buddy'ego Conforda. On wie, jak pomóc ludziom w takiej sytuacji. Dobrze?

– Tak, psze pani. – Sprawiała wrażenie rozczarowanej, ale nie zdziwionej. – Powiem mu, że próbowałam.

– Cóż, zatem... – Sara nie wiedziała, co jeszcze dodać. – Życzę powodzenia. Obojgu wam.

– Dziękuję, pani doktor, i, jak zjem mówiła, przepraszam, że zawracałam wam głowę w święta.

– Nic się nie stało. – Sara czekała na odpowiedź, ale rozległ się

tylko odgłos spuszczonej wody, a potem sygnał przerwanej połączenia.

– O co chodzi? – spytała Tessa.

Sara odwiesiła słuchawkę i usiadła przy stole.

– Jeden z moich dawnych pacjentów jest w areszcie. Ponoć kogoś zabił. Nie Brada, jakąś Allison.

– Ale który dokładnie? Głowę daję, że to on zranił też Brada.

Cathy trzasnęła drzwiami lodówki na znak dezaprobaty.

Mimo to Tessa naciskała dalej:

– Jak się nazywa?

Sara umyślnie unikała pełnego przygany spojrzenia matki.

– Tommy Braham.

– Ten sam. Mamo, czy on czasem nie kosił nam kiedyś trawy?

Cathy rzuciła lakoniczne „Owszem”, nadal nie włączając się do rozmowy.

– Za Chiny nie mogę sobie przypomnieć, jak wygląda – powiedziała Sara. – Nie był zbyt rozgarnięty. Zdaje się, że jego ojciec jest elektrykiem. Czemu nie pamiętam jego twarzy?

Cathy cmoknęła językiem, rozsmarowując majonez na kromkach białego chleba.

– Wiek robi swoje.

Tessa uśmiechnęła się z satysfakcją.

– Coś o tym wiesz.

Cathy odcięła się zgryźliwie, ale Sara wyłączyła się z rozmowy. Usiłowała przypomnieć sobie więcej szczegółów na temat Tommy’ego Brahama, jakoś go dookreślić. Jego ojciec lepiej zapadł jej w pamięć: szorstki, muskularny mężczyzna, który czuł się bardzo nieswojo w przychodni, jakby uważał publiczne okazywanie troski o syna za objaw zniewieściałości. Żona go porzuciła – to sobie Sara wreszcie przypominała. Jej wyjazd wywołał niemały skandal, głównie dlatego, że uciekła w środku nocy z katechetą Kościoła Baptistów Prymitywistów. Tommy musiał mieć jakieś osiem czy dziewięć lat, kiedy po raz pierwszy pojawił się w przychodni. Wszyscy chłopcy wyglądali w tym wieku tak samo: fryzura na doniczkę, bawełniana koszulka, niebieskie dżinsy, które sprawiały

wrażenie niewiarygodnie małych i marszczyły się nad białymi tenisówkami. Czy się w niej podkochał? Nie pamiętała. Tym, co najbardziej rzucało się w oczy, była jego ociężałość umysłowa i zapóźnienie rozwojowe. Podejrzewała, że nawet jeśli dopuścił się zabójstwa, to tylko za czyjąś namową.

– Kim jest ta dziewczyna, którą niby zabił Tommy? – spytała.

– Jakaś studentka politechniki. Policjanci wyciągnęli ją o świcie z jeziora. Z początku myśleli, że to samobójstwo, ale potem zmienili zdanie, więc pojechali pod adres jej zameldowania. Okazało się, że to ten główniany garaż, który Gordon Braham wynajmuje studentom. Kojarzysz?

Sara skinęła głową. Kiedyś w czasie przerwy na uczelni pomagała ojcu opróżnić szambo przy domu Brahama, skutkiem czego zdecydowanie zintensyfikowała wtedy swoje wysiłki w celu dostania się na medycynę.

– No, a w garażu stał Tommy z nożem – ciągnęła Tessa. – Zaatakował Franka i wybiegł na ulicę. Brad rzucił się za nim w pogoń i jego też zranił.

Sara pokręciła głową. Wyobrażała sobie wcześniej coś znacznie mniejszego kalibru – napad na sklepik ogólnospożywczy, nieumyślne postrzelenie.

– To zupełnie nie pasuje do Tommy’ego.

– Pół okolicy to widziało – powiedziała Tessa. – Brad gonił go po ulicy, Tommy odwrócił się i wbił mu nóż w brzuch.

Sara rozważała dalsze implikacje. Tommy nie dźgnął cywila, tylko policjanta na służbie. Atak na funkcjonariusza prawo traktuje surowiej: napaść z bronią w rękę staje się automatycznie usiłowaniem zabójstwa, a zabójstwo morderstwem pierwszego stopnia.

– Doszły mnie słuchy, że Franka trochę poniosły nerwy po tym wszystkim – wymamrotała Tessa.

Cathy, wyjmując talerze z szafki, tym razem głośno dała wyraz swojemu wzburzeniu:

– To bardzo przykre, kiedy ludzie, których człowiek szanuje, zachowują się źle.

Sara usiłowała wyobrazić sobie tę scenę: Brad goniący Tommy'ego, Frank zamykający pościg. Ale niemożliwe, żeby Wallace był tam sam. Nie traciłby czasu na okładanie napastnika, gdy Brad się wykrwawiał. Musiał być z nim ktoś jeszcze. Ktoś, kto prawdopodobnie walnie się przyczynił do tragicznego finału akcji.

Sara poczuła, jak gniew zalewa jej piersi falą ognia.

– Gdzie była Lena w tym czasie?

Cathy upuściła talerz na podłogę. Roztrzaskał się u jej stóp, ale nie schyliła się, żeby podnieść skorupy. Zacisnęła usta w wąską linijkę, rozdeła nozdrza. Sara widziała, że z trudem wymawia słowa.

– Nie waż się nigdy więcej wymieniać imienia tej nienawistnej kobiety w moim domu. Słyszysz?

– Tak jest.

Sara spuściła wzrok na dłonie. Lena Adams. Najlepszy detektyw w zespole Jeffrey'a. Kobieta, która ponoć zawsze go osłaniała. Kobieta, której tchórzostwo i strach doprowadziły do jego śmierci.

Tessa pochyliła się z trudem i pomogła matce sprzątnąć odłamki rozbitego naczynia. Sara się nie ruszyła, jakby wrosnięta w ziemię.

Ciemność znowu wróciła duszącą chmurą bólu, od którego miała ochotę zwinąć się w kłębek. Tę kuchnię, odkąd pamiętała, wypełniał śmiech – dobroduszne droczenia matki i siostry, fatalne dowcipy ojca. Ona już tu nie należała. Powinna znaleźć jakiś pretekst, żeby wyjechać. Wrócić do Atlanty i pozwolić bliskim w spokoju cieszyć się świętami, zamiast przywoływać smutek ostatnich czterech lat.

Nikt się nie odezwał, dopóki telefon nie zadzwonił znowu. Tessa stała najbliżej. Podniosła słuchawkę.

– Dom państwa Lintonów. – Nie bawiła się w kurtuazję. Od razu przekazała słuchawkę Sarze.

– Słucham?

– Przepraszam, że zawracam ci głowę, Saro.

Frank Wallace zawsze sprawiał wrażenie, jakby z trudem przychodziło mu wymawianie jej imienia. Grywał w pokera z jej ojcem, kiedy Sara nosiła jeszcze w zębach pieluchę, i zawsze mówił

do niej per „kwiatuśku”, dopóki nie dotarło do niego, że to niestosowne zwracać się do żony szefa z taką poufałością.

Sara wykrztusiła „Cześć”, otwierając drzwi balkonowe prowadzące na tylny taras. Nie miała pojęcia, jak bardzo rozpaloną ma twarz, dopóki nie poczuła na niej zimnego powietrza z dworu.

– Co z Bradem?

– Już słyszałaś?

– Oczywiście, że słyszałam. – Wieść obiegła pewnie pół miasta jeszcze przed przyjazdem karetki. – Nadal jest na stole?

– Skończyli operować jakąś godzinę temu. Chirurdzy twierdzą, że ma szansę, jeśli przeżyje najbliższe dwadzieścia cztery godziny.

Mówił coś jeszcze, ale Sara nie mogła się skupić na jego słowach, bez znaczenia zresztą. Cezura dwudziestu czterech godzin stanowiła w chirurgii złoty środek postępowania, różnicę między tłumaczeniem się ze zgonu pacjenta na cotygodniowym zebraniu poświęconym statystykom zachorowalności i śmiertelności a przekazaniem niepewnego chorego pod opiekę innego lekarza.

Oparła się o ścianę, czując, jak zimne cegły wbijają się jej w plecy. Czekala, aż Frank przejdzie do sedna.

– Pamiętasz pacjenta nazwiskiem Braham? Tommy Braham?

– Mgliście.

– Z ogromną niechęcią cię w to wciągam, ale chłopak prosi, żebyś przyjechała.

Sara słuchała jednym uchem, przez głowę przelatywały jej tysiące wymówek, jakimi mogłaby się wymigać od spełnienia prośby, którą, jak wiedziała, zaraz usłyszy. Tak bardzo ją to pochłonęło, że nie zauważyła nawet, że Frank zamilkł, dopóki nie wymienił jej imienia.

– Saro? Jesteś tam?

– Jestem. Słucham.

– Sęk w tym, że on nie przestaje płakać.

– Płakać. – Znowu miała wrażenie, że umknęła jej ważna część rozmowy.

– Tak, płakać – potwierdził Frank. – Znaczy się, oczywiście wielu z nich płacze. Cholera, w końcu to areszt. Ale on jest naprawdę w

bardzo kiepskim stanie. Myślę, że potrzebuje jakiegoś środka uspokajającego, czegoś, co by go wyciszyło. Mamy tu trzech pijaków i damskiego boksera tłukącego żonę, który zaraz rozwali ściany i udusi go gołymi rękoma, jeśli mały się nie przymknie.

Powtórzyła sobie te słowa w myślach, nadal niepewna, czy się nie przesłyszała. Wiele lat była żoną gliniarza, a mimo to na palcach jednej ręki mogła policzyć sytuacje, kiedy Jeffrey przejmował się jakimś przymkniętym przez siebie kryminalistą – a już na pewno nie zabójcą, który na dodatek zranił funkcjonariusza.

– Nie macie jakiegoś lekarza pod telefonem albo na dyżurze?

– Skarbie, ledwie mamy policjanta na dyżurze. Burmistrz obciął nam budżet o połowę. Za każdym razem, gdy włączam kontakt, dziwię się, że światło jeszcze się pali.

– A Elliot Felteau? – spytała. To on odkupił od niej praktykę, kiedy wyprowadzała się z miasta. Przychodnia znajdowała się rzut beretem od komendy – dosłownie po drugiej stronie ulicy.

– Wyjechał na święta. Najbliższy lekarz jest sto kilometrów stąd.

Ciężko westchnęła, zirytowana faktem, że Elliot świętuje sobie w najlepsze, jakby się spodziewał, że dzieci wstrzymają się z chorowaniem na czas jego wypoczynku. Była także zła na Franka, że wciąga ją w tę całą kabałę. Ale najbardziej wkurzona była na samą siebie za to, że w ogóle odebrała telefon.

– Nie możesz po prostu go zapewnić, że Brad wyzdrowieje?

– Nie o to chodzi. Jest jeszcze ta dziewczyna, którą wyciągnęliśmy z jeziora rano.

– Słyszałam.

– Tommy przyznał się do jej zabicia. Trochę to trwało, ale jakoś go złamaliśmy. Kochał się w niej. Nie chciała na niego spojrzeć. No wiesz, te sprawy.

– W takim razie to tylko wyrzuty sumienia – powiedziała, choć zachowanie chłopaka wydało jej się dziwne. Z jej doświadczenia wynikało, że większość sprawców po przyznaniu się do winy zapada po prostu w głęboki sen. Tak długo byli naładowani adrenaliną, że kiedy w końcu zrzucali ciężar z piersi, padali zupełnie bez sił. – Daj mu trochę czasu.



– To coś więcej – upierał się Frank. Słyszała w jego głosie rozdrażnienie i odrobinę desperacji. – Słowo daję, Saro, naprawdę z największą niechęcią o to proszę, ale trzeba mu jakoś pomóc. Mam wrażenie, że serce mu pęknie, jeśli z tobą nie porozmawia.

– Ledwo go pamiętam.

– Ale on pamięta ciebie.

Sara zagryzła wargę.

– A gdzie jest jego ojciec?

– Na Florydzie. Nie możemy się z nim skontaktować. Tommy jest tu sam jak palec i wie o tym.

– Dlaczego prosi akurat o mnie?

Z pewnością z niektórymi pacjentami przez lata pracy nawiązała głębszą więź, ale Tommy Braham do nich nie należał. Dlaczego nie może przypomnieć sobie jego twarzy?

– Mówi, że ty go wysłuchasz.

– Nie obiecałeś mu chyba, że przyjadę, co?

– Oczywiście, że nie – zachnął się Frank. – Nawet nie chciałem zawracać ci tym głowy, ale naprawdę źle z nim, Saro. Myślę, że powinien go obejrzeć lekarz. Niekoniecznie ty, lekarz w ogóle.

– Ale to nie dlatego, że... – Urwała, nie wiedząc, jak dokończyć pytanie. W końcu postanowiła nie owijać w bawełnę. – Słyszałam, że zatrzymanie było raczej brutalne.

Frank natychmiast przywołał do porządku język.

– No, ładnych parę razy się przewrócił podczas próby zatrzymania.

Sara знаła dobrze ten eufemizm przysłaniający brudniejszą stronę policyjnej roboty. Nigdy nie poruszała z Jeffreyem tematu znęcania się nad aresztantami, głównie dlatego, że wołała nie znać prawdy.

– Czy są jakieś złamanie?

– Tylko kilka zębów. Nic poważnego. – Frank był wyraźnie podirytowany. – On nie spazmuje z powodu rozciętej wargi, Saro. Potrzebuje lekarza.

Zajrzała przez okno do kuchni. Matka siedziała przy stole obok Tessy. Obie się w nią wpatrywały. Jedną z przyczyn, dla których

Sara wróciła do okręgu Grant po ukończeniu medycyny, był niedostatek lekarzy na terenach wiejskich. Teraz, gdy szpital w centrum zamknięto, chorzy musieli odbywać niemal trzygodzinną podróż, by uzyskać pomoc. Przychodnia dla dzieci była w tym kontekście prawdziwym błogosławieństwem, ale jak widać, bywała nim tylko w dni powszednie.

– Saro?

Potarła oczy.

– A ona tam jest?

Zawahał się przez chwilę.

– Nie. Siedzi w szpitalu u Brada.

Prawdopodobnie już obmyślając w głowie wersję, zgodnie z którą Lena jest bohaterką, a Brad tylko nieuważną ofiarą. Głos Sarze zadrżał.

– Nie chcę jej widzieć, Frank.

– Nie będziesz musiała.

Poczuła, jak żal ściska ją za gardło. Znaleźć się na komendzie. Znaleźć się tam, gdzie Jeffrey czuł się jak w domu.

Wysoko na niebie chmury przecięła błyskawica. Sara słyszała deszcz, ale jeszcze go nie widziała. Na jeziorze fale zaczęły się przewalać i burzyć. Niebo zrobiło się złowieszczo ciemne, zwiastując kolejne oberwanie chmury. Chciała wziąć to za omen, ale w głębi duszy była naukowcem. Nigdy nie potrafiła za bardzo polegać na wierze.

– Zgoda – ustąpiła. – Chyba mam jakiś diazepam w torbie lekarskiej. Podjadę od tyłu. – Urwała. – Frank...

– Masz moje słowo, Saro. Nie będzie jej.

Sara nie chciała przyznać sama przed sobą, że z ulgą opuszcza bliskich, nawet jeśli oznaczało to udanie się na komendę. Czuła się nieswojo w ich obecności, niczym niepasujący kawałek układanki. Niby wszystko pozostało po staremu, a jednak nic nie było już takie samo.

Znowu pojechała okrężną drogą dokoła jeziora, omijając swój stary dom, gdzie mieszkali razem z Jeffreyem. Ale nie sposób było

dostać się do komendy, nie wjeżdżając na Main Street. Na szczęście pogoda się zmieniła. Ściana deszczu zasłoniła wszystko, przegoniła ludzi wysiadujących na ławeczkach czy przechadzających się brukowanymi chodnikami. Drzwi sklepów pozamykano szczelnie w obronie przed chłodem. Nawet sprzed składu żelaznego Manna zniknęła wystawa.

Skręciła w boczną uliczkę, która biegła na tyłach starej apteki. Utwardzana jezdnia ustąpiła tu miejsca żwirowej i Sara cieszyła się, że siedzi w terenówce. Kiedy mieszkała w Heartsdale, zawsze jeździła sedanami, ale drogi w Atlancie były zdecydowanie bardziej zdradliwe od wiejskich. Kiepska nawierzchnia z dziurami, w których można było zabłądzić, i nieustanne podtopienia w czasie pory deszczowej czyniły bmw koniecznością. A przynajmniej tak sobie wmawiała za każdym razem, gdy płaciła sześćdziesiąt dolarów, żeby zatankować do pełna.

Frank najwyraźniej na nią czekał, ponieważ tylne drzwi komendy otworzyły się, zanim jeszcze zaparkowała auto. Rozłożył duży czarny parasol i podszedł do wozu, by podprowadzić ją do budynku. Deszcz bębnił tak głośno, że nie otworzyła ust, dopóki nie znaleźli się w środku.

– Nadal jest niespokojny?

Skinął głową, manipulując przy parasolu, żeby go złożyć. Na kłykciach prawej ręki miał szwy, na wewnętrznej stronie nadgarstka trzy głębokie zadrapania. Obrażenia obronne.

– Chryste. – Skrzywił się z bólu, usiłując poruszyć sztywnymi palcami.

Sara wzięła od niego parasol i zamknęła.

– Podali ci antybiotyki?

– Dostałem receptę na coś tam. Nie wiem na co. – Wziął od niej parasol i wrzucił go do schowka na przybory do sprzątanania. – Przepróż swoją mamę ode mnie za to, że cię tak porwałem pierwszego dnia po przyjeździe.

Frank zawsze wydawał się Sarze wiekowy, głównie dlatego, że był rówieśnikiem jej ojca. Jednak przyglądając mu się teraz, pomyślała, że postarzał się ze sto lat od chwili, kiedy ostatni raz go

widziała. Miał ziemistą cerę i twarz pobrużdżoną głębokimi zmarszczkami. Popatrzyła mu w oczy i zauważyła zażółcenie. Ewidentnie nie czuł się dobrze.

– Frank?

Uśmiechnął się z przymusem.

– Dobrze cię widzieć, kwiatuszk.

To zdrobnienie miało wznieść między nimi mur i tak się stało. Pozwoliła mu pocałować się w policzek. Z reguły w jego zapachu dominował odór papierosowego dymu, ale dzisiaj z ust wionęło mu wonią whisky i gumy do żucia. Odruchowo zerknęła na zegarek. Jedenasta trzydzieści rano – drink o tej porze oznacza, że człowiek wypatruje już tylko końca służby. Z drugiej strony to nie był zwykły dzień dla Franka. Jeden z jego ludzi został pchnięty nożem. Sara prawdopodobnie też by się napiła w takiej sytuacji.

– Jak się trzymasz? – spytał.

Starła się zignorować wyraz litości w jego oczach.

– Doskonale, Frank. Powiedz mi, co się dzieje.

Szybko przeszedł do rzeczy.

– Dzieciak myślał, że dziewczyna czuje do niego miętę.

Dowiedział się, że niekoniecznie, i poczęstował ją nożem. –

Wzruszył ramionami. – Starał się zatrzeć ślady, ale fatalnie.

Doprowadził nas jak po sznurku prosto pod swoje drzwi.

Sara była teraz jeszcze bardziej skołowana. Musi mylić Tommy'ego z jakimś innym swoim pacjentem.

Frank też wrócił do tej kwestii.

– Naprawdę go nie pamiętasz?

– Wydawało mi się, że tak, ale teraz nie jestem pewna.

– On najwyraźniej uważa, że coś was łączy. – Na widok jej miny natychmiast się poprawił. – Nie w jakimś opacznym sensie czy coś... Jest raczej niedojrzały. – Dotknął boku głowy. – Niewiele się tam dzieje.

Sara miała moralnego kaca, że ledwie pamięta chłopca, który czuje się z nią tak związany. Przez lata praktyki miała kontakt z tysiącami pacjentów. Wśród nich byli tacy, którzy zapadli jej w pamięć, i tacy, w których ślubach czy uroczystościach rozdania

dyplomów uczestniczyła, a także garstka takich, na których pogrzebach była. Nazwisko Tommy'ego Brahama, jeśli nie liczyć kilku oderwanych szczegółów, nie mówiło jej zupełnie nic.

– Tędy – powiedział Frank, jakby nie była w tym budynku z tysiąc razy wcześniej.

Otworzył plastikową kartą duże stalowe drzwi prowadzące do cel. Owiał ich podmuch gorącego powietrza.

Frank zauważył, że się skrzywiła.

– Piec szwankuje.

Zdjęła kurtkę i weszła za nim do środka. Kiedy była mała, miejscowa szkoła organizowała wycieczki do aresztu w nadziei na odstraszenie dzieci od przestępczego życia. Otwarte cele odgródzone stalowymi kratami dawno temu zostały zastąpione przez sześć izolatek. Po obu stronach długiego korytarza tkwiło sześć par stalowych drzwi, każda zaopatrzona w okienko ze szkła zbrojonego siatką drucianą i otwór na dole, przez który wsuwano tacę z posiłkiem. Sara szła za Frankiem, patrząc prosto przed siebie, choć kątem oka widziała mężczyzn stojących w drzwiach cel i odprowadzających ją wzrokiem.

Frank wyjął klucze.

– Chyba przestał płakać.

Starła kroplę potu, która spłynęła jej po skroni.

– Powiedziałeś mi, że jestem w drodze?

Pokręcił głową, przemilczając oczywisty fakt: nie był pewien, czy Sara się pokaże.

Znalazł właściwy klucz i zerknął przez okienko, żeby się upewnić, że Tommy nie sprawi kłopotu.

– O cholera. – Klucze mu wypadły, wymamrotał: – Jezu.

– Frank?

Podniósł je z podłogi, klnąc na czym świat stoi.

– Chryste – wymruczał, pakując klucz do zamka i odsuwając zasuwę.

Otworzył drzwi i Sara zrozumiała powód jego paniki. Upuściła płaszcz, buteleczka z tabletkami, którą wsunęła do kieszeni przed wyjściem z domu, zagrzechotała o beton.

Tommy Braham leżał na posadzce celi na boku, z ramionami wyciągniętymi w kierunku łóżka: głowę miał skreconą pod nienaturalnym kątem, pusty wzrok wbity w sufit, rozchylone usta. Teraz go poznała, jego dorosła wersja niewiele się różniła od tej chłopięcej sprzed wielu lat. Kiedyś przyniósł jej dmuchawca i oblał się rumieńcem, gdy w podziękowaniu pocałowała go w czoło.

Podeszła do niego, przycisnęła mu palce do szyi i pobieżnie sprawdziła puls. Ewidentnie został pobity – nos był złamany, wokół oczu kwitły czarne sińce – ale nie to było przyczyną zgonu. Miał przecięte nadgarstki: na obu widniały ziejące, odsłaniające ścięgna rany. Na podłodze było chyba więcej krwi niż w jego ciele. Wokół unosiła się mdlącosłodka woń jak w ubojni dla zwierząt.

– Tommy – wyszeptała, gładząc go po policzku. – Pamiętam cię.

Zamknęła mu powieki. Ciało było jeszcze ciepłe, niemal gorące. Za wolno jechała. Niepotrzebnie korzystała z toalety przed przyjazdem. Powinna była posłuchać Julie Smith. Powinna była od razu zgodzić się przyjechać. Powinna była pamiętać tego słodkiego, małego chłopczyka, który przyniósł jej chwast zerwany w wysokiej trawie rosnącej przed przychodnią.

Frank się pochylił i ołówkiem wyciągnął z kałuży krwi cienki, cylindryczny przedmiot.

– To chyba wkład do długopisu.

– Musiał go użyć do...

Sara jeszcze raz popatrzyła na nadgarstki Tommy'ego. Na bladej skórze widniały niebieskie atramentowe linie. Zanim wyjechała do Atlanty, pracowała jako koroner okręgu Grant i wiedziała, jak wygląda wielokrotny powtarzalny uraz. Tommy przeciągał metalowym wkładem po skórze raz po raz, aż w końcu zdołał rozorać ciało i przeciąć żyłę. A potem zrobił to samo z drugim nadgarstkiem.

– Szlag. – Frank patrzył ponad jej ramieniem.

Odwróciła się. Na ścianie chłopak nabazgrał własną krwią słowa „Nie ja”.

Zamknęła oczy. Nie chciała na to patrzeć, nie chciała tu być, marzyła, żeby znaleźć się gdzie indziej.

– Czy próbował zaprzeczać albo odwołać zeznania?

– Jak oni wszyscy. – Zawahał się i po chwili dodał: – Przyznał się na piśmie. Orientował się w szczegółach zdarzenia, znanych tylko sprawcy i policji.

– To dlatego płakał? – Otworzyła oczy. – Bo chciał wycofać zeznania?

Frank skinął sztywno głową.

– Taa, chciał wycofać. Ale oni wszyscy...

– Prosił o adwokata?

– Nie.

– Skąd miał długopis?

Frank wzruszył ramionami, ale nie był głupi. Potrafił dodać dwa do dwóch.

– Był aresztantem Leny. Dała mu długopis?

– Oczywiście, że nie. – Wstał, podszedł do drzwi. – Nie celowo.

Sara dotknęła czoła Tommy'ego, zanim się podniosła.

– Powinna była go obszukać przed zamknięciem w celi.

– Mógł ukryć wkład w...

– Zakładam, że dała mu długopis, żeby napisał przyznanie się do winy. – Sara czuła, jak zalewa ją ciemna, głęboka nienawiść. Nie minęła nawet godzina od chwili jej przyjazdu do miasteczka, a już znalazła się w samym środku kolejnej piramidalnej wpadki Leny. – Jak długo go przesłuchiwała?

Frank znowu potrząsnął głową, jakby wszystko rozumiała opacznie.

– Ze trzy godziny. Nie tak długo.

Wskazała na słowa, które Tommy nagryzmolił własną krwią na ścianie.

– Nie ja – przeczytała. – Napisał, że tego nie zrobił.

– Oni wszyscy są niewinni. – Ton Franka wskazywał, że powoli zaczyna tracić cierpliwość. – Słuchaj, skarbie, po prostu jedź do domu. Przepraszam za to wszystko, ale... – Urwał, zastanawiając się nad sytuacją. – Muszę poinformować stan, zacząć wypełniać papiery, ściągnąć tu Lenę... – Potarł twarz dłońmi. – Chryste, co za koszmar.



Sara podniosła płaszcz z podłogi.

– Gdzie są te jego wyjaśnienia? Chcę je zobaczyć.

Frank opuścił ręce. Przez chwilę stał jak sparaliżowany. W końcu ustąpił i poprowadził ją w kierunku drzwi po drugiej stronie korytarza. Jarzeniowe oświetlenie pomieszczeń biurowych komendy wydawało się ostre, niemal oślepiające w porównaniu z ciemnymi celami. Sara zamrugła, żeby oczy łatwiej się przystosowały. Przy ekspresie do kawy stała grupka funkcjonariuszy w mundurach. Marla siedziała za swoim biurkiem. Wszyscy patrzyli na nią z tą samą makabryczną ciekawością, jaką widziała na ich twarzach cztery lata temu: Jakie to straszne, tragiczne, jak nie mogę się doczekać, żeby dorwać się do telefonu i powiedzieć komuś, że ją widziałem.

Sara ich zignorowała, bo nie bardzo wiedziała, co innego mogłaby zrobić. Skóra ją paliła. Spuściła wzrok na ręce, żeby nie musieć patrzeć na gabinet Jeffrey'a. Zastanawiała się, czy zostawili tam wszystko tak, jak było: jego pamiątki z Auburn, trofea strzeleckie i rodzinne fotografie. Pot spłynął jej po karku. W pomieszczeniu panował taki zaduch, że bała się, że wymiotuje.

Frank przystanął przy swoim biurku.

– Dziewczyna, którą zabił, nazywała się Allison Spooner.

Próbował upozorować to na samobójstwo: napisał pożegnalny list, wsadził jej zegarek i pierścioneł do butów. Może i by mu się udało, gdyby nie Le... – Urwał. – Okazało się, że ofiara ma ranę kłutą karku.

– Czy była już sekcja?

– Jeszcze nie.

– Skąd wiesz, że to nie jest samouszkodzenie?

– Wyglądało to...

– Jak głęboki jest kanał wkłucia? Jaki ma przebieg? Czy ofiara miała na ustach grzybek topielczy, wodę w płucach?

Frank podniósł głos, przekrzykując ją. W jego tonie słychać było nutę desperacji.

– Miała bruzdy od sznura na nadgarstkach.

Sara patrzyła na niego badawczo. Zawsze miała go za uczciwego

człowieka, jednak dałaby sobie głowę uciąć, że teraz kłamie w żywe oczy.

– Brock to potwierdził?

Zawahał się chwilę, zanim pokręcił głową, jednocześnie wzruszając ramionami.

Sara czuła, jak narasta w niej gniew. Podświadomie wiedziała, że jest niedorzeczny, płynie z ciemnego miejsca jej duszy, które ignorowała przez tyle lat, ale nie była już w stanie nad nim zapanować – nawet gdyby chciała.

– Czy ciało zostało obciążone?

– Do pasa przymocowane były łańcuchem dwa pustaki.

– Jeśli opadło na dół z opuszczonymi rękoma, na nadgarstkach mogły się pojawić plamy pośmiertne, jeśli opierało się o dno lekko wykręconymi rękami, mogło dojść do otarć naskórka, które czasami wyglądają dla niewyrobionego oka jak bruzda po więzach.

Frank odwrócił wzrok.

– Widziałem je, Saro. Była związana. – Otworzył leżącą na biurku teczkę i podał jej kartkę żółtego papieru, nierówną na górze w miejscu wydarcia z notesu i zapisaną po obu stronach. – Przyznał się do wszystkiego.

Sarze trzęsły się ręce, gdy czytała zeznania Tommy'ego Brahama. Napisane zostały okrągłym, trochę koślawym odręcznym pismem ucznia szkoły podstawowej. Konstrukcja zdań była równie niedojrzała. „Pippy to mój pies. Była chora. Zjadła skarpetkę. Musiała mieć prześwietlenie. Zadzwoiłem do taty. On jest na Florydzie”. – Odwróciła stronę i przeszła do clou zeznań. Allison odrzuciła propozycję seksualną. Tommy stracił panowanie nad sobą. Dźgnął ją nożem i wywiózł nad jezioro, żeby zatrzeć ślady.

Jeszcze raz popatrzyła na kartkę. Dwie strony. Sara wątpiła, by Tommy rozumiał choćby połowę z tego, co napisał. Przecinka użył tylko raz: tuż przed jakimś trudnym słowem. Zapisywał je drukowanymi literami i zauważyła małe kropki w miejscach, gdzie przyciskał długopis pod każdą literą, sprawdzając, czy nie zrobił błędu.

Z trudem mogła mówić.

– Instruowała go.

– To oficjalne przyznanie się do winy, Saro. Większość podejrzanych trzeba instruować, jak powinno wyglądać.

– On nie miał pojęcia, co wypisuje. – Przerzuciła wzrokiem zdania: – Uderzyłem Allison pięścią, żeby nie stawiała oporu. – Popatrzyła na Franka z niedowierzaniem. – Iloraz inteligencji Tommy'ego ledwo przekraczał osiemdziesiąt. Naprawdę sądzisz, że był w stanie zaplanować upozorowanie samobójstwa? Z IQ wyższym tylko o jedno odchylenie standardowe od poziomu umysłowej ociężałości?

– Wnosisz tak po przeczytaniu dwóch akapitów?

– Wnoszę tak po wieloletnim leczeniu go – odparowała. Kiedy czytała zeznanie, wszystko jej się nagle przypomniało: wyraz twarzy Gordona Brahama, kiedy zasugerowała, że jego syn prawdopodobnie rozwija się zbyt wolno jak na swój wiek, testy i badania, które Tommy potem przechodził, zdruzgotaną minę ojca, gdy powiedziała mu, że chłopiec nigdy nie wyjdzie poza określony poziom rozwoju. – Tommy był upośledzony, Frank. Nie potrafił policzyć dobrze reszty. Dwa miesiące trwało, zanim nauczył się wiązać sznurowadła.

Frank popatrzył na nią zmęczonym wzrokiem, wyczerpanie biło z każdego pora jego skóry.

– Pchnął nożem Brada, Saro. Zranił mnie w ramię. Uciekł z miejsca zdarzenia.

Ręce zaczęły jej dygotać, zagotowała się z wściekłości.

– A przyszło ci do głowy, żeby spytać go dlaczego? Czy też byłeś zbyt pochłonięty rozkwaszaniem mu twarzy?

Frank obejrzał się na funkcjonariuszy stojących przy ekspresie.

– Nie podnoś głosu.

Sara nie dała się uciszyć.

– Gdzie była Lena, gdy to się działo?

– Na miejscu.

– No jasne! Pewno jeszcze prowadziła wszystkich na pasku.

„Ofiara była związana. To musiało być morderstwo. Chodźmy do jej mieszkania. Niech wszyscy inni odniosą obrażenia, podczas gdy ja

wywinę się bez jednego zadrapania”. Ilu ludzi ta kobieta musi jeszcze narazić na śmierć, zanim ktoś ją powstrzyma?

– Saro... – Frank potarł dłońmi twarz. – Znaleźliśmy Tommy’ego w garażu z...

– Dom należy do jego ojca. Chłopak miał święte prawo przebywać w tym garażu. A wy? Mieliście nakaz?

– Nie było takiej potrzeby.

– Czyżby prawo się zmieniło od śmierci Jeffrey’a? – Frank wzdrygnął się na dźwięk tego imienia. – Czy Lena pokazała wcześniej odznakę, powiedziała, że jest z policji? A może z miejsca zaczęła wymachiwać pistoletem?

Nie odpowiedział, co stanowiło wystarczającą informację.

– To była nagła sytuacja. Działaliśmy regulaminowo.

– Czy pismo Tommy’ego jest takie samo jak to w liście pożegnalnym?

Frank zbladł i uświadomiła sobie, że nawet nie przyszło mu do głowy, żeby sprawdzić.

– Prawdopodobnie je podrobił, wystylizował, żeby wyglądało na kobiece.

– Nie miał dość inteligencji, by cokolwiek podrobić. Był upośledzony. Czy to do ciebie nie dociera? Nie wchodzi w grę, by mógł coś takiego zrobić. To przerastało jego możliwości. Nie był w stanie zaplanować wyprawy do sklepiku, a co dopiero upozorować samobójstwa. Czy rozmyślnie udajesz ślepego? A może kryjesz Lenę, jak zwykle zresztą?

– Uważaj, co mówisz – ostrzegł ją.

– To jej się nie upiecze. – Sara podniosła zeznanie jak trofeum. Ręce trzęsły jej się coraz mocniej. Robiło jej się na przemian gorąco i zimno. – Lena podstępem skłoniła go do spisania tych wyjaśnień. Tommy zawsze chciał każdego zadowolić. Najpierw doprowadziła go do przyznania się do winy, a potem do samobójstwa.

– Ej, chwilka...

– Straci za to odznakę. Powinna trafić do więzienia.

– Mam wrażenie, że o wiele bardziej zależy ci na jakimś rozwydrzonym smarkaczu niż na gliniarzu, który walczy o życie.

Gdyby ją spoliczkował, byłaby mniej wstrząśnięta.

– Myślisz, że nie obchodzi mnie policjant?

Frank westchnął ciężko.

– Posłuchaj, kwiatuszku. Po prostu się uspokój.

– Nie waż się mówić mi, żebym się uspokoiła. Jestem spokojna od czterech bitych lat. – Wyjęła komórkę z tylnej kieszeni spodni i zaczęła przewijać listę kontaktów, szukając właściwego numeru.

– Co chcesz zrobić? – W głosie Franka pobrzmiwał strach.

Sara słuchała długiego sygnału, czekając na połączenie z Biurem Śledczym Georgii. Gdy w końcu ktoś odebrał, powiedziała:

– Tu Sara Linton. Chciałabym rozmawiać z Amandą Wagner.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Sara siedziała w samochodzie na parkingu przed szpitalem i gapiła się na główną ulicę miasteczka. Klinika przestała przyjmować pacjentów rok temu, ale budynek sprawiał wrażenie opuszczonego o wiele dłużej. W zatoczce dla karetek rozpleniły się chwasty. Szyby w oknach na parterze były powybijane. Metalowe drzwi, które ongiś stały zawsze lekko uchylone z myślą o palaczach, były teraz zamknięte na głucho i zaryglowane stalową sztabą.

Nadal prześladowały ją wyrzuty sumienia w związku z Tommym Brahamem – nie tylko dlatego, że go nie pamiętała, ale także dlatego, że w ciągu zaledwie kilku sekund wykorzystała jego śmierć jako pretekst do urzeczywistnienia swoich marzeń o zemście na Lenie Adams. Teraz dopiero dotarło do niej, że powinna była zostawić sprawy własnemu biegowi, a nie pakować się z buciorami w sam ich środek. Samobójstwo w policyjnej izbie zatrzymań automatycznie podlega stanowemu dochodzeniu. Zgodnie z hierarchią służbową Frank wezwałby Nicka Sheltona, agenta operacyjnego GBI na okręg Grant. Ten przesłuchałby wszystkich zamieszanych w sprawę funkcjonariuszy i świadków. Był dobrym gliną. I koniec końców doszedłby do tego samego wniosku co Sara: że Lena dopuściła się rażącego zaniedbania.

Niestety, nie miała tyle cierpliwości, by zdać się na procedurę. Jednoosobowo obsadziła się ponownie na stanowisku koronera okręgowego, spychając na bok biednego Dana Brocka: wykonała własną dokumentację fotograficzną miejsca zdarzenia oraz własne szkice celi, zanim pozwoliła zabrać ciało Tommy'ego. Skopiowała każdy dokument dotyczący młodego Brahama, który wpadł jej w

ręce. Jednak najbardziej się zagalopowała, dzwoniąc do Amandy Wagner, szefowej GBI. Jakby walnęła dwuręcznym młotem w pinezkę.

– Idiotka – wyszeptała, położywszy głowę na kierownicy.

Powinna teraz siedzieć w domu i podziwiać marmurowe płytki, którymi ojciec wykafelkował łazienkę, a nie czekać na przyjazd kogoś z centrali GBI, żeby potem wywierać bezprawny nacisk na prowadzącego dochodzenie.

Opadła na oparcie fotela i zerknęła na zegar na desce rozdzielczej. Agent specjalny Will Trent spóźnił się już prawie godzinę, ale nie miała jak się z nim skontaktować. Podróż z Atlanty trwała cztery godziny – krócej, jeśli kierowca mógł machnąć drogówce przed nosem odznaką i wykręcić się od mandatu za przekroczenie szybkości. Patrzyła na wyświetlacz, czekając, aż cyfry zmienią się z 5.42 na 5.43.

Nie miała pojęcia, co mu powie. Rozmawiali wszystkiego może sześć razy, kiedy prowadził śledztwo dotyczące jednej z jej pacjentek z urazówki w szpitalu Grady'ego. Bezwstydnie wmieszała się wtedy w dochodzenie, bardzo podobnie jak zrobiła to teraz. Will prawdopodobnie zacznie się zastanawiać, czy Sara nie cierpi na jakąś śledztwomanię. W najlepszym razie jego wątpliwości wzbudzi jej obsesja na punkcie Leny Adams. Prawdopodobnie uzna Sarę za wariatkę.

– Och, Jeffrey – wyszeptała.

Co on by pomyślał o aferze, w którą się wpakowała? Jak by zareagował na wieść, że tak źle się czuła, wracając do miasta, które on tak ukochał. Wszyscy obchodzili się z nią jak z jajkiem, traktowali z takim szacunkiem. Powinna być wdzięczna, ale w głębi serca skóra jej cierpła na widok współczucia w ich oczach.

Miała tak serdecznie dość bycia postacią tragiczną.

Warkot silnika oznajmił przybycie Willa Trenta. Przyjechał pięknym starym porsche, czarnym jak noc. Nawet w deszczu auto wyglądało jak zwierzę gotowe do skoku.

Chwilę trwało, zanim wysiadł: najpierw wyjął panel radioodtwarzacza, zdjął wyświetlacz nawigacji z deski i wszystko to



schował w schowku na rękawiczki. Mieszkał w Atlancie, gdzie zamykało się drzwi na wszystkie spusty, nawet gdy szło się wyjąć listy ze skrzynki. Sara wiedziała, że tutaj mógłby bez obaw zostawić porsche na parkingu z otwartymi na przestrzał drzwiami, i w najgorszym razie ktoś by mu je po prostu zamknął.

Uśmiechnął się do niej, zamykając drzwi na klucz. Dotychczas widywała go tylko w trzyczęściowych garniturach, i zdziwiła się, widząc, że jest ubrany w czarny sweter i dżinsy. Był wysoki, miał metr dziewięćdziesiąt z hakiem, szczupłe ciało biegacza i lekki krok. Odrośnięte piaskowoblond włosy nie przypominały już wojskowego języka, którego nosił, gdy się poznali. Początkowo wzięła go wtedy za księgowego albo prawnika. Nawet teraz nadal nie wyglądał według niej na policjanta. W jego postawie nie było cienia buty charakterystycznej dla gliniarzy. Nie miał tego znudzonego spojrzenia, które mówiło, że nosi broń przy pasie. Mimo to był doskonałym dochodzeniowcem i podejrzani lekceważyli go ze zgubnym dla siebie skutkiem.

Między innymi właśnie dlatego Sara się ucieszyła, że Amanda Wagner wysłała właśnie Willa Trenta. Wiedziała, że Lena znienawidzi go od pierwszego wejrzenia. Był zbyt układny, zbyt spolegliwy – przynajmniej na pierwszy rzut oka. Lena zorientuje się, w co wdepnęła, dopiero gdy już będzie za późno.

Will otworzył drzwi samochodu i wsiadł.

– Myślałam już, że pan zabłądził – powiedziała.

Uśmiechnął się blado, ustawiając fotel tak, by nie uderzać głową o podsufitkę.

– Przepraszam. Istotnie zabłądziłem. – Popatrzył jej w twarz, ewidentnie usiłując z niej coś wyczytać. – Jak się pani miewa, doktor Linton?

– Wspa... – Wydała przeciągłe westchnienie. Nie знаła go za dobrze, co, rzecz dziwna, ułatwiało szczerość. – Nie za dobrze, agencie Trent.

– Agent Mitchell prosiła, żebym pani przekazał, że jest jej przykro, że nie mogła przyjechać.

Faith Mitchell, współpracownica Trenta i ekspacjentka Sary,

była teraz na zwolnieniu lekarskim i o krok od porodu.

– Jak znosi ciążę?

– Z właściwą sobie cierpliwością. – Jego uśmiech wskazywał, że jest wprost przeciwnie. – Proszę wybaczyć, że tak szybko przejdę do rzeczy, ale jak mogę pani pomóc?

– Amanda coś panu wspominała?

– Powiedziała, że doszło do samobójstwa w areszcie i że bym przyjechał tu jak najszybciej.

– A czy mówiła... – Sara czekała, żeby dokończył pytanie.

Ponieważ tego nie zrobił, dodała: – O moim mężu?

– A czy to ma coś do rzeczy? To znaczy, czy ma związek z tym, co się dzisiaj wydarzyło?

Poczuła uścisk w gardle.

– Doktor Linton?

– Nie wiem, czy ma związek – wydusiła wreszcie. – To przeszłość. Wszyscy w tym mieście ją znają. Będą zakładać, że pan też. – Po raz tysięczny tego dnia poczuła szczypanie łez pod powiekami. – Przepraszam. Byłam taka wściekła przez ostatnie sześć godzin, że nawet się tak naprawdę nie zastanowiłam, w co pana pakuję.

Uniósł się i wyciągnął chusteczkę z tylnej kieszeni spodni.

– Proszę nie przepraszać. Bez przerwy jestem w coś pakowany.

Oprócz Jeffreya i jej ojca Will Trent był jedynym znanym jej mężczyzną, który nadal używał chusteczek z materiału. Wzięła starannie złożony kawałek białego płótna.

– Doktor Linton? – powtórzył Will.

Wytarła oczy, jeszcze raz się kajając.

– Przepraszam. Przez cały dzień się dzisiaj tak mażę.

– Powroty nigdy nie są łatwe.

Powiedział to z takim przekonaniem, że po raz pierwszy odkąd wsiadł do samochodu, tak naprawdę mu się przyjrzała. Był atrakcyjnym mężczyzną, ale nie rzucało się to w oczy od razu. Przeciwnie, wydawało się, że on sam marzy tylko o tym, by wtopić się w tło, nie wyróżniać i robić swoje. Kilka miesięcy temu wyznał jej, że wychowywał się w domu dziecka w Atlancie. Jego matka zginęła, gdy był niemowlęciem. To była dla Sary prawdziwa

rewelacja, mimo to nadal miała wrażenie, że nic o nim nie wie.

Popatrzył na nią i szybko odwróciła wzrok.

– Może zatem zrobmy tak: powie mi pani tyle, ile uważa, że powinienem wiedzieć. Jeśli będę miał jakieś pytania, spróbuję zadać je najdelikatniej, jak umiem.

Sara odchrząknęła kilka razy, próbując wydobyć głos. Myślała o tym, jak dochodziła do siebie po śmierci Jeffreya, o dwunastu miesiącach wypełnionych snem, tabletkami i rozpaczą. Ale to nie miało teraz znaczenia. Musiała natomiast poinformować Willa, że Lena Adams ma głęboko zakorzoną skłonność do ryzykowania życia innych ludzi, czasem ze skutkiem śmiertelnym.

– Lena Adams jest odpowiedzialna za śmierć mojego męża – powiedziała.

Willowi nawet nie drgnęła powieka.

– Dlaczego?

– Uwikłała się w związek z kimś... – Znowu odchrząknęła. – Człowiek, który zabił mojego męża, był kochankiem Leny. Chłopakiem. Czy jak tam. Byli razem przez kilka lat.

– Także wtedy, gdy zginął pani mąż?

– Nie. – Wzruszyła ramionami. – Nie wiem. Trzymał ją w szachu. Bił. Niewykluczone, że gwałcił, ale... – Sara urwała, nie wiedząc, jak powiedzieć, że Lena nie zasługuje na współczucie. – Prowokowała go. Wiem, że to brzmi strasznie, ale zachowywała się tak, jakby chciała, żeby się nad nią znęcał. – Skinął głową, jednak zastanawiała się, czy naprawdę zrozumiał. – To był taki toksyczny związek, który w każdym z nich budził najgorsze instynkty. Znosiła to, a kiedy przestało jej się podobać, zwróciła się do mojego męża, żeby wypił piwo, którego nawarzyła i... – Sara urwała, nie chcąc, by usłyszał w jej głosie desperację. – Praktycznie wystawiła go na odstrzał. Niczego nigdy nie udowodniono, ale to jej kochanek zabił mojego męża.

– Funkcjonariusze mają obowiązek zgłaszać przypadki znęcania się – powiedział.

Sara poczuła iskierkę gniewu, przekonana, że Will obwinia Jeffreya za to, że wcześniej nie zareagował.

– Zaprzeczała, że coś takiego się dzieje. Wie pan, jak trudno udowodnić przemoc domową, kiedy...

– Wiem – przerwał. – Przepraszam, nie wyraziłem się jasno. Chciałem powiedzieć, że ten obowiązek spoczywał na detektywie Adams. Nawet jeśli funkcjonariusz sam jest ofiarą maltretowania, prawo nakazuje mu oficjalnie powiadomić o tym organa ścigania.

Sara starała się uspokoić oddech. Tak się tym wszystkim nakręcała, że musiała sprawiać wrażenie stukniętej.

– Lena jest złą policjantką. Niedbałą. Z lekceważącym podejściem. Najpierw zginął przez nią mój mąż. Teraz Tommy. Prawdopodobnie też przez nią Brad został pchnięty nożem. Pakuje ludzi w tarapaty, wystawia na sztych, a sama chowa się w bezpiecznym miejscu i obserwuje żniwo.

– Celowo?

Sarze zaschło w gardle tak bardzo, że z trudem przełknęła ślinę.

– A jakie to ma znaczenie?

– Chyba niewielkie – przyznał. – Domyślam się, że detektywa Adams nie postawiono nigdy żadnych zarzutów w związku ze śmiercią pani męża?

– Wszystko jej uchodzi na sucho. Zawsze jakoś uda jej się wykręcić sianem, wyslizgać i schować bezpiecznie do dziury.

Pokiwał głową ze wzrokiem wbitym w zalaną deszczem przednią szybę. Czekał na Willa, Sara wyłączyła silnik. Zdążyła zziębnąć, zanim się pojawił, ale teraz od połączonego ciepła ich ciała zaparowały szyby.

Zaryzykowała kolejny rzut oka na agenta, zastanawiając się, co mu chodzi po głowie. Na jego twarzy nie malowały się jednak żadne emocje. Chyba nigdy jeszcze nie spotkała człowieka, którego równie trudno byłoby rozszyfrować.

W końcu powiedziała:

– W pana oczach musi to pewnie wyglądać na jakąś wściekłą nagonkę z mojej strony.

Minęła chwila, zanim odpowiedział.

– Osadzony zabił się w policyjnym areszcie. GBI ma obowiązek badać takie sprawy.

Był dla niej zbyt wyrozumiały.

– Nick Shelton jest agentem operacyjnym Biura na okręg Grant. Przeskoczyłam co najmniej dziesięć szczebli.

– Agent Shelton nie zostałby dopuszczony do prowadzenia tego śledztwa. Ma prywatne stosunki z lokalnymi funkcjonariuszami. Przysłałaby mnie albo kogoś takiego jak ja, żeby się tym zajął. Nieraz pracowałem już w takich małych miasteczkach. Wszystkim łatwiej jest nienawidzić gryzipiórka z Atlanty niż swojego. – Uśmiechnął się i dodał: – Oczywiście, gdyby nie skontaktowała się pani bezpośrednio z doktor Wagner, mógłby upłynąć dzień czy dwa, zanim ktoś by się tu pojawił.

– Przykro mi, że wyrwałam pana z domu tuż przed świętami. Pańska małżonka musi być wściekła.

– Moja...? – Przez chwilę wydawał się skonsternowany, jakby zapomniał o obrączce na swoim palcu. Zatuszował to nieudatnie, mówiąc: – Jej to nie przeszkadza.

– Mimo to przepraszam.

– Jakoś przeżyję. – Skierował rozmowę z powrotem na sprawę. – Proszę mi powiedzieć, co się dzisiaj wydarzyło.

Tym razem słowa przychodziły jej znacznie łatwiej – telefon od Julie, pogłoski o zranieniu Brada, prośba Franka o pomoc. Na koniec opowiedziała, jak znalazła Tommy'ego w celi, zobaczyła słowa nabazgrane krwią na ścianie.

– Aresztowali go pod zarzutem zabójstwa Allison Spooner.

Will ściągnął brwi.

– Oskarżyli Brahama o zabójstwo?

– To właśnie jest najgorsze. – Wręczyła mu kserokopie przyznania się do winy Tommy'ego.

Wyglądał na zaskoczonego.

– Dali to pani?

– Nie jestem tutaj człowiekiem znikąd. Znają mnie jeszcze ze starych czasów. – Nie bardzo wiedziała, jak wytłumaczyć, dlaczego Frank pozwolił jej się tak szarogęścić. – Pracowałam tu kiedyś jako koroner. Byłam żoną komendanta. Są przyzwyczajeni do pokazywania mi dowodów.

Will poklepał się po kieszeniach.

– Chyba zostawiłem okulary w walizce.

Pogrzebała w torebce i wyciągnęła parę swoich.

Skrzywił się, ale wsunął je na nos. Zamrugał kilka razy, przebiegając wzrokiem po kartce.

– Tommy jest stąd? – spytał.

– Tu się urodził i wychował.

– Ile miał lat?

Sara nie potrafiła ukryć oburzenia.

– Dziewiętnaście.

Podniósł głowę.

– Dziewiętnaście?

– Właśnie – stwierdziła. – Nie mam pojęcia, skąd im przyszło do głowy, że mógł coś takiego zaplanować i przeprowadzić. Ledwo umiał się podpisać.

Will pokiwał głową, patrząc z powrotem na zeznanie. Przesuwał wzrokiem wte i wewte po tekście. W końcu popatrzył na Sarę.

– Miał jakieś trudności z czytaniem w rodzaju dysleksji?

– Dysleksja to zaburzenie o podłożu językowym. Ale nie. Tommy nie był dyslektykiem. Jego iloraz inteligencji oscylował w granicach osiemdziesięciu. W przypadku niepełnosprawności intelektualnej, kiedyś określanej mianem upośledzenia czy niedorozwoju umysłowego, wynosi siedemdziesiąt albo mniej. Dysleksja nie ma nic wspólnego z inteligencją. Po prawdzie to miałam kilku pacjentów dyslektyków, którzy intelektualnie bili mnie na głowę.

Znowu uśmiechnął się półgębkiem.

– Bardzo trudno mi w to uwierzyć.

Odpowiedziała uśmiechem, myśląc, że nic o niej nie wie.

– Proszę się nie przejmować kilkoma błędami ortograficznymi.

– Jest ich więcej.

– Niech pan spojrzy na to tak: mogłabym spędzić z dyslektykiem cały dzień i nawet się nie zorientować, że nim jest. Tommy potrafił bez końca rozmawiać o bejsbolu czy futbolu, ale w sytuacjach, w których niezbędne było bardziej złożone myślenie, całkowicie się gubił. Zagadnienia wymagające logicznego myślenia czy

rozumowania przyczynowo-skutkowego praktycznie wymykały się jego zdolnościom pojmowania. Nakłonienie dyslektyka do złożenia fałszywego, obciążającego go zeznania wcale nie jest łatwiejsze niż przekonanie do tego, dajmy na to, kogoś o rudych włosach czy zielonych oczach. Tommy natomiast był niewiarygodnie łatwowierny, naiwny. Można było wmówić mu wszystko.

Will przez chwilę mierzył ją wzrokiem w milczeniu.

– Uważa pani, że detektyw Adams wymusiła fałszywe przyznanie się do winy?

– Owszem. Tak właśnie uważam.

– Sądzi pani, że dopuściła się kryminalnego zaniedbania i przekroczenia uprawnień?

– Nie znam prawnej klasyfikacji. Wiem tylko, że jej postępowanie doprowadziło do jego śmierci.

Starannie dobierał słowa i w końcu dotarło do niej, że ją przesłuchuje.

– Może mi pani powiedzieć, co panią skłania do sformułowania takiego wniosku?

– Oprócz faktu, że przed śmiercią napisał własną krwią „Nie ja”?

– Oprócz.

– Tommy jest... był... bardzo podatny na sugestię. To szło w parze z niskim ilorazem inteligencji. Jego deficyt intelektualny nie był na tyle duży, by zaliczyć go do osób dotkniętych poważną niepełnosprawnością intelektualną, niemniej jednak przejawiał kilka cech takiego stanu: chęć zadowolenia innych, naiwność, łatwowierność. Wszystko, co się dzisiaj wydarzyło: list pożegnalny, buty, nieudolna próba zatarcia śladów... Na pozór wydaje się, że są to działania, które osoba umyślowo ociężała albo oligofreniczna mogła przeprowadzić, jednak Tommy'ego to przerastało. – Usiłowała sobie wyobrazić, jak jej słowa muszą brzmieć z perspektywy Willa. – Wiem, że wygląda to tak, jakbym za wszelką cenę chciała dopaść Lenę, i oczywiście chcę, to jednak nie odbiera moim twierdzeniom prawdziwości czy naukowych podstaw. Tommy był potwornie trudnym pacjentem, ponieważ zawsze uskarżał się na takie objawy, o jakie akurat pytałam, czy to był kaszel czy ból



głowy. Gdybym umiejętnie mu to wmówiła, zaklinałby się, że ma dżumę dymieniczną.

– Czyli twierdzi pani, że Lena powinna była się zorientować, że Tommy jest upośledzony i...

– Na pewno nie nękać go tak długo, aż odebrał sobie życie, to po pierwsze.

– A po drugie?

– Zapewnić mu stosowną pomoc lekarską. Był ewidentnie zdruzgotany. Nie przestawał płakać. Nie chciał z nikim rozmawiać... – Urwała, kiedy dostrzegła lukę w swojej argumentacji. Frank właśnie Sarę prosił o pomoc.

Will nie zwrócił jej uwagi na tę oczywistość. Spytał tylko:

– Czy za aresztanta nie odpowiada przypadkiem profos izby zatrzymań?

– To Lena go zapuszkowała. Nie przeszukała go, a przynajmniej nie zrobiła tego na tyle starannie, by znaleźć wkład do długopisu, którym się zabił. Nie poleciła strażnikom, żeby mieli go na oku. Po prostu zdobyła przyznanie się do winy i się zabrała. – Sara czuła, jak z każdym słowem narasta w niej gniew. – Kto wie, w jakim stanie emocjonalnym go zostawiła. Prawdopodobnie wmówiła chłopcu, że nie zasługuje na życie. W kółko odstawia takie numery: ona namiesza, kto inny ponosi konsekwencje.

Will, z rękoma złożonymi na kolanach, wyglądał przez okno na parking. Choć szpital został zamknięty, elektryczność działała. Zamigotały światła parkingu. W ich żółtej poświacie Sara zobaczyła bliznę biegnącą z boku jego twarzy aż do linii kołnierzyka. Była stara, prawdopodobnie jeszcze z czasów dzieciństwa. Za pierwszym razem, gdy ją zauważyła, pomyślała, że może rozdarł skórę, dobiegając do pierwszej bazy czy szalejąc na rowerze. Ale to było, jeszcze zanim się dowiedziała, że dorastał w sierocińcu. Teraz się zastanawiała, czy nie kryje się za nią coś więcej.

Z pewnością nie była to jedyna blizna Willa Trenta. Nawet z profilu dostrzegła miejsce między nosem a wargą, gdzie ktoś lub coś wielokrotnie naruszyło ciągłość powłok. Ktokolwiek zszywał potem ranę, nie wywiązał się najlepiej z zadania. Blizna była lekko

poszarpana, nadając jego ustom trochę nonszalancki, grubiański wyraz.

Will głośno odetchnął. Kiedy się w końcu odezwał, jego ton był z gruntu rzeczowy.

– Postawili Tommy’emu Brahamowi zarzut zabójstwa? I żadnego innego więcej?

– Tak, tylko zabójstwa.

– A usiłowania zabójstwa detektywa Stephensa? – spytał Will. – A zarzut czynnej napaści na komendanta Wallace’a?

Sara poczuła, jak oblewa się rumieńcem aż po szyję na myśl, że Frank mógłby wystąpić z takim oskarżeniem po laniu, jakie sam spuścił Tommy’emu na środku ulicy.

– W protokole zatrzymania figuruje tylko zarzut zabójstwa. Nic więcej.

– Moim zdaniem są tu dwie kwestie do zbadania. Po pierwsze fakt, że zatrzymany zabił się w areszcie, pozostając pod pieczę detektyw Adams. Po drugie nie bardzo rozumiem, dlaczego w ogóle zatrzymała Tommy’ego Brahama wyłącznie na podstawie jego przyznania się do zarzucanego mu czynu. I to nie akurat jego przyznania się, ale przyznania się w ogóle.

– To znaczy?

– Nie zatrzymuje się osoby pod zarzutem popełnienia zabójstwa, bazując tylko i wyłącznie na samooskarżeniu. Musi istnieć jeszcze inny materiał dowodowy potwierdzający czy choćby uprawdopodobniający taki stan faktyczny. Szósta poprawka daje oskarżonemu prawo do konfrontacji ze swoim oskarżycielem. Jeśli człowiek najpierw sam siebie oskarża, a potem wycofuje złożone wyjaśnienia... – Wzruszył ramionami. – Sytuacja robi się patowa.

Sarze zrobiło się głupio, że sama wcześniej na to nie wpadła. Przez niemal piętnaście lat była medykiem sądowym. Policja nie zawsze musiała znać przyczynę śmierci, żeby zatrzymać kogoś na podstawie podejrzenia popełnienia zabójstwa, ale musiała dysponować oficjalnym potwierdzeniem, że rzeczywiście zgon miał charakter gwałtowny, żeby uzyskać nakaz aresztowania.

– Mieli mnóstwo podstaw do zatrzymania Brahama bez

powoływania się na zarzut zabójstwa – ciągnął Will. – Czynna napaść z bronią w ręku, usiłowanie zabójstwa, napaść na funkcjonariusza w czasie wykonywania obowiązków, stawianie oporu podczas zatrzymania, próba ucieczki, bezprawne wkroczenie na teren prywatny. To wszystko są bardzo poważne przestępstwa. Wystarczyłaby dowolna kombinacja dwóch z tych zarzutów, żeby chłopak posiedział rok, i nikt by słowem nie zaprotestował. – Pokręcił głową, jakby nie mógł poskładać tego do kupy. – Muszę przejrzeć akta: protokoły oględzin i zatrzymania, notatki służbowe, raporty.

Sara odwróciła się i wzięła z tylnego siedzenia wykonane przez siebie kserokopie.

– Fotografie będę mogła wydrukować dopiero rano, po otwarciu sklepu.

Will przerzucił dokumenty, nie mogąc wyjść z podziwu dla jej obrotności.

– Doskonale. – Przebiegał wzrokiem strony. – Wiem, że jest pani przekonana, że Tommy nie zabił tej dziewczyny, ale moim zadaniem jest ustalenie stanu faktycznego.

– Oczywiście. Nie chciałam... – Urwała. Jak najbardziej chciała na niego wpłynąć. Do tego sprowadzała się cała ich wcześniejsza rozmowa. – Ma pan rację. Zdaję sobie sprawę, że musi pan zachować bezstronność.

– Po prostu chcę, żeby była pani przygotowana, doktor Linton. Jeśli ustalę, że Tommy to zrobił, albo nie uda mi się znaleźć niepodważalnego dowodu jego niewinności, nikogo nie będzie interesowało, jak był traktowany w areszcie. Wszyscy w miasteczku uznają, że detektyw Adams zaoszczędziła mnóstwo pieniędzy podatników, ich pieniędzy, unikając kosztownego procesu sądowego.

Sarze zrzędała mina. Miał rację. Już nieraz widziała, jak mieszkańcy przyjmowali za pewnik coś, co wcale nie musiało mieć potwierdzenia w faktach. Nie bawili się w takie subtelności.

Przedstawił jej też alternatywny scenariusz.

– Z drugiej strony, jeśli Tommy nie zabił tej dziewczyny, to na

wolności nadal przebywa zabójca, który ma albo bardzo dużo szczęścia, albo bardzo dużo sprytu.

I znowu Sara złapała się na tym, że nie wybiegła myślą tak daleko. Skupiła się wyłącznie na udziale Leny w całej sprawie i nawet nie przeszło jej przez głowę, że niewinność Tommy'ego oznacza sprawstwo innego zabójcy.

– Czego jeszcze się pani dowiedziała? – spytał Will.

– Frank twierdzi, że oboje z Leną widzieli na nadgarstkach ofiary ślady świadczące o tym, że była związana.

Will bąknął sceptycznie:

– Coś takiego bardzo trudno stwierdzić, jeśli zwłoki przebywały w wodzie tak długo.

Sara nie upajała się poczuciem satysfakcji.

– Na karku jest rana kłuta czy też to, co uważają za ranę kłutą.

– Czy jest możliwe, że ofiara sama ją sobie zadała?

– Nie widziałam jej, ale trudno mi sobie wyobrazić, by ktoś się zabił, wbijając sobie nóż w kark. Poza tym takiemu obrażeniu towarzyszyłby intensywny wypływ krwi, zwłaszcza jeśli tętnica szyjna została naruszona. Tryskałaby do góry i do tyłu z ogromną szybkością jak woda z odkręconego na ful ogrodowego węża. A to oznacza, że na miejscu zdarzenia musieliby znaleźć, lekko szacując, dwa, dwa i pół litra krwi.

– A co z tym listem pożegnalnym Spooner?

– Chcę z tym skończyć – wyrecytowała Sara.

– Dziwne. – Zamknął teczkę. – Miejscowy koroner jest do rzeczy?

– Dan Brock? To przedsiębiorca pogrzebowy, nie lekarz.

– Wnoszę z tego, że nie bardzo do rzeczy. – Will popatrzył na nią.

– Jeśli każe przetransportować ciała do Atlanty, stracimy kolejny dzień.

Antycypowała taki rozwój wydarzeń.

– Rozmawiałam już z Brockiem. Bardzo chętnie sceduje na mnie sekcje, ale możemy zacząć dopiero po jedenastej, żeby nikomu nie przeszkadzać. Jutro rano ma jakiś pogrzeb. Obiecał zadzwonić do mnie później i podać dokładny czas, żebyśmy mogli skoordynować działania.

– Sekcje wykonywane są w domu pogrzebowym?

Wskazała na szpital.

– Kiedyś robiliśmy je tam, ale stan obciął dotacje i klinikę zamknięto.

– Inne miasto, ta sama historia. – Zerknął na wyświetlacz komórki. – Chyba powinienem zajrzeć do komendanta Wallace’a, przedstawić się.

– P.o. komendanta – skorygowała go. – Przepraszam, to bez znaczenia. I tak nie ma go teraz na komendzie.

– Zostawiłem mu już dwie wiadomości, że chciałbym się z nim spotkać. Został dokądś pilnie wezwany?

– Jest w szpitalu u Brada. Z Leną, jak podejrzewam.

– Czyli mają czas, żeby uzgodnić wersje.

– Pojedzie pan tam?

– I tak będą patrzeć na mnie wystarczająco krzywym okiem. Nie muszę jeszcze dawać im dodatkowych powodów, pakując się do sali szpitalnej ich rannego kolegi.

Sara przyznała mu w duchu rację.

– No to co pan teraz zrobi?

– Chcę pojechać na komendę i zobaczyć celę, w której trzymali Tommy’ego. Głowę daję, że zastanę tam bardzo wrogo nastawionego dyżurnego, który mnie poinformuje, że dopiero zaczął służbę, nie ma o niczym pojęcia, a Tommy zabił się, bo był winny. – Postukał w teczkę. – Porozmawiam z innymi aresztantami, jeśli jeszcze ich nie wypuścili. Domyślam się, że p.o. komendanta Frank Wallace zjawi się dopiero rano, co da mi trochę czasu na przejrzenie tych dokumentów. – Uniósł się, żeby wyciągnąć z kieszeni spodni portfel. – To moja wizytówka. Z tyłu jest numer komórki.

Sara przeczytała dane figurujące obok logo Biura Śledczego Georgii.

– Ma pan doktorat?

Wziął od niej z powrotem kartonik i popatrzył na druk. Nie odpowiedział na pytanie, rzucił tylko:

– Numery się zgadzają. Może mi pani powiedzieć, gdzie znajdę

najbliższy hotel?

– Niedaleko uczelni. Niezbyt piękny, ale czysty. Powinno być tam spokojnie, bo młodzież ma ferie.

– Dostanę tam kolację i...

– Nie prowadzą restauracji. – Sarę nagle ogarnął wstyd z powodu prowincjonalności swojej miejsciny. – O tej porze wszystko jest pozamykane z wyjątkiem pizzerii, a tę już tyle razy zamykał sanepid, że tylko studenci się tam stołują.

– Na pewno w hotelu są jakieś automaty z kanapkami. – Położył dłoń na klamce, ale Sara go zatrzymała.

– Moja matka nagotowała na obiad tyle, że wystarczyłoby dla pułku wojska. – Wzięła od niego teczkę i zapisała na niej adres. – Cholera – mruknęła i przekreśliła numer domu. Podała swoje stare namiary, nie rodziców. – Lakeshore Drive – powiedziała, pokazując drogę po drugiej stronie szpitala. – Proszę jechać w prawo. Albo w lewo, jeśli woli pan trasę widokową. Ulica biegnie dokoła jeziora. – Zanotowała mu numer swojej komórki. – Niech pan dzwoni, jeśli się zgubi.

– Nie chcę narzucać się pani rodzinie.

– Ściągnęłam tu pana taki kawał drogi. Może pan przynajmniej pozwolić, żebym w ramach rekompensaty pana nakarmiła. Czy raczej pozwolić, żeby nakarmiła pana moja matka, co zdecydowanie bardziej wyjdzie panu na zdrowie. – Potem, świadoma, że nie jest głupi, dodała: – No i, co chyba jasne, liczę na relację z postępów w sprawie.

– Nie wiem, o której się pojawię.

– Zaczekam.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Will Trent przycisnął twarz do zamkniętych szklanych drzwi komendy. Światła były zgaszone, dyżurka pusta. Po raz trzeci zastukał kluczami w drzwi, myśląc, że jeśli zrobi to raz jeszcze, szyba pęknie. Stał w strugach deszczu, które lały się na niego z okapu. Burczało mu w brzuchu z głodu. Był zziębnięty, przemoknięty do suchej nitki i bardzo zirytowany faktem, że oddelegowano go do tej zapadłej dziury podczas urlopu.

A najgorsze, że wszystko stało się właśnie wtedy, gdy po raz pierwszy od początku służby poprosił o cały tydzień zwolnienia. Zostawił rozbebeszony ogród, gdzie rozkopywał kanał ściekowy prowadzący z domu na ulicę. Korzenie drzew uszkodziły dziewięćdziesięcioletnią glinianą rurę, a hydraulik zaśpiewał sobie osiem tysięcy za wymianę jej na plastikową. Will machał właśnie łopata, starając się nie zniszczyć wartych tysiące dolarów nasadzeń, które poczynił w ogrodzie w ciągu ostatnich pięciu lat, kiedy zadzwonił telefon. Nieodebranie nie wchodziło w grę. Czekał na wiadomość od Faith – że wreszcie rodzi albo, jeszcze lepiej, że już urodziła.

Ale nie, dzwoniła oczywiście Amanda Wagner. Z informacją, że: „Nie odmawia się wdowie po policjancie”.

Will zabezpieczył wykop brezentem, ale coś mu mówiło, że do jego powrotu, na skutek ulew i osunięć błota, dwa dni kopania diabli wezmą. Jeśli w ogóle uda mu się stąd wrócić. Na razie miał wrażenie, że resztę życia spędzi, stojąc w ulewnym deszczu przed tą pozał się Boże komendą na jakimś zabitym deskami wygwizdowie.

Już miał znowu zapukać w szybę, kiedy w końcu w środku zapaliło się światło. Do drzwi zbliżała się starsza kobieta, nieśpiesznie drepcząc po wyłożonym wykładziną holu. Była mocno przy kości, jaskrawoczerwona rozkloszowana sukienka do połowy łydki spowijała ją niczym namiot. Siwe włosy miała zwinięte w kok unieruchomiony na czubku głowy spinką w kształcie motyla. Na bujnym biuście dyndał złoty wisiołek z krzyżykiem.

Położyła dłoń na zamku, ale go nie przekreśliła.

– Sobie życzy? – rzuciła głosem stłumionym przez szybę.

Will wyjął legitymację i pokazał jej. Nachyliła się, przyjrzała bacznie fotografii, a potem porównała ją z oryginałem.

– Lepiej mu w dłuższych włosach.

– Dziękuję. – Zamrugnął, próbując strząsnąć krople deszczu zalewające mu oczy.

Czekała, aż powie coś jeszcze, ale zasznurował usta. W końcu ustąpiła i wpuściła go do budynku.

W środku było niewiele cieplej niż na zewnątrz, ale przynajmniej nie sterczał już na deszczu. Przeciągnął palcami po włosach, próbując zgarnąć wodę, i zaczął przytupywać dla rozgrzewki.

– Brudzi – oświadczyła kobieta.

– Najmocniej przepraszam – rzekł Will, zastanawiając się, czy wypada poprosić o ręcznik. Wyjął chusteczkę i wytarł twarz. Pachniała perfumami. Perfumami Sary.

Kobieta świdrowała go wzrokiem, jakby wiedziała, co chodzi Willowi po głowie, i nie pochwalała tego.

– Będzie tu stał całą noc, pociągając nosem i obwąchując chusteczkę? Kolacja na mnie czeka.

Złożył chustkę i schował ją z powrotem do kieszeni.

– Agent Trent z Biura Śledczego Georgii – przedstawił się.

– Już przeczytałam na legitymacji. – Otaksowała go wzrokiem od stóp do głów, ewidentnie zniesmaczona wynikiem oględzin. – Marla Simms, sekretarka.

– Miło panią poznać, pani Simms. Może mi pani powiedzieć, gdzie jest komendant Wallace?

– Nie wiem, czy słyszał – rzuciła kąśliwie, ale jeden z naszych



chłopców omal dzisiaj nie zginął. Został ranny na ulicy podczas wykonywania obowiązków. Mieliśmy z tym małe urwanie głowy.

Will potaknął.

– Owszem, proszę pani. Słyszałem. Mam nadzieję, że detektyw Stephens dojdzie do siebie.

– Ten chłopak pracował tu od osiemnastego roku życia.

– Modlę się, by Pan miał w opiece jego i jego bliskich – zapewnił Will, świadom, że religią można dużo ugrać w małych miasteczkach. – Skoro komendant Wallace jest nieosiągalny, może mógłbym porozmawiać z profosem izby zatrzymań?

Wyglądała na zirytowaną faktem, że Will w ogóle wie, że taka funkcja istnieje. Frank Wallace ewidentnie powierzył jej zadanie wodzenia za nos tego dupka z GBI. Will niemal widział, jak pracują trybiki w jej mózgu, kiedy zastanawiała się, jak by tu wymigać się od odpowiedzi.

Grzecznie nacisnął:

– Wiem, że osadzeni nie są pozostawieni bez nadzoru. Czy w takim razie pani sprawuje pieczę nad celami?

– Larry Knox jest na tyle – odpowiedziała w końcu. – Ja właśnie zbierałam się do wyjścia. Już pozamykałam akta, więc jeśli chce...

Will wsadził wcześniej teczkę, którą otrzymał od Sary, za pasek spodni, żeby się nie zmoczyła. Uniósł sweter i wyciągnął ją w kierunku Marli.

– Mogłaby pani przefaksować mi te dwanaście stron? – Z wyraźnym oporem przyjęła dokumenty. Will się nie dziwił. Teczka była ciepła od kontaktu z jego ciałem. – Pod numer...

– Poczekaj. – Gdzieś z głębi koafiury wyciągnęła długopis: plastikowego bica, jakich mnóstwo w każdym biurze. – No, mówi.

Podyktował jej numer faksu Faith Mitchell. Kobieta zapisała go z ociąganiem, udając, że cyfry jej się mylą. Will rozglądał się po dyżurce, która wyglądała kropka w kropkę tak samo jak każda inna dyżurka komendy w małym miasteczku. Ściany pokrywała boazeria, a ją grupowe zdjęcia umundurowanych funkcjonariuszy z wyprostowanymi ramionami, uniesionymi podbródkami i uśmiechami na twarzach. Naprzeciwko fotografii znajdował się

wysoki kontuar z barierką odgradzającą przednią część budynku od pomieszczenia biurowego, gdzie wszystkie biurka stały w jednym rzędzie. Światła wewnątrz były pogaszone.

– Dobrze – powiedziała. – Przefaksuję to przed wyjściem.

– Ma pani może zapasowy długopis, który mógłbym pożyczyć?

Wyciągnęła w jego kierunku bica.

– Nie chciałbym zabierać pani ostatniego.

– Śmiało.

– Nie, naprawdę – upierał się, unosząc ręce. – Nie mógłbym pozbawić...

– W szafce mamy jeszcze ze dwadzieścia pełnych pudełek – warknęła. – Niech bierze.

– No dobrze, zgoda. Dziękuję. – Wsadził długopis do kieszeni spodni. – A wracając do faksu, ponumerowałem strony, więc gdyby była pani tak uprzejma przypilnować, by poszły właśnie w tej kolejności.

Sarknęła coś pod nosem, podchodząc do bramki. Czekał, kiedy się nachyliła, szukając przycisku zwalniającego. Rozległo się głośne brzęczenie i szcęk zamka. Will zdziwił się na widok takich zabezpieczeń, ale z drugiej strony małe miasteczka znajdowały wiele pomysłowych sposobów na wydawanie pieniędzy agencji bezpieczeństwa wewnętrznego po jedenastym wrześniu. Kiedyś był w areszcie, gdzie cele miały muszle klozetowe Kohlera i niklowane baterie.

Marla zakrzętnęła się przed rzędem sprzętów biurowych przy ekspresie do kawy. Will lustrował pomieszczenie. Środek sali zajmowały trzy rzędy biurek. Wzdłuż tylnej ściany stały stoły ze składanymi krzesłami. Na stronie wychodzącej na ulicę znajdowały się zamknięte drzwi gabinetu. Miał przeszklone okno na salę, ale żaluzje były zaciągnięte.

– Dołek jest na tyłach – podpowiedziała Marla.

Ułożyła kserokopie na stole, bacznie je studiując. Will zerknął jeszcze raz na gabinet i miał wrażenie, że kobieta wpadła w lekką panikę, jakby się bała, że otworzy drzwi.

– Tędy? – Wskazał na metalowe drzwi na tyłach pomieszczenia.

– To są tyły, tak?

– Dziękuję – powiedział. – Doceniam pani pomoc.

Począł, aż zamkną się za nim drzwi, i dopiero wtedy wyjął długopis Marli i rozkręcił. Jak podejrzewał, wkład był plastikowy. Sara powiedziała, że Tommy Braham poderznął sobie żyły metalowym. Will zgadywał, że musiał pochodzić z porządniejszego długopisu niż ten tutaj.

Złożył go z powrotem i ruszył korytarzem, długim mniej więcej na osiemnaście metrów i szerokim na niecałe półtora. Wykładaną kaflami podłogę oświetlały znaki kierujące do wyjścia. Otworzył pierwsze drzwi, do których się zbliżył: okazało się, że kryje się za nimi magazynek. Obejrzał się przez ramię, zanim zapalił światło. Regały zapełniały pudełka ze spinaczami do papieru i różnymi innymi artykułami biurowymi, w tym dwadzieścia wspomnianych przez sekretarkę opakowań długopisów Bic. Obok leżały dwa wysokie stosy notatników biurowych z żółtymi kartkami i Will wyobraził sobie, jak detektywi przychodzą tutaj, biorą długopis i notes i zanoszą je podejrzanemu, by mógł spisać przyznanie się do winy.

W korytarzu znajdowało się jeszcze troje drzwi. Dwoje prowadziło do pustych pokoi przesłuchań o standardowym wystroju: długi stół z metalową śrubą oczkową wystającą z blatu, kilka porostawianych krzeseł, lustro weneckie na jednej ze ścian. Will podejrzewał, że trzeba stanąć w magazynku, żeby zobaczyć pierwszy pokój. Druga sala okazała się znajdowała się za trzecimi drzwiami. Will przekręcił gałkę, ale były zamknięte.

Z drzwi na końcu korytarza wyszedł funkcjonariusz w pełnym umundurowaniu, łącznie z czapką. Will zerknął przez ramię i znalazł kamerę w rogu, która śledziła całą jego wędrówkę przez korytarz.

– Czego pan chce? – spytał policjant.

– Funkcjonariusz Knox?

Mężczyzna zmrużył oczy.

– Zgadza się.

– Pan jest profosem? – spytał Will, zaskoczony.

Funkcja profosa izby zatrzymań była koniecznym, ale nużącym zajęciem. Do obowiązków sprawującego ją funkcjonariusza należało przyjmowanie zatrzymanych do izby oraz nadzór nad bezpieczeństwem osadzonych. Z reguły powierzano ją starszym policjantom z długim stażem, jako lekką pracę za biurkiem ułatwiającą przejście z czynnej służby na emeryturę. Czasami dostawała się w ramach kary gliniarzowi, który czymś się naraził. Will wątpił, by tak było z Knoksem. Frank Wallace nie pozwoliłby, żeby Willem zajmował się niezadowolony funkcjonariusz.

Knox patrzył na niego z nieukrywaną wrogością.

– Będzie pan tu tak sterczał?

Will wyjął odznakę.

– Agent specjalny Will Trent z GBI.

Mężczyzna zdjął czapkę, ukazując gęstą szopę rudych włosów.

– Wiem, kim pan jest.

– Szef na pewno pana poinformował. Zostaliśmy wezwani zgodnie z rutynową procedurą, żeby zbadać sprawę samobójstwa Tommy'ego Brahama.

– Zostaliście wezwani przez Sarę Linton – warknął. – Stałem tuż obok, kiedy to zrobiła.

Will się uśmiechnął, ponieważ już dawno odkrył, że uśmiech w sytuacji, kiedy ludzie spodziewają się raczej gniewu, jest dobrym sposobem na rozładowanie napięcia.

– Doceniam pańską pomoc w dochodzeniu. Wiem, jak musi być wam teraz ciężko.

– Serio? – Tyle jeśli idzie o zbawcze działanie uśmiechu. Knox wyglądał tak, jakby miał zamiar rzucić się Willowi do gardła. – Dobry człowiek walczy o życie w szpitalu w Macon, a wy trzęsiecie się nad ciurą, który go dźgnął. Tak ja to widzę.

– Znał pan Tommy'ego Brahama?

Pytanie go zaskoczyło.

– A co to ma do rzeczy?

– Jestem po prostu ciekaw.

– Taa, znałem. Od urodzenia miał nierówno pod sufitem.

Will skinął głową, że rozumie.

– Może mnie pan zaprowadzić do celi, w której go znaleziono?

Wydawało się, że Knox poważnie stara się znaleźć jakiś powód, żeby odmówić. Każdy policjant wie, że najlepszym sposobem na skłonienie kogoś do mówienia jest milczenie. Ludzie mają naturalną, odruchową skłonność do wypełniania ciszy słowami. Większość funkcjonariuszy nie uświadamia sobie jednak, że są tak samo podatni na tę metodę.

– Dobra – powiedział Knox – ale ja nie lubię pana, a pan nie lubisz mnie, więc nie silmy się na udawanie.

– Słusznie – zgodził się Will, przechodząc za nim do jeszcze mniejszego korytarza z drugą parą drzwi.

Po jednej stronie znajdowała się ławka z rzędem szafek na broń. W każdym areszcie obowiązuje ta sama rozsądna zasada: do cel z osadzonymi nie wchodzi się z bronią.

Knox wskazał na szafki.

– Proszę zdjąć magazynki i wyjąć naboje.

– Nie mam przy sobie broni.

Sądząc po spojrzeniu, jakie rzucił mu funkcjonariusz, Will mógłby równie dobrze oświadczyć, że zostawił w domu penis.

Mężczyzna wydał pogardliwie wargi, odwrócił się i ruszył w stronę następnych drzwi.

– Powiedział pan, że był przy tym, jak doktor Linton dzwoniła do GBI. Zaczynał pan właśnie służbę?

Knox się odwrócił.

– Nie było mnie tu, kiedy chłopak się zabił, jeśli do tego pan pijesz.

– Był pan na służbie? – powtórzył Will.

Znowu ociągał się z odpowiedzią, jakby i tak nie było wystarczająco jasne, że nie chce współpracować.

– Zakładam, że nie jest pan stałym profosem. Pion prewencji, nie mylę się?

Knox milczał.

– Kto pełnił funkcję profosa dzisiaj po południu?

Chwilę trwało, zanim odpowiedział.

– Carl Phillips.

– Muszę z nim porozmawiać.

Uśmiechnął się.

– Jest na urlopie. Wyjechał dzisiaj po południu. Pod namiot z żoną i dziećmi. Zero telefonu, zero zasięgu.

– Kiedy wraca?

– O to musisz pan spytać Franka.

Wyjął klucze i otworzył drzwi. Will stwierdził z ulgą, że są wreszcie w izbie zatrzymań. Z boku następnych dużych drzwi widniało okienko, za którym ciągnął się jeszcze jeden korytarz, ale tym razem ze znajomym widokiem metalowych drzwi cel. Z przodu mieściło się coś na kształt dyżurki profosa. Po jednej stronie stał duży segregator na dokumenty, po drugiej biurko z sześcioma płaskimi monitorami ukazującymi wewnątrz pięciu cel. Ekran szóstego wypełniał pasjans. Kolacja Knoksa, kanapka własnej roboty i chipsy, leżała przed klawiaturą.

– Mamy tu dzisiaj tylko trzy osoby – powiedział policjant w ramach wyjaśnienia.

Will zerknął na monitory. Jeden osadzony chodził wte i wewte po celi, dwóch pozostałych leżało zwiniętych na pryczach.

– Gdzie jest taśma z kamer?

Gliniarz oparł się ręką o komputer.

– Wczoraj zepsuło się nagrywanie. Wezwaliśmy już kogoś do naprawy.

– To zaiste dziwne, że się zepsuło akurat wtedy, gdy jest potrzebne.

Knox wzruszył ramionami.

– Jak mówiłem, nie było mnie tutaj.

– Czy po odkryciu zwłok Brahama wypuszczono jakichś osadzonych?

Wzruszył ramionami.

– Mnie przy tym nie było.

Will wziął tę odpowiedź za milczące potwierdzenie.

– Prowadzicie rejestr odwiedzających?

Knox otworzył jedną z szafek i wyciągnął arkusz papieru, który podał Willowi. Formularz podzielony na kolumny do wpisywania

nazwisk i czasu wyglądał jak każdy tego typu dokument w dowolnym amerykańskim areszcie. U góry strony ktoś napisał datę. Reszta kartki była pusta.

– Sara chyba się nie wpisała – rzucił Knox.

– Długo pan ją zna?

– Leczyła moje dzieci, dopóki nie wyjechała z miasta. A pan jak długo ją zna?

Will zauważył, że gniew mężczyzny jakby ciut osłabł.

– Niedługo.

– A wyglądało na to, że znacie się jak łyse konie, gdy tak bitą godzinę siedzieliście razem w samochodzie przed szpitalem.

Will miał nadzieję, że zdołał jakoś ukryć zaskoczenie. Zapomniał już, jak zaściankowe, rozplotkowane i klanowe bywają podobne miejsciny.

Zaryzykował:

– To urocza kobieta.

Knox wydał pierś. Był co najmniej o piętnaście centymetrów niższy od Willa i ewidentnie starał się to zrekompensować chojractwem.

– Jeffrey Tolliver był najwspanialszym człowiekiem, z jakim pracowałem.

– W Atlancie też cieszył się doskonałą opinią. To właśnie przez szacunek dla jego pamięci szefowa oddelegowała mnie tutaj, żebym miał oko na jego ludzi.

Knox zmrużył oczy i Will uświadomił sobie, że policjant może zinterpretować te słowa na różne sposoby, w tym także jako sygnał, że nikt nie zamierza przesadnie skrupulatnie badać sprawy przez wzgląd na tragicznie zmarłego komendanta. Ponieważ najwyraźniej się rozluźnił, Will nie wyprowadzał go z błędu.

– Sara czasami bardzo łatwo się unosi i zaciętrzewia. Zupełnie niepotrzebnie.

Will raczej nie scharakteryzowałby Sary jako osoby nadmiernie emocjonalnej. Bał się, że nie da rady zdobyć się na tekst w rodzaju „Ach, te kobiety!”, więc tylko skinął głową i wzruszył ramionami jednocześnie, jakby mówił: „Co robić”.

Knox dalej taksował go wzrokiem, bijąc się z myślami.

– No dobra – powiedział w końcu. Otworzył plastikową kartą ostatnie drzwi. W dłoniach nadal trzymał klucze i pobrzękiwał nimi, idąc. – Tu mamy odsypiającego pijaczka. Przywieziono go jakąś godzinę temu. – Pokazał następną celę. – Ćpun od mety, ciężka zwała. Ostatni raz, gdy usiłowaliśmy go obudzić, o mały włos nie wybił komuś zębów.

– A drzwi numer trzy? – spytał Will.

– Domowy bokser, sprzął żonę.

– W życiu! – rozległ się przytłumiony krzyk zza ściany.

Knox skinął głową w milczeniu.

– Trzeci raz go przymykamy za to samo. Ona nie chce zeznawać...

– I cholernie słusznie! – wrzasnął mężczyzna.

– Jest ubabrany własnymi rzygowinami, więc będę musiał go spłukać szlauchem, jeśli chce pan z nim rozmawiać.

– Nie śmiem prosić... – Will wzruszył ramionami. – Ale to by wszystko przyspieszyło i moglibyśmy się zająć swoimi sprawami. Żona mnie zabije, jeśli nie wrócę do domu na święta.

– Znam ten ból. – Knox przywołał Willa do następnej celi. Drzwi były otwarte. – To tutaj.

Uprzątnięto już krew, ale czerwony ślad na betonowej posadzce mówił wszystko. Tommy musiał leżeć stopami do drzwi, może na boku, z wyciągniętymi przed siebie rękoma. Will zgadywał z obwodu plamy, że chłopak nie poprzestał na jednym nadgarstku. Podciął żyły na obu, żeby mieć pewność, że się uda.

Will wszedł do celi z cokolwiek klaustrofobicznym uczuciem. Przebiegł wzrokiem po wykładanych pustakami ścianach, metalowej ramie łóżka, cienkim materacu. Toaleta i umywalka ze stali nierdzewnej były połączone w jeden sanitariat. Muszla klozetowa wyglądała na czystą, ale w pomieszczeniu unosiła się ostra woń moczu. Na zlewie leżała szczoteczka do zębów, metalowy kubeczek i mała tubka pasty podobna do tych rozdawanych w hotelach. Will nie należał do przesądnych, ale nie mógł się uwolnić od myśli, że Tommy Braham, pogrążony w rozpacz, odebrał tu



sobie życie niecałe osiem godzin temu. W pomieszczeniu nadal wyczuwało się aurę śmierci.

– Nie ja – powiedział Knox.

Will się odwrócił, nie wiedząc, co funkcjonariusz ma na myśli.

Policjant wskazał głową na spłowiałą ścianę.

– Tak właśnie napisał. „Nie ja” – rzucił wymownym tonem. – Jeśli nie ty, koleś, to czemu żeś się zabił?

Will jakoś nigdy nie widział pożytku w proszeniu trupa, by wyjaśnił, co nim kierowało, zatem przekierował pytanie do Knoksa:

– Dlaczego pana zdaniem upierał się, że nie zabił Allison Spooner?

– Mówiłem już. – Knox dotknął czoła. – Nie miał wszystkich w domu.

– Chory na umyśle?

– Nie, po prostu głupi jak but.

– Za głupi, żeby być w stanie kogoś zabić?

– Taa, chciałbym, żeby coś takiego istniało. Nie musiałbym w kółko mieć się na baczności przed moją starą, gdy ma ciotę.

Roześmiał się gromko i Will niechętnie się przyłączył, odsuwając na bok myśli o Tommym: jak leżał na posadzce celi, raz po raz przeciągając metalowym wkładem po nadgarstku. Ile czasu minęło, zanim w końcu otworzył żyły? Czy skóra zrobiła się gorąca na skutek tarcia? Czy metalowy wkład się nagrzał? Jak długo trwało, zanim z ciała wypłynęło dosyć krwi, by serce przestało bić?

Odwrócił się plecami do na wpół zmytych liter na ścianie. Nie chciał psuć świeżo zadzierzgniętej, nawet jeśli fałszywej, komitywy z Knoksem.

– Znał pan Allison Spooner?

– Pracowała w restauracji. Wszyscy żeśmy ją znali.

– Co może pan o niej powiedzieć?

– Dobra była z niej dziewczyna. Szybko roznosiła dania. Nie sterczała godzinami, pytlując bez końca. – Spuścił wzrok na podłogę, pokręcił głową. – I niebrzydka. Widzi mi się, że właśnie przez to wpadła Tommy’emu w oko. Biedaczka. Pewnie myślała, że jest nieszkodliwy.

– A miała jakichś przyjaciół? Chłopaka?

– Nie, poza tym Tommym. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś inny się koło niej kręcił. – Wzruszył ramionami. – Nie żebym specjalnie zwracał uwagę. Żona nie lubi, gdy oczy mi chodzą.

– A Tommy'ego często widywał pan w restauracji?

Knox pokręcił głową. Will widział, że jego cierpliwość się kończy.

– Mogę porozmawiać z tym od pobitej żony?

– Palcem jej nie tknąłem! – wrzasnął osadzony, waląc dłonią w drzwi celi.

– Cienkie ściany – zauważył Will.

Knox opierał się o drzwi z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Kieszonkę na piersi marszczył mu srebrny długopis przyczepiony do materiału.

– Mógłbym pożyczyć pański długopis?

Knox dotknął klipsa.

– Niestety, to jedyny, jaki mam.

Will poznał logo firmy Cross.

– Ładny.

– Komendant Tolliver dał je nam na gwiazdkę rok przed śmiercią.

– Wszystkim wam? – Policjant skinął głową. Will cicho zagwizdał. – Musiały go słono kosztować.

– Na pewno tanie nie były.

– Mają specjalne wkłady, prawda? Metalowe?

Funkcjonariusz już otwierał usta, żeby odpowiedzieć, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język.

– Kto jeszcze taki dostał? – naciskał Will.

Knox wydał usta w szyderczym uśmieszku.

– Wal się pan.

– Nie ma sprawy. Spytałem Sarę, kiedy się z nią później zobaczę.

Knox stanął prosto, blokując wyjście.

– Radzę uważać, agencie Trent. Ostatni gość, który był w tej celi, nie skończył za dobrze.

Will się uśmiechnął.

– Myślę, że potrafię o siebie zadbać.

– Serio?

Will wyszczerzył zęby.

– Mam taką nadzieję, bo wydaje mi się, że pan mi grozi.

– Myślisz pan? – Knox walnął w otwarte drzwi celi. – Słyszałeś, Ronny? Pan z GBI twierdzi, że mu grożę.

– Co mówisz, Larry? – odkrzyknął damski bokser. – Ni w ząb nic nie słyszę przez te grube ściany. Ani słowa.

Will siedział w pokoju przesłuchań, starając się oddychać przez usta, kiedy oglądał fotografie, które otrzymał od Sary.

Funkcjonariusz Knox odwołał swoją propozycję obmycia węzłem żonobijcy. Will musiał znosić smród wymiocin przez dwadzieścia minut, dopóki nie dał sobie spokoju z przesłuchaniem. W Atlancie Ronny Porter wyśpiewałby wszystko za obietnicę zwolnienia, podał Willowi każdą informację na tacy, byleby tylko wydostać się z paki. W małych miastach było inaczej. Zamiast próbować wynegocjować jakiś układ, Porter bronił każdego policjanta z komendy. Piał nawet peany na cześć Marli Simms, która jakoby uczyła go kiedyś w szkółce niedzielnej.

Will rozłożył kserokopie akt, usiłując ułożyć dokumenty w jakimś porządku. Przyznanie się do winy Tommy'ego Brahama było napisane odręcznie, kopia z ksero miała ciemniejszy odcień na skutek żółtego koloru oryginału. Odłożył je na bok. Protokół oględzin miejsca zdarzenia niczym się nie różnił od tych, z którymi miał do czynienia w GBI: poszczególne pola formularza wyznaczały miejsca na odręczne wpisanie daty, godziny, pogody i innych szczegółów. Na liście pożegnalnym odbiło się światło z kserokopiarki i litery były rozmazane.

Dwie inne kartki zawierały kopie zapisków z małego policyjnego notatnika, jaki większość funkcjonariuszy nosi w kieszeni spodni: na jednej kserokopii mieściły się ułożone rzędem cztery strony. W sumie Will miał odbite osiem stron wyrwanych z notatnika. Przyjrzał im się dokładniej. Widział niewyraźne ślady w miejscu, gdzie przyklejono je taśmą do większego arkusza w celu skopiowania. Zamiast poszarpanego górnego brzegu, gdzie kartki

oderwano od spirali, znajdowała się równa linia, jakby ktoś odciął je nożyczkami. To wydało mu się najdziwniejsze – nie tylko dlatego, że policjanci raczej nie bywali staranni, ale także dlatego, że jeszcze nigdy w swojej karierze nie słyszał, żeby gliniarz wrywał kartki ze swojego notatnika.

Zbiór wieńczyła kopia nakazu aresztowania, ale ta część procedury była przynajmniej skomputeryzowana. Wszystkie pola formularza zostały wypełnione maszynowo. Nazwisko podejrzanego znajdowało się na górze, podobnie jak jego adres i numer telefonu. Will znalazł miejsce z danymi pracodawcy Tommy'ego. Pochylił się nad dokumentem, zmrużył oczy i zaczął wolno przesuwac palcem pod maleńkimi czcionkami. Poruszał ustami, próbując odczytać na głos nazwisko, ale był zmęczony po nużącej podróży. Litery przeskakiwały mu przed oczyma, mieszały się. Zamrugął, klnąc kiepskie oświetlenie.

W jednej sprawie Sara Linton miała rację. Bitą godzinę siedziała obok Willa i nie zorientowała się, że jest dyslektykiem.

Zadzwońiła jego komórka, nagły hałas w małej przestrzeni sprawił, że odruchowo się wzdrygnął. Poznał numer Faith Mitchell.

– Witaj.

– Miałeś do mnie zadzwonić, gdy dotrzesz na miejsce.

– Trochę tu było zamieszania – powiedział, poniekąd zgodnie z prawdą. Jego orientacja przestrzenna zawsze kulała, a nawigacja nie obejmowała części Heartsdale między centrum miasteczka a autostradą.

– No i jak leci? – spytała.

– Traktują mnie tu z bezbrzezną atencją i szacunkiem.

– Na twoim miejscu nie piłabym niczego, co nie pochodzi z fabrycznie zamkniętej butelki.

– Dobra rada. – Opadł na oparcie. – A ty jak się trzymasz?

– Jestem bliska zabicia kogoś albo siebie – przyznała. – Na jutrzejsze popołudnie zaplanowali cesarkę.

Faith była diabetyczką. Lekarze chcieli mieć kontrolę nad porodem, tak by jej zdrowie nie poniosło uszczerbku. Zaczęła przedstawiać mu szczegóły zabiegu, ale się wyłączył, kiedy po raz

drugi użyła słowa „macica”. Studiował swoje odbicie w weneckim lustrze i zastanawiał się, czy pani Simms ma rację, twierdząc, że lepiej mu w dłuższych włosach.

Wreszcie Faith skończyła swoją opowieść.

– A co to za dokumenty, które przysłałeś mi faksem? – spytała.

– Dostałaś wszystkie dwanaście stron?

Słyszał, jak liczy arkusze.

– W sumie mam siedemnaście. Wszystkie z tego samego numeru.

– Siedemnaście? – Podrapał się po brodzie. – Może niektóre są zdublowane?

– Nie. Mam jakąś policyjną notatkę urzędową, odbitki zapisków z notatnika służbowego... kartki wyrwano, dziwne, nie usuwa się stron z notesu policyjnego – i mam też... – Domyślił się, że czyta przyznanie się do winy Tommy’ego Brahama. – Ty to pisałeś?

– Bardzo śmieszne – powiedział. Nie był w stanie odcyfrować słów, kiedy Sara pokazała mu w samochodzie kartkę z wyjaśnieniami chłopca, ale nawet jemu okrągłe, pełne zawijasów pismo Tommy’ego wydało się dziwne. – Co o tym sądzisz?

– Sądzę, że przypomina jedno z wypracowań Jeremy’ego, kiedy był w pierwszej klasie.

Mówiła o swoim nastoletnim synu.

– Tommy Braham skończył dziewiętnaście lat.

– Niedorozwinięty czy co?

– Teraz się mówi „intelektualnie niepełnosprawny”.

Prychnęła.

– Sara twierdzi, że jego iloraz inteligencji wahał się w granicach osiemdziesięciu.

– A niby skąd akurat Sara może znać jego IQ? – W jej głosie słychać było podejrzliwość; bardzo źle zniosła wtrącanie się lekarki do ich śledztwa ostatnim razem.

– Leczyła go w swojej przychodni.

– Przeprosiła w ogóle, że cię ściągnęła z urlopu na to zadupie?

– Nie wie, że miałem urlop, ale owszem, przeprosiła.

Faith milczała przez chwilę.

– A jak ona się trzyma?

Will pomyślał nie o Sarze, lecz o zapachu, który zostawiła na jego chustce. Nie wydała mu się typem kobiety używającej perfum. Może to było jedno z tych fikuśnych zapachowych mydeł, którymi kobiety myją twarz.

– Will?

Odchrząknął, żeby zatuszować milczenie.

– W porządku. Była bardzo zdenerwowana, ale sądzę, że niebezpiecznie. – Ściszył głos. – Coś tutaj bardzo nie gra.

– Myślisz, że Tommy nie zabił tej dziewczyny?

– Nie wiem jeszcze, co myślę.

Faith zamilkła, co nigdy nie oznaczało niczego dobrego.

Pracowali razem ponad rok i właśnie kiedy Will miał wrażenie, że zaczyna uczyć się odczytywać jej nastroje, zaszła w ciążę i wszystko wzięło w łeb.

– Dobra – rzuciła w końcu. – Co jeszcze Sara mówiła?

– Opowiadała o mężczyźnie, który zabił jej męża.

Will wiedział, że Faith już jakiś czas temu sprawdziła za plecami lekarki szczegóły tej tragedii. Nie wiedziała jednak o roli, jaką odegrała w niej Lena Adams, ani o tym, że Sara obarcza policjantkę odpowiedzialnością za śmierć Jeffreya Tollivera. Wstał i wyszedł na korytarz, żeby się upewnić, że nie ma tam Knoksa. Mimo to ściszył głos, kiedy relacjonował opowieść lekarki. Gdy skończył, Faith przeciągle westchnęła.

– Coś mi się widzi, że Sara jest cięta na tę Adams.

Usiadł z powrotem za biurkiem.

– Delikatnie rzecz ujmując. – Zachował dla siebie to, co go w opowieści Sary najbardziej uderzyło. Ani razu nie wymówiła imienia Tollivera. Przez cały czas mówiła o nim „mój mąż”.

– Myślę, że w pierwszej kolejności trzeba dotrzeć do tej Julie Smith – zasugerowała Faith. – Musiała albo widzieć zabójstwo, albo o nim słyszeć. Masz numer jej komórki?

– Sara da mi go później.

– Później?

Zignorował pytanie. Faith natychmiast zażądałaby wyjaśnień, dlaczego Will je kolację w domu lekarki, a potem chciałyby jeszcze,

żeby zdał jej relację, jak poszło.

– Gdzie pracuje... pracował Tommy Braham?

Przerzuciła dokumenty.

– Tu jest napisane, że w kręgielni. Może dlatego się zabił, żeby nie musieć już całymi dniami psikać lizolem do butów.

Will puścił żart mimo uszu.

– Z mety postawili mu zarzut zabójstwa. Nie usiłowania, nie napaści, nie stawiania oporu.

– A skąd w ogóle wytrzasnęli zabójstwo? Czyżbym przeoczyła protokół sekcji? Ekspertyzy kryminalistyczne? Wynik badań z laboratorium?

Will wyłuszczył jej sytuację.

– Brad Stephens zostaje ugodzony nożem. Transportują go helikopterem do szpitala. A Adams z marszu zabiera Brahama na dołek i wyciąga od niego przyznanie się do zabójstwa Allison Spooner.

– Nie pojechała do szpitala z partnerem?

– Zakładam, że komendant pojechał. Nie pokazał się w komendzie.

– Braham składał wyjaśnienia w obecności adwokata? – Faith zaraz sama odpowiedziała sobie na pytanie. – Żaden papuga nie pozwoliłby mu napisać tego przyznania się.

– Zarzut zabójstwa ma większą siłę rażenia niż napaści. Może to było polityczne zagranie: zapewnić sobie poparcie miasteczka, żeby nikt nie darł szat nad samobójstwem jakiegoś tam mordercy w celi.

– Wcześniej Will powiedział to samo Sarze. Jeśli ludzie byliby przekonani, że Tommy zabił dziewczynę, uznaliby, że z chwilą jego śmierci dokonana się sprawiedliwość.

– To przyznanie się jest jakieś lewe – stwierdziła Faith. – Szczegółów od groma do chwili zabójstwa. Potem nagle zamyka się w trzech liniijkach. „Zezłościłem się. Miałem przy sobie nóż. Dźgnąłem ją raz w kark”. Nie rozwodzi się przesadnie nad motywami. – Dodała: – Poza tym przy takiej ranie musiałoby być krwi od metra i trochę. Pamiętasz sprawę tej kobiety z podejrzanym gardłem?

Will wzdrygnął się na samo wspomnienie. Wszystko na miejscu zdarzenia było powalane na czerwono: ściany, sufit, podłoga. Niczym w kabinie lakierniczej u mechanika.

– Allison Spooner została pchnięta w kark. Może przy takim obrażeniu jest inaczej?

– Tu pojawia się kolejna kwestia. Jedno dźgnięcie jakoś nie bardzo pasuje mi do działania w afekcie. Moim zdaniem pachnie premedytacją.

– Detektyw Adams pewnie się spieszyła, żeby pojechać do szpitala. Może planowała kolejne przesłuchanie. Może komendant Wallace zamierzał sam wziąć chłopaka w obroty później.

– Tak się nie robi. Jeśli podejrzany mówi, zwłaszcza przyznaje się do czynu, drążysz każdy szczegół.

– Jak na razie nie zauważyłem, żeby miejscowi przejawiali specjalny dryg do policyjnej roboty. Sara uważa, że Adams jest nieudolna, poczyną sobie zbyt swobodnie. Z tego co widzę na przykładzie śledztwa w sprawie Spooner, ma dużo racji.

– Ładna?

Przez chwilę Will myślał, że pyta o Sarę.

– Nie widziałem jeszcze zdjęcia, ale policjant, z którym rozmawiałem, twierdzi, że niczego sobie.

– Młoda dziewczyna, studentka. Prasa się na to rzuci, zwłaszcza jeśli była atrakcyjna.

– Prawdopodobnie – przyznał. A to dawało miejscowej policji kolejny powód, by jak najszybciej wsadzić za kratki domniemanego zabójcę. – Pracowała w miejscowej restauracji. Najwyraźniej wielu funkcjonariuszy ją znało.

– To by wyjaśniało, dlaczego się tak pospieszyli z aresztem.

– Niewykluczone – zgodził się. – Ale jeśli Sara ma rację i Tommy nie zabił dziewczyny, to nadal mamy na wolności zabójcę.

– Kiedy będzie sekcja?

– Jutro. – Nie powiedział jej, że Sara samorzutnie podjęła się jej zrobienia.

– Wszystko wydaje się tak zastanawiająco dogodnie składać – zauważyła Faith. – Rano zostaje wyłowiona nieżywa dziewczyna,



zabójca aresztowany przed południem, a przed kolacją znaleziony martwy w celi.

– Jeśli Brad Stephens się nie wyliże, prawdopodobnie nie pozwolą pochować Brahama w granicach miasta.

– Kiedy wybierasz się do szpitala?

– W ogóle się nie wybieram.

– Will, ranny policjant walczy o życie. Jeśli znajdujesz się w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów, jedziesz go odwiedzić. Siedzisz kamieniem na korytarzu, pocieszasz jego żonę albo matkę. Oddajesz krew. Tak robią gliniarze.

Will gryzł wargę. Nie cierpiał szpitali. Nigdy nie mógł pojąć, dlaczego trzeba w nich wysiadywać, gdy nie jest to absolutnie niezbędne.

– Poza tym Brad chyba też jest świadkiem?

Will się roześmiał. Jeśli Stephens nie jest frajerem i nie urwał się z choinki, małe były szanse, by rzucił trochę światła na wczorajsze wydarzenia.

– Głowę daję, że będzie tyleż rozmowny, ile uprzejmy.

– Mimo to musisz to odwalić. – Urwała na chwilę. – A ponieważ sama jestem gliniarzem, pozwól, że stwierdzę oczywisty fakt, który narzuca się każdemu gliniarzowi: Tommy zabił się z tego samego powodu, z jakiego uciekał, kiedy przyłapali go w garażu: bo był winny.

– Albo nie był, ale wiedział, że nikt mu nie uwierzy.

– Gadasz jak adwokat – zauważyła Faith. – A co z resztą tych dokumentów? Wyglądają na pierwsze strony jakiejś powieści.

– Co masz na myśli?

– „Na brzegu, około dwudziestu siedmiu metrów od linii rozlewiska i mniej więcej trzy i pół metra od dużego dębu, znajduje się para damskich butów sportowych koloru białego, marki Nike w rozmiarze trzydzieści siedem. We wnętrzu lewego, na futrówce barwy niebieskiej ozdobionej na wysokości pięty słowem „sport”, spoczywa żółtozłoty zegarek...” No błagam. To nie jest *Wojna i pokój*, tylko policyjna notatka z miejsca zdarzenia.

– Dostałaś list pożegnalny?

– „Chcę z tym skończyć”. – Zdanie Faith nie różniło się od opinii Willa. – Niezupełnie „żegnaj, okrutny świecie”, jakiego można by się spodziewać. A kartka oderwana jest od większego kawałka. To dziwne, prawda? Pisać list pożegnalny przed popełnieniem samobójstwa na jakimś świstku?

– Co jeszcze masz? Powiedziałaś, że dostałaś siedemnaście stron.

– Notatki urzędowe z interwencji. – Odczytała na głos. –

Wezwanie do wrotkarni na Old Highway 5 około dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt... – Urwała, przebiegając wzrokiem słowa. – Dobra. W zeszłym tygodniu Tommy wdał się w awanturę z jakąś dziewczyną, której personaliów nie uznali za stosowne odnotować. Darł się jak opętany. Poproszono go o opuszczenie toru. Odmówił. Przyjechała policja i kazała mu się zabierać. Więc się zabrał. Nikogo nie aresztowano. – Zamilkła na chwilę. – Druga interwencja, sprzed pięciu dni, dotyczy zakłócenia porządku przez szczekającego psa. Ostatnia za głośnej muzyki. Ta jest sprzed dwóch dni. Na końcu jest adnotacja przyjmującego zgłoszenie gliniarza o konieczności skontaktowania się z ojcem Tommy’ego po jego powrocie do miasta.

– Kto prowadził interwencje?

– Ten sam funkcjonariusz. Carl Phillips.

Nazwisko brzmiało bardziej niż znajomo.

– Powiedziano mi, że Carl Phillips feralnego dnia pełnił służbę profosa.

– To bez sensu. Nie kieruje się gliniarza z pionu prewencji do wycierania krzesel za biurkiem aresztu.

– Albo jest bardzo kiepskim kłamcą, albo boją się, że powie mi prawdę.

– No to znajdź go i się przekonaj.

– Ponoć właśnie wyjechał z żoną i dziećmi pod namiot. Bez komórki. Nie ma jak się z nim skontaktować.

– Cóż za cudowny zbieg okoliczności. Nazywa się Carl Phillips, tak?

– Mhm. – Will wiedział, że Faith zapisuje nazwisko. Nie znosiła, kiedy się ją wodziło za nos. Dodał: – Monitoring w celach też

nawalił.

– Nagrali na taśmie przesłuchanie Tommy’ego?

– Nawet jeśli, to głowę dam, że ją także spotkał jakiś nieszczęśliwy wypadek z udziałem prądu i wody.

– Cholera, Will. Sam ponumerowałeś strony, tak?

– Tak.

– Od pierwszej do dwunastej?

– Zgadza się. A dlaczego?

– Brakuje jedenastej.

Przekartkował swoje oryginały, ale były pomieszane.

– Jesteś pewien, że ponumerowałeś wszystkie...

– Umieję ponumerować strony, Faith. – Zaklął pod nosem, gdy się zorientował, że z jego kopii także zniknęła jedenasta strona.

– Po co ktoś miałby zabrać jedną kartkę, a zamiast niej przesłać policyjne notatki z interwencji?

– Będę musiał sprawdzić, czy Sara...

Usłyszał jakiś odgłos za plecami. Jakby ktoś kaszlnął, może kichnął. Domyślił się, że Knox stoi w pokoju za wenecką szybą i słucha każdego słowa.

– Will?

Wstał, złożył papiery i umieścił je w teczce.

– Nadal masz zamiar jechać do mamy na święta?

Nie odpowiedziała od razu, błędnie interpretując jego pytanie.

– Wiesz, że poprosiłabym, żebyś przyjechał, jeśli...

– Angie chce mi zrobić niespodziankę. Wiesz, jak uwielbia gotować. – Wyszedł na korytarz i zastukał w drzwi magazynku. – Dziękuję bardzo za pomoc, funkcjonariuszu Knox. – Drzwi pozostały zamknięte, ale Will usłyszał szuranie stóp po drugiej stronie. – Sam znajdę drogę do wyjścia.

Faith nie pytała o nic, dopóki nie znalazł się w pomieszczeniu operacyjnym.

– Możesz mówić?

– Daj mi jeszcze minutkę.

– Angie uwielbia gotować? – Zaśmiała się gromko, z głębi trzewi.

– Kiedy ostatni raz widziałeś nieuchwytną panią Trent?

Minęło siedem miesięcy od ostatniego pojawienia się Angie, ale to nie była sprawa Faith.

– Jak się miewa Betty?

– Wychowałam dziecko, Will. Myślę, że potrafię zająć się twoim psem.

Will pchnął szklane drzwi i wyszedł na mżawkę. Jego samochód stał na końcu parkingu.

– Psy są bardziej wrażliwe od dzieci.

– Ewidentnie nigdy nie miałeś do czynienia z naburmuszonym jedenastolatkiem.

Zerknął przez ramię. Knox, a przynajmniej ktoś bardzo go przypominający, stał w oknie. Will szedł wolnym, swobodnym krokiem. Nie mówił nic, dopóki nie znalazł się bezpiecznie w samochodzie.

– Za zabójstwem tej dziewczyny kryje się coś jeszcze, Faith.

– Co masz na myśli?

– Nazwij to intuicją. – Will jeszcze raz popatrzył na komendę. Światła przed budynkiem zgasły jedno po drugim. – Nie zastanawia cię, że jedyna osoba, która prawdopodobnie mogłaby powiedzieć mi prawdę o tym, co się wydarzyło, nie żyje?

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Lena trzymała Brada za rękę. Miał chłodną skórę. Aparaty w pokoju brzęczały, buczały i szumiały, ale żaden nie był w stanie powiedzieć lekarzom, jak naprawdę chłopak się czuje. Słyszała, jak kilka godzin temu jedna z pielęgniarek stwierdziła, że „na dwoje babka wróżyła”, ale zdaniem Leny Brad wyglądał tak samo. Pachniał też identycznie. Środkiem antyseptycznym, potem i tym głupim płynem do kąpieli Axe, którego zaczął używać pod wpływem telewizyjnych reklam.

– Wylizesz się – powiedziała, modląc się, by była to prawda.

W uszach dźwięczało jej niczym dzwon każde złe słowo na jego temat, które przeszło jej dziś przez głowę. Że brak mu zaradności. Że nie jest stworzony do tej roboty. Że nie ma zadatków na dochodzeniowca. Czy Lena ponosi winę za jego obecny stan, ponieważ trzymała usta na kłódkę? Może powinna była otwarcie powiedzieć Frankowi, że Brad się nie nadaje? Ale Frank sam najlepiej to wiedział. Przez ostatnie dwa lata co tydzień przebąkiwał o wylaniu chłopaka ze służby. Dziesięć minut przed wypadkiem mieszał go z błotem.

Ale czy to naprawdę była wina Brada? Lena bez końca odtwarzała sobie w głowie jak na filmie wydarzenia tego ranka. Brad biegnie ulicą. Każe Tommy'emu się zatrzymać. Ten staje. Odwraca się. Trzyma w dłoniach nóż. Chwilę później ostrze jest już w brzuchu Brada.

Potarła dłońmi twarz. Powinna sobie gratulować, że udało jej się skłonić Brahama do przyznania się. Ale zamiast tego nie dawało jej spokoju wrażenie, że coś przegapiła. Musi porozmawiać z Tommym

jeszcze raz, wyciągnąć z niego więcej szczegółów na temat tego, co robił przed zabójstwem Allison i potem. Coś przed nią ukrywał, co się często zdarzało w sprawach o zabójstwo. Nie chciał przyznać, że jest złym człowiekiem. To akurat rzucało się w oczy w całym przesłuchaniu. Skrzętnie pomijał wszystkie drastyczne szczegóły, a Lena nie naciskała, bo chciała – musiała – pojechać do Brada i sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku. Nie była na tyle wyczerpana, by nie zauważyć, że Tommy ma coś więcej do powiedzenia. Chciała tylko trochę się przespać, zanim znowu się do niego zabierze. Musiała się upewnić, że jej część śledztwa, przynajmniej ta, nad którą miała kontrolę, jest dopięta na ostatni guzik.

Największy problem polegał na tym, że z Tommym tak potwornie trudno się rozmawia. Już w pierwszej minucie przesłuchania domyśliła się, że dzieciak ma coś z głową. Nie był tępawy, lecz po prostu głupi. Gotów powiedzieć wszystko, co chciała usłyszeć, pod warunkiem że dawała mu odpowiednie wskazówki. Obiecała, że wróci do domu, jeśli tylko się przyzna. Nadal widziała wyraz dezorientacji malujący się na jego twarzy, gdy prowadziła go z powrotem do celi. Teraz pewnie siedzi na pryczy, zachodząc w głowę, jak, na Boga, się w to wpakował.

Lena łamała sobie głowę nad tym samym. Wszystkie kawałki układanki tak szybko ułożyły się w całość dziś rano, że nie miała czasu się zastanowić, czy naprawdę pasują, czy też wciska je na siłę. Rana na karku Allison Spooner. List pożegnalny. Telefon pod 911. Nóż.

Ten głupi nóż.

Komórka zawibrowała jej w kieszeni. Zignorowała ją, tak jak ignorowała wszystko inne od chwili przyjazdu do szpitala. Dwie godziny z Tommym na komendzie. Dwie godziny jazdy do Macon. Kolejne godziny spędzone na czuwaniu przed salą. Oddała krew. Wypiła zbyt wiele kawy. Delia Stephens, matka Brada, poszła zaczerpnąć trochę powietrza. Zgodziła się zostawić syna pod opieką Leny. Tylko do niej miała zaufanie.

Dlaczego? Lena była ostatnią osobą na ziemi, której biedaczka

powinna powierzać swoje dziecko.

Wyciągnęła chusteczkę z pudełka i zmoczyła brzeg w kubku wody stojącym przy łóżku. Brad był zaintubowany, podłączony do respiratora i trochę zaschniętej śliny zebrało mu się w kąciakach ust. Płuca się zapadły. Wątroba była uszkodzona. Krwotok wewnętrzny masywny. Lekarze bali się zakażenia. Bali się, że nie dożyje rana.

Otarła mu podbródek, z zaskoczeniem wyczuwając zarost. Zawsze myślała o Bradzie jak o chłopcu, ale twarde meszek na twarzy, wielkość dłoni, którą trzymała w swojej, przypomniały jej, że jest już dorosłym mężczyzną. Znał ryzyko wiążące się z pracą gliniarza. Był pierwszym funkcjonariuszem na miejscu zdarzenia, kiedy zginął Jeffrey. Nigdy na ten temat nie rozmawiał, ale zmienił się od tego czasu. Dojrzał. Śmierć komendanta stanowiła ponure ostrzeżenie, że nikt z nich nie jest nietykalny w oczach przestępców.

Znowu poczuła wibrowanie telefonu. Wyjęła go z kieszeni i przewinęła listę połączeń. Dzwoniła wcześniej do wujka Hanka na Florydzie, żeby dać mu znać, że jest cała i zdrowa, na wypadek gdyby w mediach pojawiła się informacja o dzisiejszych wydarzeniach. Kiedy pakowała Brahama do radiowozu, zadzwonił Jared. Był gliniarzem. Słyszał o napaści przez policyjne radio. Powiedziała mu tylko: „Nic mi nie jest” i rozłączyła się, zanim zdążyła się rozplakać.

Wszystkie inne nieodebrane połączenia były od Franka. Od pięciu godzin starał się z nią skontaktować. Nie widziała go od chwili, kiedy odleciał z Bradem helikopterem, który wylądował na środku ulicy. Spojrzenie jego kaprawych oczu opowiedziało jej historię, której nie chciała znać. A teraz bał się, że ona powie wszystkim, co wie.

Powinien się bać.

Aparat zadzwonił ponownie, kiedy trzymała go w dłoni, ale wcisnęła przycisk i trzymała, dopóki się nie wyłączył. Nie miała ochoty rozmawiać z Frankiem, wysłuchiwać jego kolejnych wymówek. Widział, co i dlaczego poszło nie tak. Wiedział, że –

podobnie jak Lena – ma na rękach krew Brada, może nawet w większym niż ona stopniu.

Powinna po prostu odejść. Wymówienie od tygodni spoczywało w kieszeni jej żakietu. W rekordowym czasie uzyskała przyznanie się do winy Tommy’ego. Niech ktoś inny biedzi się i wyciąga z niego szczegóły. Niech jakiś inny gliniarz przez kolejne dwie godziny gapi się na jego rozdziawioną buzię, usiłując dociec, co się dzieje w tym ptasim mózdzku. Lena zrobiła, co do niej należało. Duch Jeffreya nie może trzymać jej tu dłużej po tym, co się dzisiaj stało.

Do sali wróciła Delia Stephens. Choć mocno przy kości, cicho poruszała się przy łóżku, poprawiając poduszki, całując syna w czoło. Odgarnęła mu rzednące włosy z czoła.

– Kocha pracę w policji.

Lenie udało się jakoś wydobyć z siebie głos.

– Świetnie się spisuje.

Delia się uśmiechnęła.

– Zawsze chciał, żebyś była z niego zadowolona.

– Byłam – skłamała. – Jest dobrym detektywem, pani Stephens.

Ani się nie obejrzymy, a wróci z powrotem na ulicę.

W oczach kobiety pojawił się niepokój. Potarła ramię Brada.

– Może uda mi się go namówić, żeby przerzucił się na sprzedaż ubezpieczeń ze swoim wujkiem Sonnym.

– Będzie pani miała jeszcze mnóstwo czasu, żeby go przekonać. – Głos jej się załamał. Ten fałszywy optymizm nie mógł zwieść nikogo.

Delia wstała. Splotła dłonie przed sobą.

– Dziękuję, że przy nim czuwałaś. Zawsze czuję się spokojniejsza, kiedy jest z tobą.

Lenie znowu zakręciło się w głowie. To pomieszczenie było zbyt małe, zbyt gorące.

– Pójdę na chwilę do toalety.

Delia uśmiechnęła się z tak wyraźną wdzięcznością, że Lena miała wrażenie, jakby ktoś zatapiał jej nóż w sercu.

– Nie spiesz się, kochanie. Miałaś ciężki dzień.

– Zaraz wracam.



Ruszyła korytarzem z podniesioną głową. Przed poczekalnią OIOM-u stało na straży kilku funkcjonariuszy policji okręgowej. W środku widziała kłębiących się miejscowych gliniarzy z Macon. Nigdzie nie było śladu Franka Wallace'a. Najprawdopodobniej wycierał stołki w jakimś barze, zapijając robaka i niesmak w ustach. Lepiej, żeby go teraz nie widziała. Gdyby natknęła się na niego tu, na korytarzu, wykrzyczałaby mu w twarz jego picie, kłamstwa – wszystko, na co przymykała oczy przez ostatnie cztery lata. Ale już ani dnia dłużej. Dosyć. Po tym, co zdarzyło się dzisiaj, jej lojalność wobec tego człowieka diabli wzięli.

Zobaczyła za to Gavina Wayne'a, komendanta policji w Macon. Skinął jej głową, gdy przechodziła. Kilka tygodni temu zaproponował, by przeszła do jego zespołu. Odbierała wtedy Jareda ze służby, bo jego ciężarówka była w warsztacie. Lubiła komendanta Wayne'a, ale Macon to duże miasto, a on sam był bardziej politykiem niż policjantem. Zupełnie nie przypominał Jeffrey'a, co wydawało się przeszkodą nie do przezwyciężenia, gdy złożył jej propozycję.

Otworzyła drzwi damskiej toalety i z zadowoleniem stwierdziła, że jest pusta. Odkręciła kurek, na ręce poląła jej się zimna woda. Myślała już z tysiąc razy, ale krew – Brada, a także jej własna – nadal tkwiła pod paznokciami.

Dostała w rękę. Kula zdarła spory kawał skóry z zewnętrznej krawędzi dłoni. Opatrzyła ją własnoręcznie, korzystając z apteczki na komendzie. Co dziwne, nie krwawiła mocno. Może temperatura pocisku skauteryzowała naczynia. Mimo to musiała nalepić trzy nachodzące na siebie plastry, by zakryć ranę. Z początku ból był jeszcze znośny, ale teraz, kiedy pierwszy wstrząs minął, cała dłoń ją rwała. Nie mogła prosić nikogo w szpitalu, by rzucił na nią okiem. Rany postrzałowe obowiązkowo zgłaszano. Będzie musiała skołować od kogoś antybiotyki, żeby nie wdało się zakażenie.

Ale przynajmniej była to lewa ręka. Sięgnęła prawą do kurka i dodała trochę ciepłej wody do zimnej. Czowała się brudna. Zmoczyła papierowy ręcznik, nabrała ciut mydła z podajnika i umyła się pod pachami. Potem szybko przemyła krocze i twarz. Jak długo jest już

na nogach? Brad zadzwonił z informacją o ciele w jeziorze około trzeciej nad ranem. Kiedy ostatni raz zerknęła na zegar, dochodziła dwudziesta druga. Nic dziwnego, że słańia się na nogach na wpół przytomna ze zmęczenia.

– Lee?

W drzwiach toalety stał Jared Long w mundurze motocyklowego patrolu. Buty miał zdarte z wierzchu, włosy potargane. Serce zabiło Lenie żywiej na jego widok.

– Nie powinieneś tu być – rzuciła szybko.

– Mój oddział przyjechał oddać krew.

Puścił drzwi, pozwalając, żeby zamknęły się za nim. Miała wrażenie, że minęła cała wieczność, zanim przeszedł tych kilka kroków i wziął ją w ramiona. Położyła głowę na jego ramieniu. Pasowała do niego jak brakujący kawałek układanki.

– Przepraszam, kochanie.

Chciała się rozplakać, ale nie miała już łez.

– O mało nie umarłem, kiedy usłyszałem, że jedno z was jest ranne.

– Mnie nic nie jest.

Ujął jej dłoń, zobaczył plastry, którymi zabezpieczyła ranę.

– Co się stało?

Znowu przycisnęła twarz do jego piersi. Słyszała, jak mu bije serce.

– Wszystko poszło nie tak.

– Wiem, kotku.

– Nie – powiedziała. – Nic nie wiesz. – Oderwała się od niego, ale pozwalała, by nadal ją trzymał w ramionach. Chciała mu powiedzieć, co się naprawdę stało – nie wersję, która znajdzie się w raportach i w mediach. Chciała wyznać swoją winę, zrzucić kamień z serca.

Ale kiedy spojrzała w jego ciemnobrązowe oczy, słowa uwięzły jej w gardle.

Jared był o dziesięć lat od niej młodszy. Wydawał jej się taki czysty i doskonały. Nie miał śladu kurzych łapek czy zmarszczek dokoła ust. Jedyna blizna na jego ciele była pamiątką po pechowym

bloku podczas jednego z meczów futbolowych w liceum. Jego rodzice nadal byli szczęśliwym małżeństwem. Młodsza siostra patrzyła w niego jak w obraz. Słowem był z gruntu i zupełnie nie w jej typie. Stanowił doskonałe przeciwieństwo mężczyzn, z jakimi się do tej pory spotykała.

Kochała go tak bardzo, że aż ją to przerażało.

– Powiedz mi, co się stało – poprosił.

Zdecydowała się na półprawdę.

– Frank był pijany. Nie miałam pojęcia jak bardzo, dopóki... –

Pokręciła głową. – Może po prostu nie zwracałam na to uwagi.

Ostatnio w ogóle dużo pije. Zwykle nad tym panuje, ale...

– Ale?

– Mam dość. Składam rezygnację. Zrobię sobie trochę wolnego.

Muszę poukładać sobie wszystko w głowie.

– Możesz wprowadzić się do mnie, dopóki nie postanowisz, co dalej.

– Tym razem mówię serio. Naprawdę odchodzę.

– Wiem i się cieszę. – Położył jej dłonie na ramionach, żeby na nią spojrzeć. – Ale teraz chcę się po prostu tobą zająć. Miałaś ciężki dzień. Pozwól mi sobie pomóc.

Łatwo się poddała. Perspektywa przekazania kilku następnych godzin swojego życia w ręce Jareda była jak gwiazdka z nieba. – Idź pierwszy. Ja zajrzę jeszcze do Brada, a potem pojedę za tobą swoim wozem.

Uniósł jej brodę i pocałował w usta.

– Kocham cię.

– Ja ciebie też.

Sięgnął do klamki, ale w tym momencie otworzyły się drzwi. Frank stał w przejściu nieruchomo, gapiąc się na Jareda, jakby właśnie zobaczył ducha.

– Jezu Chryste – wyszeptał. Śmierdział whisky na półtora metra.

– Idź – powiedziała do Jareda. – Spotkamy się w domu.

Jared nie pozwalał sobą tak łatwo dyrygować. Stał w miejscu, patrząc na Franka spode łba.

– Proszę, Jared – błagała. – Idź już. Proszę.

W końcu przeniósł spojrzenie z Franka na Lenę.

– Jesteś pewna, że wszystko w porządku?

– W zupełnym – zapewniła. – Po prostu idź.

Wyszedł z ociąganiem. Frank patrzył za nim tak długo, że musiała zamknąć drzwi, by w końcu odwrócił wzrok.

– Co ty, u licha, wyprawiasz? – spytał. Musiał podtrzymywać się ręką ściany, żeby nie upaść. – Ile on ma lat?

– Nie twoja sprawa – Mimo to powiedziała: – Dwadzieścia pięć.

– Wygląda na dziesięć. Jak długo się z nim spotykasz?

Lena nie była w nastroju do zwierzeń.

– Co ty tu robisz, Frank? Ledwo się trzymasz na nogach.

Otarł usta wierzchem dłoni.

– Prowadziłeś w tym stanie? Nie odpowiadaj. – Wołała nie wiedzieć, ilu ludzi naraził, pakując się za kółko.

– Z dzieciakiem wszystko dobrze?

– Jeszcze nie wiadomo. Na razie jest stabilny. Czy zdarzyło ci się wypić dzisiaj coś, co nie zawierało alkoholu?

Zachwiał się i stracił równowagę. Nie tyle podszedł do umywalki, ile na nią runął.

Odkręciła kurek. Woda poląła mu się na głowę. Błysnęło jej wspomnienie z dzieciństwa, wujek Hank tak pijany, że się zsikał. Starala się opanować emocje, zdystansować od przepełniającego ją gniewu. Bez skutku.

– Śmierdzisz jak gorzelnia.

– Nie daje mi spokoju to, co się wydarzyło.

– Ale co dokładnie? – Pochyliła się tak, że jej twarz znalazła się tuż przy jego twarzy. – Fakt, że nie poinformowaliśmy, że jesteśmy z policji, czy fakt, że niemal zastrzeliliśmy chłopca za to, że trzymał w ręku nóż do listów?

Frank rzucił jej spanikowane spojrzenie.

– Myślałeś, że się nie dowiem?

– To był nóż myśliwski.

– Nóż do papieru – upierała się. – Tommy mi powiedział, Frank. Prezent od jego dziadka. Otwieracz do korespondencji. Wyglądał jak nóż, ale tylko wyglądał.

Frank splunął do umywalki. Żołądek podszedł Lenie do gardła na widok ciemnobrązowej plwociny.

– To bez znaczenia. Dźgnął nim Brada. To czyni z niego niebezpieczne narzędzie.

– A ciebie czym zranił? – spytała. Pamiętała, jak Frank wił się na posadzce garażu, trzymając się za lewe ramię. – Krwawiłeś, widziałam. Od tego zaczął się ten głupi pościg. Powiedziałam Bradowi, że Tommy cię zaciął.

– Bo zaciął.

– Na pewno nie otwieraczem do listów, a nie znalazłam przy nim niczego więcej oprócz zabawkowego samochodziku i gumy do żucia.

Frank popatrzył na swoje odbicie w lustrze. Lena poszła za jego wzrokiem. Wyglądał, jakby stał jedną nogą w grobie.

Oderwała plastry z boku dłoni. Rana była czerwona i zaogniona.

– Spudłowałeś, kula poszła bokiem. Zauważyłeś w ogóle, że ja dostałam?

Poruszał grdyką, przełykając ślinę. Prawdopodobnie chciał się napić. Sądząc z jego wyglądu, musiał się napić.

– Co się stało, Frank? Miałeś odbezpieczoną broń. Tommy rzucił się w twoją stronę. Pociągnąłeś za spust i postrzeliłeś mnie. Jak zraniłeś się w ramię? Jak, na Boga, niespełna sześćdziesięciokilogramowy ciapowaty wyrostek zdołał cię załatwić cholernym nożykiem do listów i minąć?

– Mówiłem ci, że mnie nim ciachnął. Coś mu się pomieszało z tym otwieraczem.

– Wiesz, jak na gliniarza, kiepski z ciebie kłamca.

Oparł się o umywalkę. Nogi się pod nim ugiwały.

– W spisanych przez Tommy’ego wyjaśnieniach nie ma słowa o otwieraczu do listów.

Głos Leny przypominał warknięcie.

– Bo zostały mi jeszcze śladowe resztki lojalności wobec ciebie, ale nawet one są na wyczerpaniu. Powiedz mi, co się stało w tym garażu.

– Nie wiem. Nie pamiętam.

– Jak Tommy zdołał cię minąć? Urwał ci się film? Upadłeś?

– To bez znaczenia. Uciekał. W tym rzecz. Wszystko, co się stało potem, spada na niego.

– Nie okazaliśmy legitymacji w garażu, nie powiedzieliśmy, że jesteśmy z policji. W jego oczach byliśmy po prostu trójką obcych ludzi mierzących do niego z broni.

Spiorunował ją wzrokiem.

– Miło słyszeć, że przyznajesz, że też coś dzisiaj schrzaniłaś, księżniczko.

Lena zagotowała się z furii, gotowa posunąć się do wszystkiego.

– Kiedy Brad krzyknął „Policja!”, Tommy się zatrzymał. Odwrócił. Trzymał w dłoni ten nóż do papieru. Brad się na niego nadział. Chłopak nie chciał go zranić. Powiem to każdemu, kto spyta.

– Zabił tę dziewczynę z zimną krwią. Chcesz powiedzieć, że to cię nie obchodzi?

– Jasne, że obchodzi – warknęła. – Jezu, Frank, nie mówię, że tego nie zrobił. Mówię, że gdy tylko Tommy dostanie adwokata, już jest po tobie.

– Nie zrobiłem nic złego.

– Miejmy nadzieję, że sędzia się z tobą zgodzi, bo inaczej unieważni areszt, przyznanie się, wszystko, co było konsekwencją znalezienia Brahama w tym garażu. Dzieciakowi upiecze się zabójstwo, bo ty nie możesz przeżyć dnia, nie wyłopawszy butelki whisky. – Zbliżyła twarz o kilka centymetrów od jego twarzy. – Chcesz, żeby tak cię zapamiętano? Jako gliniarza, który pozwolił zabójcy wymigać się od kary, bo nie potrafił się powstrzymać, żeby nie dać w palnik na służbie?

Frank ponownie odkręcił kurek. Oblał wodą twarz i kark. Widziała, że ręce znowu mu się trzęsą. Kłykcie miał poranione, a na nadgarstku głębokie zadrapania. Jak mocno musiał bić Tommy'ego, że zęby chłopca zdołały się przebić przez skórzane rękawiczki?

– To twoja wina, że to się tak skończyło. Tommy cię minął. Nie wiem, co robiłeś, tarzając się na tej podłodze, ani skąd się wzięła rana na twoim ramieniu, ale wiem, że gdybyś zrobił, co do ciebie

należało, i zatrzymał go przy drzwiach...

– Zamknij się, Lena.

– Wal się.

– Nadal jestem twoim szefem.

– Już nie, ty zapijaczony bydlaku. – Sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła rezygnację. Kiedy jej nie wziął, rzuciła mu ją w twarz. – Skończyłam z tobą.

Nie podniósł wymówienia. Nie obrzucił jej w odpowiedzi stekiem wyzwisk. Spytał tylko:

– Jakim długopisem to napisałaś?

– Że co?

– Tym, który dostałaś od Jeffrey'a? To tego użyłaś?

– Będiesz teraz próbował wzbudzić we mnie poczucie winy, żebym została? Deptał pamięć Jeffrey'a, żebym pomogła ci wypić piwo, którego nawarzyłeś?

– Gdzie masz długopis?

Kiedy nie odpowiedziała, zaczął przeszukiwać jej płaszcz, macać kieszenie. Zaprotestowała, wtedy pchnął ją na ścianę.

– Łapy przy sobie! – Odepchnęła go z powrotem na umywalkę. – Co ci, cholera, odbiło?

Popatrzył jej w oczy po raz pierwszy, odkąd wszedł do toalety.

– Tommy zabił się w celi.

Zasłoniła usta dłonią.

– Rozorał sobie żyły wkładem do długopisu. Metalowym. Takim jak te z długopisów, które dostaliśmy od Jeffrey'a.

Na kilka sekund ręce odmówiły jej posłuszeństwa. Znalazła długopis tam, gdzie zawsze go trzymała – wewnątrz spirali notesu w tylnej kieszeni spodni. Przekreśliła obudowę, ale piszący czubek się nie pojawił.

– Cholera – syknęła, rozkręcając długopis. – Nie... nie... – Wnętrze było puste. – Jak zdołał... – Zrobiło jej się niedobrze z rozpacz. Żołądek podszedł jej do gardła. – Co on...

– Obszukałaś go, zanim zaprowadziłaś z powrotem do celi?

– Oczywiście, że go...

Czy aby na pewno? Czy zadała sobie trud, żeby go zrewidować,

czy też jak najszybciej odstawiła na dołek, żeby pojechać do szpitala?

– Całe szczęście, że nikogo tym nie zaatakował. Już przecież zabił jedną osobę i dźgnął policjanta.

Nie była w stanie dłużej ustać na nogach. Kolana się pod nią ugięły. Opadła na posadzkę.

– Naprawdę nie żyje? Jesteś pewien?

– Wykrwawił się.

Lena schowała twarz w dłoniach.

– Dlaczego?

– Co mu powiedziałaś?

– Nic nie... – Potrząsnęła głową, usiłując pozbyć się z myśli obrazu martwego Tommy'ego Brahama w celi. Był w złym nastroju, kiedy go zamykała, ale czy w samobójczym? Nie sprawił na niej takiego wrażenia. W takiej sytuacji nawet śpiesząc się do szpitala, poinformowałyby profosa, że należy mieć na Tommy'ego oko. – Dlaczego to zrobił?

– Na pewno przez coś, co od ciebie usłyszał.

Popatrzyła na Franka. Odplącał jej teraz pięknym za nadobne. Widziała to po złośliwym wyrazie jego oczu.

– Przynajmniej Sara Linton tak uważa – dodał.

– A co Sara ma z tym wspólnego?

– Zadzwoń do niej, ponieważ Tommy, twój aresztant, nie chciał się uspokoić. Pomyślałem, że może poda mu coś, co go trochę wyciszy. Była na miejscu, kiedy go znalazłem.

Lena wiedziała, że powinna się martwić o własną skórę, ale myślała tylko o Tommym Brahamie. Co w niego wstąpiło? Co pchnęło tego głupiego dzieciaka do ostateczności?

– Ściągnęła jakiegoś ważniaka ze stanowego, żeby przyjrzał się sprawie. Knox już miał z nim przyjemność. Facet się domyślił, że Tommy dostał długopis od kogoś z nas.

Lena czuła w ustach potworny smak. Tommy był jej aresztantem. Pozostawał pod jej pieczęcią. Z prawnego punktu widzenia ona za niego odpowiadała.

– Wie, że wkład był mój?



Frank pogrzebał w kieszeni płaszcz. Rzucił Lenie tekturowe opakowanie. Poznała logo Crossa. Nowy wkład tkwił w plastikowym pancerzu.

– Kupiłeś go teraz? – spytała.

– Nie jestem taki głupi. Zamawiam je przez Internet. Tu takich nie uświadczysz.

Wszyscy inni też tak robili. Było to trochę upierdliwe, ale długopisy wiele dla nich znaczyły, zwłaszcza po śmierci Jeffreya. Lena miała w domu zapas dziesięciu wkładów.

– Oboje jesteśmy w to umoczeni.

Nie odpowiedziała. Odtwarzała w myślach przesłuchanie Tommy'ego, usiłując ustalić, kiedy postanowił odebrać sobie życie. Czy powiedział jej coś, zanim zamknęła drzwi celi? Wydawało jej się, że nie. Ale może właśnie była to kolejna z tak wielu wskazówek, które przegapiła. Chłopak uspokoił się zbyt szybko po tym, jak wyszła z sali przesłuchań, żeby przynieść mu chusteczki. Niedługo potem zaprowadziła go z powrotem do aresztu. Pociągał nosem, jednak usta miał zasznurowane, nawet kiedy zatrzasnęła metalowe drzwi. A przecież nieraz słyszała, że właśnie na tych spokojnych trzeba mieć oko, bo już podjęli decyzję. Jak mogło jej to umknąć? Jak mogła nie zauważyć?

– Musimy trzymać się razem, uzgodnić wersje – powiedział Frank.

Potrząsnęła głową. Jak w to wdepnęła? Dlaczego za każdym razem, gdy tylko uda jej się wyczołgać z jakiejś kupy gówna, natychmiast pakuje się w następną?

– Sara jest żądna krwi. Twojej. Uważa, że wreszcie znalazła sposób, żeby cię ukarać za to, co zrobiłaś Jeffreyowi.

Głowa podskoczyła jej do góry.

– Nic mu nie zrobiłam.

– Oboje wiemy, że było inaczej, prawda?

Jego słowa dotknęły ją do żywego.

– Kawał kanalii z ciebie. Wiesz o tym?

– Taaa, cóż, przyganiał kocioł garnkowi.

Poczuła szczypanie w ręce. Ścisnęła plastikowe opakowanie tak

mocno, że wbiło jej się w skórę. Próbowała je otworzyć, ale miała za krótkie paznokcie. W końcu zębami oderwała kartonik od plastiku.

– Jak solidne są wyjaśnienia Brahama? – spytał Frank.

Wepchnęła nowy wkład do długopisu.

– Przyznał się do wszystkiego. Na piśmie.

– Lepiej opowiadaj to wszystkim dokoła jak popadnie, bo inaczej jego tatuś puści cię w sądzie z torbami.

Prychnęła.

– Zabierze mi piętnastoletnią celicę i osiemdziesiąt koła kredytu na dom wart sześćdziesiąt tysięcy? Chętnie oddam mu kluczyki już teraz.

– Stracisz odznakę.

– Może powinnam. – Machnęła ręką na długopis. Machnęła ręką na wszystko. Cztery lata temu stawałaby na rzęsach, by znaleźć jakiś sposób na zatuszowanie całej afery. Teraz chciała tylko powiedzieć prawdę i jakoś żyć z nią dalej. – To niczego nie zmienia, Frank. Byłam odpowiedzialna za Tommy’ego. Poniosę konsekwencje. Ale ty też musisz ponieść.

– Niekoniecznie. Możemy załatwić to inaczej.

Popatrzyła na niego, zaskoczona tą nagłą zmianą.

– Co masz na myśli?

– Tommy zabił tę dziewczynę. Sądzisz, że ktoś się przejmie tym, że jakiś odmóżdżony morderca, jakiś przygłup podciął sobie żyły w celi? – Otarł usta grzbietem dłoni. – Zabił ją, Lee. Wbił jej nóż w kark jak zarzynamemu zwierzęciu. Tylko dlatego, że nie była zainteresowana jego ptakiem.

Lena zamknęła oczy. Była tak nieziemsko zmęczona, że w głowie jej się mąciło. Ale wiedziała, że Frank ma rację. Nikogo nie obejdzie śmierć Tommy’ego. Jednak to nie znaczyło jeszcze, że wszystko jest w porządku. Nie zmieniało ani tego, co się wydarzyło dzisiaj w garażu, ani stanu Brada.

– Nie panujesz nad swoim piciem – oświadczyła. – Wystarczy, że przymykałam oczy na fakt, że Brad nie nadaje się do służby. Może z tego wyjdzie, a może moje milczenie skończy się jego śmiercią. Nie wiem. Ale nie zamierzam teraz patrzeć beczynn timer, jak to samo

przydarza się tobie. Nie nadajesz się do służby, Frank. Nie powinieneś siedzieć za kółkiem, a co dopiero nosić broni.

Opadł przed nią na kolana.

– Możesz stracić o wiele więcej niż tylko odznakę, Lena.

Zastanów się.

– Nie ma nad czym. Już podjęłam decyzję.

– Mogę zawsze szepnąć słówko Gavinowi Wayne'owi o twoim chłoptasiu.

– Tylko najpierw usuń z gęby smród whisky.

– Oboje wiemy, jak mogę zrobić ci koło pióra.

– Sama powiem Jaredowi, że popełniłam błąd – oświadczyła. – I że stawię czoło konsekwencjom.

– Odkąd to zrobiłaś się taka honorowa?

Śmieszne, że pytał, bo od chwili, kiedy dowiedziała się o samobójstwie w celi, czuła się równie pozbawiona honoru jak Tommy Braham życia. Jak zdołała spieprzyć tak wiele w tak krótkim czasie?

– Czy twój chłoptas na pewno dobrze cię zna, Lena? – naciskał Frank. – Tak od podszewki? – Wydał usta w uśmiechu. – Pomyśl o tych wszystkich rzeczach, o których mi opowiadałaś przez te lata. Tych wszystkich radiowozach, w których razem siedzieliśmy. Tych wszystkich późnych wieczorach i wczesnych porankach po śmierci Jeffreya. – Błysnął żółtymi zębami. – Jesteś umoczona, Lee. Po szyję. Myślisz, że twój chłoptas ci to wybaczy?

– Tere-fere. – Wiele razy zbliżała się do granicy, ale nigdy jej nie przekroczyła. – Jestem dobrą policjantką i wiesz o tym.

– Czy aby na pewno? – Uśmiechnął się szyderczo. – Brad dostał kosę w brzuch na twoich oczach, bo nawet nie kiwnęłaś palcem w dupie. Potem namówiłaś dziewiętnastoletniego niedorozwiniętego przygłupa do samobójstwa. W celi obok siedzi świadek, który powie wszystko, co mu każę, jeśli tylko pozwolę mu wrócić do żonki.

Lena poczuła, jak serce staje jej w piersi.

– Myślisz, że ot tak zrezygnuję z emerytury, odłożę broń i odznakę, bo tobie nagle wyrosło sumienie? – Zaśmiał się. – Wierz mi, mała, nie chcesz, żebym zaczął kłapać dziobem i opowiadać

ludziom, co o tobie wiem, bo kiedy w końcu zamknę buzię, będziesz miała szczęście, jeśli twój egzystencjalny dół nie zmieni się w policyjny dołek.

– Nie zrobiłbyś mi tego.

– Paradujesz po mieście jak jakaś wyjebana w kosmos niunia, obnosząc się ze swoją złą opinią. Czy nie przed tym właśnie zawsze ostrzegał cię Jeffrey? Zbyt wiele spalonych mostów. Za dużo zdradzonych osób w miasteczku.

– Przymknij się, Frank.

– Problem ze złą opinią polega na tym, że ludzie łykną wszystko, co usłyszą na twój temat. – Przysiadł na piętach. – Komendantowi zabójstwo mogłoby ująć na sucho, bo nikt i tak nie wierzył, że jest zdolny do złego. Sądzisz, że też masz taki kredyt zaufania? Że ludzie naprawdę pokładają taką wiarę w twoją uczciwość?

– Nie możesz niczego udowodnić i dobrze o tym wiesz.

– A muszę? – Uśmiechnął się raz jeszcze, obnażając zęby. – Żyję w tym mieście od urodzenia. Ludzie mnie znają. Ufają mi, ufają temu, co powiem. I jeśli powiem, że jesteś umoczona... – Wzruszył ramionami. Lena czuła taki ucisk w piersi, że ledwo mogła oddychać. – Może wyciągnę starego dobrego Jareda na piwko – ciągnął Frank. – Idę o zakład, że Sara Linton też się chętnie przyłączy. Jak ci się podoba ten pomysł? Widzisz już, jak oboje miło sobie gawędzą na twój temat? – Wpiła w niego spojrzenie pełne nienawiści, on patrzył na nią twardo kaprawymi oczyma. – Nie zapominaj, jaki ze mnie skurwysyn, dziewczynko. I nie myśl nawet przez chwilę, że nie zrobię ci koło tej bezużytecznej dupy, żeby ratować swoją.

Wiedziała, że mówi serio. Wiedziała, że groźba jest równie prawdziwa i niebezpieczna jak tykająca bomba.

Wyjął piersiówkę, odkręcił ostrożnie i pociągnął długi łyk.

Rzuciła głosem niewiele głośniejszym od szeptu:

– Co chcesz, żebym zrobiła?

Uśmiechnął się w taki sposób, że poczuła się jak coś, co właśnie zdrapał z buta.

– Po prostu trzymaj się prawdy. Tommy przyznał się do

zabójstwa Allison. Dźgnął nożem Brada. Wszystko inne jest nieważne. – Znowu wzruszył ramionami. – Rób, co każę, dopóki się z tego nie wykaraskamy, a może wtedy pozwolę ci przejść do Macon i być z tym twoim chłoptasiem.

– I co jeszcze? – spytała. Zawsze było jakieś jeszcze.

Wyciągnął z kieszeni plastikową torbę na dowody. Teraz, kiedy zobaczyła go z bliska, zastanawiała się, jak mogła choćby przez chwilę myśleć, że jest prawdziwy – grube, tępe ostrze, kryta skajem rękojeść. Nóż do listów.

Rzucił jej torebkę na kolana.

– Pozbądź się tego.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Sara siedziała przy stole w jadalni, kartkując czasopismo, podczas gdy Tessa z matką grały w karty. Godzinkę temu przyłączył się do nich kuzyn Hareton, który jak zwykle wpadł bez uprzedzenia. Był dwa lata starszy od Sary. Zawsze we wszystkim rywalizowali i dlatego zmusił ją do wyjścia na ulewny deszcz, żeby rzuciła okiem na jego nowiutkie bmw 750 li. Nie miała pojęcia, jak mógł sobie pozwolić na taki luksusowy samochód z pensji wiejskiego lekarza, ale wyraziła stosowny zachwyt, bo nie miała też sił, żeby postąpić inaczej.

Kochała kuzyna, ale czasami odnosiła wrażenie, jakby jego życiowym celem było granie jej na nerwach. Naśmiewał się z jej wzrostu. Wołał na nią „Ruda”, tylko po to, by ją rozzłościć. Na domiar złego wszyscy uważali, że jest czarujący. Nawet jej własna matka miała go za ósmy cud świata – co było szczególnie bolesne, ponieważ nie rozciągała tej świetlanej opinii na własne córki. Sarę jednak najbardziej wkurzał fakt, że kuzynowi Haretonowi nie zdarzyła się jeszcze sytuacja, której nie udałoby mu się lekko potraktować, co z kolei ludzie z jego otoczenia, bywało, ciężko znosili.

Doszła do końca pisma i zaczęła je przeglądać od nowa, zastanawiając się, dlaczego żadna ze stron nie wygląda znajomo. Miała za wiele na głowie, żeby skupić się na lekturze, i zbyt dużo w niej oleju, żeby próbować rozmawiać z kimkolwiek przy stole. Zwłaszcza z kuzynem, który robił wszystko, by ściągnąć jej wzrok.

W końcu spytała:

– Co jest?

Rzucił na stół kartę.

– Jak pogoda pod kopułą, Ruda?

Sara posłała mu takie samo spojrzenie jak trzydzieści lat temu, kiedy po raz pierwszy zadał jej to pytanie.

– Jak drut.

Wyłożył kolejną kartę. Tessa i Cathy jęknęły.

– Masz urlop, Ruda. Skąd te muchy w nosie?

Sara zamknęła pismo, gryząc się w język, żeby nie odpowiedzieć, że bardzo żałuje, iż nie tryska optymizmem, ale niezupełnie może pozbyć się z myśli wspomnienia martwego Tommy’ego Brahama leżącego na podłodze celi. Krótki rzut oka na matkę nie zostawił wątpliwości, że Cathy doskonale wie, co leży jej na wątrobie.

– Czekam na kogoś – przyznała wreszcie. – Na Willa Trenta. To agent ze stanowego biura śledczego.

Cathy zmrużyła oczy.

– A ten co tu robi?

– Bada sprawę tego zabójstwa nad jeziorem.

– I zgonu w areszcie – dodała znacząco matka. – Dlaczego zaprosiłaś go do nas do domu?

– Nie jadł kolacji. Pomyślałam, że mogłabyś...

– To teraz mam jeszcze karmić obcych?

Tessa jak zwykle dołała jeszcze oliwy do ognia.

– Będziesz musiała go też przenocować – oświadczyła. – Hotel jest w remoncie. Jeśli nie chce tłuc się teraz po nocy trzy kwadranse do Copperstown, lepiej idź i od razu ogarnij pokój nad garażem.

Sara stłumiła cisnące jej się na usta przekleństwo. Hare siedział lekko pochylony do przodu, z podbródkiem wspartym na dłoniach, jakby oglądał film.

Cathy jeszcze raz przetasowała talię. Unoszące się w pokoju napięcie zwielokrotniło szelest mieszanych kart.

– Skąd znasz tego człowieka?

– W szpitalu zawsze kręcą się policjanci. – W zasadzie nie było to kłamstwo, choć bardzo do niego zbliżone.

– Co się tu dzieje, Saro?

Wzruszyła ramionami, ale gest był tak udawany, że miała trudności z ich opuszczeniem.

– To skomplikowane.

– Skomplikowane? – powtórzyła Cathy. – Jedno jest pewne: szybko poszło. – Cisnęła karty na stół i wstała. – Chyba lepiej powiem ojcu, żeby włożył jakieś spodnie.

Tessa odczekała, aż matka zniknęła.

– Mogłaś jej powiedzieć, siostrzyczko. Jutro i tak to z ciebie jakoś wyciągnie.

– To nie jej sprawa.

Tessa zaśmiała się z niedowierzaniem. Wszystko było sprawą ich matki.

Hare podniósł karty.

– Daj spokój, Ruda. Nie bierzesz tego zbyt poważnie? To prawdopodobnie najbardziej ekscytująca rzecz, jaka się przydarzyła Bradowi Stephenowi przez całe życie. Gość nadal mieszka z matką.

– To nie jest zabawne, Hare. Zginęło dwoje ludzi.

– Lokalny przygłup i studentka. Miasteczko wypłakuje oczy.

Sara ponownie ugryzła się w język, żeby nie nagadać mu do słuchu.

Hare westchnął, przekładając karty.

– Dobra. Z tą dziewczyną z jeziora przegiałem, ale Tommy sam jest sobie winien. Jeszcze nie słyszałem, żeby ktoś wziął i ot tak, zabił się bez powodu. Miał wyrzuty sumienia z powodu tej dziewczyny. Dlatego dźgnął Brada. Jasna sprawa.

– Mówisz jak gliniarz.

– Cóż. – Przyłożył dłoń do piersi. – Wiesz, że kiedyś w Halloween przebrałem się za policjanta. – Odwrócił się do Tessy. – Pamiętasz ten rzemień?

– To było w moje urodziny, nie w Halloween – poprawiła go i spytała Sarę: – A dlaczego w ogóle pojechałaś do tego aresztu?

– Tommy potrzebował... – Nie zadała sobie trudu dokończenia zdania. – Nie wiem, dlaczego tam pojechałam. – Wstała od stołu. – Przepraszam. W porządku? Przepraszam, że pojechałam na komendę. Przepraszam, że ściągnęłam wam to wszystko do domu.



Przepraszam, że mama jest na mnie wściekła. Przepraszam, że w ogóle się tu zjawiłam.

Tessa zaczęła „Siostrzyczko...”, ale Sara wyszła, zanim zdążyła dokończyć.

Przeszła przez korytarz i stanęła przy frontowych drzwiach. Po raz enty tego dnia poczuła, jak łyzy napływają jej do oczu. Powinna pójść na górę i porozmawiać z matką. Wymyślić jakieś wytłumaczenie, żeby ją uspokoić. Oczywiście Cathy nie da się nabrać i przejrzy każde łągarstwo na wylot, bo obie znały prawdę: Sara próbowała narobić kłopotów Lenie. Matka bez satysfakcji poinformuje ją, że równie dobrze może wyjść na zewnątrz i wyć na deszcz. Będzie miała rację – przynajmniej częściowo. Lena była mistrzynią w kręceniu, oszukiwaniu i w ogóle we wszystkim, czego wymagała troska o własną skórę. Sara, pozbawiona elementarnej przebiegłości, z jaką Adams podchodziła do każdej sytuacji w życiu, nie była dla niej żadnym przeciwnikiem.

A co z tą martwą dziewczyną? Sara nie była wcale lepsza od Haretona. Całkowicie zignorowała Allison Spooner, wykorzystując jej śmierć jako kolejną okazję do ataku na Lenę. Mieszkańcy, którzy znali studentkę, zaczęli mówić. Tessa większość popołudnia spędziła, wisząc na telefonie, i kiedy Sara wróciła z miasta, miała już dla niej komplet danych. Allison była drobniutka i pogodna, ot, dziewczyna z dobrymi manierami i szerokim uśmiechem dla obcych. Pracowała w restauracji w porze lunchu i w weekendy. Musiała mieć gdzieś rodzinę, matkę i ojca, którzy właśnie otrzymali najgorsze wieści, jakie mogą usłyszeć rodzice. Z pewnością jechali teraz do Grant, z każdym kilometrem coraz bardziej pogrążeni w rozpacz.

Dobiegł ją odgłos kroków na schodach z tyłu – Cathy, sądząc po lekkich stąpaniach. Słyszała, jak matka przystanąła na moment na podeście, potem skierowała się do kuchni.

Sara wypuściła z płuc powietrze, nieświadoma, że wstrzymała oddech.

– Maleńka? – zawołał z góry Eddie. Słuchał swoich starych płyt, co robił zawsze, ilekroć nachodziła go melancholia.

– Wszystko w porządku, tatusiu. – Czekala na skrzypnięcie parkietu na górze, sygnalizujące, że wrócił do swojego pokoju. Minęło strasznie dużo czasu, zanim się rozległo.

Znowu zamknęła oczy. Ojciec włączył Springsteena, igła przeskakiwała po winylu, dopóki nie znalazł właściwego kawałka. Słyszała, jak matka krząta się w kuchni: trzaskanie garnkami, pobrzękiwanie talerzy. Hare musiał powiedzieć coś zabawnego, bo w domu rozbrzmiał śmiech Tessy.

Sara patrzyła na ulicę, pocierając ramiona, by zwalczyć chłód, który nagle poczuła. Wiedziała, że to głupie, stać tak przy drzwiach i wyglądać człowieka, który może w ogóle się nie zjawić. Choć nie chciała tego przyznać, czekała nie tylko na informacje z postępów w sprawie. Will był z Atlanty, z jej normalnego życia. Przypominał jej, że ma gdzie wracać.

I, Bogu dzięki, wreszcie się pojawił.

Po raz drugi tego dnia patrzyła, jak chowa różne elektroniczne gadzety w swoim porsche. Wydawało się, że teraz trwa to dłużej niż poprzednio, a może po prostu ona bardziej się niecierpliwiła. Wreszcie wysiadł z samochodu. Trzymając teczkę, którą mu dała, nad głową, żeby osłonić się od deszczu, pobiegł podjazdem.

Zaczęła otwierać drzwi, ale zmieniła zdanie. Nie chciała, żeby myślał, że stała tu i na niego czekała. Z drugiej strony, jeśli zamierzała to ukryć, pewnie nie powinna była gapić się na niego przez okno.

– Idiotka – wymruczała i otworzyła drzwi.

– Witam. – Strząsnął deszcz z włosów, korzystając z osłony ganku.

– Chce pan, żebym... – Wyciągnęła rękę po mokrą teczkę w jego dłoni i zmeła w ustach jęk zawodu. Była całkowicie przesiąknięta wodą. Wszystko będzie zniszczone.

– Tutaj. – Podniósł sweter i wyciągnął koszulkę. Zobaczyła kserokopie, które mu dała, przyciśnięte do gołej skóry. Zauważyła także coś, co przypominało ciemny siniec rozchodzący się promieniście po brzuchu i niknący za paskiem spodni.

– Co...

Szybko obciągnął koszulkę.

– Dzięki. – Podrapał się po twarzy – nerwowy odruch, o którym już zapomniała. – Chyba teczkę możemy po prostu wyrzucić.

Skinęła głową, nie wiedząc, co powiedzieć. On też jakby zapomniał języka w gębie. Patrzyli tak na siebie bez słowa, dopóki w korytarzu nie zapaliło się nagle światło.

Cathy stała w drzwiach kuchni z rękoma na biodrach. Eddie zszedł po schodach. Nastąpiła jedna z najbardziej krępujących chwil milczenia w całym życiu Sary. Po raz pierwszy dotarło do niej, jak koncertowo schrzaniła rodzinie ten dzień. Gdyby mogła stuknąć obcasami i cofnąć się w czasie, siedziałaby teraz w Atlancie, a jej bliskim oszczędzona byłaby ta potworna sytuacja. Chciała zapaść się pod ziemię.

Ciszę przerwał ojciec. Wyciągnął dłoń do Willa.

– Eddie Linton. Cieszę się, że możemy służyć schronieniem przed tą siapawicą.

– Will Trent. – Will mocno uściśnął mu dłoń.

– Cathy – wtrąciła się matka i poklepała go po ramieniu. – Boże mój! Przemókł pan do suchej nitki. Eddie, może sprawdzisz, czy nie znajdziesz dla pana czegoś suchego? – Z sobie tylko znanych powodów ojciec zachichotał pod nosem, wbiegając na schody. Cathy powiedziała do gościa: – Zdejmijmy ten sweter, zanim się pan przeziębii.

Na twarzy Willa odmalował się wyraz absolutnej konfuzji, jaki pojawiłby się na obliczu każdego mężczyzny, któremu uprzedzająco grzeczna sześćdziesięcioletnia każe się rozbierać w korytarzu. Mimo to posłuchał i ściągnął sweter przez głowę. Pod spodem miał czarny podkoszulek z długimi rękawami, który zaczął podjeżdżać do góry, kiedy uniósł ramiona. Niewiele myśląc, Sara wyciągnęła rękę i go obciągnęła, ale pod ostrym spojrzeniem Cathy poczuła się jak złodziej przyłapany na gorącym uczynku.

– Mamo – zaczęła, oblewając się zimnym potem. – Muszę z tobą zamienić słówko.

– Będziemy miały jeszcze mnóstwo czasu, kochanie. – Cathy wsunęła rękę pod ramię Willa i poprowadziła go korytarzem. –

Córka mówi, że mieszka pan w Atlancie.

– Tak, proszę pani.

– W której dzielnicy? Mam tam siostrę, mieszka w Buckhead.

– Eee... – Obejrzał się na Sarę. – Poncey-Highlands, to niedaleko...

– Ależ doskonale wiem, gdzie to jest. Musi pan mieszkać blisko Sary.

– Tak, proszę pani.

– Mamo...

– Później, skarbie. – Cathy rzuciła jej koci uśmiech, wprowadzając Willa do jadalni. – To jest Tessa, moja młodsza córka. A to Hareton Earnshaw, mój bratanek.

Hare rzucił mu jawnie taksujące spojrzenie.

– No, no, dobry Bóg chyba miarę na pana zgubił.

– Proszę nie zwracać na niego uwagi – poradziła Tessa, witając się z Willem. – Miło pana poznać.

Will zaczął siadać na najbliższym krześle i Sarze w nagłej panice serce podeszło do gardła. Miejsce Jeffreya.

Cathy nie okazała się całkowicie bezduszna.

– Posadźmy pana na honorowym miejscu – powiedziała, delikatnie odciągając Willa w prawo. – Zaraz wracam z pańskim posiłkiem.

Sara opadła na krzesło obok Willa. Położyła mu rękę na ramieniu.

– Strasznie pana przepraszam.

Udał zdziwienie.

– Za co?

– Dziękuję, że pan udaje, ale nie mamy wiele czasu, zanim... – Sara zabrała gwałtownie rękę. Matka wróciła już z talerzem.

– Mam nadzieję, że lubi pan smażonego kurczaka.

– Tak, proszę pani. – Will wbił wzrok w kopiastrą porcję. Można by nią nakarmić pół miasta.

– Napije się pan herbaty z cukrem?

Sara zaczęła się podnosić, ale matka skinieniem głowy dała znak Tessie, by przyniosła szklanę. – Proszę mi powiedzieć, skąd zna

pan moją córkę.

Z ustami pełnymi limeńskiej fasoli Will uniósł na chwilę palec do góry, przelękając jedzenie.

– Poznałem doktor Linton w szpitalu.

Sara miała ochotę go ucałować za to trzymanie się formalnego tytułu. Wyjaśniła:

– Mamo, policjantka z zespołu agenta Trenta była moją pacjentką.

– To prawda?

Will skinął głową, pakując do ust okazały kęs smażonego kurczaka. Sara nie wiedziała, czy jest taki głodny, czy desperacko usiłuje wymigać się od rozmowy. Zaryzykowała rzut oka na Haretona. Chociaż raz w całym swoim żalonym życiu postanowił trzymać gębę na kłódkę.

– Pańska żona także służy w organach ścigania?

Will przestał żuć.

– Zauważyłam obrączkę.

Popatrzył na swoją rękę. Cathy nie zdejmowała z niego oka. Żuł jeszcze chwilę. W końcu odpowiedział:

– Jest prywatnym detektywem.

– W takim razie macie mnóstwo wspólnych tematów. Poznaliście się w trakcie któregoś z pańskich dochodzeń?

Wytarł usta.

– Jedzenie było bardzo dobre.

Tessa postawiła przed nim herbatę. Pociągnął duży łyk ze szklanki, zapewne żalując, że w środku nie ma czegoś mocniejszego.

Cathy dalej wywierała subtelny presję:

– Chciałabym, żeby moje córki przejawiały zainteresowanie gotowaniem, ale żadna jakoś nigdy się nie garnęła do garnków. – Urwała, by zaczerpnąć tchu. – Proszę powiedzieć, panie Trent, skąd pochodzą pańscy rodzice.

Sara miała ochotę schować twarz w dłoniach.

– Mamo, naprawdę. To nie twoja...

– Wszystko w porządku. – Will wytarł usta serwetką.

Poinformował Cathy: – Wychowałem się w domu dziecka.

– Masz ci los.

Najwyraźniej nie wiedział, co na to rzec. Wziął kolejny długi łyk herbaty.

– Panie Trent – ciągnęła Cathy – młodsza córka przypomniała mi, że hotel jest w remoncie. Mam nadzieję, że zechce pan być naszym gościem na czas pobytu w mieście.

Will zakrztusił się herbatą.

– Nad garażem jest pokój z osobnym wejściem. Niestety, nie jest to może pałac, ale czułabym się fatalnie, gdyby jechał pan taki kawał do Coppertown w taką pogodę.

Will starł herbatę z twarzy. Spojrzał na Sarę, szukając pomocy.

Pokręciła głową, bezbronna wobec ataku południowej gościnności matki.

Remont domu Lintonów nie objął pralni. Sara musiała zejść schodami do niewykończonej części piwnicy, żeby przynieść czyste ręczniki dla Willa. Kiedy włączyła światła, suszarka nadal pracowała. Sprawdziła pranie. Było jeszcze wilgotne, więc uruchomiła ją z powrotem. Sara ruszyła po schodach, ale zatrzymała się w połowie drogi i usiadła. Przez większość dnia zachowywała się dosyć bezmyślnie, jednak miała dość rozumu, by teraz nie wchodzić w drogę matce.

Oparła podbródek na rękę. Od przyjazdu Willa Trenta z policzków nie schodził jej buraczany pąs.

– Siostrzyczko? – szepnęła Tessa z góry schodów.

– Cicho – upomniała ją Sara. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowała, była kolejna fala zainteresowania ze strony matki.

Tessa delikatnie zamknęła za sobą drzwi. Chwyciła się poręczy jedną ręką i objąwszy brzuch drugą, zeszła po schodach.

– Wszystko w porządku?

Sara skinęła głową, pomagając siostrze usadowić się na stopniu wyżej.

– Nie wierzę, że nie przenieśli pralni na górę.

– Jej sanktuarium.

Roześmiały się. Jako nastolatki obie pieczołowicie unikały tego pomieszczenia z obawy, że zostaną zapędzone do roboty. Miały się za bardzo sprytne z tego powodu, dopóki nie uświadomiły sobie, że matka tak naprawdę lubi być tu sama.

Sara położyła dłoń na brzuchu siostry.

– Ej, co my tu mamy?

Tessa się uśmiechnęła.

– Myślę, że dziecko.

Sara objęła brzuch obiema dłońmi.

– Strasznie wielki.

– Uwielbiam go – wyszeptała Tessa. – Nie uwierzyłabyś, jakie świństwa pochłaniam kilogramami.

– Teraz już pewnie na okrągło kopie.

– Będzie piłkarką.

– Ona? – Sara uniosła brew.

– Tylko się domyślam. Lem chce mieć niespodziankę.

– Możemy jutro zajrzeć do przychodni. – Elliot Felteau odkupił od niej praktykę, ale nadal była właścicielką budynku. – Mogę udawać, że wykonuję nadzór właścicielski przy usg.

– Ja też wolę niespodziankę. Poza tym masz chyba teraz dość własnych problemów.

Sara przewróciła oczyma.

– Matka.

Tessa zachichotała.

– Boże drogi, to było piękne. Jaki kipisz.

– Nie mogę uwierzyć, że się tak zachowała.

– Trochę ją zastrześliłaś tą wizytą.

– Myślałam... – Pokręciła głową. Co tak naprawdę myślała? –

Hare też się pokazał od najlepszej strony.

– Przejmuje się tym bardziej, niż myślisz.

– Wątpię.

– Tommy kosił także jego trawnik. – Tessa wzruszyła ramionami. – Wiesz, jaki jest Hare. Dużo przeszedł.

Ich kuzyn przeżył śmierć długoletniego partnera i wielu przyjaciół, których zabrał AIDS, ale Sara miała wrażenie, że tylko

ona w rodzinie pamięta, że jego nonszalancja pojawiła się wcześniej niż epidemia.

– Mam nadzieję, że nie wprawił Willa w zakłopotanie.

– Will doskonale sobie poradził.

Sara pokręciła głową, myśląc o zamieszaniu, jakiego narobiła.

– Przepraszam, Tess, Nie chciałam cię w to wszystko wciągać.

– W co „wszystko”?

Chwilę myślała nad odpowiedzią.

– W wendetę – przyznała. – Myślę, że w końcu znalazłam sposób, żeby dobrać się Lenie do skóry.

– Och, kochanie, a to coś zmieni?

Sara poczuła, jak oczy znowu wzbierają jej łzami. Tym razem z nimi nie walczyła. Tessa nieraz widywała ją w dużo gorszym stanie.

– Nie wiem. Chcę po prostu... – Urwała, żeby zaczerpnąć powietrza. – Chcę, żeby żałowała tego, co zrobiła.

– A sądzisz, że nie żałuje? – Tessa ostrożnie dobierała słowa. – Jest straszna, to fakt, ale bardzo kochała Jeffreya. Uwielbiała go.

– Nie. Nie żałuje. Nawet nie przyjmuje do wiadomości, że to przez nią zginął.

– Chyba nie myślisz serio, że wiedziała, że ten sukinsyn, jej chłopak, go zabije.

– Może nie chciała, żeby to się zdarzyło – zgodziła się Sara. – Ale na to pozwoliła. Jeffrey nigdy nie dowiedziałby się o istnieniu tego człowieka, gdyby nie Lena. To ona sprawiła, że się pojawił w naszym życiu. Jeśli ktoś rzuca granatem, mało kto twierdzi, że jest niewinny, bo nie przyszło mu do głowy, że granat wybuchnie.

– Nie mówmy już o niej. – Tessa otoczyła siostrę ramieniem. – Liczy się jedynie to, że Jeffrey cię kochał.

Sara mogła tylko skinąć głową. To była jedyna niepodważalna prawda w jej życiu. Wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że Jeffrey ją kochał.

– Will jest całkiem do rzeczy – zażyła ją ni stąd, ni zowąd Tessa.

Sara wybuchła śmiechem w odpowiedzi, ale nawet w jej uszach nie brzmiał on zbyt przekonująco.



- Tess, on jest żonaty.
- Non stop wybałuszał na ciebie oczy przy stole.
- Z przerażenia.
- Myślę, że ma do ciebie słabość.
- Myślę, że ty masz omamy od nadmiaru hormonów.

Tessa oparła się plecami o schody.

– Tylko przygotuj się na to, że pierwszy raz będzie fatalny. –  
Spojrzenie Sary musiało ją wydać. Tessie opadła szczęka. – O mój Boże. Spałaś już z kimś?

– Cii – syknęła Sara. – Nie krzycz.

Tessa nachyliła się do przodu.

– Po co ja wędruję taki kawał do jedynej budki telefonicznej w Oobie Doobie, żeby do ciebie zadzwonić, jeśli ty nie opowiadasz mi o swoim życiu seksualnym?

Sara zbyła ją machnięciem ręki.

– Nie ma o czym opowiadać. Masz rację. Było fatalnie. Zdarzyło się za wcześnie, a on już nigdy do mnie nie zadzwonił.

– No a teraz? Spotykasz się z kimś?

Sara pomyślała o epidemiologu z Centrum Kontroli Chorób. Po raz pierwszy tak naprawdę od tygodnia, co mówiło samo za siebie.

– Niezupełnie. Byłam na kilku randkach, ale... Jaki to ma sens?  
– Wyrzuciła do góry ręce. – Już nigdy nie pokocham nikogo tak jak Jeffreya. Zawiązał mi świat.

– Nie dowiesz się, jeśli nie spróbujesz – zaoponowała Tessa. – Nie unieszczęśliwiał się, Saro. Jeffrey by tego nie chciał.

– Nie chciałby, żebym kiedykolwiek dotknęła innego mężczyzny, dobrze o tym wiesz.

– Pewnie masz rację – zgodziła się. Mimo to dodała: – Myślę, że Will by do ciebie pasował.

Sara pokręciła głową, pragnąc, by Tessa dała sobie spokój z tym tematem. Nawet jeśli Will byłby wolny – i jakimś cudem zainteresowany – Sara nigdy więcej nie zwiąże się z kolejnym policjantem. Nie mogłaby już żyć z mężczyzną, który opuszczałby jej łóżko co rano bez żadnej gwarancji, że wróci wieczorem w jednym kawałku.

– Już ci mówiłam. Jest żonaty.

– Są żonaci i żonaci. – Zanim się ustabilizowała, Tessa zaliczyła sporo romansów, w pewnym okresie na dobrą sprawę drzwi jej sypialni się nie zamykały. – Skąd ma tę bliznę na wardze?

– Nie wiem.

– Sprawia, że aż chce się go pocałować w usta.

– Tess.

– Wiedziałaś, że dorastał w sierocińcu?

– Zdawało mi się, że byłeś w kuchni, kiedy o tym opowiadał.

– Z uchem przyciśniętym do drzwi – wyjaśniła. – Je zupełnie jak te dzieci z bidula.

– Co masz na myśli?

– Sposób, w jaki otacza talerz ręką, żeby nikt nie podwędził mu jedzenia.

Sara wcześniej nie zwróciła na to uwagi, ale teraz uświadomiła sobie, że to prawda.

– Nie wyobrażam sobie, jak to jest nie mieć rodziców. Wprawdzie – roześmiała się – po dzisiejszym wieczorze to nawet kusząca perspektywa, ale musiało mu być ciężko.

– Prawdopodobnie.

– Spytaj go o to.

– To byłoby niegrzeczne.

– Nie chcesz go lepiej poznać?

– Nie – skłamała, bo oczywiście chciała.

Nie dawały jej spokoju jego blizny. Chciała się dowiedzieć, jak to się stało, że choć został osierocony w wieku niemowlęcym, nikt go nigdy nie zaadoptował. Chciała wiedzieć, dlaczego nawet stojąc w pokoju pełnym ludzi, wydaje się całkowicie sam.

– Dzieci w moim sierocińcu są szczęśliwe – powiedziała Tessa. – Brakuje im rodziców, co do tego nie ma dwóch zdań. Ale chodzą do szkoły. Dostają trzy posiłki dziennie, czyste ubrania. Nie muszą pracować. Inne, które mają jeszcze rodziców, im zazdroszczą. – Wygładziła spódnicę. – Dlaczego nie spytasz Willa, jak on to znosił?

– To nie moja sprawa.

– Jeszcze raz naślij na niego mamę i dowiesz się wszystkiego. –

Tessa wycelowała palec w pierś Sary. – Musisz przyznać, że dzisiaj dała z siebie wszystko.

– Nie muszę niczego przyznawać.

Tessa zaczęła papugować miękki akcent matki.

– Proszę mi powiedzieć, panie Trent, preferuje pan bokserki czy slipy? – Sara się roześmiała i Tessa ciągnęła: – Czy pańskie pierwsze zbliżenie seksualne odbyło się w pozycji misjonarskiej czy też bardziej przypominało charakterem zwyczaje psowatych?

Sara skręcała się ze śmiechu, aż rozboleł ją brzuch. Otarła łzy z oczu, myśląc, że to tak naprawdę pierwsza chwila, kiedy cieszy się z wizyty w domu.

– Brakowało mi ciebie, Tess.

– Mnie ciebie też, siostrzyczko. – Tessa podniosła się z trudem. – Ale teraz lepiej pójdę do toalety, zanim zsikam się w majtki od tego chichrania.

Ruszyła po schodach, pokonując je po jednym stopniu. W końcu drzwi zamknęły się za nią cicho.

Sara siedziała ze wzrokiem wbitym w pralnię. W rogu przy niewielkim okienku stała lampa i fotel bujany jej matki. Deska do prasowania była rozstawiona, gotowa do użytku. W plastikowych pojemnikach ustawionych pod tylną ścianą mieściły się wszystkie pamiątki z dzieciństwa Sary i Tessy, a przynajmniej te, które matka uznała za warte zachowania. Każda z nich miała po dwa pudełka na swoje kroniki klasowe, szkolne fotografie, świadectwa i klasówki. Dziecko Tessy też dostanie własny pojemnik. Ona sama będzie przechowywała niemowlęce buciki, ulotki ze szkolnych przedstawień i recitali fortepianowych. Albo trofea piłkarskie, jeśli sprawy potoczą się po jej myśli.

Sara nie mogła mieć dzieci. Cięża pozamaciczna, w którą zaszła na studiach, odebrała jej tę możliwość. Próbowali przysposobić dziecko z Jeffreyem, ale to marzenie też wzięło w łeb z chwilą, kiedy umarł. On sam miał syna, bystrego, silnego młodzieńca, który nigdy się nie dowiedział, kto jest jego prawdziwym ojcem. Jeffrey robił tylko za przyszywanego wujka, Sara za przyszywaną ciotkę. Często myślała o tym, żeby skontaktować się z chłopcem, ale

decyzja nie należała do niej. Miał rodziców, którzy świetnie go wychowali. Zrujnowanie tego, powiedzenie mu prawdy o prawdziwym ojcu, z którym już nigdy nie będzie mógł porozmawiać, wydawało się okrucieństwem.

Sara czuła przemożną odrazę do wszelkich aktów okrucieństwa z wyjątkiem tych wymierzonych w Lenę.

Zadźwięczała suszarka. Ręczniki były już wystarczająco suche, zważywszy na to, że jeszcze musiała z nimi wyjść na ulewę. Narzuciła kurtkę i możliwie jak najciszej wymknęła się z domu. Deszcz tymczasem znowu przeszedł w mżawkę. Zerknęła na wieczorne niebo. Pomiedzy chmurami prześwitywały gwiazdy. Zapomniała już, jak to jest z dala od światła wielkiego miasta. Wokół było ciemno choć oko wykol. Ciszy nie przerywał dźwięk syren, odgłos krzyków czy strzałów przesywających powietrze. Tu słychać było tylko świerszcze i od czasu do czasu wycie samotnego psa.

Stała przed drzwiami przybudówki, zastanawiając się, czy powinna zapukać. Zrobiło się już późno. Will mógł już spać.

Otworzył drzwi dokładnie w momencie, kiedy odwracała się, żeby wrócić do domu. Z pewnością nie wybałuszał na nią oczu w zachwycie, jak twierdziła Tessa. Przeciwnie, wydawał się podenerwowany.

– Ręczniki – wyjaśniła. – Zostawię je panu.

– Proszę poczekać.

Uniosła dłoń, żeby osłonić oczy przed deszczem. I złapała się na tym, że patrzy na usta Willa, na bliznę nad jego wargą.

– Proszę, niech pani wejdzie. – Usunął się na bok, robiąc jej przejście.

Nagle naszła ją niezrozumiała nieufność, ale mimo to weszła do środka.

– Strasznie pana przepraszam za matkę.

– Powinna wykładać w akademii policyjnej techniki wywiadu śledczego i strategię przesłuchań.

– Naprawdę potwornie mi przykro.

Podał jej jeden z ręczników, żeby wytarła twarz.

– Bardzo panią kocha.

Nie spodziewała się takiej odpowiedzi. Sądziła, że mężczyzna, który stracił matkę w tak młodym wieku, będzie inaczej interpretował wścibstwo Cathy.

– Czy pan kiedyś... – Urwała. – Mniejsza z tym. Powinnam pozwolić się panu położyć.

– Czy ja kiedyś co?

– Chciałam... – Sara poczuła, jak znowu oblewa się pąsem. – Czy był pan kiedyś w rodzinach zastępczych. Albo...

Skinął głową.

– Czasami.

– Dobrych?

Wzruszył ramionami.

– Czasami.

Myślała o zasinieniu na jego brzuchu, które w rzeczywistości nie miało nic wspólnego z krwiakiem, tylko z czymś o wiele bardziej ponurym. W prosektorium napatrzyła się na wiele śladów po oparzeniach prądem. Zostawiały charakterystyczny, wyraźny znak, jedyny w swoim rodzaju, jak drobinki prochu, które dostały się pod skórę i nie można było ich zmyć. Piętno na ciele Willa zdążyło już wyblaknąć. Musiał być dzieckiem, kiedy powstało.

– Doktor Linton?

Pokręciła głową przepaszająco. Odruchowo podniosła dłoń do jego ramienia.

– Potrzebuje pan jeszcze czegoś? Zdaje się, że w szafie są dodatkowe koce.

– Mam parę pytań. Poświęci mi pani kilka minut?

Zapomniała, po co w ogóle tu przyszła.

– Oczywiście.

Wskazał jej sofę. Opadła na starą poduszkę, w której niemal zatonała. Rozejrzała się po pokoju, starając się patrzeć na niego oczyma Willa. Wystrój nie należał do wyszukanych. Nieduża wnęka kuchenna. Mała sypialnia z jeszcze mniejszą łazienką. Kosmaty dywan, który dni świetności dawno miał już za sobą. Wszystkie pionowe powierzchnie pokrywała powypaczana boazeria.

Sofa była starsza od Sary. I wystarczająco duża, by mogły się na niej wygodnie ułożyć dwie osoby, z którego to powodu Cathy przeniosła ją z dużego pokoju na górę, gdy tylko Sara skończyła piętnaście lat. Nie żeby do Sary ustawiały się tabuny chłopców chcących poleżeć z nią na kanapie, ale do Tessy, o trzy lata młodszej, już tak.

Will położył ręczniki na kuchennym blacie.

– Podać pani szklanek wody?

– Nie, dziękuję. – Wskazała na pomieszczenie. – Przykro mi, że nie możemy zaoferować panu lepszej kwatery.

Uśmiechnął się.

– Mieszkałem już w dużo gorszych.

– Jeśli to jakieś pocieszenie, pokój bije na głowę ten hotelowy.

– Jedzenie jest na pewno lepsze. – Wskazał na przeciwny koniec sofy. W pomieszczeniu nie było niczego innego, na czym mógłby spocząć. Mimo to spytał: – Mogę?

Sara podwinęła nogi pod siebie, gdy przysiadł na skraju poduszki. Skrzyżowała ręce na piersi, nagle świadoma, że są sam na sam w jednym pokoju.

Znowu zaległo to krępujące milczenie. Will bawił się obrączką, obracając ją na palcu. Zastanawiała się, czy myśli o swojej żonie. Spotkała ją raz w szpitalu. Angie Trent była jedną z tych pełnych życia towarzyskich kobiet, które nigdy nie opuszczają domu bez pełnego makijażu. Miała doskonałe paznokcie. Obcisłą spódnicę. Nogi, które przyprawiłyby papieża o grzeszne myśli. Różniła się od Sary tak bardzo jak dojrzała brzoskwinia od owocowych lodów na patyku.

Will wsunął złożone dłonie między kolana.

– Dziękuję bardzo za poczęstunek. Proszę podziękować matce. Nie objadłem się tak od... – Zachichotał, gładząc się po brzuchu. – Cóż, nie jestem pewien, czy w ogóle kiedykolwiek się tak objadłem.

– Przykro mi, że pana tak indagowała.

– Nic nie szkodzi. To ja przepraszam, że się państwu tak zwałem na głowę.

– To moja wina, bo to ja pana tu ściągnęłam.

– Przykro mi, że hotel jest nieczynny.

Sara przeszła do rzeczy, obawiając się, że spędzą resztę wieczoru na przerzucaniu się błahymi przeprosinami.

– O co chce mnie pan spytać?

Milczał przez kilka sekund, jawnie się w nią wpatrując.

– Pierwsze pytanie jest raczej delikatnej natury.

Mocniej objęła się ramionami.

– Śmiało, proszę pytać.

– Kiedy komendant Wallace zadzwonił dzisiaj do pani, prosząc o udzielenie pomocy Tommy’emu... – Urwał. – Czy zawsze nosi pani przy sobie diazepam? To valium, prawda?

Nie była w stanie spojrzeć mu w oczy. Siedziała ze wzrokiem wbitym w stolik. Ewidentnie pracował wcześniej. Laptop był zamknięty, ale dioda się świeciła. Kable łączyły komputer z przenośną drukarką stojącą na podłodze. Obok leżało nieotwarte opakowanie kolorowych teczek. Na jego wierzchu spoczywała drewniana linijka i paczka kolorowych markerów. A także zszywacz, spinacze do papieru, gumki recepturki.

– Doktor Linton?

– Will. – Starła się mówić opanowanym głosem. – Nie sądzi pan, że czas, byśmy zaczęli zwracać się do siebie po imieniu?

Przystał na propozycję.

– A zatem, Saro? – Kiedy dalej milczała, nacisnął: – Zawsze nosisz przy sobie valium?

– Nie – przyznała. Było jej tak wstyd, że nie wiedziała, gdzie schować oczy. Wbiła wzrok w stolik przed sobą. – Miało być dla mnie. W związku z tą wizytą. Na wypadek gdyby... – Zbyła resztę odpowiedzi wzruszeniem ramion. Jak miała wyjaśnić temu człowiekowi, że musi się otumaniać lekami, żeby przetrwać rodzinne święta?

– Czy komendant Wallace wiedział, że masz valium?

Próbowała przypomnieć sobie rozmowę z Frankiem.

– Nie. Sama zaproponowałam, że je przywiozę.

– Powiedziałaś, że masz proszki w torbie lekarskiej?

– Nie chciałam go informować, że są na...

– Już dobrze – powstrzymał ją. – Bardzo mi przykro, że musiałem zadać takie osobiste pytanie. Staram się tylko ustalić, jak to wszystko przebiegało. Komendant Wallace zadzwonił do ciebie po pomoc. Skąd w ogóle wiedział, że będziesz w stanie jej udzielić?

Spojrzała na niego. Nie odwrócił wzroku, wpatrywał się w nią nieruchomo, ale w jego oczach nie było osądu czy współczucia. Nie pamiętała już, kiedy ostatni raz ktoś na nią patrzył i naprawdę widział. Na pewno nie od chwili kiedy przyjechała do tego miasta dziś rano.

– Frank sądził, że uda mi się porozmawiać z Tommym – powiedziała. – Przemówić mu jakoś do rozumu, uspokoić.

– Czy już kiedyś zajmowałaś się aresztantami albo osadzonymi?

– Niezupełnie. To znaczy wzywano mnie kilka razy, kiedy któryś przedawkował. Raz do pękniętego wyrostka. Wszystkich przenosiłam do szpitala. Nie zajmowałam się nimi w areszcie. Nie medycznie w każdym razie.

– A rozmawiając przez telefon z komendantem Wallace'em...

– Przepraszam – wtrąciła. – Mógłbyś nazywać go Frankiem? To dla mnie...

– Nie musisz wyjaśniać – zapewnił. – Zatem w tej rozmowie telefonicznej, kiedy powiedziałaś, że nie przypominasz sobie Tommy'ego Brahama, że go nie kojarzysz, czy miałaś wrażenie, że Frank usiłuje wymóc na tobie przyjazd na komendę?

Wreszcie zrozumiała, dokąd zmierzają te pytania.

– Uważasz, że wezwał mnie po fakcie. Że Tommy był już martwy. – Przypomniała sobie, jak Frank zajrzał przez wizjer w drzwiach celi. Jak upuścił klucze na podłogę. Grał?

– Sama najlepiej wiesz, że określanie czasu zgonu nie jest nauką ścisłą – powiedział Will. – Jeśli zadzwonił do ciebie zaraz po znalezieniu zwłok...

– Ciało było jeszcze ciepłe – przypomniała sobie. – Ale w izbie zatrzymań było gorąco. Frank powiedział, że mają kłopot z piecem.

– Czy słyszałaś, żeby wcześniej szwankował?

Pokręciła głową.



– Nie byłam w komendzie od ponad czterech lat.  
– Kiedy ja tam przyjechałam dziś wieczorem, temperatura była normalna.

Sara opadła na oparcie. To byli ludzie, którzy pracowali z Jeffreyem. Którym całe życie ufała. Jeśli Frank Wallace wyobraża sobie, że Sara będzie kogoś kryć lub coś zatajać, grubo się myli.

– Myślisz, że go zabili? – Sama odpowiedziała sobie na pytanie. – Widziałam granatowy tusz z długopisu. Nie mieści mi się w głowie, żeby trzymali Tommy’ego i przerzynali mu żyły tym wkładem. Są łatwiejsze sposoby na upozorowanie samobójstwa.

– Powieszenie – zasugerował. – Osiemdziesiąt procent więziennych samobójstw to zagardlenia. W przypadku osadzonych i więźniów prawdopodobieństwo odebrania sobie życia jest siedem razy większe niż w całej populacji. Tommy spełniał niemal wszystkie przesłanki. – Will je wyliczył. – Miał bardzo silne wyrzuty sumienia. Nie przestawał płakać. Nie był żonaty. Mieścił się w przedziale wieku między osiemnaście a dwadzieścia pięć lat. To był jego pierwszy konflikt z prawem. Miał surowego rodzica lub opiekuna, który byłby zły lub rozczarowany, dowiedziawszy się o jego uwięzieniu.

– Rzeczywiście, Tommy odpowiadał profilowi – zgodziła się. – Ale z jakiego powodu Frank miałby opóźnić znalezienie zwłok?

– Cieszysz się tu szacunkiem. Osadzony zabija się w policyjnej izbie zatrzymań. Jeśli ty stwierdzisz, że nie ma w tym nic podejrzanego, ludzie ci uwierzą.

Sara nie mogła nie przyznać mu racji. Dan Brock był przedsiębiorcą pogrzebowym, nie lekarzem. Gdyby ludzie wbili sobie do głowy, że Tommy’ego zamordowano w areszcie, miałby ogromne trudności ze sprostowaniem takiej pogłoski.

– Kwestia wkładu do długopisu, którym posłużył się Tommy – zaczął Will. – Funkcjonariusz Knox powiedział mi, że twój mąż sprezentował wszystkim pracownikom komendy długopisy na gwiazdkę. To bardzo ładny gest z jego strony.

– Niezupełnie – powiedziała, zanim zdążyła ugryźć się w język. – To znaczy, sam był zajęty, więc poprosił mnie, żebym... – Machnęła

ręką. Była wtedy wściekła na Jeffreya, że zrzucił to na jej barki, jakby ona miała mniej na głowie od niego. Zbagatelizowała to teraz, mówiąc: – Na pewno też zdarza ci się prosić żonę, żeby cię w czymś wyręczyła, kiedy jesteś zawałony robotą.

Uśmiechnął się.

– Pamiętasz, gdzie je kupiłaś?

Poczuła, jak zalewa ją kolejna fala wstydu.

– Poprosiłam Nelly, kierowniczkę sekretariatu w przychodni, żeby wyszukała je w sieci. Nie miałam czasu. – Pokręciła głową, czując się jak łachudra. – Być może uda mi się znaleźć pokwitowanie płatności kartą, jeśli to ważne. To było ponad pięć lat temu.

– Ile długopisów kupiliście?

– Zdaje się, że dwadzieścia pięć. Wszyscy z komendy dostali po jednym.

– Musiały sporo kosztować.

– Owszem – przyznała.

Jeffrey nie określił górnych widełek, a w jej wizji kosztowny prezent miał nieco wyższą cenę niż w jego. Teraz to wszystko wydawało się takie głupie. Czemu marnowali czas na niepotrzebne kłótnie i obrażanie się. Dlaczego wtedy coś takiego w ogóle się liczyło?

– Tutaj mówisz z innym akcentem niż w Atlancie.

Zaskoczył ją tym stwierdzeniem. Roześmiała się, zbita z tropu.

– Jak wieśniaczka?

– Twoja matka ma piękny akcent.

– Wytworny – powiedziała. Z wyjątkiem dzisiejszego wieczoru, uwielbiała dźwięk jej głosu.

Znowu ją zażył.

– Niby zostałam wciągnięta w sam środek tej afery, ale pod wieloma względami sama się w nią wpackowałam.

Bezpośredniość tego stwierdzenia sprawiła, że znowu spiekła raka. Patrzył na nią łagodnie, ze zrozumieniem. Zastanawiała się, czy to autentyczna mina czy też jedna z technik przesłuchania.

– Wiem, że to brzmi trochę bezceremonialnie, ale zakładam, że

nie bez kozery zaproponowałaś, żebyśmy spotkali się w centrum, na oczach całego miasteczka.

Znowu się roześmiała, tym razem z samej siebie i sytuacji.

– Nie rozmyślnie. Choć pewnie właśnie tak to wygląda.

– Zatrzymałem się w twoim domu. Ludzie zobaczą mój wóz zaparkowany na twoim podjeździe. Wiem, jak to jest w małych miasteczkach. Wszyscy będą przekonani, że coś nas łączy.

– Ale przecież nie łączy. Ty masz żonę, a ja...

Bardziej się skrzywił, niż uśmiechnął.

– Prawda nie ma dużego znaczenia w tego typu sytuacjach. Na pewno sama o tym wiesz.

Przeniosła wzrok na przybory biurowe zgromadzone na stoliku. Will ułożył gumki recepturki według kolorów. Nawet spinacze do papieru leżały zwrócone w jedną stronę.

– Coś złego się tu dzieje – orzekł. – Nie wiem, czy akurat to, co ci się zdaje, ale zdecydowanie coś jest nie tak.

– Co takiego?

– Jeszcze nie wiem, ale musisz być przygotowana na nie zawsze miłe reakcje. – Ostrożnie dobierał słowa. – Policjanci nie lubią być przedmiotem śledztwa. Jednym z powodów, dla których są dobrzy w swojej robocie, jest przekonanie o własnej nieomyślności.

– Jestem lekarzem. Wierz mi, nie tylko gliniarze myślą w ten sposób.

– Chcę, żebyś była gotowa, ponieważ kiedy wreszcie dobrniemy do końca dochodzenia, bez względu na jego wynik, bez względu na to, czy ustalę, że Tommy był winny, czy że detektyw Adams zawałiła sprawę, czy też że wszystko odbyło się zgodnie z prawem, ludzie będą cię nienawidzić za to, że mnie tu ściągnęłaś.

– Już wcześniej mnie nie kochali.

– Będą mówić, że szargasz pamięć i nazwisko męża.

– Nic o nim nie wiedzą. Nic a nic.

– Sami sobie wszystko dopowiedzą. Sytuacja zrobi się znacznie trudniejsza niż teraz. – Odwrócił się w jej stronę. – Ja ją skomplikuję. Wykonam umyślnie parę ruchów, które ich rozzłoszczą i sprowokują do odkrycia kart. Poradzisz sobie z tym?

– A co jeśli się nie zgodzę?

– Znajdę inny sposób, żeby to zrobić, nie wytrącając cię z równowagi.

Widziała, że jego propozycja jest szczerą, i poczuła się winna, że wcześniej kwestionowała jego motywę.

– To już nie jest mój dom. Wyjeżdżam stąd za trzy dni bez względu na to, co się stanie. Rób, co uważasz za konieczne.

– A twoja rodzina?

– Moja rodzina mnie wspiera. – Wielu rzeczy nie była pewna ostatnio, ale za to dałaby sobie rękę uciąć. – Mogą się ze mną nie zgadzać, ale stoją za mną murem.

– Świetnie. – Wydawało się, że mu ulżyło, jakby uporał się z najtrudniejszą kwestią. – Potrzebuję jeszcze numeru komórki Julie Smith.

Sara to przewidziała. Wyjęła z kieszeni złożoną kartkę i podała ją Willowi.

Wskazał na aparat stojący przy sofie.

– Czy to ta sama linia co w domu?

Skinęła głową.

– Chciałem się tylko upewnić, że numer na wyświetlaczu będzie ten sam. – Podniósł słuchawkę i zapatrzył się na obrotową tarczę.

Sara przewróciła oczyma.

– Rodzice nie są za pan brat z najnowszą techniką.

Zaczął wykręcać, ale palec wyslizgnał mu się z tarczy w połowie numeru.

– Pozwól, ja to zrobię – zaproponowała i przesunęła telefon, zanim zdążył zaprotestować. Wykręciła numer z większą wprawą, niżby chciała.

Will przyłożył słuchawkę do ucha, właśnie kiedy rozległ się w niej automatyczny komunikat, więc przełożył ją tak, by oboje słyszeli, jak nagrany głos informuje dzwoniącego, że numer, z którym usiłuje się połączyć, jest nieaktualny.

Odłożył słuchawkę na widełki.

– Poproszę jutro Faith, żeby spróbowała namierzyć właściciela. Ale idę o zakład, że to aparat na kartę, jednorazowego użytku.

Przypominasz sobie coś jeszcze na temat tej Julie? Może coś o sobie powiedziała?

– Słysząc było, że dzwoni z toalety – stwierdziła Sara. –

Powiedziała, że Tommy przysłał jej SMS-a z informacją, że go aresztowali. Może uda ci się zdobyć zapis z jego komórki.

– Faith się tym zajmie. A jaki głos miała ta Julie? Młody? Stary?

– Sprawiała wrażenie bardzo młodej i bardzo country.

– Country jak?

Uśmiechnęła się.

– Nie tak jak ja. Przynajmniej mam taką nadzieję. Jakby pochodziła z biedoty. Mówiła na przykład „wom”, „ciągiem”, „psze pani”.

– To gwara z gór.

– Tak? Nie znam się na dialektach.

– Jakiś czas temu zostałem wydelegowany do Blue Ridge – wyjaśnił. – Czy tutaj często słyszysz takie słowa?

Pokręciła głową.

– Raczej nie. W każdym razie nie przypominam sobie.

– Dobrze, mamy zatem młodą dziewczynę, prawdopodobnie przyjeżdżącą z północnej Georgii albo Appalachów. Powiedziała ci, że jest przyjaciółką Tommy’ego. Przejrzemy jego billingi i zobaczymy, czy do siebie wcześniej dzwonili.

– Julie Smith. – Sara zastanawiała się, dlaczego nigdy wcześniej nie przyszło jej do głowy, że nazwisko może być fałszywe.

– Może podsłuch i billingi coś nam powiedzą.

Pokazała na zrobione przez siebie kserokopie.

– Przydały się na coś?

– Nie tak jak myślisz. – Przerzucił strony. – Poprosiłem sekretarkę z komendy, panią Simms, żeby przefaksowała je do Faith. Możesz na nie teraz zerknąć?

Sara przejrzała kartki. Wszystkie były odręcznie ponumerowane u góry. Zatrzymała się na stronie jedenastej. Ktoś napisał w rogu numer dwanaście. Dwójka była odwrócona jak w odbiciu lustrzanym.

– Ty je ponumerowałaś?

– Tak. Kiedy pani Simms mi je oddała, brakowało jednej strony. Jedenastej. Tej zaraz po notatce detektyw Adams z oględzin miejsca zdarzenia.

Sara wróciła na drugą stronę. Tu dwójkę napisano poprawnie. Sprawdziła potem jeszcze trzecią i piątą. Obie cyfry też wyglądały prawidłowo. Ale piszący tak mocno naciskał długopis, że papier w dotyku sprawiał wrażenie tłoczonego.

– Przypominasz sobie, jaka część zniknęła?

Sara jeszcze raz przerzuciła strony, tym razem koncentrując się na ich zawartości, nie na paginacji.

– Transkrypt zgłoszenia pod 911.

– Jesteś pewna?

– To była kserokopia kolejnej kartki z notatnika Leny. Spisała tam treść rozmowy z 911.

– Pamiętasz, jak brzmiała?

– Wiem tylko, że dzwoniła kobieta. Reszta zupełnie wyleciała mi z głowy.

– Czy ustalono z jakiego numeru?

– Nie wpadło mi w oczy nic, co by na to wskazywało. – Pokręciła głową. – Dlaczego nie mogę sobie przypomnieć, co mówiła ta dzwoniąca?

– Ustalimy to u dyspozytora.

– Chyba że zdołali już zgubić zapis.

– To nic takiego – zapewnił ją. – Dostałaś te dokumenty od Franka, tak?

– Od Carla Phillipsa.

– Profosa?

– Tak. Rozmawiałeś z nim dzisiaj?

– Wyjechał na biwak z rodziną. Nie wiadomo, kiedy wróci. Zero telefonu. Komórki. Żadnego sposobu, żeby się z nim skontaktować.

Sara otworzyła usta.

– Wątpię, że naprawdę wyjechał. Prawdopodobnie po prostu trzymają go z daleka ode mnie. Być może nawet pojawi się jutro na komendzie, ukrywając się tuż pod moim nosem.

– To jedyny Afroamerykanin w policji.

Will się roześmiał.

– Dzięki za podpowiedź. To zdecydowanie zawęży krąg kandydatów.

– Nie mieści mi się w głowie, że mogą się tak zachowywać.

– Policjanci nie lubią być przesłuchiwani. Zwierają szyki i nastawiają się defensywnie, nawet gdy wiedzą, że to niewłaściwe.

Zastanawiała się, czy Jeffrey kiedykolwiek zachowywał się podobnie. Nawet jeśli, to tylko dlatego, że uważał, że brudów nie pierze się publicznie, sam chciał sprzątać na swoim terenie. Nigdy nie pozwoliłby, żeby ktoś z zewnątrz odwalał za niego robotę.

– Gdzie zrobiłaś te kserokopie?

– Na komendzie.

– Na tej kopiarce, która stoi na stole obok ekspresu do kawy?

– Tej samej.

– Zrobiłaś też sobie kawę?

– Nie chciałam tracić czasu.

Wszyscy gapili się na nią jak na potwora. Myślała tylko o tym, żeby zrobić odbitki i jak najszybciej się stamtąd wydostać.

– Czyli stoisz i czekasz, aż ksero wyrzuci kopie. Wygląda na raczej starą maszynę. Robi dużo hałasu?

Skinęła głową, zastanawiając się, do czego zmierzają te pytania.

– Bardziej szumi czy warkocze?

– I to, i to – odpowiedziała, niemal słysząc w uszach ten odgłos.

– Ile kawy zostało w dzbanku? Czy ktoś do niego podchodził?

Pokręciła głową.

– Nie. Dzbanek był pełen.

Ekspres był starszy niż ksero. Czuła swąd przypalających się ziaren.

– Czy ktoś z tobą rozmawiał?

– Nie. Nikt nawet nie patrzył w moją... – W myślach zobaczyła siebie stojącą przy przestarzałej kopiarce, która nie przyjmowała więcej niż jedną stronę naraz. Czytała dokumenty, żeby nie gapić się bez celu na ścianę. – Och.

– Coś sobie przypomniałaś?

– Kiedy czekałam, aż kopiarka się rozgrzeje, przerzuciłam

wzrokiem transkrypt tego zgłoszenia.

– Co tam było napisane?

Zobaczyła siebie stojącą na komendzie i czytającą dokumenty.

– Dzwoniąca wspomniała o ewentualnym samobójstwie.

Niepokoiliła się, że jej przyjaciółka coś sobie zrobiła. – Sara zmrużyła powieki, usiłując przywołać wspomnienie. – Bała się, że Allison się zabije, ponieważ wcześniej pokłóciła się z chłopakiem.

– Czy mówiła, gdzie może być dziewczyna?

– Na Cyplu Kochanków – przypomniała sobie. – Miejscowi tak nazywają zatoczkę, gdzie znaleziono Allison.

– Jak wygląda?

– Jak zatoczka. – Wzruszyła ramionami. – Może i jest to romantyczne miejsce na spacer, ale na pewno nie w lejącym deszczu i chłodzie.

– Ustronne?

– Tak.

– Zatem według dzwoniącej Allison posprzeczała się ze swoim chłopakiem, była w samobójczym nastroju i ponoć poszła na Cypel Kochanków.

– Uważasz, że to Julie Smith dzwoniła, tak?

– Możliwe, ale dlaczego? Dzwoniąca chciała zwrócić uwagę na zabójstwo Allison. Julie Smith usiłowała pomóc Tommy'emu Brahamowi wymigać się od zarzutu zabójstwa. Miały zatem raczej sprzeczne cele. – Urwał. – Faith próbuje ustalić jej tożsamość, ale będziemy potrzebowali czegoś więcej niż numeru zablokowanej komórki, żeby ją odnaleźć.

– Frank i Lena pewnie są tego samego zdania – domyśliła się Sara. – Dlatego ukryli ten transkrypt. Chcą w ogóle uniemożliwić ci dotarcie do dziewczyny albo dotrzeć do niej pierwsi.

Will podrapał się po policzku.

– Niewykluczone.

Ewidentnie rozważał inną ewentualność. Sara natomiast nie mogła się pogodzić z myślą, że Marla Simms posunęła się do zatajenia dowodu w oficjalnym dochodzeniu. Starsza pani pracowała na komendzie dłużej, niż ktokolwiek z nich sięgał



pamięcią.

Will usiadł prosto. Przerzucił kartki leżące na stole.

– Pani Simms z własnej inicjatywy przefaksowała Faith dodatkowe informacje. Faith mi je zeskanowała, żebym sobie wydrukował. – Znalazł to, czego szukał, i podał Sarze. Rozpoznała dwustronicowy formularz notatki z interwencji. Funkcjonariusze tygodniowo wypełniali dziesiątki takich, w przypadku wszystkich zdarzeń, do których zostali wezwani, a które nie zakończyły się zatrzymaniem. Były przydatne, na wypadek gdy coś zdarzyło się później, stanowiąc swoisty rejestr naruszeń prawa popełnionych przez daną osobę w danej okolicy.

– To są notatki z interwencji dokumentujące wykroczenia, jakich dopuścił się Tommy. – Pokazywał kolejne kartki, które Sara trzymała w dłoniach. – Ta odnosi się do dziewczyny, z którą urządził sobie koncert na wrzaski na torze wrotkowym.

Sara zauważyła żółtą kropkę w rogu strony.

– Czy Tommy łatwo wpadał w złość? – spytał Will.

– Nie. – Sara przejrzała dwie pozostałe notatki. Każda składała się z dwóch zszytych kartek oznaczonych kolorowymi kropkami markera w przeciwległych rogach: na jednym formularzu czerwonymi, na drugim zielonymi. Przeniosła wzrok na Willa. – Był zrównoważony. Takie dzieci z reguły są słodkie i bezkonfliktowe.

– Z uwagi na swój poziom intelektualny?

Sara patrzyła na Willa, wracając myślą do ich rozmowy w samochodzie.

– Owszem. Wolno przyswajał. I był bardzo naiwny.

Podobnie jak Sara.

Oddała Willowi inny formularz, podając go do góry nogami. Pokazała palcem na środek strony, gdzie Carl Phillips opisał zajście.

– Czytałeś tę cześć?

Obserwowała, jak jego wzrok wędruje do czerwonej kropki.

– Szczekający pies. Tommy zaczął się drzeć na sąsiadkę. Kobieta wezwała gliny.

– Tak. – Wzięła trzecią notatkę i podała mu ją we właściwym kierunku. – Jest jeszcze ten.

Ponownie jego spojrzenie powędrowało nie na słowa, ale kolorową kropkę.

– Zakłócanie spokoju, głośna muzyka. Zgłoszenie sprzed kilku dni. Tommy krzyczał na funkcjonariusza.

Milcząc, czekała, żeby wysłał kolejny sygnał.

Nie spieszył się. W końcu zapytał:

– I co myślisz?

Myślała, że jest niewiarygodnie inteligentny. Patrzyła na teczki, markery. Wszystko oznaczał za pomocą barwnego kodu. Pisał niezgrabnie jak dziecko, a cyfrę dwa nabazgrał odwrotnie. Nie potrafił rozpoznać, czy strona jest do góry nogami czy nie. W innych okolicznościach Sara pewnie by się nie zorientowała. Cholera, nie zorientowała się do tej pory. A był u niej w domu. Obserwowała go przy pracy i ani razu wcześniej nie zauważyła, że ma jakiś problem.

– Czy to jakiś test? – zażartował.

– Nie. – Nie mogła mu tego zrobić. Nie w ten sposób. Może nawet nigdy. – Patrzyłam na daty. – Zaczęła przerzucać strony, żeby zająć czymś dłonie. – Do wszystkich incydentów doszło w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Coś musiało Tommy’ego rozstroić, sprowokować. Jeszcze do niedawna nie miał żadnych konfliktów z otoczeniem.

– Zobaczą, co uda mi się ustalić.

Wyjął kartki z jej rąk i ułożył je w kupkę na stole. Był zdenerwowany, ale nie głupi. I pewnie od małego wyczulony na wszelkie wskazówki i znaki świadczące o tym, że ktoś domyśla się jego sekretu.

Położyła mu dłoń na ramieniu.

– Will...

Wstał i odsunął się z zasięgu jej ręki.

– Dziękuję, doktor Linton.

Także wstała. Szukała w myślach czegoś, co mogłaby powiedzieć.

– Przykro mi, że nie mogłam bardziej pomóc.

– Wspaniale się spisałaś. – Podszedł do drzwi i otworzył je przed nią. – Podziękuj matce za gościnność.

Wyszła, zanim została wypchnięta. Zeszła po schodach i odwróciła się, ale on już zniknął.

– Wielkie nieba – wymamrotała, idąc przez mokry trawnik. Zdołała przyprawić Willa o większe skrepowanie niż matka.

Od strony drogi dobiegł odległy odgłos silnika. Patrzyła, jak policyjny radiowóz przejeżdża wolno przed jej domem. Tym razem gliniarz za kółkiem nie uniósł czapki w pozdrowieniu. Przeciwnie, miała wrażenie, że spiorunował ją wzrokiem.

Will ją ostrzegał, że miasteczko zwróci się przeciwko niej. Sara nie spodziewała się jednak, że stanie się to tak szybko. Zaśmiała się w duchu z samej siebie, z sytuacji. Może Trent miał trudności z czytaniem liter, ale w ludziach czytał jak w otwartej księdze.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Jason Howell chodził z kąta w kąt po swoim maleńkim pokoju w akademiku, szuranie jego stóp mieszało się z szumem deszczu za oknem. Podłogę zaścielały porozrzucane papiery, na biurku walały się rozłożone książki i puste puszki po red bullu. Wiekowy laptop wydał odgłos przypominający zmęczone ziewnięcie, kiedy go zamykał. Musiał pracować, ale w głowie mu się już mąciło. Na niczym nie był w stanie skupić uwagi dłużej niż przez kilka minut: ani na zepsutej lampce na biurku, ani na mailach zapychających mu skrzynkę, a już na pewno nie na magisterce, nad którą miał pracować.

Położył dłoń na komputerze tuż pod klawiaturą. Plastik był gorący. Wiatrak, który chłodził płytę główną, zaczął buczeć już kilka tygodni temu, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Jason, trzymając komputer na kolanach, o mały włos nie nabawił się oparzenia trzeciego stopnia. Domyślał się, że coś się psuje na linii między akumulatorem a podłączoną do kontaktu ładowarką. Nawet teraz w powietrzu unosił się śladowy zapach palonego plastiku. Jason chwycił wtyczkę, ale rozmyślił się, zanim wyciągnął ją z gniazdka. Przygryzając koniuszek języka, patrzył na sznur wijący się w jego dłoni. Czy naprawdę chce przegrzać komputer? Przepalony laptop stanowiłby brzemienne w skutki katastrofę. Cała praca Jasona mogłaby pójść na marne, wszystkie przypisy, notatki, wyniki badań i reszta ostatniego roku rozplynęłyby się w jednej gigantycznej kupie śmierdzącego plastiku.

A potem co?

Nie zostali mu już żadni przyjaciele. Wszyscy w akademiku

udawali, że go nie widzą, gdy szedł korytarzem. Nikt nie rozmawiał z nim na zajęciach ani nie prosił o pożyczenie notatek z wykładów. Od miesiący nie wyszedł na drinka. Nie licząc dyskusji z profesorami, nie przypominał sobie, żeby od przerwy wielkanocnej odbył z kimś choć jedną znaczącą rozmowę.

Z wyjątkiem Allison, ale to się nie liczyło. Ostatnio zresztą też tak naprawdę nie rozmawiali. Naskakiwali tylko na siebie nawzajem o najgłupsze rzeczy – kto miał zamówić pizzę, kto zapomniał zamknąć drzwi. Nawet seks był nieudany. Konfrontacyjny. Mechaniczny. Rozczarowujący.

Jason nie dziwił się, że Allison go znienawdziła. Nie potrafił niczego zrobić, jak należy. Jego praca magisterska była do kitu. Stopnie się pogarszały. Kończyły się pieniądze z funduszu dziadka. Zostawił mu dwanaście tysięcy dolarów jako uzupełnienie do stypendium i kredytu na studia. Podówczas suma wydawała się ogromna. Teraz, rok przed obroną, Jason miał wrażenie, że to psi grosz. I ów psi grosz topniał z każdym dniem.

Nic dziwnego, że czuł się jak groch przy drodze i niemal nie miał siły podnieść głowy.

Ale tak naprawdę najbardziej brakowało mu Allison. Nie, wróc, brakowało mu tej Allison, którą znał od roku i jedenastu miesięcy. Tej, która uśmiechała się na jego widok. Która nie zalewała się łzami co pięć minut i nie skakała mu do oczu, wymyślając od drani, gdy pytał, dlaczego jest smutna.

– Przez ciebie – odpowiadała, a kto by chciał czegoś takiego wysłuchiwać. Kto chciałby być obarczany winą za czyjś kanał, jeśli sam siedział po szyję we własnym dole?

A Jason był zdołowany. Biło to z niego jak żar z opiekacza w McDonaldzie. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz się kąpał, stracił rachubę. Nie sypiał. Nic nie było w stanie wyłączyć jego mózgu na tyle długo, by zapewnić odpoczynek. Gdy tylko się kładł, powieki zaczynały mu chodzić góra dół, góra dół niczym leniwe jo-jo. W ciemności wszystko na nowo do niego wracało i ani się obejrzał, a już potworny ciężar samotności kładł mu się kamieniem na piersi i pozbawiał tchu.

Ale Allison miała to głęboko w nosie. Równie dobrze mógłby sobie tutaj zdechnąć. Nie widział na oczy żadnego żywego stworzenia, odkąd trzy dni temu akademik opustoszał w związku ze świąteczną przerwą na uczelni. Nawet biblioteka pracowała krócej w niedzielę, ostatni maruderzy zbiegali po schodach, gdy personel w końcu zamykał drzwi. Jason patrzył ze swojego okna, jak znikają, i zastanawiał się, czy oni też będą sami, czy mają z kim spędzić święta.

Jeśli nie liczyć nieustającego poszumu Cartoon Network i okazjonalnego mamrotania Jasona, w budynku panowała absolutna cisza. Nawet woźny nie pokazał się już od kilku dni. Jason prawdopodobnie nie miał prawa tu teraz przebywać. Ponieważ z chwilą wyjazdu ostatnich studentów wyłączono ogrzewanie, spał w najcieplejszych ubraniach, zagrzebany pod kołdrą i zimowym płaszczem. A jedyna osoba, którą powinno to niby obchodzić, ewidentnie miała to gdzieś.

Allison Spooner. Jak mógł się zakochać w dziewczynie, która nazywała się tak idiotycznie?

Dzwoniła do niego jak opętana przez ostatnich kilka dni, i nagle wczoraj – cisza. Za każdym razem, gdy komórka rozbłyskała, Jason patrzył, jak na wyświetlaczu pojawia się numer Allison, i za każdym razem ignorował połączenie. Wszystkie wiadomości, które zostawiała, brzmiały kropka w kropkę tak samo: „Hej, zadzwoń do mnie”. Spadłaby jej z głowy korona, gdyby powiedziała coś innego? Gdyby rzuciła, że za nim tęskni? W myślach prowadził z nią rozmowy, w których zadawał te wszystkie pytania, a ona odpowiadała; „Wiesz co? Masz rację. Powinnam być lepszą dziewczyną”.

Rozmowy. Raczej marzenie ściętej głowy.

Przez trzy dni jego telefon dzwonił bez przerwy. Jason zaczął się już niepokoić, że numer komórki Allison na trwale wryje się w wyświetlacz jego aparatu. Obserwował, jak kreseczki pokazujące stopień naładowania baterii znikają jedna po drugiej. Obiecał sobie w końcu, że odbierze połączenie, jeśli Allison zadzwoni, zanim kolejna się nie zdematerializuje. Zniknęła, zanim zabrzmiał

dzwonek, więc powiedział sobie, że odbierze przy następnej. Potem następnej. W końcu komórka się wyłączyła, kiedy spał. W panice zaczął szukać ładowarki. Podłączył ją do kontaktu i... nic.

Jej milczenie było bardzo głośne i wymowne. Nie rezygnuje się tak łatwo, jeśli się kogoś kocha. Nie macha się na niego ręką po kilku nieodebranych telefonach. Tylko dzwoni się dalej, do oporu. Nagrywa się na sekretarce, zostawia wiadomości ciut bardziej osobiste niż: „Hej, zadzwoń do mnie”. Przeprasza się. Nie wysyła się co dwadzieścia minut głupich SMS-ów z pytaniem: „Gdzie jesteś?” Dobija się do jego drzwi i drze się ile tchu w płucach, błagając, by zechciał się spotkać.

Dlaczego machnęła na niego ręką?

Ponieważ zupełnie nie miał jaj. Tak mu powiedziała, kiedy ostatni raz rozmawiali. Jason nie miał dość odwagi, żeby zrobić to, co należało. Dość siły, by się nią zaopiekować. Może miała rację. Bał się. Za każdym razem, gdy rozmawiali o tym, co zamierzają, czuł, jak jelita skręcają mu się w brzuchu, a żołądek podjeżdża do gardła. Żałował, że w ogóle się w to wpakowali. Dałby wszystko, żeby móc cofnąć czas – i to, co zrobili przez ostatnie dwa tygodnie. Allison nadrabiała miną, że niby po niej to spływa, ale wiedział, że ona też się boi. Jeszcze nie było za późno. Jeszcze mogli się wycofać. Udawać, że w ogóle się nie zdarzyło. Gdyby tylko Allison zrozumiała, że nie ma dobrego wyjścia. Dlaczego Jason jest jedyną osobą w tej całej cholernej aferze, która ma pecha posiadać sumienie?

Nagle usłyszał jakiś hałas. Otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. Stał w ciemnościach, rozglądając się na wszystkie strony jak wariat. Żywej duszy dokoła. Nikt go nie śledzi. To on po prostu wpada w paranoję. Zważywszy na liczbę wyżłopanych red bulli i dwie paczki cheetos, które zaległy mu kamieniem na żołądku, nic dziwnego, że miał fazę jak sto pięćdziesiąt.

Wrócił do pokoju. Otworzył okno, żeby wpuścić trochę powietrza. Deszcz osłabł, ale słońce nie pokazało się na niebie od ładnych paru dni. Zerknął na zegarek stojący przy łóżku, niepewny czy jest rano czy noc. Dochodziła północ. Wiał porywisty wiatr, ale Jason tkwił

tu w zamknięciu tak długo, że z radością wciągał świeże powietrze, nawet jeśli było tak zimne, że oddech zamieniał mu się w obłoczek pary. Widział opustoszały studencki parking, gdzieś w oddali zaszczeakał pies.

Usiadł z powrotem przy biurku. Wbił wzrok w lampkę stojącą obok laptopa. Stojak był popsuty. Abażur zwisał na dwóch drutach, pochylony do dołu jakby w zawstydzeniu. Światło rzucało dziwaczne cienie po pokoju. Jason nie cierpiał ciemności. Sprawiała, że czuł się bezbronny i samotny. Że myślał o rzeczach, o których myśleć nie chciał.

Do Święta Dziękczynienia zostało kilka dni. W zeszłym tygodniu zadzwonił jak zwykle do matki, ale jakoś nie miała ochoty go oglądać. Nigdy zresztą nie miała. Był jej synem z pierwszego małżeństwa z mężczyzną, który pewnego dnia wyszedł na piwo i nigdy nie wrócił. Jej drugi mąż od samego początku bardzo jasno dał do zrozumienia, że Jason nie jest jego dzieckiem. Mieli trzy córki, które niemal nie wiedziały o jego istnieniu. Nie zapraszano go na rodzinne imprezy. Nie dostawał zaproszeń na śluby czy wakacje. Matka utrzymywała z nim kontakt za pomocą poczty, ale nie posuwała się do pisania listów: na każde urodziny i Boże Narodzenie wysyłała czek na dwadzieścia pięć dolarów.

Allison miała to wszystko zmienić. Mieli stworzyć własną rodzinę. Spędzać razem wszystkie wakacje i święta. Przez ostatni rok i jedenaście miesięcy właśnie to robili. Chodzili do kina i zajadali się chińskim żarciem, podczas gdy wszyscy inni ludzie na ziemi sterczeli w domach z krewnymi, których nie cierpieli, i jedli jedzenie, które im nie smakowało. A oni żyli po swojemu – sami przeciwko światu, przepelnieni podwójną radością, bo mieli siebie nawzajem. Jason nigdy wcześniej nie doświadczył czegoś dobrego, nie był z nikim w bliskim związku, zawsze tylko stał na zewnątrz, z twarzą przyciśniętą do szyby. Dopiero Allison to zmieniła, choć, jak się okazuje, tylko na chwilę: dała mu cukierka, pozwoliła polizać, a teraz zabrała.

Nie wiedział nawet, czy jeszcze jest w mieście. Może pojechała do domu odwiedzić ciotkę. Może zabrała się z jakimś innym gościem.



Była atrakcyjna. Mogła mieć kogoś o wiele lepszego od Jasona. Wcale by się nie zdziwił, gdyby właśnie teraz pieprzyła się z jakimś nowym facetem.

Nowy facet.

Ta myśl była jak nóż wbity w serce: splecione ramiona i nogi, jej długie włosy na klacie innego gościa. Prawdopodobnie owłosionej klacie, takiej, jaką mają prawdziwi mężczyźni, a nie zapadniętej, ziemistej pozał się Boże klatce, która nie zmieniła się od czasów gimnazjum. Ten nowy facet pewno ma też jaja wielkości grejpfrutów. Bierze Allison w ramiona i dupczy ile wlezie, kiedy chce.

Jak mogła odejść do innego faceta? Jason wiedział od chwili, kiedy pierwszy raz się pocałowali, że się z nią ożeni. Dał jej nawet ten pierścionek, obiecując, że gdy tylko to wszystko się przewali, kupi jej ładniejszy. Prawdziwy. Już o tym zapomniała? Jak może być taka okrutna?

Gryzł język, przesuwając go po przednich zębach, aż poczuł smak krwi. Wstał i znowu zaczął chodzić od ściany do ściany. Zepsuta lampa śledziła jego ruchy upiornym cieniem, który kołysał się wte i wewte na ścianie. Sześć kroków w jedną stronę, sześć kroków z powrotem. Cień się zawahał, zatrzymał i ruszył znowu, uczepiwszy się Jasona jak zły sen. Kiedy uniósł ręce, podniósł ramiona i pochylił je do przodu, cień zamienił się w potwora.

Jason opuścił ramiona, myśląc, że jeśli zaraz nie przestanie, zwariuje ze strachu.

Jeśli tylko zdoła jakoś dotrzeć do Święta Dziękczynienia, wszystko to się skończy. Będą z Allison bogaci, a przynajmniej nie tak biedni. Tommy kupi sobie sprzęt potrzebny do rozkręcenia własnej firmy ogrodniczej. Allison rzuci w diabły tę robotę w restauracji i skupi się na nauce. A Jason... Właśnie, co on zrobi?

Kupi jej ten pierścionek. Wyrzuci z myśli tego innego faceta razem z jego głupią owłosioną klatą i dalej będzie z Allison. Pobiorą się. Będą mieli dzieci. Oboje zostaną naukowcami, doktorami. Kupią sobie dom, samochody, przez całe lato będą puszcząć klimatyzację na ful, jeśli tylko najdzie ich ochota. Ostatnie trzy

miesiące staną się odległym wspomnieniem, do którego wrócą za dziesięć, piętnaście lat, gdy wszystko już minie. Będą na jakimś prozonym obiedzie. Allison wypije ciut za dużo. Rozmowa zejdzie na szalone studenckie lata i oczy jej rozbłysną w świetle świec, gdy popatrzy na Jasona z uśmiechem błąkającym się na ustach.

– O, my z Jasonem możemy to przebić – powie i zszokuje wszystkich opowieścią o nieziemskiej aferze, w którą wplątali się w ciągu ostatnich kilku tygodni.

I tyle właśnie z tego zostanie – obiadowa anegdota, jak ta opowiadana przez Jasona o tym, jak dziadek zabrał go po raz pierwszy na polowanie na kaczki, a on przez pomyłkę okaleczył dwie krykuchy.

Ale żeby to się stało, musi najpierw skończyć referat. Nie może się teraz zadowolić uzyskaniem byle magistra. Musi być najlepszy na roku, bo, choć Allison tego nie mówiła, lubiła mieć ładne rzeczy. Marzyła, żeby móc kiedyś wejść do sklepu i kupić wszystko, na co będzie miała ochotę. Nie cierpiała zaciskania pasa i liczenia się z każdym groszem co miesiąc. Jason nie zamierzał być mężem, który się dopytuje, ile kosztowała jakaś para butów czy po co Allison kolejna czarna sukienka. Zamierzał być na tyle bogaty, by jego żona mogła wypełnić dziesięć szaf markowymi ciuchami, a oni nadal mieli dość kasy, by pojechać do Cancún, St Croix czy gdzie tam obrzydliwie bogaci ludzie latają swoimi odrzutowcami na wakacje.

Położył palce na klawiaturze, ale nie zaczął pisać. Był rozpalony. Poczucie winy zawsze go rozstrajało. Nie istniała dla niego gorsza kara niż cierpienie wywołane rozczarowaniem samym sobą. A powinien być rozczarowany. Wstrząśnięty tym, czego się dopuścił. Miał chronić Allison, powinien był jej wytłumaczyć, że niezależnie od pieniędzy, jakie wchodzi w grę, skórka nie jest warta wyprawki. Tymczasem naraził ją na niebezpieczeństwo. I jeszcze wplątał w to wszystko Tommy'ego, który był na tyle głupi, że zgadzał się na wszystko, co mu zaproponowano. Jason był odpowiedzialny za nich oboje. Miał się opiekować swoimi przyjaciółmi, a nie narażać ich i wpędzać w kłopoty. Czy naprawdę ich życie jest tak mało warte?

Opłaca się je wystawiać na szwank za, koniec końców, mniej niż pensję jakiegoś tam ciecica?

– Nie – powiedział, ale jego głos utonął w zawodzeniu wiatru. Nie może pozwolić, by cała trójka w to wdepnęła. Allison się myli. Jason ma jaja. Ma dość odwagi, by zrobić to, co konieczne.

Zamiast wrócić do referatu, otworzył przeglądarkę internetową. Szybko znalazł właściwą stronę i dane kontaktowe. Kliknął w ikonkę poczty, żeby napisać nowego maila, ale się rozmyślił. Nie chciał, żeby ustalono jego autorstwo. To było wprawdzie tchórzostwo, ale osobiście wolał być uczciwym tchórzem niż zapuszkowanym donosicielem. Nie mógłby się wyprzeć, że maczał palce w próbie wyłudzenia, oszustwa, Bóg jeden wie w czym jeszcze. Na pewno do akcji wkroczą federalni. Być może uznają to nawet za usiłowanie zabójstwa.

Otworzył konto na Yahoo, którego używał do ściągania pornosów, i wkleił adres kontaktowy w okienko adresata maila. Mówił na głos, pisząc:

– Nie wiem, czy to tu powinienem o tym informować, ale coś bardzo niepokojącego dzieje się w... – urwał, szukając w myślach właściwego słowa. Obiekt? Instytucja? Miejsce?

– Cześć.

Jason poderwał głowę, zaskoczony.

– Jezu, o mało nie umarłem ze strachu. – Przesunął po omacku myszką, żeby zamknąć przeglądarkę.

– Wszystko dobrze?

Jason zerknął nerwowo na komputer.

– Co ty tu robisz? – Ten głupi program pocztowy pytał, czy chce zapisać wiadomość. Jason jeszcze raz kliknął myszką, żeby zrzucić stronę ze skrzynką na pasek. Nadal pytała, czy chce zachować list.

– Co piszesz?

– Takie tam na studia. – Zamiast klawisza zapisu wcisnął „usuń”. Program się zamknął. Słychać było, jak wentylator buczy, usiłując schłodzić procesor na tyle, by wykonał polecenie. Plik z jego magisterką podświetlił się, potem zniknął. Monitor zrobił się czarny.

– Cholera – wyszeptał. – Nie, nie, tylko nie to...

– Jason.

– Moment. – Wcisnął klawisz spacji, usiłując obudzić komputer. Czasami to wystarczało. Czasami cholerstwo chciało się po prostu upewnić, że Jason uważa.

– Prosiłeś się o to.

– Co...

Poleciał do przodu, zuchwa gwałtownie mu się zamknęła, gdy wyrznął głową w komputer. Czuł na policzku gorący dotyk plastiku. Kałuża ciemnego płynu zebrała się na klawiaturze. Przez głowę przeleciała mu idiotyczna myśl, że laptop jest ranny i krwawi.

Podmuch wiatru wpadł do pokoju przez otwarte okno. Jason próbował odkaszlnąć. Gardło nie chciało słuchać. Spróbował znowu. Coś wilgotnego i grubego wyskoczyło mu z ust. Patrzył na to i myślał, że przypomina kawałek wieprzowiny. Różowe ciało. Surowe mięso.

Zaczął się krztusić.

Przed oczyma miał własny język.

**WTOREK**

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Will czuł się jak złodziej, kiedy przemykał się chyłkiem po podwórku Lintonów i wsiadał do porsche. W lejącym deszczu miał przynajmniej pretekst, żeby spuścić głowę i iść szybko. Wcisnął kluczyk do zamka i znalazł się w środku, zanim zauważył, że coś jest wsunięte pod wycieraczkę. Jęknął. Otworzył drzwiczki i próbował sięgnąć ręką do wycieraczki, ale okazała się za krótka. Rękaw zdążył przemoknąć mu niemal do nitki, kiedy w końcu Will wysiadł, żeby wyciągnąć plastikową torebkę śniadaniową.

Ktoś zostawił mu wiadomość. Kartka w środku była złożona na pół. Will rozejrzał się dokoła, lustrując górę i dół ulicy. Nikt się po niej nie kręcił, co nie dziwiło w taką barową pogodę. Nie widział też żadnych stojących samochodów z włączonymi silnikami. Otworzył torebkę i poczuł znajomy zapach.

Fikuśnego mydła.

Gapił się na złożony papier, zachodząc w głowę, czy Sara robi mu jakiś kawał. Wczoraj przez pół nocy miotał się od ściany do ściany pokoju gościnnego Lintonów, odtwarzając w myślach ostatnie pięć minut ich rozmowy. Tak naprawdę niczego nie zasugerowała. A może? Ewidentnie coś było w jej spojrzeniu. Coś się między nimi zmieniło i nie była to zmiana na lepsze.

Oprócz jego żony tylko dwie osoby w życiu Willa wiedziały o jego dysleksji. I obie, każda na swój sposób, potrafiły sprawić, że nie wiedział, gdzie podziać oczy. Amanda Wagner, jego szefowa, rzucała od czasu do czasu zgrabne bon moty, że jest niewydolny – w najlepszym razie zawodowo, w najgorszym umysłowo. Faith działała w ciut lepszej wierze, ale była za bardzo wścibska, żeby

mogło to wyjść na dobre. Kiedyś zasypała Willa taką masą pytań na temat zaburzenia, że przestał z nią rozmawiać na bite dwa dni.

Jego żona, Angie, stanowiła połączenie obu tych postaw. Wychowywała się razem z Willem, pomagała mu odrabiać prace domowe, pisać wypracowania do szkoły i wypełniać podania. Później także przeglądała jego notatki służbowe i raporty, sprawdzając, czy nie wyglądają jak sporządzone przez opóźnionego umysłowo szympansa. Ale miała też skłonność do frymarczenia swoją pomocą, domagając się w zamian różnych rzeczy, które chciała mieć. A nie były to nigdy dobre rzeczy. Przynajmniej nie dla Willa.

Wszystkie trzy kobiety na swój sposób dawały jasno do zrozumienia, że ich zdaniem z Willem jest coś nie tak. Że coś jest nie w porządku z jego głową. Sposobem myślenia. Załatwiania spraw. Nie litowały się nad nim. Dałby sobie głowę uciąć, że Amanda nawet go nie lubiła. Ale wszystkie traktowały go inaczej. Jakby był chory.

Co zrobi Sara? Może nic. Tak naprawdę Will nie miał pewności, że w ogóle się domyśliła. Albo tylko się łudził. Była nie w ciemę bita – w tym sęk. O niebo inteligentniejsza od Willa. Czyżby się z czymś zdradził? A może to ona znała jakieś lekarskie sztuczki, miała narzędzia do przyszpilania i wyłapywania niczego niepodejrzewających debili. Musiał powiedzieć albo zrobić coś, co go wydało. Ale co?

Obejrzał się na dom Lintonów, sprawdzając, czy nikt go nie obserwuje. Sara nabrała dziwnego zwyczaju czajenia się za zamkniętymi drzwiami. Rozłożył kartkę z notesu. U dołu widniała uśmiechnięta buźka.

Czy ona ma go za dziecko? Skończyły jej się złote gwiazdki do przyklejania?

Przycisnął palce do oczu, czując się jak idiota. Nie było nic pociągającego w ledwo dukającym literki trzydziestopięciolatku.

Zerknął z powrotem na liścik.

Chwalić Pana, zrezygnowała z kursywy. Nie pisała też jak lekarz. Will przesuwał kolejno palec pod literami, ruszając ustami,

gdy czytał. „Zak...” Serce zabiło mu mocniej w piersi, ale szybko zrozumiał swój błąd. „Zakład”. Domyślił się, jakie jest następne słowo, a z cyframi nigdy nie miał problemów.

Jeszcze raz obejrzał się na frontowe drzwi. Okno było puste. Ponownie zerknął na liścik.

„Zakład pogrzebowy 11.30”.

I uśmiechnięta buźka niżej, ponieważ najwyraźniej Sara uważała, że jest niepełnosprawny umysłowo.

Wsadził kluczyk do stacyjki. Ewidentnie informowała go o czasie rozpoczęcia sekcji. Ale może miał być to także jakiś test sprawdzający, jak dobrze Will czyta. Na myśl o tym, że Sara Linton bada go jak jakiegoś szcztura doświadczalnego, miał ochotę z miejsca spakować manatki i wyjechać do Hondurasu. Będzie mu współczuła. Gorzej, może chcieć mu pomóc.

– Halo?

Podsłoczył tak mocno, że walnął głową o podsufitkę. Przy samochodzie stała Cathy Linton z sympatycznym wyrazem na twarzy. Nad głową trzymała duży parasol. Pokazała, żeby opuścić szybę.

– Dzień dobry, panie Trent. – Znowu rozplýwała się w uśmiechach, ale już raz dał się nabrać na tę jej pozę czarującej damy z Południa.

– Dzień dobry, pani Linton.

Na zimnie jej oddech zamienił się w obłoczek pary.

– Mam nadzieję, że dobrze się panu spało.

Zerknął na dom, zastanawiając się, dlaczego akurat ten jeden raz Sara nie czai się za drzwiami.

– Tak, proszę pani. Dziękuję.

– Właśnie wybrałam się na spacer. Nie ma to jak trochę ruchu z rana. – Znowu się uśmiechnęła. – Może pan wejdzie i zje z nami śniadanie?

Tak głośno zaburczało mu w brzuchu, że miał wrażenie, że samochód się zatrząsał. Baton energetyczny, który znalazł rano na dnie walizki, nie do końca załatwił sprawę. Kobieta taka jak Cathy Linton na pewno umie przyrządzić dobre śniadanie. Na bank



będzie masło i szynka. Prawdopodobnie płatki owsiane. Jajka. Hamburgery. Zupełnie jakby zapraszała go do lasu, żeby odwiedził jej chatkę z piernika.

– Panie Trent?

– Niestety, proszę pani. Muszę jechać do pracy, ale dziękuję za zaproszenie.

– W takim razie obiad. – Miała taki sposób mówienia, że to, co oznajmiała, brzmiało z początku jak propozycja, ale kończyło się bezwzględnym rozkazem. – Mam nadzieję, że pokój nie jest w bardzo złym stanie.

– Nie, proszę pani. Wszystko było w jak najlepszym porządku.

– Zajrzę tam później i trochę poodkurzam. Od wyprowadzki córek pokój stoi na dobrą sprawę nieużywany. Wzdragam się na myśl o tym, w jakiej stajni Augiasza pana gościmy.

Will wzdrygnął się natomiast na myśl o wszystkich brudnych ubraniach, których stos zostawił na sofie. Spakował się w Atlancie, zakładając, że zrobi przepierkę w hotelu.

– Naprawdę nie ma potrzeby. Ja...

– Drobnostka. – Stuknęła dłonią w drzwiczki samochodu niczym sędzia wydający wyrok. – Nie mogę pozwolić panu wdychać tego kurzu.

Wiedział, że nie zdoła jej powstrzymać.

– Tylko proszę... proszę nie zwracać uwagi na mój bałagan.

Przepraszam.

Jej uśmiech zmienił się w znacznie cieplejszy. Teraz już rozumiał, po kim Sara odziedziczyła urodę. Cathy sięgnęła ręką do samochodu i delikatnie położyła mu dłoń na ramieniu. Sara także zeszłego wieczoru często dotykała jego ramienia. Ewidentnie stanowili bardzo przylepną i wylewną rodzinę, co dla Willa było tak obce, jakby pochodzili z Marsa.

Ścisnęła jego bark.

– Obiad jest punkt siódma trzydzieści.

Skinął głową.

– Dziękuję.

– Proszę się nie spóźnić. – Jej uśmiech przemienił się znowu w

ten lepiej mu znany. Mrugnęła do niego, zanim odwróciła się na pięcie i odeszła w stronę domu.

Will podniósł szybę. Wrzucił bieg i ruszył przed siebie, ponieważ zorientowawszy się, że jedzie nie w tym kierunku. A może nie. Sara powiedziała mu, że Lakeshore Drive zatacza jedno wielkie koło. W ostatnich dniach Will kręcił się w koło wystarczająco często, by wyczerpać swój życiowy limit, ale nie chciał ryzykować kolejnego przejazdu obok domu Lintonów.

Droga świeciła pustkami, zakładał, że z powodu wczesnej godziny. Zamierzał się zjawić na komendzie, zanim większość funkcjonariuszy stawi się na służbie. Chciał sprawiać wrażenie gotowego i czujnego. Chciał, żeby uważali, że depta im po piętach, wchodzi w paradę.

Zwolnił, pokonując zakręt. Droga, zalana wodami opadowymi, przypominała strumień. Zjechał na przeciwny pas ruchu, żeby nie zalać podwozia. Stracił dziesięć lat życia i kawał oszczędności na własnoręczny remont auta. Przez większość tego czasu ślęczał zgarbiony nad podręcznikami i schematami, usiłując pojąć, jak samochód ma działać. Nabrał wprawy w spawaniu. Nabrał wprawy w blacharce. Nabrał także przekonania, że nie przepada ani za jednym, ani za drugim.

Silnik był solidny, ale biegi ciut chimeryczne. Poczul, że sprzęgło się ślizga, gdy redukował biegi. Kiedy wyjechał już z wody, wrzucił luz, żeby podwozie się osuszyło, i zastanawiał się, czy to w ogóle możliwe. Z przodu na poboczu chwiała się na porywistym wietrze niebieska skrzynka pocztowa z namalowanym logo uniwersytetu Auburn. Will przypomniał sobie numer domu, który Sara najpierw mu zanotowała na teczce, podając adres do swoich rodziców. Od małego miał świetną pamięć do numerów.

W Atlancie mieszkała w budynku fabrycznym starej mleczarni, jednym z tych industrialnych kompleksów przekształconych w czasie boomu na rynku nieruchomości w luksusowe lofty. Gdy był u niej z wizytą, wspominał, że taki apartament nie bardzo mu do niej pasuje. Linie były za ostre. Meble za gładkie. Wyobrażał sobie wcześniej, że leżarką mieszka w jakimś cieplejszym i

przytulniejszym miejscu, bardziej zbliżonym do chatki.

Miał rację.

Skrzynka z logo Auburn należała do jednopiętrowego wąskiego domku z drewna z roślinami bujnie płożącymi się przed wejściem. Dom stał nad jeziorem, a niebo było już na tyle jasne, by mógł dostrzec przepiękny widok, jaki roztaczał się na tyłach. Zastanawiał się, jak wyglądało życie Sary, kiedy tu mieszkała. Nie wydawało mu się, że należała do tych żon, które czekają na męża z gotowym obiadem i szklaneczką wytrawnego martini, ale może od czasu do czasu wpadała w taką rolę z odruchu serca. Miała w sobie coś takiego, co sugerowało wielką zdolność kochania.

Zapaliło się światło na ganku. Will wrzucił bieg i pojechał dalej wzdłuż brzegu jeziora. Przegapił skręt w główną ulicę i musiał się cofnąć. Poczul dotyk obrączki na palcu i zakarbował sobie w myślach, że zjazd jest po jej stronie. Przez lata wyszkolił umysł do rozpoznawania kierunków raczej po zegarku niż po obrączce. Prawdopodobnie dlatego, że zegarek nie znikał z jego ręki tak często jak ona.

Will poznał Angie Polaski, kiedy miał osiem lat. O trzy lata starsza od niego, wylądowała w domu dziecka, ponieważ jej matka przedawkowała bardzo nieciekawą mieszankę heroiny i speeda. Kiedy leżała potem nieprzytomna w łazience, jej alfons zajmował się Angie w sypialni. W końcu ktoś wezwał policję. Diedre podłączoną do aparatury podtrzymującej życie umieszczono w szpitalu stanowym, gdzie pozostawała do dnia dzisiejszego, a Angie wysłano do domu dziecka w Atlancie na pozostałe siedem lat dzieciństwa, które już i tak dawno szlag trafił. Will zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. W wieku lat jedenastu miała zadrę w sercu, muchy w nosie i piekło w oczach. Kiedy akurat nie obciągała chłopcom w szafach na ubrania, spuszczała im łomot swoimi zadziwiająco szybkimi pięściami.

Will kochał ją za jej gwałtowność, a kiedy gwałtowność go zmęczyła, trwał dalej przy niej z uwagi na jej swojskość. W zeszłym roku poślubiła go w ramach zakładu po ośmiu latach pustych obietnic. Walila go po rogach. Doprowadzała do kresu

wytrzymałości, odpychała, a kiedy chciał odejść, zatapiała mu szpony w ciele i przyciągała go z powrotem. Ich związek przypominał bardziej jakiś poroniony taniec. Pojawiała się w jego życiu. Znikała. Pojawiała się. Kręciła nim, jak chciała.

Po kilku złych skrętach w końcu znalazł główną ulicę. Chwilowo nie lało jak z cebra, ściana deszczu zniknęła i był w stanie dostrzec budynki sklepików stojących przy drodze. W jednym ewidentnie mieścił się skład żelazny. Inny przypominał butik z damską odzieżą. Dokładnie naprzeciwko komendy znajdowała się pralnia chemiczna. Pomyślał o swoim brudnym praniu zwalonym na kupe na sofie. Może znajdzie trochę czasu, by zakraść się z powrotem do Lintonów i je zabrać. Zwykle w pracy nosił garnitur i krawat, ale dziś rano nie miał zbyt dużego wyboru. Z czystych rzeczy została mu już tylko jedna koszulka i jedna para bokserek. Dżinsy od biedy mogły wytrzymać jeszcze jeden dzień. Na górę wciągnął ten sam sweter, w którym przyjechał. Kaszmir jednak nie najlepiej znosił wilgoć. Will czuł, że dzianina coraz mocniej się napina za każdym razem, gdy prostował ramiona.

Wjechał na parking tyłem, tak by porsche stało przodem do ulicy, i zaparkował na najdalszym miejscu od wejścia. Na ukos od komendy stał niski biurowiec z luksferami na froncie. Na spłowiałym szyldzie widniał miś trzymający balony. Prawdopodobnie mieściło się tam przedszkole. Ulicą przejechał radiowóz, ale się nie zatrzymał, tylko wjechał dalej w bramę, zapewne uczelni. Porsche było jedynym wozem na parkingu. Will podejrzewał, że Larry Knox nadal siedzi na posterunku, a może zresztą ktoś już go zastąpił. Tak czy siak, Will nie zamierzał spędzić następnych dwudziestu minut, stojąc na deszczu przed zamkniętymi drzwiami.

Wybrał numer Amandy Wagner z mikrą nadzieją, że nie zastanie jej jeszcze w biurze. Jednak nie miał tyle szczęścia. Sama odebrała telefon.

– Tu Will – powiedział. – Jestem przed komendą.

Amanda nie miała zwyczaju rozstrzygać wątpliwości na korzyść oskarżonego, zwłaszcza w przypadku Willa.

– Dopiero co tam dotarłeś?

– Przyjechałem wczoraj.

Trochę mu ulżyło. Podświadomie bał się, że Sara zadzwoniła do Amandy i poprosiła ją o zabranie mu dochodzenia. Na pewno chciałyby, żeby prowadził je najlepszy agent z zasobów GBI, a nie funkcjonalny analfabeta z walizką pełną brudnych ciuchów.

Ton Amandy był szorstko rzeczowy.

– Streść mi sytuację, Will. Nie mam całego dnia.

Zrelacjonował jej opowieść Sary: jak dostała telefon od Julie Smith, a potem od Franka Wallace’a, pojechała do aresztu i znalazła zwłoki Tommy’ego Brahama. Nie wspomniał o jej ansach w stosunku do Leny, tylko od razu przeszedł do długopisów Crossa, które Jeffrey Tolliver sprezentował funkcjonariuszom. – Jestem pewien, że wkład, którego użył Braham, pochodził z jednego z nich.

– Powodzenia w ustaleniu z czyjego. – Amanda podjęła ten sam wątek, który wczoraj już poruszył Will. – Nie możesz mieć pewności, kiedy dokładnie Tommy Braham umarł, zanim Frank Wallace zadzwonił po Sarę czy potem.

– Zobaczymy, co wykaże sekcja. Doktor Linton ją zrobi.

– Jedyne pocieszająca rzecz w tej całej sprawie.

– Dobrze, że jest tu ktoś, kto zna się na swojej robocie.

– A to nie powinieneś być przypadkiem ty, Will?

Puścił tę uwagę mimo uszu.

– A co sądzisz o śmierci Allison Spooner? – spytała.

– Na dwoje babka wróżyła. Może to sprawka Tommy’ego Brahama. A może ktoś inny zaciera teraz ręce przekonany, że upiekło mu się zabójstwo.

– No to ustal co i jak i wracaj tu szybko, bo nie będziesz w Heartsdale najpopularniejszą osobą, jeśli udowodnisz, że chłopak był niewinny.

Miała rację. Jedyne, czego funkcjonariusze nie znoszą bardziej od sprawców, to gdy się im udowodni, że się co do nich mylili. Will widział kiedyś, jak pewien detektyw z Atlanty niemal dostał konwulsji, upierając się, że badanie DNA oczyszczające z zarzutów jego podejrzanego musi być błędne.

– Zadzwoiłam dzisiaj do polikliniki w Macon – poinformowała go Amanda. – Brad Stephens poszedł jeszcze raz pod nóż. Za pierwszym razem przegapili jakiś krwotok.

– W jakim jest stanie?

– Rokowanie jest ostrożne. Póki co trzymają go w stanie śpiączki, więc na razie nie ma szans, żeby coś z niego wyciągnąć.

– Mam dziwną pewność, że i tak nie będzie niczego pamiętał poza faktem, że koledzy funkcjonariusze uratowali mu życie.

– Tak czy siak nadal jest gliną. Prędzej czy później musisz tam pojechać. Okazać solidarność. Oddać trochę krwi. Kupić mu pisemko.

– Tak jest.

– A jaki masz plan działania?

– Zamierzam rano pozalewać trochę sadła za skórę i zobaczyć, co się urodzi. Faith usiłuje namierzyć Julie Smith i Carla Phillipsa. Z nimi chciałbym porozmawiać w pierwszej kolejności, ale najpierw musimy ich znaleźć. Chcę też rzucić okiem na to miejsce nad jeziorem, gdzie znaleziono Spooner, i obejrzeć garaż, w którym mieszkała. Mam wrażenie, że jej zabójstwo jest osią sprawy. Cokolwiek przede mną ukrywają, wiąże się z jej śmiercią.

– A nie uważasz, że kręcą i robią zasłonę dymną przez to samobójstwo?

– Niewykluczone, ale na mój nos dzieje się tu coś jeszcze.

– Ach, ty i ta twoja osławiona kobieca intuicja. – Amanda nigdy nie przegapiała okazji, żeby go wyszydzić. – A co z tą Adams?

– Będę miał ją na oku.

– Spotkałam ją raz. Da ci popalić.

– Tak słyszałem.

– Zdam mi relację na koniec dnia.

Wyłączyła się, zanim zdążył odpowiedzieć. Przejechał palcami po włosach, zastanawiając się, czy są wilgotne od deszczu czy od potu.

Po raz drugi tego dnia podskoczył, kiedy ktoś zastukał w okno. Tym razem był to starszy czarny mężczyzna. Stał przy drzwiach od strony pasażera i śmiał się z nerwowej reakcji Willa. Wykonał gest kręcenia korbką.

Will się pochylił i otworzył drzwi.

– Niech pan zejdzie z tego deszczu – zaproponował, uświadamiając sobie jednocześnie, że to pierwsza niebiała twarz, jaką widzi od chwili przyjazdu do Grant. Nie chciał wyciągać pochopnych wniosków, ale założyłby się o pół swojej pensji, że Afroamerykanie z miasteczka nie mają zwyczaju podchodzenia do śledczych przed komendą.

Mężczyzna jęknął, gramoląc się na kubełkowe siedzenie. Will zobaczył, że chodzi o lasce. Jedną nogę miał sztywną i nienaturalnie zgiętą w kolanie. Z grubego płaszcza kapał deszcz. Kropelki wody wisiały na szpakowatej brodzie. Nie był tak stary, jak się Willowi początkowo zdawało – miał góra sześćdziesiąt, sześćdziesiąt parę lat. Kiedy się odezwał, jego głos zazgrzytał w uszach niczym papier ścierny szorujący po żwirze.

– Lionel Harris.

– Will Trent.

Przybysz zdjął rękawiczkę i uścisnęli sobie dłonie.

– Mój ojciec miał na imię Will. Zdrobnienie od Williama.

– U mnie też – zapewnił Will, choć jego akt urodzenia o niczym takim nie wspominał.

Lionel pokazał na ulicę.

– Pracował w tym bistro bite czterdzieści trzy lata. Stary Pete zamknął je w dwutysięcznym pierwszym. – Przesunął dłonią po krytej skórą desce rozdzielczej. – Który rok?

Will założył, że pyta o samochód.

– Siedemdziesiąty dziewiąty.

– Sam pan wszystko zrobił?

– Aż tak się to rzuca w oczy?

– Nie – powiedział, chociaż odkrył nierówność w skórze pod rączką schowka na rękawiczki. – Odwalileś kawał dobrej roboty, synu. Naprawdę kawał dobrej roboty.

– Wnioskuje z tego, że interesuje się pan samochodami.

– Moja żona powiedziałaaby panu, że nawet za bardzo. – Popatrzył znacząco na obrączkę na palcu Willa. – Długo zna pan Sarę?

– Niezbyt.

– Leczyła mojego wnuka. Miał ciężkie napady astmy. W środku nocy się zrywała i przyjeżdżała, żeby mu pomóc. Czasami nawet w piżamie.

Will starał się przegnać z głowy obraz Sary w piżamie, choć domyślał się z opowieści Lionela, że pewnie nie była to ta sama, jaką przywołał jego umysł.

– Sara jest z szanowanej rodziny. – Przebiegł palcem po wykończeniu drzwi, z których obiciem Will na szczęście lepiej sobie poradził. Wydawało się, że facet jest podobnego zdania. – Uczy się pan na błędach. W tym rogu zrobił pan dobrą zakładkę.

– Zajęło mi to pół dnia.

– Ale było warto – pochwalił.

– Carl Phillips nie jest przypadkiem pana synem? – zapytał Will i natychmiast poczuł się jak idiota.

Lionel wybuchnął szczerym śmiechem.

– Bo jest czarny i ja jestem czarny, więc...

– Nie – przerwał Will, ale zaraz dodał: – No dobrze, tak. – Nadal czując się niezręcznie, wyjaśnił: – Wygląda na to, że nie ma tu zbyt dużej mniejszości.

– Po Atlantycie musiał pan przeżyć u nas prawdziwy kulturowy szok.

Trafił w sedno. W rodzinnym mieście to Will ze swoją białą skórą należał do mniejszości. Okręg Grant stanowił jaskrawy kontrast z tamtą rzeczywistością.

– Przepraszam.

– Nie ma sprawy. Nie jest pan pierwszą osobą, która się tak zachowuje. Chodzimy z Carlem do tego samego kościoła, ale poza tym prawie w ogóle go nie znam.

Will próbował zatuszować swoją głupotę, zmieniając temat rozmowy.

– Skąd pan wie, że przyjechałem z Atlanty?

– Rejestracja jest z Fulton.

Will uśmiechnął się cierpliwie.

– No dobra, złapał mnie pan – ustąpił Lionel. – Przyjechał pan zbadać tę sprawę z Tommym?



– Tak jest.

– To był dobry dzieciak.

– Znał go pan?

– Często widywałem go w mieście. Taki typ chłopaka, który się chwyta każdej roboty, jaka się nawinie: koszenie trawników, wyprowadzanie psów, wywożenie śmieci, pomoc ludziom przy przeprowadzkach. Prawie wszyscy w miasteczku go znali.

– Jak ludzie zareagowali na wieść, że dźgnął nożem Brada Stephensa?

– Mniej więcej tak, jak się można spodziewać. Zdziwieniem. Gniewem. Niedowierzaniem. Nie mogą się zdecydować, czy doszło do pomyłki czy też... – Urwał. – Chłopak miał trochę nie po kolei w głowie.

– Bywał już wcześniej agresywny?

– Nie, ale nigdy nic nie wiadomo. Może coś go sprowokowało, może mu po prostu odbiło.

Will wiedział z doświadczenia, że ludzie albo mają skłonność do przemocy, albo nie. Nie podejrzewał, by Tommy Braham był tu wyjątkiem.

– Myśli pan, że właśnie tak to wyglądało: chłopak po prostu stracił panowanie nad sobą?

– Nie wiem już w ogóle, co myśleć, Bóg mi świadkiem. – Westchnął znużony. – O Chryste, jestem dziś jak z krzyża zdjęty, zupełnie jakbym miał ze sto lat.

– Fakt, czuje się tę pogodę w kościach – zgodził się Will. Wiele lat temu złamał rękę i za każdym razem, gdy robił się taki ziąb jak teraz, łamało go w palcach. – Mieszka pan tu od urodzenia?

Lionel znowu się uśmiechnął, odsłaniając zęby.

– Kiedy byłem chłopcem, ludzie nazywali miejsce, gdzie mieszkaliśmy, Dzielnicą Kolorowych. – Odwrócił się do Willa. – Dasz pan wiarę? Dzielnica Kolorowych, a teraz mieszkam przez płot ze zgrają profesorów. – Roześmiał się serdecznie. – Dużo się zmieniło w ciągu pół wieku.

– A policja?

Lionel patrzył na niego badawczo, jakby się bił z myślami, ile

powiedzieć. W końcu chyba podjął decyzję.

– Ben Carver pełnił funkcję komendanta, kiedy wyjechałem z miasta. Nie byłem jedynym czarnym młodzieńcem, który myślał, że dobrze będzie się zmyć, póki czas sprzyja. Zaciągnąłem się i dorobiłem tego w nagrodę. – Postukał w nogę. Rozległ się głuchy odgłos i Will uświadomił sobie, że mężczyzna ma protezę. – Laos. Sześćdziesiąty czwarty. – Urwał na chwilę, jakby kontemplując strategię. – W owych czasach istniały dwa sposoby życia, tak jak obowiązywały dwa różne prawa pod komendantem Carverem: jedno dla czarnych, drugie dla białych.

– Słyszałem, że komendant Carver przeszedł potem na emeryturę.

Lionel skinął z aprobatą głową.

– Tolliver.

– Był dobrym gliniarzem?

– Nigdy go nie spotkałem, ale mogę powiedzieć tyle: dawno temu ojciec pracował akurat w restauracji, kiedy profesorka z uczelni została zabita. Wszyscy zobaczyli czarną twarz i już wiedzieli swoje. Komendant Tolliver spędził noc w domu taty tylko po to, by mieć pewność, że ojciec obudzi się rano.

– Było aż tak źle?

– Komendant Tolliver był aż tak dobry. – Po chwili dodał: – Allison też była dobra.

Will miał przeczucie, że wreszcie dotarli do celu niezapowiedzianej wizyty Lionela.

– Znał ją pan?

– Bistro należy teraz do mnie. Dasz pan wiarę? – Pokręcił głową, jakby sam nadal nie bardzo w to wierzył. – Przyjechałem parę lat temu i wykupiłem lokal z rąk Pete'a.

– Interes dobrze idzie?

– Z początku trochę kulał, ale teraz przez większość dni mamy komplet. Żona prowadzi księgowość. Czasami pomaga też moja siostra, ale lepiej, gdy trzyma się z daleka.

– Kiedy ostatni raz rozmawiał pan z Allison?

– W sobotę wieczorem. W niedzielę mamy zamknięte.

Podejrzewam, że poza Tommym byłem jednym z ostatnich ludzi, którzy widzieli ją żywą.

– Jak się zachowywała?

– Jak zwykle. Była zmęczona. Cieszyła się, że kończy pracę.

– A jaka w ogóle była?

Słowa uwięzły mu w gardle i minęło kilka chwil, zanim pozbierał się na tyle, by móc mówić dalej:

– Nigdy nie zatrudniam dzieciaków z uczelni. Nie wiedzą, jak rozmawiać z ludźmi. Umieją tylko stukać w klawiaturę komputera albo telefonu. Żadnego szacunku dla pracy i jeszcze nigdy niczemu nie są winni, nawet gdy się ich przyłapie na gorącym uczynku. Ale nie Allison. Ona była inna.

– To znaczy?

– Wiedziała, jak się pracuje. – Wskazał ręką na otwartą bramę na końcu Main Street. – Żaden dzieciak z tamtej szkoły nie ma pojęcia, co to znaczy uczciwie zarobiona dniówka. Ten kryzys to będzie dla nich zimny prysznic. Na własnej skórze poczują, że stała robota to coś, na co trzeba zasłużyć, a nie co się należy.

– A co może pan powiedzieć o rodzinie Allison?

– Jej mama nie żyje. Miała jeszcze ciotkę, o której niewiele mówiła.

– A chłopaka?

– Był jakiś, ale nigdy nie zawracał jej głowy w pracy.

– Wie pan, jak się nazywa?

– Wspominała o nim tylko mimochodem, gdy na przykład pytałem, jakie ma plany na weekend, a ona mówiła, że będzie zakuwać z chłopakiem.

– Nigdy do niej nie zadzwonił albo nie zajrzał? Ani razu?

– Ani razu – potwierdził. – Allison rozumiała, że płacę za jej czas. Nigdy nie widziałem jej z komórką przy uchu. Nie zdarzyło się, żeby przychodzili tu jej znajomi i odrywali ją od obowiązków. Dla niej to była praca i miała świadomość, że musi dbać o interes.

– Dobrze zarabiała?

– A gdzie tam. – Zaśmiał się na widok zaskoczonej miny Willa. – Nie płacę dużo, a moi klienci też nie sypią groszem. To głównie

starzy ludzie i policjanci, czasami studenci z uczelni, którym się wydaje, że to frajda uciec bez płacenia rachunku. Czy raczej próbować uciec. Trzeba mieć nie po kolei w głowie, żeby myśleć, że coś takiego się uda w sali pełnej gliniarzy.

– Czy Allison nosiła jakąś torebkę albo teczkę?

– Miała taką różową torbę na książki z frędzelkiem przy zamku błyskawicznym. Zostawiała ją w samochodzie, gdy szła do pracy. Zabierała tylko portfel. Nie była jedną z tych wyfiokowanych pannic, co to nie mogą wytrzymać z dala od lustra.

– Może kręcił się koło niej ktoś podejrzany? Na przykład zbyt nadskakujący klient?

– Sam bym z czymś takim zrobił porządek. Nie żebym musiał. Ta dziewczyna była kuta na cztery nogi. Umiała się o siebie zatroszczyć.

– Nosiła broń? Może gaz łzawiący albo nóż?

– Ja przynajmniej nie widziałem. – Uniósł ręce. – Tylko niech pan nie bierze jej za jakąś megierę. To była naprawdę uroczą dziewczyna, do rany przyłóż, zawsze gotowa ustąpić w imię spokoju. Nie szukała zwady, ale gdy było trzeba, potrafiła się bronić.

– Czy ostatnio zachowywała się jakoś inaczej?

– Wydawała się trochę bardziej zestresowana niż zwykle. Kilka razy pytała mnie, czy może się uczyć, gdy nie ma klientów. Nie zrozum mnie źle, synu, jestem dobrym szefem, jeśli tylko ktoś dobrze wykonuje swoje obowiązki. Pozwalałem jej otwierać książki, gdy ruch był mały. Pilnowałem, żeby zjadła ciepły posiłek przed pójściem do domu.

– Wie pan, jakim wozem jeździła?

– Starym dodge'em daytona na tablicach z Alabamy. Pamięta pan ten model? Wzorowany na podwoziu chryslera g. Napęd na przednie koła, niskie zawieszenie.

– Czterodrzwiowy?

– Hatchback. Pęknięte teleskopy w klapie bagażnika.

Przywiązywała ją linką. Zdaje się, że rocznik dziewięćdziesiąty drugi, trzeci. – Postukał się w czoło. – Pamięć już nie ta co kiedyś.

– A kolor?

– Czerwony, można by rzec. Po większej części grunt i rdza. Pluł dymem z wydechu za każdym razem, gdy go odpalała.

– Gdzie parkowała?

– Za restauracją. Sprawdziłem dzisiaj. Ani śladu.

– Czy zdarzało się, że wracała do domu na piechotę?

– Czasami, gdy pogoda dopisywała, ale nie dopisuje już kawał czasu, a ona tego dnia nie szła do domu. – Wskazał ręką na teren za nimi. – Tam z tyłu jest jezioro. Za komendą. Za bistro. – Pokazał na drugą stronę ulicy. – Kiedy szła do domu, zawsze wychodziła tędy, przez frontowe drzwi.

– Zna pan Gordona Brahama?

– Zdaje się, że robi w jakiejś elektrowni. Spotyka się też z kobietą, która pracuje w tym sklepiku wielobranżowym naprzeciwko restauracji. Co trzy dni wpadają na lunch.

– Wygląda na to, że dużo wie pan o mieszkańcach.

– To małe miasteczko, panie Trent. Wszyscy tu wiedzą dużo o wszystkich. Dlatego właśnie tu mieszkamy. Wychodzi taniej niż kablówka.

– Kto pana zdaniem zabił Allison?

Lionel nie wydawał się zaskoczony pytaniem, ale odpowiedział tak, jak można się było spodziewać.

– Policja mówi, że Tommy Braham.

– A co pan mówi?

Zerknął na zegarek.

– Mówię, że czas już rozpalić grill, zanim zwałą się tłumy na śniadanie. – Położył dłoń na kłamce, ale Will go zatrzymał.

– Panie Harris, jeśli myśli pan, że ktoś...

– Sam już nie wiem, co myśleć – przyznał. – Jeśli Tommy tego nie zrobił, to dlaczego ugodził nożem Brada? I dlaczego się zabił?

– Nie wierzy pan, że to on. – To nie było pytanie.

Lionel jeszcze raz wydał znużone westchnienie.

– Chyba mam w sobie coś ze starego komendanta Carvera. Uważam, że są dobrzy ludzie i źli ludzie. To jest jak piętno. Allison należała do tych pierwszych. Tommy też. Dobrym ludziom zdarza

się robić złe rzeczy, ale nie aż tak złe.

Znowu zaczął wysiadać.

– Mogę jeszcze zapytać... – Will czekał, aż się odwróci. – Dlaczego przyszedł pan ze mną porozmawiać?

– Bo wiedziałem, że Frank nie będzie się do mnie dobijał. Nie żebym mógł pana zasypać informacjami, ale chciałem powiedzieć jakieś dobre słowo lub dwa o dziewczynie. Nie ma nikogo, kto by się teraz o nią upomniął. Wszyscy tylko gadają o Tommym i o tym, dlaczego to zrobił, nikt nawet się nie zająknie o Allison, nie wspomni, jaka porządna była z niej dziewczyna.

– A skąd przypuszczenie, że komendant Wallace nie będzie chciał z panem rozmawiać?

– Nowa miotła, stara bieda.

Will wiedział, że nie pije do Jeffrey'a Tollivera.

– Jak za Bena Carvera?

– Frank i Ben są z jednej mąki. Białej, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

– Chyba tak.

Lionel nadal trzymał dłoń na klamce.

– Kiedy wróciłem do miasta po śmierci taty, zobaczyłem, że wielu ludzi się zmieniło. Na zewnątrz, znaczy się, nie od środka. Trzeba przeżyć wyjątkowe piekło albo wyjątkową miłość, żeby zmienić się od wewnątrz. Ale na zewnątrz to zupełnie inna para kaloszy. – Potarł brodę, prawdopodobnie myśląc o jej posiwiątych pasmach. – Panna Sara na ten przykład wyładniała. Jej tacie, panu Eddiemu, brwi zrobiły się bardziej krzaczaste. Moja siostra postarzała się i roztyła, co nigdy nie jest dobrym połączeniem u kobiety.

– A Frank?

– Zrobił się ostrożny. Może nie mieszkam już w Dzielnicy Kolorowych, ale nadal pamiętam, jak to jest poczuć jego but na karku. – Pociągnął klamkę. – Niech pan sprawi sobie opalarkę i przejedzie nią leciuchno po skórze na schowku na rękawiczki, to pozbędziesz się pan tego zgrubienia. – Podniósł nogę, żeby wysiąść z auta. – Ale leciusieńko. Za dużo ciepła, a wypalisz pan dziurę. – Popatrzył mu w oczy wymownie. – Musisz działać z wyczuciem,

synu.

– Dziękuję bardzo za radę.

Lionel z trudem gramolił się z porsche. W końcu chwycił się dachu i wydostał na zewnątrz. Oparł się na lasce, wyciągnął rękę w bok w ukłonie gimnastyka i rzucił krótkie „Ta-dam”, zanim delikatnie zamknął drzwi.

Will patrzył, jak idzie ulicą, wspierając się ciężko na lasce. Zatrzymał się przed składem żelaznym, żeby zamienić kilka słów z mężczyzną, który zamiatał gruz z chodnika. Deszcz już ustał i obaj panowie najwyraźniej się nie spieszyli. Will domyślał się, że rozmawiają o Allison Spooner i Tommym Brahamie. W miejscu tak małym jak Grant nic innego nie zaprzętało myśli mieszkańców.

Na parking wjechał stary cadillac. Rozległy się dźwięki gospel. Marla Simms zaparkowała samochód tak daleko od czarnego porsche jak tylko mogła. Sprawdziła makijaż w lusterku, poprawiła okulary – wykonała wszystkie czynności, które dobitnie pokazywały, że ignoruje Willa – i dopiero wtedy wysiadła z wozu.

Ruszył jej na spotkanie, wkładając w ton swojego głosu tyle entuzjazmu, ile zdołał.

– Dzień dobry, pani Simms.

Rzuciła mu nieufne spojrzenie.

– Nikogo jeszcze nie ma.

– Widzę. – Uniósł swoją aktówkę. – Pomyślałem sobie, że zacznę wcześniej, żeby się przygotować. Będzie pani tak miła i przyniesie mi materiał dowodowy znad jeziora i rzeczy Brahama z depozytu?

Marla otworzyła drzwi komendy, nie uznawszy za stosowne odpowiedzieć. Włączyła światła i weszła do holu. Znowu pochyliła się nad bramką, wcisnęła przycisk zwalniający i weszła. Will złapał drzwiczki, zanim się zatrzasnęły.

– Zimno tutaj – powiedział. – Coś nie tak z piecem?

– Piec jest w porządku – rzuciła defensywnie.

– Nowy?

– Wyglądam mu na pracownicę producenta urządzeń grzewczych?

– Pani Simms, skłamałbym, gdybym nie powiedział, że wygląda

pani na osobę, która wie doskonale o wszystkim, co się dzieje na tej komendzie, a może i w całym mieście.

Sarknęła coś pod nosem, biorąc dzbanek z ekspresu do kawy.

– Znała pani Tommy’ego Brahama?

– Tak.

– Jaki on był?

– Tępy.

– A Allison Spooner?

– Nie tępa.

Will się uśmiechnął.

– Muszę podziękować, pani Simms, za te notatki z interwencji, które wysłała pani mojej współpracownicy wczoraj wieczorem. Pokazują bardzo interesującą zmianę w zachowaniu Tommy’ego. Miał ostatnio wyraźne problemy z kontrolowaniem swoich emocji. Czy właśnie o tym chciała mnie pani poinformować?

Popatrzyła na niego spod okularów, ale nie odezwała się, tylko ruszyła na tył pomieszczenia. Will patrzył, jak otwiera ciężkie stalowe drzwi. Zostawiła go samego bez odpowiedzi.

Podszedł do faksu i sprawdził pod stolikiem, dając Marli Simms kredyt zaufania. Na podłodze nie było jednak żadnych kartek, żadnego przypadkowo zawieruszonego transkryptu zgłoszenia na 911. Otworzył klapę ksero i zobaczył, że na środku szklanej tafli znajduje się coś lepkiego. Kciukiem zdrapał zabrudzenie, które musiało przenieść się na każdą kopiowaną stronę. Podniósł je do światła. Klej? Guma?

Wyrzucił znaleźisko do kosza. Na żadnej z kopii, które wczoraj wykonała dla niego Sara, nie widniał taki ślad. Może ktoś jeszcze korzystał po niej z kopiarki i bezwiednie przeniósł gumę na szkło.

Gabinet przylegający do sali biurowej był pusty, tak jak Will się spodziewał. Nacisnął klamkę i drzwi się otworzyły. Wszedł do środka i podniósł żaluzje, zyskując piękny widok na biurka detektywów. Ścianę pomieszczenia znaczyły otwory po gwoździach. W słabych promieniach słońca wpadających przez zewnętrzne okno dostrzegał ślady po wiszących tam kiedyś fotografiach. Biurko, nie licząc telefonu, było zupełnie puste, łącznie z szufladami. Krzesło



zaskrzypiało, kiedy na nim usiadł.

Gdyby Will lubił się zakładać, postawiłby dziesięć dolców, że był to kiedyś gabinet Jeffrey'a Tollivera.

Otworzył aktówkę, wyjął i porozkładał teczki. Wreszcie zapaliły się górne światła. Will zobaczył Marłę przez szybę w ścianie. Gapiła się na niego z otwartymi ustami. W swoim ciasnym koczku i brudnych okularach przypominała jedną z tych staruszek o świdrujących oczkach z komiksów Gary'ego Larsona. Przykleił uśmiech na twarz i pomachał do niej. Zacisnęła dłoń na uchwycie dzbanka tak mocno, że niemal poczuł, jak bardzo chciałaby przywalić mu nim w twarz.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął cyfrowy dyktafon. Wszyscy gliniarze na świecie noszą spiralne notatniki, w których notują szczegóły prowadzonych dochodzeń. Will nie mógł sobie pozwolić na podobny luksus, ale nauczył się rekompensować jakoś ten brak.

Zerknął przez szybę, upewniając się, że Marla zniknęła z pola widzenia, i przyłożył dyktafon do ucha. Zmniejszył głośność, wcisnął odtwarzanie i usłyszał głos Faith odczytujący spisane przez Tommy'ego Brahama przyznanie się do winy. Will nie zmitrężył całego wczorajszego wieczoru na zamartwianie się swoim pensjonarskim zadurzeniem w Sarze Linton. Przygotował się do dzisiejszego dnia, czytając każde słowo protokołów i w kółko słuchając zeznań Brahama, aż nauczył się ich niemal na pamięć. Teraz postanowił jeszcze raz je odsłuchać, choć słowa odczytywane przez Faith brzmiały tak znajomo, że na dobrą sprawę mógł mówić razem z nią.

Jej głos był beznamiętny, pozbawiony modulacji.

„Byłem w mieszkaniu Allison. To było zeszłego wieczoru. Nie wiem, o której godzinie. Pippy, moja suczka, była chora. To było po tym, jak ją zabrałem do lekarza. Allison powiedziała, że będzie uprawiać ze mną seks. Zaczęliśmy uprawiać seks. Rozmyśliła się. Ja się zezłościłem. Miałem przy sobie nóż. Dźgnąłem ją raz w kark. Wziąłem łańcuch i kłódkę i zawiozłem ją nad jezioro. Napisałem ten list, żeby ludzie myśleli, że sama się zabiła. Allison była smutna. Myślałem, że to wystarczy za powód”.

W pomieszczeniu głównym rozległy się jakieś pomruki i szmery. Will podniósł głowę i zobaczył kilku umundurowanych funkcjonariuszy patrzących na niego z niedowierzaniem. Jeden ruszył w stronę gabinetu, prawdopodobnie z pretensjami, ale jego kolega go zatrzymał.

Will rozparł się na krześle, które znowu skrzypnęło. Wyjął komórkę i wybrał numer Faith. Odebrała po czwartym dzwonku. Jej „halo” bardziej przypominało burknięcie.

– Obudziłem cię?

– Jest wpół do ósmej rano. Oczywiście, że mnie obudziłeś.

– Mogę zadzwonić później.

– Daj mi chwilę. – Poruszyła się i ziewnęła tak głośno, że poczuł, jak jego szczeka zaczyna się otwierać. – Zgromadziłam trochę info o tej Adams.

– I?

Ponownie ziewnęła.

– Poczekaj, przyniosę laptopa.

Nie był w stanie powstrzymać ziewnięcia.

– Przykro mi, że wyciągnąłem cię z łóżka.

– Masz mnie tylko do szesnastej. Potem jadę do szpitala.

Zaczął pośpiesznie coś mówić, żeby nie zaczęła znowu omawiać szczegółów zabiegu.

– To fantastycznie, Faith. Zakładam, że mama cię zawozi. Musi być podekscytowana. A co z bratem? Dzwoniłaś do niego?

– Możesz się już zamknąć. Jestem przy komputerze. – Usłyszał, jak stuka w klawiaturę. – Salena Marie Adams – powiedziała, prawdopodobnie odczytując z akt osobowych. – Starszy detektyw, szef sekcji dochodzeniowo-śledczej. Trzydzieści pięć lat. Metr sześćdziesiąt cztery, pięćdziesiąt cztery kilogramy wagi. – Zaklęła pod nosem. – Boże, już samo to wystarczy, żebym ją z miejsca znienawidziła.

– A jej przeszłość?

– Zgwałcenie – wypaliła z grubej rury, co zaskoczyło Willa.

Spodziewał się daty urodzenia, może jakiejs listy pochwał. Sara wprawdzie wspominała, że Lena chyba została zgwałcona przez

ekschłopaka, ale miał wrażenie, że nie wniesiono zawiadomienia.  
Spytał:

– Skąd wiesz?

– Sprawa się pojawiła, kiedy weryfikowałam w sieci dane z jej akt. Naprawdę powinieneś częściej googlać.

– Kiedy to się stało?

– Dziesięć lat temu. – Usłyszał stukanie w klawiaturę. – Akta ma czyste. Pracowała nad kilkoma interesującymi sprawami. Pamiętasz ten gang pedofilski z południowej Georgii? Ona i Tolliver go rozbili.

– Jakież wpadki na koncie?

– Policja w małych miasteczkach nie pierze brudów publicznie, tym bardziej na papierze – przypomniała mu Faith. – Sześć lat temu zrobiła sobie dłuższą przerwę. Niecały rok pracowała jako ochroniarz na uczelni, potem wróciła do służby. To wszystko, co o niej mam. A ty dowiedziałeś się czegoś nowego?

– Odbylem rano bardzo interesującą pogawędkę z mężczyzną, który prowadzi miejscową restaurację.

– Co powiedział?

– Niewiele. Allison była dobrą dziewczyną. Pracowitą. Mało wie o jej życiu prywatnym.

– Myślisz, że to on ją zabił?

– Ma sześćdziesiąt parę lat i sztuczną nogę.

– Prawdziwą sztuczną nogę?

Will przypomniał sobie, jak Lionel zastukał w protezę, głuchy dźwięk, który się wtedy rozległ.

– Zobaczę, czy uda mi się to potwierdzić, ale jeśli udawał, to odstawił kawał niezłego przedstawienia.

– Z tymi mieszkańcami małych miasteczek nigdy nic nie wiadomo. Ed Gein pracował jako opiekunka do dzieci.

Faith nie byłaby sobą, gdyby przegapiła okazję porównania miłego starszego pana z jednym z najbardziej osławionych seryjnych zabójców dwudziestego wieku.

– Sprawdziłam Spooner, ale też wiele nie wypłynęło. Ma rachunek opiewający na kwotę osiemnastu dolarów i kilku centów.

Chyba nie ufała bankom. W ciągu ostatniego półrocza wypisała tylko dwa чеки: jeden z czesnym za studia, drugi to rachunek w księgarni w kampusie. Wyciągi przychodzą na Taylor Drive. Nie ma żadnych kart kredytowych. Akcji. Historii kredytowej. Żadnej komórki na swoje nazwisko. Zero samochodu.

– Właściciel restauracji twierdzi, że jeździła starym dodge'em daytona na tablicach z Alabamy.

– Musi być zarejestrowany na inne nazwisko. Myślisz, że miejscowa policja o tym wie?

– Nie mam pojęcia. Mój informator mówi także, że Allison miała różową torbę na książki, którą zostawiała w aucie, gdy była w pracy.

– Poczekaj chwilę. – Faith ewidentnie sprawdzała coś w komputerze. – Dobra, nie znalazłam żadnego komunikatu o poszukiwaniu jakichś kółek z Grant czy okolic. – Gdyby Frank Wallace wiedział o samochodzie Allison, zawiadomiłby o nim policję wszystkich sąsiednich okręgów.

– Może zlokalizowali już wóz, tylko nie chcą, żebym się dowiedział, gdzie jest.

– Zleciłam już poszukiwania w całym stanie. Twój komendant będzie musiał podczas porannej odprawy wydać ludziom rozkaz, by go szukali.

– To stary rzęch. Allison mieszkała tu od dwóch lat i nie zmieniła tablic.

– Miasteczko uniwersyteckie. Samochody z pozastanowymi rejestracjami nie rzucają się w oczy. Jedynym racjonalnym powodem niezarejestrowania auta jest brak ubezpieczenia – zauważyła Faith. – To do mnie trafia. Dziewczyna ledwo wiązała koniec z końcem.

Will zobaczył, że sala biurowa zaczyna się powoli zapełniać. Tłumek funkcjonariuszy gęstniał. Ktoś bardziej bojaźliwy mógłby go nazwać wzburzoną tłuszcą. Policjanci rzucali ukradkowe spojrzenia na Willa. Marla nalewała im kawę, zezując na niego spode łba przez ramię. I nagle, jak na zawołanie, wszyscy zwrócili oczy na drzwi. Will się zastanawiał, czy przypadkiem Frank

Wallace nie raczył się wreszcie pojawić, ale zaraz się przekonał, że jednak nie. Do funkcjonariuszy dołączyła kobieta o oliwkowej karnacji i kręconych brązowych włosach do ramion. Choć była z nich najmniejsza, rozstąpili się przed nią jak Morze Czerwone.

Will poinformował Faith:

– Zdaje się, że detektyw Adams postanowiła zaszczycić nas swoją obecnością.

– Jak wygląda?

– Jakby chciała rozszarpać mi gardło zębami.

– Lepiej uważaj. Wiesz, że masz słabość do agresywnych, jędzowatych kobiet.

Will się nie spierał. Lena miała wprawdzie ten sam kolor skóry i włosów co Angie, ale ewidentnie latynoskie korzenie, podczas gdy pochodzenie jego żony było mgliście śródziemnomorskie. Adams była niższa, bardziej atletycznie zbudowana. Nie miała w sobie śladu kobiecości Angie – za dużo było w niej z żandarma – ale niewątpliwie należała do atrakcyjnych kobiet. Najwyraźniej także miała ten sam talent do mącenia wody. Kilku funkcjonariuszy spoglądało teraz na Willa z otwartą wrogością. Wyglądało na to, że jeszcze chwila, a chwycą za widły i kosy.

– A co to za mail od ciebie? – Spytała Faith i zaraz sama sobie odpowiedziała. – Julie Smith. Dobra, zobaczę, czy uda mi się zlokalizować numer. Uzyskanie zgody na dostęp do billingów Tommy'ego Brahama nie powinno być problemem, zważywszy na to, że chłopak nie żyje, ale być może będzie potrzebne oficjalne stwierdzenie przyczyny zgonu.

Will nie odwracał oczu od Leny. Mówiła coś do grupki funkcjonariuszy. Prawdopodobnie kazała im odbezpieczyć broń.

– A nie mogłabyś jakoś tego przeskoczyć? Julie Smith powiedziała Sarze, że Tommy wysłał jej SMS-a z aresztu. Jego treść mogłaby pomóc w ustaleniu jej tożsamości. Może Amanda by to jakoś załatwiła?

– No, bosko. Marzę, żeby właśnie z nią uciąć sobie pogawędkę bladym świtem.

– Mogłabyś ją poprosić, żeby przyspieszyła też wydanie nakazu

przeszukania garażu? Chcę pokazać miejscowym, na czym polega przestrzeganie procedur.

– Jestem pewna, że stanie na rzesach, żeby uczynić zadość twoim życzeniom. – Faith ciężko westchnęła. – Czy o coś jeszcze mam ją poprosić?

– Powiedz jej, że chcę odzyskać swoje jądra.

– Pewnie są już u odlewnika.

Lena zdjęła kurtkę i rzuciła ją na biurko.

– Muszę kończyć. – Will rozłączył się dokładnie w chwili, kiedy z furją ruszyła w stronę gabinetu.

Wstał i przywołał na usta jeden ze swoich najbardziej ujmujących uśmiechów.

– Detektyw Adams, zapewne. Tak się cieszę, że mogę w końcu panią poznać.

Wbiła wzrok w jego wyciągniętą rękę. Myślał przez chwilę, że mu ją oderwie.

– Coś się stało, pani detektyw?

Była tak wściekła, że ledwo mogła mówić.

– Ten gabinet...

– Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko temu – przerwał jej Will. – Stał pusty, a chcę mieć pewność, że nie będę zawadzał. – Jego dłoń nadal była zawieszona w powietrzu między nimi. – Nie jesteśmy chyba jeszcze na takim etapie, żeby nie mogła mi pani podać ręki. Prawda, pani detektyw?

– Osiągnęliśmy ten etap w chwili, kiedy usiadł pan za tym biurkiem.

Opuścił rękę.

– Czekałem na komendanta Wallace'a.

– P.o. komendanta – poprawiła, równie drażliwa na tym punkcie jak Sara. – Frank jest w szpitalu u Brada.

– Słyszałem, że detektyw Stephens miał ciężką noc, ale rano czuł się już lepiej.

Nie odpowiedziała, i dobrze. Mówiła z silnym nosowym akcentem z południa Georgii, a złość sprawiała, że jej słowa zlewały się i mieszały ze sobą jak składniki ciasta.

Will wskazał krzesło.

– Proszę usiąść.

– Postoję.

– Pozwoli pani w takim razie, że ja spocznę. – Siedzisko zaskrzypiało, gdy ponownie się na nim sadowił.

Złożył palce w wieżyczkę. Zauważył długopis przyczepiony do kieszonki na piersi Leny: srebrny Cross, taki sam Larry Knox miał przypięty do koszuli wczoraj wieczorem. Will zerknął na grupkę funkcjonariuszy kłębiących się przy ekspresie. Wszyscy mieli długopisy wpięte w kieszeń na piersi.

Uśmiechnął się.

– Jestem pewien, że komendant już państwu powiedział, co jest powodem mojej wizyty.

Zauważył, że drgnęła jej powieka.

– Tommy.

– Właśnie, Tommy Braham i, co za tym idzie, Allison Spooner. Mam nadzieję, że szybko się z tym uwiniemy. Chyba wszyscy wolelibyśmy mieć to już z głowy w święta.

– Te przymilne gadki na mnie nie działają.

– Oboje nosimy odznaki, pani detektyw. Nie uważa pani, że powinna ze mną współpracować, żebyśmy mogli dotrzeć do prawdy?

– Chce pan usłyszeć, co uważam? – Skrzyżowała ramiona na piersi. – Uważam, że zwałił się pan gdzieś, gdzie nie należy, sypia w miejscach, w których nie powinien, i usiłuje wpakować w kłopoty całą masę dobrych ludzi za gnój, nad którym nie mają kontroli.

Rozległo się głośnie stuknięcie w otwarte drzwi. Stała w nich Marla Simms, sztywna jakby połknęła kij, trzymając w dłoniach średniej wielkości kartonowe pudło. Podeszła do biurka i upuściła je z głośnym walnięciem przed nosem Willa.

– Dziękuję – rzucił do jej oddalających się pleców. – Pani Simms? – Nie odwróciła się, ale przystanąła. – Jeśli byłaby pani taka miła, potrzebuję nagrania zgłoszenia pod 911 informacji o rzekomym samobójstwie Spooner.

Wyszła bez słowa.

Will rzucił okiem na zawartość pudełka. Było w nim kilka plastikowych toreb na dowody, najwyraźniej zebrane na miejscu odkrycia zwłok Allison Spooner. W jednym znajdowała się para białych sportowych butów. Boki pokrywały smugi błota, zaschniętego także na bieżniku podszew.

Druga torebka zawierała wspomniane przez Lenę w protokole z oględzin miejsca zdarzenia zegarek i pierścionek – tani z wyglądu, z rodzaju tych, które daje się dziewczynie, gdy ma się piętnaście lat, i wydanie pięćdziesięciu dolców na kawałek biżuterii z zamkniętej na klucz oszklonej gabloty miejscowego sklepu wielobranżowego jest wielkim przedsięwzięciem.

Podniósł pierścionek.

– Podarowałem swojej żonie podobny, gdy byliśmy dziećmi.

Lena rzuciła mu spojrzenie równie nieprzyjemne jak swego czasu Angie, gdy go jej dawał.

Wyciągnął kolejną torebkę z pudła. W środku znajdował się zamknięty portfel. Will zdołał go otworzyć przez plastik. Znalazł zdjęcie przedstawiające jakąś starszą kobietę z młodą dziewczyną i fotografię pomarańczowego kota. W przegródce na pieniądze tkwiło kilka banknotów. Legitymacja studencka Allison Spooner i jej prawo jazdy były wsunięte w tylne kieszenie.

Will popatrzył na zdjęcie dziewczyny. Faith zgadła. Allison była bardzo ładna. Wyglądała też młodziej, niż sugerowałyby jej metryka. Może z uwagi na budowę. Wydawała się delikatna, niemal krucha. Wrócił do fotografii starszej kobiety, poznając teraz, że dziewczyna obok niej to Allison, choć ewidentnie fotkę zrobiono kilka lat wcześniej. Spooner wyglądała na niej jak nastolatka.

Spytał Lenę:

– Czy to wszystko, co znaleźliście w portfelu? – Wymienił zawartość: – Dwa zdjęcia, czterdzieści dolców, prawo jazdy i legitymację studencką?

Gapiła się na otwarty portfel w jego dłoniach.

– Frank wszystko skatalogował.

Niezupełnie była to odpowiedź na jego pytanie, ale wiedział, że nie może kruszyć kopii o wszystko. Zobaczył jeszcze jedną torebkę



w pudełku. Domyślił się, że zawiera rzeczy z kieszeni Tommy'ego Brahama.

– Guma do żucia, trzydzieści osiem centów, metalowy samochodzik z gry Monopol. – Spojrzał na Lenę. – Nie miał przy sobie portfela?

– Nie.

– A telefon komórkowy?

– A jest jakiś w torebce?

Te wojownicze odpowiedzi mówiły mu więcej, niżby chciała.

Spytał:

– A co z jego ubraniem i obuwem? Są na nich ślady krwi?

Plamy?

– Zgodnie z procedurą obowiązującą w przypadku samobójstwa osadzonego Frank odesłał je do laboratorium. Waszego laboratorium.

– Centralnego Laboratorium GBI w Dry Branch?

Skinęła głową.

– A co z pochwą?

Pytanie zbiło ją z tropu.

– W swoich wyjaśnieniach Tommy pisze, że miał przy sobie nóż, kiedy feralnego wieczoru spotkał się z Allison. Zakładam, że musiał mieć też pochwę przy pasku? Na nóż – sprecyzował.

Pokręciła głową.

– Prawdopodobnie się jej pozbył.

– W wyjaśnieniach nie ma wzmianki o tym, jakiego noża użył.

– Nie.

– Czy znaleźliście jakieś noże w jego domu?

– Nie możemy przeszukać domu bez nakazu sądowego albo zgody jego ojca, który jest właścicielem nieruchomości.

Przynajmniej znała prawo, dobre i to. Dlaczego nagle postanowiła się do niego stosować, pozostawało nieodgadnioną tajemnicą.

– Zakłada pani, że Tommy zranił detektywa Stephensa tym samym nożem, którym zabił Allison Spooner?

Milczała przez kilka sekund. Przeprowadziła wystarczająco wiele

przesłuchań, żeby wiedzieć, jak smakuje mur, gdy jest się do niego przypieranym.

– Lata służby nauczyły mnie, że lepiej jest nie zakładać, co podejrzany zrobił, a czego nie.

– To cenna nauka dla każdego funkcjonariusza – przyznał Will. – A czy jest jakiś powód, dla którego materiał dowodowy w sprawie Spooner nie został wysłany do laboratorium?

Znowu się zawahała.

– Chyba dlatego, że sprawa jest zamknięta.

– Jest pani tego pewna?

– Tommy uciekał przed policją. Dźgnął nożem funkcjonariusza. Przyznał się do popełnienia zabójstwa. Zabił się, bo nie mógł znieść wyrzutów sumienia. Nie wiem, jakie są zwyczaje w Atlancie, ale my tutaj na ogół przestajemy wydawać pieniądze na dochodzenie, z chwilą gdy jest ono zamknięte.

Will potarł kark.

– Naprawdę wolałbym, żeby pani usiadła. To zajmie trochę czasu, a nie wydaje mi się, żebym długo jeszcze tak mógł zadzierać głowę, patrząc na panią bez kręczu szyi.

– Co zajmie trochę czasu?

– Detektyw Adams, chyba nie dociera do pani waga tego śledztwa. Przyjechałem, żeby przesłuchać panią w sprawie zgonu osadzonego, który znajdował się pod pani pieczęcią, w państwa izbie zatrzymań, w państwa mieście. Na domiar złego doszło do zabójstwa młodej kobiety. Funkcjonariusz policji został poważnie zraniony. To nie będzie krótka pogawędka przy kawie i pączku, zwłaszcza że ostrzegano mnie, żebym nie jadł i nie pił tu niczego, co nie jest fabrycznie zapakowane. – Uśmiechnął się. Nie odpowiedziała uśmiechem. – Będzie pani łaskawa spocząć, żebyśmy mogli porozmawiać jak rozsądni ludzie? – Nadal milczała, więc nacisnął mocniej. – Jeśli woli pani odpowiadać na pytania w którejś z sal przesłuchań, zamiast gabinetu zmarłego szefa, chętnie pójdę pani na rękę.

Zacisnęła usta. Odbyli długi pojedynek na spojrzenia, który Will niemal przegrał. Oczy bolały, gdy się patrzyło na Lenę. Z każdej

linii na jej twarzy były ból i zmęczenie. Powieki miała podpuchnięte i zaczerwienione. Choć opierała się dłonią o krzesło stojące z przodu, chwiała się na nogach, jakby uginały się pod nią kolana.

W końcu powiedziała:

– Tak.

– Tak co?

– Tak, myślę, że jest pan wrogiem. – Ale wyciągnęła krzesło i usiadła.

– Dziękuję za szczerość.

– Proszę. – Otwierała i zaciskała pięść.

Zauważył dwa beżowe plastry na jej dłoni. Palce wyglądały na opuchnięte.

– To się stało wczoraj? – spytał.

Nie odpowiedziała.

Wyjął z aktówki czerwoną teczkę i nie otwierając, położył ją na biurku. Lena zerknęła na nią nerwowo.

– Czy chce pani wezwać adwokata?

– A jest mi potrzebny?

– Sama powinna pani wiedzieć, a nie zwracać się o poradę prawną do prowadzącego dochodzenie, pani detektyw. Może w takim razie przedstawiciela związków?

Zaśmiała się krótko.

– Nie mamy tu związków. Ledwo mamy mundury.

Powinien był pamiętać.

– Czy muszę pani przypomnieć o prawach i obowiązkach podejrzanego?

– Nie.

– Czy powinienem wspomnieć, że wprowadzanie w błąd śledczego stanowego w toku dochodzenia jest przestępstwem zagrożonym karą grzywny i pozbawienia wolności do lat pięciu?

– A nie wspomniał pan właśnie?

– Chyba tak. W które miejsce została ugodzona?

Zaskoczył ją.

– Co?

– Allison Spooner. Gdzie została dźgnięta?

– Tutaj. – Przyłożyła dłoń do karku, palcami wskazując miejsce kilka centymetrów od kręgosłupa.

– Czy to było jej jedyne obrażenie?

Otworzyła i zamknęła usta. W końcu odpowiedziała:

– Frank zdaje się zauważył bruzdowate otarcia naskórka na nadgarstkach.

– Pani je widziała?

– Zwłoki leżały długo w wodzie. Nie jestem pewna, co widziałam, z wyjątkiem rany klutej karku.

Ten szczegół nie dawał mu spokoju, głównie dlatego, że była to pierwsza kwestia, w której wersja Franka Wallace’a nie pokrywała się z wersją Leny.

– Zlokalizowaliście auto Spooner?

– Nie miała samochodu.

– Trochę to dziwne.

– To miasteczko akademickie. Studenci albo chodzą pieszo, albo jeżdżą na skuterach. – Wzruszyła ramionami. – Jeśli muszą wybrać się gdzieś dalej, zwykle łapią stopa.

– Czy Allison mogła mieć samochód bez waszej wiedzy?

– Nie na uczelni. Każdy wóz zajmujący bezprawnie miejsce parkingowe zostaje odholowany. Kampus jest naprawdę dobrze patrolowany przez ochronę. A w mieście też nie ma wielu miejsc, gdzie można porzucić samochód. Mogę wydać nakaz poszukiwania na porannej odprawie, jeśli pan chce, ale nic to nie da. Nie jesteśmy w Atlancie. Tutaj ludzie wzywają policję, kiedy widzą porzucony wóz.

Will patrzył na nią badawczo, szukając oznak kłamstwa.

– A co z właścicielem bistro, szefem Allison? Przesłuchaliście go?

– Lionel Harris. Frank mówi, że rozmawiał z nim wczoraj wieczorem. Nic nie wie.

Albo Frank ją okłamał, albo Lena zmyślała na poczekaniu.

– A mógłby być sprawcą?

– Ma jedną nogę i jest starszy od Chrystusa.

– Wnoszę z tego, że raczej nie.

Otworzył czerwoną teczkę. Na wierzchu leżała kserokopia

przyznania się do winy Tommy'ego Brahama. Zobaczył błysk rozpoznania w oczach Leny.

– Niech mnie pani zapozna z przebiegiem wydarzeń.

– Z którą częścią?

Wiedział, że spodziewa się, iż Will przejdzie od razu do meritum – pchnięcia nożem, wydarzeń przed garażem. On tymczasem zaczął od końca w nadziei, że zbije ją z tropu.

– Zacznijmy od zatrzymania Tommy'ego Brahama. Czy mówił coś w samochodzie?

– Nie.

Will nie widział jeszcze zdjęć sygnalitycznych ani tych wykonanych przez Sarę po samobójstwie chłopca, ale wiedział, że funkcjonariusz został pchnięty nożem w obecności dwóch innych policjantów. Nietrudno było się domyślić, co się stało potem.

– W jakim stanie był wtedy Tommy?

Patrzyła na niego beznamiętnie.

– Czy może upadł kilka razy podczas zatrzymania? – doprecyzował pytanie.

Znowu ociągała się z odpowiedzią.

– O to musi pan spytać Franka. Ja zajmowałam się wtedy Bradem.

– Widziała pani Tommy'ego w radiowozie. W jakim był stanie?

Lena wyciągnęła z kieszeni spodni służbowy notatnik w spiralnej oprawie. Wolno przerzuciła strony. Will zauważył, że kilka kartek jest przyklejonych taśmą i domyślił się, że są to oryginały zapisków, które Sara skserowała wczoraj. Lena obrzuciła go zdziwionym spojrzeniem.

– Nie będzie pan notował?

– A co, chciałaby mi pani pożyczyć swój długopis?

Pojawiła się maleńka rysa w jej opanowaniu i Will zobaczył wreszcie to, czego szukał od chwili, gdy weszła do gabinetu. Bez względu na to, co myślała o Brahamie, była poruszona jego śmiercią. Poruszona nie dlatego, że jego samobójstwo oznaczało dla niej kłopoty, ale dlatego, że był istotą ludzką, znajdującą się pod jej pieczęcią.

– Czytałem już te zapiski, pani detektyw. Proszę mi opowiedzieć o tym, czego nie ma na papierze.

Zaczęła skubać plastry na rękach.

– Kto zajął się powiadomieniem bliskich?

– Ja.

– W przypadku obu zgonów?

Skinęła głową.

– Elba, skąd pochodziła Allison, to małe miasteczko. Detektyw, z którym rozmawiałam, chodził z nią do szkoły. Poinformował mnie, że jej matka umarła osiem lat temu. Ojciec jest nieznany. Jest jeszcze ciotka, Sheila McGhee, ale rzadko bywa w domu. Pracuje w ekipie remontującej tanie motele na Florydzie. Będzie próbował ją zlokalizować. Zostawiłam informację na jej sekretarce, ale odsłucha ją dopiero po powrocie albo kiedy zadzwoni sprawdzić wiadomości.

Teraz mówiła nawet jak dochodzeniowiec. Will spytał:

– Allison nie miała komórki?

– Na pewno nie przy sobie.

– Nie znaleźliście w garażu żadnego kapownika z adresami?

– Nie mieliśmy czasu go przeszukać. – Jej ton znowu stał się oschły. – Dużo się wczoraj działo. Mój partner wykrwawiał się na ulicy.

– Proszę mnie poinformować, kiedy pani McGhee się z panią skontaktuje.

Skinęła głową.

– A co z bliskimi Tommy’ego?

– Miał tylko ojca, Gordona. Rozmawiałam z nim dzisiaj wczesnie rano, powiedziałam, co się stało.

– Jak to przyjął?

– Żaden ojciec nie skacze z radości na wieść, że syn przyznał się do zabójstwa.

– Jak przyjął wiadomość o jego śmierci?

– Tak jak się można spodziewać. – Lena wbiła wzrok w notatki, ale Will widział, że usiłuje się pozbierać. – Jest teraz w drodze z Florydy tutaj. Nie wiem, ile czasu mu to zajmie. Siedem, może osiem godzin.

Will zastanawiał się, jaka była w takim razie rola Wallace'a w śledztwie i dlaczego jego najtrudniejsze części spadły na Lenę.

– Znała pani Allison Spooner? – spytał.

– Pół miasta ją znało. Pracowała w pobliskim bistro.

– Ale czy pani ją znała?

– Nigdy jej nie spotkałam.

– Nie chodzi pani do tego lokalu?

– A jakie to ma znaczenie? – Nie czekała na odpowiedź. – Tommy wszystko wyjaśnił. Ma pan przed nosem jego przyznanie się do winy. Powiedział, że chciał się z nią kochać. Ona nie chciała. Więc ją zabił.

– Ile czasu minęło, zanim się przyznał?

– Kluczył przez jakąś godzinę, potem to z niego wyciągnęłam.

– Czy przedstawił jakieś alibi? Początkowo, znaczy się.

– Twierdził, że był u weterynarza. Jego suczka, Pippy, połknęła skarpetkę czy coś. Tommy zabrał ją do lecznicy dla zwierząt na Conford. Personel nie jest w stanie zaręczyć, że był tam przez cały czas.

– Miał samochód?

– Zielonego chevroleta malibu. Stoi teraz w warsztacie. Tommy powiedział, że szwankował rozrusznik. Wczoraj rano zostawił kluczyki w depozycie u Earnshawa.

Tego Will się nie spodziewał.

– U Earnshawa?

– Wujka Sary.

– Czy jest zapis z monitoringu parkingu?

– Nie, ale dzwoniłam do warsztatu. Samochód stoi. – Wzruszyła ramionami. – Tommy mógł go tam odstawić po tym, jak zabił Allison.

– Przeszukała pani wóz?

– Zamierzałam zrobić to dzisiaj. – Ton Leny sugerował, że to obecność Willa uniemożliwia jej wykonywanie obowiązków.

Nie dał za wygraną.

– Skąd Tommy znał Allison?

– Wynajmowała kwaterę u jego ojca, garaż przekształcony w

pomieszczenie mieszkalne. – Zerknęła na zegarek.

– A co pani może powiedzieć o Tommym? Jaki był?

– Głupi – stwierdziła. – Ociężały umysłowo. Sara na pewno już to panu powiedziała.

– Według doktor Linton iloraz Tommy’ego oscylował w granicach osiemdziesięciu. Nie był może zbyt lotny, ale miał stałą pracę w kręgielni. Nie sprawiał kłopotów, jeśli nie liczyć ostatnich incydentów.

– Według mnie zabójstwo i usiłowanie zabójstwa to coś więcej niż sprawianie kłopotów i incydenty.

– Miałem na myśli ostatnie interwencje policji z jego udziałem.

Nie dała nic po sobie poznać, ale w jej oczach dostrzegł pytanie.

– Są trzy notatki urzędowe z interwencji dotyczących awantur, do jakich doszło w ciągu ostatniego miesiąca. Pani Simms była tak uprzejma je przedstawić. – Milczała, więc zapytał: – Wiedziała pani o nich, prawda?

Nadal nie odpowiedziała. Przesunął notatki po blacie, żeby mogła rzucić na nie okiem.

Szybko przebiegła wzrokiem streszczenia.

– Drobne niesnaski. Ewidentnie łatwo się złościł.

– Kto kazał pani aresztować Tommy’ego pod zarzutem zabójstwa Allison Spooner?

– Frank... – Wydawało się, że za późno ugryzła się w język i chce to zatuszować. – Frank i ja dyskutowaliśmy nad tym. To była wspólna decyzja.

Przynajmniej wiedział teraz, jak Lena wygląda, gdy kłamie. Niestety niewiele inaczej, niż gdy mówiła prawdę.

– Kiedy się pani dowiedziała, że w jeziorze są zwłoki?

– Brad zadzwonił do mnie około trzeciej w nocy. Powiadomiłam wszystkich innych, wdrożyłam dochodzenie.

– Rozmawiała pani z wykładowcami Allison z uczelni?

– Wszyscy mają ferie świąteczne. Ustaliłam numery ich telefonów, ale jeszcze do nich nie dzwoniłam. Większość to miejscowi. Nigdzie nie wyjeżdżają. Zamierzałam skontaktować się z nimi dziś rano, ale... – Wyciągnęła rękę, wskazując na dzielącą ich



przestrzeń.

– Co jeszcze planowała pani zrobić dzisiaj? – Wymienił czynności procesowe, o których jak dotąd wspomniała. – Porozmawiać z wykładowcami. Może przesłuchać personel lecznicy dla zwierząt. Przeprowadzić oględziny samochodu Tommy’ego. Spróbować ustalić tożsamość i skontaktować się ze znajomymi Allison. Chyba zwróciłaby się pani z tym do uczelni, może do Lionela Harrisa?

Wzruszyła ramionami.

– Może.

– A zamierzała pani jeszcze raz przesłuchać Tommy’ego? Gdyby żył, oczywiście.

– Tak.

– Dlaczego?

– Chciałam mieć jego przyznanie się na taśmie. Był głównym świadkiem oskarżenia.

– Ale wszystko poza tym się pani zgadzało: jego motyw, dźgnięcie w kark?

– Kilka kwestii zamierzałam jeszcze wyjaśnić. Naturalnie chciałam znaleźć narzędzie zbrodni. Zakładam, że jest gdzieś w garażu. Albo w jego samochodzie. Musiał nim zawieźć Allison nad jezioro. Na pewno zostały jakieś ślady dowodowe. Proszę mi przerwać, jeśli to, co mówię, za bardzo trąci podręcznikiem postępowania przygotowawczego, który mógł pan czytać w akademii.

– Dobrze określenie: podręcznik – zauważył. – To chyba całkiem sporo roboty jak na śledztwo, które uznała pani za zamknięte. Czyż nie to właśnie powiedziała mi pani kilka minut temu: że zostało zakończone?

Znowu patrzyła na niego bez słowa. Will wiedział, że czeka, żeby spytał o zgłoszenie pod 911.

– Musi pani być zmęczona – powiedział.

– Nic mi nie jest.

– Miała pani dwa bardzo ciężkie dni. – Wskazał na jej notatki operacyjne. – O trzeciej nad ranem wczoraj otrzymała pani telefon od Brada z informacją o podejrzeniu popełnienia samobójstwa.

Pojechała nad jezioro. Ustaliła, że Spooner nie żyje i prawdopodobnie zginęła z obcej ręki. Następnie udała się pani do domu denatki, gdzie pani szef został ranny, a partner dźgnięty nożem. Aresztowała pani Tommy'ego. Uzyskała od niego przyznanie się do winy. Noc na pewno spędziła pani w szpitalu.

– Do czego pan zmierza?

– Czy Tommy był osobą agresywną?

Nie zrobiła uniku.

– Nie.

– Czy podczas przesłuchania okazywał gniew lub złość?

Znowu zamilkła, zbierając myśli.

– Nie sędzę, że zamierzał zranić Brada. Niemniej jednak go dźgnał. I zabił Allison, więc...

– Więc?

Ponownie założyła ręce na piersi.

– To do niczego nie prowadzi, kręcimy się w kółko. To, co się przytrafiło Tommy'emu, jest złe, ale sam się przyznał do zabicia Allison Spooner. Pchnął nożem mojego partnera. Frank odniósł obrażenia.

Will uważnie analizował jej słowa. Ewidentnie wierzyła, że Tommy był winny śmierci Allison Spooner. Mniej stanowczo i precyzyjnie mówiła o zranieniu Wallace'a i Stephensa.

Jeszcze raz popatrzyła na zegarek.

– Czy już skończyliśmy?

Była w tym świetna, ale nie mogła ciągnąć tego w nieskończoność.

– Jezioro jest za komendą, zgadza się?

– Tak.

– Między uczelnią a Cyplem Kochanków?

– Niezupełnie między.

– Myśli pani, że mógłbym pożyczyć kurtkę?

– Że co?

– Płaszcz przeciwdeszczowy. Kurtkę. Cokolwiek macie na składzie. – Wstał zza biurka. – Chciałbym, żebyśmy się wybrali na spacer.

Deszcz zamienił się w prawdziwe oberwanie chmury, po niebie przewalały się ciemne cumulonimbusy, wypływając z siebie wiadra wody, wszystkie, jak się zdawało, prosto na głowę Willa. Miał na sobie policyjną kurtkę przeznaczoną dla kogoś o znacznie większym obwodzie pasa niż ten, którym sam mógł się pochwalić. Rękawy wisiały mu za kciukami, kaptur spadał na oczy. Zawieszki odblaskowe na plecach i z przodu obijały się o tułów przy każdym kroku.

Will zawsze miał trudności ze znalezieniem pasujących na siebie ubrań, ale zwykle problemem była sytuacja odwrotna: za krótkie rękawy, materiał ciasno opinający się na ramionach. Spodziewał się, że Lena zaoferuje mu dla kawału coś ze swojej garderoby. Najwyraźniej jednak wpadła na lepszy pomysł. Kiedy obchodzili jezioro, zerknął na naszywkę na kieszonce na piersi. Kurtka należała do funkcjonariusza Carla Phillipsa.

Wiatr przybrał na sile i Will wsadził ręce do kieszeni. Namacał parę lateksowych rękawiczek, taśmę mierniczą, plastikowy długopis i małą latarkę. Przynajmniej miał nadzieję, że jest to mała latarka. Wbrew najgorszym intencjom Leny kurtka, podróbka North Face z masą zamykanych na ekspres kieszeni i wystarczającą izolacją, by zapewnić ochronę przed wiatrem, spisywała się nie najgorzej. Will miał oryginalny markowy egzemplarz w domu. Nie zabrał go ze sobą, bo w Atlancie słońce nigdy nie trwała dłużej niż kilka dni, a nawet wtedy pojawiała się przelotnie słońce, łagodząc ziąb. Myśl o kurtce wiszącej w szafie spowodowała, że nagle zatęsknił za domem z siłą, która go trochę zaskoczyła.

Lena przystanęła i odwróciła się w kierunku komendy. Podniosła głos, żeby nie zagłuszył jej deszcz.

– Politechnika jest tam z tyłu, za komendą.

Według szacunków Willa szli już dobry kwadrans. Z trudem dostrzegał grupkę zabudowań stojących na łuku jeziora tuż za budynkiem policji.

– Allison nie miała powodu iść tą drogą.

– Gdzie jest Cypel Kochanków?

Pokazała ręką w przeciwną stronę.

– Ta zatoczka jakieś osiemset metrów dalej.

Powiódł wzrokiem za jej palcem do wcięcia w linii brzegowej.

Zatoczka była mniejsza, niż się spodziewał. A może tylko wydawała się taka na skutek odległości. Na brzegu leżały porozrzucone głązy. Domyślił się, że przy lepszej pogodzie ludzie urządzają tam ogniska. Całość wyglądała jak idealne miejsce na piknik dla całej rodziny.

– Będziemy tu tak stali?

Lena zagrzebała ręce głęboko w kieszeniach i pochyliła głowę w obronie przed wiatrem. Will nie musiał się odwoływać do telepatii, by wiedzieć, że nie ma ochoty sterczeć tu w strugach deszczu. Nad wodą było tak zimno, że sam z trudem powstrzymywał się od szczękania zębami.

– Proszę powtórzyć, gdzie są drogi.

Posłała mu spojrzenie mówiące, że nie zamierza już długo się w to bawić.

– Tam – pokazała. – To jest droga pożarowa. Nieużywana od lat. Sprawdziliśmy ją, kiedy wyciągnęliśmy ciało z jeziora. Nic tam nie ma.

– To jedyny dojazd stąd do Cypla Kochanków?

– Tak jak pokazywałam panu na mapie w komendzie.

Will nigdy nie radził sobie najlepiej z mapami.

– A tam? – Pokazał na teren tuż za zatoczką. – To ta druga droga, której ludzie normalnie używają, żeby dojechać na Cypel, tak?

– Pusta, jak już mówiłam. Ją też sprawdziliśmy, jasne? Nie jesteśmy totalnymi kretynami. Szukaliśmy samochodów. Szukaliśmy śladów opon, stóp. Zbadaliśmy obie drogi i na żadnej nie znaleźliśmy żadnych oznak niedawnego używania.

Will usiłował zorientować się w położeniu. Ani jeden promień słońca nie rozpraszał spowijającej wszystko ćmy. Niebo było tak ciemne, że na dobrą sprawę mogła to być noc, a nie sam środek poranka. – A gdzie jest osiedle mieszkalne?

Pokazała na drugą stronę jeziora.

– Tam mieszka Sara. Jej rodzice. A tutaj – pokazała jeszcze dalej – całość nabrzeża, łącznie z miejscem, w którym stoimy, należy do Nadleśnictwa Stanowego.

– Ludzie pływają tu na łódkach?

– Na terenie kampusu jest przystań dla łodzi wiosłowych.

Mnóstwo mieszkańców pływa na jeziorze latem, ale nikt nie ma na tyle źle w głowie, by sterczeć tu w tym deszczu.

– Z wyjątkiem nas. – Will starał się zabarwić swój ton maksimum entuzjazmu, jakie mógł z siebie wykrzesać. – Chodźmy dalej.

Powlokła się przodem. Widział, że tenisówki całkiem jej przemokły. Buty do biegania, które znalazł na tyle swojego auta, też nie miały się dużo lepiej. Obuwie Allison, a przynajmniej to znalezione nad jeziorem, było brudne, ale nieoblepione błotem. Jeśli szła brzegiem, to w miejscu, gdzie grunt był znacznie twardszy niż czerwona glina, na której teraz ślizgały mu się stopy.

Wczoraj wieczorem sprawdził w Internecie tygodniową prognozę pogody. Tego ranka, kiedy znaleziono ciało Allison, temperatura była niższa, ale przez całą noc wcześniej lało tak samo intensywnie jak teraz. Wymarzony czas na zabójstwo. Nie zachowałyby się żadne ślady, ani biologiczne, ani inne. Zimna woda uniemożliwiłaby precyzyjne ustalenie czasu zgonu. Gdyby nie zgłoszenie pod 911, nikt nie miałby pojęcia, że w jeziorze jest ciało.

Lena poślizgnęła się na błocie. Złapał ją, zanim wpadła do wody. Była taka lekka, że niemal mógł ją podnieść jedną ręką.

– Chryste. – Oparła się dłonią o drzewo, ciężko oddychając. Uświadomił sobie, że wcześniej specjalnie szła szybko, żeby zachować między nimi odległość.

– Wszystko w porządku? – spytał.

Oderwała się od pnia z wyrazem determinacji na twarzy. Will patrzył na jej stopy, gdy lawirowała między dużymi korzeniami i opadłymi konarami, od których roiło się na brzegu. Nie wiedział oczywiście, czy Allison szła tą samą drogą do Cypla Kochanków. Chciał po prostu zabrać Lenę Adams z komendy, w nadziei, że na bardziej neutralnym gruncie uda mu się skłonić ją do mówienia.

Teraz jednak, zważywszy na lejącą się z nieba pompę i trudną drogę, zaczął się zastanawiać, czy nie byłoby rozsądniej trochę obniżyć poprzeczkę. Mógłby na przykład skoncentrować się na tym, by oboje nie zamierzli na śmierć.

Lena wierzyła, że Tommy Braham zabił Allison Spooner – z taką samą niezachwianą pewnością, z jaką Sara wierzyła, że tego nie zrobił. Will czuł się między nimi jak między młotem a kowadłem i miał świadomość, że nie powinien dopuścić, by którakolwiek z kobiet wpłynęła na jego opinię. Podejrzał, że w przypadku Leny ewentualna niewinność Tommy'ego wiązałyby się z dużo większym poczuciem winy, niż pani detektyw chciała dźwigać. Oznaczałoby, że chłopak zabił się przez nią. Że ona dała mu narzędzie – i powód – do odebrania sobie życia. W przypadku Sary natomiast przyznanie, że Tommy był zabójcą, byłoby równoznaczne z przyznaniem, że Lena nie jest tak bezwzględna osobą, za jaką chciała ją uważać.

Will nie tyle poczuł, ile usłyszał, że deszcz zaczyna słabnąć. Uporczywy stukot kropel o liście przeszedł w delikatny szum. Gdzieś w oddali odezwał się ptak, grupka świerszczy. Drogę przed nimi tarasowało wielkie zwalone drzewo. Grube korzenie sterczały w powietrze, ziemia skapywała z wąsów. Lena podciągnęła się i przeskoczyła pień. Will poszedł jej śladem. Rozejrzał się znowu, próbując ustalić położenie. Znajdowali się niedaleko drogi pożarowej. Przynajmniej tak mu się zdawało.

– Tam – wskazała na stos ułożonych w stertę bali – kończy się droga. – Zdjęła kaptur.

Will zrobił to samo. Dwa pasy ziemi mniej więcej szerokości samochodu biegły przez jakieś trzy metry, potem przechodziły w gęsty las. Zrozumiał, dlaczego Lena jest przekonana, że nikt tędy nie jechał. Musiałby użyć buldożera.

– Większość ludzi korzysta z drogi po drugiej stronie – powiedziała. – Ale ona biegnie ze sto metrów na zachód od zatoczki. Tak jak mówiłam, musieliśmy oczyścić teren, zrobić specjalny przejazd, żeby ściągnąć tu pojazdy służb ratunkowych.

Will się domyślił, że nie szukali odcisków opon samochodowych,

jadąc na miejsce zdarzenia, jeszcze przed wyłowieniem ciała. Wtedy prawdopodobnie zniszczyli wszystkie ślady, jakie mogłyby pozostawić inny wóz. Spytał:

– Jeśli Allison nie miała auta, jak się tu dostała?

Lena wbiła w niego wzrok.

– Tommy ją tu przywiózł.

– Ale przed chwilą sama pani powiedziała, że nie znaleźliście śladów żadnych samochodów.

– Miał skuter. Mógł przyjechać na nim.

Will się zgodził, choć nie bardzo potrafił sobie wyobrazić Tommy'ego trzymającego zwłoki na kierownicy i manewrującego między drzewami.

– Gdzie była Allison przed feralnym zdarzeniem?

– Czekala w domu, żeby ją zabił. – Przeszła z nogi na nogę dla rozgrzewki. – Dobra. Uczelniana biblioteka działa w niedzielę do południa. Mogła tam siedzieć.

– Może w pracy?

– Bistro jest nieczynne w niedzielę.

– Czy mogła iść tędy do domu?

Lena pokręciła głową.

– Poszłaby przez lasek naprzeciwko komendy. Byłaby w domu w dziesięć minut.

Przynajmniej tu nie próbowała kręcić. Lionel Harris powiedział mu to samo.

– To po co w takim razie tu przysłała? – spytał.

Lena wsadziła ręce do kieszeni, gdy mocniej zawiało.

– Pani detektyw?

– Nie przysłała tu, tylko Tommy ją przywiózł. – Ruszyła, brnąc przez błoto. Przy każdym kroku jej buty wydawały głośnie mlaśnięcia.

Will miał dwa razy dłuższy krok. Dogonił ją bez wysiłku.

– Zróbmy profil naszego zabójcy.

Parsknęła śmiechem.

– Wierzy pan w to gównno?

– Nie do końca, ale musimy jakoś zabić czas.

– To głupota. – Znowu się poślizgnęła, ale w porę złapała równowagę. – Naprawdę zamierza mnie pan zmusić do taplania się w tym błocie aż do zatoczki?

Gdyby Will mógł ją zmusić do czegokolwiek, wybrałby raczej powiedzenie prawdy. Ponieważ jednak ta ewentualność nie wchodziła w grę, powiedział:

– Sprofilujmy go.

– Nie ma sprawy – bąknęła, prac do przodu. – Opóźniony chłopak w przedziale wiekowym między dziewiętnaście a dziewiętnaście i pół roku, jeżdżący zielonym chevroletem malibu i mieszkający z ojcem.

– Na chwilę wykluczmy z tego Tommy’ego.

Popatrzyła na niego nieufnie.

– Z czym mamy do czynienia?

Lena obeszła kolejne zwalone drzewo.

– Z czym mamy do czynienia? – powtórzył.

W każdym jej słowie słyhać było niechęć.

– Chodzi panu o zabójstwo?

– Tak. Co się wydarzyło?

– Allison Spooner została dźgnięta w kark w niedzielę wieczorem albo w poniedziałek nad ranem.

– Czy na miejscu zdarzenia było dużo krwi?

Wzruszyła ramionami, ale powiedziała:

– Prawdopodobnie. W szyi są tętnice i żyły. Krwawienie musiały być duże, co wyjaśnia, dlaczego do garażu, gdzie mieszkała Allison, Tommy przyniósł wiadro i gąbkę. Próbował posprzątać.

– Jaki był motyw?

Roześmiała się z niedowierzaniem.

– Tak wygląda profilowanie?

Przynajmniej w wersji Willa. Nie podzielał pewności Leny. Tak święcie wierzyła w to, że ma rację co do Brahama, że nawet nie wzięła pod uwagę innych ewentualności. Faktu, że być może brutalny zabójca ostrzy sobie już zęby na następną ofiarę.

– Dlaczego sprawca zabił? Z gniewu? Bo nadarzyła się okazja?



Dla pieniędzy?

– Zabił, ponieważ Allison nie chciała uprawiać z nim seksu. Czy w ogóle przeczytał pan jego wyjaśnienia?

– Myślałem, że mamy na chwilę zapomnieć o Tommym. – Pokręciła głową, więc spróbował jeszcze raz: – Proszę sprawić mi tę przyjemność, pani detektyw. Załóżmy, że mamy do czynienia z tajemniczym zabójcą, który chciał śmierci Allison. Kimś innym niż Tommy Braham.

– To czysta fantazja, bo Braham się przyznał.

Chwycił ją pod ramię, pomagając przejść przez dużą kałużę.

– Czy zabójca przyniósł broń na miejsce zdarzenia?

Wydawało się, że zastanawia się nad pytaniem.

– Może. Miał także pustaki, łańcuch i kłódkę.

Will zakładał, że cegły i łańcuch zostały przyniesione tam wcześniej, ale uznał, że jeszcze nie czas dzielić się tą teorią.

– Zatem działał z premedytacją, w sposób zaplanowany.

– Albo zebrał to, co akurat miał pod ręką, w swoim domu. –

Dodała: – Na Taylor Drive.

Will nie dał się sprowokować. Jeśli Allison zginęła nad jeziorem, a nie w garażu, to cała teoria Leny o sprawstwie Brahama brała w łeb. Spytał:

– Czy zabójca działał w gniewie?

– Rana na karku jest dosyć brutalna.

– Ale nie bestialska. I tylko jedna. Została zadana w sposób opanowany. Z rozmysłem.

– Prawdopodobnie sprawca spanikował, kiedy krew z szyi bluzgnęła mu prosto w twarz. – Przeskoczyła kałużę. – Co jeszcze?

– Podsumujmy, co wiemy: zabójca jest dobrze zorganizowany.

Nie działa pod wpływem impulsu. Zna okolicę. Zna Allison. Jeździ samochodem.

Skinęła głową.

– Mogłabym to kupić.

– Omówmy przebieg wydarzeń.

Lena przystanęła. Od zatoczki dzieliło ich już tylko jakieś dziesięć metrów.

– Dobra. Tommy albo pański tajemniczy zabójca zabija Allison i przywozi tu ciało. – Zmrużyła oczy. – Prawdopodobnie kładzie zwłoki na brzegu. Owija łańcuchami w pasie, obciąża pustakami i wrzuca do wody.

– W jaki sposób?

Lena przeniosła wzrok na zatoczkę. Will niemal słyszał, jak jej mózg pracuje.

– Musiałyby je wnieść. Zostały znalezione niecałe pięć metrów od brzegu, tam, gdzie dno opada. Pustaki trochę ważyły. Może w takim razie przyciągnąłby ciało po wodzie w wybrane miejsce i dopiero wtedy obciążył. To bardziej trzyma się kupy. Niemożliwe, żeby zwłoki wrzucone z brzegu, wylądowały w tamtym miejscu.

Will dalej ją podprowadzał.

– Czyli zabójca wchodzi do wody, ciągnąc ciało, i dopiero na miejscu zakłada łańcuchy. Noc była zimna.

– Musiałyby mieć na sobie wadery albo coś takiego. Potem przecież wsiadał do samochodu, żeby odjechać. Jaki jest sens pozbywania się zwłok w jeziorze, jeśli potem wnosi się wodę do samochodu.

– Ale taka kąpiel wcale nie musiała być złym pomysłem.

– Racja. Sprawca byłby przecież powalany krwią.

– Nie chciał, żeby znaleziono ciało. Po to zaciągnął je na głębiny i obciążył.

Lena znowu zamilkła, ale wiedział, że jest zbyt inteligentna, by nie myśleć o tym samym co on.

– Ale jednak ktoś chciał, żeby je znaleziono. Stąd to zgłoszenie pod 911 – powiedział.

– Może któryś z sąsiadów Tommy’ego coś widział.

– I pojechał za nim nad jezioro, patrzył, jak wrzuca zwłoki i...

– Myśli pan, że miał współnika?

– A co pani myśli?

– Myślę, że w najlepszym razie mamy kluczowego świadka.

Będziemy musieli porozmawiać z nim na jakimś etapie, ale jakie to ma znaczenie teraz, gdy człowiek, który przyznał się do zabicia Allison, nie żyje?

Will rozejrzał się dokoła. Stali po kostki w błocie. Tutaj ziemia była ciemniejsza, niemal czarna w miejscach oblewanych przez fale. Podeszwy Allison oblepiało czarne błoto, nie czerwona glina.

– Czy Tommy wspomniał, że Allison miała chłopaka? – spytał.

– A nie wydaje się panu, że w takim wypadku właśnie byśmy go przesłuchiwali?

Zobaczył, jak gruba wiewiórka wspięła się, machając ogonem, po jednym z drzew. Miało złamanych kilka gałęzi, trawa niżej była zgnieciona. Usłyszał w oddali samochód.

– Czy gdzieś tutaj jest droga?

– Jakies półtora kilometra stąd. – Pokazała w kierunku, skąd dochodził warkot. – Dwupasmówka szybkiego ruchu.

– A domy?

Lena zacisnęła usta, odwróciła wzrok.

– Pani detektyw?

Wbiła oczy w ziemię, zeskrobała nogą trochę błota z drugiego buta.

– Tommy mieszkał tam dalej.

– Podobnie jak Allison Spooner. – Will zerknął na burzącą się tafłę jeziora. Od wody ciągnął wiatr zimny jak lód. – Czy słyszała pani kiedyś o niejkiej Julie Smith?

Pokręciła głową.

– Kto to?

– Czy Tommy mówił o znajomych? Swoich albo Allison?

– To nie było przedmiotem przesłuchania – rzuciła podirytowana. – Usiłowałam wyciągnąć od niego przyznanie się do winy, nie opowieść o jego życiu.

Will stał dalej ze wzrokiem wbitym w jezioro. Patrzył na to ze złej strony. Sprawca był sprytny. Wiedział, że woda zmyje dowody. Wiedział, że powinien porzucić ciało na głębinię. Prawdopodobnie umyślnie zwabił Allison właśnie tutaj. Mokry grunt, błoto i zarośla, wszystko to pomogłoby mu zatrzeć po sobie ślady.

Will podwinął nogawki. Buty i tak miał już przemoczone, więc nie zawracał sobie głowy ich zdejmowaniem. Zimna woda wlała mu się do cholewek.

– Co pan wyprawia?

Uszedł w głąb kilka metrów i zaczął przeczesywać wzrokiem brzeg, przyglądając się drzewom i poszyciu.

Lena położyła ręce na biodrach.

– Zwariował pan? Wychłodzi się pan na śmierć.

Lustrował bacznie każde drzewo, każdy konar, każdą kępkę chwastów i mchu. Stopy miał zupełnie bez czucia, kiedy wreszcie znalazł to, czego szukał. Podeszedł do dużego pochylonego nad wodą dębu. Sękate korzenie zanurzały się w wodzie jak rozczapierzona dłoń. Z początku myślał, że to, co widzi na korze, to cień, ale zaraz uświadomił sobie, że ten mógłby powstać tylko przy świetle – słonecznym lub innym.

Grzęznąąc stopami w zagłębieniu dna, stał przed drzewem. Ogołociona z liści korona sięgała co najmniej trzydzieści metrów w górę. Pień, o blisko metrowej średnicy, odchyłał się od wody. Will nie był dendrologiem, ale w Atlancie rosło wystarczająco dużo dębów, by wiedział, że czerwonobrzazowe bruzdowania pnia zmieniają barwę na antracytową w miarę starzenia się drzewa. Łuskowata kora nasiąkła wodą jak gąbka, jednak ze swojego stanowiska obserwacyjnego w wodzie zauważył coś jeszcze. Podrapał palcem niewielki kawałek kory. Pod paznokciem został mu wilgotny, rdzawy materiał. Obrócił go w palcach, wyciskając wilgoć.

Ludzie jednak mają rację: krew nie woda.

– Co jest? – spytała Lena. Z rękoma w kieszeniach pochyliła się nad wodą.

Will przypomniał sobie o latarce w kieszeni.

– Proszę spojrzeć. – Przebiegł światłem po ciemnej plamie znaczącej pień. Pomyślał o tym, co powiedziała Sara o ranie Allison: że przy takim obrażeniu krew musiała tryskać z ogromną szybkością, jak z odkręconego na ful ogrodowego węża. Dwa, dwa i pół litra co najmniej. Ponad pół galonu.

– Zapewne leżała twarzą do ziemi, tuż przy wodzie. Krew siknęła łukiem do góry. Widać, że rozprysk jest grubszy tutaj u podstawy pnia, bliżej szyi. Potem na górze zaczyna się rozpraszać.

– To nie jest... – Urwała. Teraz to zobaczyła. Poznał po zszokowanym wyrazie jej twarzy.

Popatrzył na niebo. Z chmur znowu zaczynało lać. Chwila wytchnienia nie trwała długo. Ale nie miało to znaczenia. Bez zdarcia kory nie było sposobu na całkowite oczyszczenie drzewa. Drewno wchłonęło i utrwaliło plamę krwi tak samo, jak wchłonęłoby dym z ogniska.

Spytał:

– Nadal pani uważa, że sprawcą jest dziewiętnastoletni chłopak, który mieszkał ze swoim ojcem?

Od strony jeziora zerwał się gwałtowny podmuch wiatru, gdy Lena wpatrywała się w pień. Łzy napłynęły jej do oczu. Głos jej się trząsał.

– Przyznał się.

Will przytoczył jej jego słowa:

– „Zezłościłem się. Miałem przy sobie nóż. Dźgnąłem ją raz w kark”. – Spytał: – Znaleźliście krew w garażu?

– Tak. – Otarła oczy nasadą dłoni. – Właśnie ją sprzątała, kiedy tam dotarliśmy. Zobaczyłam wiadro i jeszcze... – Urwała. – Na podłodze była krew. Widziałam ją.

Will opuścił nogawki spodni. Stopy grzęzły mu w błocie u podstawy pnia. Zauważył nowy kolor mieszający się z ziemią, ciemny rdzawy osad, którym przesiąkła siateczka na czubku jego buta.

Lena także to dostrzegła. Rzuciła się na kolana. Wsadziła palce głęboko w grunt i nabrała garść ziemi. Była mokra nie tylko od deszczu. Wyrzuciła grudę i otrzepała rękę, ale dłoń pozostała ciemnoczerwona, poplamiona krwią Allison Spooner.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Lena przyłożyła do karku mokry ręcznik papierowy. Siedziała oparta plecami o drzwiczki kabiny toalety w szatni. Jakiś funkcjonariusz usiłował wejść, gdy wstrząsały nią torsje. Wycofał się bez słowa.

Nigdy nie słynęła z odporności. Jej wuj Hank powtarzał, że Lena nie ma nerwów na takie życie, jakie prowadzi. Nie byłby zadowolony, widząc teraz, jak bardzo się nie mylił.

– Och, Boże – wyszeptała, prawie modlitewnie.

W co ten głupi dzieciak się wpakował? Co jeszcze przeoczyła? Zamknęła oczy. Nic z tego już nie miało sensu. Nic się nie składało w całość tak jak jeszcze wczoraj rano.

Zrobił to. Lena wiedziała, że Tommy zabił Allison. Ludzie nie przyznają się do morderstwa, jeśli nie są winni. Zresztą niecały kwadrans po wyciągnięciu dziewczyny z jeziora znaleźli Tommy'ego grzebiącego w rzeczach Allison w jej mieszkaniu. Miał na sobie czarną kominiarzkę. Uciekł na ich widok. Dźgnął Brada, nawet jeśli tylko otwieraczem do listów. Lena widziała na własne oczy, jak to zrobił. Słuchała potem jego wyjaśnień. Patrzyła, jak sam wszystko spisuje własnymi głupimi słowami. A na koniec się zabił. Pojawiły się wyrzuty sumienia i otworzył sobie żyły, bo wiedział, że to, co zrobił Allison, było złe.

No więc skąd u Leny te nagłe wątpliwości?

Podjeźrzeni ciągle kłamią. Próbuje zmniejszyć swoją winę. Dziela włos na czworo. Przyznają się do zgwałcenia, ale nie do zabójstwa. Do uderzenia pięścią, ale nie do bicia, do dźgnięcia nożem, ale nie do pozbawienia życia. Czy to tylko o to chodzi? Tommy skłamał, że

zabił Allison w garażu, bo chciał, żeby jego czyn wydawał się bardziej zrozumiały, wyglądał na dokonany pod wpływem chwili?

Lena przycisnęła głowę do ściany.

Nie dawał jej spokoju ten głupi profil, z którym wyskoczył Will Trent. Zimny. Wyrachowany. Działający z rozmysłem. To nie pasowało do Tommy'ego. Chłopak nie był wystarczająco inteligentny, żeby rozważyć wszystkie ewentualności. Musiałby obmyślić wszystko z góry, przygotować pustaki i łańcuch, zanieść je wcześniej nad jezioro. Nawet jeśli by przytargał je już po fakcie, musiałby przewidzieć, że będzie dużo krwi, i wszystko tak zaplanować, żeby deszcz usunął ślady.

Taka masa krwi. Grunt był nią przesiąknięty.

Lena podniosła się na kolana i pochyliła głowę nad muszlą. Ścisnęło ją w dołku, ale nie miała już czym wymiotować. Usiadła na piętach, gapiąc się na tył klozetu. Biały porcelit patrzył na nią nieruchomo. To była tylko jej kabina – jedyny kawałek przestrzeni, który udało jej się zaanektować wyłącznie dla siebie we wspólnej szatni. Pisuary były całe w plamach niczym zęby staruszki. Dwie pozostałe kabiny budziły odrazę. Śmierdziały fekaliami bez względu na to, ile razy je czyszczono. Dziś rano jednak smród nie ograniczał się tylko do nich. Całe miejsce cuchnęło gównem. A prawdziwe szambo jeszcze się nawet nie rozlało.

Wytarła usta papierowym ręcznikiem. Ręka ją rwała w miejscu postrzału. Prawdopodobnie rana została zakażona. Cała skóra aż do nadgarstka była gorąca. Zacisnęła powieki. Chciała stąd zniknąć. Wrócić do łóżka z Jaredem. Wrócić do wczoraj i potrząsać Tommym Brahamem, dopóki nie powiedziała by jej prawdy o tym, co się wydarzyło. Dlaczego był w mieszkaniu Allison? Czemu szperał w jej rzeczach? Dlaczego włożył kominiarkę? Dlaczego uciekał? I dlaczego, na Boga, się zabił?

– Lena? – Ochryply głos Marli Simms był niewiele głośniejszy od szeptu. – Możemy zamienić słówko?

Lena oderwała się od ściany i podniosła. Trudno jej było uciec od świadomości, że jedyne miejsce, które może nazwać swoim w tym całym zapomnianym przez Boga przedpieklu, to kibel.

Marla trzymała w dłoni złożony arkusz papieru.

– Dobrze się czujesz?

– Nie – odpowiedziała Lena, bo nie było sensu kłamać.

Wiedziała, jak wygląda, wystarczył rzut oka na lustro: rozczochrane włosy, czerwona twarz cała w plamach. Była półprzytomna z braku snu i zdenerwowana do granic możliwości, tak że miała wrażenie, że ciało jej wibruje, nawet gdy stała.

– Agent Trent chciał to dostać. – Marla wyciągnęła do Leny kartkę, rzucając jej wymowne spojrzenie, jakby były parą szpiegów przekazujących sobie walizkę przed Kremlen. – Wczoraj tego nie widział.

Lena musiała pociągnąć za kartkę, zanim sekretarka ją puściła. Poznała swój charakter pisma. Kserokopia pochodziła z jej własnego notatnika: była to odbitka transkryptu zgłoszenia pod 911. Próbowwała odczytać słowa, ale wzrok miała rozmazany.

– Myślałam, że prosił o taśmę.

– Jeśli to mu nie wystarczy, będzie musiał pojechać sobie po nią do Eaton. – Wzięła się pod rozłożyste boki. – I możesz mu ode mnie przekazać, że nie jestem jego prywatną sekretarką. Nie wiem, za kogo się ma, rozstawiając tak ludzi po kątach. Wyobraża sobie, że kim jest?

Człowiekiem, który zlikwiduje tę jednostkę, jeśli nie będą wykonywali jego poleceń.

– Rozmawiałaś rano z Frankiem?

– Nie, ale domyślam się, że zajrzał tu wczoraj wieczorem. W segregatorach miałam potworny bałagan, kiedy przyszłam rano.

Lena wiedziała już, że Frank ukradł telefon Tommy'ego i wyjął fotografię z portfela Allison, ale na tę wieść przeszedł ją dreszcz.

– Których segregatorach?

– Wszystkich. Nie wiem, czego szukał, ale mam nadzieję, że znalazł.

– Dałaś Trentowi te notatki urzędowe z interwencji.

– I co z tego?

– Po co?

– Nikt nie lubi mówić źle o zmarłych, ale ja powiem w oczy



każdemu, kto spyta: Tommy nie zachowywał się ostatnio normalnie. Wszczywał awantury, krzyczał na ludzi, groził im. Nie zrozum mnie źle. W dzieciństwie był dobrym dzieckiem. Miał te urocze blond loczki i niebieskie oczka. Takim go pamięta Sara. Ale nie wie, jaki był ostatnio. Myślę, że coś mu się poprzestawiało w głowie. A może od zawsze taki był, tylko my nie zauważyliśmy. Nie chcieliśmy zauważyć. – Pokręciła głową zdecydowanie. – Straszne gówno z tego się zrobiło. Jedna wielka kupa gnoju.

Lena przyjrzała się jej po raz pierwszy. Starsza pani nie należała raczej do jej fanów. Ledwo pozdrawiała ją skinieniem głowy, gdy Lena przychodziła rano do pracy, najczęściej jednak nie zadawała sobie trudu podniesienia oczu znad biurka.

– Dlaczego nagle ze mną rozmawiasz? Nigdy ze mną nie rozmawiasz.

– Przepraszam bardzo, że chciałam pomóc – obruszyła się Marla. Odwróciła się na pięcie i wyszła z toalety.

Lena patrzyła, jak drzwi wolno zamykają się na zawiasach. Pomieszczenie wydawało się małe, klaustrofobiczne. Nie mogła tu siedzieć cały dzień, ale trudno jej było przewyciężyć odruch ukrywania się przed Trentem. Larry Knox powiedział Frankowi, że Trent to urzędnik, nie gliniarz. Pierwsze wrażenie Leny było podobne. W tym kaszmirowym sweterku i metroseksualnej fryzurze wyglądał na kogoś, kto lepiej się czuje za biurkiem, kończy pracę o piątej i wraca do domu do żony i dzieci. Dawna Lena uznałaby go z miejsca za picusia nie na jej poziomie i niezasługującego na odznakę.

Dawna Lena tyle razy już sparzyła się na swoich pochopnych sądach, że była bliska zwęglenia. Teraz potrafiła wyjść poza swoje instynktowne reakcje i zobaczyć prawdę. Willa przysłała tu wiceszefowa Biura, o krok od przejęcia głównego stołka. Lena poznała Amandę Wagner wiele lat temu. Był z niej kawał twardej suki. W życiu nie oddelegowałaby tu kogoś z rezerw, zwłaszcza na prośbę Sary Linton. Will Trent należał prawdopodobnie do najlepszych śledczych w jej zespole. Musiał. W niecałe dwie godziny rozpirzył w drobny mak całe śledztwo Leny przeciwko Brahamowi.

A teraz ona musiała wrócić i znowu się z nim zmierzyć.

Stopy nadal ją bolały od długiej wędrówki przez las, w butach chlupotało. Podeszła do swojej szafki. Ale gdy tylko zaczęła przekręcać tarczę, z głowy wyleciał jej szyfr. Przycisnęła czoło do zimnego metalu. Dlaczego w ogóle jeszcze tu jest? Nie może ciągnąć tego z Trentem dłużej. Naopowiadała już tyle kłamstw i półprawd, że nie potrafiła ich wszystkich spamiętać. On zastawiał pułapki i przy każdej kolejnej Lena czuła, że lada chwila noga jej się powinie. Powinna pójść do domu, zanim powie za dużo. Jeśli Trent chciałby ją zatrzymać, będzie musiał użyć kajdanek.

Wreszcie przypomniał jej się szyfr. Przekręciła tarczę, otworzyła szafkę. Popatrzyła na kurtkę przeciwdeszczową, przybory toaletowe, najróżniejsze drobiazgi, których cała kupa zebrała się tu przez lata. Niczego stąd nie chciała oprócz zapasowej pary butów, które trzymała na dnie. Zaczęła zamykać szafkę, ale w ostatniej chwili się rozmyśliła. W pudełku z tamponami znajdowało się zdjęcie Jareda zrobione trzy lata temu. Stał przed Stadionem Sanforda Uniwersytetu Georgii. Dokoła kłębiły się tłumy, Georgia grała z Luizjaną. Jared stał w grupie innych studentów, ale jako jedyny nie patrzył w obiektyw aparatu. Patrzył na Lenę.

Zdjęcie powstało dokładnie w chwili, kiedy się w nim zakochała – tam przed stadionem, w środku pijanej hałastry. Zdołała uwiecznić na filmie dokładny moment, gdy wszystko w jej życiu się zmieniło. Kto uwieczni ten, w którym wszystko na powrót się zepsuje?

Prawdopodobnie profos robiący jej zdjęcia sygnalityczne.

Drzwi się otworzyły. Do środka weszło czterech funkcjonariuszy z prewencji, tak zajętych rozmową, że niemal jej nie zauważyli. Wsadziła fotografię Jareda w tylną kieszeń spodni. Skarpetki miała zupełnie mokre, ale i tak włożyła na stopy zapasowe buty. Chciała po prostu stąd wyjść. Przejdzie przez komendę, tuż przed nosem Willa Trenta, wsiądzie do samochodu i pojedzie do domu, do Jareda.

Jeszcze dziś wieczorem zacznie się pakować. Dołączy do grona ludzi zostawiających bankowi klucze do domu w skrzynce na listy. Auto było w niezłym stanie. Miała dość oszczędności, by przeżyć

trzy miesiące, cztery, jeśli Jared nie poprosi, by dokładała się do czynszu. Zamieszka z nim i spróbuje jakoś się z tym uporać, znaleźć inny sposób na życie niż służba w policji.

Jeśli nie będzie siedziała w więzieniu za mataczenie i utrudnianie śledztwa. Jeśli nie zostanie skazana za rażące przekroczenie uprawnień i niedopełnienie obowiązków. Jeśli Gordon Braham nie pozwie jej i nie puści w skarpetkach. Jeśli Frank nie nakładzie Jaredowi jadu do uszu. W przeinaczenia Jared uwierzy, bo najpiękniejsze w kłamstwie jest to, że ludzie łykną każde, pod warunkiem że jest wystarczająco bliskie prawdy.

Z trzaskiem zamknęła drzwiczki szafki, przyciskając dłoń do chłodnego metalu.

Jeden z funkcjonariuszy powiedział:

– Jeśli ten dupek z GBI potknie się przypadkiem i rozwali sobie łeb, nie będziemy rozpaczać.

Wkładali ciężkie przeciwdeszczowe stroje. Will zrobił wcześniej zdjęcia oraz pobrał próbki kory i ziemi przy drzewie, ale teraz zlecił zakrojone na pełną skalę badanie lasu. Chciał mieć jeszcze więcej fotografii, szkiców, wykresów. I pewność, że wszyscy w jednostce rozumieją, że popełnili błąd. Że Lena go popełniła.

– Pierdolony przygłup – rzucił inny gliniarz.

Lena nie wiedziała, czy ma na myśli Willa czy Tommy'ego. Tak czy siak, wykrzesła z siebie trochę udawanego chojractwa.

– Szkoda, że nie jest trochę mądrzejszy, żeby mógł chociaż pojąć, jak bardzo jest głupi.

Wszyscy się zaśmiewali, kiedy opuszczała szatnię. Naciągnęła sweter i przeszła przez salę z większą butą, niż czuła. Musi jakoś odzyskać panowanie nad sobą. Przygotować się na kolejny grad pytań Willa Trenta. Im mniej odpowiedzi mu udzieli, tym lepiej dla niej.

W rękę trzymała kartkę, którą dostała od Marli. Przebiegała wzrokiem po słowach, żeby nie musieć z nikim rozmawiać. Zatrzymała się przy drzwiach wyjściowych. Jeszcze raz przeczytała transkrypt. Całość była spisana jej ręką, ale brakowało ostatnich kilku linijek rozmowy. Dzwoniąca wspomniała, że Allison pokłóciła

się z chłopakiem. Dlaczego ta część zniknęła?

Popatrzyła na Marłę siedzącą za biurkiem. Sekretarka odpowiedziała spojrzeniem, z jedną brwią uniesioną nad okularami. Albo jeszcze jej nie przeszło, albo przesyłała Lenie wiadomość. Trudno orzec. Lena jeszcze raz zerknęła na transkrypt. Końcówka zniknęła, odcięta tak równo, że nikt by się nigdy nie domyślił, że czegoś brakuje. Czyżby Marla posunęła się do fałszowania dowodów? Frank wczoraj grzebał w jej dokumentach. Mógł spreparować transkrypt, nie mówiąc nic Lenie? Chryste, w kieszeni spodni miała notatnik z oryginałem. Wystarczy, że Trent będzie chciał go zobaczyć, a Lena nie wywinie się od zarzutu mataczenia i fałszowania dowodów.

Drzwi wejściowe się otworzyły, zanim zdążyła sięgnąć do klamki. Will Trent najwyraźniej znecierpliwiał się czekaniem na zewnątrz.

– Pani detektyw – powiedział w ramach pozdrowienia. Przebrał się z powrotem w buty do garnituru i zrzucił kurtkę Phillipsa. Był równie pełen zapachu co Lena niechęci.

Podawała mu kartkę.

– Marla prosiła, żebym to panu przekazała. Powiedziała, że nagranie będzie pan musiał sam ściągnąć z Eaton.

Will zawołał do Marli:

– Dziękuję, pani Simms. – Wziął kartkę z rąk Leny. Przebiegł po niej oczyma. – Słyszała pani tę rozmowę, tak? – Podniósł wzrok. – Zrobiła pani transkrypt z nagrania?

– Przewidywali mi to z ekranu. Taśmy audio są przechowywane poza terenem. Nietrudno je ściągnąć. – Lena wstrzymała oddech, modląc się, by nie kazał jej tego zrobić.

– Domyśla się pani, kto dzwonił?

Pokręciła głową.

– Głos był kobiecy. Identyfikacja numeru zablokowana, a dzwoniąca nie chciała podać personaliów.

– Czy zrobiła pani tę kopię specjalnie dla mnie?

– Nie, dostałam ją od Marli.

Pokazał na czarną kropkę na stronie.

– Na szybie kopiarki jest jakiś klej.

Lena zastanawiała się, po co jej to mówi. Jeszcze nigdy nie miała do czynienia z takim policjantem. Will Trent lubił krążyć wokół właściwych pytań, rzucać przypadkowe komentarze i uwagi, które niby prowadziły donikąd, i ani się człowiek obejrzał, a było już po ptakach, a ona czuła, jak pętla zaciska jej się na szyi.

On rozgrywał, tu sobie partyjkę szachów, podczas gdy z niej była dupa, nie szachistka. Mimo to sama poważyla się na manewr pozorowany.

– Powinniśmy już jechać na miejsce zbrodni, jeśli chce pan zdążyć na sekcje.

– A nie wróciliśmy dopiero co z miejsca zbrodni?

– Nie wiemy tak naprawdę, co się stało. Tommy mógł kłamać. To się zdarza czasem w Atlancie, prawda? Sprawcy okłamują policję?

– Częściej, niżbym chciał. – Wsunął transkrypt do aktówki. – O której godzinie mają się zacząć obdukcje zwłok?

– Frank powiedział, że o jedenastej trzydzieści.

– Wczoraj wieczorem, kiedy z nim pani rozmawiała?

Lena usiłowała sobie przypomnieć, co odpowiedziała na to pytanie, kiedy Will zadał je po raz pierwszy. Rozmawiała z Frankiem dwukrotnie. Za każdym razem musztrował ją z wyjaśnień Brahama. Za każdym razem ponawiał groźbę, że zniszczy jej życie, jeśli nie będzie kryła jego zapijaczonyj dupy.

Rzuciła wymijająco w nadziei, że Will to łyknie:

– Tak jak już wcześniej mówiłam.

Otworzył i przytrzymał jej drzwi.

– A domyśla się pani, dlaczego prasa jeszcze nie rzuciła się na sprawę?

– Prasa? – Wybuchłaby śmiechem, gdyby nie siedziała po uszy w gównie. – Gazeta nie pracuje w okresie świątecznym. Thomas Ross zawsze jeździ na narty o tej porze roku.

Will roześmiał się dobrodusznie.

– I jak tu nie kochać małych miasteczek. – Zimny wiatr na zewnątrz sprawił, że musiał się dobrze przyłożyć, żeby zamknąć szklane drzwi. Wsadził ręce do kieszeni dzinsów. Nogawki nadal miał mokre. – Pojedźmy pani samochodem.

Czuła się skrępowana na myśl o wożeniu go swoją celicą, więc skinęła głową w kierunku lincolna Franka. Wyciągnęła kluczyki z kieszeni. Okręg cienko przędł, w związku z czym oboje mieli dzielić się samochodem.

Wcisnęła przycisk, żeby zwolnić blokadę drzwi.

Will nie wsiadł, skrzywił się tylko w odpowiedzi na woń, która rozeszła się w porannym powietrzu.

– Pali pani?

– Frank – wyjaśniła. Smród był intensywniejszy niż zwykle.

Musiał wczoraj wieczorem odpalać jednego za drugim podczas drogi do Macon i z powrotem.

– To samochód komendanta Wallace’a?

Skinęła głową.

– Gdzie w takim razie podziewa się komendant, jeśli jego wóz tu stoi?

Lena zdołała przełknąć zółć, która napłynęła jej do gardła.

– Pojechał radiowozem do szpitala.

Will tego nie skomentował, choć Lena się zastanawiała, czy kolejny minus poszedł na ich konto. Frank wziął radiowóz, żeby nie zatrzymano go po drodze. Przekraczanie prędkości przez policję w sytuacjach nienaglących było wykroczeniem, ale na porządku dziennym wśród gliniarzy.

– Potrafi pani prowadzić nieautomat?

Teraz ona się skrzywiła. Oczywiście, że potrafiła.

– Weźmy mój wóz – zaproponował.

– Żartuje pan?

Lena słyszała o jego porsche, zanim jeszcze dotarła rano na komendę. Całe miasto o nim mówiło: ile musiało kosztować, dlaczego stanowy śledczy jeździ takim autem, a, co najważniejsze, dlaczego całą noc stało przed domem Lintonów.

Will ruszył na koniec parkingu, nie sprawdzając, czy Lena idzie za nim. Skórzana aktówka kołysała się lekko u jego boku, kiedy mówił:

– Ciekawi mnie Allison Spooner. Powiedziała pani, że pochodziła z Alabamy?

– Tak.

– I studiowała na politechnice?

Lena ostrożnie sformułowała odpowiedź.

– Figuruje w rejestrze studentów.

Odwrócił się do niej.

– No, to chyba znaczy, że studiowała.

– To znaczy, że figuruje w rejestrze. Ne rozmawialiśmy jeszcze z jej wykładowcami. Nie wiemy, czy aktywnie uczęszczała na zajęcia. Otrzymujemy dużo telefonów od rodziców o tej porze roku z pytaniami, dlaczego nie dostają kart ocen swoich dzieci.

– Myśli pani, że Allison Spooner wyleciała ze studiów?

Spróbowała nowej taktyki:

– Myślę, że nie powiem panu nic, dopóki nie będę miała pewności, że to całkowita prawda.

Skinął krótko głową.

– W porządku.

Czekała na kolejne pytanie, kolejną insynuację. Ale on szedł dalej z zamkniętymi ustami. Jeśli wydawało mu się, że ta nowa metoda ją złamie, potwornie się mylił. Lena całe życie zmagала się z milczącą dezaprobatą. Do perfekcji opanowała sztukę jej ignorowania.

Wtuliła głowę w ramiona w ochronie przed zimnem. W myślach ciągle analizowała poprzednią rozmowę z Willem. Była tak rozjuszona faktem, że śmiał zająć gabinet Jeffrey'a, że z początku nie bardzo uważała na to, co mówił. Ale potem wyciągnął portfel Allison i zobaczyła, że ze środka zniknęła trzecia fotografia.

Na zdjęciu Allison siedziała obok obejmującego ją w pasie chłopca. Po jej lewej stronie, w pewnej odległości, przycupnęła starsza kobieta. Cała trójka zajmowała ławkę przed klubem studenckim w kampusie. Lena oglądała fotografię wystarczająco długo, by zapamiętać szczegóły. Chłopak był mniej więcej w wieku Allison. Miał naciągnięty na głowę kaptur od bluzy, ale spod niego wystawały brązowe włosy. Cień koziej bródki porastał słabo zarysowany podbródek. Był pulchnawy, jak większość studentów polibudy, od zbyt wielu dni spędzonych w salach wykładowych i

zbyt wielu nocy strawionych na grach wideo.

Kobieta natomiast ewidentnie pochodziła z biednej części miasteczka. Miała czterdzieści kilka lat, może więcej. W przypadku takich twardych, zahartowanych przez życie kobiet po przekroczeniu pewnego wieku trudno było określić, ile lat noszą na karku. Plus jest taki, że przestają się starzeć. Minus, że już wyglądają na setkę. Każda zmarszczka na twarzy nieznajomej zdradzała palaczkę. Utlenione na blond włosy były tak przesuszone, że bardziej przypominały słomę.

Z dowodów zniknął także telefon komórkowy Tommy'ego. Frank znalazł go w tylnej kieszeni spodni chłopca, kiedy obszukiwał Brahama przed zapakowaniem do radiowozu. Jeszcze na ulicy wręczył aparat Lenie. Wsadziła go do plastikowej torebki, opisała i wciągnęła w rejestr dowodów.

Przez noc zdjęcie z portfela Allison i komórka Tommy'ego wyparowały.

Tylko jedna osoba mogła je zabrać: Frank. Marla powiedziała, że grzebał w jej rzeczach wczoraj. Prawdopodobnie spreparował również transkrypt zgłoszenia pod 911. Ale dlaczego? Zarówno zdjęcie, jak i treść rozmowy sugerowały, że Allison miała chłopaka. Może Frank próbuje do niego dotrzeć przed Willem. Powiedział Lenie, że oboje powinni trzymać się prawdy, a przynajmniej wersji najbardziej do niej zbliżonej. Dlaczego zatem działa za jej plecami i szuka innego podejrzanego?

Przetarła powieki. Wiał porywisty wiatr, od którego oczy jej łzawiły, z nosa ciekło. Musiała mieć dziesięć minut, kwadrans tylko dla siebie, żeby to przeanalizować. W obecności Willa mogła co najwyżej zamartwiać się kolejnym pytaniem, które wyjdzie z jego ust.

– Gotowa? – spytał.

Dotarli do porsche. Samochód był starszy, niż się spodziewała, nie miał centralnego zamka. Will otworzył przed nią drzwiczki i wręczył jej kluczyki.

Lena poczuła, jak zalewa ją kolejna fala paniki.

– A co jeśli go rozbiję?



– Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby się pani jakoś powstrzymała.  
– Sięgnął ręką i włożył aktówkę za przedni fotel.

Lena stała jak sparaliżowana. Nie wiedzieć czemu miała wrażenie, że to pułapka.

– Czy coś się stało? – spytał Will.

Ustąpiła. Usiadła na kubełkowym fotelu, który bardziej przypominał półleżankę. Kiedy wyciągnęła stopy do pedałów, łydki znalazły się tylko kilka centymetrów nad podłogą.

Will otworzył drzwiczki od strony pasażera.

– Nie ma pan służbowego wozu? – spytała.

– Szefowa chciała, żebym przyjechał tu jak najszybciej. – Musiał cofnąć fotel, żeby się na nim usadowić. – Regulacja siedzenia jest z przodu – poinformował ją. Sięgnęła ręką i przybliżyła fotel do kierownicy. Will miał dłuższe nogi niż ona, i to o dobre trzy metry. Gdy wreszcie udało jej się namacać stopami sprzęgło i gaz, siedziała niemal wbita w kierownicę.

Trent biedził się z ustawieniem swojego fotela. Odepchnął go na koniec szyny, potem opuścił jak najniżej oparcie, żeby nie uderzać głową o podsufitkę. W końcu usiadł, składając się wielokrotnie jak kawałek orgiami. Czekaając, aż zapnie pasy, zaryzykowała rzut oka na niego. Z wyjątkiem wzrostu wyglądał całkiem przeciętnie. Był szczupły, ale ramiona miał szerokie i muskularne, jakby wiele czasu spędzał na siłowni. Nos ewidentnie został kiedyś złamany, twarz pokrywały niewyraźne blizny, ślady wielu bijatyk.

Nie, zdecydowanie nie był to drugi sort GBI.

– Dobrze – powiedział, usadowiwszy się wreszcie.

Sięgnęła do stacyjki, ale żadnej nie było.

– Po drugiej stronie kierownicy – powiedział i zaraz wyjaśnił: – Rozwiązanie z porsche startujących w Le Mans. Żeby można zapalać silnik jedną ręką i zmieniać bieg drugą.

Lena była wybitnie praworęczna i dopiero po kilku próbach udało jej się przekręcić kluczyk. Silnik zawył, siedzenie pod nią zawibrowało, czuła nacisk sprzęgła na pięcie.

Will ją powstrzymał.

– Może da mu pani kilka minut, żeby się rozgrzał.

Zdjęła stopę z pedału. Popatrzyła na ulicę. Will zaparkował na najdalszym końcu parkingu przodem do drogi. Miała doskonały widok na przychodnię dla dzieci po drugiej stronie. Przychodnię Sary. Zastanawiała się, czy stanął tak rozmyślnie. Wydawało się, że niczego nie robi bez powodu. A może po prostu ona miała już taką paranoję, że nie mogła patrzeć, jak jego pierś opada i unosi się przy oddechu, nie myśląc, że kryje się za tym jakiś przebiegły plan załatwienia jej.

Will zadał jedno ze swoich luźnych pytań.

– Co pani myśli o tym zgłoszeniu pod 911?

Powiedziała prawdę.

– Niepokoi mnie, że dzwoniło z zastrzeżonego numeru.

– Dzwoniąca zgłosiła pozorowane samobójstwo. Dlaczego?

Lena pokręciła głową. To była ostatnia rzecz, która zaprzętała jej teraz głowę.

– Tommy mógł z nią rozmawiać. Może to jakaś koleżanka z pracy. Wspólniczka. Zazdrosna dziewczyna.

– Nie sprawiał wrażenia donżuana.

Nie, to fakt. Podczas przesłuchania Lena prosiła go, by wyrażał się opisowo, bo nie była pewna, czy w ogóle wie, co to jest seks.

– Czy wspominał, że się spotykał z jakąś dziewczyną?

Pokręciła głową.

– Możemy popytać ludzi. Kobieta, która zgłosiła to samobójstwo, musiała co najmniej wiedzieć, że coś jest nie tak. Ewidentnie przygotowywała grunt pod obronę Tommy’ego.

Lena gwałtownie zwróciła głowę w jego stronę.

– W jaki sposób?

– Tym zgłoszeniem. Powiedziała, że Allison pokłóciła się ze swoim chłopakiem. Dlatego się obawiała, że mogła się zabić. Nie wspomniała nawet słowem o Tommym.

Lenie krew się ścięła w żyłach. Zacisnęła dłoń na kierownicy. W przerobionej przez Franka transkrypcji nie było słowa o żadnym chłopaku. Will musiał już wcześniej skontaktować się z dyspozytornią w Eaton. Po co zatem prosił Marłę o nagranie?

Żeby zastawić pułapkę. W którą Lena właśnie koncertowo

wpadła.

Ciągnął jak gdyby nigdy nic.

– Oczywiście będziemy musieli odszukać tego chłopaka.

Prawdopodobnie doprowadzi nas do dzwoniącej. Czy Allison miała u siebie jakieś zdjęcia? Listy miłosne? Komputer?

Zdjęcia. Czy wie już o brakującej fotografii? Lenie tak zaschło w gardle, że nie mogła przełknąć śliny. Pokręciła głową.

Will wyciągnął aktówkę zza fotela. Otworzył zamki. W uszach Leny rozległ się przenikliwy alarm. Dech zamarł jej w piersiach, wzrok się zmącił. Zastanawiała się, czy tak właśnie wygląda napad paniki.

– Hmm – wymruczał Will, grzebiąc w teczce. – Nie wziąłem okularów. – Wyciągnął transkrypt. – Mogłaby pani?

Lenie serce omal nie wyskoczyło z piersi. Will trzymał kartkę w dłoni, jej brzeg trzepotał w powietrzu dobywającym się z kratek nawiewu.

– Dlaczego pan to robi? – spytała niemal szeptem.

Z każdego słowa sączył się strach. Will mierzył ją wzrokiem przez chwilę – dość długą, by miała wrażenie, że obdziera ją z duszy. W końcu wykonał jedno ze swoich firmowych skinień głowy, jakby podjął decyzję. Schował transkrypt z powrotem do aktówki i zamknął zamki.

– Jedźmy do Allison.

Taylor Drive dzieliło od komendy niecałe dziesięć minut drogi, ale wydawało się, że jechali tam całe wieki. Lena była tak spanikowana, że kilka razy zwalniała w obawie, że wymiotuje. Powinna się skupić na Franku, ustalić, ile gwoździ mógł wbić jej do trumny, ale zamiast tego myślała tylko o Tommym Brahamie.

Umarł pod jej dozorem. Był jej aresztantem. Ponosila za niego odpowiedzialność. Nie obszukała go dokładnie przed odprowadzeniem do celi. Zakładała, że skoro jest tępy, brak mu przebiegłości. I kto teraz wyszedł na głupka? Uważała, że chłopak jest zdolny do zabójstwa, ale uznała go za na tyle niegroźnego, że pozwoliła mu wejść do celi z ukrytym ostrym narzędziem. Frank słusznie powiedział – miała szczęście, że Tommy nie zaatakował

nim kogoś innego.

W którym momencie wyjął ten wkład z jej długopisu? Gdy to robił, musiał już wiedzieć, do czego go użyje. Kiedy skończył spisywać swoje przyznanie się, rozplątywał się we łzach. Pudełko z chusteczkami było puste. Lena poszła po kolejne, zostawiając go samego w sali przesłuchań na nie więcej niż pół minuty. Kiedy wróciła, trzymał ręce pod stołem. Wytarła mu nos, jakby był dzieckiem. Starła się go uspokoić, poklepała po ramieniu, powiedziała, że wszystko będzie dobrze. Wydawało się, że jej uwierzył. Wysmarkał nos, osuszył oczy. Wtedy uznała, że pogodził się z losem, ale może innym niż ten, o którym Lena myślała.

Czy to współczucie dla Tommy'ego czy też instynkt samozachowawczy sprawiły, że nie pozbyła się otwieracza do listów, którym chłopiec zranił Brada Stephensa? Wczoraj wieczorem planowała wyrzucić go z jednego z tysięcy betonowych mostów na trasie między Heartsdale a Macon. Ale koniec końców tego nie zrobiła. Leżał nadal w torebce, zagrzebany pod zapasowym kołem w bagażniku jej samochodu. Nie chciała zabierać go do domu. Teraz nie podobało jej się, że jest tak blisko komendy. Frank ingerował w materiał dowodowy, przerabiał go, niszczył, ukrywał. Nie zdziwiłaby się, gdyby posunął się do przeszukania jej samochodu.

Chryste. Do czego jeszcze jest zdolny?

Skręciła w prawo w Taylor Drive. Padający w nocy ulewny deszcz zmył ślady krwi z ulicy. Mimo to ona nadal miała je przed oczyma. I to, jak Brad mrugał, żeby usunąć krople deszczu lejące mu się do oczu. Jak jego skóra zdążyła poszarzeć, zanim helikopter wylądował.

Pojechała na drugi koniec ulicy i stanęła.

– Tutaj Brad został dźgnięty.

– Gdzie jest mieszkanie Spooner? – spytał Will.

Pokazała w górę drogi.

– Cztery domy dalej, po lewej stronie.

Patrzył na ulicę.

– Który numer?

– Szesnaście i pół. – Wrzuciła bieg i ruszyła w kierunku domu Brahamów. – Adres dostaliśmy z uczelni. Przyjechaliśmy tu, żeby zobaczyć, czy uda nam się porozmawiać z jakimś współlokatorem albo właścicielem.

– Mieliście nakaz przeszukania domu?

Już wcześniej zadał to pytanie. Udzieliła mu tej samej odpowiedzi.

– Nie. Nie przyjechaliśmy przeszukiwać domu.

Czekała, żeby zapytał o coś jeszcze, ale Will milczał. Lena zastanawiała się tymczasem, czy to, co mu powiedziała, jest prawdą. Gdyby nawet Tommy’ego nie było w garażu, i tak by do niego weszli. Gordon Braham przebywał poza miastem. Znajac Franka, wiedziała, że najpewniej rozwaliliby zamek i wszedł do środka. Rzuciłby jakąś uwagę o tym, że lepiej jest prosić o wybaczenie niż o zgodę. Nikt nie miałby pretensji o takie małe włamanie, kiedy chodziło o morderstwo młodej dziewczyny.

– Rozmawialiście z sąsiadami? – spytał Will.

Lena zatrzymała się przed domem Brahamów.

– Funkcjonariusze z patrolu rozmawiali. Wersje świadków pokrywają się dokładnie z tym, co się wydarzyło.

– A co dokładnie się wydarzyło?

– Brad został dźgnięty.

– Proszę opowiedzieć przebieg wydarzeń od początku.

Podjechaliście tutaj...

Próbowała wziąć oddech. Płuca wypełniły jej się tylko do połowy.

– Podeszliśmy do garażu...

– Nie – przerwał. – Proszę zacząć od samego początku.

Przyjeżdżacie tu. I co dalej?

– Brad już tu czekał. – Zachowała dla siebie informację o różowej parasolce i napadzie złości Franka.

– Wysiedliście z wozu? – naciskał Will. Serio chciał, żeby zrelacjonowała wszystko krok po kroku.

Otworzyła drzwiczki. Na twarzy lądowały jej leniwe, grube krople deszczu. Will też wysiadł. Powiedziała:

– Ulewa się właśnie uspokoiła. Widoczność była dobra. –

Popatrzyła na podjazd.

Will stanął obok z teczką w dłoni. Widziała, że garaż został oblepiony żółtą policyjną taśmą. Frank musiał wrócić tu wczoraj w nocy. A może wysłał któryś z patroli, żeby oznakował teren, tak by wyglądało, że traktują sprawę poważnie. Nie sposób już było się domyślić, co robi i w jakim celu.

Will otworzył aktówkę i wyciągnął jakiś dokument.

– Kiedy brała pani płaszcz, przyszedł nakaz przeszukania.

Podał go jej. Zobaczyła, że został wydany przez sędziego z Atlanty.

– I co dalej? – spytał. – Rozumiem, że drzwi garażu były zamknięte, kiedy tu przyszlście.

Skinęła głową.

– Staliśmy mniej więcej właśnie tutaj. Wszyscy troje. Światło w oknach się nie paliło. Ani na podjeździe, ani na ulicy nie było samochodu. – Wskazała na skuter. Plastikowe błotniki oblepiało zaschnięte błoto. – Kłódka i łańcuch wydawały się takie same. – Lena patrzyła na skuter, ciesząc się na widok ubłoconych bieżników. Tommy mógł pojechać do lasu na skuterze. Nie zobaczyliby śladów opon, ale ziemia na kołach powinna pasować do tej znad jeziora.

– Pani detektyw?

Lena się odwróciła. Nie dosłyszała jego pytania.

– Czy zapukaliście do frontowych drzwi?

Przeniosła wzrok na dom. Światła nadal były pogaszone. Mały bukietik kwiatów stał oparty o framugę.

– Nie.

Will pochylił się i podniósł metalową bramę garażu. Podjechała do góry z ogłuszającym szcękaniem, który musiało słyszeć pół okolicy. Lena zobaczyła łóżko, stół, porozrzucane kartki i czasopisma. Tuż przy wejściu, w miejscu gdzie Frank upadł, znajdowała się mała kałuża krwi, skuta na wierzchu cienką warstewką lodu. Rana na jego ramieniu musiała być głębsza, niż sądziła. Niemożliwe, żeby pochodziła od noża do listów. Czyżby Frank sam się zranił?

– Czy zastaliście pomieszczenie w takim stanie? – spytał Will.

– Mniej więcej.

Lena skrzyżowała ramiona na piersi. Czuła chłód przenikający przez kurtkę. Powinna była wrócić tu po przesłuchaniu Tommy'ego i poszukać w rzeczach Allison większej liczby wskazówek na poparcie jego wyjaśnień. Teraz było już na to za późno. Najlepsze, co mogła w tej sytuacji dla siebie zrobić, to zacząć myśleć jak detektyw, zamiast się zachowywać jak podejrzany. Gdzieś tutaj Tommy prawdopodobnie ukrył narzędzie zbrodni. Skuter stanowił już dobrą poszlakę. Plama przy łóżku nawet jeszcze lepszą. Chłopak mógł ogłuszyć tu Allison i zabrać ją do lasu, żeby tam zabić. Może chciał ją utopić w jeziorze. Dziewczyna odzyskała przytomność i wtedy dźgnął ją nożem w kark. Mieszkał w Grant od urodzenia. Pewnie setki razy był nad zatoczką. Wiedzialby, gdzie dno opada. Wiedzialby, w którym miejscu porzucić ciało, żeby go łatwo nie znalezione.

Lena odetchnęła. Teraz już mogła oddychać. To trzymało się kupy. Tommy nie powiedział prawdy o tym, jak zabił Allison, ale to zrobił.

Will odchrząknął.

– Cofnijmy się trochę. Wszyscy troje staliście tutaj. Garaż był zamknięty. Dom wyglądał na pusty. I co dalej?

Lena odczekała chwilę, żeby się uspokoić. Opowiedziała, jak Brad zobaczył zamaskowanego intruza w środku, jak okrążył budynek, zanim się rozproszyli, zasadzając na podejrzanego.

Wydawało się, że Will słucha tylko jednym uchem. Stał pod bramą z rękoma założonymi na plecach i lustrował pomieszczenie wzrokiem. Lena opowiadała właśnie, jak Tommy nie chciał opuścić noża, kiedy zauważyła, że Will przygląda się brązowej plamie przy łóżku. Wszedł do środka i przyklęknął, żeby lepiej się przypatrzeć. Obok stało wiadro z brudną wodą, które widziała wczoraj. Pokryta skorupą gąbka leżała nieopodal.

Podniósł na Lenę wzrok.

– Proszę mówić dalej.

Musiała pomyśleć, żeby przypomnieć sobie, na czym skończyła.

– Tommy stał za stołem. – Pokazała głową na przekrzywiony mebel.

– Brama raczej nie podnosi się cicho – zauważył Will. – Czy miał już wtedy nóż w ręku?

Milczała przez chwilę, usiłując sobie odtworzyć, co odpowiedziała, gdy po raz pierwszy zadał to pytanie. Chciał wiedzieć, czy Tommy miał pochwę przy pasie. Chciał wiedzieć, czy od tego samego noża zginęła Allison Spooner.

– Kiedy go zobaczyłam, trzymał już nóż w ręku. Nie wiem, skąd go wziął. Może ze stołu. – Oczywiście, że ze stołu. Na blacie leżała na wpół otwarta koperta – jedna z tych przesyłek reklamowych z kuponami, z których nikt nie korzysta.

– Co jeszcze pani zauważyła?

Wskazała wiadro z brązową wodą przy łóżku.

– Musiał sprzątać. Chyba uderzył ją tu w głowę czy jakoś ogłuszył. Wsadził na skuter i...

– Nie wspominał nic o sprzątaniu w swoich wyjaśnieniach.

Nie, to prawda. Lenie nawet nie przyszło wtedy do głowy, by pytać go o to wiadro. Myślała tylko o Bradzie, o tym, jak szarą miał skórę, gdy ostatni raz go widziała.

– Podejrzani kłamią. Tommy nie chciał się przyznać, jak to zrobił. Zmyślił na poczekaniu historyjkę, która przedstawiała go w lepszym świetle. Normalka.

– Co się stało potem? – spytał Will.

Przełknęła ślinę, usiłując usunąć z głowy obraz Brada, który uporczywie wracał jej przed oczy. – Podeszłam do podejrzanego z prawej strony.

Will otworzył na łóżku aktówkę.

– Pani prawej czy jego?

– Z mojej.

Zamilkła. Will wyjął z teczki podręczny zestaw odczynników. Rozpoznała trzy małe buteleczki, które wypakował z plastikowej torebki. Zamierzał wykonać próbę Kastle'a-Meyera.

Nie naciskał, by mówiła dalej. Wyjął czysty wacik z zestawu. Otworzył pierwszą buteleczkę i za pomocą kropłomierza nasączył



go etanolem. Przytknął wacik do plamy, delikatnie po niej przesuwając, żeby przenieść brązowy materiał. Dodał reagent: fenoloftaleinę z drugiej buteleczki. Lena wstrzymała oddech, kiedy z trzeciego flakonika zakroplił na wacik nadtlenek wodoru. Uczyła się o tej procedurze na zajęciach, sama wykonywała ją setki razy. Jeśli brązowa plama jest krwią, wacik natychmiast powinien zmienić kolor na jaskraworóżowy.

Ale nie zmienił.

Will zaczął składać zestaw.

– I co się stało potem?

Lena nie pamiętała, na czym skończyła. Nie była w stanie oderwać oczu od plamy. Jak to możliwe, że to nie krew? Miała ten sam kształt, tę samą barwę co plama krwi. Tommy był w mieszkaniu ofiary, przeszukiwał jej rzeczy. Ubrany jak włamywacz. Stał pół metra od krwi Allison z nożem w dłoni.

Nie z nożem. Z otwieraczem do listów.

I nie obok krwi.

Will ją ponaglił.

– Czyli pani otoczyła Tommy’ego z prawej. P.o. komendanta Frank Wallace stał po pani prawej stronie.

– Po mojej lewej, pana prawej.

– Czy to wtedy powiedzieliście, że jesteście z policji?

Lena wstrzymała oddech. Będzie musiała go okłamać. Nie mogła oświadczyć, że nie pamięta, bo byłoby to równoznaczne z przyznaniem, że pogwałcili podstawy procedury.

– Pani detektyw?

Wolno wypuściła powietrze. Usiłowała wysilić się na sarkazm.

– Wiem, jak mam wykonywać swoją pracę.

Skinął z powagą głową.

– Mam taką nadzieję. – Zamiast drażnić dalej tę kwestię, odpuścił. – Proszę powiedzieć, co było dalej.

Lena kontynuowała relację, gdy Will obchodził pomieszczenie. Nie było duże, ale zlustrował każdy centymetr. Za każdym razem gdy się zatrzymywał, by przyjrzeć się jakiemuś elementowi – belkom podporowym na tylnej ścianie, kawałkowi metalu

wystajacemu z prowadnicy bramy – serce jej stawało.

Mimo to opowiedziała o ucieczce Tommy'ego na ulicę, pogoni Brada. Dźgnięciu. Lądowaniu helikoptera medycznego.

– Śmigłowiec odleciał, a ja poszłam do radiowozu. Tommy siedział już w środku, skuty. Zawiozłam go na komendę – zakończyła. – Dalej już pan wie.

Will podrapał się po brodzie.

– Ile pani zdaniem czasu minęło od momentu, gdy Tommy panią przewrócił, do chwili kiedy się pani podniosła?

– Nie wiem. Pięć sekund. Dziesięć.

– Uderzyła się pani w głowę?

Lenę nadal bolał siniak na potylicy.

– Nie wiem.

Will stał przy tylnej ścianie garażu.

– Zauważyła to pani?

Musiała się przemóc, żeby wejść do środka. Poszła wzrokiem za jego palcem do otworu w ścianie. Był okrągły, z poszarpanymi brzegami, mniej więcej wielkości pocisku. Bezwiednie obejrzała się na przód pomieszczenia, gdzie wcześniej stał Frank. Trajektoria się zgadzała. Na podłodze nie było żadnych łusek. Modliła się, by Frank miał dość oleju w głowie, żeby poszukać za garażem. Pocisk drasnął ją w rękę i przebił metalowy siding na wylot. Musiał leżeć gdzieś z tyłu budynku, zagrzebany w błocie.

– Czy ktoś strzelał? – spytał Will.

– Ja nie.

Popatrzył na plastry na boku jej dłoni.

– Czyli pani leżała tu. – Podszedł do łóżka i stanął w miejscu, gdzie upadła.

– Zgadza się.

– Podniosła się pani i zobaczyła Franka na podłodze. Leżał twarzą do dołu? Na boku?

– Na boku.

Ruszyła za Willem, który niespiesznie podszedł do wejścia, depcząc po czasopismach rozrzuconych w czasie walki. Mignęło jej zdjęcie starszego modelu mustanga białego w bok toru

wyścigowego.

Will pokazał poszarpany kawałek metalu wystający z przewodnicy bramy.

– Wygląda niebezpiecznie.

Ponownie otworzył aktówkę. Pewną ręką zdjął z niego za pomocą pęsety kilka nitek jasnobrązowego materiału. Frank miał brązowy płaszcz London Fog, który nosił, odkąd Lena go znała.

Will wręczył jej zestaw do próby K-M.

– Jestem pewien, że świetnie sobie pani poradzi.

Ręce jej drżały, gdy brała buteleczki. Wykonała te same czynności co on przed chwilą. Gdy po dodaniu zakraplaczem wody utlenionej wacik zrobił się jaskraworóżowy, nie sądziła, by którekolwiek z nich się specjalnie zdziwiło.

Will się odwrócił i popatrzył na garaż. Słyszała niemal, jak mózg mu pracuje. Ona brała udział w tym, co tu zaszło, więc łatwiej jej było odtworzyć prawdziwy przebieg wydarzeń. Tommy pchnął stół w stronę Leny. Frank spanikował, przestraszył się czy Bóg jeden wie co – w każdym razie nacisnął spust. Spudłował, raniąc Lenę w dłoń. Odrzut glocka go zaskoczył. A może po prostu był już wtedy tak pijany, że sam z siebie stracił równowagę. Lecąc na bok, rozharatał sobie ramię o ostry metal wystający z przewodnicy bramy. Upadł na podłogę. Kiedy Lena wstała, trzymał się za rękę, a Tommy uciekał podjazdem z otwieraczem do listów w dłoni.

Policmajstrzy od siedmiu boleści. Nic, tylko boki zrywać.

Ile Frank wypił wczoraj rano? Siedział w wozie z flaszką, kiedy Lena patrzyła, jak wyciągają Allison z jeziora. W drodze tutaj pociągnął sobie zdrowo ze trzy lub cztery razy. A wcześniej? Ile musiał teraz łyknąć, żeby w ogóle zwlec się z wyrka?

Will milczał. Zebrał wacik, buteleczki i schował do pudełka. Czekala, żeby powiedział coś o miejscu zdarzenia, o tym, co naprawdę tu zaszło. Zamiast tego spytał:

– Gdzie jest łazienka?

Lena miała za duży mętlik w głowie, by powiedzieć coś poza:

– Że co?

– Łazienka.

Pokazał na garaż i zdała sobie sprawę, że ma rację. Pomieszczenie stanowiło jedną kwadratową otwartą przestrzeń. Nie miało łazienki. Nie miało nawet szafy. Umeblowanie było bardziej niż spartańskie: nic poza łóżkiem, które wyglądało jak z demobilu, i składanym stołem z rodzaju tych używanych na kościelnych kiermaszach dobroczynnych. W rogu stał mały telewizor z folią aluminiową na antenie i podłączoną z przodu konsolą Playstation. Rolę komody spełniały metalowe półki przykręcone do ścian. Zwieszały się z nich T-shirty. Dżinsy. Czapki bejsbolowe.

– Czym Tommy tłumaczył fakt, że miał kominiarkę na głowie?

Lena czuła się tak, jakby połknęła garść żwiru.

– Powiedział, że włożył ją, bo było zimno.

– Rzeczywiście, ciepło tu nie jest – zgodził się Will.

Wsadził zestaw odczynników do aktówki. Lena wzdrygnęła się, kiedy z trzaskiem ją zamknął. Odgłos przypominał dźwięk strzału. Albo zatrzaskiwanych drzwi celi.

Te pisma motoryzacyjne. Brudna pościel na łóżku. Brak sanitariatów. W tym zdewastowanym garażu na sto procent nie mieszkała Allison Spooner.

Tylko Tommy Braham.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Zakład pogrzebowy Brocka mieścił się w jednym z najstarszych budynków w okręgu. Zbudowany w stylu wiktoriańskiego zamku, nie wyłączając wieżyczek, został wzniesiony na początku dwudziestego wieku przez człowieka nadzorującego konserwację węzła kolejowego. Późniejsze dochodzenie wykazało, że użył w tym celu funduszy zdefraudowanych z kasy przedsiębiorstwa kolejowego. Zamek został sprzedany na licytacji przed ratuszem Johnowi Brockowi, lokalnemu przedsiębiorcy pogrzebowemu.

Sara słyszała od swojego dziadka Earnshawa, że wszyscy w mieście odetchnęli z ulgą, gdy Brockowie wyprowadzili się z Main Street – zwłaszcza rzeźnik, który miał pecha bezpośrednio z nimi sąsiedować. Piwnicę i parter wiktoriańskiej rezydencji zamieniono na dom funeralny, a górne piętro na pomieszczenia mieszkalne dla właścicieli.

Sara wychowywała się razem z Danem Brockiem. Był niezgrabnym, poważnym chłopcem, jednym z tych dzieci, które lepiej się czują w towarzystwie dorosłych niż rówieśników. Na własne oczy widziała nieustanne kpiny i żarty, jakich ofiarą padał w podstawówce. Szkolne łobuzy używały sobie na nim ile wlezie aż do gimnazjum, kiedy wystrzelił w górę, dobrze przekraczając metr osiemdziesiąt. Był jedynym uczniem wyższym od niej w całej szkole i cieszyła się, że ma go obok.

Mimo to nadal nie mogła na niego spojrzeć, by nie widzieć tego tyczkowego dziesięciolatka, na którego widok dziewczynki w szkolnym autobusie piszczały wniebogłosy, bojąc się zarazić trupim liszajem.

Kiedy Sara wjechała na parking, właśnie kończył się jakiś pogrzeb. Śmierć to zawsze intratny biznes, nawet w czasach najgorszego kryzysu. Wiktoriańska siedziba zakładu była w doskonałym stanie: świeżo odmalowana, z nowym dachem. Sara patrzyła, jak ze środka wylewają się żałobnicy, przygotowując się do drogi na miejsce pochówku.

Na miejscowym cmentarzu znajdował się marmurowy nagrobek z nazwiskiem Jeffreya. Sara zabrała prochy męża do Atlanty, ale jego matka nagle zbigociała i zaczęła się domagać spełnienia ostatniej posługi. Kościół do tego stopnia pękał w szwach podczas nabożeństwa, że otwarto tylne drzwi, by ludzie stojący na schodach słyszeli głos kaznodziei. Potem wszyscy pieszo udali się na cmentarz.

Każda z najbliższych Jeffreyowi osób włożyła do trumny jakąś pamiątkę po przyjacielu, szefie, mentorze. Znalazł się w niej uczelniany program rozgrywek futbolowych z Jeffreyem na okładce dostarczony przez jego przyjaciół z czasów młodości. Eddie dołożył młotek, którego używał Jeffrey, pomagając mu w budowie szopy na podwórzu. Matka umieściła starą patelnię, na której uczyła go smażyć kurczaka. Tessa dorzuciła pocztówkę, którą przysłał jej z Florydy. Uwielbiał się z nią droczyć. Tekst na kartce głosił: Cieszę się, że cię tu nie ma.

Kilka tygodni przed śmiercią Jeffreya Sara podarowała mu egzemplarz pierwszego wydania *Andersonville* MacKinlaya Kantora, opatrzony autografem pisarza. Nie było jej łatwo rozstać się z książką, choć wiedziała, że powinna. Nie mogła pozwolić, by trumna z pamiątkami po Jeffreyu poszła do ziemi bez jej wkładu. Dan Brock siedział u niej w salonie wiele godzin, zanim w końcu zdobyła się na oddanie tomu. Oglądała każdą stronę, przesuwając palcami po miejscach, których dotykał Jeffrey. Dan czekał cierpliwie, w milczeniu, ale kiedy zbierał się do odejścia, płakał tak samo jak Sara.

Wyjęła chusteczkę ze schowka na rękawiczki i otarła oczy. Jeśli nadal pozwoli myślom krążyć wokół tych wspomnień, za chwilę rozryczy się jak dziecko. Kurtka leżała na siedzeniu pasażera, ale

Sara nie zawracała sobie głowy jej wkładaniem. Znalazła klamrę w kieszeni i spięła włosy. Skontrolowała w lusterku poskręcaną szopę. Szkoda, że rano nie nałożyła makijażu. Twarz była blada, piegi na nosie wyraźniejsze niż zazwyczaj. Odsunęła lusterko. Teraz już nic nie mogła z tym zrobić.

Ostatni samochód przyłączył się do konduktu pogrzebowego i odjechał. Sara wyskoczyła z terenówki, o mały włos nie wdepnąwszy w kałużę. Lało. Zasłoniła głowę rękoma, ale bez skutku. W drzwiach zakładu stał Brock i do niej machał. Włosy przerzedziły mu się trochę na czubku głowy, ale ze swoją tyczkowatą posturą przyobleczoną w trzyczęściowy garnitur niewiele się różnił od tego chłopca, którego pamiętała z liceum.

– Witam – uśmiechnął się. – Jesteś pierwsza. Powiedziałem Frankowi, że zaczynamy koło wpół do dwunastej.

– Pomyślałam sobie, że przygotowuję wszystko przed ich przyjściem.

– Zdaje się, że trochę cię ubiegłem. – Posłał jej uśmiech zarezerwowany chyba dla żałobników. – Jak się trzymasz, Saro?

Próbowała odwzajemnić uśmiech, ale nie była w stanie odpowiedzieć na pytanie. Wczoraj w areszcie, kiedy przyjechał, żeby zabrać ciało Tommy'ego, nie bawiła się w uprzejmości i teraz czuła się trochę niezręcznie. Jak zwykle Brock rozładował napięcie.

– Och, chodź do mnie. – Przygarnął ją w niedźwiedzim uścisku. – Wyglądasz wspaniale, Saro. Naprawdę świetnie. Tak się cieszę, że przyjechałaś na święta. Twoja mama musi być wniebowzięta.

– Ojciec jest na pewno.

Cały czas ją obejmując, zaprowadził ją do domu.

– Schowajmy się przed tą pluchą.

– Wow.

Przystanąła w drzwiach i rozejrzała po przestronnym holu. Nie tylko jej rodziców ogarnął ostatnio szal remontowy. Stateczny wystrój wnętrza został wyraźnie zmodernizowany. Ciężkie aksamitne kotary i ciemnozielony dywan zastąpiły rzymskie rolety i stonowany orientalny chodnik przykrywający piękną drewnianą podłogę. Nawet sale pożegnań zostały unowocześnione i nie

przypominały już wiktoriańskich salonów.

– Mamie się nie podoba – stwierdził Dan – czyli musiałem coś zrobić dobrze.

– Wygląda ślicznie. Odwaliłeś kawał dobrej roboty – zapewniła go, domyślając się, że pewnie nie słyszy zbyt wielu komplementów.

– Biznes dobrze się kręci. – Nadal trzymał rękę na jej plecach, prowadząc ją korytarzem. – Muszę przyznać, że sprawa Tommy’ego nie daje mi spokoju. To był dobry dzieciak. Kosił mi trawnik. – Przystanął i popatrzył na Sarę, nagle zatroskany. – Wiem, że ludzie uważają, że jestem naiwny, że za bardzo wszystkim ufam, ale nie wierzę, żeby Tommy mógł zabić.

– Siebie czy tę dziewczynę?

– I to, i to. – Gryzł przez chwilę wargę. – To był pogodny, szczęśliwy chłopak. Sama go przecież znałaś. Złego słowa nikomu nie powiedział.

Sara rzuciła powściągliwie:

– Ludzie sprawiają niespodzianki.

– Chyba swoją ignorancją, kiedy twierdzą, że ponieważ chłopak był oziębiały, to mu po prostu któregoś dnia odbiło i nagle obudziły się w nim mordercze skłonności.

– Masz rację. – Tommy był oligofrenikiem. Ale nie psychopata. Jedno nie miało z drugim nic wspólnego.

– A najbardziej dręczy mnie fakt, że dziewczyna nie została zabita brutalnie. Nie w furii.

– Co masz na myśli?

Wsadził dłoń między guziki kamizelki.

– Można by się po prostu spodziewać czegoś więcej, to tyle.

– Więcej?

Wrócił do kordialnej pozy.

– Posłuchaj. To ty tu jesteś lekarzem. Sama zobaczysz, i to prawdopodobnie znacznie więcej, niż mnie udałoby się kiedykolwiek znaleźć. – Położył jej rękę na ramieniu. – Naprawdę dobrze, że przyjechałaś, Saro. Bardzo się cieszę i kibicuję wam. Nie słuchaj tego, co mówią inni.

Nie spodobało jej się to.



– Komu kibicujesz?

– Tobie i twojemu nowemu facetowi.

– Mojemu nowe...

– W miasteczku aż huczy na wasz temat. Mama wczoraj cały wieczór wisiała na telefonie.

Sara poczuła, jak twarz oblewa jej się pąsem.

– Brock... Dan. On nie jest...

– Ciii – ostrzegł ją. – Sara usłyszała szuranie na schodach nad nimi. Podniósł głos. – Mamo, muszę wyjść teraz na cmentarz zająć się rodziną pana Billinghama. Sara będzie pracowała na dole, więc nie zawracaj jej głowy. Słyszysz?

Głosik Audry Brock był słabiutki, choć Sara podejrzewała, że jego właścicielka przeżyje ich wszystkich.

– Co mówisz?

Znowu podniósł głos, przechodząc od razu do rzeczy.

– Powiedziałem, żebyś nie przeszkadzała Sarze.

Rozległo się coś na kształt „phi”, potem znowu szurganie papci, gdy staruszka wolno wracała do swojego pokoju.

Brock przewrócił oczyma, ale pogodny uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

– Na dole wszystko zostało po staremu. Wrócę za jakąś godzinę, żeby ci pomóc. Czy mam zostawić na drzwiach kartkę dla twojego faceta?

– On... – Urwała. – Sama to zrobię.

– Mój gabinet nadal jest w kuchni. Trochę go przerobiłem. Daj znać, jak ci się podoba. – Pomachał jej, zanim zniknął za frontowymi drzwiami.

Sara poszła na tył domu. Zostawiła torebkę w samochodzie, więc nie miała przy sobie ani kartki, ani długopisu, żeby napisać wiadomość dla Willa. Wiktoriańska kuchnia od zawsze pełniła funkcję biura. Brock wreszcie zdemontował stary zlew i tarę do prania, czyniąc miejsce trochę bardziej stosownym do prowadzonego w nim interesu. We wnękę jadalną została wbudowana wystawa trumien. Na mahoniowym stoliku leżały pieczołowicie rozłożone katalogi wieńców. Biurko Brocka, całe ze

szkła i stali, wydawało się bardzo nowoczesne jak na fakt, że on sam był najstarszą duszą, jaką znała.

Wzięła bloczek kartek samoprzylepnych z podkładki i zaczęła kreślić wiadomość dla Willa, ale nagle się rozmyśliła. Frank też zapowiedział, że się pojawi. Co takiego mogłaby napisać na tym małym skrawku papieru, żeby dać Trentowi znać, dokąd ma się udać, nie wzbudzając jednocześnie podejrzeń komendanta?

Postukiwała długopisem o zęby, idąc do frontowych drzwi. W końcu zdecydowała się na krótkie „Na dole”, pisząc każde słowo w odrębnej linijce. Dla jasności narysowała jeszcze dużą skierowaną w dół strzałkę. Choć to akurat mogło wiele nie pomóc. Każdy dyslektyk jest inny, ale większość z nich wykazuje pewien zestaw cech wspólnych. Najczęstszą stanowi brak orientacji przestrzennej. Nic dziwnego, że Will zabłądził w drodze z Atlanty. Telefon też nie zdałby się na wiele. Mówić dyslektykowi, żeby skręcił w prawo, można z takim samym powodzeniem, co kazać kotu stepować.

Przykleiła kartkę do szyby w drzwiach frontowych. Rano biedziła się potwornie nad wiadomością, którą zostawiła mu za wycieraczką auta: napisała z sześć różnych wersji, z podpisem, bez podpisu. Uśmiechniętą buźkę dodała w ostatniej chwili, żeby dać mu znać, że między nimi wszystko w porządku. Ślepy by zauważył, jak bardzo wcześniej się zdenerwował. Czowała się fatalnie, że postawiła go w takiej żenującej sytuacji. Nigdy nie zdradzała specjalnej predylekcji do tego typu grafik, ale narysowała parę oczu i usta w rogu kartki, zanim włożyła ją w torebkę i za wycieraczkę w nadziei, że Will zinterpretuje ją odpowiednio.

Zostawianie uśmiechniętej buźki na drzwiach domu pogrzebowego wydawało się cokolwiek niestosowne, ale naszkicowała małą postać – parę oczu, wygięte usta – sądząc, że przynajmniej zarobi punkty za konsekwencję.

Parkiet na górze zaskrzypiał, więc pospiesznie potruchtała z powrotem w kierunku kuchni. Zostawiła drzwi do piwnicy szeroko otwarte i zbiegła po schodach, pokonując po dwa stopnie naraz, żeby tylko uniknąć spotkania z matką Brocka. Na dole znajdowały się drzwi antywłamaniowe: czarne metalowe kraty i siatka chroniły

przed wstępem nieupoważnionych osób do sali do balsamowania. Można by myśleć, że nikt raczej nie pchałby się tu bez absolutnej potrzeby, ale wiele lat temu kilku studentów rozwaliło stare drzwi, usiłując ukraść trochę formaldehydu, popularnego środka do chrzczenia kokainy. Sara założyła, że szyfr się nie zmienił. Wstukała w klawiaturę alarmu 1–5–9 i drzwi się otworzyły.

Przestrzeń bezpośrednio za nimi Brock zostawił pustą, by nikt nie zerknął przypadkowo przez siatkę i nie zobaczył czegoś, czego nie powinien. Strefa buforowa miała postać długiego, dobrze oświetlonego korytarza. Na półkach stały najróżniejsze odczynniki, chemikalia i materiały, wszystkie odwrócone etykietami do ściany, by oglądający nie wiedział, na co patrzy. Ostatnią metalową szafkę zapełniały małe pudełka na buty: prochy skremowanych, których nikt jakoś nie odebrał.

Na końcu korytarza Brock umieścił tablicę z napisem, który Sara знаła ze szpitalnego prosektorium: *Hic locus est ubi mors gaudet succurrere vitae.* „To jest miejsce, w którym śmierć się cieszy, mogąc pomóc żywym”.

Wahadłowe drzwi sali do balsamowania były uchylone i podparte starymi cegłami z domu. Sztuczne światło odbijało się od wyłożonych białymi kaflami ścian. Podczas gdy góra domu zmieniła się nie do poznania, dół wyglądał dokładnie tak, jak Sara zapamiętała. Na środku pomieszczenia stały dwa stalowe stoły na kółkach oświetlone z góry lampami przemysłowymi. U stóp każdego stał stolik roboczy z podłączeniem wodno-kanalizacyjnym na obu końcach, żeby ułatwić ewakuację płynów ustrojowych. Brock wyłożył już narzędzia sekcyjne – piły, skalpele, kleszcze i nożyczki. Do przecinania mostka nadal używał sekatora, który Sara nabyła kiedyś w sklepie żelaznym.

Zaplecze pomieszczenia było w całości przeznaczone na usługi funeralne. Obok chłodni znajdowała się taca na kółkach, na której poczesne miejsce zajmował metalowy trokar wykorzystywany do nakłuwania i usuwania organów podczas balsamowania. W rogu stała pompa do balsamacji, wyglądająca jak coś pośredniego między barowym podgrzewaczem do kawy a blenderem. Kaniula

dotętnicza zwieszała się miękko do zlewu. Ciężkie gumowe rękawice leżały na umywalce. Rzeźnicki fartuch. Okulary ochronne. Maska przeciwodpryskowa. Ogromne pudło ligniny do tamowania wycieków.

W pewnym kontraście z tym sprzętem pozostawały suszarka i otwarty zestaw do makijażu leżący na pudle z ligniną. W środku znajdowały się słoiczki z podkładem, cienie do oczu w najróżniejszych kolorach i pomadki do ust. Na wewnętrznej stronie wieczka wytłoczony był napis: Kosmetyki pośmiertne Peason.

Sara wyjęła parę jednorazowych rękawic chirurgicznych z pojemnika przymocowanego do ściany. Otworzyła drzwi chłodni. Powitał ją podmuch zimnego powietrza. W środku znajdowały się trzy ciała, wszystkie w czarnych, zamkniętych na zamek błyskawiczny pokrowcach. Sprawdziła plakietki identyfikacyjne i zlokalizowała zwłoki Allison Spooner.

Jak zwykle zamek pokrowca otworzył się z trudem, zaczepiając się o gruby plastik. Skóra Allison zdążyła nabrać już woskowego, opalizującego odcienia śmierci. Wargi były czarnogranatowe. Kawałki trawy i gałązek przylgnęły do ciała i ubrania. Drobne otarcia naskórka i obrażenia znaczyły usta i policzki. Sara wsunęła rękawiczki i delikatnie odwinęła dolną wargę dziewczyny. Miękki nabłonek znaczyły ślady zębów, w miejscu gdzie twarz Allison została przyciśnięta do ziemi. Ranka zdążyła jeszcze krwawić, zanim nastąpił zgon. Sprawca przytrzymał leżącą ofiarę, żeby zabić.

Ostrożnie obróciła głowę dziewczyny na bok. Stężenie już ustąpiło. Bez trudu mogła dostrzec ziejącą ranę kłutą karku.

Brock miał rację. Dziewczyna nie została zabita brutalnie. Na ciele nie było widać śladów furii, tylko jedno precyzyjne, śmiertelne nacięcie.

Ściągnęła brzegi rany, by odtworzyć prawdopodobne ułożenie w chwili jej powstania. Została zadana nożem o cienkim ostrzu, szerokim na góra dwadzieścia milimetrów i prawdopodobnie nie dłuższym niż dziewięć centymetrów. Kanał wklucia przebiegał skośnie do powierzchni skóry. Dolny biegun wydawał się łukowato

zakrzywiony, co oznaczało, że nóż przekręcono, by zapewnić maksimum obrażeń.

Sara wyciągnęła kurtkę dziewczyny i porównała nacięcie w materiale z raną na karku. Przynajmniej w tej kwestii Lena się nie myliła. Dziewczynę dźgnięto od tyłu. Sprawca był najpewniej praworęczny i bardzo pewny siebie. Cios musiał być szybki i śmiertelny. Rękojeść noża zostawiła zasinienie na skórze dokoła rany. Ten, kto zabił Allison, nie wahał się ani chwili: najpierw wbił ostrze, potem przekręcił je dla lepszego efektu.

To nie było dzieło Tommy'ego Brahama.

Zasunęła zamek pokrowca z taką samą trudnością. Zanim opuściła chłodnię, położyła dłoń na nodze chłopca. Naturalnie on nie poczuł jej dotyku – było za późno, by mogła go pocieszyć – ale sama lepiej się czuła ze świadomością, że to właśnie ona się nim zajmie.

Zsunęła rękawiczki, wrzuciła je do kosza i skierowała się w głąb piwnicy. Znajdowało się tam małe, pozbawione okien pomieszczenie, które pierwotnie służyło za piwniczkę na wino. Od podłogi po sufit wyłożone czerwoną cegłą zostało zaadaptowane przez Brocka na biuro, mimo że panowała tam zdecydowanie niższa temperatura. Sara chwyciła kurtkę wiszącą przy drzwiach, ale szybko zmieniła zdanie, kiedy poczuła woń wody kolońskiej kolegi.

Na biurku leżało tylko pióro i formularze protokołów sekcyjnych. Brock przygotował na dziś dwa zestawy, na każdym przykleił karteczkę samoprzylepną z personaliami, datą urodzenia i ostatnim adresem zameldowania ofiary.

Prawo obowiązujące w stanie Georgia dopuszcza przeprowadzenie sekcji zwłok tylko w określonych okolicznościach. Każdy przypadek śmierci gwałtowej, zgonu w miejscu pracy, śmierci wypadkowej, nagłej i samotnej wymaga dalszych badań. Procedura jest na ogół podobna: podaje się imię i nazwisko zmarłego, wiek, wzrost, masę ciała, przyczynę śmierci. Wykonuje prześwietlenie rentgenowskie. Bada treść żołądka. Waży narządy. Sprawdza tętnice, żyły i zastawki. Odnotowuje się zasinienia,

otarcia naskórka, obrażenia, ślady ugryzień, rozstępy, rany szarpane, blizny, tatuaże, znamiona. Każdy szczegół, ważny czy nie, znaleziony na badanych zwłokach musi zostać odnotowany w formularzu.

Sara wsunęła na nos okulary i popatrzyła na protokoły. Wypełniało się je w większości już po zakończeniu badania, ale na każdej etykietce przyklepionej do wycinka czy próbki musiało się znaleźć jej nazwisko, lokalizacja, właściwa data i czas. Poza tym u dołu każdej strony protokołu musiała znaleźć się ta sama informacja, razem z jej podpisem i numerem licencji. Prawie skończyła drugi zestaw, kiedy usłyszała pukanie do metalowych drzwi.

– Halo? – Głos Willa rozbrzmiał echem po piwnicy.

Potarła oczy, czując się tak, jakby dopiero co obudziła się z drzemki.

– Już idę. – Wstała od biurka i ruszyła w stronę schodów.

Will stał po drugiej stronie zabezpieczonych szyfrem drzwi.

Otworzyła je.

– Czyli moje liściki zadziałały.

Rzucił jej uważne spojrzenie, niemal ostrzeżenie.

Pokazała mu gestem, by wszedł do sali sekcyjnej.

– Wypas – powiedział, omiatając wzrokiem pokój. Ręce trzymał w kieszeniach. Zobaczyła, że džinsy ma mokre i zabłocone.

– Jak poszło dziś rano? – spytała.

– Dobra wieść jest taka, że ustaliłem, gdzie zginęła Allison. –

Opowiedział jej o wypadku w las. – Mieliśmy szczęście, że deszcz wszystkiego nie zmył.

– Krew ma pięć razy większą lepkość niż woda. Miną tygodnie, zanim ziemia ją odfiltruje, a głowę daję, że ten dąb zachowa ją przez lata. – Wyjaśniła: – Osocze ulegnie rozpadowi, ale globuliny i inne białka zachowują się w fazie koloidalnej.

– Tak właśnie sobie myślałem.

Uśmiechnęła się.

– A jaka jest zła wieść?

Oparł się dłonią o stół sekcyjny, ale zaraz ją cofnął.

– Zrealizowałem nakaz przeszukania na niewłaściwej nieruchomości i skaziłem dowody.

Sara nic nie powiedziała, ale na jej twarzy musiało się malować zdziwienie.

– W garażu mieszkał Tommy, nie Allison. Nakaz przeszukania, który załatwiła Faith, opiewał na garaż. Cały materiał dowodowy, który tam znalazłem, jest skażony błędem formalnym. Wątpię, czy sąd go dopuści.

Stłumiła smutny śmiech. Przynajmniej zobaczył na własne oczy, jak Lena potrafi spartolić wszystko, czego się dotknie.

– A co znalazłeś?

– Nie masę krwi, jeśli o to ci chodzi. Frank Wallace zranił się przy wejściu. Plamę na posadzce przy łóżku prawdopodobnie zostawiła Pippy, suczka Tommy'ego, próbując wyrzygać czy wykaszleć skarpetkę.

Sara się wzdrygnęła.

– Nadal myślisz, że Tommy to zrobił? Treść jego wyjaśnień nie pokrywa się z faktami.

– Lena teraz pracuje nad teorią, że zabrał Allison do lasu na skuterze i tam zabił. Podejrzewam, że musiał siedzieć na tych pustakach, tak jak się sadza na książkach małe dziecko przy stole.

– Brzmi bardzo przekonująco.

– Prawda? – Podrapał się po brodzie. – Zbadałaś już ciało Allison?

– Zerknęłam wstępnie na ranę. Napastnik stał z tyłu. Zwykle rany od noża okolic szyi są zadawane od tyłu, ale na ogół mają charakter ran kłuto-ciętych: ostrze biegnie przez część przednią, czyli szyję właściwą, co czasami skutkuje częściową dekapitacją. Allison została dźgnięta od tyłu, ostrze weszło w okolice karkową, kanał rany drąży skośnie ku przodowi. To było jedno pchnięcie, doskonale wyliczone, niemal jak na egzekucji, potem jeszcze dla pewności sprawca obrócił nóż.

– Czyli zginęła od rany kłutej?

– Nie mogę powiedzieć nic pewnego, dopóki jej nie otworzę.

– Ale masz już jakieś zdanie.

Sara nie lubiła formułować opinii, dopóki nie miała mocnych dowodów medycznych na jej poparcie.

– Nie chcę wysnuwać pochopnych wniosków.

– Jesteśmy tutaj tylko we dwoje. Obiecuję, że nikomu nie powiem.

Miała mglistą świadomość, że ustąpiła zbyt szybko, niż powinna.

– Kąt zadania rany miał spowodować szybką śmierć. Jeszcze jej nie otworzyłam, więc nie jestem pewna...

– Ale?

– Wygląda na to, że pochwątka i pęczek naczyń szyjnych zostały przecięte, czyli mówimy o jednoczesnym przerwaniu tętnicy szyjnej wspólnej i najprawdopodobniej żyły szyjnej wewnętrznej.

Przebiegają obok siebie, o tak. – Ustawiła razem palce wskazujące.

– Tętnica pompuje utlenioną krew z serca do głowy i szyi. Żyła szyjna działa zgodnie z prawem grawitacji. Odprowadza odtlenowaną krew z twarzy, jamy czaszki i szyi przez żyłę próżną górną do serca i płuc, gdzie jest ponownie utleniana i cały proces zaczyna się od nowa. To jasne?

Will skinął głową.

– Tętnice to rury dopływowe, żyły kanały odpływowe. Układ zamknięty.

– Właśnie – zgodziła się, przyznając mu dodatkowe punkty za analogię hydrauliczną. – Tętnica ma mięśnie, które kurcząc się i rozkurczając, kontrolują przepływ krwi. Jeśli przetnie się ją na pół, kurczą się, a naczynie zwija jak przerwany pasek gumy. To pomaga zatamować wypływ krwi. Ale jeśli tylko się ją natnie bez przecinania, ofiara wykrwawia się na śmierć, z reguły bardzo szybko. Mówimy tu o sekundach, nie o minutach. Krew tryska, ranny panikuje, serce przyspiesza, krew tryska jeszcze szybciej, i następuje zgon.

– Gdzie się znajduje tętnica szyjna?

Przyłożyła palce po obu stronach tchawicy.

– Po każdej stronie biegnie jedna. Muszę wypreparować szyję, żeby dokładnie zbadać kanał rany, ale wygląda na to, że ostrze przeszło tędy, wchodząc gdzieś na wysokości szóstego kręgu



szyjnego i drażąc do góry, w kierunku kąta zuchwy.

Patrzył na jej szyję.

– Jak trudno zadać taki cios od tyłu?

– Allison była bardzo drobnej budowy. Szyję ma szerokości mojej dłoni. W okolicy karkowej jest raczej tłoczno: mięśnie, naczynia krwionośne, kręgi. Sprawca musiał się chwilę skupić, żeby dobrze wymierzyć i trafić w pożądane miejsce. Proste pchnięcie od tyłu nie załatwiłoby sprawy. Ostrze musiało iść do góry skosem w bok. Jeśli wprowadzi się odpowiedni nóż pod właściwym kątem, szanse, że otworzy się jednocześnie tętnicę i żyłę, są całkiem spore.

– Odpowiedni nóż?

– Szacuję, że brzeszczot miał od dziewięciu do dziesięciu centymetrów.

– Czyli mówimy o nożu kuchennym?

Ewidentnie miary nie były jego specjalnością. Pokazała mu odpowiednią długość za pomocą palca wskazującego i kciuka.

– Dziewięć centymetrów. Pomyśl o grubości jej szyi. Albo mojej, jeśli już o to idzie. – Sara przyłożyła miarkę z palców do swojej szyi.

– Gdyby brzeszczot był dłuższy, przeszedłby na wylot.

Skrzyżowała ramiona. Nie potrafiła powiedzieć, czy był zadowolony czy zirytowany z powodu tej wizualnej pomocy.

– A jak szerokie było ostrze? – spytał.

Zmniejszyła odległość między palcem wskazującym a kciukiem.

– Półtora centymetra? Dwa? Skóra jest elastyczna. Allison walczyła. Dolny biegun rany jest szerszy, czyli sprawca wbił nóż po rękojeść i przekreślił, żeby spowodować maksimum zniszczeń.

Jestem pewna, że nie było szersze niż dwa i pół centymetra.

– Czyli wygląda na duży scyzoryk.

Sara uznała, że – biorąc pod uwagę ślad po rękojeści na skórze – pewnie ma rację, ale powiedziała:

– Naprawdę muszę obejrzeć ranę w lepszym oświetleniu niż to w chłodni.

– Czy ostrze było ząbkowane?

– Nie wydaje mi się, ale pozwól, proszę, że zbadam ranę *in situ*, wtedy będę mogła ci odpowiedzieć na każde pytanie.

Gryzł wargę, ewidentnie analizując to, co już usłyszał.

– Żeby przebić skórę, wystarczy nacisk niecałego kilograma.

– Pod warunkiem, że nóż jest kończysty i odpowiednio ostry, a pchnięcie zdecydowane.

– Myśliwy wiedziałby, jak to zrobić.

– Myśliwy, lekarz, tanatopraktor, rzeźnik. – Czują się w obowiązku dodać: – Albo każdy z dobrą wyszukiwarką. W Internecie jest zatrzęsienie wykresów anatomicznych. Kwestia ich dokładności pozostaje może dyskusyjna, jednak ten, kto to zrobił, wykazał się umiejętnościami. Przepraszam, że w kółko do tego wracam, ale iloraz Tommy’ego wynosił osiemdziesiąt. Dwa miesiące trwało, zanim nauczył się wiązać buty. Naprawdę sądzisz, że mógł popełnić taką zbrodnię?

– Nie lubię spekulować.

Powtórzyła to, co powiedział jej przed chwilą.

– Jesteśmy tutaj tylko we dwoje. Nikomu nie powtórzę.

Nie poddał się tak łatwo jak ona.

– Czy Tommy polował?

– Wątpię, żeby Gordon dał mu broń do ręki.

Minęła chwila, zanim zadał kolejne pytanie.

– Czemu sprawca jej po prostu nie utopił? Stała tuż nad jeziorem.

– Temperatura wody musiała być bliska zera. Zachodziło ryzyko walki. Allison mogła krzyczeć. Mój dom stoi... stał na drugim brzegu, mimo to czasami, przy dobrym wietrze, dolatywały mnie dźwięki muzyki dochodzące z Cypla Kochanków, śmiech młodzieży. Na pewno cała masa ludzi usłyszałaby wrzaski młodej dziewczyny wzywającej pomocy.

– A nie łatwiej byłoby w takim razie przeciąć gardło z przodu?

Skinęła głową.

– W przypadku przecięcia tchawicy ofiara nie byłaby w stanie mówić, a tym bardziej krzyczeć.

– Kobiety często używają noży – zauważył Will.

Wcześniej Sara nie brała pod uwagę takiej możliwości, ale cieszyła się, że Will myśli nie tylko o Tommym.

– Allison była drobnej budowy. Kobieta mogłaby ją obezwładnić,

zabić i zanieść do wody.

– Sprawca był prawo- czy leworęczny?

– Cóż. – Sara chciała spytać, czy to ma jakieś znaczenie dla osoby, która sama nie jest w stanie dostrzec różnicy. – Zakładam, że praworęczny. – Uniosła prawą dłoń. – Napastnik prawdopodobnie znajdował się nad Allison, może stał lub siedział na niej okrakiem, wbijając ostrze. – Urwała. – Właśnie dlatego nie lubię takiego gdybania. Muszę zbadać żołądek i płuca. Jeśli znajdziemy w nich wodę z jeziora, będzie to znaczyło, że w momencie zadania ciosu leżała twarzą do dołu w wodzie.

– Wiedza, czy znajdowała się wtedy w wodzie czy błocie, będzie kluczowa dla śledztwa.

Sara zmarszczyła czoło.

– Usiłuje się pan tu wyzłośliwiać, agencie Trent?

– Zważywszy na sposób sformułowania pytania, powinienem chyba zaprzeczyć.

Roześmiała się.

– Mądra decyzja.

– Dziękuję, pani doktor. – Rozejrzał się po pomieszczeniu i zadrżał. – Zimno tutaj. Nie zmarzłaś?

Uświadomiła sobie, że jest ubrany w te same rzeczy co wczoraj, z wyjątkiem czarnego podkoszulka, który zmienił na biały.

– Nie zabrałaś ze sobą płaszcza?

Pokręcił głową.

– Jestem w fatalnej sytuacji ubraniowej. Będę musiał dziś wieczorem skorzystać z pralki i suszarki twojej matki. Myślisz, że będzie miała coś przeciwko temu?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Miałaś dzisiaj jakieś wieści od Franka Wallace'a?

Zaprzeczyła.

– Zaczyna mnie już trochę irytować fakt, że nie był łaskaw pokazać się na komendzie. Czy zawsze zrzuca na Lenę najgorszą robotę?

– Nie wiem, jak teraz wygląda ich współpraca. Kiedyś Lena krążyła między Frankiem a moim mężem, w zależności od tego, kto

akurat bardziej jej potrzebował.

– Zastanawiam się po prostu, czy z nim współdziała, czy też każde z nich usiłuje upiec własną pieczeń. – Will wskazał na stół. – Mogę ci jakoś pomóc?

– A nie brzydzisz się?

– Tylko szczurów i wymiocin.

– Chyba żadna z tych rzeczy nam nie grozi. – Sara chciała już zacząć, żeby nie siedzieć tu potem do północy. – Pomożesz mi przenieść Allison na stół?

Koleżeńskie żarty szybko zamieniły się w poważniejszą współpracę. W ciszy przewieźli stół do chłodni i przenieśli na niego ciało. W podłodze znajdowała się wbudowana waga. Cyfrowy wyświetlacz uwzględniał z góry ciężar stołu, który Sara wprowadziła na płytę. Allison Spooner ważyła czterdzieści sześć kilogramów.

Kiedy Sara włożyła rękawiczki chirurgiczne, Will poszedł za jej przykładem. Pozwoliła, by pomógł jej rozsunąć zamek pokrowca i przetoczyć ciało najpierw na prawo, później na lewo, by wysunąć czarny plastik spod spodu. Później trzymał jeden koniec taśmy mierniczej, kiedy mierzyli długość zwłok.

– Sto sześćdziesiąt centymetrów. Metr sześćdziesiąt – stwierdził.

– Muszę to zapisać.

Sara wiedziała, że nie ma szans, by wszystko spamiętała. Na ścianie nad wagą wisiała biała tablica, obok przymocowany na sznurku marker. Zapisała nim masę i długość ciała. Potem jeszcze dla porządku dodała wiek, płeć, rasę i kolor włosów. Korzystając z faktu, że oczy dziewczyny były otwarte, zanotowała, że są brązowe.

Kiedy się odwróciła, zobaczyła, że Will spogląda na cyfry. Użyła skrótów, z których rozszyfrowaniem miałyby problem nawet w pełni piśmienna osoba. Pokazała na litery.

– Data urodzenia, masa ciała, długość...

– Rozumiem – rzucił szorstkim tonem.

Ugryzła się w język, żeby nie powiedzieć, że przymykanie oczu na problem go nie rozwiązuje, że to głupio ze strony Willa tak się wstydzić. Całe życie ukrywał swoją dysleksję i próba zmuszenia go,

by spojrzeć prawdzie w oczy akurat w piwnicy zakładu pogrzebowego, miała małą szansę to zmienić. Nie wspominając już, że to nie była Sary sprawa.

Podeszła do wysokiej szafki obok biura, zakładając, że Brock nadal trzyma sprzęt w tym samym miejscu.

– Cholera – wymamrotała.

Aparat i szkła leżały wyłożone na dwóch pokrytych aksamitem półkach. Wybrała obiektyw.

– Nie bardzo wiem, jak to się składa.

– Pozwolisz, że spróbuję?

Nie czekał na odpowiedź. Wziął od niej obiektyw, przypiął go do korpusu, potem zainstalował jeszcze lampę błyskową i metalową prowadnicę do mierzenia odległości. Wcisnął kilka przycisków, dopóki wyświetlacz się nie zapalił, potem przesunął ikonki, aż znalazł tę, której szukał.

Sara skończyła dwa fakultety i specjalizację, ale prędzej zobaczyłaby swoje ucho, niż wykoncypowała, co zrobić z aparatem. Ciekawość wzięła górę nad wcześniejszym postanowieniem.

– Badał cię ktoś kiedyś?

– Nie. – Stał za jej plecami i trzymając przed nią aparat, instruował: – Tutaj masz zbliżenie. – Przełączył przycisk.

– Prawdopodobnie mógłbyś...

– Tu jest makro.

– Will...

– Supermakro. – Zagadywał ją w ten sposób, dopóki się nie poddała. – Tutaj ustawiasz balans bieli. Tu światło. Stabilizator obrazu. Redukcję czerwonych oczu. – Przełączał kolejne funkcje niczym instruktor fotografowania.

W końcu ustąpiła.

– Może ja będę pokazywała, a ty rób zdjęcia?

– Dobrze. – Mięśnie miał napięte i widziała, że jest zirytowany.

– Przepraszam, że...

– Nie przepraszaj.

Sara patrzyła mu w oczy jeszcze przez chwilę, chcąc to jakoś naprawić. Nie mogła jednak nic zrobić, skoro nawet nie pozwolił się

przeprosić.

– Zaczynamy – powiedziała.

Obfotografowali Allison Spooner od stóp do głowy: ocieplaną kurtkę, ranę karku, materiał przecięty w miejscu wejścia ostrza. Ślady zębów na wewnętrznej stronie wargi.

Podwinęła rozerwane dzinsy, ukazując kolano, na którym widniała rana w kształcie półksiężyca z wiszącym oddzielnym płatem skóry. Dokoła widniało ciemne zasinienie.

– Tego typu rany darte powstają w wyniku urazu narzędziem tępym, tępokrawędzistym. Prawdopodobnie upadła całym ciężarem na coś twardego, na przykład kamień. Siła uderzenia spowodowała przerwanie powłok.

– Możemy zerknąć na nadgarstki?

Rękawy kurtki marszczyły się dokoła dłoni dziewczyny. Sara podciągnęła je do góry. Will wykonał kilka zdjęć.

– Otarcia od więzów?

Pochyliła się, żeby obejrzeć je z bliska. Zerknęła na drugi nadgarstek. Przez skórę przeświecały niebieskie żyły, a w miejscach gdzie skrzepy uniemożliwiły odpływ krwi, czerwone pasma.

– Ciało topielców zaczynają unosić się na wodzie mniej więcej od dwóch godzin do dwóch dni od chwili utonięcia. Procesy gnilne pojawiają się bardzo szybko, gdy tylko ustaje praca płuc i serca, zaczyna się rozkład. Z jelit wypływają bakterie. Wytwarzają się gazy gnilne, zwiększając zdolności pływne ciała. Ale obciążenie pustakami zapobiegłoby wypłynięciu zwłok Allison na powierzchnię. Zimna woda opóźniłaby rozkład. Nie wiem, jaka była temperatura jeziora, możemy jednak założyć, że bliska zera. Ciało pewnie leżało twarzą do dołu z rękoma wyciągniętymi niżej, może opartymi o dno. Plamy opadowe pojawiły się na palcach, rozlały na nadgarstki. Myślę, że można je pomylić ze smugowatymi otarciami od więzów. Rano, kiedy ją wyłowiono, było jeszcze ciemno. – Sara nie mogła już dłużej tłumaczyć Franka. – Bogiem a prawdą, kiedy Frank wspomniał o nich po raz pierwszy, pomyślałam, że kłamie.

– Ale po co miałyby to robić? – zdziwił się Will. – Rana kłuta

karku jest wystarczającym dowodem śmierci gwałtownej.

– O to będziesz musiał spytać Franka.

– Będę musiał zadać mu wiele pytań, jeśli w ogóle kiedyś się pojawi.

– Pewnie jest u Brada. Zna go od małego. Jak my wszyscy tutaj. Will skinął tylko głową.

Sara przyłożyła linijkę do nadgarstka, by mógł zrobić zdjęcie, potem odwróciła dłoń. Na wewnętrznej stronie w zgięciu ręki znajdowała się cienka blizna. Sprawdziła drugą kończynę.

– Kiedyś próbowała się zabić. Żyletką, może ostrym nożem.

Powiedziałabym, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

Will przyglądał się wypukłym białym szramom.

– Jaki był Tommy?

Sarę trochę zaskoczyło to pytanie, bo skupiała się teraz na dziewczynie. Ale niewiele spała w nocy. Miała mnóstwo czasu, by myśleć o młodym Brahamie.

– Pogodny – powiedziała. – Uśmiech nie schodził mu z ust.

Nawet gdy źle się czuł.

– A widziałaś kiedyś, żeby się złościł?

– Nie.

– Często zdarzały mu się złamania kości, siniaki na ciele?

Pokręciła głową, świadoma, do czego Will zmierza.

– Gordon był w stosunku do niego bardzo łagodny. Zezłościł się naprawdę tylko raz, kiedy Tommy zjadł całą tubkę pasty.

Will uśmiechnął się ciepło.

– Kiedyś sam się nią zajadałem. – Trzymał aparat u boku. –

Ciekawy jestem, czy nadal tak dobrze smakuje.

Roześmiała się.

– Radzę nie sprawdzać. Tommy odchorował to ładnych kilka dni.

– Nie powiedziałaś mi, że Lena została zgwałcona – rzucił ni stąd, ni zowąd, zbijając Sarę z pantałyku, co zapewne właśnie chciał osiągnąć.

– To było dawno temu.

– Faith wygrzebała info w sieci.

Sara krzątała się przy tylnej szafce, wyciągając belę brązowego

papieru spod spodu, żeby rozłożyć na nim ubrania.

– A to ma jakieś znaczenie?

– Nie wiem. Zastanawia mnie, dlaczego przemilczałaś ten fakt.  
Rozłożyła papier.

– Mnóstwo kobiet zostało zgwałconych. – Podniosła na niego wzrok, kiedy nie odpowiedział. – Nie żałuj jej, Will. Do perfekcji opanowała sztukę wzbudzania współczucia.

– Myślę, że ubolewa nad tym, co się stało Tommy'emu.

Sara pokręciła głową.

– Nie doszukuj się w niej dobra. Ona nie jest normalna. Nie ma w niej śladu ludzkich uczuć.

Mówił, uważnie dobierając słowa i patrząc znacząco na Sarę.

– Spotkałem w życiu wiele naprawdę złych osób.

– Mimo to...

– Nie uważam, by Lena była całkowicie wyzuta z serca. Myślę, że jest pełna gniewu, autodestrukcyjna i czuje się jak w potrzasku.

– Kiedyś też tak sądziłam. I było mi jej żal. Póki nie doprowadziła do śmierci mojego męża.

Niewiele już mogła po tym powiedzieć. Rozpięła koszulę Allison i dalej ją rozbierała. Will zmienił kartę pamięci i robił zdjęcia, gdy prosiła. Sama przykryła ciało czystym białym prześcieradłem. Po niedawnym pełnym życzliwości milczeniu nie został nawet ślad. Atmosfera w pomieszczeniu zrobiła się napięta i Sara czuła, że zaczyna ją boleć głowa. Była zła na siebie, że tak to sobie bierze do serca. Will Trent nie był jej przyjacielem. Jego dysleksja, dziwaczne poczucie humoru, brudne ubrania – to wszystko nie powinno ją interesować. Miał tylko wykonać tu swoją pracę, a potem wrócić do żony.

Z holu dobiegło trzaśnięcie metalowych drzwi. Kilka chwil później do sali wszedł Frank Wallace, niosąc tekturowe pudło. Włosy miał mokre od deszczu, a na sobie długi trencz i parę skórzanych rękawiczek.

– Komendancie Wallace – odezwał się Will. – Miło pana wreszcie poznać. Zaczynałem już podejrzewać, że mnie pan unika.

– Powie mi pan, czemu wysłał połowę moich ludzi, żeby szukali



wiatru w polu w tej ulewie?

– Zakładam, że słyszał pan już, że znaleźliśmy miejsce, gdzie zginęła Allison Spooner?

– A zbadał pan już krew? Może należeć do jakiegoś zwierzęcia.

– Tak, zbadałem ją na miejscu. To ludzka krew.

– Dobra, no więc zabił ją w lesie.

– Na to wygląda.

– Odwołałem poszukiwania. Możesz pan sobie sprowadzić własną ekipę do przeczesywania skrawka błocka.

– Świetny pomysł, komendancie. Chyba ją wezwę.

Frank ewidentnie skończył z Willem. Upuścił pudełko u stóp Sary.

– Tu są wszystkie dowody, które mamy.

Wstrzymała oddech, dopóki się nie odsunął. Wionął od niego kwaśny odór potu i papierosów zmieszany z wonią płynu do ust.

– Poleciałem detektyw Adams porozmawiać z sąsiadami i nauczycielami Allison – oznajmił Will. – Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu, komendancie.

– A rób pan sobie z Adams, co chcesz – burknął Frank. – Ja umywam już od niej ręce.

– Pojawił się jakiś problem?

– Inaczej byś się pan tu nie fatygował. – Frank zakaszłał w rękawiczkę. Sara wzdrygnęła się na ten odgłos. – Lena spieprzyła to koncertowo od początku do końca. Nie zamierzam jej dłużej kryć. Jest złą policjantką. Lekceważy obowiązki. Zginął przez nią człowiek. – Rzucił Sarze wymowne spojrzenie. – Kolejny.

Poczuła, jak oblewa ją fala gorąca i zimna jednocześnie. Frank mówił to wszystko, co tak bardzo chciała usłyszeć – w co w głębi serca wierzyła – ale w jego ustach brzmiało to nieczysto. Wykorzystywał śmierć Jeffrey'a, podczas gdy ona chciała ją pomścić.

– Lena poinformowała mnie, że rozmawiał pan wczoraj wieczorem z Lionelem Harrisem – powiedział Will.

Nagle Frank jakby stracił rezon.

– Lionel nic nie wie – rzucił nerwowo.

– Ale może mieć informacje na temat życia osobistego denatki.  
– Stary Harris dobrze go wychował. Lionel ma dość rozumu, by nie szukać guza, pętając się wokół białej dziewczynki z college’u.  
Sara poczuła, jak opada jej szczęka.

Frank zbył jej szok wzruszeniem ramion.

– Dobrze wiesz, co mam na myśli, kwiatuszku. Niewiele może łączyć sześćdziesięcioletniego czarnego z dwudziestojednoletnią białą dziewczyną. Przynajmniej jeśli ten pierwszy ma ciut oleju w głowie. – Skinął głową w kierunku ciała Allison. – Co ustaliłaś?

Sara nie była w stanie wydobyć głosu, żeby mu odpowiedzieć.

– Rana kłuta karku – podrzucił Will. – Nie znamy jeszcze przyczyny śmierci.

Zerknął na Sarę. Potwierdziła skinieniem głowy jego kłamstwo, choć nadal nie mogła się otrząsnąć z szoku po słowach Franka. W obecności jej rodziców nigdy się w ten sposób nie wypowiadał. Eddie natychmiast pokazałby mu drzwi, jeśli nie ubiegłaby go Cathy. Sara chciała złożyć to na karb jego wyczerpania. Bez wątpienia wyglądał jeszcze gorzej niż wczoraj. Każda część garderoby, jaką miał na sobie, począwszy od taniego garnituru, a skończywszy na płaszczu, była jak psu z gardła wyjęta, zupełnie jakby spał w ubraniu. Skóra na twarzy wisiała, oczy świeciły niezdrowo w prosektoryjnym świetle. I nadal nie zdjął skórzanych rękawiczek.

Will przerwał ciszę.

– Komendancie, skończył pan już raport z incydentu w garażu?

Frank zacisnął mocniej szczękę.

– Pracuję nad nim.

– Mógłby pan zrelacjonować mi z grubsza wydarzenia? Tylko najważniejsze. Ze szczegółami zapoznam się, gdy już dostanę pański raport.

Frank przybrał szorstki ton, nie pozostawiając wątpliwości, że nie lubi być przesłuchiwany.

– Tommy stał w garażu z nożem w ręku. Kazaliśmy mu go odłożyć. Nie posłuchał.

Sara czekała na więcej, ale to Will nacisnął:

– I co się stało potem?

Frank po raz kolejny wzruszył niezdolnie ramionami.

– Dzieciak spanikował. Zepchnął Lenę z drogi. Ruszyłem jej na pomoc. Rzucił się w moją stronę z nożem, zranił mnie. I ani się obejrzałem, a grzał już podjazdem. Brad pognął za nim. Powiedziałem Lenie, żeby też ruszyła tyłek. – Urwał. – Nie spieszyła się, to pewne.

– Zawahała się?

– Ona zwykle bierze nogi za pas, gdy tylko grunt zaczyna się jej pod nimi palić.

Zerknął na Sarę, jakby oczekiwał potwierdzenia. Z jej doświadczenia wynikało coś wprost przeciwnego. Lena zawsze stawała jak najbliżej ognia. To był najlepszy punkt obserwacyjny, żeby patrzeć, jak inni płoną.

– Poczłapała za nimi – ciągnął Frank. – Brad przypłacił to zdrowiem.

Will położył dłoń na krawędzi blatu i oparł się o szafkę. Niewątpliwie miał dosyć osobliwy styl przesłuchiwania. Gdyby włożyć mu w dłoń butelkę piwa, mógłby równie dobrze gawędzić o futbolu przy grillu.

– Czy padły jakieś strzały?

– Nie.

Wolno skinął głową, przeciągając kolejne pytanie.

– Czy kiedy otworzyliście drzwi garażu, Tommy miał już nóż w ręce?

Frank się nachylił i wyciągnął z pudła torebkę na dowody.

– Ten.

Will nie wziął torebki, więc Sara to uczyniła. Tkwiący w środku dwusieczny nóż myśliwski miał ostrze z jednej strony ząbkowane, z drugiej gładkie i dużą rękojeść. Brzeszczot był długi na co najmniej dwanaście centymetrów, szeroki prawie na cztery. Cud, że Brad jeszcze żył. Niewiele myśląc, wypaliła:

– To nie jest nóż, od którego zginęła Allison.

Will wziął od niej broń i spojrzał na Sarę tak, jak pewnie nieraz patrzono na Tommy'ego Brahama. Zwrócił się do Franka:

– Wygląda na nowy.

Frank rzucił pobieżnie okiem na nóż.

– I co z tego?

– Tommy był miłośnikiem noży?

Komendant znowu skrzyżował ręce na piersi. Na czole wykwitła mu kropelka potu. Mimo chłodu panującego w piwnicy wydawało się, że się gotuje w płaszczu i rękawiczkach.

– Najwyraźniej miał co najmniej dwa, skoro tym, jak powiedziała doktorka, jej nie zabił.

Sara miała ochotę zapaść się pod ziemię.

– Co kazało wam podejrzewać, że był zamieszany w zabójstwo Allison? Nie licząc noża, który trzymał w ręce.

– Był w jej mieszkaniu.

Will nie zaoponował, ale Sara się zorientowała, że uzyskał odpowiedź na swoje wątpliwości. Jeśli Lena rozmawiała z Frankiem, nie wspomniała mu, że to Tommy mieszkał w garażu, nie Allison.

Frank najwyraźniej stracił cierpliwość.

– Słuchaj, synu, ciągnę ten wózek już kawał czasu. Są tylko dwa powody, dla których mężczyzna robi coś takiego kobiecie: seks i seks. Tommy się przyznał. Po co dalej się w tym babrać?

Will się uśmiechnął.

– Doktor Linton, wiem, że nie przeprowadziła pani jeszcze sekcji Allison Spooner, ale czy podczas oględzin zwłok znalazła pani jakieś ślady świadczące o napaści na tle seksualnym?

Sara ze zdziwieniem zorientowała się, że wróciła do rozmowy.

– Nie.

– Czy odzież ofiary została podarta?

– Na kolanie dzinsów jest rozdarcie od upadku. I dziura po nożu w kurtce.

– Czy na ciele znajdują się jakieś inne obrażenia poza raną karku i otarciem kolana?

– Niczego takiego nie zauważyłam.

– Zatem podsumujmy. Tommy chciał uprawiać seks. Allison się nie zgodziła. Na co on nie rozerwał jej ubrań. Nie usiłował

przymusić. Po prostu wsadził ją na skuter i wywiózł nad jezioro, gdzie dźgnął ją raz nożem w kark. Potem wrzucił do wody, obciążwszy zwłoki łańcuchem i cegłami, napisał fałszywy list pożegnalny i wrócił posprzątać w jej mieszkaniu. Czy tak to właśnie wyglądało, panie komendancie?

Frank uniósł brodę. Wrogość biła od niego niczym żar z ogniska.

– Nie daje mi spokoju ten list – ciągnął Will. – Dlaczego po prostu nie poprzestał na wrzuceniu jej do jeziora? Szanse, że ktoś ją znajdzie, były raczej małe. Jezioro jest głębokie, prawda? – Komendant milczał, więc popatrzył na Sarę. – Prawda?

Skinęła głową.

– Prawda.

Najwyraźniej spodziewał się jakiejś odpowiedzi ze strony Franka, ale ten zasznurował usta. Wydawało jej się, że Will spyta o zgłoszenie pod 911, o chłopaka. Nie zrobił tego. Po prostu stał oparty o blat i czekał na to, co powie Frank, który ewidentnie desperacko szukał w głowie jakiegoś wyjaśnienia.

W końcu rzucił:

– To był przygłup. Prawda, Saro?

– Wolałabym, żebyś nie używał tego określenia – powiedziała. – Tommy...

– Zwał jak zwał – przerwał jej. – Był głupi. Z głupim do ładu nie dojdiesz. Dźgnął ją raz? I co z tego. Zostawił list? I co z tego. Kto go tam wie, co mu chodziło po tej pustej łepetynie.

Will pozwolił, żeby słowa komendanta wisiały chwilę w powietrzu.

– Znał pan Allison, prawda? Z bistro?

– Widywałem ją czasami.

– Znaleźliście już jej samochód?

– Nie.

Will się uśmiechnął.

– A przeszukaliście auto Tommy'ego?

– Z największą przykrością to oznajmiam, panie Einstein, ale Tommy się przyznał. Koniec pieśni. – Zerknął na zegarek. – Nie mogę tu tak tkwić i was zabawiać przez cały dzień. Chciałem się

tylko upewnić, że będziecie mieli całość materiału dowodowego. – Skinął głową Sarze. – W razie potrzeby możesz mnie łapać pod komórką. Muszę wracać do Brada.

Will nie sprzeciwiał się temu raptownemu odwrotowi.

– Dziękuję, panie komendancie. Doceniam pańską współpracę.

Frank nie mógł się zorientować, czy powiedział to z sarkazmem czy nie. W końcu puścił komentarz mimo uszu.

– Dam ci znać, co z Bradem – powiedział do Sary, po czym wymaszerował z sali.

Sara nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. Will pozwolił, by tyle ważnych pytań pozostało bez odpowiedzi. Jeffrey miał zdecydowanie agresywniejszy styl przesłuchiwania. Gdyby już raz przyparł Franka do muru, w życiu nie pozwoliłby mu wyjść z tego pokoju. Odwróciła się do Willa, który nadal opierał się o blat.

– Dlaczego nie spytałeś Franka o chłopaka Allison?

Wzruszył ramionami.

– Odpowiedź nie ma znaczenia, jeśli jest kłamstwem.

– Przyznaję, że zachowywał się jak dupek, ale był także dosyć spontaniczny. – Zdjęła rękawiczki i wrzuciła je do kubła. – Nie przyszło ci do głowy, że może nie mieć pojęcia o tym, że Lena fabrykowała i fałszowała te dowody?

Podrapał się po brodzie.

– Przekonałem się, że ludzie ukrywają różne rzeczy z najróżniejszych powodów. Nie chcą postawić kogoś innego w złym świetle. Wydaje im się, że postępują właściwie, podczas gdy jest zupełnie na odwrót. Tak naprawdę mataczą i utrudniają śledztwo.

Nie wiedziała, do czego pije.

– Znam Franka od dawna. Pomijając tę głupią, arogancką uwagę o Lionelu, nie jest złym człowiekiem.

– Kwiatuszku.

Przewróciła oczyma.

– Wiem, że może się wydawać, że jestem zbyt blisko...

– Ładne miał rękawiczki.

Sara wstrzymała oddech.

– Wpadłam jak śliwka w kompot, tak?

– Najbardziej dostało się Tommy’emu.

Westchnęła. W pierwszym odruchu broniła wcześniej Franka. Nie przyszło jej do głowy, że Will zinterpretuje to jako ukrywanie dowodów.

– Frank miał paskudnie rozcięte ramię. Nie obeszło się bez założenia szwów.

– Nie sądzę, by lekarz lub pielęgniarka zadawali mu zbyt wiele pytań.

– Prawdopodobnie. – Nawet w szpitalu Grady’ego przymykano oczy na podejrzanе obrażenia u gliniarzy.

– Jak groźne w skutkach może być draśnięcie z broni palnej?

– Kto został postrzelony?

Nie odpowiedział.

– Przypuśćmy, że dłoń została draśnięta i nieopatrzona przez lekarza. Ranna osoba po prostu oczyściła ją sama, potem zabezpieczyła plastrami. Jak duże jest ryzyko zakażenia?

– Bardzo duże.

– A jakie są objawy?

– Wszystko zależy od rodzaju zakażenia i stopnia nasilenia.

Mogą się wahać od gorączki i dreszczy po uszkodzenie mózgu i ostrą niewydolność wielonarządową. – Powtórzyła pytanie: – Kto został postrzelony?

– Lena. – Will uniósł rękę i pokazał na dłoń. – Tutaj, z boku.

Sarze zrzędała mina, choć nie z powodu Leny. Ona potrafiła świetnie o siebie zadbać.

– Frank ją postrzelił?

Wzruszył ramionami.

– Bardzo możliwe. Widziałaś jego ramię?

Znowu pokręciła głową.

– Myślę, że zranił się kawałkiem metalu wystającym z bramy garażowej.

Sara oparła się o blat szafki. Jeszcze kilka minut temu Frank stał przed nią i twierdził, że to Tommy zaciął go nożem.

– Po co miałby kłamać?

– Jest alkoholikiem, prawda?

Pokręciła głową, ale tym razem z powodu konsternacji.

– Nigdy wcześniej nie pił na służbie. Przynajmniej ja go nigdy na tym nie złapałam.

– A teraz?

– Pił wczoraj. Nie wiem ile, ale poczułam od niego alkohol, gdy przyjechałam na komendę. Uznałam, że po prostu wstrząsnęło nim to, co się stało Bradowi. Ludzie tej daty... – Urwała. – Chyba przeszłam nad tym do porządku, bo Frank pracował jeszcze w czasach, kiedy kilka drinków w południe nie uchodziło za coś złego. Mój mąż nigdy by czegoś takiego nie tolerował. Nie na służbie.

– Wiele się zmieniło od jego śmierci, Saro – powiedział Will delikatnie. – To już nie są ludzie Jeffreya. Nie ma kto ich trzymać w ryzach.

Poczuła łzy napływające do oczu. Otarła je, śmiejąc się z siebie.

– Boże, Will, dlaczego wiecznie płaczę w twojej obecności.

– Mam nadzieję, że nie przez zapach mojej wody kolońskiej.

Roześmiała się bez przekonania.

– I co teraz?

Will przykląkł i zaczął grzebać w torbie z dowodami.

– Frank wie, że Allison miała samochód. Lena nie wiedziała. Lena wie, że Allison nie mieszkała w garażu. Frank nie. – Znalazł portmonetkę i otworzył. – To dziwne, że się nie informują.

– Frank jasno dał do zrozumienia, że nie chce mieć z nią nic wspólnego. Pomijając moją osobistą zemstę, ma aż nadto powodów, by się od niej odciąć.

– Z tego, co rozumiem, wiele razem przeszli. Dlaczego akurat teraz miałyby się nagle od niej odwrócić?

Sarze nie przychodziła do głowy żadna odpowiedź. Will miał rację. Przez lata służby Frank tuszował wszystkie mniejsze i większe grzeszki Leny.

– Może po prostu czara się przelała. Tommy nie żyje. Brad walczy o życie.

– Rozmawiałem po drodze z Faith. Nie może zlokalizować żadnej Julie Smith. Numer komórki, który mi podałaś, pochodzi z aparatu na kartę zakupionego w salonie w Copperstown.



– To jakieś czterdzieści pięć minut drogi stąd.

– Tommy i Allison także musieli mieć telefony na kartę. Nie byli abonentami żadnej z sieci. Będziemy musieli ustalić ich numery, żeby móc namierzyć miejsce zakupu, ale tak naprawdę niewiele to zmieni. – Podniósł nóż dostarczony przez Franka. – Nie wygląda, żeby były na nim jakieś ślady krwi. Czy mogli go oczyścić w szpitalu, podczas operacji?

– Zdezynfekowaliby go jodyną, ale nie pucowali tak dokładnie. – Przypatrywała się broni. – Powinny być ślady krwi dokoła rękojeści.

– Powinny – zgodził się. – Poproszę miejscowego agenta operacyjnego, żeby załatwił badania laboratoryjne. Mogę zostawić tu trochę próbek, żeby je odebrał, gdy już skończysz?

– Nick Shelton?

– Znasz go?

– Często pracował z moim mężem. Zadzwońię do niego, kiedy się już tu ze wszystkim uporam – zaproponowała.

Will wziął do ręki torebkę z listem pożegnalnym i wbił oczy w słowa.

– Nie rozumiem.

– Tu jest napisane: „Chcę z tym skończyć”.

Spojrzał na nią ostro.

– Dziękuję, Saro. Wiem, co tu jest napisane. Nie rozumiem tylko, kto to napisał.

– Sprawca? – spróbowała.

– Niewykluczone. – Przysiadł na piętach, patrząc na linijkę tekstu biegnącą na samej górze strony. – Mamy dwoje ludzi: sprawcę i kobietę, która dzwoniła pod 911. Sprawca zabił Allison, a dzwoniąca próbowała narobić mu z tego tytułu kłopotów. A potem jeszcze Julie Smith usiłowała wyciągnąć Tommy’ego z opresji, prosząc cię o pomoc.

– Coś mi się zdaje, że wykluczasz Brahama z grona podejrzanych.

– Wydawało mi się, że nie lubisz wyciągać pochopnych wniosków.

– Ale nie przeszkadza mi, gdy inni to robią.

Zaśmiał się, ale nie oderwał oczu od kartki.

– Jeśli napisał to sprawca, to komu mówi, że chce z tym skończyć?

Przyklękła, zaglądając mu przez ramię.

– Nie wygląda to na pismo Tommy’ego. – Pokazała „h” w pierwszym wyrazie. – Widzisz? W swoim zeznaniu Tommy pisał drukowane H. – Dotarło do niej, jak niewiele jej słowa mu mówią. – Dobrze, pomyśl o tym tak: jeśli pisane H normalnie ma brzuszek, półbrzuszek w zasadzie... – Urwała. Problem z wizualizacją kształtu liter stanowił sedno jego problemu.

– To frustrujące – zgodził się Will. – Gdyby tylko nabazgrał coś łatwiejszego. Na przykład uśmiechniętą buźkę.

Przed odpowiedzią uratował ją dźwięk dzwonka komórki Willa.

– Trent. – Słuchał bitą minutę, zanim powiedział: – Nie. Przesłuchuj dalej. Powiedz mu, że będę za kilka minut. – Zamknął telefon. – Ten dzień robi się z każdą chwilą coraz gorszy.

– Co się stało?

– Dzwoniła Lena. Mamy kolejne ciało.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Will jechał swoim wozem za Sarą do kampusu. Zaczynał powoli rozpoznawać główne punkty orientacyjne, domki z płótkami i zjeżdżalniami, na tyle już znajome, by mógł zapamiętać miejsca skrętów. Kampus jednak stanowił nowe terytorium, zbudowane, jak w przypadku większości uczelni, bez całościowego planu. Budynki dodawano na chybił trafił, gdy pojawiały się fundusze na ich budowę. W rezultacie całe osiedle rozciągało się bezładnie na przestrzeni kilku hektarów niczym dłoń ze zbyt wieloma palcami.

Cały ranek spędził z Leną Adams i myślał, że potrafi już odczytywać jej nastroje. Przez telefon rozmawiała z nim pełnym napięcia głosem, z czego wnosił, że zbliża się do kresu wytrzymałości. Chciał przycisnąć ją jeszcze ciut mocniej, ale nie mógł spotkać się z nią na miejscu zdarzenia. Sara bardzo jasno dała do zrozumienia, że za żadną cenę nie zamierza znaleźć się w jednym pomieszczeniu z kobietą, która, jak święcie wierzyła, zabiła jej męża. On tymczasem bardziej potrzebował teraz opinii medyka sądowego niż przyznania się Leny.

Jadąc wzdłuż łuku jeziora, wystukał numer Faith. Zauważył hangar dla łodzi, o którym wcześniej wspominała Lena. Kajaki i kanadyjki leżały ułożone w stertę przy ścianie budynku.

– Jestem do twojej dyspozycji jeszcze tylko przez trzy godziny – rzuciła Faith tytułem powitania.

– Mamy drugą ofiarę. Niejaki Jason Howell według wstępnych ustaleń.

– Dobra wieść.

Faith nie należała raczej do optymistek, ale miała rację. Nowa

ofiara oznaczała nowe miejsce zbrodni, nowy zestaw tropów i wskazówek. W przypadku Allison Spooner doszli niemal do ściany. Jej ciotki nie można było znaleźć. Dziewczyna nie utrzymywała żadnych bliższych kontaktów z nikim z uczelni ani z rodzinnego miasteczka. Wyglądało na to, że jedyną osobą, którą jej śmierć dotknęła, jest Lionel Harris, ale trudno było uznać go za bliskiego przyjaciela. Jednak śmierć Jasona Howella z pewnością dostarczy nowych śladów. Drugie ciało oznaczało drugi wątek śledztwa. W sprawach takich jak ta z reguły wystarczyło znaleźć jeden szczegół, jedną osobę – przyjaciela lub wroga – która łączyła ofiary, by dojść jak po nitce do zabójcy. Nawet najostrożniejszym sprawcom zdarzają się błędy. Dwa miejsca zbrodni oznaczają dwa razy więcej błędów.

– Będziesz miał krzyż pański z uzyskaniem nakazów przeszukania na nazwiska wszystkich studentów zamieszkałych w tym akademiku.

– Mam nadzieję, że władze politechniki pójdą nam na rękę.

– A ja mam nadzieję, że moje dziecko się urodzi, trzymając worek pełen złota.

Miała rację. Uczelnie zawsze bronią pazurami swojej prywatności.

– A jak wygląda sprawa nakazu przeszukania stacji Allison?

– Chodzi ci o tę prawdziwą? – Najwyraźniej ją to bawiło. – Jakieś dziesięć minut temu przefaksowałam go na komendę. W domu Brahamów nie ma stacjonarnego telefonu, więc tu niewiele ugramy. A sekcja coś wykazała?

Opowiedział jej o ranie Allison.

– Zastanawiające, że sprawca dźgnął ją w tył karku, zamiast poderznąć gardło od przodu.

– Sprawdzę zaraz w ViCAP.

Miała na myśli bazę danych FBI stworzoną specjalnie do wykrywania podobieństw i analogii w czynach przestępczych. Jeśli zabójca Allison już wcześniej sięgnął po tę metodę, sprawa powinna być tam odnotowana.

– Mogłabyś też zadzwonić do Nicka Sheltona? – spytał Will. – To

miejscowy agent operacyjny. Chciałbym, żeby dostarczył do naszego laboratorium trochę materiałów. Sara go zna. Skontaktuje się z nim, gdy będzie miała wszystko gotowe.

– Co jeszcze?

– Nadal nie mam nagrania tego zgłoszenia pod 911. Chciałbym, żeby Sara je przesłuchała i stwierdziła, czy głos należy do naszej Julie Smith.

– Mógłbyś powiedzieć chociaż jedno zdanie, które nie zawierałoby imienia „Sara”.

Will podrapał się po podbródku, wymacując palcami bliznę biegnącą w dół szyi. Znowu był podenerwowany, jak wtedy, gdy rozmawiał z Sarą w piwnicy zakładu pogrzebowego.

– Wiesz, że Charlie robi w tym tygodniu w Centralnym?

– Nie. – Charlie Reed należał do zespołu Amandy. Był najlepszym technikiem kryminalistyki, z jakim Will pracował. – To godzina drogi stąd.

– Chcesz, żebym do niego zadzwoniła i sprawdziła, czy mógłby przyjechać?

Will pomyślał o garażu i miejscu zabójstwa w lesie. Prowadził teraz dwa dochodzenia – jedno przeciwko Lenie Adams i Frankowi Wallace’owi i drugie przeciwko sprawcy, który zabił Allison Spooner, a możliwe, że także nową ofiarę.

– Powiedziałem miejscowemu komendantowi, że sprowadzam własną ekipę. W sumie mógłbym dotrzymać słowa.

– Dryndnę do niego – zaproponowała Faith. – ViCAP nie zarejestrował podobnych przypadków przecięcia nożem od tyłu pochewki, tętnicy, żyły szyjnej czy też ich obu jednocześnie. Sprawdziłam też *modus operandi* z przekreśleniem noża. Zero trafień.

– To chyba dobra wiadomość.

– Albo bardzo zła – zaproponowała. – To czyste zabójstwo, Will. Na pewno nie robota amatora. Tu muszę się zgodzić z Sarą. Jakoś nie widzę, żeby twój przygłup to zrobił.

– Niepełnosprawny umysłowo. – Teraz, kiedy Sara zwróciła mu uwagę na to określenie, zaczęło ono Willa drażnić. Poza tym

podejrzewał, że powinien się jakoś solidaryzować z chłopcem, bo obaj borykali się z podobnym problemem. – Odezwij się, kiedy Charlie się określi.

– Jasne.

Zamknął telefon. Sara skręciła swoją terenówką w kolisty podjazd prowadzący do trzypiętrowego budynku z cegły. Zaparkowała za wozem ochrony kampusu przed głównym wejściem. Nadal lało jak z cebra. Naciągnęła kaptur kurtki, zanim wbiegła po schodach do środka.

Will wysiadł z porsche i pobiegł za nią, rozchlapując kałuże. Skarpetki nie wyschły mu jeszcze po porannej kąpieli w jeziorze. Na pięcie tworzył mu się wielki pęcherz.

Sara czekała na niego w małej wnęce między dwiema parami szklanych drzwi. Rękawy kurtki ociekały wodą. Zapukała do drzwi.

– Wóz ochrony stoi pusty. – Osłoniła dłońmi oczy i przycisnęła nos do szyby. – Chyba ktoś powinien tu być.

– Ochroniarz otrzymał polecenie pozostania w budynku do naszego przyjazdu. – Will wcisnął kilka przycisków na panelu przy drzwiach, ale wyświetlacz LCD pozostał pusty. Odwrócił się, szukając kamery. – Tylne drzwi są otwarte.

Popatrzył przez szybę. Budynek był dłuższy niż szerszy. Naprzeciwko głównego wejścia znajdowała klatka schodowa. Od niej odchodził w bok długi korytarz. Na tyłach znak wyjścia jarzył się delikatnie nad otwartymi drzwiami ewakuacyjnymi.

– Gdzie jest policja? – spytała Sara.

– Powiedziałem Lenie, żeby nikogo nie wzywała.

Odwróciła się, żeby na niego spojrzeć.

– Dostała wezwanie na komórkę. Najwyraźniej ochrona kampusu ma ją jako interwencyjny kontakt.

– Nie zawiadomiła Franka?

– Nie. Dziwne, co?

– Nie użyłabym słowa „dziwne”.

Will nie odpowiedział. Osobiste zaangażowanie Sary w sprawę mąciło jej obraz sytuacji. Nie patrzyła na to jak na śledztwo kryminalne. W przypadku dwóch podejrzanych zawsze rozgrywa

się ich przeciwko sobie, czekając, który sypnie pierwszy, żeby ratować własną skórę. Instykt samozachowawczy z reguły bierze górę nad poczuciem lojalności. Ślady w garażu, w którym mieszkał Tommy, i wszystko, co w nim zaszło, nie wróżyło najlepiej Frankowi i Lenie. Zatem teraz pozostawało już tylko kwestią czasu, kto z nich zacznie mówić pierwszy.

Sara jeszcze raz popatrzyła przez szklane drzwi.

– Idzie.

Will zobaczył niskiego czarnego mężczyznę zbliżającego się korytarzem. Był młody i chudy, koszula munduru wydymała się mu jak damska bluzka. Jedną ręką przyciskał komórkę do piersi, drugą przeciągnął kartę magnetyczną nad zamkiem. Drzwi otworzyły się z kliknięciem.

Sara wpadła do środka.

– Marty, nic ci nie jest?

Will zrozumiał, dlaczego się zdenerwowała. Twarz mężczyzny była ziemistoszara.

– Doktor Linton – powiedział ochroniarz. – Przepraszam.

Wyszedłem na zewnątrz, żeby zaczerpnąć powietrza.

– Usiądźmy. – Podprowadziła go do ławeczki przy drzwiach, obejmując ramieniem. – Gdzie masz inhalator?

– Właśnie go zużyłem. – Wyciągnął rękę do Willa. – Przepraszam za mój stan. Jestem Marty Harris. Zdaje się, że poznał pan dzisiaj rano mojego dziadka.

– Will Trent.

Uścisnął dłoń mężczyzny.

Marty pomachał telefonem.

– Właśnie opowiadałem Lenie, co się stało. – Zakaszłał. Na twarz powoli wracały mu kolory. – I znowu się zdenerwowałem, przepraszam.

Will oparł się o ścianę. Wsadził ręce do kieszeni. Już dawno zauważył, że okazywanie irytacji zwykle przynosi skutek odwrotny do zamierzonego.

– Może mi pan w dwóch słowach streścić, co powiedział pan detektyw Adams?

Ochroniarz zakaszlał jeszcze kilka razy. Sara poklepała go po plecach.

– Już dobrze – zapewnił ją. – Po prostu niełatwo mi wracać do tego myślni. W życiu niczego podobnego nie widziałem.

Will z trudem starał się uzbroić w cierpliwość. Powiódł wzrokiem po korytarzu. Światła nadal były pogaszone, ale wzrok mu się powoli przyzwyczajał do mroku. Nad drzwiami wejściowymi nie było kamery. Domyślił się, że szyfr przy wejściu ma za zadanie rejestrować studentów i gości wchodzących do budynku. Nad wyjściem ewakuacyjnym z tyłu znajdowała się kamera, choć zauważył, że obiekt jest przekrzywiony w kierunku sufitu.

– Tak ją zastałem, kiedy tu przyszedłem – powiedział Marty. Wsadził telefon do kieszeni i poprawił okulary na nosie.

– A o której to było?

– Będzie jakieś pół godziny temu. – Zerknął na zegarek. – Choć wydaje się, że upłynęło znacznie więcej czasu.

– Może mi pan powiedzieć, co się stało?

Mężczyzna poklepał się po piersi.

– Robiłem obchód. Jak co każde trzy godziny. Ponieważ studenci wyjechali na święta, nie zaglądałem do akademików. Podjeżdżamy tylko do drzwi głównych i tylnych, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, ale do środka nie wchodzimy. – Zakaszlał w dłoń i ciągnął: – Byłem w bibliotece, kiedy zauważyłem, że jedno z okien na drugim piętrze tego budynku jest otwarte. – Urwał, żeby zaczerpnąć tchu. – Uznałem, że pewnie wiatr je otworzył. To stare okna, nie zamykają się jak należy. Ale przez ten deszcz do środka mogła wlać się woda i pomyślałem sobie, że lepiej coś z tym zrobić. – Znowu urwał. Will widział, że spływa potem, mimo że w akademiku panował ziąb. – Poszedłem na górę i zobaczyłem go, i... – Pokręcił głową. – Zadzwońm pod numer alarmowy.

– Nie pod 911?

– Mamy bezpośredni numer, z którym mamy się kontaktować, gdy coś się stanie w kampusie.

Sara wyjaśniła:

– Dziekan nie lubi złej prasy.



– Trudno o gorszą. – Marty zaśmiał się cierpko. – Święci Pańscy, co zrobiono temu chłopcu. Najgorszy jest smród. Chyba będę go czuł już do końca życia.

– Wszedł pan głównym wejściem czy tym od tyłu? – spytał Will.

– Głównym. – Pokazał na drzwi ewakuacyjne. – Wiem, że nie powinienem ich potem otwierać, ale musiałem zaczerpnąć powietrza.

– Były zamknięte na klucz?

Pokręcił głową.

Will zauważył czerwone tablice ostrzegawcze dokoła wyjścia.

– Czy alarm się uruchamia po ich otwarciu?

– Studenci zwykle rozłączają go w ciągu pierwszego tygodnia pobytu. Nie dajemy rady za nimi nadażyć. Gdy tylko go podłączamy, oni rozmontowują na nowo, i tak w koło Macieju. Dużo dzieciaków tu studiuje inżynierię i informatykę. Traktują to jak wyzwanie.

– Rozłączają go tylko dla zabawy?

– Tamtędy mają bliżej do biblioteki. I do tylnego wejścia do stołówki. Ze względów bezpieczeństwa nie wolno im chodzić strefą dostawczą, ale i tak się tamtędy prześlizgują.

Will pokazał kamerę zawieszoną nad drzwiami.

– To jedyny rejestrator obrazu w budynku?

– Nie. I, tak jak mówiłem, kamera była już tak ustawiona, kiedy się tu zjawiłem. Na drugim piętrze jest druga, ale też przekrzywiona.

Will zrozumiał, jak łatwo niepostrzeżenie wejść do akademika. Jeśli tylko znało się rozmieszczenie kamer, wystarczyło stanąć pod nimi, kijem od szczotki lub czymś w tym rodzaju skierować obiektyw na sufit i droga wolna. Mimo to spytał:

– Macie zapisy z monitoringu?

– Tak, sir. Wszystko jest rejestrowane w głównym budynku kampusu. Ja nie mam klucza, ale mój szef, Demetrius, jest już w drodze. Powinien być na miejscu za godzinę czy dwie. – Zwrócił się do Sary: – Pojechał do Griffin do rodziny swojego taty.

– A co z kamerami na zewnątrz? – indagował Will.

– Mróz załatwił je wszystkie. Żadna nie działa. Połowa zamarzła na kamień, reszta popękała. Któregoś dnia jedna spadła na samochód studenta. Rozbiła tylną szybę.

Will potarł podbródek.

– Czy ktoś jeszcze wie, że kamery nie działają?

Marty zastanowił się przez chwilę.

– Demetrius, dziekan, może jeszcze jacyś ludzie, jeśli zdarzyło im się popatrzeć do góry. Niektóre uszkodzenia są widoczne gołym okiem.

– Przy głównym wejściu widziałem panel z klawiaturą numeryczną. To jedyne drzwi od frontu?

– Tak, i sprawdziłem już rejestr logowań. Mogę przeprowadzić szybką analizę kodów. Nikt nie wchodził ani nie wychodził tymi drzwiami od sobotniego popołudnia. Jedyna niezeskanowana karta magnetyczna należy do Jasona Howella. Pokój w akademiku, w którym znalazłem ciało, też jest zarejestrowany na jego nazwisko. – Zwrócił się do Sary: – Nie wiem, dlaczego tu został. Ogrzewanie jest wyłączone. Kampus zamknięty. Biblioteka nieczynna od dwunastej w niedzielę. Myślałem, że żywej duszy tu nie ma.

– To nie twoja wina – zapewniła go Sara, choć Will miał poważne wątpliwości co do otwarcia drzwi ewakuacyjnych. Próbowwała się zrehabilitować, pytając: – Myślisz, że mógłbyś sporządzić listę wszystkich studentów z tego akademika? Byłoby dobrze, gdyby agent Trent ją miał.

– Żaden problem. Mogę zaraz wydrukować pełny rejestr.

– Pamięta pan, czego dotykał na górze?

– Niczego. Drzwi były lekko uchylone. Coś mnie tknęło, naprawdę źle przecucie. Pchnąłem je nogą, zobaczyłem go i... – Spuścił wzrok na ziemię. – Wszystko bym zrobił, żeby wymazać to z pamięci.

– Przykro mi, że naciskam, panie Harris – powiedział Will – ale może pan pamięta, czy światła się paliły?

– Wszystkie włączniki są na dole. – Pokazał zestaw przełączników przy schodach, zainstalowanych dosyć wysoko, prawdopodobnie po to, by studenci nie pstrykali nimi wte i wewte,

gdy najdzie ich ochota. – Włączyłem światła, zanim poszedłem na górę, ale potem wyłączyłem je z powrotem, zostawiając tak, jak zastałem.

– Dziękuję, że poświęcił nam pan czas. – Will skinął głową w kierunku schodów, dając znać, że mogą już iść na górę.

Sara podniosła się, ale nie ruszyła z miejsca.

– Znałeś Jasona?

– Nie, proszę pani. Widywałem tylko w bistro tę dziewczynę, Allison. Wie pani, jaki jest dziadek, biedaczka uwijała się jak w ukropie. Uśmiechałem się do niej, ale nigdy nie zamieniliśmy ani słowa. Potem nagle zdarza się taka tragedia i człowiek uświadamia sobie, że powinien poświęcać więcej uwagi swoim bliźnim. Aż wzdragam się na myśl, że może mógłbym jakoś temu wszystkiemu zapobiec.

Will widział, że mężczyzna jest autentycznie zgnębiony. Położył mu dłoń na ramieniu.

– Jestem pewien, że zrobił pan wszystko, co mógł.

Ruszyli w kierunku schodów. Sara sięgnęła do kieszeni kurtki i wyciągnęła dwie pary papierowych ochraniaczy na obuwie. Will wsunął je na buty i patrzył, jak ona robi to samo. Potem naciągnęła lateksową rękawiczkę i wyciągnęła rękę do przełącznika. Na klatce zapaliło się światło.

Will poszedł pierwszy. Zgodnie z procedurą powinien najpierw polecić oddziałowi policji sprawdzić budynek, ale wiedział, że zabójca dawno już zniknął. Świeże zwłoki nie śmierdzą.

Akademik, stary, ale solidnie zbudowany, emanował bezosobową atmosferą, nieszczególnie przyjemną. Na klatce schodowej panował ziąb. Will zerknął na stopnie wyłożone czarną gumą. Powinni je sprawdzić na obecność krwi. Miał nadzieję, że Faith udało się złapać Charliego Reeda. Sprawca był bystry i wiedział, jak zacierać za sobą tropy. Ale tym razem nie miał do pomocy gigantycznego jeziora. Jeśli w ogóle ktoś potrafił znaleźć tu ślady dowodowe, to tylko Charlie Reed.

Z podestu drugiego piętra roztaczał się znajomy widok: długi korytarz, ciąg drzwi po obu stronach, z których wszystkie z

wyjątkiem jednych były zamknięte. Na końcu znajdowała się tonąca w mroku wnęka.

– Łazienki – domyśliła się Sara.

Will się odwrócił i znalazł kamerę zamontowaną wysoko w rogu schodów. Obiektyw skierowany był w sufit. Zabójca Jasona, prawdopodobnie przyciskając się do poręczy, stanął na dolnym stopniu ciągu schodów prowadzącym na trzecie piętro i jakimś narzędziem przekrzywił kamerę.

– Czujesz?

Will ostrożnie pociągnął nosem.

– Trochę tu już leży.

Sara się przygotowała; sięgnęła do kieszeni i wydobyla z niej papierową maskę.

– To powinno pomóc.

Will, szczerze rozdarty między odruchem dżentelmena a odruchem wymiotnym, spytał:

– Masz tylko jedną?

– Poradzę sobie.

Ruszyła dalej. Nałożył maskę. Powietrze zrobiło się odrobinę bardziej znośne. Pokój Jasona Howella znajdował się bliżej łazienek niż schodów. Dźwięk ich kroków niósł się po korytarzu, odbijał od ścian. Z każdym kolejnym metrem odór stawał się coraz silniejszy. Will zobaczył, że na wszystkich drzwiach zamocowane są tablice informacyjne z poprzypinanymi zdjęciami, kartkami i wiadomościami. Tablica Jasona była pusta.

Sara przyłożyła grzbiet dłoni do nosa.

– Boże, robi się nieprzyjemnie.

Zaczerpnęła powietrze ustami, zanim weszła do pokoju. Will stał w drzwiach, wstrzymując oddech, gdy owiewała go woń śmierci.

Chłopak leżał na plecach, podbiegnięte krwawo oczy patrzyły w sufit. Twarz miał opuchniętą, niemal purpurową, nos złamany, dokoła nozdrzy i ust zaschniętą krew. Jedna ręka zwisała bezwładnie w kierunku podłogi. Na kciuku widniało duże nacięcie, koniuszek małego palca wisiał na strzępach skóry.

– Tożsamość chyba się zgadza.

Sara znalazła legitymację studencką Jasona zawieszoną na drzwiach szafy. Pokazała zdjęcie Willowi. Podobieństwo było uderzające.

Co dziwne, Jason ubrany był na cebulkę – na dół od piżamy miał naciągnięte spodnie od dresu, na górze kilka koszul, szlafrok frotté i zapiętą na zamek kurtkę. Ciało spuchło na skutek postępującego rozkładu: wypełniony gazami gnilnymi brzuch był rozdęty i uniesiony ponad poziom klatki piersiowej, skóra na dłoniach zielonkawo podbarwiona. Stopy obrzmiały tak mocno, że sznurówki luźno związanych butów wrzynały się w skarpetki.

Na klatce piersiowej widniały liczne rany od noża. Dokoła dziur w kurtce pozasychały grube skrzepy wynaczynionej krwi. Duży krwawy rozmaz na podłodze sięgał do stojącego naprzeciwko biurka. Laptop, zeszyty i porozrzucane luzem kartki były powalane krwią i kawałkami tkanki mózgowia.

Sara przyłożyła rękę do nadgarstka chłopca, sprawdzając puls, bardziej z rutyny niż potrzeby.

– Widzę osiem ran kłutych tułowia i trzy kolejne okolice szyi. Zapach gnilny wywołały bakterie z trzewi. Jelito zostało przebite.

– Kiedy, twoim zdaniem, zginął?

– Sądząc po stężeniu, co najmniej dwanaście godzin temu.

– Myślisz, że z ręki tego samego sprawcy co Allison?

– Myślę, że ktokolwiek zabił Jasona, znał go. To jest nienawiść. – Przcisnęła palce do jednej z ran na szyi chłopca, przyciągając brzegi rany. – Spójrz tutaj. Na dolnym biegunie widać taki sam ślad przekreślenia noża. – Obejrzała pobieżnie pozostałe rany szyi. – Wszystkie wyglądają tak samo. Zabójca wbija ostrze, potem je dla pewności przekreśla. Widać też ślady rękonożności na skórze. Gdybym miała strzelać, powiedziałabym, że użyto tego samego rodzaju narzędzia. Muszę oboje otworzyć, ale na podstawie wstępnych oględzin mogę już postawić hipotezę, że to dzieło tego samego sprawcy.

– Jason był dużo większy od Allison. Znacznie trudniej byłoby go obezwładnić.

Wsunęła delikatnie dłoń pod głowę chłopaka.

– Czaszka jest pęknięta. – Kiedy wysunęła rękę, rękawiczka była umazana lepłą krwią.

– Okno jest zamknięte – zauważył Will. Na podłodze pod parapetem widniała spora kałuża błota. Marty jednak wszedł do pokoju.

Sara też ją dostrzegła.

– Oddał wam przysługę. Deszcz mógłby zalać podłogę i zmyć ślady.

– Charlie nie będzie zadowolony. – Uświadomił sobie, że jeszcze jej nie powiedział o przyjeździe ekipy. – To nasz technik kryminalistyki. Prawdopodobnie wolałby, żeby ciało tu zostało na czas oględzin miejsca zdarzenia.

– Dam znać Brockowi. Chcesz, żebym zrobiła sekcję?

Pomyślał, że może wchodzi jej w paradę.

– Jeśli to nie jest zbyt wielki kłopot.

– Zrobię, co będziesz chciał.

Will nie wiedział, co na to rzec. Przywykł do kobiet, które zdecydowanie wolały rzucać mu kłody pod nogi, a nie ułatwiać życie.

– Dziękuję.

– Myślisz, że Jason był chłopakiem Allison?

– Są w podobnym wieku. Studiowali na tej samej uczelni. Zginęli z ręki tego samego sprawcy. Sądzę, że to nie jest zbyt naciągana hipoteza. A twoim zdaniem co tu się wydarzyło?

Sara włożyła świeże rękawiczki.

– Podejrzewam, że Jason siedział przed komputerem, kiedy otrzymał cios w głowę. Statystycznie moglibyśmy stawiać na kij bejsbolowy. Wkrótce będziemy wiedzieć na pewno. W ranie powinny być odpryski lakieru lub drzazgi. – Pokazała na rozprysk krwi na ścianie, którego Will wcześniej nie zauważył. Na białej powierzchni, inaczej niż na korze dębu nad jeziorem, ślady tragedii, która się tu rozegrała, były doskonale widoczne. – Średnia prędkość. Nie sądzą, by cios miał zabić. Sprawca chciał tylko ogłuszyć ofiarę. – Pokazała czerwone smugi na podłodze. – Potem zaciągnął ją na łóżko i tam zadźgał nożem, ale coś tu nie gra.

– Dlaczego?

Zajrzała pod łóżko.

– Powinno być znacznie więcej krwi. – Dotknęła mięsistego kawałka na biurku. – Najwyraźniej chłopak odgryzł sobie język...

Will się zakrztusił.

– Przepraszam. Mów dalej.

– Na pewno?

Jego głos zabrzmiał nienaturalnie wysoko, nawet w jego uszach.

– Tak. Śmiało.

Obrzuciła go uważnym spojrzeniem, zanim pociągnęła wywód.

– W przypadku ciosów w tył głowy często dochodzi do wypadkowego odgryzienia języka. Zwykle nie pełnego, ale to by wyjaśniało tę masę wynaczynionej krwi na klawiaturze. Usta musiał mieć nią zalane. – Pokazała ścianę nad biurkiem. – Rozprysk plam tutaj odpowiada uderzeniu kijem w głowę, ale przy łóżku to już zupełnie inna para kaloszy.

– Dlaczego?

– Sądząc po rozmieszczeniu ran, mogę stwierdzić uszkodzenie głównych tętnic okolicy szyjnej i piersiowej – wyjaśniła. – Popatrz na to tak: Jason leży na łóżku. Na podstawie obrażeń obronnych rąk możemy przyjąć, że był przytomny. Niemal stracił palec. Pewnie złapał za ostrze noża. Serce musiało mu walić jak szalone. – Przyłożyła pięść do piersi, naśladując szybkie bicie. – Wytrysk. Wytrysk. Wytrysk. Krew powinna sikać. Po całej ścianie.

Will spojrzał na białą powierzchnię. Miała rację. Z wyjątkiem dwóch kleksowatych plam niedaleko od ciała nie było niemal żadnych śladów.

– Chyba że zabójca miał na sobie jakąś odzież ochronną – zasugerowała Sara. – Rozłożył plastik na podłodze, zabezpieczył ściany. Ale w takim wypadku musiałyby wszystko wcześniej zaplanować.

– Myślę, że byłoby z tym za dużo zawracania głowy. – Will jeszcze nie spotkał tak pedantycznego mordercy. – Większość sprawców działa prosto, spontanicznie. Korzystają z okazji i z tego, co im się nawinie pod rękę.

– Nie nazwałabym ukrycia pary pustaków, kłódki i łańcucha w środku lasu działaniem spontanicznym.

– Chyba trochę przekombinowujesz. Czy sprawca nie mógłby przykryć czymś ciała Jasona i dopiero wtedy sięgnąć po nóż?

Sara popatrzyła na zwłoki.

– Rany kłute są blisko rozmieszczone. Nie wiem. Co masz na myśli? Plastik? – Skinęła głową. – Mógł go przykryć plastikową płachtą. Popatrz na podłogę. Jest tu wyraźna linia skapującej krwi.

Will się przyjrzał. Biegła nieregularnie, odwzorowując kształt łóżka.

– Ale plastik nie jest chłonny. Linia nie byłaby taka cienka. Krew ściekałaby strugami.

– Pościel?

Pochyliła się i sprawdziła posłanie.

– Prześcieradło jest, kołdra też.

– Koc? – spytał Will. Dzieciak marzył tutaj jak na biegunie. Na pewno musiał mieć koc na łóżku.

Otworzyła drzwi szafy.

– Ani śladu. – Zaczęła sprawdzać szuflady komody. – Chyba masz rację. To musiał być jakiś chłonny materiał...

Will ruszył korytarzem do łazienki. Światło w środku było zgaszone, ale znalazł przełącznik przy drzwiach. Rozjarzyły się jarzeniówki na suficie, ich zielone światło odbijało się od niebieskich kafli. Will wprawdzie nigdy nie mieszkał w akademiku, ale aż do osiemnastego roku życia dzielił wspólną łazienkę z piętnastoma innymi chłopcami. Wszystkie tego typu przybytki miały ten sam układ: umywalnie na przedzie, prysznic z tyłu, toalety z boku.

W pierwszej kabinie znalazł zwinięty w kłęb koc. Powleczone grubą warstwą krwi niebieska bawełna była sztywna jak brystol.

Sara zajrzała mu przez ramię.

– Proste – orzekł.

Will szukał domu z huśtawką, która oznaczała miejsce skrętu w Taylor Drive. Choć znał już drogę, z największą niechęcią nią



jechał. Przeszukanie pokoju Allison Spooner było koniecznością, jednak intuicja podpowiadała mu, że w sypialni Jasona Howella znajdą więcej obiecujących tropów. Niestety, nie był technikiem kryminalistyki. Nie miał ani kwalifikacji, ani sprzętu do przeprowadzenia oględzin i badania tak skomplikowanego miejsca zdarzenia. Musiał czekać na przyjazd Charliego Reeda i jego zespołu z Centralnego Laboratorium FBI. Zginęło już dwoje studentów, a Will nadal nie znał motywów zabójcy. I ścigał się z czasem.

Mimo to musiał przestrzegać procedur. Zajrzał na komendę, by zabrać nakaz przeszukania domu Brahamów. Przy okazji przesłał Faith faksem przygotowaną przez Marty'ego Harrisa listę studentów zameldowanych w akademiku. Nie było szans, żeby zdążyła wszystkich sprawdzić, ale obiecała zacząć, a resztę przekazać jeszcze przed wyjazdem do szpitala sekretarce Amandy.

Na komendzie panowała dziwna cisza. Will domyślił się, że większość funkcjonariuszy jest albo na patrolach, albo przy łóżku Brada, który nadal pozostawał w stanie śpiączki farmakologicznej. Mimo to coś wisiało w powietrzu. Policjanci krzątający się wokół biurka nie patrzyli już na Willa bykiem, Marla Simms nieproszona podała mu faks z nakazem. Nawet Larry Knox, idąc do ekspresu, żeby dolać sobie kawy, spuścił wzrok na podłogę.

Przed domem Brahamów stały dwa samochody: policyjny radiowóz i czterodrzwiowy ford pick-up. Will zaparkował za furgonetką, z której rury wydechowej unosiły się spaliny. W kabinie znajdowały się dwie osoby: Lena Adams zajmowała miejsce pasażera, za kółkiem siedział jakiś mężczyzna. Szyba po jego stronie była opuszczona, mimo że nadal lało. W rękę trzymał papierosa.

Will wysiadł. Trząśnięcie z zimna i chlupotało mu w butach, kiedy podchodził do furgonetki z głową oblepioną mokrymi włosami.

– Gordon, to jest agent z Atlanty, o którym ci mówiłam, Will Trent.

Rzucił jej spojrzenie wyrażające, jak miał nadzieję, najwyższy stopień irytacji. Udział Leny w śmierci Tommy'ego był

przedmiotem dochodzenia. Nie miała prawa rozmawiać z ojcem chłopaka.

– Panie Braham, bardzo mi przykro, że spotykamy się w takich okolicznościach.

Gordon zaciągnął się papierosem. Płakał, wcale się z tym nie kryjąc: po policzkach spływały mu łzy.

– Niech pan wsiada.

Will usiadł z tyłu. Na podłodze walało się kilka opakowań po jedzeniu na wynos. Zamówienia opatrzone logo stanowej elektrowni leżały ułożone w stertę w otwartej aktówce na siedzeniu naprzeciwko. Mimo opuszczonej szyby w środku unosiło się tyle dymu, że można było powiesić siekierę.

Gordon siedział ze wzrokiem wbitym w drogę przed nimi. Krople deszczu rozplaskiwały się na masce furgonetki.

– Nie mogę uwierzyć, że mój syn dopuścił się którejkolwiek z tych rzeczy. Agresja kompletnie nie leżała w jego naturze.

Will wiedział, że nie ma sensu tracić czasu na uprzejmości.

– Może mi pan powiedzieć, co wie o Allison?

Znowu zaciągnął się papierosem.

– Płaciła czynsz na czas. Utrzymywała porządek w domu. Dałem jej zniżkę, w zamian miała robić pranie i mieć oko na Tommy'ego.

– A trzeba było na niego uważać?

Gordon zerknął na Lenę.

– On wie, tak?

– Wiem, że był opóźniony – odpowiedział Will. – Wiem także, że pracował w kilku miejscach i cieszył się szacunkiem mieszkańców.

Mężczyzna popatrzył na swoje dłonie. Ramiona mu zadrżały.

– Tak. Ciężko pracował.

– Proszę opowiedzieć mi o Allison.

Mężczyzna powoli się opanował, ale nadal siedział zgarbiony. Kiedy podnosił papierosa do ust, miało się wrażenie, że ręce ma jak z ołowiu.

– Została zgwałcona?

– Nie. Nic na to nie wskazuje.

Odetchnął z ulgą.

– Tommy miał do niej słabość.

– Ona ją odwzajemniała?

Pokręcił głową.

– Nie. I on o tym wiedział. Bardzo wczesnie nauczyłem go pilnować się w obecności dziewcząt. Patrz, ale nie dotykaj. Nigdy nie miał żadnych kłopotów. Dziewczęta traktowały go jak maskotkę, szczeniaczka. Nie rozumiały, że jest mężczyzną. – Powtórzył: – Był mężczyzną.

Will odczekał chwilę, zanim zadał kolejne pytanie.

– Allison mieszkała w domu?

Braham odpalił nowego papierosa od starego. Will czuł, jak mokre włosy i ubrania przechodzą mu dymem. Z największym trudem stłumił kaszel.

– Z początku wynajmowała garaż – mówił Gordon. – Nie chciałem się na to zgodzić. To nie jest miejsce dla dziewczyny. Ale zaczęła wtedy gadać coś o dyskryminacji, o tym, że zdarzało jej się mieszkać w gorszych warunkach, więc machnąłem ręką. Pomyślałem sobie, że i tak się pewno wyprowadzi góra po miesiącu.

– A jak długo w końcu została?

– Prawie rok. Nie chciała mieszkać w akademiku. Mówiła, że wszystkie dziewczęta tam mają hopla na punkcie chłopaków, wysiadują po nocach. Ale sama też umiała tak się zakręcić, żeby dostać, o co jej chodziło. Tommy'ego owinęła sobie wokół małego palca.

Will nie odniósł się do wyrzutu słyszalnego w tonie ojca.

– Jednak koniec końców nie mieszkała w garażu.

Nie odpowiedział od razu.

– Tommy tak zdecydował. Powiedział, że to nie w porządku, żeby tam marzła i jeszcze musiała biegać do ubikacji w środku nocy. Oddał jej swój pokój. Dowiedziałem się o tym już po fakcie. – Wypuścił ciemną smugę dymu, która spowiła mu głowę. – Tak jak mówiłem, robiła z nim, co chciała. Powinienem był tupnąć nogą, bardziej uważać na to, co się święci. – Zaciągnął się mocno, usiłując opanować emocje. – Wiedziałem, że się w niej podkochuje, ale to nie było jego pierwsze zadurzenie. Podobała mu się uwaga, jaką mu

poświęcała. Nie miał wielu przyjaciół.

Will wiedział, że nie wolno mu podać szczegółów toczącego się śledztwa, zwłaszcza takiego, które mogło zaowocować nieciekawym procesem. Ale z całego serca współczuł ojcu i żałował, że nie może powiedzieć nic, co mogłoby przynieść mu ulgę. Spytał tylko:

– Często bywał pan w domu?

– Niezbyt. Większość czasu spędzam u narzeczonej. Tommy nic jeszcze nie wiedział, ale zamierzaliśmy pobrać się wiosną. – Odetchnął gwałtownie. – Chciałem poprosić go na drużbę po powrocie z Florydy.

Will odczekał kilka chwil, żeby mężczyzna się pozbiarał.

– Znał pan chłopaka Allison?

– Jay. James.

– Może Jason? – podpowiedział Will.

– O, właśnie. – Gordon wytarł nos grzbietem dłoni. – Rzadko się pokazywał. Nie zgadzałem się na nocnych gości. Dziewczyna w tym wieku powinna dbać o reputację.

– Tommy go znał?

Pokręcił głową, ale powiedział:

– Chyba tak. Nie wiem. Nie uczestniczyłem w jego życiu tak intensywnie jak wtedy, gdy był mały. Dorósł. Musiał się usamodzielić. – Zaparło mu dech w piersiach, gdy usiłował po raz kolejny sztachnąć się papierosem. – Znam mojego syna. W życiu by nikogo nie skrzywdził. Wiem, co zrobił Bradowi, ale to zupełnie do niego nie pasuje. Nie tak go wychowałem.

Lena odchrząknęła.

– Widziałam, co się wydarzyło, Gordon. Tommy biegł i nagle się odwrócił. Brad nie zdążył wyhamować. Nie wydaje mi się, by twój syn chciał go zranić. Myślę, że to był wypadek.

Will żuł wewnątrz policzka, zastanawiając się, czy Lena kłamie, by pocieszyć mężczyznę, czy mówi prawdę.

Wydawało się, że Gordon też ma podobne wątpliwości. Jeszcze raz wytarł oczy.

– Dziękuję. Dziękuję. Że mi to mówisz.

– Czy Tommy zachowywał się ostatnio inaczej? – spytał Will.

Mężczyzna z trudem przełknął ślinę.

– Z tydzień temu zadzwonił do mnie Frank z informacją, że Tommy wdał się w awanturę. Jedna z sąsiadek bardzo się na niego wściekła. Nigdy wcześniej nie zdarzyło mu się krzyczyć na ludzi. Nie wpadał w złość. Usiadłem z nim i porozmawiałem. Powiedział, że czepiała się go, że Pippy szczeka za głośno. – Wydmuchnął dym.  
– Kochał tego głupiego psa.

– Pił?

– Nigdy. Nie cierpiał smaku piwa. Próbowałem go nawet kiedyś przyzwyczaić, myślałem, że moglibyśmy siadywać sobie w soboty przy browarku i oglądać razem mecze, ale to nigdy nie chwyciło. Nudził się. Wolał koszykówkę. Nie mógł się połapać w tych wszystkich zasadach futbolu.

– A miał przyjaciół? Może któryś znalazł mu ostatnio za skórę?

– Był bardzo otwarty, taki brat łąta. Ale nie wydaje mi się, żeby z kimś się szczególnie blisko zadawał. Jak już mówiłem, przepadał za Allison, a ona była dla niego bardzo miła, ale traktowała go jak młodszego brata.

– Spędzali razem dużo czasu?

– Nie bywałem tu na tyle często, by to stwierdzić. Dużo o niej mówił. Nie zaprzeczę.

– Kiedy ostatni raz rozmawiał pan z synem?

– Chyba w ten wieczór, kiedy... – Nie dokończył. Zaciągnął się dymem. – Zadzwonił, żeby spytać, czy może skorzystać z karty kredytowej. Wydawało mu się, że Pippy połknęła jedną z jego skarpetek. Powiedziałem, żeby pojechał z nią do weterynarza.

– Nie znaleźliśmy jego komórki.

– Kupiłem mu taką na kartę. Miał dobrą pracę. Urabiał sobie ręce po łokcie. Chciał płacić sam za siebie. – Pstryknął petem za okno. – Nie chcę tu dłużej mieszkać. Nie mogę przestąpić progę tego domu. Patrzyć na jego rzeczy. – Zwrócił się do Leny: – Możecie tam wejść. Zabrać, co wam się żywnie podoba. Puścić wszystko z dymem. Nie obchodzi mnie to.

Will otworzył drzwiczki, ale nie wysiadł.

– Czy Tommy kolekcjonował noże?

– Trzymałem go od broni z daleka. Nie wiem, skąd wytrzasnął ten. A pan?

– Niestety nie, proszę pana – odpowiedział Will.

Gordon wytrzasnął kolejnego papierosa z paczki.

– Lubił rozkręcać rzeczy. Nieraz na przykład siadywałem do pracy, żeby wypisać zamówienia, a tu długopis odmawiał posłuszeństwa. Okazywało się, że Tommy wyciągnął sprężynkę. Potem, kiedy robiłem pranie, znajdowałem całe ich garście w kieszeni jego spodni. Kiedyś nawet wymontował silnik z suszarki. Myślałem, że to ma coś wspólnego z jego upośledzeniem, ale Sara powiedziała mi, że Tommy tylko się ze mną tak bawi. Lubił robić takie psikusy. Uwielbiał rozśmieszać ludzi. – Przeniósł wzrok na tylne lustro, popatrzył Willowi w oczy. – Bardzo wcześnie się zorientowałem, że jest inny. Wiedziałem, że nie mam co liczyć na takie życie z nim, jakim cieszą się inni ojcowie ze swoimi synami. Ale kochałem go i dobrze wychowałem. Mój syn nie jest mordercą.

Lena położyła mu dłoń na ramieniu.

– Był dobrym chłopcem – zapewniła go. – Bardzo dobrym człowiekiem.

Gordon wrzucił bieg, jasno sygnalizując, że nie chce kontynuować rozmowy. Will i Lena wysiedli. Patrzyli, jak ford odjeżdża ulicą.

Deszcz ustał, ale Lena mimo to naciągnęła na głowę kaptur kurtki. Wzięła głęboki oddech, potem wolno wypuściła powietrze:

– Tommy nie zabił Allison.

Will doszedł już do tego wniosku jakiś czas temu, ale zdziwił się, słysząc go teraz z jej ust.

– Skąd to nagłe objawienie?

– Przez większość dnia rozmawiałam z ludźmi, którzy go znali. Tak jak robiłabym to, gdyby jeszcze żył. – Skrzyżowała ramiona na piersi. – To był dobry dzieciak. Wpakował się w kłopoty w ten sam sposób co cała masa innych grzecznych dzieciaków: znalazł się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. I miał nóż w rękę.

– Chyba chciała pani powiedzieć: we właściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Tommy był we własnym mieszkaniu. W swoim garażu.

Nie oponowała.

– Dźgnął nożem funkcjonariusza.

– Nieumyślnie, z tego co słyszałem.

– Nieumyślnie – zgodziła się. – Nie mieliśmy prawa wejść do tego garażu. Brad ustalił adres, ale numeru nie ma na budynku. To ja nas tu przyprowadziłam. To ja powiedziałam, że Allison mieszka w garażu. To dlatego Brad zajrzał przez okno do środka. A to spowodowało wszystko, co nastąpiło później. – Odetchnęła płytko. Widział na jej twarzy strach, ale także determinację. – I co teraz? Jakie są procedury? Powinnam napisać oświadczenie? Przyznanie się do winy?

Will usiłował przejrzeć jej wielki plan. To nie mogło być tak łatwe.

– Cofnijmy się o sekundę. Do czego się pani przyznaje?

– Do nieuprawnionego wkroczenia do niewłaściwego mieszkania.

Czyli do włamania i naruszenia prywatności. Do niedopełnienia obowiązków, które doprowadziło do zranienia funkcjonariusza.

Dwóch funkcjonariuszy. Poza tym wymusiłam fałszywe przyznanie się do winy na oskarżonym. To ja odprowadzałam go do celi. Ja go nie zrewidowałam. Wkład, którym się zabił, pochodził z mojego długopisu. Mam kilka zapasowych, więc potem wsadziłam nowy, ale to ja nieumyślnie dostarczyłam osadzonemu niebezpieczne narzędzie. I oboje wiemy, że kłamałam i zwodziłam pana przez cały dzień. – Zaśmiała się z przymusem. – A to jest mataczenie i utrudnianie śledztwa, zgadza się?

– Zgadza – przyznał. – Chce pani to wszystko spisać?

– Może pan nagrać moje wyjaśnienia. – Zsunęła kaptur z głowy i popatrzyła na Willa. – Co mi grozi? Odsiadka?

– Nie wiem – przyznał, ale prawda wyglądała tak, że stąpała po kruchym lodzie. Niedopełnienie obowiązków nie miało umyślnego charakteru. Przesłuchiwała podejrzanego w dobrej wierze. Teraz współpracowała, nawet jeśli wcześniej mataczyła. Nie wykręcała się od odpowiedzialności. – Zapewne zostanie pani zawieszona na czas trwania mojego śledztwa. Na pewno stanie pani przed komisją dyscyplinarną. Mogą panią potraktować mniej lub bardziej surowo.

Prawdopodobnie będzie musiała się pani pożegnać z zabezpieczeniem emerytalnym. Jeśli nie, mogą pani skrócić staż służby, wpisać w akta okres bezpłatnego urlopu. Jeśli nie straci pani odznaki, cała afera będzie już do końca życia figurowała w pani aktach, co może znacznie utrudniać znalezienie pracy. I Gordon Braham może panią pozwać w procesie cywilnym.

Wydawało się, że nic z tego jej nie zaskoczyło. Sięgnęła do kieszeni.

– Czy mam już teraz oddać panu odznakę?

– Nie – zaproponował Will. – To nie leży już w mojej gestii. Ja tylko napiszę raport z dochodzenia. Na pewno sprawą zajmą się też ciała polityczne: rada miejska i różne inne cywilne komisje. Do czasu kiedy kwestia pani zawieszenia się nie wyjaśni, chyba komendant Wallace powinien zdecydować, co z panią zrobić.

Zaśmiała się smutno.

– Zdaje się, że już zdecydował.

Will bił się z myślami, zmagając z dziwnym dylematem. Wiedział, że Lena zaważyła sprawę, ale przecież nie tylko ona przyczyniła się do tej tragedii. Materiał dowodowy z garażu wskazywał na taki przebieg wydarzeń, który bardzo łatwo mogłaby wykorzystać do wyplątania się z tarapatów, a przynajmniej znacznego złagodzenia konsekwencji. Czuł się zmuszony zapytać:

– Jest pani pewna, że chce to zrobić?

– Tommy był moim aresztantem. Znajdował się pod moją pieczęcią. To ja byłam za niego odpowiedzialna.

Nie mógł się z tym spierać.

– Dlaczego zadzwoniła pani do Marty’ego Harrisa po rozmowie ze mną?

Zawahała się i zobaczył w jej oczach błysk dawnej przebiegłości.

– Chciałam znać szczegóły.

– Czyli?

Zrelacjonowała mu niechętnie tę samą historię, którą słyszał już z ust ochroniarza godzinę temu.

– Ustaliłam dane kontaktowe Jasona i zadzwoniłam do jego matki. Mieszka w Wirginii Zachodniej. Nie sprawiała wrażenia



szczególnie przejętej faktem, że policja dzwoni w sprawie jej syna.

– Ale skąd miała pani pewność co do tożsamości ofiary? – Zanim jeszcze dokończył pytanie, znał już odpowiedź. – Pojechała pani na uczelnię. – Musiała dzwonić do Willa z budynku, który to szczegół chytrze pominęła. – No, słucham?

– Byłam już tam, sprawdzając akta Allison, kiedy Marty do mnie zadzwonił. – Wzruszyła ramionami. – Musiałam się przekonać, czy to ten sam sprawca.

– I?

– Nie wiem. Ale to się trzyma kupy. Jason był chłopakiem Allison. Zginęli w odstępie jednodniowym. Tommy już nie pasuje do układanki.

To wyjaśniało przynajmniej jej nagłą wolę. Kiedy Jason zginął, Tommy już nie żył. Uznała, że jest niewinny pierwszej zbrodni, bo nie mógł popełnić drugiej.

– Zamknęła pani okno w pokoju Jasona?

– W rękawiczce. Nie chciałam, żeby deszcz zmył ślady. Osłoniłam także włosy i buty, byłam uważna, ale może pan na komendzie pobrać mój materiał porównawczy.

Will nie chciał teraz tracić czasu na jej besztanie.

– Co pani ustaliła na uczelni?

Wyjęła notatnik w spiralnej oprawie i przerzuciła kartki, aż znalazła właściwą stronę.

– Allison uczęszczała na cztery bloki zajęciowe w tym semestrze. Nie będę pana zanudzała szczegółami, generalnie chemia. Udało mi się skontaktować z trzema z jej wykładowców: jednego złapałam telefonicznie, z dwoma rozmawiałam osobiście. Wszyscy twierdzą, że była dobrą studentką, nie wychylała się, robiła, co do niej należało. Nie zauważyli, żeby trzymała się z jakąś grupką. Raczej typ samotniczki. Miała doskonałą frekwencję: ani jednego opuszczonego dnia. Piątki i czwórki. Ochrona kampusu nigdy o niej nie słyszała. Nie składała skarg ani nie była ich przedmiotem.

– A czwarty wykładowca?

– Alexandra Coulter. Wyjechała z miasta na święta. Zostawiłam jej wiadomość z prośbą o kontakt na sekretarce telefonu

stacjonarnego i poczcie głosowej komórki.

– A jacyś inni znajomi?

– Żaden z nauczycieli nie słyszał o Jasonie, ale to zrozumiałe. On był o kilka lat wyżej, kończył studia magisterskie. Ona robiła licencjat. Nie spotykali się na zajęciach. Innych przyjaciół nie miała. Sprawdziłam też Julie Smith, bo wcześniej wspomniał pan to nazwisko. Nie była studentką.

– A miała pani zgodę na wgląd w akta Allison?

– Nikt się o nią nie dopominał, a sama się nie wrywałam. – Dodała: – Rozmawiałam także z szefem Tommy’ego z kręgielni. Pokazałam mu zdjęcie Allison. Twierdzi, że widywał ją tam z innym chłopakiem: ciemnowłosym i puciołowatym; rysopis pasuje do Howella. Tommy pozwalał im grać za darmo, ale kierownik położył temu kres, gdy się dowiedział.

– No to przynajmniej wiemy, że spotykali się całą trójką – skonstatował Will. – Co jeszcze?

– Żadna Julie Smith nie jest zameldowana na terenie okręgu. W książce telefonicznej figuruje czterech Smithów: trzech z Heartsdale, jeden z Avondale. Zadzwoiłam do wszystkich. Nikt z nich nie zna żadnej Julie ani nie jest z nią spokrewniony. Powie mi pan, kim ona jest?

– Nie – rzucił Will, ale tylko dlatego, że sam nie wiedział. – Czy odezwała się już ciotka Allison?

– Ee-ee. Kilka minut temu dzwoniłam do tego detektywa z Elby. Nie był zachwycony, słysząc mnie znowu, powiedział, że się skontaktuje, gdy będzie miał coś do powiedzenia.

– Uznał, że go pani ponagla?

– Nie sprawia na mnie wrażenia mężczyzny, który lubi, jak kobieta mu rozkazuje.

Will potrafił go zrozumieć.

– Co jeszcze?

– Rozmawiałam z sąsiadami, wszystkimi z wyjątkiem pani Barnes, która tam mieszka. – Pokazała na żółty, jednopiętrowy dom po drugiej stronie ulicy. Przy skrzynce na listy stała zaparkowana stara honda accord. – W skrzynce nie ma

korespondencji, na ganku nie leży gazeta, a samochód nie stoi pod zadaszeniem, więc zakładam, że poszła coś załatwić.

– A co z tą hondą?

– Zerknęłam przez szybę. Lśni czystością. Mogę sprawdzić tablice w bazie danych.

– Proszę to zrobić – powiedział. – A co powiedzieli inni sąsiedzi?

– Dokładnie to samo co naszym funkcjonariuszom wczoraj.

Tommy był wspaniały, Allison spokojna. Żadne specjalnie nie udzielało się towarzysko w sąsiedztwie, to ulica zamieszкана przez starsze osoby. Nie ma tu wiele młodzieży.

– A jak z przestępczością?

– Niewielka. Dwie obciążone nieruchomości zostały zajęte. Dwa tygodnie temu chłopak mieszkający na końcu кварталу postanowił ukraść cadillaca mamusi i poszaleć sobie po okolicy. Dwa domy dalej mieszka ze swoimi dziadkami były narkoman. Czysty, odkąd go znamy. Trzeci dom, idąc w drugą stronę, zajmuje podglądacz na wózku. Odkąd ojciec zdemontował z ganku podjazd dla wózków, rzadziej wychodzi.

– A wyglądało to na takie miłe osiedle.

– Tylko dwie osoby były obecne, kiedy Brad został dźgnięty. – Pokazała na dom dwa numery dalej od mieszkania Barnesów. – Vanessa Livingston. Spóźniła się wtedy do pracy, bo zalało jej piwnicę. Czekwała na fachowca i wypatrywała go przez okno dokładnie w chwili, gdy to się zdarzyło.

– I co widziała?

– To samo co ja. Brad gonił Tommy'ego. Tommy się odwrócił. Trzymał w ręku nóż. – Przyłożyła dłoń do brzucha. – Brad się na niego nadział.

– A ten drugi sąsiad?

– Scott Shepherd. Zawodowy hazardzista, całe dni spędza przed komputerem. Samego zdarzenia nie widział, wyjrzał już po fakcie, gdy Brad leżał na ziemi, ja klęczałam obok.

– A Frank zatrzymywał Tommy'ego?

Zasznurowała wargi.

– Chce pan porozmawiać z Shepherdem?

– A powie mi, że Frank bił Tommy’ego czy że ni w ząb nie pamięta?

– Twierdzi, że nie widział Franka. Wszedł do domu i zadzwonił na komendę.

– Nie pod 911?

– Służy w ochotniczej straży pożarnej. Zna bezpośredni numer.

– Proszę, mała rzecz, a cieszy.

– Tak, zwłaszcza ja cieszę się teraz jak nagi w pokrzywach. – Zamknęła notatnik. – Tyle ustaliłam. Gordon mówi, że pod wycieraczką leży zapasowy klucz. Powinnam chyba wrócić do domu i zacząć się rozglądać za adwokatem.

– A może mogłaby mi pani pomóc?

Popatrzyła mu w oczy.

– Przed chwilą powiedział mi pan, że stracę odznakę.

– Ale nadal ma ją pani w kieszeni, tak?

– Nie wciskaj mi kitu, człowieku. Tylko dwa dni w moim życiu były gorsze od dzisiejszego: dzień, w którym umarła moja siostra, i ten, w którym straciłam Jeffreya.

– Potrafi być pani dobrym dochodzeniowcem, gdy chce.

– Nie sądzę, by to miało jeszcze jakieś znaczenie.

– To w takim razie co ma pani do stracenia?

Ruszył podjazdem, nasłuchując odgłosu kroków Leny. Tak naprawdę nie potrzebował jej pomocy, ale nie cierpiał, gdy go okłamywano. Frank Wallace siedział w tym gównie po szyję, jednak skwapliwie pozwalał, by jeden z jego ludzi jednoosobowo płacił za jego złe dowodzenie. Will nie czuł żadnej lojalności wobec Leny, ale myśl o zapijaczonym, nieuczciwym glinie rządzącym miejscową policją trochę go mierziła.

Znalazł klucz pod wycieraczką. Otwierał zamek, kiedy na ganku pojawiła się Lena.

– Miała pani jakieś wieści o detektywie Stephensie? – spytał.

– Bez zmian. To chyba dobrze.

– Dlaczego nie poinformowała pani komendanta Wallace’a o zwłokach w akademiku?

Wzruszyła ramionami.

– Sam pan powiedział, że jestem dobrym dochodzeniowcem, tylko gdy chcę.

Otworzył drzwi. Lena weszła pierwsza, podnosząc rękę wysoko do boku, czego pewnie nawet nie była świadoma. Will widział wiele razy, jak Faith przybiera podobną postawę. Przez dziesięć lat patrolowała ulice. Pewnych reakcji mięśnie nie są w stanie się oduczyć.

Salon znajdował się tuż przy wejściu. Umeblowanie było stare i ponure, taśma tekstylna zabezpieczała miejsca rozdarcia poduszek. Kosmaty chodnik w odcieniu pomarańczy leżał też w przedpokoju. Idąc do kuchni, Will czuł, jak czepia się butów. Tu miejsce dywanu zajęło żółte linoleum. Gordon nie zawracał sobie głowy remontem ani modernizacją pomieszczenia: jedynym nowym sprzętem była mikrofalówka z nierdzewnej stali stojąca na starym stole z plastikowego laminatu.

– Naczynia – zauważyła Lena. Na ociekaczu przy zlewie leżały dwa talerze, dwa widelce i dwie szklanki. Allison jadła posiłek w czyimś towarzystwie, potem jeszcze pozmywała po sobie.

Lena oderwała kawałek papierowego ręcznika i owinęła nim dłoń, żeby otworzyć lodówkę. Przez środek biegła niebieska taśma malarska. Półki zastawiały puszki z napojami gazowanymi. Nie było żadnego jedzenia z wyjątkiem wyschniętej pomarańczy i kubeczka puddingu. Zajrzała do zamrażarki. Komorę przedzielała na pół taka sama taśma, miejscami poodklejana na skutek wilgoci. Jedną część zawałała sterta dań mrożonych, w drugiej leżało opakowanie sorbetów na patyku i kilka deserów lodowych.

Will krawędzią dłoni uniósł pokrywę kubła na śmieci. Zobaczył dwa puste pudełka po pizzy od Souffera.

- Spytam Sarę o zawartość żołądka.
- Tommy miał więcej czasu na trawienie.
- Prawda.

Czubkiem buta otworzył żaluzjowe drzwi, spodziewając się znaleźć za nimi spiżarnię. Zobaczył jednak małą toaletę: sedes, niewielki prysznic, jeszcze mniejszą umywalkę. Łazienka znajdowała się przy tylnych drzwiach. Podejrzewał, że tej używali

lokatorzy wynajmujący garaż. Jej wygląd wskazywał jednoznacznie, że korzystał z niej młody mężczyzna: umywalka był brudna, otwór odpływowy natrysku zapchany włosami. Po podłodze wałały się ręczniki. Para brudnych, dosyć obskurnych bokserów leżała ciśnięta w róg. Will zauważył także na posadzce krótką skarpetę. Domyślił się, że druga od pary wędruje sobie powoli przewodem pokarmowym Pippy.

Nagle dotarło do niego, że nie ma za nim Leny. Przeszedł przez jadalnię, mijając szklany stół i dwa krzesła, i znalazł ją w małym gabinecie tuż obok pokoju dziennego. Pomieszczenie sprawiało wrażenie opuszczonego w pośpiechu. Podłogę zaścielały sterty makulatury: czasopisma, stare rachunki, gazety. Gordon musiał chyba urządzić tu sobie składowisko papierów. Lena sprawdziła szuflady biurka, z tego, co Will widział, także zawałonego fakturami i rachunkami. Jedyna półka w pokoju była pokryta kurzem i pusta, jeśli nie liczyć talerza zawierającego spleśniałe, nieidentyfikowalne resztki jakiejś potrawy. Obok stała szklanka z ciemnym, brudnym płynem.

Na dywanie widać było ślady odkurzacza, ale wyglądał na tak samo niechlujny i zaniedbany jak reszta domu. Na blacie stał mocno już wiekowy monitor. Lena wcisnęła włącznik, ale bez rezultatu. Will się schylił i zobaczył, że nie jest podłączony do zasilania. Ani do komputera, jeśli idzie o ścisłość.

Lena też to zauważyła.

– Pewnie zabrał sprzęt do Jill June. To jego dziewczyna.

– Widziała pani jakiś laptop w garażu?

Pokręciła głową.

– A czy Tommy w ogóle umiałby się nim posługiwać?

– Prawdopodobnie uruchamiał całą maszynę na kręgielni. Jest kontrolowana komputerowo. – Wzruszył ramionami, bo nie wiedział na pewno. – Gordon odłączył linię stacjonarną. Wątpię, żeby bulił za łącze internetowe.

– Pewnie nie. – Lena wysunęła ostatnią szufladę biurka.

Podniosła kartkę, przypominającą z wyglądu rachunek. –

Pięćdziesiąt dwa dolary. Dom musi mieć lepsze ocieplenie, niż na to

wygląda.

Will domyślił się, że znalazła fakturę za ogrzewanie.

– Albo Allison przykręcała kaloryfery. Dorastała w biedzie. Była gotowa mieszkać w garażu. Prawdopodobnie nie uśmiechało jej się wyrzucanie pieniędzy w błoto.

– Gordon też nie szastał forszą. To miejsce to nora. – Upuściła rachunek na blat. – Spleśniałe jedzenie na półce. Brudne ubrania na podłodze. Nie przeszłabym po tym dywanie bez butów.

Will zgodził się z nią w duchu.

– Sypialnie są prawdopodobnie na górze.

Dom był dwupoziomowy, schody bieging na tyłach pokoju dziennego. Poręcz miejscami odrywała się od ściany. W wytartej wykładzinie prześwitywała podklejka. Na szczycie schodów ich oczom ukazał się wąski korytarzyk. Po jednej jego stronie znajdowały się dwie pary uchylonych drzwi, po drugiej zamknięty pokój, koniec otwierał się na wyłożoną różowymi kaflami łazienkę.

Will zajrzał do pierwszego pokoju, który stał pusty z wyjątkiem stert makulatury i innych śmieci walających się po pomarańczowym kosmatym dywanie. Kolejny, trochę większy od poprzedniego, był skąpo umeblowany: na gołym materacu stał kosz ze złożonymi ubraniami w środku. Lena pokazała pustą szafę, wysunięte szuflady komody.

– Ktoś się stąd wyprowadził.

– Gordon Braham – domyślił się Will.

Patrzył na kosz ze starannie złożoną odzieżą. Z jakiegoś powodu zrobiło mu się smutno na myśl, że Allison przed śmiercią uprała ubrania swojego gospodarza.

Lena włożyła na rękę lateksową rękawiczkę, zanim zajrzała do ostatniego pokoju. Otwierając drzwi, znowu odruchowo podniosła dłoń do kabury. Znowu bez potrzeby.

– W tym musiała mieszkać Allison.

Pokój sprawiał wrażenie porządniejszego niż reszta domu, co jednak nie znaczyło, że był czysty. Allison Spooner na pewno nie należała do pedantek, ale przynajmniej nie rzucała ubrań na podłogę. A miała ich całą masę: koszule, bluzki, spodnie i sukienki

tak gęsto upakowane w szafie, że pręt wygiął się w środku pod ich ciężarem. Wieszaki z ciuchami wisiały też na karniszu i listwie wykończeniowej nad drzwiami szafy. Inne fatałaszkę były udrapowane na starym fotelu bujanym.

– Chyba lubiła się stroić – powiedział Will.

Lena podniosła parę džinsów ze sterty na dnie szafy.

– Seven. Nie są tanie. Ciekawa jestem, skąd miała na nie pieniądze.

Will mógł się domyślić. Ubrania, które nosił jako dziecko, pochodziły w większości ze wspólnego stosu. Nie było gwarancji, że człowiek znajdzie coś we własnym rozmiarze, a co dopiero stylu.

– Prawdopodobnie przez większość życia donaszała ciuchy po kimś. Teraz po raz pierwszy znalazła się poza domem, zaczęła zarabiać. Może po raz pierwszy miała szansę ładnie się ubrać.

– A może kradła po sklepach. – Lena rzuciła spodnie z powrotem na stertę.

Kontynuowała przeszukiwanie: uniosła materac, wsunęła dłoń między ubrania, podniosła buty i odstawiła je na miejsce. Will stał w wejściu i obserwował jej poczynania. Sprawiała wrażenie znacznie pewniejszej siebie. Chciał wiedzieć, co się zmieniło. Przyznanie się na pewno pomogło jej zrzucić część ciężaru z serca, ale zmiana w zachowaniu nie mogła wynikać tylko z rewelacji na temat Tommy'ego. Lena, którą zostawił rano, była roztrzęsiona, w każdej chwili gotowa zalać się łzami i pewna tylko jednej rzeczy: winy Brahama. Coś innego jeszcze jej wtedy ciążyło, ale teraz już znikło.

Ta jej nagła pewność budziła w nim podejrzenia.

– A co z tym?

Wskazał na szafkę nocną. Szuflada była lekko uchylona. Dłonią w rękawiczce Lena wysunęła ją do końca. W środku znajdował się blok do pisania, ołówek i latarka.

– Czytała pani kiedyś *Nancy Drew*? – spytał, ale była szybsza.

Zacieniowała ołówkiem pierwszą stronę i pokazała Willowi.

– Żadnej notatki ani listu.

– Nigdy nie zawadzi sprawdzić.



– Możemy wywrócić ten pokój do góry nogami, ale nic mi się nie rzuca w oczy.

– Na pewno nie różowa torba na książki.

Wbiła w niego wzrok.

– Ktoś panu powiedział, że Allison miała taką?

– Ktoś mi także powiedział, że miała też samochód.

– Zardzewiałego dodge'a daytona? – domyśliła się. Musiała słyszeć komunikat o poszukiwaniach, który Faith nadała rano.

– Zajrzyjmy jeszcze do łazienki – zaproponował i ruszył za Leną korytarzem.

Jeszcze raz pozwolił jej prowadzić przeszukanie. Otworzyła szafkę na leki. W środku znajdował się zwyczajowy zestaw: podpaski, tampony, flakonik perfum, paracetamol i kilka innych środków przeciwbólowych oraz szczotka. Lena sprawdziła tabletki antykoncepcyjne: mniej niż jedna trzecia nadal tkwiła w blistrze.

– Brała regularnie.

Zerknął na etykietę z apteki na opakowaniu, ale nie kojarzył widniejącego na górze logo.

– Czy to jakaś lokalna apteka?

– Uczelniana.

– A ordynujący lekarz?

Rzuciła okiem na nazwisko i pokręciła głową.

– Nie znam. Prawdopodobnie ktoś z jej rodzinnego miasta. –

Otworzyła szafkę pod zlewem. – Papier toaletowy. Tampony.

Podpaski. – Zajrzała do pudełek. – Nic, czego tu być nie powinno.

Will patrzył na otwartą apteczkę. Coś mu nie grało. Miała dwie półki, trzy, jeśli liczyć podstawę szafki. Wydawało się, że środkowa przeznaczona jest na lekarstwa: opakowanie tabletek antykoncepcyjnych było wciśnięte między buteleczki Ibuproenu i Advilu, stojące przy bocznej ścianie tuż przy zawiasach.

Paracetamol leżał po drugiej stronie, też przy ścianie. Will przyglądał się pozostałej w środku luce, zastanawiając się, czy nie stała tam wcześniej jakaś fiolka.

– O co chodzi? – spytała Lena.

– Powinna pani pokazać lekarzowi tę dłoń.

Zgięła i rozprostowała palce. Plastry były zabrudzone i obdarte na brzegach.

– Nic mi nie jest.

– Wygląda tak, jakby wdało się zakażenie. Nie chce chyba pani, żeby się uogólniło.

Podniosła się.

– Jedyne lekarstwo w mieście wynajmuje pomieszczenia w przychodni dla dzieci. Hare Earnshaw.

– Kuzyn Sary.

– Nie bardzo chciałby mnie leczyć.

– A do kogo pani zazwyczaj chodzi?

– A to już chyba nie pańska sprawa. – Podniosła tanią roletę na oknie. – Na podjeździe pani Barnes stoi jakiś samochód.

– Niech pani poczeka na mnie na zewnątrz.

– Dlaczego pan... – Urwała. – Dobrze.

Will ruszył za nią korytarzem. Kiedy zatrzymał się przed pokojem Allison, odwróciła się, ale nie odezwała. Bez słowa zeszła po schodach. Will nie podejrzewał, by w pokoju dziewczyny znajdowało się coś interesującego. Lena sprawdziła go dokładnie. Jego uwagę najbardziej przykuł fakt, ilu rzeczy brakowało: laptopa. Podręczników. Zeszytów. Nie było śladu różowej torby. W ogóle niczego, poza ogromnym nareczem ubrań, co świadczyłoby o tym, że w klitce zamieszkiwała studentka. Czyżby ktoś zabrał rzeczy Allison? Najprawdopodobniej leżały w jej samochodzie, Bóg jeden wie gdzie zaparkowanym.

Usłyszał, jak drzwi frontowe się otwierają i zamykają. Wyrzwał przez okno i zobaczył Lenę idącą podjazdem w kierunku radiowozu. Rozmawiała przez komórkę. Wiedział, że nie z Frankiem. Może szukała adwokata.

Ale miał teraz pilniejsze sprawy na głowie. Poszedł do łazienki, zrobił telefonem zdjęcia apteczki i zszedł do łazienki Tommy'ego Brahama. Następując na walające się po podłodze ręczniki i bieliznę, podszedł do apteczki. Otworzył lustrzane drzwiczki. W środku znajdowała się tylko pomarańczowa plastikowa fiolka na lekarstwa. Pochylił się nad nią. Słowa na etykiecie były małe,

oświetlenie kiepskie, a on miał dysleksję.

Wykonał telefonem kolejne zdjęcie. Przesłał je Faith i dołączył SMS-a z trzema znakami zapytania.

Jego chusteczka znowu powędrowała do Sary. Rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś, przez co mógłby wziąć do ręki buteleczkę, nie zostawiając na niej odcisków palców. Nie wiedzieć czemu wzdragał się przed skorzystaniem z bokserek Tommy'ego lub brudnej skarpetki. W końcu odwinął kawałek papieru toaletowego z rolki ustawionej na muszli i przez niego podniósł fiolkę. Ponieważ zakrętka dała się łatwo zdjąć, zajrzał do środka i zobaczył garść przezroczystych kapsułek z białym proszkiem wewnątrz. Wytrząsnął jedną na dłoń. Nie miała logo firmy farmaceutycznej, znaku wytwórcy ani nazwy na ściance.

Na filmach policjanci zawsze próbują palcem biały proszek, który znajdują. Will się zastanawiał, dlaczego dilerzy narkotykowi nie usypują kopczyków trutki na szczury z tego tylko powodu. Postawił buteleczkę na brzegu umywalki, żeby sfotografować kapsułek, którą trzymał w dłoni. Potem zrobił jeszcze zbliżenie etykiety i oba zdjęcia wysłał Faith.

Sam z zasady trzymał się z daleka od lekarzy. Nie mógł odczytać danych z ubezpieczenia, gdy dzwonił, żeby się umówić na wizytę. Nie potrafił wypełnić formularzy, gdy siedział w poczekalni. Kiedyś Angie była uprzejma zarazić go kiłą, w rezultacie czego musiał przez dwa tygodnie przyjmować po cztery tabletki dziennie. Skutkiem tego wiedział, jak wygląda etykiетка apteczna. Na górze zawsze znajdowało się logo apteki, niżej nazwisko ordynującego lek lekarza, numer recepty, dane pacjenta, przepisana dawka i sposób przyjmowania leku, naklejki ostrzegawcze.

Ta etykieta jednak na pierwszy rzut oka nie zawierała żadnej z tych informacji. Nie była nawet właściwego rozmiaru – krótsza o połowę i węższa. U góry biegł ciąg drukowanych cyfr, ale reszta danych napisana była ręcznie, i to kursywą, co znaczyło, że Will nie miał pojęcia, czy patrzy na heroinę czy paracetamol.

Zdzwoniła jego komórka.

– Co to, u licha, jest? – spytała Faith.

– Znalazisko z apteczki Tommy’ego.

– Siedem – dziewięć – dziewięć – trzy – dwa – sześć – pięć – trzy – odczytała. – „Tommy, nie bierz tego” napisane przez środek kursywą. Z wykrzyknikiem na końcu. „Nie bierz” podkreślone.

Will zmówił w duchu dziękczynne modły za to, że nie pokusił się o spróbowanie białego proszku.

– Pismo jest kobiece?

– Z wyglądu. Duże i z zawijasami. Pochylone w prawo, więc piszcząca jest praworęczna.

– Dlaczego Tommy miał butelkę proszków z ostrzeżeniem, by ich nie zażywał?

– A co z tymi trzema literami na dole? Jakby H–O–P, albo H–P–P?

Will wbił wzrok w drobne literki w rogu etykiety. Kontury się rozmazywały i zaczęła go boleć głowa.

– Nie mam pojęcia. Zrobiłem maksymalne zbliżenie. Poproszę Nicka, żeby zabrał to do laboratorium razem z resztą materiałów. Prześwietliłaś Jasona Howella?

– Jeszcze gorszy przypadek niż Allison, jeśli to możliwe. Zero telefonu. Zero danych adresowych z wyjątkiem skrytki pocztowej w szkole. Ma cztery tysiące na rachunku oszczędnościowym banku z Wirginii Zachodniej.

– To interesujące.

– Nie tak bardzo, jak ci się wydaje. Suma była większa, ale stopniowo topniała w ciągu ostatnich czterech lat. Stawiałabym, że to jakiś fundusz na studia. Miał także samochód zarejestrowany na swoje nazwisko. Saturn kombi z dziewięćdziesiątego dziewiątego. Wydałam nakaz poszukiwania.

To przynajmniej było już coś.

– Sprawdzę, czy nie stoi gdzieś na terenie kampusu. A jak idzie prześwietlanie studentów z akademika Jasona?

– Wolno i nużąco. Żaden z tych dzieciaków w życiu nie dostał nawet mandatu. Ja w ich wieku miałam już za sobą zarzut jazdy pod wpływem i kradzieży w sklepie. – Roześmiała się. – Tylko, błagam, obiecuj, że mi tego nie będziesz wypominał, gdy któreś z

moich dzieci wpakuje się w kłopoty.

Will był zbyt zszokowany, by cokolwiek obiecywać.

– Udało ci się zdobyć zapis audio zgłoszenia pod 911?

– Mieli mi go przesłać mailem, ale jak dotąd nie dotarł. – Miała zadyszkę i domyślił się, że chodzi po domu. – Sprawdzę w sieci te inicjały z fiolki z proszkami.

– A ja spytam Gordona, czy jego syn przyjmował jakieś leki.

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł?

– To znaczy?

– A jeśli Tommy handlował nielegalnymi prochami?

Will miał spore problemy z wyobrażeniem sobie Tommy'ego w roli narkotykowego bossa. Mimo to przyznał:

– Znał wszystkich w miasteczku. Non stop gdzieś chodził, gdzieś się kręcił. To byłaby świetna przykrywka.

– A czym zajmuje się jego tata?

– Zdaje się, że jest monterem linii elektrycznych w stanowej elektrowni.

– Jak żyją?

Will rozejrzał się po obskurnej kuchni.

– Nie za dobrze. Furgonetka Gordona ma z dziesięć lat. Tommy mieszkał w garażu bez toalety. Wynajmowali pokój, żeby jakoś związać koniec z końcem. Dom musiał być naprawę ładny jakieś trzydzieści lat temu, ale niewiele zrobili, by go utrzymać w tym stanie.

– Kiedy sprawdzałam Tommy'ego, odkryłam, że miał konto w miejscowym banku. Aktualne saldo: trzydzieści jeden dolarów i sześćdziesiąt osiem centów. Wspominałeś, że tatuś był na Florydzie?

Zrozumiał, do czego pije. Floryda stanowiła początek korytarza narkotykowego ciągnącego się od archipelagu Keys przez Georgię do Nowej Anglii i Kanady.

– Jakoś nie wygląda mi to na sprawę narkotykową.

– A według mnie ten nóż w karku pachnie gangami.

Will nie mógł zaprzeczyć.

Spytała:

– Co jeszcze masz?

– Detektyw Adams uznała za stosowne przyznać się do udziału w samobójstwie Tommy'ego Brahama.

Chociaż raz Faith nie miała natychmiastowej odpowiedzi.

– Powiedziała, że Tommy nie zabił Allison, że odebrał sobie życie w areszcie na skutek niedopełnienia przez nią obowiązków i że jest gotowa wziąć na siebie całą winę.

Faith mruknęła w zamyśleniu.

– Ciekawe, co ukrywa?

– Raczej czego nie ukrywa – skorygował Will. – Nakłamała i zataiła tyle informacji, że ustalenie tego przypominałoby szukanie igły w stogu siana. – Wszedł do kuchni, szukając plastikowej torebki. – Allison miała dużo ładnych ubrań.

– Co studiowała?

– Chemię.

– Boże, cud, że trafiasz jakoś łyżką do ust. – Faith była zirytowana jego tępotą. – Chemia? Syntetyzowanie substancji chemicznych w celu uzyskania bardziej złożonych związków, na przykład metamfetaminy z pseudoefedryny?

Will znalazł pudełko foliówek w ostatniej szufladzie, do której zajrzał.

– Jeśli Allison produkowała metę albo ją brała, to musiała zachowywać nadzwyczajną ostrożność. Nie znaleźliśmy na ciele żadnych śladów po igłach. W domu i garażu nie ma rurek, fajek ani innych narkotykowych akcesoriów. Sara na pewno pobierze materiał i wyśle do analizy chemiczno-toksykologicznej w ramach sekcji, ale nie kupuję tego.

– A Tommy?

– Będę musiał zadzwonić do Sary. – Czekał, żeby rzuciła jakąś sarkastyczną uwagę na temat nadużywania przez niego tego imienia.

Jakimś cudem nie skorzystała z okazji.

– W okręgu Grant nie ma żadnej firmy o nazwie H–O–P czy H–P–P. Spróbuję jeszcze sprawdzić ten numer u góry etykiety. Osiem cyfr. Za dużo jak na normalny kod pocztowy, za mało jak na

rozszerzony. O jedną cyfrę za długi jak na numer telefonu i o jedną za krótki jak na numer ubezpieczenia społecznego. Poczekaj, wrzucę w wyszukiwarke i zobaczymy, co wyskoczy.

Will umieścił fiolkę w znalezionej foliówce, czekając na rezultat.

Faith jęknęła.

– Jezu, czy przy każdym wyszukiwaniu muszą się pojawiać strony z pornolami?

– Widać sieć czuje wolę bożą.

– Szkoda, że nie pismo nosem – odparowała. – Bo nic tu nie znajduję. Mogę podzwonić po stanie. Wiesz, jak niektóre kmiotki wolno wprowadzają akta spraw do sieci. I tak siedzę tu z założonymi rękami, czekając, aż mama będzie uprzejma się zjawić i zawieźć mnie do szpitala.

– Będę wdzięczny za wszystko, co zrobisz.

– Jeśli obejrzę jeszcze jeden program o urządzaniu domu, położę się plackiem i będę błagała, żeby ktoś był łaskaw dźgnąć mnie w kark nożem. W dodatku mam fatalne wiatry. Czuję się jak...

– Przepraszam, muszę kończyć. Jeszcze raz dzięki za pomoc. – Will pospiesznie opuścił klapkę aparatu, żeby zakończyć rozmowę. Zamknął drzwi wyjściowe na zamek i włożył fiolkę z kapsułkami do porsche.

Lena nadal gadała przez komórkę, ale rozłączyła się na widok Willa.

– Honda należy do niejakiej Darli Jackson. Jest na warunkowym za wypisywanie czeków bez pokrycia dwa lata temu. Spłaciła całość. W styczniu kończy jej się okres próby.

– Rozmawiała pani z nią?

Lena obejrzała się przez ramię.

– Zdaje się, że teraz będziemy mieli okazję.

Will się odwrócił. Po podjeździe stojącego po drugiej stronie ulicy domu szła starsza kobieta. Opierała się na balkoniku z metalowym koszykiem z przodu. Jaskrawożółte piłki tenisowe były nasadzone na jego tylne nogi. Otworzyły się frontowe drzwi domu i kobieta ubrana w różowy pielęgniarzki uniform zawołała:

– Pani Barnes! Zapomniała pani płaszcz!

Staruszka nie wydawała się tym szczególnie strapiona, choć miała na sobie tylko bambosze i podomkę. Silny wiatr podwiewał jej brzeg, gdy wspinała się stromym podjazdem. Na szczęście gumowe podeszwy frotowych kapci trzymały się mocno mokrego betonu.

– Pani Barnes! – Pielęgniarka, duża dziewczyna z szerokimi barkami i słusznym biustem, rzuciła się za swoją podopieczną z okryciem wierzchnim w rękę. Dyszała, gdy w końcu dogoniła staruszkę. Zarzuciła jej płaszcz na ramiona, mówiąc: – Zamarznie pani na śmierć.

Lena podeszła do kobiet.

– Pani Barnes, to jest agent Trent ze stanowego biura śledczego. Staruszka zmarszczyła tylko nos.

– Czego pan chce?

Will poczuł się jak trzecioklasista besztany za szkolne przewinienia.

– Chciałbym porozmawiać z panią o Allison i Tommym, jeśli ma pani wolną chwilę.

– Najwyraźniej uznał pan już, że mam.

Will zerknął na jej skrzynkę pocztową, przypominając sobie numer domu z jednej z policyjnych notatek urzędowych w sprawie interwencji.

– Ktoś z pani telefonu zadzwonił na policję, skarżąc się na szczekanie psa Tommy’ego. Pani nazwisko nie figuruje w zgłoszeniu.

– To ja dzwoniłam – przyznała pielęgniarka. – Opiekuję się panią Barnes wieczorami. Zwykle przychodzę dopiero o siódmej, ale dzisiaj potrzebowała pomocy w pracach domowych, a ja nie miałam akurat niczego lepszego do roboty.

Will nie miał pojęcia, że zrobiło się już tak późno. Zerknął na wyświetlacz komórki i zobaczył, że dochodzi trzecia. Za niecałą godzinę Faith jedzie do szpitala. Spytał:

– Jest tu pani co wieczór?

– Z wyjątkiem czwartków i ostatniej niedzieli każdego miesiąca, kiedy mam wolne.



Musiał jeszcze raz wolniej odtworzyć sobie w myślach to, co powiedziała, żeby zrozumieć sens. Zaciągała nosowo silniej niż ktokolwiek, kogo tutaj poznał.

Lena wyjęła notatnik i długopis.

– Mogę prosić pani godność? – rzuciła.

– Darla Jackson. – Kobieta sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła wizytówkę. Jaskrawoczerwone tipsy konweniowały idealnie z grubą skorupą makijażu na twarzy. – Pracuję w E-Medzie naprzeciwko komendy.

Lena wskazała wiekową hondę zaparkowaną przed domem. Wprawdzie znała już odpowiedź, mimo to spytała:

– Należy do pani?

– Tak, psze pani. Stary gruchot, ale spleacony. Zawsze reguluję wszystkie płatności na czas. – Popatrzyła na nich znacząco i Will domyślił się, że pani Barnes nic nie wie o lewych czekach.

Lena podała mu wizytówkę. Wbił wzrok w kartonik na kilka sekund, zanim zapytał:

– Dlaczego zadzwoniła pani na policję ze skargą na Tommy’ego?

Otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale pani Barnes ją ubiegła, zwracając się bezpośrednio do Willa:

– Ten dzieciaczek w życiu muchy by nie skrzywdził. Gołębiego serca chłopiec i łagodny jak baranek.

Will wsadził ręce do kieszeni, bojąc się, że zaraz popękają mu zdrewniałe na kość palce. Musiał dowiedzieć się czegoś więcej o nagłej zmianie nastroju Tommy’ego, na wypadek gdyby Faith miała rację w sprawie proszków, które znalazł w apteczce chłopca.

– Według policyjnej notatki Tommy na kogoś krzyczał.

Domyślam się, że chodziło o panią, pani Jackson? – Skinęła głową, a Will zastanawiał się, dlaczego w notatce nie pojawia się jej nazwisko. Wydawało się dziwne, że interweniujący funkcjonariusz nie spisał jej personaliów. – Może mi pani powiedzieć, co wtedy zaszło?

– Cóż, po pierwsze to nie miałam pojęcia, że jest niedorozwinięty – rzuciła prawie przeprasząco. – Jako dyplomowana pielęgniarka staram się ze współczuciem podchodzić do osób specjalnej troski,

ale to małe bydlę ujadło jak szalone, a pani Barnes właśnie usiłowała zasnąć...

– Cierpię na potworną bezsenność – wtrąciła staruszka.

– No i chyba trochę mnie nerwy poniosły. Poszłam tam powiedzieć mu, żeby uciszył psa, a on mi mówi, że nie może, no to ja na to, że zaraz zadzwonię po raka ze schroniska i że tam już go uciszą na dobre. W sensie, że na śmierć. – Wydawała się zażenowana. – Wróciłam do domu i nagle słyszę hałas. Wyglądam przez okno od frontu, patrzę: szyba jest pęknięta. Widać jeszcze taśmę, którą ją zabezpieczyłam. – Will zerknął na dom. Na dole okna biegła srebrna linia.

– Na szczęście przysłali Carla Phillipa – podjęła pani Barnes. – Uczyłam go w piątej klasie. – Przyłożyła dłoń do piersi. – Wszyscy razem uznaliśmy, że najlepiej będzie załatwić to z Gordonem, gdy wróci z Florydy.

– Pracuje tu pani co wieczór? – Will zmienił temat, zwracając się do pielęgniarki. – Czy była tu pani także w niedzielę i wczoraj wieczorem?

– Tak. Nie odstępowałam pani Barnes przez ostatnie trzy dni. Nowy lek, który przepisał lekarz, nasilił kłopoty ze snem.

– Prawda – zgodziła się kobieta. – Nie mogę nawet na chwilę zmrużyć oka.

– Czy widziałyście, panie, jakiś ruch przed domem Brahamów? Przyjeżdżające i odjeżdżające samochody? Może Tommy korzystał ze skutera?

– Sypialnia jest na tyłach domu – wyjaśniła pielęgniarka. – Całą noc w niej siedziałyśmy, żeby było bliżej do toalety.

– Darla, proszę – ostrzegła pani Barnes. – To państwa nie interesuje.

– Czy któraś z pań znała Allison Spooner? Mieszkała naprzeciwko, w domu Gordona – spytała Lena.

Obie zrobiły się nagle bardziej powściągliwe. Darla rzuciła:

– Widywałam ją.

– A jej chłopaka?

– Czasami.

– Wie pani, jak się nazywa?

Pokręciła głową.

– Często pojawiał się i znikał. Czasami słyszałam, jak się na siebie darli. Kłócili. Sprawiał wrażenie dosyć nieopanowanego.

Will wiedział z doświadczenia, że nauczyciele potrafią całkiem trafnie ocenić człowieka na pierwszy rzut oka.

– A co pani o nim powie, pani Barnes? – spytał.

– Widziałam go raz czy dwa – rzuciła tylko.

– Czy kiedykolwiek słyszała pani, żeby sprzeczał się z Allison?

Dotknęła palcami ucha.

– Wzrok szwankuje, uszy też już nie te co dawniej.

Will pomyślał, że nagle zrobiła się wyjątkowo taktowna, bo z pewnością słyszała szczekanie psa. Oczywiście, niewiele osób chce mówić źle o zmarłych. Szedł o zakład, że jeszcze tydzień temu miałyby mnóstwo do powiedzenia na temat Allison Spooner.

– A widziała pani może jej samochód na podjeździe ostatnio?

– Gordon prosił, żeby parkowała na ulicy, bo olej przeciekał – poinformowała pani Barnes. – Ale już dawno nie rzucił mi się w oczy. Na pewno nie widziałam go w ten weekend.

– Ja też nie – potwierdziła Darla.

– A wóz jej chłopaka? Zauważyły panie, czym jeździł?

Obie pokręciły głowami. Pielęgniarka dodała:

– Nie wyznaję się na markach i takich tam. To było kombi. Zielone albo niebieskie. Wiem, że to specjalnie wam nie pomoże.

– Czy ktoś odwiedzał Allison? Mężczyźni albo kobiety?

– Tylko ten jej chłopak – rzuciła Darla. – Taki ciapciak o świdrujących oczkach.

Will poczuł, jak kropla deszczu spadła mu na czubek głowy.

– Rozmawiała z nim pani kiedyś?

– Nie, ale ciepłe kluchy wyczuwam na milę. – Ni stąd, ni zowąd zaśmiała się rehotliwie. – Prowadzałam się z całą masą podobnych.

– Rzecz w tym – wtrąciła się pani Barnes – że Tommy nie skrzywdził tej dziewczyny. – Spiorunowała wzrokiem Lenę. – I ty dobrze o tym wiesz.

– Wiem – przyznała Lena.

To zamknęło jej usta. Popatrzyła na pielęgniarkę.

– Chyba już pójdę.

Will chciał ją zatrzymać:

– Pani Barnes...

Przerwała mu:

– Mój syn jest prawnikiem. Jeśli ma pan do mnie jeszcze jakieś pytania, proszę kierować je do niego. Chodź, Darla. Zaraz nadają mój program. – Wykreśliła balkonik i zaczęła mozolny marsz z powrotem.

Pielęgniarka wzruszyła przepaszająco ramionami i poszła za nią.

– Chyba jeszcze nigdy żadna staruszka z balkonikiem nie straszyla mnie adwokatem.

Powietrze raptem rozdzwoniło się głośnym szumem, jakby cały chór cykad rozspiewał się jednocześnie. Z chmur popłynął na ziemię kapuśniaczek. Will zamrugał, czując, jak krople deszczu czepiają mu się rzęs.

– I co teraz? – spytała Lena.

– To chyba zależy od pani. – Popatrzył znowu na telefon, sprawdzając czas. Charlie zaraz powinien się zjawić. – Może pani wrócić ze mną na uczelnię albo zacząć się rozglądać za adwokatem.

Nie zastanawiała się nawet przez chwilę.

– Pana samochodem czy moim?

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Ledwo opuścili Taylor Drive, lunęło jak z cebra. Widoczność zrobiła się kiepska. Lena sunęła tonącymi w deszczu ulicami, nie przekraczając pięćdziesiątki. Zziębnięta dłoń zaczynała ją rwać w miejscu obrażenia. Zgięła i rozprostowała palce, żeby pobudzić krążenie. Nie było wątpliwości, że w ranę wdało się zakażenie. Jej samej robiło się gorąco i zimno jednocześnie, z tyłu głowy narastał ból.

Mimo to już dawno nie czuła się tak dobrze. Nie tylko dlatego, że zrzuciła z serca ciężar w sprawie Tommy'ego, ale także dlatego, że znalazła wreszcie sposób, żeby wyjść cało z tej opresji. Ostatniej. Przymknęła sobie, że od tej pory będzie postępować, jak należy. Żadnych dróg na skróty. Żadnego ryzyka.

Frank nie może jej winić, że posypała głowę popiołem, a jeśli nawet, to niech się wali. Will Trent i tak się domyślił, co się stało w garażu, ale nie może tego udowodnić bez Leny, a ona nie zamierza mówić. To jest jej hak na Franka. Jej bilet do wolności. Jeśli on chce się zapić na śmierć, jeśli chce ryzykować życie na ulicy, jego sprawa. Droga wolna. Ona umywa ręce.

Teraz ciążyła jej już tylko śmierć Tommy'ego Brahama. Będzie musiała poradzić się adwokata, jak załatwić sprawę z władzami okręgu, ale nie zamierzała z nimi walczyć. Zasługiwała na karę. Tommy był jej aresztantem, znajdował się pod jej pieczęcią. Tymczasem ona na dobrą sprawę podała mu jak na tacy narzędzie do odebrania sobie życia. Nie zamierzała szukać kruczków prawnych, obchodzić luk w systemie. Gordon Braham pozwie ją albo i nie. Wiedziała tylko jedno: skończyła z tym miastem. Mimo

że uwielbiała robotę w policji, kochała adrenalinę, która jej towarzyszyła, i uczucie, że wykonuje pracę, której prawie nikt na świecie nie chciał – lub nie był w stanie – wykonywać, musiała iść dalej.

Will poruszył się na fotelu obok. Pół dnia sterczał na deszczu. Jego sweter nadawał się do wyżęcia, dzinsy nie miały nawet czasu podeschnąć. Wiele dało się powiedzieć o tym człowieku, ale na pewno nie sposób było odmówić mu determinacji.

– Kiedy się tym zajmiemy? – spytała. – Moim przyznaniem się do winy?

– Skąd ten pośpiech?

Wzruszyła ramionami. I tak by nie zrozumiał. Miała trzydzieści pięć lat i perspektywę zaczynania od zera w okresie największego bezrobocia od czasów Wielkiego Kryzysu. Po prostu chciała mieć to już za sobą. Najgorsza jest niepewność. Odejdzie, ale jak drogo przyjdzie jej to okupić?

– Może uda się pani wynegocjować jakiś układ – powiedział.

– Musiałabym najpierw mieć coś na wymianę.

– Myślę, że ma pani.

Była odmiennego zdania. Oboje wiedzieli wprawdzie, że wsypanie Franka zapewniłoby jej zdecydowanie łagodniejsze lądowanie. Will nie miał jednak pojęcia, że Frank także skutecznie trzyma ją w szachu. Żeby jej plan się powiódł, musiała trzymać usta na kłódkę. Teraz było już za późno, żeby się wycofać.

– Niech mi pani powie, jak się przedstawia sytuacja narkotykowa w mieście – poprosił.

Zaskoczyło ją to pytanie.

– Nie za bardzo jest o czym mówić. Ochrona kampusu zajmuje się większością drobnych incydentów na uczelni: głównie trawką, czasami pojawia się trochę koki, bardzo rzadko meta.

– A jak jest poza uczelnią?

– Heartsdale jest raczej czyste, to miasto bogatych ludzi, a ci znacznie lepiej ukrywają swoje nałogi. – Zwolniła, dojeżdżając do czerwonych świateł na Main Street. – W Avondale nie jest źle, przeważa klasa robotnicza, pracujące mamy popalają metę po

położeniu dzieci do łóżek. Madison to krzyż pański. Bieda aż piszczy: bardzo wysokie bezrobocie, stuprocentowe dopłaty żywieniowe do obiadów dla wszystkich dzieci. Kilka małych gangów dilujących metą. Na szczęście zabijają się głównie w swoim gronie, nie ruszają ludności cywilnej. W budżecie policji brakuje pieniędzy na zakupy kontrolowane czy szeroko zakrojone operacje. Wyłapujemy gnoi w miarę możliwości, ale są jak karaluchy. Pozbędzisz się jednego, a na jego miejsce zaraz zjawia się dziesięciu innych.

– Myśli pani, że Tommy mógł handlować narkotykami?

Najwyraźniej szczerze ją ubawiła taka ewentualność.

– Żartuje pan?

– Nie.

– W żadnym wypadku. – Pokręciła głową zdecydowanie. – Gdyby coś takiego miało miejsce, pani Barnes pierwsza sięgnęłaby po słuchawkę telefonu, nie oglądając się na pielęgniarkę. Zbyt wiele osób pilnowało go zbyt dokładnie.

– A co z Allison? Może ona brała?

To pytanie potraktowała poważnie.

– Nie odkryliśmy niczego, co by ją łączyło z narkotykami. Ledwo wiązała koniec z końcem, mieszkała w norze. Dobrze się uczyła. Nie opuściła ani jednego dnia zajęć. Jeśli sprzedawała towar, to bardzo marnie jej szło, a jeśli sama dawała w kanał, to trzymała się doskonale.

– Racja, racja. – Zmienił temat. – To się bardzo dogodnie dla kogoś składa, że Jason Howell zginął, zanim zdążyliśmy go przesłuchać.

Patrzyła na sygnalizator, zastanawiając się, czy nie przejechać na czerwonym.

– Chyba zabójca się bał, że chłopak będzie mówić.

– Może.

– Sara coś znalazła?

– Nic niezwykłego.

Zerknęła na Willa. Do perfekcji opanował sztukę udzielania wymijających odpowiedzi.

– Zobaczymy, co pokażą sekcje.

Światło w końcu się zmieniło. Lena gwałtownie odbiła kierownicą w bok. Tylne koła zabuksowały, gdy wcisnęła gaz.

– Wiem, że ze sobą sypiacie.

Will zaśmiał się zaskoczony.

– Hm.

– To nic złego – zapewniła, choć nie było jej łatwo to przyznać. – Znałam Jeffreya. Większość służby spędziłam u jego boku. Nie należał do wylewnych gości, zwierających się na prawo i lewo, ale wszyscy wiedzieli, co czuł do Sary. Chciałby, żeby znalazła sobie kogoś. Nie jest osobą, która dobrze znosi samotność.

Will milczał przez kilka sekund.

– To miło, że akurat pani mówi coś takiego.

– Taa, cóż, nie spodziewam się, żeby ona powiedziała coś miłego o mnie. – Przerzuciła wycieraczki na najwyższy bieg, bo deszcz coraz mocniej walił o szybę. – Głowę daję, że przedstawiła mnie już w odpowiednim świetle.

– A co takiego mogłaby mi opowiedzieć?

– Nic dobrego.

– Naprawdę?

Teraz Lena się roześmiała.

– Ciągłe zadaje pan pytania, na które już zna odpowiedź. – Odezwała się jej komórka, wypełniając wnętrze otwierającymi dźwiękami *Barrakudy* Heartów. Zerknęła na wyświetlacz. Frank. Przekierowała połączenie na pocztę głosową.

– Dlaczego uczelnia dzwoni bezpośrednio do pani, gdy pojawia się jakiś problem?

– Znam wielu gości z ochrony kampusu.

– Z okresu, gdy pani tam pracowała?

Chciała spytać, skąd o tym wie, ale nie podejrzewała, by wiele się dowiedziała z jego odpowiedzi.

– Nie, znam ich jako funkcjonariusz kontaktowy. Ludzi, z którymi pracowałam, już tam nie ma.

– Frank, zdaje się, zrzuca dużo roboty na pani barki.

– Daję radę – zapewniła, choć nagle dotarło do niej, że nie ma to



już znaczenia. Od tej pory o świcie będą zrywać ją z łóżka jedynie pomyłkowe połączenia.

– A jak wygląda system zabezpieczenia kampusu? Tak samo jak za pani czasów?

– Wiele się zmieniło po Virginia Tech.

Will oczywiście słyszał o masakrze na uczelni, najkrwawszej w całej historii kraju.

– Wie pan, jak działają instytucje: reaktywnie, nie prewencyjnie. Ponieważ największą liczbę osób zginęło w budynkach wydziału inżynierii, wszystkie inne uczelnie zaostrzyły środki bezpieczeństwa głównie w laboratoriach i salach ćwiczeń.

– Pierwsze ofiary zostały zabite w domu studenckim.

– Akademiki trudno jest nadzorować. Studenci mają wprawdzie karty magnetyczne do drzwi wejściowych, ale to nie jest niezawodny system. Wystarczy zobaczyć, co zrobili w budynku Jasona. Jak można być na tyle głupim, żeby odcinać alarm przeciwpożarowy?

Jej telefon znowu zaczął dzwonić. Frank. Ponownie przekierowała połączenie na pocztę głosową.

– Ktoś się usiłuje z panią skontaktować.

– Istotnie.

Uświadomiła sobie, że zaczyna mówić jak Will Trent. Może i dobrze, zważywszy na to, że non stop zapędzał ją w kozi róg. Zwolniła do dwudziestu pięciu, kiedy samochód zatrząsł się pod ścianą deszczu. Kaskady wody płynęły ulicą, sprawiając, że asfalt zdawał się falować. Wycieraczki nie nadążały z oczyszczaniem szyby. W końcu zatrzymała samochód i oświadczyła:

– Nie widzę drogi. Chce pan poprowadzić?

– Obawiam się, że nie pójdzie mi lepiej niż pani. Może po prostu przeczekajmy i przy okazji porozmawiamy o sprawie.

Zjechała na pobocze, zaciągnęła ręczny i wbiła wzrok w szybę skąpaną w białych strugach.

– Sądzi pan, że mamy do czynienia z seryjnym zabójcą?

– Musielibyśmy mieć co najmniej trzy ofiary zabite w różnych okolicznościach, żeby mówić o seryjnym sprawcy.

Odwróciła się na fotelu, żeby na niego spojrzeć.

– Czyli co, mamy czekać na trzeciego trupa?

– Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie.

– No a co z tym pańskim profilowaniem?

– Tak?

Usiłowała przypomnieć sobie jego wcześniejsze pytania.

– Co się zdarzyło? Zginęło dwoje młodych ludzi, oboje od noża, oboje gdy byli sami. Dlaczego się zdarzyło? Sprawca działał w sposób planowy. Miał przy sobie nóż. Znał ofiary, Jasona prawdopodobnie lepiej od Allison, bo jego zabił z wyraźną furią.

– Ma samochód – pociągnął Will. – Zna miasto, topografię jeziora i rozmieszczenie kamer w akademiku. Czyli musi to być ktoś, kto studiował na uczelni albo teraz tam studiuje.

Pokręciła głową z uśmiechem.

– Właśnie na tym polega problem z profilami. Ten na przykład wypisz wymaluj pasuje do mnie.

– Bardzo możliwe, że sprawcą jest kobieta.

Lena posłała mu kwaśny uśmiech.

– Feralną noc spędziłam ze swoim chłopakiem Jaredem, a dzisiejszy dzień z panem.

– Dzięki za alibi. Ale mówię serio. Allison była niska i drobna. Kobieta nie miałaby problemu z jej obezwładnieniem ani z zaciągnięciem ciała na głębiny.

– Racja – przyznała. – Nóż to kobieca broń. Jest bardziej osobowa. – Jeszcze kilka lat temu sama chodziła z kosą.

– Jakie kobiety pojawiły się dotychczas w sprawie?

Lena wymieniła:

– Julie Smith, kimkolwiek jest. Vanessa Livingston, kobieta, której zalało piwnicę. Alexandra Coulter, wykładowczyni Allison. Jej ciotka Sheila, która jeszcze się do mnie nie odezwała. Pani Barnes z domu naprzeciwno. Darla, pielęgniarka z czerwonymi szponami z akrylu.

– Pani Barnes zapewnia jej dosyć twarde alibi. Twierdzi, że obie feralne noce Darla siedziała przy niej kamieniem.

– Taa, mój wujek Hank też się zaklina, że nie może zmrużyć oka,

ale jakoś zawsze, gdy u niego nocuję, słyszę, że chrapie jak pijany suseł. – Wyjęła notatnik. Zalała ją fala gorąca, jednak nie na skutek zakażenia rany ręki. Odchyliła notes, tak by Will nie widział, gdy przerzucała stronę z transkryptem zgłoszenia pod 911, i zaraz szybko znalazła miejsce, gdzie zapisała dane pielęgniarki. – Numer kierunkowy komórki, z której dzwono pod 911, to 912. Darla ma 706.

– Jej akcent i sposób mówienia nie wydał się pani dziwny?

– Trochę menelski, ale ewidentnie i tak się pilnowała.

– A nie trącił pani Appalachami?

Lena wbiła w niego oczy.

– Mówiła jak wszyscy, z którymi dorastałam w południowej Georgii. Skąd się panu nagle wzięły te Appalachy?

– Zna pani jakieś kobiety w mieście, które przeprowadziły się tu z gór w ciągu ostatnich kilku lat?

Domyśliła się, że to kolejna informacja, którą postanowił zatrzymać dla siebie. Proszę bardzo, jak ty komu, tak on tobie.

– A rzeczywiście, mieliśmy tu kilku takich burków z marychami jakiś czas temu, ale załadowali ciężarówkę i zabrali się do Los Angeles.

– Do Beverly Hills? – Zachichotał z uznaniem, zanim na swoją modłę ni z gruszki, ni z pietruszki strzelił z innej beczki: – Powinna pani pokazać lekarzowi tę rękę.

Lena popatrzyła na zranioną dłoń. Skóra spływała potem tak intensywnie, że plastry miejscami się podklejały.

– Nic mi nie będzie.

– Rozmawialiśmy dzisiaj z doktor Linton o ranach postrzałowych – oświadczył.

– Nie powiem, wiecie, jak używać życia.

– Twierdzi, że prawdopodobieństwo zakażenia nieleczonej rany postrzałowej jest bardzo wysokie.

Zalewasz, chciała powiedzieć. Ale rzuciła tylko:

– Wróćmy do profilu.

Ociągał się wystarczająco długo, by zasygnalizować, że nie lubi, gdy ktoś inny oprócz niego zmienia temat.

– Jaka była kolejność wydarzeń?

Lena starała się skoncentrować na pytaniu.

– Zabójstwo Allison już omówiliśmy. Jeśli idzie o Jasona, to myślę, że sprawca wszedł do akademika, odwrócił kamery, zadźgał chłopaka i wyszedł.

– Przed zabójstwem przykrył go kocem. Spodziewał się, że będzie dużo krwi.

Tego nie wiedziała.

– Gdzie był ten koc?

– Znalazłem go w łazience na końcu korytarza.

– Trzeba sprawdzić otwory odpływowe, rury... – Urwała. Will sam doskonale o tym wiedział. Nie potrzebował jej pomocy. – Przy każdym profilowaniu mamy cztery pytania, tak?

– Ostatnie brzmi: Kto mógłby zrobić te rzeczy w tej kolejności z tych powodów.

– Allison zginęła przed Jasonem. Może jej śmierć miała być ostrzeżeniem, którego chłopak nie posłuchał.

– Siedział zadekowany w swoim pokoju. Nie wiemy nawet, czy słyszał o zabójstwie.

– Czyli sprawca, cały w nerwach, przestępuje z nogi na nogę niepewny, czy jego memento dotarło do adresata. – Nagle ją olśniło.

– Ten list pożegnalny. Zabójca zostawił go jako ostrzeżenie. „Chcę z tym skończyć”, czyli: „Mam już dość”.

– Tak – zgodził się Will i Lena się domyśliła, że pewnie wpadł już na to jakiś czas temu, nic jej nie mówiąc.

Mimo to powiedziała:

– To nawet miałyby sens: zabójca byłby wściekły, że Jason nie potraktował poważnie śmierci Allison. Został ugodzony nożem co najmniej osiem czy dziewięć razy. To świadczy o furii.

Will popatrzył na niebo.

– Deszcz zelżał.

Wyprostowała się, wrzuciła bieg i wolno ruszyła przed siebie. Droga nadal była zalana, potoki wody spływały w kierunku Main Street.

– Oboje, i Jason, i Allison, studiowali. Może wplątali się w coś na

polibudzie.

– Niby w co?

– Nie wiem. Aferę w związku z jakimś stypendium albo grantem. Przez uczelnie przelewa się cała masa rządowej kasy. Wydatki na obronność. Wydziały inżynieryjne pracują nad urządzeniami medycznymi, nanotechnologią. Laboratoria polimerowe testują najróżniejsze rodzaje klejów. To wszystko są sumy idące w setki milionów dolarów.

– Student studiów magisterskich mógłby mieć dostęp do pieniędzy?

Zastanawiała się przez chwilę.

– Nie. Doktorant ewentualnie, ale ci z magisterskich generalnie odwalają czarną robotę w laboratoriach, a licencjaci nie mogą nawet podetrzeć sobie tyłka bez zezwolenia. Kiedyś spotykałam się z gościem, który był na studiach drugiego stopnia. Nie zajmują się niczym interesującym.

Dotarli do akademika Jasona Howella. Przed budynkiem stały dwie czarne furgonetki z logo GBI na drzwiach i białym napisem „Laboratorium Kryminalistyczne” po bokach. Lena poczuła odruchowe podniecenie, niczym pies gończy, który zwęszył trop, jednak uczucie szybko minęło. Spędziła na tej uczelni niezliczone godziny, usiłując zdobyć dyplom, który teraz prawdopodobnie zda się psu na budę. W najlepszym wypadku przedzierzgnie się w jedną z tych irytujących osób, które wypunktowują wszystkie błędy zauważone w *CSI*.

Will popatrzył na swoją komórkę.

– Jeśli pani pozwoli, chciałbym wykonać szybki telefon do mojej współpracownicy.

– Jasne.

Zaparkowała. Nadal lało, więc wyskoczyła z auta i szybko wbiegła po schodach, obiema rękoma przytrzymując na głowie kaptur kurtki.

W środku czekał Marty, czytając jakieś pismo. Zapukała do drzwi. Podniósł gwałtownie głowę, okulary przekrzywiły mu się na nosie. Przeciągnął kartą nad czytnikiem i wpuścił ją do budynku.

– Kiepsko wyglądasz – oświadczył.

Zbiła ją z tropu ta uwaga.

Przeciągnęła palcami po włosach, czując wilgoć, która nie pochodziła od deszczu.

– Miałam ciężki dzień.

– Nie ty jedna. – Z powrotem usiadł na ławce. – Ucieszę się, gdy już się skończy.

– Coś się tu dzieje?

– Na górze jest trzech ludzi. Dwóch poszło na parking. Gość, który nimi dowodzi, ma podkręcanego węża, jakby był z cyrku. Znalazł w pokoju kluczyki samochodowe i jeździł po kampusie, klikając w alarm, dopóki ten się nie włączył.

Lena pokiwała głową z uznaniem, myśląc, że jak na cyrkowego dziwoląga, facet ma łeb na karku.

– Nie przyszło mi do głowy, żeby sprawdzać parking. Stał na trzecim poziomie przy rampie.

Lena go rozgrzeszyła.

– Ja też nie sprawdzałam, kiedy nie było studentów.

– O-oo. Idzie.

Marty sięgnął ręką i przycisnął kartę do czytnika.

Will otworzył drzwi i wszedł do środka, przestępując z nogi na nogę.

– Przepraszam – rzucił. – Panie Harris, dziękuję, że poświęcił nam pan dzisiaj tyle czasu.

– Demetrius powiedział, żebym został tak długo, jak to konieczne.

– Może mi pan powiedzieć, kto miał dyżur zeszłej nocy?

– Demetrius. To mój szef. Wymieniamy się ostatnio bez przerwy, tak żeby każdy miał trochę wolnego na święta. – Odłożył pismo. – Niczego niezwykłego sobie nie przypomina, ale chętnie z wami porozmawia.

Lena pomyślała, że są ważniejsze sprawy, którymi Will powinien się teraz zająć.

– Marty powiedział mi, że jeden z waszych ludzi znalazł samochód Jasona na parkingu. Właśnie go sprawdzają.

Will się uśmiechnął. Niemal usłyszała, jak kamień spadł mu z serca.

– To dobrze. Dziękuję, panie Harris.

– Demetrius jest w biurze – poinformował ochroniarz. – Wyciąga dla was te nagrania z monitoringu. Mogę pana tam podrzucić.

Will zerknął na Lenę. Wślepianie się godzinami bez końca w zapis wideo w poszukiwaniu dwusekundowego tropu było otepiającym zajęciem, od którego człowiek miał ochotę palnąć sobie w łeb. Lena chciała znaleźć się teraz w samochodzie Howella, przeczesywać włókna wykładziny, szukać śladów krwi czy odcisków palców, ale to nie miało nic do rzeczy.

– Pojadę obejrzeć te taśmy, jeśli pan chce – zaproponowała.

– To żadna frajda.

– Myślę, że już się nafrajdowałam ostatnio.

Lena siedziała w pokoju przesłuchań na komendzie, gdzie dwa dni temu rozmawiała z Tommym Brahamem. Wprowadziła stolik na kółkach z telewizorem, starym magnetowidem i trochę nowszym sprzętem cyfrowym, którego używali czasami do rejestrowania przesłuchań. Uczelniany monitoring wykorzystywał oba formaty: cyfrowy do kamer zewnętrznych i video do tych w środku, Demetrius, szef ochrony, dał jej wszystkie materiały, które miał.

O ile wiedziała, była teraz sama w budynku, jeśli nie liczyć Marli Simms, która nie ruszała się od biurka, i Carla Phillipa, pełniącego dyżur profosa w izbie zatrzymań na tyłach. Carl był wielkim facetem, który nie dawał sobie w kaszę dmuchać, w dodatku kryształowo uczciwym, i właśnie dlatego wylądował na dołku, pilnując osadzonych. Frank stawał na rzęsach, żeby utrzymać go z dala od Willa Trenta.

Lena już usłyszała całą historię od Larry'ego Knoksa, który plotkował jak baba. Wiedziała, że Carl sprzeciwił się zwolnieniu z aresztu kilku co bardziej gadatliwych osadzonych, po tym jak znaleziono ciało Brahama. Frank kazał mu wyjść, jeśli się nie zgadza, i Carl skwapliwie skorzystał z propozycji. W celach zostali tylko nieprzytomni albo głupi. W tej ostatniej kategorii prym

wodził Ronald Porter, kawał chuja, który tak często katował swoją żonę, że twarz jej się zdeformowała. Frank znalazł sposób, by zamknąć mu usta. Próbował rozstawiać Phillipsa po kątach. Okłamywał Willa Trenta. Ukrywał dowody, prawdopodobnie opóźniając dostarczenie nagrania zgłoszenia pod 911. Wydawało mu się, że szantażuje Lenę.

Stary pierdziel miał ręce pełne roboty.

Lena potarła oczy, usiłując przepędzić mroczki. W pokoju było duszno i ciepło, ale to nie to ją męczyło. Była pewna, że ma gorączkę. Świeże plastry, które znalazła w apteczce, już przesiąkły potem. Rana była zaogniona i gorąca. Wiedziała od Delii Stephens, że rano lekarze będą wybudzać Brada ze śpiączki. Pojedzie do niego z samego rana i przy okazji poprosi jakąś pielęgniarkę, żeby rzuciła okiem na jej dłoń. Prawdopodobnie dostanie zastrzyk i będzie musiała odpowiedzieć na całą masę pytań.

Ale dziś wieczorem czekała ją jeszcze trudniejsza rozmowa. Będzie musiała powiedzieć Jaredowi, co się dzieje. Przynajmniej częściowo. Nie chciała obciążać go całą prawdą. Nie na darmo położyła się pod nadjeżdżający pociąg. Utrata Jareda w połączeniu z utratą odznaki stanowiła ten stopień poświęcenia, na który nie była gotowa.

Wróciła do pracy. Taśmy wideo, które oglądała od dwóch godzin, oscylowały od nużących do bezdennie nudnych. Powinna była pójść do domu, ale miała dziwne poczucie obowiązku względem Willa Trenta. Zrobił z niej mimowolnego kopciuszka. Obliczyła, że będzie ślęczeć nad filmami co najmniej do północy, czyli mniej więcej do czasu, kiedy jej odznaka zamieni się w dynię.

Dosyć wcześnie znalazła dobry materiał. Według kodu czasu na taśmie poprzedniego wieczoru o dwudziestej trzeciej szesnaście i dwadzieścia dwie sekundy, otworzyło się wejście ewakuacyjne akademika Jasona. Lena doskonale знаła układ zabudowań jeszcze z czasów swojej pracy w ochronie kampusu. Akademik, stołówka i tył biblioteki tworzyły otwarte U, którego środek zajmowała strefa dostawcza. Władze polibudy nie pozwalały studentom korzystać z niej jako ze skrótu, ponieważ kilka lat temu jeden z żaków spadł z



rampy i złamał sobie nogę w trzech miejscach. Wynikły z tego proces dał się uczelni mocno we znaki, podobnie jak konieczność wyasygnowania kasy na ksenony, które oświetliły miejsce niczym punktowce na broadwayowskiej scenie.

Kamera nad drzwiami nagrywała w kolorze. Kiedy drzwi się uchylły, do środka wpadło niebieskie ksenonowe światło. Potem obiektyw podskoczył do góry i pokazał sufit z trójkątnym klinem błękitnej poświaty przecinającej mrok. Drzwi się zamknęły i sufit zrobił się ciemny. O dwudziestej trzeciej szesnastce i dwadzieścia siedem sekund, na korytarzu pierwszego piętra zamajaczyła jakaś postać. Kamera nie miała funkcji podczerwieni, ale światło dochodzące z otwartego pokoju, pomogło wyłowić kontury. Jason Howell miał na sobie grubą warstwę ubrań, podobnie jak wtedy, gdy Lena widziała go martwego na łóżku. Rozejrzał się nerwowo, w jego ruchach widać było panikę. Najwyraźniej coś go zaniepokoiło, usłyszał jakiś hałas, ale dosyć szybko się uspokoił i wrócił do pokoju. Z odprysku światła w holu domyśliła się, że zostawił drzwi lekko uchylone.

Sprawca się nie spieszył. Może chciał mieć pewność, że zaskoczy Jasona. Obiektyw drugiej kamery zmienił położenie dopiero o dwudziestej trzeciej osiemnastce, punkt. Ale tym razem zabójca nie był już tak dokładny. Może poślizgnął się na schodach. Tak czy siak kamera nie tyle przechyliła się do góry, ile przekrzywiła w bok, i Lena przesuwała obraz poklatkowo, aż złapała koniec drewnianego kija bejsbolowego z charakterystyczną zaokrągloną końcówką i logo Rawlings, które poznała po kształcie liter dobrze jej znanym z czasów, gdy sama bawiła się w softball.

O dwudziestej trzeciej dwadzieścia sześć i dwie sekundy na suficie parteru raz jeszcze błysnęły ksenonowe światła, gdy otworzyły się drzwi ewakuacyjne. Pozbawienie Jasona życia zajęło sprawcy niecałe osiem minut.

Marla zapukała do drzwi i nie czekając na odpowiedź, weszła do pokoju. Lena włączyła pauzę na filmie, który oglądała: cyfrowym zapisie pustego parkingu przed biblioteką.

– O co chodzi?

– Masz gościa. – Zakręciła się na pięcie i wyszła.

Lena rzuciła pilota, myśląc, że za Marlą Simms na pewno nie będzie tęskniła po wyjeździe z miasta. Bogiem a prawdą, teraz, gdy się nad tym zastanowiła, nie była w stanie wymienić ani jednej osoby, bez której nie mogłaby się obejść. Dziwnie jej się zrobiło na myśl, że czuje taki dystans w stosunku do ludzi, którzy tworzyli jej świat przez kilka ostatnich lat. Wcześniej zawsze myślała o Grant jak o swoim domu, o policjantach z komendy jak o rodzinie. Teraz nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie znikną z jej życia.

Pchnęła metalowe drzwi przeciwpożarowe i weszła do sali biurowej. Przystanąła na widok czekającej w holu kobiety, momentalnie rozpoznając Sheilę McGhee ze zdjęcia, które Frank zabrał z portfela Allison. Na fotografii cała trójka siedziała na ławce przed klubem studenckim: chłopak, który jak Lena już wiedziała, nazywał się Jason Howell, obejmował Allison w pasie. Sheila przycupnęła przy siostrzenicy, niby obok, ale nie za blisko. Niebo z tyłu było ciemnogrnatowe. Z drzew zaczęły już opadać liście.

Na żywo Sheila McGhee wyglądała jeszcze bardziej szkapowato i wulgarnie. Na podstawie zdjęcia Lena wzięła ją wcześniej za miejscową lumpiarę, teraz się domyśliła, że ma przed sobą wersję tej samej kategorii rodem prosto z Alabamy. Najbardziej rzucała się w oczy jej ocierająca się o charłactwo chudość, charakterystyczna dla osób, które za mało jedzą i za dużo palą. Skóra na twarzy zwisała luźno z kości. Kobieta na zdjęciu się uśmiechała. Sheila McGhee wyglądała tak, jakby już nigdy w życiu nie miała się uśmiechnąć.

Gdy Lena podeszła, zacisnęła nerwowo dłonie na torebce na brzuchu.

– To prawda?

Marla siedziała za kontuarem. Lena wcisnęła przycisk, otwierając bramkę.

– Zapraszam do środka.

– Niech mi pani powie.

Chwyła Lenę za ramię. Była silna. Żyły na grzbiecie jej dłoni

przypominały splecione postronki.

– Tak – potwierdziła Lena. – Allison nie żyje.

Sheila nadal nie dowierzała.

– Wygląda jak mnóstwo innych dziewcząt.

Lena położyła dłoń na rękę kobiety.

– Pracowała w bistro przy tej ulicy, pani McGhee. Większość policjantów z komendy ją знаła. Uchodziła za bardzo miłą dziewczynę.

Sheila zamrugła kilka razy, ale jej oczy pozostały suche.

– Proszę pójść za mną.

Zamiast zaprowadzić ją do pokoju przesłuchań, Lena otworzyła drzwi gabinetu Jeffreya. I, dziwna rzecz, poczuła nagle ukłucie żalu. Zrozumiała, że gdzieś podświadomie liczyła, że za dziesięć, może piętnaście lat, to będzie jej gabinet. Nie zdawała sobie nawet sprawy z tego marzenia, dopóki nie wzięło w łeb.

Ale teraz nie była pora na rozpamiętywanie zaprzepaszczonych szans. Wskazała dwa krzesła po drugiej stronie biurka.

– Proszę przyjąć wyrazy najgłębszego współczucia.

Sheila przycupnęła na brzeжку krzesła z torebką na kolanach.

– Została zgwałcona? Niech mi pani powie prosto z mostu.

Została zgwałcona, tak?

– Nie, nie doszło do zgwałcenia.

Kobieta wydawała się skonsternowana.

– To ten jej chłopak ją zabił?

– Nie, proszę pani.

– Jesteście pewni?

– Tak, proszę pani.

Lena usiadła obok niej z dłonią na podolku. Skóra była jeszcze bardziej rozpalona. Przy każdym uderzeniu serca kolejny skurcz bólu przebiegał jej przez palce.

– Nazywa się Jason Howell – poinformowała Sheila. – Chodzili ze sobą ładnych kilka lat. Ale ostatnio im się nie układało. Nie wiem dokładnie dlaczego. Pokłócili się czy coś. Allison strasznie rozpaczała, ale powiedziałam jej, żeby rzuciła go w cholere. Żaden chłop nie jest wart takiego cierpienia.

Lena zgięła i rozprostowała palce.

– Właśnie wróciłam z uczelni, pani McGhee. Jason Howell nie żyje. Został zamordowany wczoraj w nocy.

Wyglądała na równie zszokowaną jak Lena, gdy Marty powiedział jej, co się stało.

– Zamordowany? Jak?

– Myślimy, że zginął z ręki tego samego człowieka, który zabił pani siostrzenicę.

– Mhm. – Pokręciła głową, wyraźnie skołowana. – Po co ktoś miałby zabijać dwoje studentów? Nie mieli grosza przy duszy.

– Właśnie usiłujemy to ustalić. – Lena urwała, dając kobiecie czas na dojście do siebie. – Jeśli przypomina pani sobie, żeby Allison wspominała o kimś, może jakiejś sytuacji, w którą się wplątała i nie mogła...

– To się zupełnie nie trzyma kupy. Czym Allison mogła się komuś narazić? W życiu nikogo nie skrzywdziła.

– Opowiadała pani o swoich przyjaciółkach, znajomych?

– Tylko o tym Tommym. To taki głuptak, czuł do niej miętę. – Nagle ją tknęło. – Rozmawialiście z nim?

– Tak, proszę pani. Jest poza podejrzeniem.

Nadal zaciskała kurczowo ręce na torebce.

– A właściciel domu? Zdaje się, że ma zazdrosną dziewczynę.

– Oboje byli na Florydzie, gdy doszło do zabójstwa.

Łzy napłynęły jej do oczu, ale nie potoczyły się po policzkach. Ewidentnie zastanawiała się, kto jeszcze mógł to zrobić. W końcu się poddała – wzięła krótki oddech i wypuściła powietrze ustami. Zwiesiła ramiona.

– Zupełnie tego nie rozumiem. To wszystko nie ma sensu.

Lena zachowała swoje zdanie dla siebie. Zajmowała się tą robotą od piętnastu lat i nie zdarzyło jej się jeszcze pracować nad zabójstwem, które miałyby sens. Ludzie zabijali się z najgłupszych powodów. Myśl, że życie ma taką małą wartość, była przygnębiająca.

Sheila otworzyła torebkę.

– Mogę tu zapalić?

– Niestety, nie. Może chciałyby pani wyjść na zewnątrz?

– Na tę cholerną zimnicę? W życiu.

Żuła kciuk, gapiąc się na ścianę. Pozostałe paznokcie miała obgryzione do gołej skóry. Lena się zastanawiała, czy to od ciotki Allison przejęła ten zwyczaj: jej paznokcie też były boleśnie krótkie.

– Allison była wściekła na jednego z wykładowców, bo postawił jej kiepski stopień – oświadczyła Sheila.

– Pamięta pani jego nazwisko?

– Williams. Jak żyła, nie zdarzyło jej się dostać tróji. Bardzo się tym przejmowała.

– Sprawdźmy to – zapewniła Lena, ale już rozmawiała z Reksem Williamsem. Od sobotniego popołudnia siedział z rodziną w Nowym Jorku. Telefon do linii Delta potwierdził jego alibi. – Czy Allison miała samochód?

Sheila wbiła wzrok w podłogę.

– Należał do jej matki. Nie przerejestrowała go, bo ubezpieczenie wychodziło taniej.

– Pamięta pani markę i model?

– Nie bardzo. To stary gruchot, ledwo zipie. Mogę sprawdzić, gdy wrócę do domu. – Chwyciła torebkę, jakby już chciała wychodzić. – Chce pani, żebym to teraz zrobiła?

– Nie, nie ma takiej potrzeby – ostudziła ją Lena. I tak wiedziała, że Allison jeździła czerwonym dodge'em daytona. – Często rozmawiała pani z siostrzenicą przez telefon?

– Raz na miesiąc. Zbliżyłyśmy się po śmierci jej mamy. – Coś przemknęło jej po twarzy. – No, a teraz zostałam naprawdę sama. – Przełknęła z trudem. – Syn siedzi w Holman, wytłacza tablice rejestracyjne. Chyba jedyna uczciwa praca, jaką zdarzyło mu się splamić ręce.

Mówiła o stanowym więzieniu w Alabamie.

– Za co go przymknęli?

– Za głupotę – rzuciła z tak wyczuwalnym gniewem, że Lena o mały włos nie odchyliła się odruchowo na krześle. – Próbował z pistoletem na wodę obrabować monopolowy. Spędził więcej czasu w mamrze niż na wolności.

– Należy do jakiegoś gangu?

– A kto go tam, cholera, wie? Na bank nie ja, to pewne. Nie zamieniłam z nim ani słowa od czasu, gdy go zgarnęli. Umyłam ręce.

– Byli z Allison blisko?

– Ostatni raz się widzieli na basenie, gdy ona miała trzynaście czy czternaście lat. Przytrzymał jej głowę pod wodą, aż zwymiotowała. Zastrany pętał nie lepszy od swojego tatusia. – Zaczęła grzebać w torebce, ale chyba przypomniała sobie, że nie może zapalić. Wyciągnęła paczkę gum i wpakowała do ust dwa kawałki.

– A co może pani powiedzieć o ojcu Allison?

– Mieszka gdzieś w Kalifornii. Nie poznałby jej, gdyby minęła go na ulicy.

– Czy chodziła do poradni psychologicznej na uczelni?

Sheila spojrzała na nią ostro.

– Skąd pani wie? To ktoś stamtąd to zrobił?

– Nie wiemy, kto to zrobił – przypomniała jej Lena. –

Sprawdzamy wszystkie możliwości. Wie pani, jak się nazywał jej terapeuta?

– Terapeutka. Jakaś Żydówka.

– Jill Rosenberg? – Lena знаła lekarkę z innego śledztwa.

– Coś w ten deseń. Myśli pani, że to ona ją zabiła?

– Raczej mało prawdopodobne, ale będziemy z nią rozmawiać.

Dlaczego Allison do niej chodziła?

– Powiedziała, że jej kazali na uczelni.

Lena wiedziała, że studenci pierwszego roku mieli obowiązek stawić się w poradni raz w semestrze, ale późniejsze wizyty były już dobrowolne. Większość żaków wolała inaczej spędzać czas.

– Miała kiedyś depresję? Może myśli samobójcze?

Sheila spuściła wzrok na poobgryzane paznokcie. Lena dostrzegła wyraz wstydu na jej twarzy.

– Pani McGhee, tutaj możemy śmiało o tym rozmawiać. Wszyscy chcemy ustalić, kto skrzywdził Allison. Pomóc może każda informacja, nawet najdrobniejszy szczegół.

Wzięła głęboki oddech, zanim wyznała:

– Osiem lat temu, po śmierci matki, podcięła sobie żyły.

– Była hospitalizowana?

– Trzymali ją w szpitalu przez kilka dni, potem skierowali na terapię w przychodni. Powiedzieli, że trzeba ją kontynuować, ale jak człowiek nie ma co do garnka włożyć, to nie wywala piniendzy na łapiduchów.

– Allison czuła się lepiej?

– Raz lepiej, raz gorzej. Tak jak ja. Pewnie jak i pani. W życiu są lepsze i gorsze dni i jeśli tylko tych drugich nie ma za dużo, to się jakoś ciągnie ten wózek.

Lena pomyślała, że to jeden z bardziej dołujących sposobów na życie, o jakim słyszała.

– Brała leki?

– Powiedziała, że lekarz dał jej jakiś nowy środek na próbę. Niespecjalnie pomagał, o ile widziałam.

– A skarżyła się na studia? Pracę?

– Nigdy. Tak jak mówiłam, nadrabiała miną. Życie to nie bajka, ale trudno zamartwiać się każdą duperelą, która się człowiekowi zwala na głowę.

– W portfelu Allison znalazłam pani zdjęcie. Siedzicie w trójkę razem z Allison i Jasonem na ławce, chyba przed klubem studenckim.

– Nosiła je w portfelu?

Po raz pierwszy twarz jej złagodniała i pojawił się na niej cień uśmiechu. Jeszcze raz poszperała w torebce i wyciągnęła fotografię identyczną jak ta z portfela jej siostrzenicy. Przez dłuższą chwilę na nią patrzyła, potem podała Lenie.

– Nie wiedziałam, że zatrzymała sobie odbitkę.

– Kiedy zostało zrobione?

– Dwa miesiące temu.

– We wrześniu?

Skinęła głową, mlaskając gumą.

– Dwudziestego trzeciego. Miałam kilka dni wolnego. Pomyślałam sobie, że ją odwiedzę, zrobię jej niespodziankę.

– A co może pani powiedzieć o Jasonie?

– Cichy. Arogancki. Drażliwy. Nie wypuszczał z ręki jej dłoni. Gładził ją po włosach. Ja bym cholery dostała, gdyby jakiś chłoptaś mnie tak obłapiał i non stop miział, ale Allison to nie przeszkadzało. Była zakochana. – Wymówiła to słowo z takim sarkazmem, że zabrzmiało niemal obscenicznie.

– Ile czasu pani z nim spędziła? – spytała Lena.

– Dziesięć minut, kwadrans? Powiedział, że musi iść na ćwiczenia, ale na moje oko czuł się przy mnie nieswojo.

Lena się nie dziwiła. Sheila nie darzyła płci brzydkiej szczególną estymą.

– A dlaczego uważa pani, że był arogancki?

– Miał już taką minę na twarzy, jakby jego gówno nie śmierdziało. Wie pani, o co mi chodzi?

Lenie niełatwo było pogodzić wizerunek pulchniutkiego studenta, jaki znała z legitymacji Jasona, z obrazem aroganckiego kutasa, odmalowywanym przez Sheilę.

– Czy mówił coś szczególnego?

– Właśnie kupił jej ten pierścionek. Tani jak barszcz i zupełnie nie pod jej kolor, ale puszył się jak paw. Allison powiedziała, że to tylko taka zapowiedź prawdziwego, który miał jej dać na Święto Dziękczynienia.

– A nie na gwiazdkę?

Pokręciła głową.

Lena opadła na oparcie, zastanawiając się nad tym, co powiedziała kobieta. Ludzie nie dają sobie podarków na Święto Dziękczynienia.

– Czy którekolwiek z nich wspomniało, że spodziewa się jakichś pieniędzy?

– Pani, jakich piniendzy? Oboje byli biedni jak myszy kościelne. – Pstryknęła palcami. – A co z tym kolorowym starym z restauracji?

Lena myślała wcześniej, że tylko Frank Wallace używa jeszcze tego określenia.

– Rozmawialiśmy z panem Harrisem. Nie jest zamieszany w tę sprawę.



– Nie miała z nim lekko, ale mówiłam jej, że to dobrze, że uczy się pracować z kolorowymi. W tych wielkich korporacjach teraz gdzie nie spojrzeć czarny na czarnym.

– To prawda – powiedziała Lena, zastanawiając się, czy kobieta myśli, że ciemny odcień jej skóry jest wynikiem pechowego eksperymentu z samoopalaczem. – Czy Allison miała jeszcze innych znajomych, o których opowiadała?

– Nie. W kółko tylko Jason i Jason. Świata poza nim nie widziała, choć nie raz, nie dwa jej powtarzałam, żeby nie stawiała wszystkiego na jedną kartę.

– Czy w liceum się z kimś spotykała?

– Nie. Chłopcy nie byli jej wtedy w głowie. Zależało jej tylko na stopniach, na tym, żeby dostać się na studia. Myślała, że to ją uratuje od... – Pokręciła głową.

– Od czego?

W końcu łza potoczyła się z jej oka.

– Od takiego właśnie końca, jaki ją spotkał. – Warga zaczęła jej się trząść. – Wiedziałam, że nie powinnam wiązać z nią za dużych nadziei. Wiedziałam, że stanie się coś złego.

Lena wyciągnęła rękę i ujęła kościstą dłoń kobiety.

– Strasznie mi przykro.

Sheila wyprostowała się, jasno dając do zrozumienia, że nie potrzebuje pocieszania.

– Mogę ją zobaczyć?

– Byłoby lepiej, gdyby poczekała pani do jutra. Jest teraz pod opieką ludzi, którzy zajmują się nią dla pani.

Skinęła głową, broda jej opadła, potem znowu podskoczyła do góry. Oczy były wbite gdzieś w ścianę, pierś unosiła się i opadała, w jej oddechu słyszało się charakterystyczny poświst i rżenie od lat palenia.

Lena rozejrzała się po pomieszczeniu, dając kobiecie czas na wzięcie się w garść. Wczoraj po raz pierwszy od śmierci Jeffreya przekroczyła próg jego gabinetu. Wszystkie osobiste rzeczy komendanta odesłano do domu Lintonów, ale Lena nadal pamiętała, jak pokój wcześniej wyglądał: trofea strzeleckie i

fotografie na ścianach, równy stosik dokumentów na biurku. Przy telefonie zawsze stała ramka z małym zdjęciem Sary, ale nie była to żadna pozowana superfotka, jakimi zwykle chwalą się mężowie. Sara siedziała na trybunie licealnego boiska. Dłonie miała schowane kieszeniach ogromniastej bluzy, rozwiane wiatrem włosy. Lena podejrzewała, że zdjęcie kryło głębsze znaczenie, tak jak jej fotografia Jareda u stóp stadionu. Jeffrey zwykł był co rusz na nią popatrywać, gdy zmagał się z jakimś trudnym śledztwem. Niemal czuło się wtedy, że pragnie znaleźć się w domu z Sarą.

Drzwi pokoju się uchylily, do środka zajrzał Frank. Był wyraźnie wściekły, pięści miał zaciśnięte, szczękę tak napiętą od tłumionej furii, że wydawało się, że zaraz popękają mu zęby.

– Muszę z tobą pomówić.

Lenę przeszedł dreszcz, jakby od chłodu bijącego z jego głosu temperatura w pokoju spadła o kilka stopni.

– Za chwilę.

– Teraz.

Sheila podniosła się ciężko, zbierając torebkę.

– Pójdę już.

– Nie musi się pani śpieszyć.

– Nie. – Zerknęła nerwowo na Franka. W jej głosie był strach i do Leny nagle dotarło, że Sheila McGhee doświadczyła w życiu gniewu wielu mężczyzn. – Zabieram pani czas, a przecież wiem, że ma pani ważniejsze rzeczy do roboty. – Wyjęła świstek papieru i podała go Lenie, kierując się do drzwi. – To jest numer mojej komórki. Zatrzymałam się w hotelu w Cooperstown. – Odwróciła się plecami do Franka, dopiero gdy wyszła z pokoju.

– No i po co ta scena? – spytała Lena. – Biedaczka się wystraszyła.

– Siadaj.

– Nie będę...

– Powiedziałem: siadaj! – Frank pchnął ją na krzesło. Mało brakowało, a upadłaby na podłogę. – O co ci, do cholery, chodzi? – Zamknął kopniakiem drzwi. – Co ty, kurwa, wyprawiasz?

Popatrzyła przez szybę na puste pomieszczenie biurowe. Serce

stanęło jej w gardle; waliło tak mocno, że ledwo mogła wydobyć głos.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Powiedziałaś Gordonowi Brahamowi, że Tommy nie chciał zranić Brada.

Potała łokieć. Krwawił.

– I co z tego?

– Żeż kuźwa mać. – Walnął pięścią w blat. – Mieliliśmy umowę.

– On nie żyje, Frank. Chciałam dać jego ojcu trochę spokoju.

– A mój spokój to pies? – Wzniósł pięści do góry. – Mieliliśmy, kurwa, umowę.

Lena podniosła ręce, bojąc się, że znowu ją uderzy. Wiedziała, że Frank będzie się pieklił, ale jeszcze nigdy nie widziała go tak rozjuszonego.

– Idiotka. – Chodził przed nią jak lew w klatce z zaciśniętymi pięściami. – Co za pierdolona idiotka z ciebie.

– Posłuchaj, uspokój się. Za wszystko wzięłam pełną odpowiedzialność. Powiedziałam Trentowi, że to moja wina.

Patrzył na nią z otwartymi ustami.

– Że co zrobiłaś?

– Już po wszystkim, Frank. Finito. Trent zajmuje się zabójstwami. To lepiej. Oboje wiemy, że Tommy nie zabił tej dziewczyny.

– Nie. – Pokręcił głową. – To nieprawda.

– Byłeś na uczelni? Wczoraj w nocy zamordowano Jasona Howella. Niemożliwe, żeby...

Zacisnął dłoń na pięści, jakby się powstrzymywał przed walnięciem nią Leny.

– Mówiłaś, że przyznanie się Tommy'ego jest nie do ruszenia.

– Posłuchaj mnie. – Uderzyła w proszący ton, z trudem łapiąc oddech. – Wszystko spadnie na mnie. Tylko ja poniosę konsekwencje. Niedopełnienie obowiązków. Zaniedbanie. Przekroczenie uprawnień. Mataczenie. Cokolwiek wymyślą, wezmę to na siebie. Powiedziałam już Trentowi, że nie miałaś z tym nic wspólnego. – Znowu zaczął potrząsać głową, ale nie przestała

mówić. – Zostaliśmy tylko ty i ja, Frank. Jesteśmy jedynymi świadkami, a nasze wersje będą dokładnie takie same, bo powiem wszystko, co będziesz chciał. Brad nie widział, co się stało w garażu. Chcemy czy nie, Tommy nie wstanie z grobu i nie powie, jak było naprawdę. Więc liczy się tylko to, co my powiemy.

– Tommy... – Przyłożył rękę do piersi. – Tommy zabił...

– Allison Spooner zamordował ktoś inny. – Lena nie rozumiała, dlaczego nie może się z tym pogodzić. – Trent ma już gdzieś Tommy'ego. Jest zaabsorbowany seryjnym zabójcą.

Frank opuścił rękę. Krew odpłynęła mu z twarzy.

– Myśli, że...

– Nadal do ciebie nie dociera, co? Posłuchaj. To śledztwo właśnie zmieniło kaliber. Trent ściągnął tu swoich techników, którzy teraz przeczesują akademik Howella od piwnic po dach. Potem wysłał ich do pokoju Allison, garażu Brahamów, nad jezioro. Myślisz, że będzie sobie zawracał głowę jakąś latynoską policjantką, która pozwoliła, żeby osadzony zabił się pod jej nosem w celi?

Frank opadł ciężko na krzesło. Sprężyny zapiszczały. Ile razy siedziała w tym gabinecie, słuchając, jak krzesło jęczy pod ciężarem Jeffreya. Frank nie zasługiwał na to, by je zajmować. Ale ona też nie.

– To koniec, Frank – powiedziała. – Problem z głowy.

– To nie takie proste, Lee. Nie rozumiesz.

Lena przykucnęła przed nim.

– Trent wie, że transkrypt zgłoszenia pod 911 został zmieniony. I że Tommy miał telefon, który zaginął. Prawdopodobnie wie także, że zabrałaś zdjęcie z portfela Allison. A już na pewno wie, że chłopak wrócił do celi z wkładem z mojego długopisu i otworzył nim sobie żyły. – Położyła mu dłoń na kolanie. – Powiedziałam mu, że może nagrać moje przyznanie się do winy. Ty byłeś wtedy w szpitalu. Nikt cię nie będzie winił.

Przesuwał oczyma po jej twarzy, usiłując wyczytać coś z jej miny.

– Nie wciskam ci kitu. Mówię prawdę.

– Prawda nie ma znaczenia.

Lena podniosła się, sfrustrowana. Podaje mu gotowe rozwiązanie

na tacy, a on każe jej się wypchać.

– Powiedz mi niby, dlaczego nie? W którym miejscu to może się odbić na kimś jeszcze poza mną?

– Czemu choć raz w całym swoim zasranym życiu nie mogłaś po prostu zrobić, jak kazałem?

– Biorę wszystko na siebie! – wrzasnęła. – Czemu nie możesz wbić sobie tego do głowy? To ja, tak? Moja wina. Ja nie zatrzymałam Tommy’ego, ja pozwoliłam wybiec mu na ulicę. To ja pozwoliłam, żeby dźgnął Brada. Ja spieprzyłam przesłuchanie. Ja nie zapewniłam podejrzanemu swobody wypowiedzi. Ja wyciągnęłam od niego pod presją fałszywe wyjaśnienia i przyznanie się do winy. Pozwoliłam, żeby wrócił do celi. Wiedziałam, że jest zdenerwowany. Nie obszukałam go. Nie kazałam specjalnie pilnować. Możesz mnie wylać, mogę złożyć wymówienie czy co tam chcesz. Postaw mnie przed komisją stanową. Przysięgnę na stos Biblii, że to wszystko była moja wina.

Gapił się na nią z niedowierzaniem, jakby była najgłupszym stworzeniem na ziemi.

– Takie proste, co? Zrobisz to wszystko i z głowy?

– Powiedz mi, gdzie tu tkwi błąd?

– Kazałem ci się trzymać ustalonej wersji. – Walnął w ścianę tak mocno, że zabrzęczała szyba. – Szlag by to, Lena. – Wstał. – Gdzie jest ten twój chłoptaş, co? Myślałaś, że wywiniesz się tak łatwo? Gdzie jest Jared?

– Nie. – Dźgnęła go palcem w pierś. – Nie waź się z nim rozmawiać. Nie piśnij mu nawet słowa. Słyszysz? Taki jest warunek. Tylko to mnie powstrzymuje przed rozpuszczeniem języka.

Strzepnął jej rękę.

– Powiem mu, co mi się żywnie spodoba.

Ruszył do wyjścia. Lena chwyciła go za ramię, za późno przypominając sobie o jego ranie.

– Kurwa! – wrzasnął, kolana się pod nim ugięły.

Odwinął jej pięścią w ucho. Świeczki stanęły jej w oczach, wewnątrz czaszki rozdzwoniło się jak wieniec dzwonu. Zobaczyła

wszystkie gwiazdy, żołądek podjechał do gardła. Zaciśnęła mocniej dłoń na ramieniu Franka.

Upadł na kolana, dysząc. Zatopił pazury w skórze jej dłoni. Zacieśniła chwyt tak mocno, że zaboląły ją mięśnie. Pochyliła się, żeby spojrzeć mu w pobrużdżoną, starą twarz.

– Wiesz, co do mnie dotarło dziś rano? – Zbyt ciężko oddychał, by odpowiedzieć. – Ty masz coś na mnie, ale ja mam sto razy więcej na ciebie. – Otworzył usta. Ślina spłynęła na podłogę. – A wiesz, co takiego? – Nadal milczał. Twarz nabiegła mu krwią tak mocno, że niemal czuła bijące z niej ciepło. – Dowód na to, co się stało w garażu. – Odwrócił gwałtownie głowę. – Mam nabój, którym mnie postrzeliłeś, Frank. Znalazłam go w bloku za garażem. Będzie pasował do twojej broni. – Znowu przeklął. Czoło i policzki spłynęły mu potem. – Pamiętasz moje studia? Te, z których tak drwisz? – Wyjaśniła z satysfakcją: – Na miejscu zdarzenia jest wystarczająco dużo twojej krwi, żeby mogli ją zbadać na stężenie alkoholu. Jak myślisz, jaki będzie wynik? Ile razy łyknąłeś sobie wczoraj z tej swojej flaszki?

– To nie ma znaczenia.

– Ma dla twojej emerytury, Frank. Ubezpieczenia zdrowotnego. Dla twojego pierdolonego dobrego imienia. Odbębniłeś te wszystkie dodatkowe lata, a tu figa, będziesz mógł je sobie o kant dupy potłuc, jeśli cię wyleją za chłanie na służbie. Nie dostaniesz roboty nawet w ochronie kampusu.

Pokręcił głową.

– To ci się nie uda.

Lena pozwoliła sobie trochę podkoloryzować rzeczywistość.

– Greta Barnes widziała, jak tłułeś Tommy'ego. Założę się, że ta jej pielęgniarzka też będzie miała sporo do powiedzenia.

Zaśmiał się nerwowo.

– To ją wezwij. No, śmiało.

– Na twoim miejscu byłabym ostrożna.

– Nie widzisz, że...

Lena podniosła się i otrzepała spodnie.

– Widzę tylko zmęczonego starego pijaka.

Usiadł z trudem, ciężko oddychając.

– Zawsze jesteś taka przekonana o swojej racji, że nie dostrzegłabyś prawdy, nawet gdybyś ją miała tuż pod nosem.

Zdjęła odznakę z pasa i rzuciła na podłogę obok Franka. Glock był jej własnością, ale amunicja należała do okręgu. Wysunęła magazynek i kciukiem po kolei wyłuskała wszystkie pociski, które z brzękiem spadały na terakotę.

– To jeszcze nie koniec – powiedział Frank.

Przesunęła suwadło i ostatni nabój stuknął o podłogę.

– Dla mnie tak.

Drzwi się zacięły. Musiała z całych sił szarpnąć za klamkę, żeby je otworzyć. Na tyłach pomieszczenia biurowego stał Carl Phillips. Uchylił czapki, gdy wyszła z gabinetu.

Marla obróciła się na krzesło z ramionami skrzyżowanymi na wydatnych piersiach i obserwowała marsz Leny przez biuro. Schyliła się i przycisnęła guzik zwalniający bramkę.

– Krzyż na drogę.

Jakaś siła, resztki lojalności powinny skłonić Lenę do obejrzenia się, ale ruszyła prosto na parking, wciągając wilgotne listopadowe powietrze. Czuła się tak, jakby właśnie wydostała się z najgorszego więzienia.

Na zewnątrz trochę się przejaśniło, ale nadal mocno wiało. Wzięła głęboki oddech. Zimny wiatr osuszył pot na jej twarzy, mroczki przed oczu zniknęły, ale w uszach jej szumiało, a serce dziko waliło. Mimo to zmusiła się, żeby iść dalej.

Jej celica stała na końcu parkingu. Lena popatrzyła na ulicę. Na moment pojawiło się zachodzące słońce, kąpiąc wszystko w surrealistycznej niebieskiej poświacie. Zastanawiała się, ile dni jej życia upłynęło na wydeptywaniu w tę i z powrotem tej samej trasy. Uczelnia. Skład żelazny. Pralnia chemiczna. Butik. Wszystko to teraz wydawało jej się takie małe, bezsensowne. To miasto tyle jej zabrało: siostrę, mentora, a teraz odznakę. Nie miała już nic więcej do oddania. Nie pozostało jej nic innego, jak zacząć od nowa.

Jej spojrzenie padło na przychodnię dziecięcą po drugiej stronie ulicy. Warta kupę kasy beemka Haretona Earnshawa stała na

parkingu, zajmując dwa miejsca.

Lena minęła swoją celicę i przeszła przez ulicę. Stary Burgess pomachał jej przez okno wystawowe pralni. Odmachała, idąc pod górę do przychodni. Małe były szanse, by zdołała wytrzymać do porannej wizyty w szpitalu: dłoń potwornie ją bolała.

Za rządów Sary przychodnia była zawsze doskonale utrzymana. Teraz miejsce podupało i powoli schodziło na psy. Podjazd nie był myty od lat. Farba na obramowaniach okien i drzwi wyblakła i popękała. Liście i drobny gruz pozapychały rynny, tak że woda spływała po ścianach budynku.

Kierując się znakami, poszła do tylnego wejścia po tanich płytach z kamienia leżących w trawie. Swego czasu była tu łąka pełna polnych kwiatów. Teraz została się tylko błotnista ścieżka prowadząca do biegnącego na tyłach posesji strumienia. Ulewnie deszcze zamieniły go w rwącą rzekę, która wyglądała tak, jakby w każdej chwili mogła zalać przychodnię. Erozja powiększyła koryto: miało teraz około sześciu metrów szerokości i dwa metry głębokości.

Wcisnęła dzwonek na tylnych drzwiach i czekała. Hareton dzierżawił część budynku, odkąd Sara wyjechała. Lena się domyślała, że lekarka nigdy nie zgodziłaby się, by kuzyn z nią pracował, gdy prowadziła przychodnię. Byli ze sobą blisko, ale wszyscy wiedzieli, że Hare zupełnie inaczej traktuje zawód lekarza niż Sara. Dla niego była to tylko praca, dla niej powołanie. Lena miała nadzieję, że ów stan rzeczy nie uległ zmianie, że taki lekarz jak Earnshaw zobaczy w niej raczej wypłacalnego klienta niż śmiertelnego wroga.

Jeszcze raz wcisnęła dzwonek. Słyszała, jak rozbrzmiewa w środku razem z cichym pogłosem radia. Spróbowała zgiąć palce, ale były grube, obrzmiałe i miały już ograniczoną ruchomość. Podwinęła rękaw i jęknęła. Po przedramieniu biegły czerwone smugi.

– Cholera – mruknęła.

Przyłożyła dłoń do policzka. Miała gorączkę i bolał ją żołądek. Już od dwóch godzin źle się czuła, ale teraz ewidentnie wystąpił



kryzys i odczuwała wszystko w dwójnasób.

Odezwała się jej komórka, wyświetlił się numer Jareda. Lena wcisnęła jeszcze raz dzwonek przy drzwiach i odebrała połączenie.

– Cześć.

– Dzwonię nie w porę?

– Właśnie odeszłam z pracy.

Roześmiał się, jakby rzuciła przedni dowcip.

– Serio?

Oparła się plecami o ścianę.

– W takiej sprawie bym cię nie okłamywała.

– Czy to znaczy, że w innych mnie okłamujesz?

Żartował, ale nagle zrzędała jej mina, gdy uświadomiła sobie, jak to wszystko może jeszcze pieprznąć z hukiem.

– Chcę jak najszybciej wyjechać z tego miasta.

– Nie ma sprawy. Jeszcze dziś wieczorem zaczniemy cię pakować.

Możesz wprowadzić się do mnie i potem już na spokojnie zastanowimy się co dalej.

Lena zapatrzyła się na rzekę. Szmer wartko płynącej wody rozlegał się w jej uszach niczym szum kipiącego wrzątku. Choć przestało padać, poziom wody ciągle rósł. Wyobraziła sobie, jak z rzeki podnosi się ogromna fala, zwała się na dół, zatapiając ulicę i zmywając komendę z powierzchni ziemi.

– Lee? – zaniepokoił się Jared.

– Nic mi nie jest. – Głos jej się załamał. Nie mogła sobie teraz pozwolić na łzy, bo nigdy nie przestałaby płakać. – Powinnam być w domu za godzinę lub dwie. – Znowu coś ją ścisnęło w gardle. – Kocham cię.

Rozłączyła się, zanim zdążył odpowiedzieć. Zerknęła na zegarek. W aptece w Cooperstown znajdował się punkt doraźnej pomocy medycznej. Może uda jej się tam znaleźć jakiegoś chętnego zarobić na boku felczera, który nie będzie zadawał zbyt wielu pytań. Oderwała się od ściany właśnie w chwili, gdy drzwi przychodni się otworzyły.

O – powiedziała.

– Na parkingu nie ma pani samochodu.

– Stoję po drugiej stronie ulicy. – Lena podniosła dłoń, pokazując zwisające plastry. – Mam... eee... problem, z którym wolałabym nie jechać do szpitala.

Ani śladu niechęci czy rezerwy, jakiej się spodziewała.

– Zapraszam.

Gdy tylko weszła do budynku, w nozdrza uderzył ją zapach wybielacza. Chwaliło się, że ekipa sprzątająca jest taka dokładna, ale od odoru chloru żołądek podszedł jej do gardła.

– Proszę wejść do sali numer jeden. Zaraz przyjdę.

– Dobrze.

Z chwilą przekroczenia progu gabinetu lekarskiego organizm Leny jakby uznał, że uzyskał pozwolenie na ból. Ręka rwała ją potwornie przy każdym oddechu. Nie mogła zacisnąć dłoni w pięść. W uszach rozległ się przenikliwy dźwięk. Potem drugi. Uświadomiła sobie, że słyszy syreny.

Minęła wskazaną salę i poszła na przód budynku, żeby sprawdzić, co się dzieje. Z trudem otworzyła przesuwane drzwi do sali od frontu. Żaluzje były zaciągnięte, pomieszczenie ciemne. Włączyła światła i zobaczyła źródło smrodu.

Na biurku stały dwie dziewięciolitrowe butle wybielacza. Obok, w misce z nierdzewnej stali, moczyły się skórzane rękawiczki. Po podłodze walały się kawałki ligniny, waty i papierowe ręczniki. Drewniany kij bejsbolowy leżał na arkuszu grubego szarego papieru pakowego. Na literach dokoła logo Rawlingsa widać było zaschnięte brązowe ślady.

Lena sięgnęła po broń, ale za późno. Najpierw poczuła kroplę krwi spływającą po szyi, dopiero potem ból od zimnej stali noża wbijającego jej się w skórę.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Charlie Reed zszedł po schodach w akademiku, uśmiechając się pod wąsem. Miał na sobie biały kombinezon i cały, od stóp do głów, pokryty był Tyvekiem.

– Cieszę się, że już jesteś. Właśnie mieliśmy zacząć czary.

Will spróbował odwzajemnić uśmiech, ale bez skutku. Charlie był ekspertem od kryminalistyki. Miał luksus patrzenia na sprawy przez obiektyw mikroskopu. Widział kości i krew, które trzeba sfotografować, zbadać i skatalogować, podczas gdy Will widział istotę ludzką, której życie zostało brutalnie przerwane przez bezwzględного zabójcę sprytnie wymykającego się sprawiedliwości.

Nadto, wbrew wcześniejszym nadziejom Willa, zebrany dotychczas materiał dowodowy niewiele wniósł do sprawy. W kombi Jasona Howella panował niezwykle porządek: poza kilkoma miętówkami i płytami CD w środku nie znaleźli żadnych osobistych rzeczy. Koc z łazienki nadal przedstawiał się obiecująco, ale wymagał badań laboratoryjnych. A te mogły zająć tydzień albo i więcej. Zawsze istniała szansa, że zabójca zranił się albo otarł o materiał, zostawiając na nim mikroślady, dzięki którym można będzie połączyć go z zabójstwem. Nawet gdyby Charlie znalazł DNA inny niż Jasona, mogli tylko wrzucić go do bazy AFIS i mieć nadzieję, że sprawca figuruje w systemie. Zwykle jednak materiał genetyczny służył jako narzędzie wykluczania podejrzanych niż ich identyfikacji.

– Ten etap powinien pójść trochę szybciej. – Charlie pochylił się i przez chwilę szperał w jednym z otwartych worków żeglarskich rzuconych u stóp schodów. Znalazł to, czego szukał, i powiedział

Willowi: – Włóż kombinezon. Zaczynamy za pięć minut. – Żwawo wspiął się z powrotem na górę, pokonując po dwa stopnie naraz.

Will wziął jeden z zapakowanych kombinezonów ze stosu przy schodach. Zdarł folię zębami. Skafander miał ograniczyć przenoszenie fragmentów naskórka i włosów na miejsce zdarzenia, tym samym zapobiegając kontaminacji śladów. Will wyglądał w nim jak gigantyczna, podłużna żelka. Poza tym był zmęczony, głodny i pewny, że śmierdzi. Wprawdzie skarpetki zdążyły mu już jakimś cudem wyschnąć, nabrały jednak faktury papieru ściernego i jedna z nich ocierała się boleśnie o pęcherz na pięcie.

To wszystko nie miało jednak znaczenia. Każda mijająca sekunda zapewniała zabójcy Allison i Jasona swobodę ruchów, umożliwiając planowanie ucieczki lub, co gorsza, następnej zbrodni.

Will zerknął na Marty'ego Harrisa. Nadal pilnował frontowego wejścia z właściwą sobie czujnością: z głową opartą o ścianę i przekrzywionymi okularami na nosie. Will wszedł na górę, odprowadzany jego cichymi pochrapywaniami.

Charlie klęczał na środku korytarza, mocując jakieś ustrojstwo do trójnogu. Will zauważył jeszcze trzy inne statywy, rozmieszczone w równych odstępach na całej długości holu aż do toalety. Mężczyźni w takich samych kombinezonach ustawiali wysokość zgodnie ze wskazówkami Charliego. Wszyscy tkwili tu już kilka godzin, robiąc dokumentację fotograficzną miejsca zdarzenia, wykresy wymiarów korytarza, łazienki, pokoju Jasona, jego biurka i łóżka. Zbadali, opisali i utrwalili każdy element wnętrza. Dopiero wtedy pozwolili Danowi Brockowi zabrać ciało. Kiedy zniknęło, wykonali jeszcze więcej zdjęć i wykresów i w końcu zaczęli pakować w torebki wszystko, co wydawało się istotne dla sprawy.

Laptop Jasona był zepsuty na amen, spalony i zalany. W cyfrowce Sony znajdowało się kilka zdjęć Allison w bieliźnie i lekko wyzywających pozach. Zeszyty i podręczniki nie zawierały niczego interesującego. W kosmetyczce oprócz przyborów toaletowych nie znaleźli żadnych lekarstw na receptę. Najsilniejszym lekiem, jaki

odkryli w pokoju, było przeterminowane opakowanie przeciwbólowego Excedrinu.

Telefon komórkowy okazał się ciekawszym znaleziskiem, choć niewiele bardziej pomocnym. Lista kontaktów zawierała trzy numery. Jeden należał do matki Jasona. Nie była zachwycona, po raz drugi tego samego dnia rozmawiając z policją o synu, który najwyraźniej niewiele ją obchodził. Kolejny połączył ich z wydziałem fizyki technicznej, zamkniętym na święta. Trzeci z jakąś komórką, w której po pierwszym sygnale uruchomił się komunikat, że poczta głosowa jest pełna. Operator nie znał nazwiska właściciela – aparat był na kartę – czego można się było spodziewać, zważywszy na to, że żadna z ofiar nie miała wystarczających dochodów na stały abonament.

Will założył, że telefon z zapchaną skrzynką głosową należał do Allison Spooner. Dzwoniła do Jasona pięćdziesiąt trzy razy w ciągu weekendu. Od niedzielnego popołudnia aparat nie zarejestrował żadnego połączenia przychodzącego. Jedyne wychodzące miało miejsce trzy dni przed śmiercią chłopaka, kiedy zadzwonił do matki. Ze wszystkich informacji na temat ofiar, które Willowi udało się jak dotąd zebrać w tej sprawie, obraz smutnego, samotnego życia Jasona Howella był najbardziej przygnębiający.

– Prawie gotowe – oznajmił Charlie z wyraźnym podekscytowaniem w głosie.

Will zapatrzył się na korytarz, modląc się, by już nigdy więcej nie musiał oglądać tego obskurnego linoleum, porysowanych i przybrudzonych białych ścian. Sytuację pogarszała jeszcze utrzymująca się woń rozkładających się zwłok, choć ciało Jasona zabrano kilka godzin temu. A może Willowi się tylko coś roilo. Były takie miejsca zdarzenia, które, choć oglądane wiele lat temu, trwale zapisały się w jego nozdrzach. Sama myśl o nich potrafiła przywołać określony zapach albo cierpki posmak w ustach. Jason Howell zasili już na zawsze zasób złych wspomnień Willa.

– Doug, przesun się trochę w lewo – powiedział Charlie.

Podzielił miejsce zdarzenia na trzy strefy: korytarz, pokój Jasona i łazienkę. Wszyscy zgodnie uznali, że największe szanse na

ujawnienie śladów mają na korytarzu. W zbiorowej męskiej łazience z pewnością znaleźliby aż za dużo DNA, poza tym Will widział, że żadnemu z zebranych mężczyzn nie uśmiecha się specjalnie perspektywa czołgania się po tej akurat podłodze.

Charlie majstrował przy lampie na trójnogu.

– To jest ten przenośny LED-UV, o którym ci mówiłem.

– Ładny.

Will już się nasłuchiwał o fascynujących właściwościach przenośnego kryminalistycznego oświetlacza ultrafioletowego w technologii LED, co jego zdaniem było po prostu wymyślnym żargonowym określeniem zwykłej gigantycznej kwarcówki o większej mocy i zasięgu niż swojskie lampy Wooda, które wcześniej nosiło się dokoła. Emitowane światło ujawniało widzialne ślady krwi, moczu i nasienia oraz wszystkie inne fluorescencyjne drobiny.

Z myślą o mniej widocznych śladach zespół Charliego miał za chwilę spryskać korytarz luminolem, związkiem chemicznym reagującym na obecność żelaza zawartego we krwi. Seriale kryminalne oswoiły już masy z widokiem niebieskiej poświaty emitowanej przez niego w ciemności. Nie informowały tylko, że poblask utrzymuje się zwykle około trzydziestu sekund i trzeba go utrwalić za pomocą aparatów fotograficznych do długiej ekspozycji. Charlie porozstawiał je na trójnogach w czterech rogach korytarza i wokół wejścia do pokoju Jasona. Na wszelki wypadek przekreślił też do właściwej pozycji obiektyw kamery monitoringu, żeby zarejestrować zjawisko w czasie rzeczywistym.

Will stanął przy schodach i obserwował ostatnie poprawki krzątającej się ekipy. Zastanawiał się, czy sprawca też przystanął w tym miejscu, żeby przygotować się psychicznie do zabójstwa. Jego działania były tak przemyślane, zaplanowane w najdrobniejszym szczególe: wejście tylnymi drzwiami, odchylenie kamer do góry, potem szybko na piętro w rękawiczkach i z bronią w dłoni. Gotowy plan: ogłuszyć Jasona kijem, zaciągnąć na łóżko, przykryć kocem, zadźgać nożem, ukryć koc, na wypadek gdyby zawierał jakieś ślady dowodowe. Zejść po schodach, wyjść tylnymi

drzwiami.

Czy naprawdę taka premedytacja jest możliwa? Co się dzieje w głowie człowieka, zanim decyduje się pójść do obcego domu i roztrzaskać komuś czaszkę kijem bejsbolowym? Czy sprawcy podskoczyło tętno? Czy żołądek mu się ścisnął tak jak Willowi, gdy myślał o tym, co zobaczył na miejscu zbrodni? W pokoju było tyle krwi, fragmentów mózgu i tkanek, że zespół Charliego musiał podzielić go na sektory, żeby oczyścić sobie przejście i dokładnie udokumentować szczegóły jatki.

Jakim trzeba być człowiekiem, żeby stać nad łóżkiem i metodycznie wbijać nóż w ciało innego człowieka?

A biedny Jason Howell? Lena prawdopodobnie miała rację, zakładając, że zabójca znał go wystarczająco dobrze, by nienawidzić. Gardzić nim. W co ten chłopak się wplątał, że stał się obiektem takiej furii?

– Chyba gotowe. – Charlie chwycił ręczną kamerę wideo i pociągnął Willa w stronę pokoju Jasona. Rzucił Dougowi: – Zajmij się światłami.

Asystent zbiegł po schodach, a Charlie wyjaśnił Willowi plan:

– Najpierw zobaczymy, co ujawni luminol, potem ultrafiolet.

– Gotowi?! – krzyknął z dołu Doug.

– Gotowi! – potwierdził Charlie.

Korytarz zatonął w mroku. Pulweryzatory poszły w ruch i luminol szybko zareagował. Dziesiątki małych, wydłużonych plamek rozjarzyły się na niebiesko tuż przed otwartymi drzwiami pokoju Jasona. Były rozmazane w miejscu, gdzie zabójca usiłował je wytrzeć, ale wystarczająco wyraźne, by można było odtworzyć jego ruchy. Po zadźganiu Jasona wyszedł z pokoju, kierując się do schodów, ale potem się rozmyślił i zawrócił w stronę łazienki.

– Prawdopodobnie początkowo zamierzał zabrać koc ze sobą – powiedział Charlie.

Trzymał kamerę nisko, utrwalając na taśmie rozmieszczenie kropel. Will słyszał regularne pstryknięcia migawek aparatów na statywach.

– A to co? – spytał.

Większa plama przypominająca małą kałużę, widniała na podłodze tuż przy wejściu do łazienki. Niecały metr nad nią na ścianie znajdował się ślad kontaktowy.

Charlie przekręcił do góry wyświetlacz kamery. Will oglądał teraz obraz podwójnie: na żywo i w monitorze, gdy Charlie nagrywał luminescencyjne krople.

– Sprawca wychodzi z pokoju, idzie w kierunku schodów, ale uświadamia sobie, że z koca kapie. Zawraca, podchodzi do łazienki, jednak najpierw – Charlie skierował obiektyw kamery na jarzącą się plamę na podłodze – opiera coś tutaj. Stawiałbym na kij albo pałkę. To stąd ten znak na ścianie. – Zrobił zbliżenie miejsca, w którym spoczywał wcześniej koniec broni. – Ooo. Odcisk palca. – Ukląkł i wycelował kamerę w prawie idealny okrąg. – W rękawiczce chyba. – Zwiększył zbliżenie, ale świecący punkt zaczął gasnąć. – Tracimy go.

Czas reakcji luminolu uzależniony jest od zawartości żelaza we krwi. Ślad powoli zniknął, potem to samo stało się z kałużą na podłodze. Charlie zaklął pod nosem, gdy korytarz na powrót zatonął w ciemności. Przewinał film, by jeszcze raz rzucić okiem na odcisk.

– Sprawca na pewno miał rękawiczki.

– Lateksowe?

– Raczej skórzane. Widać groszkowanie lica. – Pokazał Willowi monitor, ale światło było zbyt intensywne, by mógł dostrzec coś oprócz samej plamy. – Zobaczmy, czy się ujawni przy oświetlaczu. Poproszę ultraviolet! – zawołał.

Rozległo się kilka trzasków, a potem ciągły szum. Korytarz rozbłysnął niczym bożonarodzeniowa choinka dziesiątkami śladów substancji białkowych.

– Robi wrażenie, co? – Posmarowane wazeliną usta Charliego jarzyły się jaskrawoniebiesko. Ukląkł na podłodze. Szlak krwawych śladów, który świecił tak jasno jeszcze kilka minut wcześniej, teraz był ledwo widoczny. – Nasz zabójca starannie po sobie posprzątał. – Wykonał jeszcze kilka zdjęć. – Dobrze, że nie użył wybielacza, bo w ogóle nic byśmy nie znaleźli.



– Nie sędę, by chciał zostawić ślady – powiedział Will. – Jest bardzo ostrożny, ale prawdopodobnie przyniósł na miejsce tylko broń: nóż i kij albo pałkę. Użył koca z łóżka, by ograniczyć rozprysk krwi. Próbował zabrać go ze sobą, potem, tak jak mówiłeś, zmienił zdanie, gdy zobaczył, że z materiału kapie. – Will się uśmiechnął, gdy sobie coś przypomniał. – Obok kabiny, w której znalazłem koc, jest schowek na środki czystości.

– Jesteś genialny, mój przyjacielu.

Poszli do łazienki. Charlie zapalił światła. Will przycisnął dłoń do twarzy, mając wrażenie, jakby tysiące noży wbiło mu się naraz w gałki oczne.

– Przepraszam – kajał się Charlie. – Powinienem być cię ostrzec, żebyś zamknął powieki i powoli je otwierał.

– Dzięki.

Przy każdym mrugnięciu przed oczyma wybuchały mu plamy. Oparł się o ścianę, by nie przewrócić się o własne nogi.

Charlie stał z kamerą wideo przed schowkiem.

– Możemy sprawdzić na zdjęciach, ale jestem pewien, że te drzwi były zamknięte, kiedy się tu zjawiliśmy. – Dłonią w rękawiczce ostrożnie przekreślił gałkę.

Schowek był płytki, większość wnętrza zajmował metalowy regał ze zwykłą zawartością: czterolitrowe butle płynów czyszczących, pudło ścierek, gąbki, dwa przepychacze, mop w żółtym kubie na kółkach. Na sznurku umocowanym do drzwi wisiały dwie butelki ze spryskiwaczem: jedna zawierała żółty płyn do wywabiania plam, druga niebieski do czyszczenia szyb i szkła.

Charlie sfilmował wszystkie produkty półka po półce.

– To są przemysłowe detergenty. Prawdopodobnie mają ze trzydzieści procent wybielacza w składzie.

Will poznał logo Windex na butelkach ze spryskiwaczem. Używał takiego samego płynu u siebie w domu. Zawierał ocet, który rozpuszczał tłuszcz.

– Nie można łączyć octu z wybielaczem, prawda?

– Zgadza się. Powstaje wtedy chlor gazowy. – Charlie poszedł za spojrzeniem Willa do butelki ze spryskiwaczem. Roześmiał się, gdy

skojarzył. – Zaraz wracam.

Will odetchnął głęboko, wypuszczając powietrze, które, jak mu się zdawało, wstrzymywał przez ostatnie dwa dni. Spryskany luminolem wybielacz świeci równie jasno jak krew i fałszuje obraz śladów biologicznych. Ocet natomiast łączy się z żelazem, sprawiając, że krew jest lepiej widoczna. To wyjaśniało, dlaczego plamy w korytarzu jarzyły się tak intensywnie. Zabójca oczyścił podłogę Windexem. Równie dobrze mógłby narysować strzałkę przy śladach.

Charlie wrócił z Dougiem i jeszcze jednym asystentem. Zaczęli robić zdjęcia, a Charlie sięgnął po pędzelek i argenterat, żeby sprawdzić ślady daktyloskopijne na butelce z płynem do czyszczenia. Zaczął od góry i metodycznie posuwał się w dół, przesuając delikatnie pędzel z prawej do lewej. Will spodziewał się wcześniej, że natychmiast ujawni odciski. Butelka była do połowy opróżniona, musiały korzystać z niej woźne i sprzątaczk. Schowka nie zamykano na klucz, zatem dostęp do niego mieli także studenci.

– Została wytarta – domyślił się. Spust i rączka spryskiwacza były czyste.

– Trochę więcej wiary w starego druha – wymruczał Charlie, omiatając pędzelkiem etykietę.

Wszyscy przykucnęli, gdy usunął proszek ze spodu butelki.

– Bingo – wyszeptał Will, patrząc na fragmentaryczny ślad daktyloskopijny na zewnętrznej powierzchni denka. Czarne linie praktycznie fosforyzowały na tle ciemnoniebieskiej cieczy.

– Co widzisz? – spytał Charlie. Wyjął latarkę z kieszeni i skierował snop światła na czysty plastik. – Święty duch. Dobry połów, sokole oko. – Zamienił latarkę na kawałek przezroczystej taśmy. – Prawdopodobnie fragment małego palca. Usiadł na piętach, żeby przenieść taśmę na biały karton.

– Rękawiczki były zakrwawione. Musiał je zdjąć, żeby oczyścić podłogę.

Charlie podniósł się przy pomocy Douga.

– Z miejsca zawieziemy to do laboratorium. Ściągnę z łóżek kilka

osób. Trochę to potrwa, ale ślad jest czytelny. To dobry trop, Will. – Powiedział do asystenta: – Reszta materiału dowodowego jest w furgonetce. W moim podręcznym zestawie powinna być też buteleczka proszków. Zawieź je też.

Will całkiem zapomniał o lekarstwach z apteczki Tommy'ego Brahama.

– Zrobiłeś wstępną analizę?

– Tak. – Charlie popatrzył w kierunku schodów. Ultrafiolet odbijał się od ich białych kombinezonów. – To nie koka, meta, amfa ani nic ze zwykłych narkotyków. Dzieciak uprawiał sport?

– Nie wydaje mi się.

– To może być jakiś steryd anaboliczny albo stymulant. Mnóstwo młodych teraz się tym faszkuje, na przykład żeby zwiększyć masę. Bez problemu można je dostać w Internecie. Wysłałem kilka fotek do Centralnego, żeby sprawdzić, czy poznają etykietę albo kapsułki. Wielu dilerów funkcjonuje na rynku pod określoną marką: mają takie same etykiety i oznaczenia, żeby łatwiej promować produkt.

Tommy nie wyglądał Willowi na pakera, był chudy. Ale może próbował to zmienić.

– Znalazłeś jakieś odciski na butelce?

Charlie przystanął nad swoją podręczną walizką. Wyciągnął fiolkę proszków, teraz zapakowaną we właściwą torebkę na dowody zamiast kuchenną foliówkę.

– Zdjąłem dwa ślady. Pierwszy należy do mężczyzny, prawdopodobnie dorosłego. Drugi to szczątkowy odcisk błonki – Pokazał fałd skórny między kciukiem a palcem wskazującym. – Nie wiem, czy jest żeński czy męski, ale domyślam się, że osoba, która napisała te słowa na etykiecie, trzymała wtedy butelkę w dłoniach. Mówię osoba, bo pismo wygląda na kobiece.

– Mogę zatrzymać buteleczkę? Chciałbym ją pokazać tu i ówdzie, może ktoś ją rozpozna.

– Mam kilka kapsułek w samochodzie. – Charlie podał mu torebkę, gdy schodzili po schodach. – Nadal chcesz, żeby cię podrzucić do domu Brahamów? Myślę, że jeden z chłopców mógłby

się teraz zająć garażem.

– Świetnie.

Will zapomniał, że jego porsche nadal stoi na Taylor Drive. Sprawdził czas na wyświetlaczu komórki. Świadomość, że jest już po dziesiątej, sprawiła, że nagle poczuł się potwornie zmęczony. Pomyślał o obiedzie Cathy Linton i zaburzało mu w brzuchu.

Na dole Marty, chwilowo w stanie czuwania, rozmawiał przy drzwiach z wielkim mężczyzną stanowiącym, wyjąwszy kolor skóry, jego dokładne przeciwieństwo.

– Agent Trent? – Wielkolud wolno ruszył w kierunku Willa. Wyglądał jak bokser wagi ciężkiej, który się zapuścił. – Demetrius Adler.

Will był za bardzo zajęty rozpinaniem kombinezonu, żeby uścisnąć mu dłoń.

– Dziękujemy za pańską współpracę, panie Adler. Przykro mi, że tak długo tu panów przetrzymałem.

– Dałem Lenie wszystkie nagrania z monitoringu. Mam nadzieję, że coś na nich wypatrzy.

Will podejrzewał, że już dawno by się odezwała, gdyby odkryła coś interesującego, Mimo to powiedział Demetriusowi:

– Jestem pewien, że okażą się pomocne.

– Dziekan prosił, żebym dał panu jego numer. – Podał Willowi wizytówkę. – Poleciał mi też sprawdzić wszystkie budynki. Nie znaleźliśmy nic więcej. Wszystkie sypialnie w akademikach są puste. Natychmiast po świętach ktoś z serwisu naprawi kamery.

Will usiadł, żeby ściągnąć do końca skafander. Przypomniał sobie, co Marty powiedział mu wcześniej.

– A co z tym samochodem, na który spadła jedna z kamer?

– Stał zaparkowany w strefie dostawczej. Chwała Bogu, nikogo nie było w środku. Cholerstwo walnęło prosto w szybę tylnej klapy.

– Szybę tylnej klapy? To był hatchback?

Demetrius potwierdził.

– Jakiej marki dokładnie?

– Zdaje się, że jeden z tych starych dodge'ów daytona.

Do deszczu dołączył śnieg, kiedy furgonetka Charliego, wstrząsana porywami wiatru, w końcu dotarła na parking depozytowy. Plac przed budynkiem przeobraził się w jedną wielką kałużę. Nie sposób było się dostać do frontowych drzwi suchą nogą. Will poczuł, jak jego skarpetki znowu nasiąkają wodą. Zaczynał utykać z powodu rosnącego pęcherza na pięcie.

– Earnshaw Autoserwis – powiedział Charlie i Will się domyślił, że przeczytał napis na szyldzie świecącym nad budynkiem.

W wejściu stał chudy jak chart starszy mężczyzna w kombinezonie roboczym i bejsbolówce na głowie. Przytrzymał im drzwi, gdy wbiegali do środka.

– Al Earnshaw. – Uścisnął im dłonie i zwrócił się do Willa: – Jest pan przyjacielem Sary? Siostra dużo mi o panu opowiadała.

Will zrozumiał przyczynę niesamowitego podobieństwa mężczyzny do Cathy Linton.

– Była dla mnie bardzo miła.

– Na bank. – Mechanik ryknął dobrodusznym śmiechem, ale walnął Willa w ramię tak mocno, że mało go nie przewrócił. – Wóz jest na tyle. – Skierował ich w stronę drzwi za kontuarem.

Warsztat był duży i ozdobiony typowym zestawem kalendarzy z gołymi panienkami i plakatami z wizerunkami szorujących samochody dam w bikini. W środku znajdowało się sześć podnośników, po trzy z każdej strony. Ułożone w równym rzędzie skrzynki na narzędzia były szczelnie pozamykane. Al włączył grzejniki, ale w pomieszczeniu nadal panował przenikliwy ziąb. Rolowana brama na tyłach podzwaniała, szarpana wiatrem. Dodge daytona Allison stał przy ostatnim podnośniku. Szyba w klapie była wgnieciona na środku, tak jak powiedział Demetrius.

– Kontaktował się pan z Allison, żeby dać znać, że ma jej samochód?

– Nie dzwoniemy do ludzi, gdy odholujemy im auto. Cała polibuda oklejona jest informacjami z naszym numerem. Uznałem, że właściciel pojechał stopem do domu na święta, i po powrocie sam się z nami skontaktuje, gdy zobaczy, że nie ma jego wozu. – Dodał: – Malibu Tommy’ego stoi na parkingu, jeśli chcecie rzucić na nie

okiem.

Will na śmierć zapomniał o samochodzie młodego Brahama.

– Ustalił pan już, co się zepsuło?

– Rozrusznik znowu się zacinał. Tommy wpełzał pod spód i walił młotkiem, żeby odblokować szczotki. – Al wzruszył ramionami. – Jakoś udało mi się go naprawić. Pick-up Gordona już długo nie pociągnie. Będzie musiał czymś jeździć. – Wyciągnął szmatkę z kieszeni kombinezonu i wytarł dłonie. Gest nosił znamiona nerwowego tik. Ręce mechanika były równie czyste jak Willa.

– Dobrze pan znał Tommy'ego?

– Mhm. – Schował szmatkę do kieszeni. – Nie będę wam przeszkadzał. Krzyczcie, jakbyście czegoś potrzebowali.

– Dziękujemy.

Charlie podszedł do samochodu. Postawił swój przybornik na podłodze i otworzył.

– Sara? – spytał.

– Lekarka z miasta. Z Atlanty, znaczy – poprawił się Will. – Pracuje w szpitalu Grady'ego. Dorastała tutaj.

Charlie podał mu parę lateksowych rękawiczek.

– Jak długo ją znasz?

– Jakiś czas. – Will guzdrał się z ich nakładaniem dłużej, niż było to konieczne.

Charlie pojął aluzję. Otworzył drzwi samochodu. Zawiasy głośno zapiszczały. Lionel Harris trafnie ocenił stan daytony. Miała więcej rdzy niż lakieru i łysy opony. Choć silnik nie był uruchamiany od kilku dni, we wnętrzu unosiła się woń oleju i spalin.

– Chyba napadało do środka – stwierdził Charlie.

Deskę rozdzielczą wykonano z solidnego tłoczonego plastiku, ale tapicerowane fotele były mokre i zapleśniałe. Przez dziurę w rozbitej szybie napadał do wnętrza deszcz, wsiąkając w wykładzinę i zalewając gumowe dywaniki. Charlie przesunął do przodu przednie siedzenie i na spodnie chlupnęła mu woda. W brudnej deszczówce na podłodze pływały notatki z wykładów. Atrament zmył się niemal całkowicie.

– Tu dopiero będzie frajda – mruknął Charlie. Prawdopodobnie

żałował, że nie został w kampusie ze swoimi fikuśnymi lampami. – Chyba powinniśmy zrobić to jak należy. – Wyjął kamerę z przybornika.

Will postanowił przejść się dokoła samochodu, dopóki wszystko nie będzie gotowe.

Kłapa bagażnika była przywiązana do zderzaka postrzępionym kawałkiem elastycznej linki. Rozbitą szybę zabezpieczono przezroczystą folią, która trzymała razem poszczególne kawałki okna. Will zajrzał do bagażnika przez pokryte pajęczyną pęknięć szkło. Ewidentnie Allison przejawiała równie silne zamięrowanie do bałaganu co Jason do porządku. Cały kufer zawałony był papierzyskami, z rozmazaniem od wilgoci atramentem. Willowi mignęło coś różowego. Schylił się, żeby poluzować linkę.

– Poczekaj – powstrzymał go Charlie. Zbadał gumową uszczelkę dokoła szyby, upewniając się, że trzyma. – Wygląda w porządku – powiedział. – Mimo to uważaj. Nie chcesz, żeby zwała ci się na głowę tafla szkła.

Will pomyślał sobie, że zdarzają się gorsze rzeczy. Czekał cierpliwie, kiedy Charlie, skierowawszy na niego obiektyw kamery, deklamował oficjalnym tonem do mikrofonu:

– To jest agent specjalny Will Trent z Biura Śledczego Georgii. Za kamerą Charles Reed, także GBI. Znajdujemy się w autoserwisie Ala Earnshawa w mieście Heartsdale w okręgu Grant w stanie Georgia. Jest dwudziesty szósty listopada, wtorek, godzina dwudziesta druga trzydzieści dwie. Za chwilę otworzymy bagażnik samochodu marki dodge daytona należącego, wedle zeznań świadków, do ofiary zabójstwa, Allison Spooner. – Skinął głową, sygnalizując Willowi, że może wreszcie przejść do rzeczy.

Linka była naciągnięta do granic wytrzymałości. Will się trochę namęczył, zanim odczepił ją od zderzaka. Kłapa była ciężka i przypomniał sobie, jak Lionel mówił, że poszły teleskopy. Allison otwierała ją za pomocą kawałka kija od szczotki. Will zrobił tak samo. Z rozbitej szyby posypały się maleńkie drobiny szkła.

– Poczekaj chwilę – poprosił Charlie i zrobił zbliżenie torby na książki, kartek i opakowań po fast foodach.

W końcu dał Willowi znak, że może wyciągnąć torbę.

Will chwycił za pasek. Okazała się ciężka, ale materiał, pomimo różowego koloru, wyglądał na wodoszczelny. Pod czujnym okiem kamery Will rozsunał zamek błyskawiczny. Na wierzchu leżały dwie grube książki, zupełnie suche. Z rysunków cząsteczek na okładce domyślił się, że są to podręczniki chemii. Pod spodem znalazł cztery notesy w oprawach spiralnych różnego koloru. Przerzucił strony przed kamerą, również domyślając się, że zawierają notatki z wykładów.

– A to co? – spytał Charlie.

Z notesu w niebieskiej okładce wystawał kawałek papieru.

Will wyciągnął go i rozłożył: była to połowa liniowanej kartki z poszarpaną krawędzią boczną w miejscu oderwania od oprawy spiralnej. Znajdowały się na niej dwie linijki tekstu napisanego drukowanymi literami długopisem. Will wbił wzrok w pierwsze słowo. Czytanie zawsze szło mu gorzej, gdy był zmęczony. Teraz padał z nóg. Oczy stanowczo odmówiły współpracy. Podniósł kartkę do kamery, pytając:

– Zechcesz pełnić honory?

Na szczęście Charlie nie uznał prośby za dziwną. Wyrecytował swoim „kamerowym” głosem:

– To jest kartka znaleziona w różowej torbie na książki należącej według zeznań świadków do ofiary. Tekst brzmi: „Musimy porozmawiać. Spotkamy się w tym samym miejscu co zwykle”.

Will ponownie popatrzył na słowa. Teraz, gdy wiedział już, co oznaczają, zaczynał rozpoznawać poszczególne litery. Powiedział:

– „S” wygląda znajomo. Przypomina to ze znalezionego nad jeziorem fałszywego listu samobójczego. – Wskazał przed obiektywem na linię przedarcia u dołu. – Został napisany na dolnej połowie przedartej na pół kartki. – Wyrecytował za Charliem: – „Musimy porozmawiać. Spotkamy się w tym samym miejscu co zwykle”. A potem idzie część z listu, która brzmi: „Chcę z tym skończyć”.

– Pasuje.

Charlie znowu zmienił głos, oznajmiając, że kończy nagranie.



Bardzo rozsądnie uznał, że lepiej nie dokumentować ich prywatnych spekulacji na użytek przyszłego obrońcy zabójcy.

Will przyglądał się bacznie literom.

– Jak ci się wydaje: kto to pisał, mężczyzna czy kobieta?

– Nie mam pojęcia, ale na pewno nie Allison. – Will domyślił się, że Charlie porównał liścik z notatkami z wykładów znalezionymi w torbie dziewczyny. – Widziałem w pokoju Jasona kilka jego zdań domowych. On pisał drukowanymi literami.

– Ale czemu miałby dawać Allison taki liścik?

– Może też maczał palce w jej zabójstwie? – strzelił Charlie.

– Może.

– A potem zabójca uznał, że woli nie zostawiać świadków.

Willowi powoli zaczynał lasować się mózg. Hipoteza nie trzymała się kupy.

– Nie jestem grafologiem, ale na moje oko charakter pisma z pamiętnika Allison pasuje do napisu na buteleczce z kapsułkami – rzucił Charlie.

– Z pamiętnika?

– Niebieski notes. To ewidentnie jakiś dziennik.

Will przerzucił strony. Mniej niż połowa była zapisana, pozostałe kartki były puste. Zerknął na nadruk na wierzchu plastikowej okładki. W rogu widniała zakreślona kółkiem liczba 250. Domyślił się, że określa liczbę stron.

– Czy to nie dziwne, że wybrała taki zwykły brulion na pamiętnik?

– Miała dwadzieścia jeden lat. Spodziewałbyś się raczej jednego z tych oprawnych w skórę i zamykanych na kłódeczkę dziewczyńskich kajecików?

– Chyba nie.

Will kartkował zapiski. Allison bazgrała jak kura pazurem, ale cyfry dawało się odczytać. Wszystkie wpisy poprzedzała data. Niektóre liczyły kilka akapitów, inne ograniczały się do jednej lub dwóch linijek. Przerzucił strony na ostatni wpis.

– Trzynasty listopada. Dwa tygodnie temu. – Sprawdził pozostałe daty. – Aż do tego momentu pisywała raczej regularnie. –

Wrócił do pierwszej strony. – Zaczęła pierwszego sierpnia. Raczej krótkie dzieło jak na dziennik.

– Może co roku w swoje urodziny zaczyna nowy.

Will przypomniał sobie adnotację Sary z tablicy w domu pogrzebowym. Allison Spooner obchodziła urodziny dwa dni przed Angie.

– Przyszła na świat w kwietniu.

– Nie możesz mieć pretensji, że próbowałem. – Charlie podniósł kamerę. – Chyba powinniśmy jakoś to udokumentować, przynajmniej fragmentarycznie. Coś ciekawego rzuca ci się w oczy?

Will patrzył na otwarty pamiętnik. Pismo Allison przypominało wężykowaty ciąg pętli i zawijasów. Poklepał się po kieszeniach.

– Zdaje się, że zostawiłem okulary w schowku na rękawiczki.

– No to kłapa. – Charlie wyłączył kamerę. – Podrzucę cię do samochodu, żebyś mógł się do tego zabrać. Ja też na pewno zarwę noc, zanim skończę tu i uporam się jeszcze z domem Brahamów.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Lena poczuła, jak kolejna fala dreszczy wstrząsa jej ciałem. Przypominało to trzęsienie ziemi: wolne dudnienie gdzieś w głębi, a potem nagle cały świat się wywracał do góry nogami. Zęby zaczęły jej szczekać na kneblu wciśniętym w usta. Drgania mięśni powoli przeszły w pełen spazm. Stopy zadygotały, uderzając o podłogę. Przed oczyma pojawiły się gwałtowne błyski. Nie było sensu z tym walczyć. Mogła tylko leżeć i czekać, aż minie.

Bardzo nieśpiesznie drzączka zaczęła ustępować. Ciało powoli się rozluźniło, boleśnie zaciśnięta żuchwa rozwarła. Serce zwolniło, trzepocząc w piersi niczym ryba w sieci.

Jak mogła się wpakować w taką sytuację? Jak mogła tak łatwo dać się nabrać?

Była związana, sznur oplatał jej tułów, stopy i dłonie. Gdyby nawet miała pełną swobodę ruchów, prawdopodobnie i tak mogłaby jedynie leżeć i spływać potem. Ubranie miała całkiem mokre i leżała w kałuży własnych wydzielin.

I było jej zimno. Tak cholernie zimno, że nawet w chwilach między kolejnymi falami dreszczy podzwaniała zębami. Stopy i ręce zdrętwiały niemal na kość. Ze zgrozą myślała o kolejnym napadzie drgawek. Wiedziała, że wielu już nie wytrzyma.

Czy to skutek tej zakażonej rany dłoni? To przez nią nie mogła przestać się trząść? Rwanie zamieniło się jakiś czas temu w przeszywający ból, który pojawiał się i ustępował bez określonej regularności. Wprawdzie przed oczyma nie przelatywało jej jeszcze całe życie, ale nie mogła przestać myśleć o tym, dlaczego się tu znalazła. Jeśli jakimś cudem uda jej się stąd wydostać, uwolnić,

wszystko się zmieni. Obezwładniający strach przyniósł ze sobą jasność spojrzenia, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczyła. Tak długo się oszukiwała, wmawiając sobie, że ukrywa prawdę, żeby chronić innych ludzi – swoją rodzinę, przyjaciół. Teraz widziała już, że chroniła tylko siebie.

Jeśli Brad się jakoś wyliże, będzie go przepraszała do końca dni swoich. Frankowi powie, że się co do niego myliła. Jest dobrym człowiekiem. Trwał przy niej przez te wszystkie lata, podczas gdy każdy z odrobiną oleju w głowie już dawno wypiąłby się na taką beznadziejną przyjaciółkę. Wujkowi Hankowi też zafundowała piekło. Odpychała go tyle razy, że aż dziw, że staruszek nadal trzymał się na nogach.

I spotka się z Sarą na osobności. Otworzy przed nią duszę, biorąc na siebie odpowiedzialność za śmierć Jeffreya. Bo wprawdzie nie zabiła go własnymi rękoma, ale naraziła na niebezpieczeństwo. Była jego partnerem. Miała go osłaniać, a tymczasem stała z założonymi rękoma, patrząc w milczeniu, jak rzuca się dla niej w ogień. Na dobrą sprawę pchnęła go do tego, bo była zbyt wielkim tchórzem, by sama się z tym zmierzyć.

Może to powodowało te napady. Prawda mogła przyprawić o ciarki.

Przekręciła zdrową rękę, żeby sięgnąć do zegarka. Sznur wjął jej się w nadgarstek, ale ledwo zauważyła ból, wciskając przycisk podświetlenia.

Dwudziesta trzecia pięćdziesiąt cztery.

Prawie północ.

Z komendy wyszła około osiemnastej. Jared na pewno się niepokoi. Albo i nie. Może wraca właśnie teraz do siebie do Macon, bo Frank już się z nim skontaktował.

Jared. Jeśli pozna prawdę, Lena straci go na zawsze.

Kara odpowiednia do zbrodni.

Napięła mięśnie zuchwy. Zamknęła oczy, czując następną falę dreszczy. Drżenie zaczęło się od ramion i rozlewało się niżej, na przedramiona i dłonie. Stopy zaczęły dygotać. Oczy jej się wywróciły. Usłyszała hałas. Stękania. Krzyk.

Powoli podniosła powieki. Zobaczyła ciemność. Wszystko do niej wróciło. Leżała na zimnej posadzce, związana i zakneblowana, spływając potem. W powietrzu unosił się smród potu i moczu. Wcisnęła guzik na zegarku. W lekkiej poświacie mignęła jej skóra na nadgarstku. Czerwona pręga biegła po ramieniu, w kierunku serca. Zerknęła na tarczę.

Dwudziesta trzecia pięćdziesiąt osiem.

Prawie północ.

# ŚRODA

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Wskazówki kuchennego zegara minęły północ. Sara słuchała ich miarowego tykania, siedząc przy stole i gapiąc się na stos brudnych naczyń w zlewie. Bóg raczy wiedzieć od jak dawna. Tkwiła przyrośnięta do krzesła nie tylko siłą bezwładu. W ramach remontu w kuchni pojawiły się dwie zmywarki do naczyń, tak nowoczesne i bezgłośnie, że nie sposób było się zorientować, kiedy pracowały. Mimo to matka upierała się przy ręcznym zmywaniu porcelany, garnków oraz patelni. A precyzyjniej rzecz ujmując, uparła się, by Sara się tym zajęła, co czyniło zapóźnienie cywilizacyjne Cathy zdecydowanie bardziej oburzającym.

Teoretycznie niewymagające myślenia zajęcie powinno stanowić mile widziany akcent na zakończenie dnia Sary. Praca w szpitalu Grady'ego przypominała próbę utrzymania równowagi na kręcącej się karuzeli. Pacjenci napływali niesłabnącą nigdy falą i Sara zajmowała się średnio dwudziestoma przypadkami naraz. Dzień w dzień, jeśli liczyć konsultacje, oprócz zwykłej pracy na oddziale, widywała w trakcie dwudziestoczworgodzinnej dyżuru średnio od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu chorych. Zwolnienie tempa, skupienie się tylko na jednym pacjencie naraz, powinno stanowić miłą odmianę, ale odkryła, że jej mózg pracuje już inaczej.

Zrozumiała, że nawał pracy na urazówce był pod wieloma względami błogosławieństwem. Gdy mieszkała w Grant, wiodła zdecydowanie spokojniejsze życie. Zwykle rano jadła śniadanie z Jeffreyem. Dwa lub trzy razy w tygodniu szli na kolację do jej rodziców. Ona sama znajdowała czas, by pełnić funkcję lekarza sportowego reprezentacji futbolowej lokalnego liceum. Latem

pomagała trenować drużynę siatkarek. Jeśli dobrze rozplanowała obowiązki, udawało jej się wykroić mnóstwo wolnego czasu. Zwykle zakupy w warzywniaku mogła przeciągnąć do kilku godzin, jeśli wpadła na jakąś przyjaciółkę. Wycinała artykuły z gazet dla siostry. Wstąpiła nawet do klubu książki, do którego należała matka, i aktywnie uczestniczyła w zebraniach, dopóki na warsztacie nie pojawiło się zbyt wiele poważnych pozycji i zabawa się skończyła.

Nawał pracy w Atlancie nie pozwalał jej na nadmierne zastanawianie się nad własnym życiem. Zwykle, gdy podyktowała już zlecenia i wypełniła karty na koniec dyżuru, siły starczało jej już tylko na to, by jakoś dowlec się do domu i wziąć kąpiel, zanim zasnęła na kanapie. Tak zwane dni wolne miała równie zawałone tym, co – dopiero teraz to sobie uświadomiła – było po prostu różnymi sposobami zabijania czasu. Wszystkie prace domowe wykonywała od ręki. Umawiała się na lunchy i obiady, byleby tylko nie pozostawać zbyt długo sam na sam ze sobą. Ze swoimi myślami.

Ale to wszystko zupełnie przestało się liczyć w piwnicy domu pogrzebowego Brocka. Sekcja zwłok niewątpliwie wymagała wielkiej koncentracji uwagi i skrupulatności, ale po pewnym etapie procedury były już rutynowe: Zmierzyć, zważyć, pobrać bioptat, zanotować. Ciała Allison Spooner i Jasona Howella nie dostarczyły żadnych niezwykłych wskazówek mogących naprowadzić na trop zabójcy. Jedynym łączącym je elementem były niemal identyczne rany, zadane tym samym narzędziem: małym, ostrym nożem, który sprawca po wbiciu w ciało przekręcał dla lepszego efektu.

Jeśli zaś idzie o Tommy'ego Brahama, w trakcie oględzin jego odzieży Sara znalazła tylko jeden nietypowy element: w przedniej kieszeni dżinsów chłopiec miał małą metalową sprężynkę od długopisu.

Zapaliło się światło w korytarzu.

– Te naczynia nie pozmywają się same! – zawołała Cathy.

– Tak, mamó.

Sara spojrzała spode łba na zlew. Hare przyszedł na obiad, ale Sara podejrzewała, że przygotowana przez matkę ucztą została tak



naprawdę przyrządzona z myślą o Willu. Cathy uwielbiała gotować dla umiających to docenić łasuchów, a Trent z pewnością mieścił się w tej kategorii. Wyciągnęła porcelanową zastawę i zaserwowała kawę w filiżankach na spodeczkach, a potem oznajmiła przy stole, że Sara to wszystko pozmywa. Hare rżał jak koń na widok miny, jaka odmalowała się na jej twarzy.

– Powinnaś jeszcze marszczyć nos, gdy się tak na nie gapisz – poradziła Tessa, wchodząc do kuchni. Miała na sobie rozkloszowaną żółtą koszulę nocną, która tworzyła wielki baldachim nad jej brzuchem.

– Mogłabyś zaproponować pomoc.

– Czytałam w „People”, że w ciąży niewskazany jest kontakt z pomyjami. – Otworzyła lodówkę i zapatrzyła się na góry wypełniającego ją jedzenia. – Szkoda, że nie obejrzałaś z nami tego filmu. Był zabawny.

Sara rozparła się na krześle. Jakoś nie miała teraz ochoty na komedię romantyczną.

– Co to był za telefon przed chwilą?

Tessa przesuwiała plastikowe pojemniki zastawiające półki.

– Od byłej żony Franka. Pamiętasz Maxine? – Sara skinęła głową. – Wallace nadal nie zgadza się na szpital.

Dziś po południu Frank miał łagodny atak serca. Na szczęście Hare siedział akurat w bistro dwa kroki dalej, bo inaczej mogłoby się to skończyć znacznie gorzej. Pięć lat temu Sara na taką wieść natychmiast pospieszyłaby do przyjaciela rodziny. Dziś, kiedy usłyszała nowinę w zakładzie pogrzebowym, potrafiła wykrzesać z siebie tylko smutek.

– Czego chciała Maxine?

– Tego co zwykle. Powieszać trochę psów na Franku. Bo to uparty stary głupiec. – Tessa postawiła kubek z bitą śmietaną na stole i wróciła do lodówki. – Dobrze się czujesz?

– Jestem tylko zmęczona.

– Ja też. Cięża to ciężka harówka.

Usiadła po drugiej stronie stołu ze smażonym udkiem kurczaka w dłoni. Unurzała je w słodkiej śmietanie.

– Błagam, nie chcesz chyba tego jeść?

Tessa podała jej przekąskę.

Wbrew rozsądkowi Sara spróbowała nieludzkiej kombinacji.

– O! Smakuje słono i słodko równocześnie. – Oddała udko siostrze.

– Wiem, tak? – Tessa zanurzyła je z powrotem w kubku, ugryzła kawałek i przeżuwała w zamyśleniu. – Wiesz, co wieczór modłę się za ciebie.

Sara roześmiała się mimowolnie. Natychmiast się zmitygowała.

– Przepraszam. Po prostu...

– Po prostu co?

Uznała, że równie dobrze może powiedzieć siostrze prawdę.

– Po prostu nie sądziłam, że naprawdę w to wierzysz.

– Jestem misjonarką, kretynko. Jak myślisz, czemu robię to, co robię, przez ostatnie trzy lata?

Sara desperacko usiłowała wybrnąć jakoś z oparów, ale coraz bardziej się pograżała.

– Myślałam, że chciałaś po prostu pojechać do Afryki i pomagać dzieciom. – Nie wiedziała, co powiedzieć. Jej siostra od małego cieszyła się życiem. Czasami wydawało się nawet, że za nie obie. Sara zawsze miała w głowie tylko naukę, potem pracę. Tymczasem Tessa spotykała się, z kim jej się żywnie podobało, spała, z kim naszła ją akurat fantazja, i nigdy się tego nie wstydziła. – Musisz przyznać, że nie jesteś raczej typową misjonarką.

– Może – zgodziła się. – Ale człowiek musi w coś wierzyć.

– Trudno jest wierzyć w Boga, który pozwolił, by mój mąż umarł na moich oczach.

– Nie można spać z podłogi, siostrzyczko. Jeśli ktoś rzuca ci linę, lepiej zacznij się wspinać.

Cathy powiedziała Sarze to samo zaraz po śmierci Jeffreya.

– Cieszę się, że odkryłaś, co daje ci spokój.

– Myślę, że ty też odkryłaś. – Tessa ogryzła już udko, ale kostką nadal wybierała z kubka śmietanę. – Zmieniłaś się od chwili przyjazdu tutaj. Robisz to, co chcesz robić.

– Pierwsze słyszę.

– A gdzie jest Will?

Sara jęknęła.

– Błagam, tylko nie zaczynaj znowu.

– Następnym razem, gdy będziesz się z nim widziała, ściągnij z włosów tę gumkę. Ładniej ci w rozpuszczonych.

– Proszę, daj spokój.

Tessa nachyliła się i ujęła jej dłoń.

– Mogę ci coś powiedzieć?

– Wszystko z wyjątkiem rady, żebym się uganiała za żonatym mężczyzną.

Uścisnęła jej rękę.

– Naprawdę kocham mojego męża.

Sara rzuciła ostrożne „Okay”.

– Wiem, że masz go za nudziarza, zbyt poważnego i zadufanego w sobie, i wierz mi, bywa taki, ale setki razy każdego dnia, ilekroć słyszę jakąś piosenkę, myślę o czymś śmiesznym albo tatuś rzuca jeden z tych swoich głupich kalamburów, pierwsze, co mi przychodzi do głowy, to: „Chcę opowiedzieć o tym Lemowi”. I wiem, że na drugim końcu świata on myśli tak samo. – Urwała. – To właśnie jest miłość, Saro. Kiedy łapiesz się na tym, że jest tyle rzeczy, o których chciałabyś powiedzieć tylko tej jednej jedynej osobie na świecie.

Sara pamiętała, jakie to uczucie. Jakby się było owiniętym ciepłym kocym.

Tessa się roześmiała.

– Dobry Boże, zaraz się rozplaczę. Kiedy Lem przyjedzie, weźmie mnie za neurotyczkę.

Sara położyła rękę na jej dłoni.

– Cieszę się, że kogoś sobie znalazłaś. – Mówiła szczerze.

Widziała, że siostra jest szczęśliwa. – Zaslugujesz na miłość.

Tessa uśmiechnęła się znacząco.

– Ty też.

Sara zachichotała.

– Chyba sama się o to prosiłam.

– Lepiej się już położę. – Tessa jęknęła, podnosząc się z trudem. –

Umyj ręce. Śmierdzisz kurczakiem i bitą śmietaną.

Sara powąchała dłonie. Siostra miała rację. Znowu popatrzyła na pełen zlew, myśląc, że chyba powinna zakasać rękawy i zabrać się do zmywania, żeby się w końcu kiedyś położyć. Wstała z krzesła i jęknęła równie gromko jak siostra. Plecy ją bolały od wielogodzinnego schylania się nad stołem sekcyjnym. Oczy miała zmęczone. Otworzyła szafkę pod zlewem i zaczęła szukać płynu do naczyń, mając nadzieję, że nie znajdzie i z czystym sumieniem będzie mogła zostawić brudne naczynia do rana.

– Szlag – wymamrotała, kiedy namacała płyn tuż za pełnym opakowaniem proszku do zmywarki, którego matka nigdy nie otworzyła. Usłyszała kroki w korytarzu.

– Przyszłaś po śmietanę? – spytała. Tessa nie odpowiedziała, ale Sara wiedziała, że gdzieś się tam czai. – Bo chyba nie po to, żeby mi pomóc?

Wyszła na korytarz i zamiast Tessy zobaczyła Willa Trenta.

– Cześć.

Stał na środku holu ze skórzaną aktówką u boku. Zaszła w nim jakaś zmiana, ale Sara nie bardzo potrafiła stwierdzić, na czym polega. Wyglądał tak samo. Miał nawet na sobie to samo ubranie, w którym oglądała go już od dwóch dni. Jednak zdecydowanie coś się stało. Bił od niego przejmujący smutek.

Zaprosiła go gestem do kuchni.

– Wejdz.

Postawiła płyn do naczyń na blacie. Will stanął w drzwiach.

– Przepraszam – powiedział. – Twoja siostra mnie wpuściła. Zaglądałem przez okienko w drzwiach, próbując się zorientować, czy jeszcze nie śpicie. Wiem, że jest późno. – Urwał i przełknął ślinę. – Naprawdę późno.

– Wszystko w porządku?

Nerwowym gestem przełożył aktówkę z jednej ręki do drugiej, potem z powrotem.

– Proszę, powiedz swojej mamie, że mi przykro, że nie dałem rady przyjechać na obiad. Mieliśmy mnóstwo roboty i po prostu...

– Nic się nie stało. Ona to rozumie.

– Czy sekcje... – Urwał znowu, ocierając czoło rękawem. Włosy miał mokre od deszczu. – Tak się zastanawiałem po drodze, czy zabójstwo Jasona nie jest przypadkiem tylko wzorowane na zabójstwie Allison.

– Nie. Rany są identyczne. – Urwała. Ewidentnie musiało się wydarzyć coś strasznego. – Usiądźmy, dobrze?

– Nie, chętnie pos...

Usiadła przy stole.

– Daj spokój. Co się stało?

Obejrzał się i zerknął w stronę drzwi frontowych. Widziała, że najchętniej by się stąd zabrał, ale z jakiegoś powodu nie mógł.

W końcu wzięła go za rękę i pociągnęła do krzesła. Usiadł, z aktówką na kolanach.

– Przepraszam.

Nachyliła się do przodu, powściągając odruchową chęć dotknięcia jego dłoni.

– Za co?

Jeszcze raz odchrząknął. Nie ponaglała go. W dużym pomieszczeniu jego głos zabrzmiał bardzo cicho.

– Faith urodziła.

Sara przyłożyła dłoń do ust.

– Nic jej nie jest?

– Nie, czuje się dobrze. Obie dobrze się czują. – Wyciągnął z kieszeni komórkę i pokazał jej zdjęcie czerwonoskórego noworodka w różowej czapeczce. – To chyba dziewczynka.

Faith podała w SMS-ie masę ciała dziecka i imię. Sara przeczytała:

– Emma Lee.

– Trzy kilo siedemset.

– Will...

– Znalazłem to. – Położył aktówkę na stole i otworzył zamki.

Zobaczyła w środku plik papierów i zalakowaną torebkę na dowody. Z jednej z bocznych kieszeni wyciągnął notes w linie. Na niebieskiej plastikowej okładce widniały ślady czarnego proszku daktyloskopijnego. – Próbowałem oczyścić – powiedział, wycierając

brud o przód swetra. – Przepraszam. Był w samochodzie Allison, a ja... – Przerzucił strony, pokazując jej gryzmoły dziewczyny. – Nie potrafię – oznajmił. – Po prostu nie potrafię.

Uświadomiła sobie, że ani razu na nią nie spojrział, odkąd wszedł do kuchni. Na jego twarzy malował się wyraz tak absolutnej klęski, jakby każde słowo, które wypowiadał, sprawiało mu ból.

Sara wstała i wyjęła z leżącej na blacie torby swoje okulary do czytania. Powiedziała:

– Mama zostawiła dla ciebie obiad. Zróbmy tak: ty będziesz jadł, a ja zacznę czytać.

Siedział z oczyma wbitymi w notes przed sobą.

– Nie jestem głodny.

– Wystarczy, że nie stawieś się na obiedzie. Jeśli teraz nie zjesz, matka nigdy ci nie wybaczy.

– Naprawdę nie mogę...

Otworzyła szufladę grzewczą. Cathy znowu nagotowała jak dla kompanii, tym razem pieczeń wołową, ziemniaki, jarmuż, fasolkę szparagową i zielony groszek. Chleb z mąki kukurydzianej był zawinięty w folię aluminiową. Sara postawiła talerz przed Willem, potem poszła po sztućce i serwetkę. Nalała szklanek mrożonej herbaty i znalazła cytrynę w lodówce. Włączyła piekarnik, żeby podgrzać placek z wiśniami stojący na blacie.

Usiadła przy stole naprzeciwko Willa i sięgnęła po zapiski. Spojrzała na niego znad okularów. Ani drgnął.

– Wsuwaj – powiedziała.

– Naprawdę nie...

– Przypominam umowę: ty jesz, ja czytam. – Patrzyła na niego twardo, dając do zrozumienia, że nie ustąpi.

W końcu sięgnął z ociąganiem po widelec. Czekala, dopóki nie włożył do ust kawałka ziemniaka, i dopiero wtedy otworzyła notes.

– Na wewnętrznej stronie okładki znajduje się jej imię i data: pierwszy sierpnia. – Przeniosła wzrok na pierwszą stronę. – Pierwszy sierpnia. Dzień pierwszy. – Przerzuciła kartki. – Każdy wpis ma ten sam format: dzień drugi, trzeci... – Zajrzała na koniec dziennika. – Aż do dnia sto czwartego.

Will tego nie skomentował. Jadł, ale widziała, że z trudem przełyka. Nie mogła sobie nawet wyobrazić, jak bardzo musi być sfrustrowany faktem, że przyszło mu prosić o pomoc w przeczytaniu tych zapisków. Ewidentnie traktował to jako osobistą klęskę. Chciała go zapewnić, że to nie jego wina, ale widać było, że samo zwrócenie się do Sary o wyrękę kosztowało go tak dużo, że wolała nie narażać go na kolejny stres.

Wróciła do pierwszej strony.

– Dzień pierwszy – powtórzyła. – Prof. C. była dzisiaj w stosunku do mnie sarkastyczna. Płakałam później jakieś dwadzieścia minut. Nie mogłam przestać. Potem jeszcze bardzo się zirytowałam na ćwiczeniach z dr. K., bo siedząca za mną D. bez przerwy słała liściki do V. i nie mogłam się skupić, bo co rusz chichotały jak głupie.

Przewróciła stronę.

– Dzień drugi. Zacięłam się paskudnie przy goleniu nóg. Bolało cały dzień. Spóźniłam się dwie minuty do pracy, ale L. nie powiedział ani słowa. Mimo to przez cały dzień paranoicznie się bałam, że zaraz się na mnie wydrze. Nie znoszę, gdy się wścieka.

Strona po stronie Sara odczytywała doniesienia Allison na temat L. z bistro i J., który zapomniał, że byli umówieni na lunch. W każdym wpisie dziewczyna rejestrowała swoje emocje w różnych sytuacjach, ale nigdy zbyt rozwlekłe. Bywała albo szczęśliwa, albo smutna, albo przygnębiona. Zdarzało jej się płakać, zwykle przez okres nieadekwatnie długi do przyczyny. Mimo to zapiski miały w sobie coś bezosobowego, zimnego, jakby dziewczyna była przypadkowym obserwatorem patrzącym z boku na swoje życie.

Przeczytanie całości zajęło ponad godzinę. Will skończył kolację, potem pochłonął większość placka. Złożył ręce na stole i wbił wzrok dokładnie w ścianę przed sobą. Później chodził po pokoju, dopóki nie uświadomił sobie, że rozprasza Sarę. Gdy głos zaczął jej się łamać, podał jej szklanekę wody. W końcu zauważył naczynia w zlewie i ku jej sromocie, odkręcił kurek i zaczął zmywać. Od długiego siedzenia nogi ją mrowiły i w końcu stanęła przy zlewie, żeby przynajmniej zachować pozory, że mu pomaga. Will uporał się

z garnkami i zabierał się właśnie do porcelany, kiedy Sara dotarła do ostatniego wpisu w dzienniku.

– Dzień sto czwarty. W pracy w porządku. Przez cały dzień kiepska koncentracja. W nocy spałam dziewięć godzin. W czasie lunchu jeszcze dwugodzinna drzemka. Zero wkuwania, przez co wyrzuty sumienia i przygnębienie. J. nie odezwał się ani słowem, chyba mnie teraz nienawidzi. Nie dziwię się. – Podniosła wzrok na Willa. – To tyle.

Popatrzył na nią znad talerza na chleb.

– Policzyłem wszystkie strony. Dwieście pięćdziesiąt.

Spojrzała na przednią okładkę, zauważając nadruk producenta. Allison nie wyrwała ani jednej kartki.

– Zapiski urywają się na dwa tygodnie przed śmiercią dziewczyny.

– Musiało się wtedy stać coś, o czym nie chciała pisać.

Sara położyła notes na stole i wzięła ścierkę. Will zmywał znacznie staranniej, niż to się jej kiedykolwiek zdarzyło. Często zmieniał wodę i wycierał naczynia zaraz po umyciu. Na blatach nie było zbyt wiele miejsca, więc chował je do szafek wedle swojego uznania. Sarę czekało przekładanie ich na właściwe miejsca, ale nie chciała robić tego przy Willu.

Zobaczył ścierkę w jej dłoniach

– Mam tu już jedną.

– Chcę ci pomóc.

– Chyba już wystarczająco pomogłaś. – Myślała, że na tym zamknie ten temat, ale dodał: – Dzisiaj było gorzej niż zwykle.

– Stres nasila objawy, zaostrzają się w stanie zmęczenia albo emocjonalnego wzburzenia.

Szorował mocno talerz, który trzymał w dłoni. Zauważyła, że nie kłopotał się podwijaniem rękawów. Ściągacze przy nadgarstkach całkiem przemokły.

– Próbuję wykopać kanał pod nową rurę kanalizacyjną do domu. Stąd te zaległości w praniu.

Sara spodziewała się zmiany tematu, ale miała nadzieję, że Will poczeka z tym jeszcze chwilę.



– Mój ojciec postawił ten dom za pieniądze zarobione na ludziach, którzy sami robili sobie instalacje wodno-kanalizacyjne.

– Może będzie mógł udzielić mi kilku wskazówek. Idę o zakład, że rów, który zacząłem kopać, pewnie się już poobsuwał.

– Nie oszalowałeś go? – Sara przestała wycierać talerz. – To niebezpieczne. Nie powinieneś schodzić głębiej niż metr dwadzieścia bez szalowania ścian.

Popatrzył na nią z ukosa.

– Jestem córką swojego ojca. Zadzwoń do mnie po powrocie do Atlanty. Umiem obsługiwać koparkę.

Wziął kolejny talerzyk na chleb.

– Wyświadczyłaś mi już tyle grzeczności, że na jakiś czas chyba wystarczy.

Sara obserwowała jego odbicie w szybie nad zlewem. Spuścił głowę, skupiony na szorowanym talerzu. Sięgnęła do tyłu i rozpuściła kucyk. Włosy opadły jej na ramiona.

– Usiądź – powiedziała. Ja pozmywam resztę.

Will zerknął na nią, otworzył szerzej oczy. Myślała, że coś powie, ale tylko sięgnął po kolejny talerz i zanurzył go w wodzie z mydlinami. Sara wysunęła szufladę, żeby pochować sztucce. Włosy opadły jej na twarz i cieszyła się z tej zasłony.

– Nie cierpię zostawiania brudnych naczyń – powiedział.

Próbowała wykpić się żartem.

– Tylko nie mów tego przy mojej matce. Nigdy cię stąd nie wypuści.

– Kiedyś miałem taką zastępczą matkę Lou. – Will czekał, żeby popatrzyła na szybę. – Cały dzień pracowała w supermarkecie, ale w południe, żeby się paliło i waliło, biegła do domu przygotować mi lunch. – Opłukał talerz i podał go Sarze. – Wracła z pracy z reguły, gdy już spałem, ale pewnego dnia usłyszałem, jak przyszła. Poszedłem do kuchni i zobaczyłem ją w tym jej sklepowym uniformie – brązowym i za ciasnym – jak stała i patrzyła na zlew. Wypełniony po brzegi stosem garnków i naczyń z resztkami jedzenia z posiłku. Nie kiwnąłem nawet palcem, gdy jej nie było, przez cały dzień leżałem do góry brzuchem i oglądałem telewizję. –

Znowu zerknął na odbicie Sary w oknie. – A Lou stała nad tymi brudnymi garami i zanosila się płaczem. Wiesz, takim spazmatycznym, który wstrząsa całym ciałem. – Sięgnął po kolejny talerz ze stosu. – Podszedłem do zlewu i umyłem każdziusieńkie naczynie, i nigdy już, dopóki u niej byłem, nie pozwoliłem, by po mnie sprzątała.

– Próbowala cię zaadoptowac?

Roześmiał się.

– Żartujesz? Zostawiala mnie samego na cały dzień z wyjątkiem pory lunchu. Miałem osiem lat. Zabrali mnie od niej, kiedy pedagog szkolny się zorientował, że nie pokazałem się w szkole od dwóch miesięcy. – Wyciągnął korek ze zlewu. – Ale była miła. Chyba pozwolili jej wziąć jakieś starsze dziecko.

Zanim ugryzła się w język, spytała:

– Dlaczego nikt cię nigdy nie zaadoptował? Straciłeś matkę jako niemowlę.

Will trzymał rękę pod strumieniem wody, ustawiając temperaturę. Myślała, że puści pytanie mimo uszu, ale w końcu powiedział:

– Ojciec miał prawa rodzicielskie i początkowo to on się mną zajmował. Opieka społeczna zabrala mnie od niego po kilku miesiącach. Mieli wszelkie powody. – Wsadził zatyczkę, żeby zlew ponownie się napełnił. – Byłem przez jakiś czas w domu małego dziecka, potem pokazał się jakiś wujek. Chciał jak najlepiej. Mam nadzieję, że chciał jak najlepiej. Ale po prostu nie był przygotowany do opieki nad dzieckiem na tym etapie swojego życia. I tak krążyłem między jego domem, kolejnymi rodzinami zastępczymi, sierocińcem i znowu lądowałem u niego. W końcu dał sobie spokój. A wtedy miałem już sześć lat i było po herbacie.

Sara podniosła wzrok. Will znowu patrzył na jej odbicie.

– Słyszałaś o regule sześciu lat, prawda? Staraliście się z mężem o adopcję. Musiałaś słyszeć.

– Tak.

Sara poczuła, jak coś jej rośnie w gardle. Nie mogła spojrzeć mu w oczy. Wytarła jeszcze raz sosjerkę, choć na ściankach naczynia

nie została ani jedna kropla. Reguła sześciu lat. Określenie obilo jej się o uszy jeszcze w trakcie praktyki pediatrycznej, na długo zanim Jeffrey w ogóle zasugerował, żeby pomyśleli o adopcji. Dziecko, które przebywało w sierocińcu czy rodzinie zastępczej dłużej niż sześć lat, uchodziło za popsute: na zawsze naznaczone nieusuwalnym piętnem złych doświadczeń i wspomnień, za mocno zakorzenionymi wzorcami zachowań.

Wiele lat temu jakieś małżeństwo w Atlancie także usłyszało to ostrzeżenie. Prawdopodobnie od przyjaciela albo nawet zaufanego lekarza rodzinnego. Poszli do sierocińca, zobaczyli sześciolatniego Willa Trenta i uznali, że jest już nie do naprawy.

Spytał:

– Czy te zapiski brzmią twoim zdaniem jak pamiętnik dwudziestoletniej dziewczyny?

Musiała odchrząknąć, żeby odpowiedzieć.

– Nie jestem pewna. Nie znałam Allison. – Zastanowiła się nad pytaniem. – Ale wydają się trochę dziwne.

– To nie żadne tam „Kochany Pamiętniczku” itepe. – Zabrał się do ostatniego stosu naczyń. – Raczej długa litania skarg i wyrzekań na ludzi, wykładowców, pracę, brak pieniędzy, chłopaka.

– Fakt, trochę labiedzi.

– Tak, ale człowiek labiedzi po to, by ktoś inny usłyszał i go żałował. Czy sprawia wrażenie osoby w depresji?

– Co do tego nie ma dwóch zdań. Z zapisków jasno wynika, że miała, oględnie mówiąc, kiepski nastrój. A już raz próbowała się zabić, co świadczy o przynajmniej jednym depresyjnym epizodzie w przeszłości.

– Może te zabójstwa to pakt samobójczy obejmujący Allison, Jasona i jeszcze kogoś trzeciego.

– No to wybraliby dosyć parszywy sposób na rozstanie się z życiem. Pigułki znacznie łatwiej załatwiłyby sprawę. Albo strycek. Względnie skok z budynku. Poza tym gdyby to był pakt, to chyba powinni zrobić to razem.

– Znalazłaś jakieś ślady świadczące o tym, że Tommy, Allison albo Jason zażywali narkotyki?

– Nic, co byłoby widoczne gołym okiem. Cała trójka była zdrowa, dobrze odżywiona. Wycinki tkanek i próby krwi do badań toksykologicznych już wysłałam do Centralnego Laboratorium. Wyniki powinny być za tydzień, dziesięć dni.

– Zastanawialiśmy się z Charliem nad tym, czy Jason przypadkiem nie był zamieszany w zabójstwo Allison. Jesteśmy pewni, że zabójca posłużył się nim, żeby zwabić dziewczynę nad jezioro. A przynajmniej jego charakterem pisma. – Zakreślił wodę, wytarł ręce o dżinsy i sięgnął do swojej aktówki. – To było wsunięte do pamiętnika.

Sara wzięła plastikową torebkę na dowody, którą jej podał. W środku znajdował się liścik.

– Papier wygląda znajomo. – Odczytała na głos treść. – Musimy porozmawiać. Spotkamy się tam gdzie zwykle.

Will dodał zdanie z kartki znalezionej nad jeziorem.

– Chcę z tym skończyć.

Sara usiadła przy stole.

– Jason napisał fałszywy list pożegnalny Allison.

– Albo napisał całość tekstu do kogoś innego, kto potem oddarł ostatnie zdanie i zostawił w bucie dziewczyny, jako przestrożę dla niego. – Zauważył błąd w rozumowaniu. – Tylko dlaczego w takiej sytuacji liścik znalazł się w jej notesie?

– Nic dziwnego, że jesteś umęczony. – Sarze już głowa zaczynała pękać od tych hipotez.

Will wyjął kolejny plastikowy woreczek.

– Tę fioletkę znalazłem w apteczce Tommy'ego. Charlie zrobił wstępną analizę, ale nie wie, co jest w kapsułkach.

Sara przetoczyła buteleczkę, żeby przeczytać etykietę.

– Dziwne.

– Miałem nadzieję, że będziesz wiedziała, co to jest.

– Tommy, nie bierz tego – odczytała. – Nie jestem grafologiem, ale na moje oko napisała to Allison. Tylko dlaczego kazała mu nie brać tych proszków? Czemu po prostu ich nie wyrzuciła?

Will nie odpowiedział od razu. Rozsiadł się na krześle, patrząc na nią.

– A może to trucizna, ale jeśli można kogoś otruć, po co brudzić sobie ręce, dźgając go w kark.

– A co to za litery u dołu etykiety? – Odczepiła okulary od koszuli, żeby zobaczyć. – H–P–P. Co to znaczy?

– Faith próbowała znaleźć coś w sieci, ale bez powodzenia. Tyle że nie wiedziała do końca, jak brzmią. Zdjęcie, które zrobiłem, nie było najlepszej jakości, a ja... – Pokazał na głowę, jakby coś z nią szwankowało. – Cóż, nie na wiele się zdałem.

– Badałeś sobie kiedyś wzrok?

Spojrzał na nią skonsternowany, jakby palnęła głupstwo.

– Okulary nie rozwiążą problemu. Mam go od zawsze.

– Czy przy czytaniu boli cię głowa? Pojawiają się nudności?

Wzruszył lekko ramionami i skinął głową. Widziała, że nie chce dłużej ciągnąć tematu.

– Powinieneś pójść do okulisty.

– A jak niby przeczytam litery z tablicy?

– Och, kochanie, wystarczy zaświecić światłem w oczy, żeby sprawdzić akomodację soczewek.

Pieszczotliwy zwrot zawisł niezręcznie w powietrzu. Will nie zdejmował spojrzenia z Sary. Dłonie trzymał na stole i nerwowo obracał obrączkę na palcu.

Sara desperacko próbowała ukryć zakłopotanie. Chwyciła butelkę z proszkami i uniosła do góry.

– Popatrz na ten mały druk. – Will patrzył jej jeszcze chwilę w oczy, potem przeniósł wzrok na fiolkę, którą trzymała w dłoni. – Dobrze, nie ruszaj się teraz. – Wsunęła mu ostrożnie okulary na nos i ponownie podniosła butelkę. – Tak lepiej?

Ewidentnie nie chciał, mimo to popatrzył na etykietę. Zerknął szybko na Sarę, zaskoczony, i znowu przeniósł oczy na proszki.

– Litery są wyraźniejsze. Nadal mam trudności z odczytaniem, ale jest lepiej.

– Bo potrzebujesz okularów do czytania. – Postawiła fiolkę na stole. – Przyjdź do mnie na oddział, gdy będziesz w Atlancie. Albo możemy jutro pójść na moje stare śmieci. Pewnie widziałeś budynek przychodni pediatrycznej po drugiej stronie ulicy

naprzeciwko komendy. Miałam tam specjalne tablice dla... – Nagle rozdziawiła usta.

– O co chodzi?

Zabrała mu okulary i ponownie przeczytała drobny druk na etykiecie.

– H–P–P. Przychodnia pediatryczna w Heartsdale. – Przez cały czas analizowała najróżniejsze lewe źródła pochodzenia tabletek i nie przyszło jej do głowy, że mogą być w pełni legalne. – Muszą pochodzić z badania klinicznego. Elliot prowadzi pewnie jakieś w przychodni.

– Jakiego badania?

Wyjaśniła:

– Firmy farmaceutyczne są zobowiązane do przeprowadzania badań klinicznych leków, które chcą wprowadzić na rynek. Płacą ochotnikom za udział. Najpewniej Tommy się zgłosił, choć nie bardzo widzę, żeby spełniał podstawowe kryterium. Jeśli istnieje jakaś zasada rządząca tymi eksperymentami, to jest nią warunek wyrażenia w pełni świadomej zgody przez uczestnika. Tommy nie mógłby tego uczynić.

Will sprawiał wrażenie sceptycznego.

– Jesteś pewna, że to właśnie to?

– Ten numer na górze etykiety – pokazała na butelkę. – To badanie randomizowane, podwójnie zaślepienie. Każdemu z biorących udział zostaje przypisany komputerowo wybrany numer, który określa, czy dostają badany lek czy placebo.

– Prowadziłaś kiedyś takie badanie?

– Kilka w Gradym, ale dotyczyły głównie zabiegów i urazów. Wykonywaliśmy zastrzyki i wlewy dożylnie. Nie wydawaliśmy tabletek.

– Były prowadzone w ten sam sposób co wszystkie inne?

– Podejrzewam, że procedury i raporty niczym się nie różniły, ale działaliśmy w sytuacjach nagłych. Zasady naboru były inne.

– A jak takie badanie przebiega poza szpitalem?

Sara odstawiła fiolkę na stół.

– Firmy farmaceutyczne płacą lekarzom za ich przeprowadzanie

po to, żeby wprowadzić na rynek kolejny lek obniżający stężenie cholesterolu, który działa mniej więcej równie skutecznie jak dwadzieścia innych już istniejących w obrocie. – Uświadomiła sobie, że podniosła głos. – Przepraszam, ale jestem taka wściekła. Elliot znał Tommy’ego. Wiedział, że jest niepełnosprawny.

– Kto to jest Elliot?

– Człowiek, któremu sprzedałam praktykę. – Kręciła głową z niedowierzaniem. Zrobiła to po to, by dzieci w miasteczku miały łatwy dostęp do opieki lekarskiej, a nie były poddawane eksperymentom jak szczury. – Ale to bez sensu. Większość badań nie obejmuje pacjentów pediatrycznych. Ich układ hormonalny nie jest jeszcze w pełni rozwinięty. Metabolizują leki inaczej niż dorośli. Poza tym uzyskanie zgody rodzica na takie eksperymenty graniczy z cudem, chyba że dziecko jest śmiertelnie chore i ma to być ostatnia deska ratunku.

– A twój kuzyn? – spytał Will.

– A co on ma z tym wspólnego?

– Leczy dorosłych, tak?

– No tak, ale...

– Lena powiedziała mi, że wynajmuje pomieszczenia w przychodni.

Sara miała wrażenie, jakby ktoś ją walnął z za węgła. W pierwszym odruchu chciała bronić Haretona, ale zaraz przypomniała sobie ten głupi samochód, który kazał jej podziwiać w strugach ulewnego deszczu. Widziała bmw 750 w salonie samochodowym w Atlancie, kosztowało sto tysięcy dolarów.

– Saro?

Zacisnęła mocno wargi, powstrzymując słowa cisnące jej się na usta. Hare w jej przychodni wciskający prochy jej dzieciom. Nie mogła sobie wyobrazić gorszej zdrady.

– Ile lekarz może zarobić na takim badaniu? – spytał Will.

Z trudem formowała słowa.

– Setki tysięcy? Miliony, jeśli jeździ po świecie i występuje na konferencjach.

– A pacjent?

– Uczestnik. Nie wiem. To zależy od fazy badania i długości jego trwania.

– Są różne fazy?

– W zależności od stopnia ryzyka. Im niższa faza, tym ryzyko większe. – Wyjaśniła: – W fazie pierwszej badanie ogranicza się zwykle do dziesięciu, góra piętnastu osób. Uczestnicy mogą zarobić od dziesięciu do piętnastu tysięcy dolarów, w zależności od tego, czy eksperyment jest prowadzony w warunkach szpitalnych czy laboratoryjnych. W fazie drugiej rekrutuje się dwieście, trzysta osób, z których każda dostaje cztery, pięć kawałków na głowę. Faza trzecia wiąże się z najmniejszym ryzykiem, więc i pieniądze są skromniejsze, badani w liczbie kilku tysięcy dostają po kilkaset dolarów. – Wzruszyła ramionami. – Wszystko zależy od czasu trwania badania, od tego, czy uczestnictwo ogranicza się do kilku dni czy kilku miesięcy.

– Jak długo ciągną się duże badania?

Sara położyła dłoń na notesie Allison. Nic dziwnego, że dziewczyna tak obsesyjnie rejestrowała swoje nastroje.

– Od trzech miesięcy do pół roku. Uczestnik musi prowadzić dziennik, notując pojawiające się objawy. To część dodatkowej dokumentacji mającej na celu ustalenie skutków ubocznych. Lekarz, czyli badacz, będzie chciał znać nastroje, poziom stresu, jakość snu badanego. Kojarzysz te wszystkie ostrzeżenia pojawiające się w reklamach lub na ulotkach leków? Biorą się właśnie z takich dzienników. Jeśli choć jedna osoba zgłosi większą drażliwość lub, dajmy na to, bóle głowy, trzeba je uwzględnić na liście możliwych objawów niepożądanych.

– Czyli jeśli Allison i Tommy uczestniczyli w badaniu klinicznym, w przychodni powinna być ich dokumentacja medyczna?

Skinęła głową.

Will zastanawiał się przez chwilę. Znowu podniósł butelkę.

– Nie wiem, czy to wystarczy do uzyskania nakazu przeszukania.

– Wcale go nie potrzebujesz.



## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Lena słyszała odgłos kapiącej miarowo wody. Odruchowo rozchyliła wargi dokoła knebla, jakby chciała złapać krople. Język miała niewiarygodnie obrzmiały, bała się, że się nim udławi. Odwodnione ciało przestało się pocić. Teraz do obrony przed zimnem pozostały jej tylko dreszcze, ale mięśnie były już tak słabe, że nie miały siły się kurczyć. Kiedy przycisnęła światełko na zegarku, w niebieskiej poświacie czerwona pręga na przedramieniu wyglądała jak oparzenie.

Przesunęła się, by odciążyć trochę ramię. Pozycja siedząca nie wchodziła w grę. Za mocno kręciło jej się w głowie, za bardzo bolały ją dłoń i nogi przy każdej próbie podniesienia się. Ponieważ stopy i ręce miała związane razem, każdy ruch wymagał specjalnej koordynacji, która leżała już poza jej zasięgiem. Patrzyła w ciemność, myśląc o dniu, kiedy ostatni raz poszła pobiegać: było zaskakująco ciepło jak na tę porę roku, słońce wisiało wysoko na niebie i kiedy okrążała tor na uczelni, czuła gorąco na twarzy i plecach. Pot lał się z niej strumieniami. Skóra była nagrzana, mięśnie napięte. Gdy bardzo wysiliła pamięć, słyszała nawet odgłos butów na bieżni.

Nie na bieżni, tylko na drewnianych stopniach.

Nadstawiła uszu i uchwyciła odgłos kroków na schodach. Pod drzwiami pojawił się odprysk światła, zaraz potem rozległ się zgrzyt metalu o beton, jakby przesuwano coś ciężkiego. Pewnie metalowy regał. Pasemko światła pod drzwiami zrobiło się jaśniejsze. Na dźwięk klucza przekręcanego w zamku Lena zacisnęła powieki. Kiedy drzwi się otworzyły, wolno je uniosła,

pozwalając oczom oswoić się z oślepiającym blaskiem.

Początkowo widziała tylko halo wokół głowy kobiety, ale powoli z plamy światła wyłoniły się rysy Darli Jackson. Lena zobaczyła włosy z pasemkami, sztuczne szpony. O dziwo, pierwsza przyszła jej do głowy myśl, że rozumie już, jak baba brutalnie zamordowała dwoje ludzi, nie łamiąc sobie nawet paznokcia. Musiała je co wieczór przyklejać na nowo.

Darla zeszła po stopniach z pustaków do niżej położonej części piwnicy. Uklękła na podłodze przy Lenie, sprawdzając, czy więzy się nie poluzowały. I, rzecz niewiarygodna, przyłożyła jej dłoń do czoła.

– Nadal przytomna?

Lena tylko na nią patrzyła. Wątpiła, by nawet bez knebla w ustach była w stanie cokolwiek powiedzieć. Miała gardło wyschnięte na wiór i trudności ze skupieniem uwagi na jednej myśli. Nie potrafiła ubrać w słowa cisnących jej się do głowy pytań. Dlaczego Darla to zrobiła? Dlaczego zabiła Jasona? Dlaczego zamordowała Allison? To zupełnie nie trzymało się kupy.

– Jesteś w piwnicy przychodni. – Darla przycisnęła palce do jej nadgarstka, zachowując się na dobrą sprawę jak troskliwa pielęgniarka, a nie podstępna morderczyni. Jeszcze kilka godzin temu zmywała krew z kija bejsbolowego, którym rozwaliła czaszkę Jasonowi Howellowi. Moczyła rękawiczki w wybielaczu, starając się zatrzeć ślady. A teraz jak gdyby nigdy nic mierzyła Lenie puls i sprawdzała, czy nie ma temperatury. – To schron przeciwbombowy czy przeciwcyklonowy, czy jakiś tam – poinformowała Lenę. – Dłuższą chwilę patrzyła na zegarek. – Sara pewnie nawet nie pamięta, że jest tu coś takiego. Odkryłam go jakiś czas temu, gdy usiłowałam schować pewne dokumenty.

Lena rozejrzała się po pomieszczeniu. Teraz, gdy paliło się światło, mogła przyjrzeć się betonowym ścianom, małym metalowym drzwiczkom. Darla miała rację. Były w bunkrze.

– Nigdy specjalnie nie przepadałam za Tolliverem – ciągnęła pielęgniarka. – Wiem, że wiele osób wini cię za to, co mu się stało, ale czasem wyłaził z niego kawał prawdziwego chuja, wierz mi.

Lena nadal nie odwracała od niej wzroku, zastanawiając się, dlaczego kobieta uznała za stosowne teraz jej się zwierzać.

– A Sara wcale nie jest lepsza. Ma się za Bóg wie co, bo skończyła medycynę. Czasami się nią zajmowałam, gdy była mała. Już wtedy, choć ledwo od ziemi odrosła, pozjadała wszystkie rozumy.

Lena nie mogła zaprzeczyć.

– Nie chcę cię zabijać – oświadczyła Darla. Lena poczuła, jak chwyta ją pusty śmiech, który jednak zabrzmiał bardziej jak jęk. – Ale muszę wyjechać z miasta, a wiem, że mi nie pozwolisz, jeśli cię puszczę.

Nie można było odmówić jej racji.

– Tata miał zawał. – Przysiadła na piętach. – Wiesz, że Frank to mój tata, tak?

Lenie mimowolnie brwi podjechały do góry. Adrenalina rozjaśniła jej otępiony bólem umysł. Frank wspominał coś o córce, gdy wracali znad jeziora po wyłowieniu Allison Spooner. Czy już wtedy wiedział, że to jej sprawka? Krył ją, to jasne. Lena nie była w stanie nawet przypomnieć sobie, ile zataił przed Trentem. Zdjęcie. Komórkę Tommy'ego. Treść zgłoszenia pod 911. Czy właśnie to miał na myśli, gdy powiedział, że Lena nie dostrzegłaby prawdy, nawet gdyby ta waliła po oczach? Chryste, nie mylił się. Nie potrafiła skojarzyć oczywistych faktów. Ile tropów jeszcze przegapiła? Ilu ludzi jeszcze zginie przez jej klapki na oczach?

– Nosisz torebkę?

Pytanie było tak od rzeczy, że Lena pomyślała, że ma omamy.

– Kopertówkę albo większy portfel? – indagowała Darla. – Gdzie trzymasz kluczyki od samochodu?

Nie odpowiedziała.

– Nie mogę pojechać tą gównianą hondą. Kontrolka silnika pali się od tygodni. Myślałam, że kupię sobie nowy wóz, kiedy kasa wpłynie, ale... – Obmacała kieszenie Leny i znalazła brelok z kółkiem. Wisiały na nim klucze do jej domu, celiki i lincolna Franka. – Masz jakieś pieniądze?

Lena skinęła głową, bo nie było sensu kłamać.

Darla wsunęła jej dłoń do tylnej kieszeni i wyciągnęła dwie

dwudziestki.

– No, chyba na wachę wystarczy. – Schowała banknoty w kieszonce na piersi fartucha. – Powinnam chyba mieć jakieś wyrzuty sumienia w związku z tym, co się stało, ale Bogiem a prawdą, zależy mi tylko na tym, żeby mnie nie złapali. Nie mogę pójść do więzienia, ugrzęznąć w kiciu. – Gdyby tylko dali mi spokój i siedzieli cicho, do niczego by nie doszło.

Lena próbowała przełknąć ślinę. Słyszała dziwnie zwalniający rytm serca. Musiała być bardziej odwodniona, niż sądziła. Dłonie i stopy miała zupełnie bez czucia, przez nogi przebiegało mrowienie. Organizm ograniczał przepływ krwi do kończyn, żeby podtrzymać funkcje najważniejszych organów.

– Nie jesteśmy z tatą w najlepszych stosunkach. – Darła wsadziła rękę do kieszeni fartucha. – Przez większość czasu mam wrażenie, że wolałby, żebyś to ty była jego córką, no ale cóż, rodziny człowiek nie wybiera. – Wyciągnęła strzykawkę. – To midazolam, uspokoi cię trochę i spowoduje, że zaśniesz. Przykro mi, że nie mam wystarczającej dawki, by całkiem cię uśpić, ale zastrzyk pomoże. Już i tak nie pożyjesz długo: pięć, góra sześć godzin. Zakażenie szybko się rozwija. Pewnie już zaczynasz czuć, że serce ci zwalnia.

Lena poczuła, jak ściska ją w gardle.

– Organizm powoli się wyłącza, postępuje niewydolność wielonarządowa, nerwy zaczynają szaleć. Zwykle towarzyszy temu silny ból. Czasami człowiek zachowuje przytomność i go czuje, czasami nie. Chcesz zastrzyk?

Lena popatrzyła na strzykawkę z igłą w osłonce. Co to za wybór?

– Nikt cię nie uratuje. Przychodnia będzie zamknięta aż do poniedziałku rano, a wtedy już tylko smród powie im, gdzie jesteś. – Obejrzała się przez ramię. – Chyba odsłonię wejście, żeby nie musieli zbyt długo szukać. Niektórzy ludzie tutaj byli całkiem równi.

Lena próbowała się odezwać, wypowiedzieć jedno jedyne liczące się w tej sytuacji słowo: „Dlaczego”?

– Co mówisz?

Powtórzyła. Nie mogła złożyć warg razem przez tkwiący między

nimi knebel, ale tym razem pytanie zabrzmiało w jej uszach wyraźnie.

Darla się uśmiechnęła. Zrozumiała, o co Lena pyta, ale nie zamierzała odpowiedzieć. Ponowiła tylko propozycję, machnąwszy strzykawką w powietrzu.

– Chcesz czy nie?

Lena z całej siły pokręciła głową. Nie mogła pozwolić, żeby film jej się urwał, nie mogła się poddać. Świadomość to jedyne, nad czym miała jeszcze jakąś kontrolę.

Darla zdjęła osłonkę i wbiła jej igłę w ramię.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Sara czekała w samochodzie, aż Will zejdzie z przybudówki nad garażem. Poprosił o kilka minut i poszedł się przebrać w ubranie trochę mniej brudne od tego, w którym chodził przez cały dzień. Wykorzystała ten czas, żeby jakoś powściągnąć nerwy. Szewska pasja zamieniła się w stan cichego wrzenia, ale gdyby nie Will, z miejsca odpaliłaby silnik i pojechała do domu Haretona. Dlaczego ją dziwiło, że kuzyn macza palce w czymś tak nieetycznym i podejrzanym? Nigdy przecież nie ukrywał, że lubi pieniądze. Sara także je lubiła, ale nie do tego stopnia, by zaprzedać duszę.

Otworzyły się drzwiczki wozu. Will usiadł za kółkiem. Miał na sobie białą zapinaną na guziki koszulę i czystą parę dżinsów. Spojrzał na nią dziwnie.

– Wyprałaś mi rzeczy?

Roześmiała się na samą sugestię.

– Nie.

– Wszystkie ubrania są czyste. I wyprasowane. – Dotknął kantu spodni. – I wykrochmalone.

Lena знаła tylko jedną osobę, która prasowała dżinsy.

– Przepraszam. Matka uwielbia robić pranie. Nie potrafię tego wyjaśnić.

– Nie ma sprawy – powiedział, ale po jego zwarzonym głosie zorientowała się, że jest trochę nadąsany.

– Czy coś zniszczyła?

– Nie. – Ustawił fotel tak, by nie przebić sufitu głową. – Tylko nikt nigdy jeszcze nie robił mi prania.

Skrzynia biegów nie była najłatwiejsza w obsłudze, ale szybko się

zorientował, co i jak, i wrzucił bieg. Wyjeżdżając na ulicę, wyłączył wycieraczki. Deszcz ustał. Sara widziała nawet księżyc wyglądający spomiędzy chmur.

– Myślałem o tym liście pożegnalnym – powiedział.

– Tak?

– Może Jason go napisał, a Allison miała dostarczyć do skrzynki kontaktowej?

– Myślisz, że kogoś szantażowali?

– Niewykluczone. Allison mogła się wycofać z gry, nie mówiąc nic Jasonowi.

– I oderwała ostatnią część, tę ze zdaniem „Chcę z tym skończyć”, żeby zostawić zabójcy?

– Ale on już podjął decyzję, że ją zlikwiduje. Śledził ją, poszedł za nią do lasu. Wiemy, że potrafi improwizować. Użył znalezionej na miejscu koca, żeby zabić Jasona. Może list potraktował jako kolejny dogodny element. – Zerknął na Sarę. – Policja znalazła na miejscu zabójstwa Allison fałszywy list pożegnalny spisany ręką Jasona. Byłby pierwszym podejrzanym, gdyby Tommy nie został w to wmieszany.

W końcu załapała.

– Sprawca chciał zrobić Jasona w śmierć dziewczyny. Jeśli rzeczywiście go szantażowali, pozbyłby się w ten sposób drugiego kłopotu.

– Powiedz mi coś więcej o tych badaniach klinicznych.

– To złożone zagadnienie, a one same nie są wcale tak jednoznacznie złe. – Czują się w obowiązku wyjaśnić. – Potrzebujemy takich eksperymentów nowych leków i przełomów w medycynie, ale firmy farmaceutyczne to korporacje, których udziałowcy i prezesi chcą zarabiać. Produkcja nowego środka wspomagającego potencję przynosi więcej zysków niż nowego lekarstwa na raka. – Dodała ze smutkiem: – A już na pewno zdecydowanie bardziej można się obłowić na leczeniu takich chorób jak rak sutka niż na zapobieganiu im.

Will zdjął nogę z gazu. Wprawdzie chwilowo nie padało, ale ulica była nadal zalana.

– A czy z zysku ze sprzedaży takich środków jak Viagra nie finansuje się badań nad lekami onkologicznymi?

– W ubiegłym roku dziesięć największych firm farmaceutycznych wydało siedemdziesiąt trzy miliardy dolarów na reklamę przy niecałych dwudziestu dziewięciu miliardach przeznaczonych na badania. Sam sobie odpowiedz, na czym koncentrują działania.

– Chyba sporo wiesz na ten temat.

– Mało co mnie tak mierzi – przyznała. – Nie chcę darmowych długopisów i notatników ze znakami towarowymi leków. Chcę lekarstw, które działają i na które stać moich pacjentów.

Will się zatrzymał.

– Wiesz, chyba jadę w złym kierunku.

– To koło.

Wrzucił wsteczny i wykręcił samochód. Sara doskonale wiedziała, gdzie się znajdują. Gdyby pojechali jeszcze kilka metrów dalej przed siebie, minęliby jej stary dom.

– No to jak przebiegają takie badania? – spytał Will. – Koncern farmaceutyczny ma jakiś nowy lek, który chce przetestować, i co dalej?

Nie wiedziała, jak podziękować mu za ten gest i delikatność, więc odpowiedziała na pytanie.

– Są dwa rodzaje leków: leki potrzeby i leki zbytku, czyli luksusowe. – Spojrzał na nią zdziwiony. – Nie zmyślam. To oficjalne określenie używane przez lobby farmaceutyczne. W Gradym testujemy terapeutyki pierwszej potrzeby: czyli lekarstwa na poważne, często przewlekłe lub zagrażające życiu choroby. Zwykle ich badaniami zajmują się placówki naukowo-badawcze, kliniki.

Zwolnił, przejeżdżając przez głęboką kałużę.

– A lekami zbytku?

– W ich przypadku badania są prowadzone przez przychodnie i zwykłych lekarzy. W prasie medycznej jest całe zatrzęsienie ogłoszeń. Trzeba złożyć wniosek o zgodę na przeprowadzenie badania klinicznego. Po jej uzyskaniu całą resztą zajmuje się już firma farmaceutyczna: wszystko organizuje i opłaca. Ogłoszenia w



telewizji, radiu, gazetach. Sprzęt biurowy i personel administracyjny. Długopisy i papier. A potem, po ukończeniu badania, płaci jeszcze lekarzowi, żeby latał po całym świecie i opowiadał o rewelacyjnych właściwościach nowego leku. Przez cały czas oczywiście utrzymując, że jest absolutnie nieprzekupny i obiektywny, bo nie posiada udziałów w firmie. – Pomyślała o Elliocie i jego wycieczce na święta. – To właśnie na tym zbija się kasę: nie na udziałach, lecz na kwalifikacjach. Przy wczesnej fazie badań klinicznych można zgarnąć setki tysięcy dolarów za samo otwarcie ust.

– No to dlaczego lekarz nie miałby się tego podejmować, skoro to tak intratne?

– Bo jeśli robi się to jak należy, wcale nie ma z tego tak wiele pieniędzy. To znaczy, owszem, zarabiasz, ale zamiast uprawiania medycyny wypełniasz papierki. Wszyscy wiemy, że takie eksperymenty to zło konieczne, ale czasami robi się z tego naprawdę chory proceder. Niektórzy lekarze nazywani przez repów rekinami, przekształcają swoje gabinety i przychodnie w fabryki badań. Prowadzą jednocześnie po pięćdziesiąt różnych eksperymentów. W centrum Atlanty funkcjonuje co najmniej kilka takich przybytków, wygodnie usytuowanych tuż przy schroniskach dla bezdomnych.

– Na pewno na uczelni też łatwo znaleźć wielu chętnych do zarobienia szybkich pieniędzy.

– Niektórzy z moich biednych pacjentów po zakończeniu jednego badania natychmiast zgłaszają się do następnego. Tylko dzięki temu nie przymierają głodem. Ale jeśli człowiek dobrze się ustawi, to może być kura znosząca złote jajka. W Internecie istnieją nawet strony i fora dla zawodowych królików doświadczalnych. Tacy ludzie jeżdżą po całym kraju i potrafią skosić sześćdziesiąt, osiemdziesiąt kawałków rocznie.

– Badacze nie sprawdzają uczestników, żeby się upewnić, czy nie naciągają systemu?

– Ochotnik musi tylko okazać dowód tożsamości, a czasami i to nie. Jego personalia są gdzieś tam rejestrowane, ale w badaniu

figuruje już jako numer. Prowadzący wiedzą o nim tyle, ile sam powie. Byle bezdomny pijaczyna chcący zarobić na wódkę może im wmawiać, że jest maklerem giełdowym cierpiącym na bezsenność i refluks. I tak nikt tego nie sprawdza. Nie istnieje też centralny rejestr uczestników.

– Czyli zakładamy, że Tommy odpowiada na ogłoszenie i zgłasza chęć uczestnictwa w badaniu. Co się dzieje potem?

– Oceniliby jego stan fizyczny i psychiczny. Każde badanie kliniczne ma odrębne kryteria naboru, uczestnicy muszą spełniać określone wytyczne protokołu. Ale wystarczy odrobina sprytu, żeby precyzyjnie się przez sito.

– Tommy nie był sprytny.

– Nie i nie przeszedłby selekcji psychologicznej, jeśli byłaby prawidłowo przeprowadzona.

– A czy tych wstępnych procedur nie nadzorowałby lekarz?

– Może tak, może nie. Są odpowiedzialni specjaliści, którzy postępują zgodnie z zasadami dobrej praktyki badań klinicznych, ale bywają też i tacy badacze z bożej łaski, którzy nigdy nawet nie oglądają uczestników na oczy. Dla których ci ludzie to tylko papierkowa robota do odwalenia. Zwykle przychodzą w niedzielę i dokonują „przeгляdu” wszystkich trzystu przypadków przed zjawieniem się w poniedziałek monitorującego repa.

– Kto w takim razie się tym wszystkim zajmuje, pielęgniarce?

– Czasami, ale na pracownikach pomocniczych nie ciąży wymóg wykształcenia medycznego czy choćby przejścia odpowiednich szkoleń. Istnieją firmy zajmujące się organizacją i monitorowaniem badań klinicznych, które oferują medikom tymczasowy personel, przynajmniej przeszkolony. W Teksasie jednym z badań zajmowała się żona lekarza. Zamieniła przez pomyłkę testowany lek z medykamentem dla psa. Inny badacz zatrudnił własną kochankę. Powiedziała uczestnikom, żeby w przypadku pominięcia którejś z dawek podwajali następną, skutkiem czego u połowy z nich doszło do nieodwracalnego uszkodzenia wątroby.

– Dobra, założmy, że Tommy prześlizguje się przez testy psychologiczne. Co dalej?

– Przechodzi badania ogólne. Był zdrowy, więc z tym na pewno nie byłoby problemu. Potem dostaje tabletki. Musi prowadzić dziennik. Prawdopodobnie raz na tydzień chodzi oddać krew i mocz do analizy albo po prostu się pokazać. Osoba, która z nim rozmawia, na podstawie wyników badań, jego zapisków i własnych notatek, czyli tak zwanej dokumentacji źródłowej, wypełnia raport nazywany kartą obserwacji klinicznej i to jest właśnie to, co ogląda lekarz.

– Gdzie jest słaby punkt?

– Tam, gdzie mówiłeś. Tommy ewidentnie źle zareagował na testowany lek. Wchodził w konflikty z ludźmi, co wiemy z policyjnych notatek. Ta zmiana nastroju musiałaby być widoczna w jego zapiskach, rzucać się w oczy w czasie okresowych kontroli. Osoba, która go prowadziła, z miejsca by się zorientowała, że coś jest nie tak.

– A jeśli chciała ukryć ten fakt?

– Mogłaby go zataić, podając fałszywe dane w karcie obserwacji, która ma postać elektronicznego formularza i po wypełnieniu w specjalnym programie komputerowym przesyłana jest bezpośrednio do firmy farmaceutycznej. Nikt by nie wiedział, że coś nie gra, dopóki nie porównałyby danych z karty z dokumentacją źródłową, a ta natychmiast po zakończeniu badania wędruje w pudłach do magazynu.

– Czy fakt, że Tommy miał takie a nie inne objawy, mógł zrujnować badanie?

– Niekoniecznie. Lekarz mógł go sklasyfikować jako przypadek pogwałcenia protokołu. Oznaczałoby to, że nie spełniał kryteriów uczestnictwa, co przy jego upośledzeniu i tak było oczywiste.

– A co z Allison?

– Wcześniejsza próba samobójcza powinna z miejsca ją wykluczyć, ale gdyby nie wspomniała o tym w wywiadzie, nie wiedzieliby.

– Kto mógłby mieć kłopoty w związku z pozytywną kwalifikacją Tommy'ego?

– Tak naprawdę nikt. Zawsze można powoływać się na niewiedzę

przed komisją bioetyczną. Zgodnie z prawem nad każdym badaniem klinicznym powinna czuwać niezależna instytucja opiniująca, która stoi na straży przestrzegania standardów etycznych. W jej skład wchodzi członkowie lokalnej społeczności: lekarze specjaliści, prawnicy, biznesmeni. I zawsze nie wiedzieć czemu przynajmniej jeden ksiądz czy duchowny.

– Oni też są opłacani przez firmę farmaceutyczną?

– Wszyscy są opłacani przez firmę farmaceutyczną.

– A Tommy? Kiedy on dostaje wynagrodzenie?

– Na koniec badania. Gdyby płacili uczestnikom z góry, większość po zainkasowaniu kasy już by się nie pokazała.

– Zatem jeśli badanie dobiegało końca, Tommy zbliżał się do dnia wypłaty. Podobnie Allison. Może też i Jason Howell.

Sara wolała nie myśleć, kto miał największy interes w tym ponurym procederze.

– W przypadku badania trzymiesięcznego każde z nich mogłoby się spodziewać od dwóch do pięciu tysięcy dolarów za udział.

Will wjechał na parking przed kliniką i zatrzymał samochód.

– No to w czym problem? Mamy lekarzy zbijających fortunę.

Opłacanych całkiem przyzwoicie uczestników. Tommy co prawda nie powinien w ogóle zostać zakwalifikowany, ale nie mogłoby to zaszkodzić badaniu. Dlaczego ktoś miałby w takiej sytuacji zabijać dwie osoby?

– Należałoby ustalić, u ilu jeszcze uczestników wystąpiły takie zmiany nastroju jak u Tommy'ego. Allison była depresyjna, to jasno wynika z jej zapisków. Tommy'ego ostatnio ponosiły nerwy, wdawał się w konflikty, co nigdy wcześniej się nie działo, no i w końcu zabił się w więzieniu. Nie chcę usprawiedliwiać Leny, ale to leki mogły wywołać u niego myśli samobójcze. Jeśli w badaniu klinicznym pojawia się wyraźny zespół ciężkich zdarzeń niepożądanych, jest ono natychmiast przerywane.

– Czyli w interesie lekarza leży brak zdarzeń niepożądanych.

Przynajmniej jeśli chciałby się obłowić na badaniu.

Sara zasznurowała usta, myśląc o Haretonie.

– Tak.

Popatrzyła przez okno na przychodnię. Reflektory samochodu oświetlały wejście. Widziała znajomy układ holu.

Will wysiadł z auta i obszedł maskę, żeby otworzyć jej drzwi.

– Chyba nie powinienem wchodzić z tobą do środka. Wiem, że jesteś prawowitą właścicielką, że mam twoją zgodę i tak dalej, ale nie mam prawa przeglądać dokumentacji lekarskiej. Będziesz musiała odegrać zaniepokojoną obywatelkę i powiedzieć mi, co znalazłaś.

– Dobrze – zgodziła się, choć przeszło jej przez głowę, że i tak niewiele wyczytałby z akt.

Podeszła do wejścia z kluczami w dłoniach. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz była w środku, ale nie miała nawet czasu się nad tym zastanowić. Kiedy tylko wsunęła klucz do zamka, odwróciła się w stronę komendy. Ruch był zupełnie odruchowy – powtarzała go swego czasu co rano, kiedy Jeffrey czekał po drugiej stronie ulicy, upewniając się, że dotrze bezpiecznie do środka.

Latarnie jasno świeciły, nocne powietrze było rześkie i wreszcie wolne od deszczu. Zobaczyła postać stojącą przy oknie gabinetu Jeffreya. Mężczyzna się odwrócił. Sara cicho krzyknęła. Kolana się pod nią ugięły.

Will wysiadł z samochodu.

– Saro?

Niewiele myśląc, rzuciła się na oślep. Minęła Willa i zbiegła po wzniesieniu na drugą stronę ulicy w kierunku komendy.

– Jeffrey! – krzyknęła, wiedząc, że to on. Jego szerokie ramiona. Ciemne włosy. Ruchy gotowego do skoku lwa. – Jeffrey! – Potknęła się, dobiegając do parkingu, rozerwała sobie dzinsy i zdarła naskórek z dłoni.

– Ciocia Sara? – Jared podskoczył do niej lekkim krokiem swojego ojca. Ukląkł obok i położył jej ręce na ramionach. – Nic ci się nie stało?

– Wzięłam cię za... – Przyłożyła dłoń do jego twarzy. – Wyglądasz...

Zarzuciła mu ręce na szyję i przygarnęła do siebie. Nie była w stanie się powstrzymać. Rozplakała się jak dziecko. Wszystkie

wspomnienia, które tak długo tłumiła, wróciły w jednej chwili. To było ponad jej siły.

Jared gładził ją uspokajająco po plecach.

– Już wszystko dobrze – wyszeptał. – To tylko ja.

Głos jego ojca. Sara chciała zamknąć oczy i udawać. Zatracić się całkowicie. Ile razy stała na tym parkingu z Jeffreyem? Ile razy przyjeżdżali razem do pracy i całowali się na do widzenia tutaj? A potem on stał przed wejściem do komendy, patrząc, jak ona idzie pod górę, i pilnując, by dotarła bezpiecznie do środka. Czasami czuła, jak odprowadza ją wzrokiem, i tylko nadludzkim wysiłkiem powstrzymywała się, żeby nie przebiec z powrotem przez ulicę po jeszcze jednego całusa.

– Nic ci się nie stało? – spytał Jared. W jego głosie słychać było drżenie. Przerazała go. – Ciociu Saro?

– Przepraszam. – Opuściła dłonie na kolana. Nie wiedziała, dlaczego się tak kaja, ale powtórzyła raz jeszcze: – Bardzo przepraszam.

– Nie ma sprawy.

– Myślałam, że jesteś... – Nie była w stanie dokończyć zdania.

Wymówić imienia jego ojca.

Chłopak pomógł jej się podnieść.

– Mama mówi, że wyglądam wypisz wymaluj jak on.

Łzy pociekły jej po policzkach.

– Kiedy się dowiedziałeś?

– Trochę trudno to ukryć.

Zaśmiała się, ale nawet w jej uszach zabrzmiało to piskliwie i desperacko.

– Co tutaj robisz?

Jared zerknął na Willa, który tymczasem do nich podszedł, Sara nawet nie zauważyła kiedy. Stał kilka metrów dalej, ewidentnie starając się nie przeszkadzać. Powiedziała:

– To jest... – Zmusiła się do wymówienia imienia. – To jest syn Jeffrey'a, Jared Long. Jared, to Will.

Nie wyjmując rąk zagrzebanych w kieszeni, Will skinął chłopcu głową:

– Jared.

– Co cię tu sprowadza? – ponowiła pytanie Sara. – Frank?

Jared podrapał się po brwi kciukiem i palcem wskazującym. Sara niezliczoną ilość razy obserwowała podobny gest u jego ojca.

Pojawiał się, gdy Jeffrey był zdenerwowany, ale nie bardzo wiedział, jak o tym porozmawiać. Chłopiec jeszcze raz zerknął na Willa. Między tymi dwójkiem działo się coś, czego nie rozumiał.

– Po co przyjechałeś? – spytała raz jeszcze.

– Jej samochód tu stoi – rzucił łamiącym się głosem. – Nie wiem, gdzie ona jest.

– Kto? – spytała Sara, ale знаła już odpowiedź. Celica Leny była nadal na parkingu.

– Miała wrócić do domu sześć godzin temu. – Mówił teraz do Willa. – Byłem w szpitalu. Próbowałem skontaktować się z Frankiem. Nikt nie wie, co się z nią stało.

– Nie – szepnęła Sara.

– Ciociu Saro... – Jared chciał do niej podejść, ale położyła mu dłoń na piersi, powstrzymując go.

– Nie możesz się z nią spotykać.

– To nie tak, jak myślisz.

– Nieważne. Nie powinienieś.

Znowu wyciągnął do niej rękę.

– Ciociu...

Cofnęła się i wpadła na Willa.

– Nie możesz.

– To nie tak, jak myślisz.

– Nie tak, jak myślę? – zapytała gniewnie podniesionym głosem.

– A co myślę, Jared? Że sypiasz z kobietą, która zamordowała twojego ojca?

– To nie...

Will chwycił Sarę w pasie, gdy chciała rzucić się na chłopaka.

– Zabiła go! – wrzasnęła, odpychając Willa. – Zabiła twojego ojca.

– Sam się zabił!

Uniosła dłoń, żeby go spoliczkować. Stał zupełnie nieruchomo, patrząc jej w oczy i czekając na cios. Sara też jakby wrosła w

ziemię, sparaliżowana. Nie była w stanie go uderzyć, ale nie mogła też opuścić ręki, która zawisała między nimi w powietrzu jak nóż.

– Był policjantem – powiedział Jared. – Znał ryzyko.

Opuściła dłoń, bo teraz chciała naprawdę go zranić.

– Tak ci powiedziała?

– Tak sam myślę, ciociu. Ojciec kochał robotę w policji.

Wykonywał swoją pracę i przez to zginął.

– Nie wiesz, jaka ona naprawdę jest. Jesteś za młody, żeby zrozumieć, do czego jest zdolna.

– Ale wystarczająco dorosły, żeby wiedzieć, że ją Kocham.

Te słowa były jak cios prosto w serce.

– Zabiła go – wyszeptwała Sara. – Nie wiesz, co mi zabrała. Co zabrała tobie.

– Wiem więcej, niż ci się wydaje.

– Nie, nie wiesz.

– Wykonywał swoją pracę – rzucił ostro Jared. – Wkurzył nie tych ludzi, co trzeba, i nikt nie był w stanie go powstrzymać. Ani ty, ani Lena, ani ja, nikt. Sam podejmował decyzje. Miał własne zdanie. Nie opowiadał się nikomu. I był uparty jak muł. Kiedy już raz wbił sobie coś do głowy, nie sposób było go od tego odwieść.

Sara nie miała pojęcia, że się cofa, dopóki nie poczuła Willa za plecami. Chwyciła go za ramię, żeby nie upaść.

– Przekręciła wszystko, wypaczyła fakty, żebyś jej żałował.

– To nie tak.

– Po mistrzowsku manipuluje ludźmi. Teraz tego nie dostrzegasz, ale taka jest prawda.

– Nie mów tak. – Jared próbował ująć jej dłoń. – Kocham ją. I Jeffrey też ją kochał.

Sara nie była w stanie dłużej z nim rozmawiać. Nie była w stanie tu być. Odwróciła się do Willa i schowała głowę na jego piersi.

– Zabierz mnie stąd. Proszę, zawieź mnie do domu.

– Nie możecie odjechać – powiedział Jared. – Potrzebuję waszej pomocy.

Will przeprowadził ją przez ulicę, nie wypuszczając z objęć.

Jared podskoczył, żeby się z nimi zrównać.



- Musicie mi pomóc ją znaleźć. Nie wiem, co się stało.
  - Usuń się z drogi, synu – rzucił twardo Will.
  - Ktoś przeciął opony w jej samochodzie. Nie odbiera komórki.
- Podtrzymując Sarę w pasie, Will prowadził ją w górę ulicy.

Popatrzyła na skrawek zieleni przed wejściem. Korzenie traw zostały wymyte. Buty ślizgały jej się na grudkach błota.

- Zadzwoń do mnie z komórki o szóstej wieczorem.

Powiedziała, że będzie w domu za godzinę. – Jared usiłował zagrozić im drogę, ale Will usunął go jednym ruchem ramienia. – Odeszła z pracy! – wrzasnął. – Powiedziała mi, że odchodzi.

Dotarli do parkingu przed przychodnią. Will otworzył drzwi auta i pomógł Sarze wsiąść.

Jared walnął ręką w maskę.

– Ej. Ona zaginęła! Stało się coś złego! – Obiegł samochód i padł na kolana przed otwartymi drzwiami. Złożył dłonie jak w modlitwie. – Proszę, ciociu Saro. Błagam. Musicie mi pomóc ją znaleźć. Coś się stało. Wiem, że stało się coś złego.

Na jego twarzy malowało się takie cierpienie, że Sara się zawahała. Zerknęła na Willa, zobaczyła niepokój w jego oczach.

Rzucił cicho:

- Nie odmeldowała się u mnie.

Jared płakał.

– Proszę, sprawdźcie tylko w przychodni. Wiem, że rano bolała ją ręka. Może poszła tam po pomoc. Upadła albo źle się poczuła, albo...

Sara zamknęła na moment oczy, usiłując odciąć się od emocji. Tak bardzo chciała stąd wyjechać i już do końca życia nigdy więcej nie słyszeć nazwiska Leny Adams.

– Saro – rzucił Will, nie tyle w formie pytania, ile przyznania się do winy.

- Idź – powiedziała. Nie było sensu z tym walczyć.

Ujął jej podbródek, żeby na niego spojrzała.

- Zaraz wrócę, dobrze? Rzucę tylko okiem na przychodnię.

Sara nie odpowiedziała. Kiedy zamknął drzwi, odchyliła się w fotelu. Silnik nie pracował, ale księżyc świecił teraz tak jasno, że

nawet bez włączonych reflektorów widziała dwóch mężczyzn stojących przed budynkiem. Lena nawet nie musiała być obecna, żeby panować nad mężczyznami Sary. Była jak sukub zwodzący ich i macący im w głowach.

Will zerknął na Sarę, przekręcając klucz w zamku. Obserwowała Jareda z trochę większym dystansem. Był szczuplejszy od ojca. Ramiona jeszcze mu się nie w pełni ukształtowały. Miał dłuższe włosy, bardziej zbliżone do fryzury, jaką Jeffrey nosił w liceum. Przez głowę przeleciał jej obraz: dłoń Leny zaciśnięta na włosach Jareda. Teraz już zabrała wszystko. Zniszczyła z kretesem spuściznę Jeffrey'a.

Odwróciła głowę, gdy mężczyźni weszli do przychodni. Nie mogła dłużej patrzeć na Jareda. Za bardzo bolało. Już sama obecność tutaj za bardzo bolała. Przesunęła się na siedzenie kierowcy. Wcisnęła przycisk, by odpalić silnik. Nic się nie wydarzyło. Will zabrał ze sobą kluczyki.

Wysiadła z auta, zostawiając otwarte drzwi. Popatrzyła na księżyc w pełni. Jasna tarcza rozświetlała ziemię pod jej nogami. Przypomniała sobie list z czasów wojny secesyjnej, który dawno temu przeczytał jej Jeffrey. Napisała go żona do swojego męża-żołnierza. Sara zastanawiała się, czy ten sam księżyc świecił na jej ukochanego.

Poszła na tył przychodni. Widniał tam szyld z nazwiskiem Haretona, ale jej wściekłość na kuzyna z powodu badań klinicznych dawno się gdzieś ulotniła. Nie była już w stanie wykrzesać z siebie współczucia dla Allison Spooner ani Jasona Howella, ani nawet dla biednego Tommy'ego Brahama, który zaplątał się jakoś w tę ponurą historię. Wszystkie jej uczucia skurczyły się do tępego bólu. Zniknęła nawet nienawiść do Leny. Próby powstrzymania tej kobiety przypominały walkę z wiatrakami. Nie miały szans powodzenia. Nawet gdyby świat się walił i palił, Lena Adams nadal stałaby twardo na dwóch nogach. Przeżyłaby ich wszystkich.

Podwórko za przychodnią zmieniło się w trzęsawisko. Elliot nie zadał sobie trudu, żeby utrzymać posesję w dawnym stanie. Stoliczki zniknęły, huśtawki rozmontowano. Polne kwiaty, które

Sara zasadziła tu razem ze swoją matką, dawno pousychały. Stała na brzegu strumienia, który przekształcił się tymczasem w regularną rzekę. Szum wzburzonej wody zagłuszał wszystkie dźwięki. Duży klon, który przez lata dawał tyle cienia, leżał zwalony w czarnej kipieli. Sara patrzyła, jak do wody osuwają się kolejne grudki ziemi, szybko unoszone dalej przez prąd. Przychodziła tu z ojcem łowić ryby. Jakieś osiemset metrów dalej w dół strumienia znajdowało się skupisko głazów, gdzie zwykle roiło się od sumów. Tessa uwielbiała wdrapywać się na szczyt skały i wygrzewać w słońcu. Niektóre z kamieni były wysokie na ponad dwa metry. Teraz pewnie wszystkie znalazły się pod wodą. Wszystko w tym mieście, nieważne jak mocne, prędzej czy później znikało z powierzchni ziemi.

Usłyszała trzask gałęzi za plecami. Odwróciła się. Kilka metrów od niej stała kobieta w różowym pielęgniarzkim uniformie. Ciężko oddychała, miała rozmazany makijaż, pod oczyma kwitły ciemne sińce od maskary. Czerwone plastikowe paznokcie były połamane.

– Darla – poznała ją Sara. Lata minęły, odkąd ostatni raz widziała najstarszą córkę Franka. – Coś się stało?

Kobieta patrzyła na nią z rezerwą. Obejrzała się przez ramię.

– Chyba słyszałaś już o tacie.

– Nadal nie chce iść do szpitala?

Skinęła głową, ponownie oglądając się za siebie.

– Może pomogłabyś mi przemówić mu do rozumu, przekonać, żeby dał się przebadać.

– Chyba nie jestem teraz najbardziej odpowiednią do tego osobą.

– Wkurzył cię?

– Nie, po prostu... – Sara nagle zaczęła myśleć trzeźwo.

Dochodziła prawie trzecia nad ranem. Co Darla mogła robić tu o tej porze? – Co się dzieje?

– Samochód mi padł. – Po raz trzeci obejrzała się przez ramię.

Ale nie na przychodnię. Patrzyła na komendę. – Mogłabyś mnie podrzucić do taty?

Sara poczuła, jak jej ciało reaguje na niebezpieczeństwo, którego umysł nie był w stanie dokładnie określić. Serce zaczęło dziko walić

w piersiach, usta wyschły na amen. Coś tu było nie tak. Wszystko było nie tak.

Darla pokazała, by Sara ruszyła przodem na parking. W jej głosie pojawił się twardy ton.

– Chodźmy.

Sara przyłożyła dłoń do karku, myśląc o Allison Spooner nad jeziorem, jej głowie wciśniętej w grunt, gdy nóż wkłuwał się w kark.

– Co ty zrobiłaś?

– Chcę się tylko stąd wydostać, jasne?

– Dlaczego?

Jej głos zrobił się jeszcze ostrzejszy.

– Po prostu daj mi kluczyki do auta, Saro. Nie mam czasu na te gadki.

– Co zrobiłaś tym dzieciom?

– To samo, co zrobię tobie, jeśli nie dasz mi tych pieprzonych kluczyków. – Coś błysnęło u jej pasa, zaraz potem w dłoni pojawił się nóż. Ostrze miało jakieś dziewięć centymetrów i niebezpiecznie ostry szpic. – Nie chcę cię skrzywdzić. Daj mi tylko kluczyki.

Sara zrobiła kolejny krok do tyłu. Stopa ugrzęzła jej w piaszczystym brzegu, panika ścisnęła za gardło niczym dłoń. Widziała, co Darla potrafi zrobić z nożem. Wiedziała, że może zabić bez skrpułów.

– Kluczyki.

Usłyszała huk rzeki narastający za jej plecami. Gdzie jest Will? Czemu nie ma go tak długo? Popatrzyła na boki, zastanawiając się, czy rzucić się do ucieczki.

– Nie radzę – powiedziała kobieta, odgadując jej zamiary. – Nic ci nie zrobię. Daj mi tylko kluczyki.

Sara ledwo mogła mówić.

– Nie mam ich.

– Nie kłam. – Darla jeszcze raz zerknęła w kierunku komendy. Ani razu nie popatrzyła na przychodnię. Albo już zajęła się Willem i Jaredem, albo nie miała pojęcia, że są w środku. – Nie bądź głupia, złotko. Widziałas, na co mnie stać.

– Co jeśli ci je dam? – spytała Sara trzęsącym się głosem.

Darla zrobiła krok do przodu, zmniejszając dzielącą je odległość. Sara stała teraz niecały metr od niej. W zasięgu noża.

– Wrócisz sobie na piechotę do mamy i taty, a ja zniknę jak sen złoty.

Sara poczuła chwilową ulgę, zanim dotarła do niej prawda. Takie rozwiązanie nie wchodziło w grę. Obie wiedziały, że Sara nie poszłaby do domu. Przeszłaby na drugą stronę ulicy i powiedziała na komendzie o tym, co się stało. Darla nie zdążyłaby nawet dojechać do granic miasta, kiedy otoczyłyby ją radiowozy z całego okręgu.

– Daj mi te kluczyki – powtórzyła. Bez ostrzeżenia zamachnęła się nożem. Metalowe ostrze ze świstem przecięło powietrze przed nosem Sary. – No już, cholera.

– Dobrze! Dobrze! – Sara włożyła rozdygotaną rękę do kieszeni, ale nie zdejmowała oczu z noża. – Dam ci je, jeśli mi powiesz, dlaczego ich zabiłaś.

Darla mierzyła ją zimnym badawczym spojrzeniem.

– Szantażowali mnie.

Sara cofnęła się o mały krok.

– W związku z tym badaniem?

Darla nieznacznie rozluźniła i opuściła ramię, ale nóż nadal był blisko.

– Studenci znikali, nie pokazywali się na kontrolnych wizytach. Namówiłam Jasona, żeby oddawał podwójne próbki krwi do analizy i prowadził dodatkowy dzienniczek. Wciągnął w to Allison, potem jeszcze ugadali Tommy'ego. Mieliśmy się podzielić kasą po połowie. Ale nagle zrobili się pazerni i zażądali całości.

Sara nie mogła oderwać wzroku od noża.

– Próbowalaś zrobić Jasona w zabójstwo Allison.

– Zawsze była z ciebie łebska dziewczyna.

– Hare wiedział?

– A jak myślisz, dlaczego uciekam z miasta? Znalazł zapiski Tommy'ego. Powiedział, że zgłosi to komisji bioetycznej. – Po raz pierwszy w jej głosie pojawił się cień skruchy. – Nie chciałam, żeby

Tommy'emu się coś stało. Nie miał o niczym pojęcia. Nie mogłam tylko pozwolić, żeby ktoś zaczął węszyć w dokumentacji źródłowej i kartach obserwacji.

– Tommy brał podwójną dawkę – domyśliła się Sara. – Został dwa razy zakwalifikowany do badania, więc brał dwa razy większą dawkę. Stąd ta zmiana nastroju. I dlatego się zabił, prawda?

– Dobra, kurwa, dość już tego gadania. – Wyprostowała ramię. Nóż znalazł się kilka centymetrów od gardła Sary. – Dawaj kluczyki.

Sara zaryzykowała rzut oka na przychodnię. Drzwi nadal były zamknięte.

– Nie mam.

– Nie kłam, suko. Widziałam cię w samochodzie.

– Nie ma...

Darla rzuciła się w jej stronę. Sara cofnęła się, wyciągając przed siebie rękę w geście obrony. Poczowała ostrze przecinające jej skórę, ale żadnego bólu. Jedynym doznaniem była wszechogarniająca panika, która ją zalała, gdy nagle grunt usunął jej się spod nóg i obie poleciały do tyłu.

Sara uderzyła plecami o ziemię. Zobaczyła, że Darla pochyła się nad nią z nożem wzniesionym nad głową. Próbując się pozbierać, odruchowo przekreśliła się na brzuch, zanim przypomniała sobie, że właśnie w takiej pozycji znajdowała się Allison Spooner w chwili śmierci. Chciała ponownie przetoczyć się na plecy, ale kobieta już na niej siedziała i trzymała ją za kark. Sara odpychała się ramionami, waliła na oślep rękoma i nogami, usiłując się oswobodzić.

Ale nie poczuła zatapiającego się w jej skórze ostrza noża, jedynie drżenie ziemi, i grunt znowu się pod nią osunął. Znowu miała to wrażenie swobodnego spadania. Huk wody przybrał na sile, gdy wpadła prosto do lodowatej toni. Od przesywającego zimna zaparło jej dech w piersiach. Do ust i płuc wdarła się woda. Nie wiedziała, gdzie jest dół, a gdzie góra. Stopy nie znajdowały punktu oparcia. Młóciła kipiela rękoma i nogami, ale coś ją przytrzymało w miejscu.

Darla. Obejmowała ją w pasie, wbijając paznokcie w ciało. Sara usiłowała się oswobodzić, waląc napastniczkę po plecach. Czuła, że za chwilę płuca jej eksplodują. Podniosła kolano, jak mogła najwyżej. Uścisk Darli się poluzował. Sara wypłynęła na powierzchnię, zachłannie chwytając powietrze.

– Pomocy! – zawołała. – Pomocy! – Wrzeszczała do zdarcia gardła.

Darla wystrzeliła na powierzchnię tuż obok z rozdziawionymi ustami, oczyma okrągłymi ze strachu. Zacisnęła dłoń na ramieniu Sary, brzeg się rozplątał, gdy prąd porwał je obie w dół rzeki. Sara wbiła paznokcie w grzbiet dłoni napastniczki. Kamyczki i grudy ziemi biły ją po głowie. Liście, gałązki. Konary. Darla nie zwalniała uścisku. Nigdy nie umiała dobrze pływać. Nie próbowała utopić Sary. Trzymała się jej, walcząc o życie.

Huk wody przeszedł w ogłuszający ryk. Zbliżały się do kamieniska, wypiętrzonych granitowych głazów, na które Sara wspinała się z Tessą w dzieciństwie. Zobaczyła je teraz kilkanaście metrów przed sobą, sterczały do góry rozstawione niczym zębiska czekające, by rozszarpać je na pół. Fale rozbijały się na ostrych krawędziach. Prąd przybrał na sile, znosząc je coraz bliżej. Dziesięć metrów. Sześć. Sara chwyciła Darlę pod ramię, pociągnęła z całej siły i rzuciła ją do przodu. Trzask czaszki uderzającej o granit rozległ się echem jak bicie dzwonu. Sara zwała się na kobietę. Chrupnęło jej w ramieniu, głowa eksplodowała.

Starła się zwalczyć mdłości i ogarniającą ją słabość. W ustach pojawił się smak krwi. Ale nie płynęła już z prądem. Plecy miała wciśnięte w dużą szczelinę w skale. Spienione białe fale waliły o jej tułów, uniemożliwiając wykonanie jakiegokolwiek ruchu. Ręka Darli tkwiła uwięziona między plecami Sary a głazem. Jej martwe ciało kołysało się na wodzie niczym porwana chorągiewka. Do rany w rozłupanej czaszce wlewała się woda. Sara poczuła, jak dłoń kobiety się wyślizguje, i zaraz w tym momencie prąd gwałtownym szarpnięciem porwał zwłoki dalej.

Zakrztusiła się, woda wlała jej się do otwartych ust, zalała nos. Sięgnęła ręką za głowę i namacała płaski kamień. Musiała się

odwrócić. Wspiąć jakoś na szczyt głazu. Ugięła kolana, zaparła się podszewkami o granit i próbowała odepchnąć. Bez skutku.

Wrzeszcząc, próbowała raz po raz z tym samym rezultatem. Woda napierała coraz mocniej i Sara zaczęła się zsuwać w dół głazu, ręce ślizgały się jej na kamiennym podłożu, głowa ledwo wystawała nad lustro wody. Desperacko próbowała utrzymać się na powierzchni. Każdy mięsień drżał z wysiłku. Ale to było ponad jej siły. Ramię potwornie ją bolało, uda rwały. Palce traciły przyczepność. Prąd był za silny. Jej ciało dalej zsuwało się w dół po skale. Wzięła głęboki oddech, wciągając zachłannie powietrze, zanim głowa zanurzyła się pod wodę. Niecichnący odgłos rwącej rzeki zamienił się w absolutną ciszę.

Zacisnęła mocno usta. Włosy unosiły się dokoła jej twarzy. Widziała księżyc w górze, którego światło zdołało się jakoś przebić przez ciemną taflę. Promienie wyglądały jak wyciągające się w jej stronę palce. Przez brzęczącą w uszach ciszę przebił się jakiś dźwięk. Rzeka miała głos, bulgoczący, kojący głos, który obiecywał, że po drugiej stronie wszystko będzie dobrze. Prąd do niej mówił, zapewniał, że nie ma nic złego w poddaniu się. Ku swojemu zdziwieniu Sara uświadomiła sobie, że chce to zrobić. Chce przestać walczyć, znaleźć się tam, gdzie czeka na nią Jeffrey. Nie w niebie. Nie w jakimś ziemskim jego wyobrażeniu, ale w spokojnym i wygodnym miejscu, gdzie myśl o nim, pamięć o nim nie byłaby jak rana otwierająca się za każdym razem, gdy wciąga powietrze do płuc. Za każdym razem, gdy idzie ulicami, którymi razem chodzili. Za każdym razem, gdy przypominają jej się jego piękne oczy, usta, dłonie.

Wyciągnęła rękę, dotykając smużki księżycowej poświaty. Zimno zamieniło się w ciepły całun. Otworzyła usta. Bąbelki powietrza łaskotały ją po twarzy, ulatując do góry. Serce biło apatycznie w piersi. Pozwoliła, żeby spłynęły z niej emocje. Jeszcze przez chwilę upajała się błogim spokojem rezygnacji, zanim odbiła się i wypłynęła na powierzchnię, odwracając się, tak by móc chwycić się skały.

– Nie! – krzyknęła, pomstując na rzekę.



Ręce jej się trzęsły, gdy wdrapywała się po chropowatej powierzchni kamienia. Woda ciągnęła ją w dół niczym milion czepiających się rąk, ale Sara z całych sił walczyła, żeby dostać się na szczyt głazu.

Zwalała się na plecy, patrząc w niebo. Księżyc nadal wspaniale świecił, kąpiąc w blasku drzewa, skały, rzekę. Wybuchła śmiechem, bo miała już po uszy płaczu. Śmiała się tak mocno, że aż się zakrztusiła. Usiadła i kasłała, dopóki nie pozbyła się całej wody z płuc.

Odetchnęła głęboko, czując, jak wraca w nią życie. Serce waliło dziko w piersi. Skaleczenia i siniaki powoli dawały o sobie znać. Ból uaktywnił wszystkie zakończenia nerwowe, tak by nie miała wątpliwości, że nadal żyje. Wzięła kolejny głęboki oddech. Powietrze było czyste i rześkie, czuła, jak wypełnia każdą część jej płuc. Przyłożyła dłoń do szyi. Łańcuszek zniknął. Jej palce nie natrafiły na znajomy kształt sygnetu.

– O, Jeffrey – wyszeptała. – Dziękuję.

Dziękuję, że pozwoliłeś mi odejść.

Ale dokąd? Sara się rozejrzała. Księżyc świecił tak mocno, że było niemal jasno jak za dnia. Znajdowała się na środku rzeki, co najmniej trzy metry od każdego z brzegów. Biała kipiela przewalała się dokoła mniejszych głazów obok. Wiedziała, że niektóre z nich sięgają co najmniej dwa i pół metra w głąb. Dotknęła ramienia. Potwornie bolało, ale nadal mogła ruszać ręką.

Wstała. Na jednym z brzegów rosła wierzba płacząca, kołyszące się gałęzie wabiły ją na polankę rozpościerającą się pod koroną drzewa. Gdyby tylko zdołała bezpiecznie przedostać się na jeden z mniejszych kamieni, tak by woda jej nie zmyła, mogłaby wtedy stanąć na jego wierzchołku i spróbować doskoczyć do brzegu.

Usłyszała trzask gałęzi. Liście zaszeleściły. Na polankę wbiegł Will. Pierś mu falowała od wysiłku. W dłoniach trzymał zwinięty sznur. Bez problemu odczytywała emocje malujące się na jego twarzy. Strach. Zaskoczenie. Ulgę.

Podniosła głos, przekrzykując huk wody.

– Co robiłeś tak długo?!

Otworzył usta zdziwiony.

– Sprawunki – wykrztusił, nadal ciężko dysząc. – W sklepie była kolejka.

Zaniosła się śmiechem tak gwałtownym, że znowu zaczęła kasłać.

– Nic ci nie jest?

Pochyliła głowę, zmagając się z kolejnym napadem kaszlu.

– A co z Leną?

– Była w piwnicy. Jared wezwał pogotowie, ale... – Urwał. – Kiepsko z nią.

Sara oparła dłonie na kolanach. I znowu Lena potrzebuje pomocy. I znowu to Sara musi ją ratować. Ale, dziwna rzecz, nie czuła już dawnej niechęci ani nawet gniewu, który tak wiernie jej towarzyszył od tego straszego dnia, kiedy widziała śmierć swojego męża. Po raz pierwszy od czterech lat czuła spokój. Tessa miała rację – nie można spaść z podłogi. Prędzej czy później trzeba wstać, otrzepać się i wrócić do życia.

– Saro?

Wyciągnęła do niego rękę.

– Rzuć linę.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Will zwolnił, żeby skrócić w Caplan Road. Starał się jechać zgodnie ze wskazówkami, które dała mu Sara. Narysowała strzałki obok nazw ulic, co, jeśli tylko trzymał kartkę we właściwym kierunku, powinno pomóc mu trafić do domu Franka Wallace'a, nie pogubiwszy drogi. Dała mu nawet swoje okulary do czytania, dużo za małe na niego, w których wyglądał jak kompletny idiota. Mimo to miała rację. Pomagały. Słowa na kartce nadal mu się mieszały, ale przynajmniej wyraźniej je widział.

Zadzwoiła jego komórka. Trzymając kierownicę kolanami z obawy, że upuści mapkę dojazdu, starał się namacać aparat w kieszeni.

– Co się z tobą działo? – spytała Faith, kiedy już mu się to udało.  
– Zostawiłam ci na poczcie głosowej dwie wiadomości. Dzwoniłam nawet do Amandy.

– A ty przypadkiem nie jesteś na urlopie macierzyńskim?

– Emma śpi, a ja mam powyżej uszu tego głupiego szpitala. –  
Zaczęła litanie utyskiwań, szybko przechodząc od kiepskiej galaretki do bolących piersi.

Tu Will jej przerwał.

– Mam sprawcę.

– Co? – Podniosła głos zaskoczona i dotarło do niego, że nie bardzo wierzyła, że zdoła tak szybko rozwiązać sprawę.

– Dzięki za wotum zaufania.

– Och, przymknij się. Wiesz, że jestem tylko wkurzona, bo udało ci się beze mnie.

Faith nieczęsto zdarzały się nagłe wybuchy emocjonalnej

szczerości. Will miał dość rozumu, by nie drażnić dalej tej kwestii. Opowiedział więc o badaniu klinicznym i o tym, do czego posunęła się Darla Jackson, żeby uwolnić się od szantażystów i pozbyć Leny Adams.

– O jakich pieniądzach mówimy? – spytała Faith.

– Nie wiemy, ile kart obserwacji fałszowała. W grę mogą wchodzić dziesiątki tysięcy dolarów.

– Ożeż kurka. Gdzie się można na to zapisać?

– Nie w kij dmuchał – przyznał Will. Przydałaby mu się taka forsa. Nie uśmiechało mu się dalsze kopanie rowu przed domem. – Lena nadal jest w szpitalu. Chyba chwilę tam zostanie.

– Dziwię się, że Sara się nią zajęła.

Will też się tego nie spodziewał, ale podejrzewał, że gdy się jest lekarzem, nie bardzo można przebierać w chorych jak w ulęgałkach, wybierając sobie tych, których chce się ratować. Niewiele mówili, kiedy podłączała kroplówkę i kazała Jaredowi przynieść Lenie wodę, potem koce, potem znowu wodę. Will nie był pewien, na ile te dyspozycje miały pomóc Lenie, a na ile zapobiec załamaniu nerwowemu Jareda. Tak czy siak, skutecznie uspokoiły sytuację.

Od chwili gdy weszli do przychodni, chłopak zachowywał się jak oszalały. Jego nieskoordynowane zachowanie kosztowało ich kilka tak cennych minut. Wyważał kopniakami drzwi, które nie były zamknięte na klucz. Przewracał do góry nogami biurka i zwał na podłogę szafki na dokumenty. Kiedy wreszcie Will znalazł zaryglowane drzwi do piwnicy, jego młody towarzysz był już tak wyczerpany, że ledwie miał siły pomóc mu je wyważyć.

A potem ni stąd, ni zowąd złapał drugi oddech i rzucił się na oślep w dół po schodach, niepomny na to, że ktoś może się czaić w ciemnościach. Na tyłach pomieszczenia znaleźli kolejne drzwi. Głębokie żłobienia przecinały beton w miejscu, gdzie metalowy regał zasłaniał wejście do dawnego schronu przeciwlotniczego, zabezpieczone teraz starą, ale mocną zasuwą. Jared walił na oślep, odbijając się od stali jak piłeczka od flipera, i o mały włos nie zwichnął sobie barku, zanim Will wrócił ze znalezionym łomem.

Musiał przyznać, że o Sarze pomyślał, dopiero gdy udało im się wyważyć drzwi. Lena leżała półprzytomna, trzęsąc się w gorączce i spływając potem. Jared płakał. Odwiązywał sznur z jej rąk i nóg i błagał Willa, by sprowadził pomoc. To wtedy Will pobiegł na górę po Sarę. Patrząc na puste brzośki, usłyszał jej krzyki od strony rzeki. Szczęściem zdążyła zawołać pomocy, zanim Darla z powrotem ściągnęła ją pod wodę. Jeszcze większym szczęściem sznur, którym była związana Lena, okazał się wystarczająco długi, by z jego pomocą udało się Willowi ściągnąć Sarę na bezpieczny grunt.

Choć wcale nie potrzebowała pomocy. Will szedł o zakład, że sama dałaby sobie świetnie radę. Po piekle, które przetrwała, nie dziwiłby się, gdyby zobaczył, że chodzi po wodzie.

Teraz usłyszał w słuchawce gaworzenie dziecka i dyszkant jakiejś innej kobiety.

Faith najpierw powiedziała coś stłumionym głosem do pielęgniarki, potem już wyraźnym do Willa:

– Muszę kończyć. Przynieśli Emmę do karmienia. Prawda, kochanie? – Przeczekał cierpliwie kilka sekund pieszczotliwego szczebiotania, zanim głos Faith wrócił do normy. – Cieszę się, że nic ci się nie stało. Bałam się, jak sobie tam poradzisz, zdany tylko na siebie.

W jej tonie pojawiło się napięcie, jakby miała się za chwilę rozplakać. W ciągu ostatnich kilku miesięcy zrobiła się bardzo emocjonalna. Will miał nadzieję, że po narodzinach dziecka huśtawka nastrojów ustąpi, ale może musiało minąć jeszcze trochę czasu, żeby również jej hormony wróciły do normy.

– Chyba też powinienem kończyć – powiedział. – Już prawie jestem na miejscu.

Pociągnęła głośno nosem.

– Daj mi znać, jak poszło.

– Oczywiście.

Usłyszał trzask słuchawki rzuconej na widełki i założył, że tak wygląda sposób Faith na kończenie rozmowy. Wsadził komórkę z powrotem do kieszeni. Porównał znak przy drodze ze swoją rozpiską i skreślił. Ostatnia strzałka na mapce pokazywała na

drugą stronę kartki. Usta rozciągnęły mu się w uśmiechu. Na odwrocie Sara narysowała uśmiechniętą buźkę.

Zwolnił, szukając właściwego numeru. Odczytywał wszystkie figurujące na skrzynkach pocztowych, porównując je z tym, który napisała mu Sara. Przejechał połowę ulicy, zanim znalazł w końcu właściwy. Frank Wallace mieszkał w jednopiętrowym domku: brzydkim i zaniedbanym. Nad całą posesją unosiła się atmosfera smutku niczym czarna chmura. Rynny zwisały. Okna pokrywała warstwa brudu. O ile zaskakiwał na tym tle widok ogrodowego krasnala, o tyle rząderek pustych butelek po piwie przy kontenerze na śmieci już nie.

Drzwi wejściowe się otworzyły, kiedy Will wysiadł z samochodu. Lionel Harris się roześmiał, ewidentnie ubawiony jego zdziwioną miną.

– Dzień dobry – powiedział. – Słyszałem, że wczoraj w nocy poszliście sobie popływać.

Will się uśmiechnął, choć poczuł, jak na samo wspomnienie pot oblewa go niczym nagły zimny deszcz. Nie mógł pozbyć się z myśli obrazu Sary stojącej na wierzchołku głazu.

– Trochę się dziwię, że pana tu spotykam, panie Harris.

– Wpadłem tylko z zapiekanką.

Konsternacja Willa musiała się rzucać w oczy. Starszy mężczyzna poklepał go po plecach.

– Nigdy nie lekceważ, synu, siły wspólnoty doświadczeń.

Will skinął głową, choć nadal nie rozumiał.

– Nie będę wam przeszkadzał. – Lionel chwycił laskę i zszedł po stopniach ganku.

Will odprowadził go wzrokiem na ulicę, gdzie staruszek przystanął, żeby pogawędzić z jakimś sąsiadem, który go pozdrowił.

– Frank na pana czeka.

Will się odwrócił. W drzwiach stała kobieta. Miała już swoje lata, zgarbione plecy i nienaturalnie czerwone włosy. Twarz była mocno pomalowana w stylu, który upodobała też sobie jej córka. Mimo to pod wypacykowanym okiem Will dostrzegł wyraźne pasmo zasinienia. Grzbiet nosa kobiety był spuchnięty. Musiała dostać

pięścią w twarz – niedawno i bardzo mocno.

– Jestem Maxine. – Otworzyła mu drzwi. – Frank na pana czeka.

Na zewnątrz dom wyglądał przygnębiająco, ale wewnątrz prezentowało się jeszcze gorzej. Ściany i sufit pożółkły od papierosowego dymu. Wykładzina była czysta, ale poprzecierana i wyświecona. Umeblowanie sprawiało wrażenie żywcem wyjętego z lat pięćdziesiątych.

– Tędy.

Maxine pokazała, żeby poszedł za nią korytarzem. Naprzeciwko kuchni znajdowało się małe pomieszczenie zamienione w zagracony gabinet, trochę dalej Will dostrzegł obskurną łazienkę wyłożoną zieloną terakotą w odcieniu awokado. Frank leżał na szpitalnym łóżku w ostatnim pokoju. Rolety były opuszczone, ale prześwitywało przez nie słońce. W środku panował zaduch i czuło się wilgoć. Frank oddychał z trudem, choć do nosa biegły mu rurki z tlenem. Skórę miał żółtą, oczy posmutniałe.

Przy łóżku stało krzesło. Will zajął je, nie czekając na zaproszenie.

– Będę w kuchni – powiedziała Maxine. – Dajcie znać gdyby wam było czego trzeba.

Will odwrócił się zaskoczony, ale już wyszła z pokoju. Przeniósł spojrzenie na Franka.

– Julie Smith?

Z niskiego barytonu mężczyzny pozostał drżący szept.

– Kazałem jej zadzwonić do Sary.

Will już wcześniej się domyślał, że jakoś tak się to odbyło.

– Wiedział pan, że Tommy nie żyje, zanim Sara zjawiała się na komendzie.

– Myślałem... – Zamknął oczy. Pierś wolno unosiła się i opadała.

– Myślałem, że będzie lepiej, jeśli to ona go znajdzie. Że będzie wtedy mniej pytań.

Plan mógł łatwo wypalić. Sara знаła Nicka Sheltona. Mogłaby bezwiednie załagodzić sprawę.

– Dlaczego kazał pan żonie powiedzieć, że Allison ma chłopaka?

Jedno ramię powędrowało do góry i opadło.

– Zawsze najpierw winien jest chłopak.

Will nie mógł się nie zgodzić, ale Frank nakłamał już tyle razy w ciągu ostatnich kilku dni, że trudno było orzec, czy w ogóle stać go na szczerłość. Lionel Harris miał rację, gdy mówił o zmianie. Niewielu ludzi się na nią zdobywa. Musi się wydarzyć coś bardzo złego albo bardzo dobrego, by skłonić człowieka do rzeczywistego zrzucenia skóry. Will nie miał wątpliwości, że dla Franka czas przełomów i rewolucyjnych objawień dawno już minął. Nawet bez butli z tlenem na kilometr czuć było od niego chorobą, jakby już zaczynał gnić od środka. Wiedział, że w życiu każdej osoby nadchodzi taki czas, gdy jest już za późno, by cokolwiek zmienić. Pozostaje wtedy tylko czekać, aż śmierć odbierze wszystkiemu znaczenie.

Frank się skrzywił, usiłując ułożyć się wygodniej na łóżku.

– Może panu coś podać?

Pokręcił głową, choć wyraźnie cierpiał.

– Co z Leną?

– Zakażenie jest paskudne, ale lekarze są zdania, że z tego wyjdzie.

– Niech pan jej powie, że jest mi przykro – poprosił Frank. – Że za wszystko ją przepraszam.

– Dobrze – obiecał Will, choć gdyby to od niego zależało, nie zamieniłby z nią więcej ani słowa. Nie uważał, że jest z gruntu zła, ale miała w sobie dość brudu, by pozostawić niesmak. – Może powie mi pan, co się naprawdę wydarzyło?

Frank wpatrywał się w Willa. Oczy zaszły mu łzami.

– Ma pan dzieci?

Will pokręcił głową.

– Darla zawsze była zbuntowana, dawała popalić mi, dawała popalić Maxine. – Urwał, żeby zaczerpnąć tchu. – Uciekła z domu, gdy miała siedemnaście lat. Nie miałem nawet pojęcia, że wróciła do miasta, dopóki nie zobaczyłem jej kiedyś przed przychodnią. – Zakaszła. Pościel była usiana maleńkimi kropkami krwi. – Wyszła właśnie na papierosa.

– Dlaczego zadzwoniła na policję ze skargą na Tommy'ego? – W



świetle jej kryminalnego procederu było to dość ryzykowne zagranie.

– Nie wiem, czy chciała nastraszyć Tommy'ego, czy może ukarać mnie.

Sięgnął po szklanę wody stojącą na nocnym stoliku. Will przytrzymał słomkę, by mógł się napić. Odgłos przełykania rozchodził się echem po małym pokoju. W końcu Frank z jękiem opadł na poduszki.

– Co pan zrobił, kiedy przeczytał notatkę z tej interwencji?

– Poszedłem do przychodni i spytałem, co, u licha, wyprawia.

– Ale w notatce nie pojawiają się jej personalia.

Frank nie odpowiedział.

Will miał powyżej uszu wyciągania wszystkiego wołami.

– Przeprowadził pan tysiące przesłuchań, komendancie Wallace. Wie pan, jakie zadam pytania. Prawdopodobnie ułożył pan sobie w głowie całą listę. – Urwał, czekając, by Frank mu to ułatwił. Kiedy upłynęła pełna minuta, zrozumiał, że nic nie pójdzie łatwo z tym człowiekiem. – Jak Darla to wyjaśniła?

– Powiedziała mi, że ktoś ją szantażuje.

– W sprawie tego badania?

– To nie sprowadzało się tylko do sfałszowanej dokumentacji dwojga dzieciaków. Była tego cała masa... Zorganizowała cały system. Namawiała uczestników, by zapisywali się podwójnie, tak by wyglądało, że w badaniu bierze udział większa liczba osób, na koniec mieli się podzielić wynagrodzeniem.

– I oni wszyscy ją szantażowali?

– Tylko Jason i Allison.

– Podała panu ich nazwiska?

– Nie.

Will przyglądał mu się badawczo, usiłując dociec, czy mówi prawdę. Był to absolutnie czczy wysiłek.

– Co w takim razie córka powiedziała panu o szantażystach?

– Myślała, że zdoła ich spłacić, jedno z nich wkrótce kończyło studia. Myślała, że jeśli da im dość pieniędzy, wyjadą.

– O ile pana poprosiła?

– Dziesięć tysięcy dolarów. Nie miałem tyle. A nawet gdybym miał, nie dałbym. Wydałem już taką masę pieniędzy, tyle razy ratując ją z opresji. Nie mogłem wyrzucić kolejnych w błoto.

Will zauważył, że komendant nie rozważał nawet drugiej ewentualności, czyli aresztowania córki i posłania jej do więzienia.

– Tak ciężko pracowała, żeby zdobyć dyplom pielęgniarski. Nigdy nie myślałem, że... – Urwał. – Nie wiedziałem.

– Miała wcześniej kłopoty z prawem.

Frank skinął tylko głową.

– Z powodu czeków bez pokrycia – sprecyzował Will. Odciski Darli figurowały w bazie. Odpowiadały tym znalezionym na płynie do mycia okien, który Will i Charlie odkryli w łazience w akademiku. Zaryzykował domysł. – Ale wcześniej też coś było.

Frank potwierdził skinieniem głowy.

– Co jakiś czas otrzymywałem telefony. W ramach zawodowej grzeczności, jak glina glinie. Austin. Little Rock. West Memphis. Opiekowała się starszymi ludźmi, czyszcząc im konta. Była dobra. Nigdy jej nie przyłapali, ale wiedzieli, że to ona.

Will wielokrotnie już się przekonał, że wiedzę o winie od jej udowodnienia dzieli czasem przepaść. Jako córka policjanta Darla zapewne mogła liczyć na dodatkową ochronę.

– Byłem pewien, że to Tommy zabił tę dziewczynę. Nie chciałem tylko, żeby przy tym wszystkim coś spadło na Darlę.

– Zrobił pan, co tylko mógł, żeby mieć pewność, że nikt nigdy nie pomyśli inaczej.

Patrzył na Willa kaprawymi oczyma, ewidentnie próbując dociec, ile ten wie.

Prawda tymczasem wyglądała tak, że Will niczego nie wiedział na pewno. Domyślał się, że Frank ukrywał dowody. Domyślał się, że opóźniał przesłanie przez centralę telefoniczną w Eaton nagrania głosu Maxine dzwoniącej pod 911. Domyślał się, że mataczył, utrudniał śledztwo, działał z narażeniem życia i zdrowia innych ludzi oraz przyczynił się, może nawet umyślnie, do śmierci trzech osób.

Ale, tak jak powiedział Frank, co innego wiedzieć, co innego

udowodnić.

– Nie chciałem mieszać w to Leny – zapewnił Frank. – O niczym nie wiedziała. Wszystko, co się stało, było moją winą.

Will szedł o zakład, że Lena będzie mówić to samo o Franku. Obawiał się, że nigdy nie zdoła pojąć więzi łączącej tych dwoje.

– Kiedy zaczął pan podejrzewać, że stoi za tym Darla?

– Kiedy Lena... – Znowu zaniósł się kaszlem. Tym razem krwi było tyle, że musiał odpluć w chusteczkę. – Jezu – jęknął, ocierając usta. – Przepraszam.

Will starał się zachować żołądek w ryzach.

– Kiedy się pan domyślił?

– Kiedy Lena powiedziała mi, że drugi dzieciak został zabity w ten sam sposób. – Urwał ponownie. – Nie mogłem uwierzyć, że Darla jest zdolna do takiej pazerności. Zrozumie pan, kiedy będzie miał własne dzieci. Była moją córeczką. Tuliłem ją na rękach, gdy płakała w nocy. Patrzyłem, jak z małej dziewczynki staje się... – Nie dokończył. Oczywiście było, kim się stała.

– Kiedy widział ją pan po raz ostatni?

– Wczoraj wieczorem – przyznał. I zamiast czekać na kolejne pytanie Willa, sam z siebie dodał: – Pokłóciliśmy się. Powiedziała, że musi uciekać z miasta. Chciała więcej pieniędzy.

– Dał jej pan?

Pokręcił głową.

– Maxine miała w torebce kilkaset dolarów. Doszło między nimi do awantury. Poważnej. – Wskazał butlę z tlenem, barierki na łóżku. – Kiedy w końcu się podniosłem, Maxie leżała na podłodze, a Darla ją biła. – Frank zacisnął usta. – Nigdy nie myślałem, że dożyję dnia, w którym będę patrzył, jak dziecko tłucze własną matkę. Moje dziecko. Nie tak ją wychowałem. To nie była moja Darla.

– Co się stało?

– Ukradła pieniądze. Z mojego portfela też wzięła. Może z pięćdziesiąt.

– Znaleźliśmy przy niej prawie trzysta dolarów.

Skinął głową na znak, że to by się zgadzało.

– Rano zadzwonił do mnie Brock. Powiedział, że wyciągnięto ją w dolnym biegu rzeki, za kamieniskiem. – Popatrzył na Willa, jakby niezupełnie w to wierzył.

– Zgadza się. Mniej więcej na wysokości uczelni.

– Mówił, że lepiej żebym nie oglądał jej teraz, tylko dał mu trochę czasu, żeby ją doprowadził do porządku. – Zabrakło mu tchu. – Ile razy mówiłeś to pan rodzicowi, który chciał zobaczyć swoje dziecko i nie wiedział, że zostało pokiereszowane i zmasakrowane w trzy dupy?

– Mnóstwo razy – przyznał Will. – Ale Brock ma rację. Nie chciałby pan jej takiej zapamiętać.

Komendant wbił oczy w sufit.

– Nie wiem, czy w ogóle chcę ją pamiętać.

Will odczekał kilka sekund.

– Czy ma mi pan jeszcze coś do powiedzenia?

Frank pokręcił głową i Will znowu nie wiedział, czy wierzyć mu czy nie. Mężczyzna był prawie trzydzieści lat detektywem. Niemożliwe, by ani razu nie przeszło mu wcześniej przez głowę, że to jego córka macza palce w tych zbrodniach. Nawet jeśli nie chciał powiedzieć tego na głos, w głębi duszy na pewno miał świadomość, że jego bierność kosztowała życie Tommy’ego Brahama i Jasona Howella.

A może nie miał. Może oszukiwał się na tyle dobrze, by nadal święcie wierzyć, że zrobił wszystko jak należy.

– Dam już panu odpocząć – powiedział Will.

Frank miał zamknięte oczy, ale nie spał.

– Zabierałem ją na polowania – wyszeptał chrapliwie. – To były jedyne chwile, kiedy się dogadywaliśmy. – Podniósł powieki i popatrzył na sufit. W pokoju rozlegał się jedynie miarowy szum butli z tlenem przy łóżku. – Nauczyłem ją, by nigdy nie celowała w serce. Roi się tam od żeber i kości. Pocisk rykoszetuje, nie wchodzi czysto. Człowiek potem całymi kilometrami ugania się za jeleniem po lesie, czekając, aż bydlę padnie. – Przyłożył rękę do boku szyi. – Lepiej mierzyć w szyję. Uszkodzić to, co zasila serce. – Potarł obwisłą skórę. – To jest czysty, najbardziej humanitarny sposób

odebrania życia.

Will widział miejsca zdarzenia, ciała ofiar. W śmierci Allison Spooner i Jasona Howella nie było nic humanitarne. Konali w przerażeniu i męczarniach. Szlachtowni.

– Umieram – powiedział Frank. Will się nie zdziwił. – Kilka miesięcy temu wykryto u mnie raka. – Obliznął spierzchnięte wargi. – Maxine powiedziała, że się mną zaopiekuje, pod warunkiem że oddam jej swoją emeryturę. – Znowu wciągnął powietrze. Zaśmiał się niewesoło. – Zawsze myślałem, że zdechnę sam jak palec.

Te słowa sprawiły, że Will poczuł dojmujący smutek. Wiedział, że Frank Wallace umrze w samotności. Być może w pokoju będą z nim wtedy inni – zgorzkniała ekszona, kilku ślepo lojalnych kolegów z pracy – ale ludzie tacy jak Frank umierają w taki sam sposób, jak żyją, trzymając wszystkich na dystans.

Will wiedział o tym, bo często patrzył na własne życie i własną śmierć przez ten sam pryzmat. Nie miał żadnych przyjaciół z dzieciństwa, z którymi utrzymywałyby kontakt. Krewnych, do których mógłby się zwrócić. A Faith miała teraz córeczkę. Prędzej czy później znajdzie sobie faceta, którego towarzystwo będzie w stanie zdzierżyć. Być może urodzi kolejne dziecko. Prawdopodobnie będzie chciała przenieść się do pracy biurowej, żeby zmniejszyć stres, w jakim żyje. Will odpłynie z jej życia jak fala cofająca się od brzegu.

Zostawała tylko Angie, a Will nie miał wielkich nadziei, że będzie dla niego pociechą na stare lata. Żyła szybko i intensywnie, wykazując tę samą lekkomyślną brawurę, przez którą jej matka doprowadziła się do stanu śpiączki, lądując na dwadzieścia siedem lat w stanowym szpitalu. Małżeństwo tylko ich od siebie oddaliło. Will zawsze sobie wyobrażał, że przeżyje Angie, że któregoś dnia stanie sam nad jej grobem. Ta wizja zawsze napełniała go przytłaczającym smutkiem zabarwionym odrobiną ulgi. Z jednej strony kochał Angie nad życie, z drugiej jednak myślał o niej jak o puszcze Pandory, skrywającej wszystkie jego najciemniejsze sekrety. Gdyby umarła, zabrałaby ze sobą część tego mroku.

Ale zabrałaby też część jego życia.

– Chce pan, żebym coś panu przyniósł lub podał? – spytał Franka.

Wallace zaniósł się znowu suchym kaszlem.

– Nie. Radzę sobie.

– Proszę dbać o siebie. – Will zmusił się, żeby wyciągnąć rękę i dotknąć jego ramienia, zanim wyszedł z pokoju.

Sara stała przed domem z chartami, kiedy Will zajechał na podjazd Lintonów. Bok twarzy miała posiniaczony. Rana od noża wymagała założenia szwów. Rozpuszczone włosy opadały na plecy.

Wyglądała pięknie.

Kiedy wysiadł z auta, psy rzuciły mu się na powitanie. Sara ubrała oba w czarne wdzianka z polaru dla ochrony przed chłodem. Will głaskał podekscytowane zwierzaki, broniąc się jednocześnie przed przewróceniem na plecy.

Sara cyknęła językiem i natychmiast przestały go molestować.

– Zakładam, że Frank niewiele pomógł? – spytała.

Will pokręcił głową, czując narastający w gardle ucisk. Kiedyś potrafił dobrze ukrywać swoje myśli, ale Sara, nie wiedząc kiedy i jak, złamała szyfr.

– Chyba już długo nie pociągnie.

– Słyszałam. – Ewidentnie targwały nią sprzeczne uczucia w związku z bliską śmiercią wieloletniego przyjaciela rodziny. – Przykro mi, że jest chory, ale nie wiem, co o nim sądzić po tym, co się stało.

– Być może mógł zapobiec tragedii, przynajmniej w przypadku Jasona. Ale ludzie z reguły nie widzą tego, czego nie chcą zobaczyć.

– Wyparcie to nie jest dobre usprawiedliwienie. Darła mogła zabić i mnie. Zrobiłaby to, gdyby ziemia na brzegu się nie osunęła.

Will nie chciał, by Sara odczytała odczucia malujące się na jego twarzy, więc pochylił się i podrapał Boba za uchem.

– Zajmuje się nim była żona. Przynajmniej nie będzie umierał w opuszczeniu.

– Marna pociecha.

– A ja uważam inaczej – zaoponował. – Niektórzy ludzie tego nie

rozumieją. Niektórzy ludzie po prostu... – Zmitygował się, zanim zaczął się mazać jak dziecko. – Tak czy owak, chyba nigdy się nie dowiem, co dokładnie się tu wydarzyło.

– A musisz?

– Niespecjalnie. Nic nie przywróci życia Tommy’emu, ale przynajmniej odzyskał dobre imię. Darla nikogo więcej nie skrzywdzi. Frank już ma wyrok śmierci.

– Tylko Lenie kolejny raz się upiekło.

Nie sprawiała wrażenia tak rozgoryczonej jak wcześniej.

– Przekonamy się.

Roześmiała się.

– Chcesz się założyć?

Will starał się wykonypować jakiś sprytny zakład, dzięki któremu mógłby ją zabrać na obiad po powrocie do Atlanty, ale Sara już zmieniła temat.

– Brock dzwonił rano – powiedziała. – W kieszeni Darli znalazł kluczyki od toyoty Leny. Zdaje się, że zamierzała uciec z miasta jej samochodem.

Przypomnił sobie przecięte opony celiki: prezent na pożegnanie od kogoś z komendy.

– Musiała zobaczyć, jak wysiadasz z wozu, i postanowiła podwyższyć sobie standard jazdy. – Will od początku wiedział, że sprawca jest dobry w improwizacjach. – Hareton wyjaśnił, co kazało mu sprawdzić dokumentację badania pod kątem nazwiska Brahama?

– Widział Tommy’ego kilka razy w przychodni. Zdarza się, wcale nierzadko, że młodzi ludzie w tym wieku nadal chodzą do pediatry, ale Tommy bywał tam często, przynajmniej raz na tydzień. Po jego samobójstwie Hare zrobił się ciekawy i przejrzał papiery. – Sara pociągnęła za smycz, chroniąc bok porsche przed obsikaniem przez Billy’ego. – Potwierdził to, co powiedziała Darla. Zgłosił komisji bioetycznej naruszenie procedur.

– To chyba dobrze, prawda? Postąpił, jak należy.

– Chyba, ale nie zamierza zarzucić badań. – Zaśmiała się smutno. – Pozwól, że skoryguję: zamierza nadal je prowadzić, tyle

że nie na terenie należącego do mnie budynku.

– Dowiedziałaś się, jaki lek badali?

– Przeciwdepresyjny. Następnej wiosny ruszą z badaniem znowu, ale ze zmodyfikowaną dawką.

– Żartujesz.

– Gra idzie o miliardy dolarów. Co dziesiąty Amerykanin regularnie zażywa środki przeciwdepresyjne, mimo że badania z użyciem placebo pokazały, że wiele z nich nie daje poprawy. – Wskazała głową na dom. – Hare siedzi w środku, skutkiem czego zabrałam psy na dwugodzinny spacer na tym mrozie.

– Twoi rodzice nie są na niego źli?

Ciężko westchnęła.

– Och, moja matka wszystko mu wybaczy.

– Chyba właśnie od tego ma się rodzinę.

Wydawało się, że przez chwilę rozważa to, co powiedział.

– Tak, chyba tak.

– Rano rozmawiałem z Faith. – Wysłała mu tyle zdjęć dziecka, że zapchała niemal całą pamięć w aparacie. – Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby była szczęśliwa. To dziwne.

– Narodziny dziecka zmieniają człowieka – wyjaśniła Sara. – Oczywiście nie znam tego z autopsji, ale obserwuję u siostry.

Bob oparł się o jego nogę. Will się pochylił i podrapał go.

– Ja chyba...

– Zostałam zgwałcona.

Will milczał, bo nie miał pojęcia, co mógłby powiedzieć.

– Na studiach – ciągnęła. – To dlatego nie mogę mieć dzieci. – Dopiero teraz zauważył, jak zielone są jej oczy, prawie szmaragdowe. – Lata minęły, zanim powiedziałam o tym mężowi. Wstydziałam się. Chciałam myśleć, że mam to już za sobą. Że jestem dość silna, by przejść nad tym do porządku.

– Nie wydaje mi się, by ktokolwiek mógł odmówić ci siły.

– Cóż. Miewam gorsze dni.

Popuściła smycz Billy'ego, który obwąchiwał skrzynkę na listy. Oboje obserwowali go, jakby był najbardziej fascynującą istotą na ziemi.



Will odchrząknął. Sytuacja zrobiła się krępująca. Poza tym na zewnątrz było chłodno i podejrzewał, że Sara nie ma ochoty sterczeć cały dzień przed domem swoich rodziców i patrzeć, jak on stara się sklecić jakieś sensowne zdanie.

– Powiniennem zacząć się pakować.

– Dlaczego?

– No... – Willowi plątały się myśli i język. – Święta. Twoja rodzina. Na pewno chcesz być z nimi.

– Matka ugotowała jak dla armii. Będzie zdruzgotana, jeśli nie zostaniesz.

Nie był w stanie powiedzieć, czy zaproszenie jest szczere czy rzucone tylko z kurtuazji.

– Mam rozkopane podwórze przed domem.

– Pomogę ci z tą kanalizacją, gdy wrócimy do Atlanty. – Uśmiechnęła się szelmowsko. – Nauczę cię nawet obsługiwać koparkę.

– Nie chciałbym się narzucać.

– Will, nie narzucasz się. – Ujęła jego dłoń.

Spuścił wzrok, przebiegając kciukiem po jej palcach. Miała miękką skórę. Poczul zapach fikuśnego mydła. Już od samej jej bliskości robiło mu się ciepło, jakby to puste miejsce w jego duszy miało szansę kiedyś się zapełnić. Otworzył usta, żeby powiedzieć, że chce zostać, że marzy tylko, by móc odpowiedzieć na kolejne dwa tysiące pytań jej matki i obserwować przebiegły uśmiech siostry popatrującej to na jedno z nich, to na drugie.

I wtedy właśnie zadzwoniła komórka w jego kieszeni.

Sara zmarszczyła nos.

– Co to?

– Prawdopodobnie kolejne zdjęcie dziecka Faith.

Posłała mu ten sam szelmowski uśmieszek.

– Pokaż.

Nie potrafił jej niczego odmówić. Wolną dłonią wyciągnął z kieszeni aparat. Obejrzał już sobie Emmę Lee Mitchell z każdej możliwej strony i był pewien, że to wprawdzie słodkie maleństwo, ale póki co wygląda jak wściekła czerwona rodzyńka w różowej

czapeczce.

Sara otworzyła klapkę aparatu. Uśmiech szybko znikł jej z twarzy.

– To SMS. – Pokazała mu telefon, ale zaraz stuknęła się w głowę. Odwróciła aparat i przeczytała na głos: – Diedre wreszcie umarła. Wracaj do domu.

Willowi serce ścisnęło się z żalu.

– Matka Angie.

Popatrzył w dół na dłoń Sary. Nadal trzymała go za rękę.

– Przykro mi.

Nie płakał, odkąd skończył szesnaście lat, ale teraz poczuł niebezpieczny napór łez pod powiekami.

– Leżała w szpitalu pod respiratorem, odkąd pamiętam. I w końcu...

Gardło miał tak ściśnięte, że z trudem przełknął ślinę. Angie twierdziła, że nienawidzi matki, ale odwiedzała ją przynajmniej raz w miesiącu przez ostatnie dwadzieścia lat. Will często jej towarzyszył. Było to straszne, rozdierające serce przeżycie. Wiele razy tulił szlochającą Angie. Tylko tam przestawała się pilnować. Tylko tam naprawdę oddawała się Willowi.

Nagle zrozumiał słowa Lionela Harrisa o sile wspólnoty doświadczeń.

– Saro...

Ścisnęła jego dłoń.

– Powinieneś wracać do domu.

Will szukał w głowie odpowiednich słów. Był rozdarty między chęcią bycia z Sarą a potrzebą bycia z Angie.

Sara pochyliła się blisko i przycisnęła wargi do jego policzka. Wiatr zwał mu na twarz jej włosy. Zbliżyła usta do jego ucha i powiedziała:

– Wracaj do domu, do żony.

Więc wrócił.

# **TRZY TYGODNIE PÓŹNIEJ**

## EPILOG

Lena stała na cmentarzu, patrząc na nagrobek Jeffreya Tollivera. Wydawało się głupotą kłaść kwiaty na pustym grobie, ale rzeczy, które zawierała trumna, były bardziej namacalne niż urna z prochami. Brad oddał papierową planszę strzelecką ze swojej pierwszej rundy kwalifikacyjnej w akademii policyjnej. Frank ofiarował bloczek mandatowy, bo Jeffrey zawsze wrzeszczał na niego, że spóźnia się z raportami. Lena przekazała swoją złotą odznakę. Ta, którą nosiła jeszcze trzy tygodnie temu, była duplikatem. Dan Brock włożył ją do trumny razem z innymi pamiątkami, bo oboje wiedzieli, że nie wchodzi w grę, by ona sama to zrobiła.

Wszystkie sklepy i instytucje w centrum były pozamykane w dzień złożenia trumny Jeffreya do grobu. Jared także nie brał udziału w pogrzebie. Już kilka lat wcześniej uświadomił sobie swoje podobieństwo do ojca. Nie chciał przeszkadzać żałobnikom. Nie chciał zadawać Sarze takiego bólu.

Ale pragnął być wtedy w mieście. Czuć bliskość ojca, zobaczyć miejsce, w którym Jeffrey żył i które kochał. Przed bistro wpadł na Lenę. Siedziała na krawężniku, myśląc o tych wszystkich rzeczach, które straciła. Z początku wzięła go za Jeffreya. Oczywiście, że go za niego wzięła. Powiedzieć, że wyglądał jak wykapany Tolliver, to mało. Był jak ściągnięta z niego skóra.

Może gdzieś podświadomie właśnie to podobieństwo tak ją pociągało w Jaredzie. Jego ojca za bardzo wielbiła, by jakkolwiek myśl o romansie choćby przez chwilę powstała jej w głowie. Był jej mistrzem. Jej bohaterem. Chciała być takim samym gliniarzem jak

on. Takim samym człowiekiem. Dopiero kiedy umarł, dotarło do niej, że był po prostu mężczyzną.

– Dlaczego nie jesteś na pogrzebie? – spytał ją Jared.

A ona odpowiedziała:

– Bo to ja zabiłam twojego ojca.

Przez dwie godziny słuchał zwierzeń Leny, potem przez kolejne dwie dowodził, że to nie jej wina. Młodość dawała mu pasję, czyniła zagorzałym obrońcą własnych szybko formowanych sądów. Dopiero co złożył papiery do akademii policyjnej. Jeszcze się nie napatrzył na okropieństwa tego świata. Jeszcze się nie zorientował, że istnieje coś takiego jak prawdziwie niereformowalny człowiek.

Czy ona była niereformowalna? Nie chciała tak myśleć. Miała teraz zacząć wszystko od nowa. Z czystym kontem. Komisja dyscyplinarna nie dopatrzyła się jej winy w samobójstwie Tommy'ego Brahama. Raport Willa Trenta zawierał nadmiar przypuszczeń i niedomiar dowodów, zwłaszcza że Lena jakoś nigdy nie nagrała swojego przyznania się do winy. Gordon Braham przeprowadzał się na Florydę, by być bliżej rodziny swojej żony. Razem z matką Jasona Howella wniósł pozew zbiorowy przeciwko Haretonowi Earnshawowi i koncernowi farmaceutycznemu, który sponsorował badania. W zamian za okrytą tajemnicą sumę podpisał dokument o zrzeczeniu się wszelkich roszczeń wobec policji okręgu Grant.

Lena przeszła dwie operacje i spędziła tydzień w szpitalu, ale dłoń była nawet w całkiem niezłym stanie jak na tak paskudne zakażenie gronkowcem. Rehabilitacja powoli przywracała ruchomość palcom. Zresztą Lena i tak była praworęczna. Lewą ręką okazywała tylko legitymację podczas dokonywania aresztowań. A wkrótce miała ich często dokonywać. Gavin Wayne zadzwonił do niej dwa dni temu i poinformował, że w policji w Macon nadal czeka na nią miejsce. Lena przyjęła propozycję bez wahania.

Była gliną. Miała to we krwi. Jej odwaga i pewność siebie zostały wystawione na ciężką próbę. Determinacja chwilowo osłabła. Ale wiedziała bez cienia wątpliwości, że nie ma innej rzeczy na świecie,

którą chciałyby robić.

Pochyliła się i położyła kwiaty na grobie Jeffreya. On też był gliniarzem. Nie takim samym jak Lena, ale różnymi drogami można przecież dojść do tego samego celu. Jeffrey by to zrozumiał. Zawsze dawał jej kredyt zaufania.

Popatrzyła na ciągnący się rząd kamieni nagrobnych. Złożyła już kwiaty na grobie siostry. Frank Wallace nie miał jeszcze swojej tablicy, ale przyniosła mu stokrotki, bo wiedziała, że je lubił. Zapisał jej w testamencie trochę pieniędzy. Nie dużo, ale dość, by mogła sprzedać dom po niższej cenie i mimo to spłacić hipotekę. Resztę przekazała pozarządowej fundacji na rzecz pomocy policjantom, którzy weszli w konflikt z prawem. Coś jej mówiło, że Frank by to pochwalił.

Choć nie potrzebowała już jego aprobaty. Miała dość wiecznego zamartwiania się tym, co inni o niej myślą. Jeśli ma zacząć wszystko od nowa, nie może bez przerwy oglądać się do tyłu. Z Grant zabierała ze sobą tylko ubrania i narzeczonego, czyli wszystko, bez czego naprawdę nie mogłaby się obejść.

– Gotowa? – Jared siedział w furgonetce. Pochylił się i otworzył jej drzwi.

Kiedy Lena wślizgnęła się na siedzenie, objął ją ramieniem.

– Między tobą i Sarą jakoś się ułoży? – spytała.

Rano umówił się z ciotką na kawę. Lena domyśliła się, że nie poszło najlepiej.

– Nie przejmuj się nią. – Zaciskając szczęki, Jared wrzucił bieg i wyjechał na ulicę. Nie lubił przekazywać złych wieści. – Jeszcze zmieni zdanie.

– Nie liczyłabym na to.

Pocałował ją w czubek głowy.

– Po prostu cię nie zna.

– Nie.

Włączył radio. Joan Jett właśnie śpiewała o swojej złej reputacji. Lena patrzyła we wsteczne lusterko. Widziała drogę znikającą w tyle, Heartsdale, od którego oddalała się z każdym kilometrem. Chciała czuć coś do tego miasta – żal, nostalgię. Ale czuła tylko

ulgę, że wyjeżdża.

Czy Sara Linton ją znała? Prawdopodobnie lepiej niż ktokolwiek inny na ziemi. Ale Jared nie musi o tym wiedzieć. Nie musi wiedzieć o błędach, które Lena popełniła, ani o ludziach, którym zniszczyła życie. W Macon wszystko będzie inaczej. To miał być jej nowy start. Nowe narodziny.

Poza tym jak żyła nie powiedziała jeszcze prawdy żadnemu mężczyźnie. Nie zamierzała teraz zaczynać.

## PODZIĘKOWANIA

Wyrazy wdzięczności kieruję do tych co zwykle: Victorii Sanders, Kate Elton i Kate Miciak. Chciałabym jeszcze dodać do tej grupy Gail Rebeck, Susan Sandon, Richarda Cable'a, Margie Seale, Robberta Ammerlaana, Pietera Swinkelsa, Silvie Kuttny-Walster, Berita Boehma, Pera Hasholma, Alysę Farry, Chandlera-Crawforda i Markusa Dohle'a. No i może jeszcze Angelę Cheng Caplan, jeśli jakoś to zniesie.

Izabel Glusman – dzięki za twoje listy, Emily Bestler – dziękuję, że wychowałaś takiego wspaniałego syna. Doktor David Harper pomógł mi z zabijaniem, doktor David Worth z gałkami ocznymi. Odpowiedzialność za wszystkie błędy, które pojawiły się w książce, spada wyłącznie na mnie. Trish Hawkins służyła mi pomocą w zrozumieniu złożonego charakteru dysleksji. Debbie Teague, masz nieziemską cierpliwość, żeby dzielić się ze mną swoimi doświadczeniami. Za każdym razem, gdy piszę o Willu, myślę o twojej niesamowitej sile ducha. Mo Hayder: dzięki za zebrane info na temat nurkowania z akwalungiem. Przepraszam Andrew Johnstona, już on wie za co, i nie, nie będzie żadnej rekompensaty. To samo odnosi się do ciebie, Miss Kitty.

Dziękuję Beth Tindall z Cincinnati Media za promocję w sieci. Jamey Locastro może mnie aresztować, ile razy mu się żywnie spodoba. Fiona Farrelly i Ollie Malcolm pomogli mi z problemem, wokół którego toczy się akcja powieści, a o którym nie będę pisała tu szerzej, na wypadek gdyby ktoś zaczynał czytanie książki od podziękowań, czego zresztą nie powinien robić. Dzięki także tym wszystkim, którzy omawiali ze mną tę kwestię, ale z oczywistych



względom nie chcą być wymienieni z nazwiska. Przewodniczącemu Davidowi Ralstonowi dziękuję za przedstawienie mnie wielu wspaniałym osobom. Szefom GBI Vernonowi Keenanowi i Johnowi Bankheadowi dziękuję za poświęcony mi czas. Strzelając ze strzelby, teraz już zawsze będę myślała o naszym uroczym dniu spędzonym przed więzieniem dla kobiet. Mam nadzieję, że zdołałam uhonorować pracę, którą razem z agentami i personelem pomocniczym GBI wykonujecie dla wspaniałego stanu Georgia.

Kiedy dopadało mnie zwątpienie, tata przygotowywał mi zupę i chleb kukurydziany, których – nie wspominałam? – pewnie będę potrzebować więcej. D.A. dziękuję za ogromną cierpliwość i wytrwałość. Jak zawsze, Kocham cię nad życie.

Do moich czytelników: jesteście niezrównani. Do dalszej lektury polecam *Guinea Pig Zero: An Anthology of the Journal for Human Research Subjects*, zajrzyjcie też do magazynu „Wired” (numer z 15.05.), a jeśli naprawdę chcecie się zdenerwować, wrzucicie w wyszukiwarce nazwisko Jessie Gelsinger. Dla tych trochę narwanym strona [GPGP.net](http://GPGP.net) też może być interesująca. A kiedy już będziecie online, zajrzyjcie do mnie na Facebooka albo na moją stronę [karinslaughter.com](http://karinslaughter.com). Uwielbiam otrzymywać listy, ale pamiętajcie, że to jest tylko fikcja literacka.

Tytuł oryginału: *Broken*

Copyright © 2010 by Karin Slaughter  
*All rights reserved*

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd.,  
Poznań 2010

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Elżbieta Bandel

Projekt i opracowanie graficzne okładki oraz ilustracja na okładce: Zbigniew Mielnik

Wydanie I e-book

(opracowane na podstawie wydania książkowego:  
*Piętno*, wyd. I, Poznań 2011)

ISBN 978-83-7818-143-9

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.  
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań  
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74  
e-mail: [rebis@rebis.com.pl](mailto:rebis@rebis.com.pl)  
[www.rebis.com.pl](http://www.rebis.com.pl)



Plik ePub opracowany przez firmę eLib.pl  
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa  
e-mail: [kontakt@elib.pl](mailto:kontakt@elib.pl)  
[www.eLib.pl](http://www.eLib.pl)

# Spis treści

Karin Slaughter

Piętno

Tej samej autorki polecamy:

PROLOG

PONIEDZIAŁEK

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

WTOREK

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ŚRODA

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

TRZY TYGODNIE PÓŹNIEJ

EPILOG

PODZIĘKOWANIA